

JAY KRISTOFF

BRATOBÓJIA

WOJNY LOTOSOWEJ
KSIĘGA DRUGA



JAY KRISTOFF

BRATOBÓJIA

Przełożył Jakub Radziński





Tytuł oryginału: *Kinslayer*

Przekład: Jakub Radziwiński

Redakcja: Jerzy Wachowski

Korekta: Katarzyna Skwark, Małgorzata Lach

Opracowanie wersji elektronicznej: lesiojot

Projekt okładki i ilustracja wykorzystana na okładce: © Jason Chan

Mapy: © David Atkinson: handmademaps.com

Projekt kanji: Araki Miho: ebisudesign.com

Projekt logo klanów: James Orr Skład i łamanie: Dariusz Ziach

KINSLAYER Copyright © 2013 by Jay Kristoff.

Copyright © for the Polish edition

by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation

by Jakub Radziwiński, MMXVI

Wydanie I

Warszawa MMXVI

*Dla Kath i Tony'ego.
Słowa zawodzą.*

HERBY CESARSTWA SHIMY



KLAN TYGRYSA (TORA)



KLAN LISA (KITSUNE)



KLAN SMOKA (RYU)

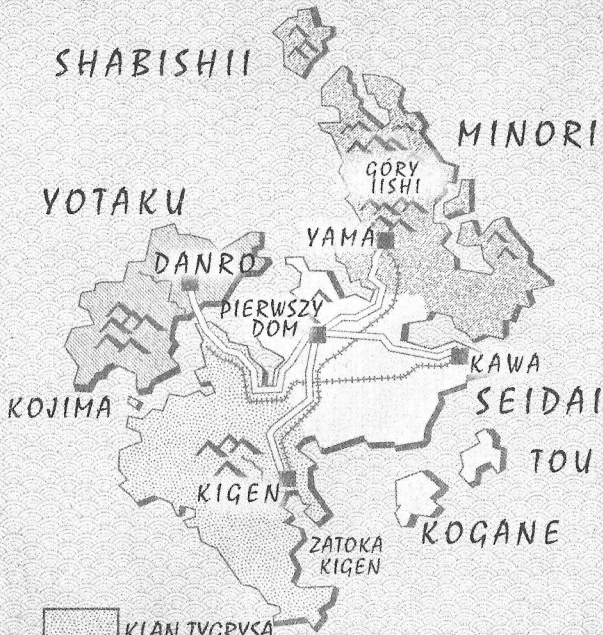






KLAN FENIKSA (FUSHICHO)





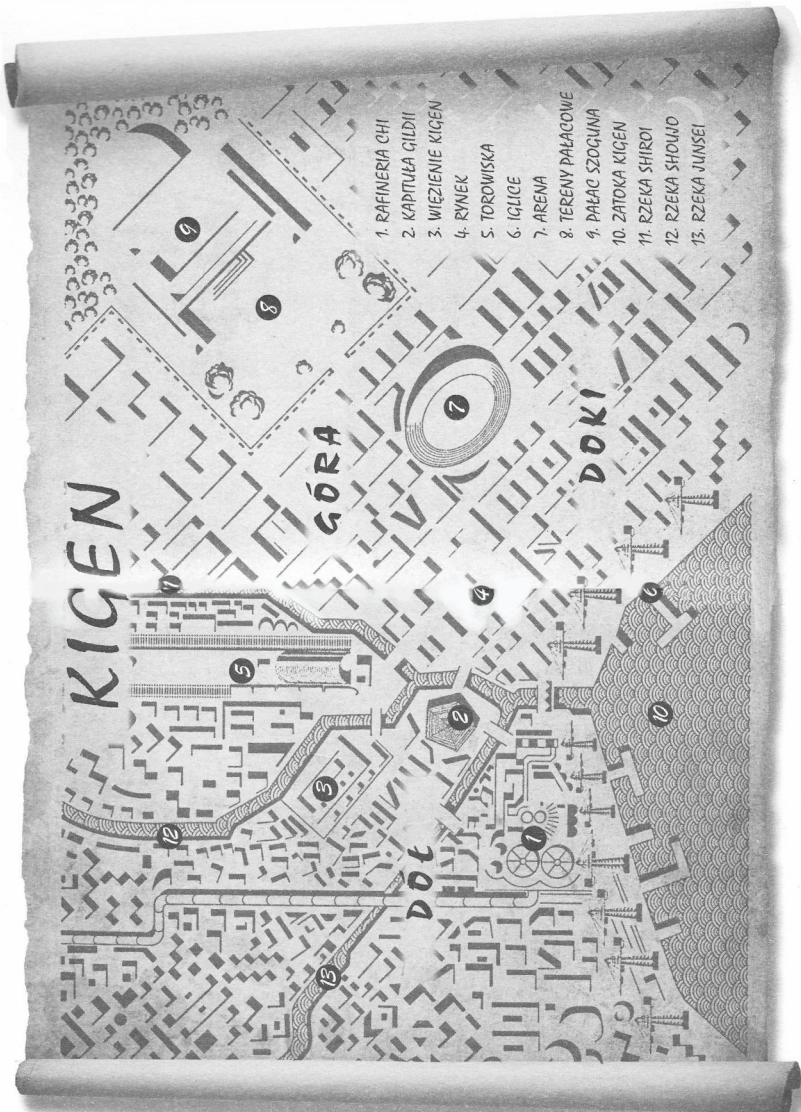
GILDIA LOTOSU

WYSPY SHIMA



-  KLAN TYGRYSA
-  KLAN FENIKSA
-  KLAN LISA
-  KLAN SMOKA

-  RUCIAG CHI
-  TORY KOLEJOWE



KIGEN

GÓRA

DOKI

DOL

1. RAFINERIA CHI
2. KAPITULA GILDII
3. WIEZIENIE KIGEN
4. RYNEK
5. TOROWISKA
6. IGlice
7. ARENA
8. TERENY PALACOWE
9. PALAC SZOGUNA
10. ZATOKA KIGEN
11. RZEKA SHIROI
12. RZEKA SHOWJO
13. RZEKA JUANSEI

Gniew jest darem.

Słowa przypisywane Arystotelesowi

PRZYPOMNIENIE POSTACI WAŻNYCH DLA DZIEJÓW WOJNY LOTOSOWEJ

CZYLI:

**KIM , DO DZIEWIĘCIU PIEKIEŁ, SĄ CI WSZYSCY
LUDZIE?**

Yukiko – młoda dziewczyna potrafiąca porozumiewać się telepatycznie ze zwierzętami (dar ten zwany jest zmysłem Przenikania). Brała udział w schwytaniu legendarnego tygrysa gromu na rozkaz okrutnego szoguna Shimy. Yukiko nawiązała silną więź z dzikim tygrysem gromu i nazwała go Buruu. Błądząc po dziczy, natrafiła na grupę rebeliantów zwanych Kagé (co znaczy „cienie”). Zdecydowała się przystać do nich i wziąć odwet na szogunie za całe zło, które ten wyrządził jej rodzinie.

Ostatnie znane miejsce pobytu: po zabiciu szoguna Yoritomo Yukiko zbiegła z miasta Kigen. Powróciła doń czterdzieści dziewięć dni później, aby wygłosić płomienną przemowę i podburzyć mieszkańców do powstania przeciwko rządzącym i Gildii Lotosu.

Buruu – tygrys gromu (arashitora). Najwierniejszy przyjaciel i towarzysz Yukiko, ostatni ze swojego gatunku na wyspach Shimy.

Szogun Yoritomo przyciął mu lotki, w wyniku czego do następnego pierzenia może latać tylko dzięki mechanicznym skrzydłom, które zbudował dla niego Konstruktor Gildii imieniem Kin.

Zawsze tam, gdzie Yukiko.

Kin – Konstruktor (czyli inżynier) Gildii Lotosu, który rozbił się w górach Iishi razem z Yukiko. Wbrew wszystkiemu, co mu wpojono w

dzieciństwie, zbudował mechaniczne skrzydła dla Buruu, aby umożliwić tygrysowi gromu i Yukiko wymknienie się ze szponów szoguna.

Ostatnie znane miejsce pobytu: gdy Yukiko odleciała z Kigen, Kin został w mieście, otoczony przez strażników.

Masaru – zwany Czarnym Lisem Shimy. Mistrz łowczy na cesarskim dworze. Ojciec Yukiko. Pijak i szuler uzależniony od lotosu. Koniec końców okazał się przyzwoitym człowiekiem.

Ostatnie znane miejsce pobytu: Masaru został zastrzelony przez Yoritomo-no-miyę podczas starcia na rynku Kigen.

Kasumi – łowczyni na cesarskim dworze. Kochanka Masaru.

Ostatnie znane miejsce pobytu: Kasumi zginęła podczas odbijania Masaru z więzienia. Skonała w ramionach ukochanego.

Akihito – łowczy na cesarskim dworze. Prawa ręka Masaru i najlepszy przyjaciel Yukiko od jej dzieciństwa. Poważnie raniony w nogę podczas odbijania Masaru z więzienia.

Ostatnie znane miejsce pobytu: kuśtykał w stronę doków Kigen razem z Michi w celu umknienia z miasta po śmierci szoguna.

Yoritomo-no-miya – szogun Shimy. Daimyo klanu Tygrysa. Ostatni męski przedstawiciel dynastii Kazumitsu, która od dwóch wieków rządziła Cesarstwem Shimy. Szaleniec, który objął tron w zbyt młodym wieku i całkowicie dał się pochłonać żądzy władzy.

Ostatnie znane miejsce pobytu: Yoritomo został zabity mocą umysłów Yukiko i Masaru podczas starcia na rynku Kigen.

Aisha – siostra Yoritomo. Ostatnia przedstawicielka dynastii Kazu-

mitsu. Potajemny sprzymierzeniec rebelii Kagé (co Yoritomo odkrył tuż przed śmiercią).

Ostatnie znane miejsce pobytu: Yoritomo zasugerował, że jego ukochaną siostrę spotkał ponury los, aczkolwiek nie wiadomo, czy rzeczywiście zginęła.

Michi – służąca Aishy. Potajemny sprzymierzeniec rebelii Kagé. Mistrzynie miecza.

Ostatnie znane miejsce pobytu: zmierzała w stronę doków Kigen razem z Akihito w celu umknienia z miasta po śmierci szoguna.

Hiro – zwany również chłopakiem o oczach zielonych jak morze. Żelazny Samuraj. Członek elity Kazumitsu (osobistej straży szoguna). Gdy Yukiko przebywała w pałacu szoguna, Hiro wdał się z nią w romans. Ostatecznie jednak obrócił się przeciwko niej, gdy odkrył, że dziewczyna spiskuje przeciwko szogunowi Yoritomo, jego panu i władcy.

Ostatnie znane miejsce pobytu: podczas krwawej bitwy na arenie w Kigen Buruu oderwał Hiro rękę, a Yukiko dźgnęła samuraja w pierś. Pozostawili go konającego w piasku areny.

Hideo – cesarski minister wywiadu, mistrz intrygi na dworze szoguna. Wuj Hiro.

Ostatnie znane miejsce pobytu: Hideo został pożarty przez szczury, podczas gdy Kagé odbijali Masaru z więzienia.

Daichi – przywódca rebelii Kagé. Były członek elity Kazumitsu. Zbuntował się przeciwko szogunatowi, gdy Yoritomo oszpecił jego córkę, Kaori. W służbie Yoritomo Daichi zamordował matkę Yukiko,

co miało stanowić ostrzeżenie dla Masaru, gdy ten odmówił wykonania woli szoguna.

Ostatnie znane miejsce pobytu: kryjówka Kagé w górach Iishi.

Kaori – jedna z dowódców rebelii Kagé. Córka Daichiego. Jej twarz szpeci blizna po cięciu nożem – pamiątka po Yoritomo.

Ostatnie znane miejsce pobytu: kryjówka Kagé w górach Iishi.

Kensai – Drugi Kwiat Gildii Lotosu, Głos Gildii w mieście Kigen. Jeden z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych członków Gildii. Przybrany wuj Kina.

Ostatnie znane miejsce pobytu: Kapituła Gildii Lotosu w Kigen.

Isao – młody członek rebelii Kagé. Podglądał Yukiko podczas kąpieli i w ten sposób odkrył, że dziewczyna nosi na ręce tatuaż szoguna.

Ostatnie znane miejsce pobytu: kryjówka Kagé w górach Iishi.

Atsushi – młody członek rebelii Kagé. Wspólnik Isao w „wielkiej drace ze ścianą łaźni”.

Ostatnie znane miejsce pobytu: kryjówka Kagé w górach Iishi.

CZĘŚĆ I

SKÓRA

„Prapoczątkiem była Otchłań.

I do Otchłani powrócą. Czarnej jak łono matki”.

*Tak oto przemówił pierwszy, święty pan Izanagi, Stwórca i Ojciec,
do drugiej, wielkiej Pani Izanami, Matki Wszecchrzeczy.*

*Nie dostrzegł jednak, że zguba wszystkich śmiertelników
również jej przypadnie w udziale.*

Księga Dziesięciu Tysięcy Dni

PROLOG

Zaprawdę, powiadam wam, oto koniec początku.

Śmiertelnie blada szesnastoletnia dziewczyna o cienkich, ciemnych włosach, z twarzą umazaną ciepłym szkarłatem. Uśmiechnięty tyran z rękami splamionymi krwią własnej siostry, z dymiącym miotaczem żelaza w dłoni i o knykcjach pobielających z wysiłku. Stoją naprzeciwko siebie na środku zańczonego rynku, a między nimi tańczą podrywane wiatrem popioły dzieci. I wtedy właśnie ona wyciągnęła do niego swoją dłoń, otworzyła usta i wymówiła słowa, które miały być ostatnimi usłyszanymi przez tyrana przed śmiercią:

– Pozwól, że ci pokażę, co może zdziałać jedna dziewczynka. Pięćdziesiąt pięć dni. Blisko dwa miesiące temu z jej ręk zginął ostatni męski przedstawiciel dynastii Kazumitsu. Potem nastął chaos, ziemia trzęsła się pod naszymi nogami, kolejne wątki spłotu losu ujawniały się nam, śmiertelnym. Jeden po drugim. Jeden po drugim...

Gdy wieść o śmierci szoguna się rozniosła, machina wojenna przetaczająca się przez ziemie okrągłookich gaijinów stanęła. Myśli daimyo wszystkich klanów zaprzętały teraz wielkie niebezpieczeństwo i ogromne możliwości związane z pustką na tronie. Gdy widmo wojny domowej krążyło coraz śmieiej nad Siedmioma Wyspami, Gildia Lotosu namawiała do zachowania spokoju. To był ukłon w stronę ich marionetek z klanu Tygrysa. Każdemu, kto nie był im posłuszny, grozili odcięciem od wytwarzanego przez nich cennego paliwa, krwistoczerwonego chi napędzającego żelazne serce szogunatu.

A potem Shima poznała prawdę o tym, jak wytwarzane jest to paliwo. Pirackie radio rebeliantów Kagé nadało słowa, które uruchomiły lawinę. Cienie ujawniły, że inochi – cudowny nawóz wykorzystywany na polach krwawego lotosu na wszystkich Siedmiu Wyspach – był produkowany ze szczątków gaijińskich jeńców wojennych. Wtedy lud Shimy przejrzał na oczy i dostrzegł, że cesarstwo i jego uspaniała technologia oraz cały

ich obecny styl życia były okupione krwią niewinnych.

Zamieszki wybuchły i rozprzestrzeniły się niczym płomienie w suchych liściach zalegających na ziemi po upalnym lecie, niczym zmarszczki na gładkiej tafli jeziora po pierwszych kroplach deszczu. Szał gniewu i rzeka krwi. Na próżno. Powstanie zostało brutalnie snumione przez Żelaznych Samurajów, którzy wciąż byli lojalni wobec pustego tronu. W klanowych stolicach zapanował niepewny spokój. Przez czterdzieści dziewięć dni oficjalnej żałoby ludzie chodzili w nerwowej ciszy po potłuczonym szkle chrześzczącym pod butami. Świat wstrzymał oddech.

Aż do jej powrotu.

Yukiko. Arashi-no-odoriko. Tancerka burzy dosiadająca potężnego tygrysa gromu Buruu. W jej oczach płonął ogień, a po mechanicznych skrzydłach arashitory pełzały groźne błyskawice. Odwiedzili wszystkie stolice: od Szybującego Pałacu w Danro po rynek w Kigen. Jej głos otwierał ludziom oczy i umysły, jednocześnie zaciskając dłonie w pięści.

Ile bym dal, żeby tam wtedy być.

Ile bym dal, żeby usłyszeć jej przemowę. Niestety, odkąd tylko Yoritomo upadł na bruk bez życia, ciągle uciekałem. Opuściłem Kigen, pozostawiając za sobą smugę błękitno-białego ognia. Na jakimś jałowym polu porzuciłem swój lśniący metalowy kombinezon, który nosiłem całe życie. Przed odejściem długo nie mogłem oderwać odeń dłoni, tak jakbym się żegnał z najbliższym przyjacielem. Moje krwawiące stopy pokonały wiele mil. Łzawiące oczy niezliczoną liczbę razy spoglądały w górę na krwistoczerwone niebo. Ciało zostało naznaczone trwałym piętnem tygodni spędzonych w drodze do dzikich gór Iishi.

Do niej.

I oto jestem prawie u celu swej drogi. Członek Gildii Lotosu, który zdradził wszystko, co znał; wszystko, w co wierzył; wszystko, czym był. Który podarował okaleczonemu tygrysowi gromu metalowe skrzydła, na których mógł odlecieć ze swojego więzienia. Który pomógł samotnej dziewczynie zgładzić ostatniego męskiego przedstawiciela dynastii Kazumitsu i pchnąć wszystkie wyspy w samo serce nadchodzącej burzy. Historia nazwie mnie zdrajcą. Po śmierci ojca nazywano mnie Kioshi na

jego pamiętkę.

Ale moje prawdziwe imię brzmi Kin.

Pamiętam, jak to jest nosić metalową skórę. Spoglądać na świat przez krwistoczerwone szkło. Stać obok, ponad i poza, dumając, czy istnieje cokolwiek więcej. Ale nawet teraz, w ostatniej dzikiej głuszy Shimy, gdy psy gończe coraz bardziej deptają mi po piętach, słyszę w głowie szepty mechaniczydła, czuję fantomowy ciężar skóry na plecach i kończynach. Część mnie tęskni do mojej metalowej skóry. Tak mocno, że aż sprawia mi to ból.

Pamiętam dzień, w którym odkryłem prawdę o sobie, gdy moja przyszłość ukazała mi się w Komnacie Dymu. Pamiętam, jak przyszli po mnie Inkwizytorzy – spowici w czerni, bezgłośni niczym koty. Jak powiedzieli mi, że nadszedł czas, abym zobaczył to, co nadejdzie. I chociaż nieustannie słyszałem w głowie krzyki tych moich braci, którzy nie zdołali przetrwać Przebudzenia, nie lękałem się. Zacisnąłem dłonie w pięści, wspomniałem ojca i przysiągłem sobie, że uczynię go dumnym. Że się przebudzę.


Masz trzynaście lat, a oni nazywają cię już mężczyzną.

Nigdy nie widziałem słońca całującego horyzont. Nieba płonącego ogniem zachodu, podczas gdy słoneczna tarcza opada poniżej wargi świata. Nigdy nie czułem delikatnego muśnięcia wieczornego wiatru na twarzy. Nigdy się nie dowiedziałem, co to znaczy przynależeć czy zdradzić. Odmówić czy stawić opór. Kochać czy stracić.

Wiedziałem jednak, kim jestem. Wiedziałem, kim miałem zostać. Skóra była silna.

A ciało było słabe.

Teraz zachodzę w głowę, jak ten chłopiec, którym byłem, mógł być taki ślepy.



1.
**DZIEWCZYNA, KTÓREJ LĘKA
SIĘ CAŁA GILDIA**

Trzy okręty wojenne Gildii przecinały krwistoczerwone niebo z gracją zalanych w sztok grubasów zataczających się w stronę wychodka. Wszystkie należały do klasy pancerników – największych okrętów budowanych w stoczniach na równinach. Balony w kolorze ognia, miotacze shurikenów na obu burtach, potężne silniki rzygające smoliście czarnymi spalinami w sine niebo.

Okręt flagowy lecący na szpicy formacji miał sto stóp długości. Na rufie statku łopotały trzy czerwone sztandary z wyhaftowanymi na nich kwiatami lotosu. Na burcie dużymi, wyraźnymi znakami kanji wymalowano nazwę okrętu stanowiącą ostrzeżenie dla każdego, komu przyszłoby do głowy stanąć na jego drodze.

„Głód Pani Izanami”.

Jeśli służba na statku noszącym imię Mrocznej Matki wzbudzała w bracie Jubeiu niepokój, dobrze to ukrywał. Mężczyzna stał na rufie w swoim mosiężnym kombinezonie chroniącym go przed porywami mroźnego wiatru. Próbował usilnie rozsupłać węzeł tkwiący w jego żołądku i uspokoić walące opętańczo serce. Powtarzał w kółko mantrę Gildii: „Skóra jest silna, ciało słabe. Skóra jest silna, ciało słabe”.

Wszystko jednak na marne. Cokolwiek robił, nie mógł uspokoić swoich myśli.

Kapitan dowodzący flotą stał przy relingu i przyglądał się w skupieniu widocznym w dole górów Iishi. Jego kombinezon atmosferyczny był bogaty w zdobienia, z mosiężnymi rurkami i tłokami pokrytymi stalowoszarymi filigranami. Na jego piersi klekotało i piszczało mechanicznie – przyrząd złożony z wielu żetonów i rurek próżniowych, wyśpiewujący nieskładną melodię przywodzącą na myśl chór zatrwożonych owadów. Naramienniki dowódcy zdobił tuzin zasuszonych tygrysich ogonów. Krążyły słuchy, że otrzymał je od Wielkiego Mistrza Floty Kapituły Tora, samego Kiosiego Starszego.

Kapitan nazywał się Montaro, ale załoga mówiła na niego Bicz na Gaijinów. Był weteranem inwazji na Morchebę. Dowodził flotą Gildii wspierającą wojska lądowe szogunatu w walkach z okrągłookimi barbarzyńcami zamieszkującymi tereny za Morzem Wschodnim. Gdy jednak działania wojenne się załamały po śmierci szoguna, Kapituła Kigen odwołała kapitana i nakazała mu wysledzenie nowego wroga w samej Shimie. Brat Jubei był niezmiernie dumny, że spośród wszystkich Przebudzonych shatei w mieście Kigen Drugi Kwiat Kensai właśnie jego wybrał na nowego adiutanta Bicza.

– Czy masz jakieś życzenie, kapitanie? – zapytał Jubei zza pleców dowódcy, utrzymując pełny szacunku dystans i wbijając wzrok w deski pokładu.

– Wystarczy mi choć najmniejszy trop naszej zwierzyny. – W trzeszczącym brzęczeniu, które uchodziło za głos kapitana, dało się wyczuć lekkie poirytowanie. – Jeśli chodzi o wszystko inne, to słabe ciało daje sobie radę.

Dowódca dotknął przełącznika na klatce piersiowej i uniósł nadgarstek do hełmu.

– Shatei Masaki, widzisz cokolwiek?

– Żadnego ruchu, kapitanie. – Odpowiedź obserwatora była ledwo słyszalna, chociaż siedział zaledwie trzydzieści stóp nad ich głowami. – Ten las jest niezmiernie gęsty. Nawet z teleskopami trudno jest dostrzec

cokolwiek poza koronami drzew.

– Sprytny królik – wysyczał Bicz. – Usłyszał silniki naszych okrętów i skrył się na ziemi.

Jubei przyglądał się skalnej iglicy sunącej powoli za ich ster-burtą niczym czarna góra lodowa w morzu klonów i cedrów. Między skrzącymi się od śniegu górskimi szczytami snuły się rzadkie chmury. Monotonny pomruk silników i odgłos towarzyszący mieleniu powietrza przez śruby napędowe odbijały się echem od mijanych w dole lasu i skalnych ścian. W góry Iishi zaczynała się zakradać jesień. Rdzawe kolory czekały cierpliwie na uboczu na swój czas.

Bicz wydał z siebie głuche, metaliczne westchnienie.

– Dobrze wiem, że to przemawia moje słabe ciało – powiedział – ale muszę przyznać, że brakowało mi tego nieba.

Jubei zamrugął ze zdziwieniem. Czy powinien się wdawać w cczą pogawędkę ze swoim dowódcą? Po dłuższej chwili ciszy młody członek Gildii uznał, że nie odpowiedzieć nic byłoby niegrzecznie, odezwał się więc niepewnie:

– Panie kapitanie, jak długo stacjonował pan w Morchebie?

– Osiem lat – padła odpowiedź. – Osiem lat wypełnionych polowaniem na barbarzyńców pijących krew i kradnących skóry.

– Czy to prawda, że niebo nad ziemiami okrągłookich jest błękitne?

– Nie – odparł Bicz, kręcąc głową. – Już nie. Teraz jest fioletowe.

– Chciałbym je pewnego dnia ujrzeć.

– Cóż, im szybciej dorwiemy naszego królika, tym prędzej tam wrócimy. – Kapitan przebierał ukrytymi w metalowej rękawicy palcami po drewnianym relingu. – Miałem nadzieję dopaść go, zanim dotrze do Iishi, ale jest sprytniejszy, niż sądziłem.

Jubei spojrzął na towarzyszące im okręty naszpikowane bronią i najemnym żołdactwem. Gdzieś głęboko w nim narastała irytacja, domagając się ubrania w słowa.

– Wybacz mi, kapitanie – zaczął – ale... Wiem, że syn Kioskiego Starszego jest zdrajcą. Wiem, że musi zostać ukarany za zbudowanie skrzydeł dla tygrysa gromu i udzielenie mu pomocy w ucieczce. Ale ta

flota... Takie środki, aby zabić jednego chłopca, wydają się...

– Przesadne?

– Hai – odparł Jubei, powoli kiwając głową. – Dotarły do mych uszu plotki, jakoby Kioshi Starszy był dla Drugiego Kwiatu Kensaia niczym brat. Że Kensai-sama wychowywał zdrajcę, którego teraz ścigamy, niczym własnego syna. Ale, raczy mi pan wybaczyć moją śmiałość, czy nie wydaje się panu, że na Shimie jest dużo ważniejsza zwierzyna, na którą powinniśmy teraz polować?

– Masz na myśli zabójczynię Yoritomo.

– I rebeliantów Kagé, u których się ukryła.

Bicz spojrział na rozmówcę przez ramię, po czym przemówił z szyderstwem w głosie:

– Ukryła? Ona się przed nami nie kryje, młody bracie. W ostatnich dwóch tygodniach odwiedziła siedziby wszystkich czterech klanów. Zdołała doprowadzić bezskórych na skraj buntu. Zabiła szoguna samym swoim spojrzeniem.

– Tym więcej powodów, aby ją schwytać, czyż nie? – powiedział Jubei z gniewem w głosie. – Zwykli mieszkańcy wysp mówią, że my, Gildia Lotosu, boimy się jej. Zwykłej dziewczyny. Dzieciaka! Czy wiesz, kapitanie, jak ją nazywają? Jak mówią o niej bezskórzy, gdy się zbierają w swoich brudnych szulerniach i palarniach? Czy wiesz, jakim obdarzyli ją mianem?

– Tancerka burzy – odparł Bicz.

– Gorzej – wyrzucił z siebie Jubei. – Nazywają ją „dziewczyną, której lęka się cała Gildia”.

Z głębi hełmu Bicza dobiegł stłumiony chichot.

– Nie cała, zapewniam cię, że nie cała.

Jubei zaniemówił i wbił wzrok w swoje stopy, zastanawiając się, czy nie pozwolił sobie na zbyt wiele. Bicz spojrział na jeden z towarzyszących im statków. „Lotosowy Wiatr” unosił się o milę za ich rufą, wypływając z rur wydechowych dwie smugi sinoczarnych spalin. Kapitan ponownie dotknął przełącznika na swojej klatce piersiowej i przemówił do mikrofonu ukrytego w przegubie chłodnym, twardym głosem:

– Kapitanie Hikita, raport.

– ...e widać – nadeszła słabo słyszalna odpowiedź, niemal całkowicie ginąca w szumie. – ...le jesteśmy prawie bezpośrednio nad gdzie „Olśniewająca Chwała” doszła – czynę Kitsune minionego lata ba powinna leko.

– Nie mógł zajść daleko – warknął Bicz. – Dopiero wczoraj porzucił brzeg rzeki, a porusza się pieszko. Niech twoi amunicyjni przygotowują zapórę ogniową. Linia pięćset stóp od wody. Nadszedł czas na wykurzenie królika z nory.

Głośnik zatrzeszczał i zabuczał w odpowiedzi.

„Lotosowy Wiatr” przechylił się lekko na burtę i odleciał w kierunku południowym, zostawiając za sobą smugę spalin. Jubei dostrzegł saperów krzątających się na pokładzie niczym maleńkie, opancerzone mrówki, przygotowujących beczki z ładunkami wybuchowymi i ustawiających zapalniki. Gdy kapitan drugiego okrętu zasygnalizował, że ładunek jest gotowy do zrzutu, adiutant Bicza przeniósł wzrok na leśną gęstwinię. Głos jego dowódcy rozległ się na wszystkich częstotliwościach:

– Obserwatorzy, wypatrujcie go uważnie. Kapitanie Hikita, rozpocznijcie bombardowanie.

Z kadłuba „Lotosowego Wiatru” wysypały się czarne kształty i poczęły nieuchronnie opadać ku jesiennemu krajobrazowi w dole. Sekundę później powietrze rozdarła seria głuchych wybuchów, którym towarzyszyły rozkwitające wśród drzew kwiaty płomieni strzelające na sto stóp w górę. Fala uderzeniowa zatrzęsła statkiem flagowym niczym dziecięcą zabawką. Metalowa skóra Jubeia drgała lekko w rytm kolejnych wybuchów, gdy „Lotosowy Wiatr” posuwał się wzdłuż brzegu, podpalając ogromne połacie lasu.

Pożar szybko się rozprzestrzenił, liżąc opadłe jesienne liście tysiącem gorących języków. Przez las przesuwiała się dławiąca zasłona sadzy i popiołu. Za sterburta „Głodu Pani Izanami” drugi okręt eskorty, „Prawda Pustki”, zrzucił swój ładunek bomb między wiekowe drzewa. Zwielokrotniony echem huk eksplozji niósł się w dal rzeczną doliną. Spomiędzy gałęzi i liści wystrzeliły chmury skrzeczących w panice

ptaków. W poszyciu trwał opętańczy bieg wszelkiej maści zwierząt. Wszystko, co żywe, starało się znaleźć jak najdalej od płomieni. Jubei przyglądał się temu wszystkiemu z pewnego rodzaju satysfakcją – oto był świadkiem potęgi Gildii. Potężne drzewa, które rosły tu przez całe wieki, ginęły w zaledwie kilka chwil.

– Widać naszego uciekiniera? – zapytał Bicz na wszystkich częstotliwościach.

– Nie widać – nadeszła odpowiedź z „Lotosowego Wiatru”.

– Ani śladu – zameldował obserwator okrętu flagowego.

Odpowiedź z „Prawdy Pustki” nadeszła z pewnym opóźnieniem w towarzystwie lekkiego szumu.

– Widzimy go. Znajduje się trzysta jardów na północny wschód. Odbiór.

– Widzę go – potwierdził obserwator z „Głodu Pani Izanami”. – Siedemdziesiąt stopni od sterburty.

Pilot „Głodu Pani Izanami” przełączył silniki na całą naprzód i pieśń wyspiewywana przez chór śmigieł podniosła się oktawę wyżej. Jubei aktywował teleskop w swoim hełmie i omiół wzrokiem gęste poszycie leśne, wypatrując dziur, przez które zdołałby dojrzeć, co się dzieje na ziemi. Na czoło wystąpił mu pot, pokonał zaporę brwi i zaszczypał w oczy. Dzięki doskonałej optyce swojego hełmu widział rozgrywające się na ziemi sceny z niebywałą ostrością. Dym wił się wokół porośniętych mchem pni olbrzymich drzew, wśród opadających liści i pierzchających ptaków. Imperium kory i kamienia. W końcu jednak, tak, dostrzegł go! Chudą postać w brudnoszarym odzieniu biegnącą co sił między dwoma pokręconymi, wiekowymi klonami.

– Tam! – wykrzyknął Jubei. – Tam jest!

Krótkie ciemne włosy, blada skóra. Zniknął.

– Oddziały lądowe, przygotować się do desantu – zakomendował Bicz głosem spokojnym niczym tafla stawu w bezwietrzną pogodę. – Obsługa miotaczy, gotowość bojowa. Drugi Kwiat rozkazał zlikwidować cel przy pierwszej sposobności.

Paszczę miotaczy shurikenów otworzyły się na burtach „Prawdy

Pustki” i „Głodu Pani Izanami”, po czym wypluły z siebie chmurę diabelnie ostrych gwiazdek, rozrywając zasłonę poskręcanych liści na strzępy. Terkot miotaczy wznosił się ponad ryk silników, szum płomieni i trzask łamanych gałęzi. Jubeiowi wydało się, że dostrzegł uciekiniera śmigającego przez poszycie lasu wśród spadającej wszędzie dokoła lśniącej śmierci. Piechota morska na pokładzie „Głodu Pani Izanami” kończyła sprawdzać swój ekwipunek, gotując się do zeskoczenia na ziemię. Pożar na południu, wojsko i wirująca śmierć spadające z nieba, pancerniki nad głową.

Jubei uśmiechnął się pod nosem skąpany w odbijającym się od jego metalowej skóry blasku płomieni. Królik długo przed nimi uciekał, ale jego szczęście właśnie się wyczerpało.

Bicz obrócił się od relingu i odezwał ze złowieszczą satysfakcją w głosie:
– Wygląda na to, że zobaczysz Morchebę wcześniej, niż pode...

Nagły błysk światła.

Przenikliwego, jaskrawego, białego światła. Fala uderzeniowa przysłała pół uderzenia serca po rozbłysku. Powietrze wokół Jubeia wypełniło się silnym blaskiem rzucającym liczne refleksy na jego mosiężną skórę. Chwilę potem rozległ się grzmot – ogłuszający, przejmujący dreszczem do szpiku kości. „Głód Pani Izanami” został odrzucony w bok, jego silniki zawyły w proteście, plując sadzą. Pokład się przechylił i Jubei stracił równowagę. Ku swemu wielkiemu wstydy odwruchowo chwycił za ramię Bicza, aby nie upaść.

Statek owionęło rozgrzane do niemożliwości powietrze. Nękany ponad swoją wytrzymałość metal krzyczał w akompaniamencie huku wtórnych eksplozji. Jubei obrócił się i zamarł z zapartym tchem, nie rozumiejąc tego, co widzi.

Znajdująca się za ich sterburtą „Prawda Pustki”, z obsadą składającą się z dwudziestu żołnierzy piechoty morskiej Gildii, tuzina innych lotosowców, czterech Konstruktorów, sześciu oficerów i trzydziestu osób załogi, spadała w dół, w objęcia ziemi.

Ich balon przemienił się w podłużną, postrzępioną kulę ognia szalejącą w poczerniałym zewnętrznym szkielecie, co rusz wyciągającą w dół swe

płomienne ręce podpalające na pokładzie wszystko, czego tylko tknęły. Kable pękały, przeciążone silniki wyły wniebogłosy, dziób wznosił się ku niebu, jakby chciał się go chwycić i powstrzymać nieuchronny już lot ku ziemi. Komunikator wypluwał z siebie przerażone wrzaski ginących. Drobne figurki ludzkie przetaczały się przez reling i spadały ku najeżonym ostrymi kamieniami skalnym paszczom czekającym na nich setki stóp niżej. Jubei dostrzegł kilka osób z załogi siłujących się z przekrzywioną rufową łodzią ratunkową. Ogień dotarł do zbiorników chi „Prawdy Pustki” i statkiem targnęła potężna eksplozja. W jednej chwili cała rufa okrętu przestała istnieć, a powietrze wypełnił deszcz odłamków desek. Wybuch sprawił, że wrak zaczął wirować pionowo wokół własnej osi.

– Co, na godność Pierwszego Kwiatu, się dzieje? – ryknął Bicz do komunikatora. – Co nas trafiło? Raportować!

Na pokładzie „Głodu Pani Izanami” panował chaos. Żołnierze spieszyli do drugiej baterii miotaczy shurikenów, oficerowie wykrzykiwali coraz to nowe rozkazy, ludzie biegali we wszystkie strony. Obsługa miotaczy starała się przekrzyknąć zgiełk, domagając się namiarów na cel, obserwatorzy wpatrywali się w okulary teleskopów, usiłując przebić wzrokiem gęsty dym i tańczący w powietrzu niczym płatki czarnego śniegu popiół. Jubei dostrzegł błękit- no- białe rozbłyśki silników rakietowych za sterburką. Jego bracia ze zniszczonego statku najwyraźniej przeżyli katastrofę i zdołali włączyć swoje plecaki odrzutowe.

– Tam! – krzyknął. – Rozbitkowie!

Najbliższy shatei znajdował się jakieś czterdzieści stóp od „Głodu Pani Izanami”, gdy zginął. Smuga bieli przecinająca dym, przejmujący zgrzyt rozdieranego metalu i urwany okrzyk przełazenia i bólu. Plecak rakietowy rozbłysnął ostatni raz i zgasł, pozostawiając w powietrzu tylko niknącą czerwoną smugę. Shatei spadał coraz szybciej w dół, najpierw nogi, potem tułów.

– Pierwszy Kwiecie, ratuj nas – wyszeptał Jubei.

Statek zadrzał, rozległ się głośny trzask, po czym po krwistoczerwonym

niebie przetoczył się donośny huk. Po skórze mężczyzny przeszły drgania, docierając nawet do skrytego w niej ciała. Nity na łączeniach blach jęczały przeraźliwie, a deski pokładu trzęsły się niczym przerażone dziecko skryte pod kołdrą w mroczną, st raszną noc. Tego dźwięku nie dało się pomylić z niczym innym. To był huk gromu. Ale jeśli nie liczyć gęstniejącego dymu, niebo nad nimi było całkowicie bezchmurne...

– Na stanowiska! – ryknął Bicz. – Na stanowiska!

Jubei usłyszał głuchy klekot i świst sprężonego gazu towarzyszące obracaniu się miotaczy shurikenów. Chwilę później do jego uszu dobiegł terkot podajników i niebo wokół okrętu zaiskrzyło się setkami metalowych gwiazdek, błyszczącą śmiercią wystrzeliwaną na ślepo w dym dokoła. Mechalicydło na piersi Jubeia zaklekotało nerwowo w rytm napływających z Kapituły Kigen komunikatów z żądaniami potwierdzenia. Ale ręce trzęsły mu się zbyt mocno, aby był w stanie odpowiedzieć.

Ponownie rozległy się krzyki. Ktoś wołał: „Widzę coś! Widzę coś!”. Za rufą statku błysnął nikły płomyk. Jubei obejrzał się przez ramię akurat na czas, aby zobaczyć białą sylwetkę mknącą wzdłuż balonu „Lotosowego Wiatru”. Ostre pazury rozdzierały wzmacniany brezent, jakby był ledwie papierem ryżowym.

Zdawało się, że cały świat na ułamek sekundy zamarł. Śmiertelna cisza między kolejnymi uderzeniami serca. Jubei wpatrywał się w przestrzeń między nim a rozmytym białym kształtem, patrzył na niebo wypełnione wirującą śmiercią i dławiącym dymem. I w tej jednej, ulotnej chwili dostrzegł ją: czarna sylwetka z długimi włosami targanymi gorącym wiatrem przyczajona między dwoma metalowymi skrzydłami, dosiadająca czegoś, co nie miało prawa istnieć. A gdy długie, przerażające pazury stwora kończyły rozrywać balon „Lotosowego Wiatru”, Jubei ujrzał w dłoni dziewczyny błysk pomarańczowego światła. Nikły płomyk na końcu ręcznej flary, która chwilę później leciała już w stronę uciekającego z balonu wodoru.

Potem było światło. Oślepiający błysk i ogłuszający huk.

Fala uderzeniowa uderzyła w sterburtę „Głodu Pani Izanami” i cisnęła

czwórkę żołnierzy w wypełnioną dymem czeluść za relin- giem. Płomienie kwitły na pękającym niczym przepelniony pęcherz balonie „Lotosowego Wiatru”, belki i deski łamały się z trzaskiem, a coraz gęstszy dym utrudniał oddychanie. Krzyki Bicza, terkot miotaczy shurikenów i ryk przeciążonych silników zlały się w jeden ogłuszający hałas. Pancernik wirował wokół własnej osi niczym nakręcany bączek. Biały kształt przeleciał tuż przy statku, nic sobie nie robiąc z nieprzerwanego, śmiercionośnego deszczu metalu, i wyrwał jeden z silników.

Był tak szybki. Tak niesłychanie szybki.

– Skoncentrować ogień! Wszystkie miotacze, ognia! OGNIA!

Biały kształt oddalił się od okrętu, skrył za opadającym wrakiem „Lotosowego Wiatru” i odleciał poza zasięg miotaczy, ostatecznie znikając za czarnym masywem górskim. Jubei usłyszał głośny huk towarzyszący uderzeniu statku o ziemię. Wybuchające zbiorniki chi zajaśniały niczym drugie słońce i podpaliły kolejną połąć lasu w dolinie przybranego w barwy wczesnej jesieni. Sternik „Głodu Pani Izanami” kręcił kołem sterowym jak szalony, starając się zwrócić dziób okrętu w stronę wroga. Jubei ujrzał rozbłyски kilku plecaków odrzutowych. Chwilę później usłyszał szum skrzydeł i samotne, mrozące krew w żyłach krzyki rozbrzmiewające w gęstym dymie. Miotacze wciąż wypływały z siebie całe chmary shurikenów, które z głuchym stukiem wbijały się w drewno. Bicz krzyczał na operatora radiostacji, aby informował o ruchach celu i zażądał wsparcia. Na częstotliwości ogólnej panowała powszechna wrzawa przemieszanych głosów.

– Widzieliście go?

– Podać pozycję!

– Co to było?

– Potrzebuję amunicji. Miotacz czwarty, dwadzieścia procent.

– Miotacz siódmy, piętnaście procent!

– Patrzyć w górę! Nadlecieli z góry!

– Widzicie cokolwiek?

– Arashitora!

– Tu kapitan Montaro! – Ryk Bicza przebił się przez zgiełk niczym katana łańcuchowa. – Nie chcę słyszeć nic poza najważniejszymi meldunkami! Następny, który odezwie się bez potrzeby, trafi prosto do kadzi inochi!

Cisza, która zapadła, aż dzwoniła w uszach. Z głośników dobiegał tylko pełen łęku szum.

– Amunicyjni, zaopatrzyć miotacze. Chcę mieć dodatkowych obserwatorów na balonie, kompensatory włączone, maksymalny kontrast. Sternik, wyprowadź nas z tego przekłętego dymu. Połóż okręt na bakburtę. Pełna moc silników. Zejście o sto stóp.

Bicz chodził tam i z powrotem po skraju mostka, gdzie załoga mogła go dobrze widzieć. Wycie silników wzmogło się, wprawiając pokład w drżenie. Śmigła miały mozolnie powietrze, pchając okręt naprzód. Dym się przeredził. Każdą płaską powierzchnię pokrywała przypominająca szaroczarny śnieg warstwa popiołu.

– Znam was dobrze, bracia – przemówił ponownie Bicz. – Służymy razem na tym statku już od lat. Gaijini nie bez powodu wymawiają nazwę „Głód Pani Izanami” z nabożnym lękiem. Jesteśmy postrachem niebios. Niepokonani w walce. I zdecydowanie nie ulękniemy się tego...

– Kontakt, wysoko! Za bakburtą!

– Od strony słońca! Nadlatują od strony...

– OGNI!

Jubei ponownie usłyszał ten sam dźwięk. Ten okropny huk grzmotu zamieniający jego wnętrzności w galaretę. „Głód Pani Izanami” opadł gwałtownie jakieś trzydzieści stóp, jakby został uderzony od góry dłonią wściekłego boga. Adiutant Bicza czuł, jak uginają się pod nim nogi. W ustach całkowicie mu zaschło. Obie dłonie tak mocno zaciskał na relingu, że jego rękawice zagłębiały się w drewno. Pragnął zerwać hełm z głowy i otrzeć w końcu słony pot piekący go w oczy. Pragnął krótkiej chwili błogosławionej ulgi.

Wspomniał swoje Przebudzenie. Rozmyte, bezładne wizje tego, co będzie. Przeznaczenie, które stanie się jego udziałem, jeśli tylko znajdzie w sobie siły, aby po nie sięgnąć. Komnata Dymu ukazała mu cenny

fragment jego przyszłości, ale nie było tam nic o spłonięciu żywcem na pokładzie statku czy zostaniu dokumentnie zmiażdżonym o zimne skały setki mil od miejsca, które nazywał domem. Gdy miotacze shurikenów wznowiły ogień, gdy obserwatorzy spanikowali, gdy złowrogi biały kształt rzucił się na ich statek od strony oślepiającego słońca, w Jubeiu coś pękło. Szkarłatny strach wezbrał w jego myślach i zdusił wszelki rozsądek. Wszystkie mantry i doktryny umknęły z jego głowy, pozostawiając samotną prawdę płonąca jasno przed jego rozszerzonymi źrenicami.

Nie było mu pisane tu zginąć.

Przerażony lotosowiec podbiegł na skraj dziobu, ignorując wywrzaskiwane przez Bicza rozkazy, i zaczął majstrować gorączkowo przy przełącznikach zapłonu plecaka odrzutowego umieszczonych na przegubie. Reling zaskrzypiał w głośnym proteście, gdy oparł się o niego stopą i wybił w powietrze. Zanim grawitacja się o niego upomniała, z dysz wytrysnął błękitno-biały płomień. Całe ciało mężczyzny drżało od wibracji powodowanych przez napęd raketowy plecaka. Chwilę później za jego plecami rozbłysło jaskrawe światło i rozległ się ogłuszający huk. To wybuchł wodór wypełniający balon „Głodu Pani Izanami”. Z głośników w hełmie lotosowca dobiegały wrzaski ginących żołnierzy, huk szalejących płomieni i skwierczenie płonącej skóry. Nie mogąc tego znieść, Jubei wyłączył komunikator. Teraz słyszał tylko natarczywy pisk swojego mechalicydła, które odbierało ponawiane bez ustanku przez Kapitułę żądania, aby ktoś – ktokolwiek – doniósł, co się stało.

Przestawił swój plecak na pełny ciąg, aby jak najszybciej oddalić się od konającego w bólach okrętu. Po chwili dobiegł go zwielokrotniony echem trzask desek i belek pękających w gwałtownym zetknięciu ze zboczem góry. Przed oczami umysłu stanął mu wyraźny kształt – litografia wyryta w zimnym pocie i kwaśnej adrenalinie. Skrzydła o rozpiętości dwudziestu pięciu stóp obudowane opalizującym metalem. Lśniące pióra na głowie, jarzące się bursztynowe oczy, stalowoszare przednie łapy, śnieżnobiałe futro ze smoliście czarnymi pręgami pokrywające tylną część ciała, długi ogon śmigający niczym bicz za

rozpędzonym cielskiem. Potężne mięśnie, dziób i pazury. Stwór rodem z fantastycznych baśni, w niewytłumaczalny sposób powołany do życia. Cały umazany krwią jego braci z Gildii.

Jubei się modlił. Robił to po raz pierwszy w życiu. Modlił się do bogów, w których istnienie bezwzględnie nie wierzył. Modlił się, wiedząc, że go nie wysłuchają. Wytwory ludzkiej wyobraźni; złudna pociecha dla bezskórych i prostaków; przesąd, w który nie wierzył żaden członek Gildii. A jednak modlił się z żarliwością, która zawstydziłaby niejednego kapłana. Prosił, błagał, żeby jego plecak dał mu jeszcze większą prędkość i pozwolił uciec przed pogonią. Oszalałe serce łomotało w piersi Jubeia, jakby się miało lada chwila wyrwać z klatki żeber. Gdyby było silnikiem, kazałby mu pracować ponad siły. Gdyby jego krew była chi, otworzyłyby sobie żyły i przelał wszystko do ostatniej kropli do zbiorników z paliwem, żeby ulecieć choćby stopę dalej.

Ale na nic nie zdały się starania i modlitwy. I tak go dogonili.

Gwałtowny podmuch wiatru zza pleców, łomot ogromnych werbli. Zaryzykował zerknięcie przez ramię akurat w chwili, gdy tygrys gromu uderzył w niego w deszczu iskier i ognia. Szamotał się w uścisku potężnych szponów, usiłując wyswobodzić ręce. Jego skóra jęczała i piszcziała niczym ranny szczur. Krzyczał, wrzeszczał wniebogłosy przez zdarte gardło, rozsiewając wewnątrz hełmu kropelki śliny. Aż zdał sobie sprawę, że chociaż wisiał w szponach stwora niczym gajinińskie truchło nad kadzią inochi, całkowicie zdany na łaskę wrogów, wciąż żył.

Nie zabili go.

Lot na południe nad górskimi szczytami zdawał się trwać całą wieczność. Rozpościerający się pod nimi ocean powoli przybierał coraz bardziej jesienne barwy. Las przypominający pofałdowany kobierzec szepczących drzew i skute lodem skaliste zęby gór zdawały się ciągnąć w nieskończoność. W końcu, po wielu godzinach, bestia zniżyła lot i zaczęła kuliście schodzić ku płaskiej, pokrytej śniegiem skalistej grani. Skalna ściana opadała ostro w dół do poszarzałych wzgórz u stóp masywu. Znajdowali się na samym skraju gór Iishi.

Szpony puściły go dwadzieścia stóp od przepaści. Z głośnym łomotem

i jękiem wyginanego metalu Jubei zderzył się z ziemią, wyrzucając w górę snop iskier. Uderzył mocno głową o wewnętrzną stronę hełmu, boleśnie przygryzając sobie język. Jego skóra sunęła po skale z przenikliwym piskiem, aż w końcu zatrzymała się nie więcej niż dwie stopy od urwiska.

Jubei leżał na brzuchu zbyt przerażony, aby się poruszyć.

Dopiero gdy usłyszał za sobą odgłos czterech łap uderzających o śnieg i łopot potężnych skrzydeł, przetoczył się na plecy i spojrzał na górującą nad nim bestię, na potężny dziób i mocne szpony, na śnieżnobiałe futro poplamione rozbryzgami krwi. Syn Kioshiego – królik, którego ścigali przez cały kraj – siedział pochylony na barkach tygrysa z palcami dłoni zaciśniętymi na ranie na ramieniu. Był blady i zlany potem, ale jak najbardziej żywy. Brudne szare ubranie; krótkie ciemne włosy ledwo odrastające od skóry głowy; jasne, stalowoszare oczy. Chłopiec w najmniejszym stopniu nie wyglądał imponująco. Zdecydowanie nie sprawiał wrażenia kogoś, kto byłby w stanie unieść zaciśniętą w pięść rękę przeciwko wszystkiemu, co zostało mu wpojone od urodzenia. Nie był kimś wartym utraty trzech okrętów z załogą.

Wzrok Jubeia szybko jednak ześlizgnął się z chłopaka i powędrował do dziewczyny (to była tylko dziewczyna!), która właśnie zeskakiwała z zadziwiająco lekkością z grzbietu arashitory. Miała na sobie luźny, czarny, bawełniany strój. Długie, równie czarne włosy opadały jej swobodnie na ramiona, odcinając się od bladej skóry pokrytej popiołem wymieszonym z krwią. Oczy dziewczyny przesłaniały gogle z polaryzowanymi szklami, a znad ramienia wylaniała się rękojeść staroświeckiej katany. Zza obi sterczały powty- kane, jak tylko się dało, ręczne flary. Tancerka burzy była smukła, ładna i niewiarygodnie młoda.

- Zdejmij to – rozkazała chłodnym głosem, wskazując ręką jego hełm.
- Chcę ujrzeć twój twarz.

Jubei niezwłocznie spełnił jej żądanie, chwilę siłując się zdrętwiałymi dłońmi z zatraskami na szyi. Gdy wszystkie zaczepy puściły, ściągnął hełm z głowy i zadrżał, czując na twarzy powiew lodowatego wiatru.

Oblizwał spierzchnięte wargi i splunął krwią na śnieg między swoimi stopami. Otaczający go świat był jaskrawy, a niesłychanie jasne słońce raziło go w oczy.

Dziewczyna dobyła katany. Wielokrotnie skuwane ostrze zaśpiewało czysto, wysuwając się z pochwy. Tancerka burzy podeszła do niego i przykucnęła na pancerzu skrywającym jego tułów. Tygrys gromu zawarczał ostrzegawczo. Pomruk był niski, głęboki i wprawił płyty jego skóry w drganie. Dziewczyna zsunęła gogle na szyję i spojrzała w oczy Jubeia. Tęczówki miała czarne niczym noc, a białka przekrwione z wściekłości. Czubek ostrza katany dotknął jego gardła.

– Wiesz, kim jestem – powiedziała.

– ...hai.

– Widziałeś, co potrafię.

– H-hai.

– Wracaj do swoich panów. Opowiedz im, co dziś widziałeś. Powiedz im, że jeśli wyślą choć jeden lotostatek nawet w pobliże gór Iishi, tym ostrzem wypiszę imię mojego ojca na piersi kapitana, po czym udekoruję przestworza jego wnętrznościami. Rozumiesz?

– H-hai – przytaknął Jubei.

Ostrze napało mocniej, zagłębiając się w skórę. Jubei nabrał gwałtownie powietrza, nie wając się poruszyć. Z rany wolnym strumieniem poczęła wypływać krew. Przez straszłą, przerażającą chwilę dostrzegł w oczach dziewczyny dzikie pragnienie poderżnięcia mu gardła od ucha do ucha i wykapania się w tryskającej ciepłej posoce, namydlenia dłoni pianą z przeciętej tchawicy. Dziewczyna odsłoniła zęby, przekręciła lekko ostrze i nachyliła się nad Jubeiem niczym potwór z bajki dla dzieci. Przerażające widmo powołane w niewytłumaczalny sposób do życia.

Dziewczyna, której lęka się cała Gildia.

– Proszę – wyszeptał. – Błagam...

Wiatr wył samotnie między skalnymi zębami. Bezbarwne zawrodoenie wyśpiewujące pieśń o śmierci i wilczym głodzie. W tym wietrze Jubei słyszał głosy swoich umierających braci. W oczach dziewczyny widział

koniec. Koniec wszystkiego.

Jubei bardzo się bał.

Ciszę przerwał łagodnym, pełnym troski głosem chłopak wciąż siedzący na grzbiecie tygrysa gromu.

– Yukiko? – zapytał.

Tancerka burzy zmrużyła oczy, wciąż wpatrując się dziko w członka Gildii, po czym wysyczała przez zaciśnięte zęby:

– Na imię miał Masaru. – Uniosła wolną dłoń i rozmasowała sobie jej wierzchem płamiącą policzek krew. – Mój ojciec miał na imię Masaru.

Po tych słowach wyprostowała się i stała nad nim z falującą piersią. Zaciskając dłoń na rękojeści katany aż do pobielenia knykcii, wbiła ostrze w śnieg obok głowy Jubeia i zostawiła je tam. Bez słowa obróciła się na pięcie, podeszła do tygrysa burzy i wskoczyła na jego grzbiet. Długie czarne włosy zatańczyły na wietrze niczym aksamitna wstęga. Królik objął dziewczynę rękoma w pasie i przyłgął do jej pleców. W akompaniamencie wycia wiatru i tego okropnego grzmotu pioruna zeskoczyli z grani w przepaść, szybując na wznoszących się strumieniach ciepłego powietrza i zostawiając za sobą smugę wirującego popiołu.

Jubei patrzył za nimi i przyglądał się, jak biała plama nad zasnutym dymem horyzontem staje się coraz mniejsza i mniejsza. Gdy plama stała się kropką i ostatecznie zniknęła w dali, gdy widział już tylko czerwone niebo, szare chmury i odległe wyziewy chi, spojrzął w bok na wbity w ziemię koło jego głowy miecz. Na ostrzu zastygała cienka smuga jego własnej krwi.

Jubei zamknął oczy.

Ukrył twarz w dłoniach.

I zapłakał.



Obserwowała płomień pełgające po drewnie w ostatnich promieniach słońca.

Swoje tantó położyła tuż przy palenisku, wsuwając czubek w rozżarzone węgle. Wijące się na ostrzu ciemniejsze smugi przypominały słoje w wypolerowanym drewnie czy linie na opuszkach palców. Metal nie poczerniał ani nie dymił; nie żarzył się też czerwonym światłem. Mędrzec zwróciłby jednak uwagę na sposób, w jaki opływało go powietrze. I zostawiłby ostrze w spokoju, tak jak każdy, kto się choć raz sparzył.

Yukiko spoglądała na wetknięty w ognisko nóż nieobecny wzrokiem. Cedrowe drewno trzaskało i wzdychało, dławiący żar utrudniał oddychanie. Ciężar na sercu dziewczyny dorównywał temu na jej barkach. Dostrzegła drganie powietrza wokół ostrza i zrozumiała, że prawie nie może się tego doczekać. Znów czuć.

Coś. Cokolwiek.

– Nie musisz tego teraz robić.

Daichi przyglądał jej się z drugiej strony ogniska. W jego oczach odbijały się tańczące płomienie.

– Jeśli nie tu, to gdzie? – zapytała Yukiko. – Jeśli nie teraz, to kiedy?

Skóra starca nosiła znamiona wielu trudów życia. Przypominała zwierzęcą skórę zbyt długo suszoną na słońcu. Umięśnione ramiona

pokrywała mozaika blizn po oparzeniach. Jedyнным widocznym owłosieniem były długie wąsy opadające po obu stronach ust. Włosy miał przyszczyżone przy samej poznaczonej bliznami skórze.

– Powinnas się przespać. Jutro czeka nas ciężki dzień. – Daichi zamyslił się, szukając właściwych słów. – Patrzenie, jak płonie stos pogrzebowy twojego ojca...

– Dlaczego zaktadasz, że będę się temu przyglądać?

Starzec zamrugął w zdumieniu.

– Yukiko, powinnaś być obecna na jego pogrzebie. Powinnaś się z nim pożegnać.

– Przy leceniu tu z Kigen zajęto nam pięć dni – odparła. – Czy wiesz, Daichi-sama, co ten gorąc robi z ciałem po pięciu dniach?

– Mam... pewne wyobrażenie.

– Wiesz też zatem, że to, co zostanie jutro spalone, nie jest moim ojcem.

Daichi westchnął.

– Yukiko, błagam, udaj się na spoczynek.

– Nie jestem zmęczona.

Starzec skrzyżował ramiona na piersi i przemówił głosem twardym niczym stal noża wetkniętego w żar ogniska:

– Nie zrobię tego.

– Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. Po tym wszystkim, co mi zabrałeś. – Yukiko uniosła wzrok. Starzec wzdrygnął się, widząc wyraz jej twarzy. – Jesteś mi to winien, Daichi.

Przywódca Kagc spuścił głowę. Wziął głęboki wdech, odkasłnął raz, drugi, przetłknął ślinę i skrzywił się z bólu. Widziała to w jego oczach, gdy patrzył na swoje zgrabiące dłonie. Krew, której nie da się zmyć. Plama pozostawiona przez dziecko na zawsze już nienarodzone. Znamię po matce, której nigdy więcej nie dane byto uścisnąć swoją córkę. Jej matce.

– Hai – powiedział w końcu, krzywiąc się, jakby to jedno słowo było żółcią, którą musiał wypluć.

Starzec chwycił stojący obok jego nogi garniec czerwonego sake i podniósł się, jak podnosi się skazaniec przed pokonaniem swojej ostatniej drogi. Obszedł ognisko dokoła i ukląkł przy dziewczynie, po czym sięgnął wolną ręką po jej tantó.

Yukiko utkwiała wzrok w tańczących płomieniach. Poluzowała pas

okalający jej talię, zsunęła tunikę uwagi z ramion i zakryła dłońmi piersi. Jej irezumi lśniło w blasku płomieni. Piękny lis o dziewięciu ogonach pokrywający jej prawe ramię był znakiem jej klanu. Z kolei cesarskie słońce na jej lewym ramieniu naznaczało ją jako służebnicę szoguna. Szarpnęła głową i odrzuciła włosy z cesarskiego znamienia. Na ramieniu pozostało tylko kilka luźnych pasemek przyklejonych do wilgotnej skóry.

Gdy Daichi uniósł nóż, powietrze między jego ostrzem a ciałem dziewczyny zaczęło falować.

– Czy jesteś tego pewna? – zapytał.

– Żadnego władcy – odparła i przelknęła głośno ślinę. – Żadnego pana.

Starzec postawił garniec z sake na podłodze między nimi.

– Czy chcesz czegoś, żeby...

– Daichi, po prostu to zrób.

Przywódca Kagé wziął głęboki wdech i bez słowa przycisnął ostrze tantó do tatuażu.

Wszystkie mięśnie w ciele dziewczyny napięły się jak postronki. Powietrze wypełnił syk przywodzący na myśl smażoną rybę oraz ostry zapach palonego mięsa i parującego potu, który szybko wyparł woń płonącego cedru. Yukiko zacisnęła zęby, wydała z siebie długi jęk i zamknęła oczy, starając się powstrzymać krzyk próbujący wydostać się z jej piersi. Czuli tylko zapach swojego palonego ciała.

Zwęglającej się skóry.

Sięgnęła umysłem poza dom, do ogromnego zapasu ciepła czekającego za drzwiami. Pióra, futro i szpony; rozszerzone bursztynowe oczy. Ciche warczenie wprawiało deski pod nim w drżenie. Tygrys gromu, którego znalazła w targanych burzą chmurach. Którego teraz kochała bardziej niż cokolwiek innego na całej ziemi.

„Buruu...”

YUKIKO.

„Bogowie, boli, bracie...”

PRZYTRZYMAJ SIĘ MNIE.

Chwyliła się kurczowo jego myśli, tej góry kamiennego spokoju w morzu ognia.

Daichi oderwał ostrze od jej ramienia razem z piątem zwęglonej, wytatuowanej

skóry. Ostrze, którym zabiła swojego kochanka, Hiro. Ostrze, które trzymała w dłoni, gdy odebrała życie szogunowi Yoritomo. Gdy powietrze rozdań huk wystrzału i kula sięgnęła jej ojca. Pięć dni i tysiąc lat temu. Nabrała z sykiem powietrza. Ostry ból wypalanego tatuażu stał się bólem tęnym, pulsującym. Przez ułamek sekundy chęć, aby obrócić się do Daichiego i błagać go, żeby przestał, była niemal nie do powstrzymania. Ona jednak czerpała siłę od tygrysa gromu. Stłumiła pragnienie. Ból był o wiele łatwiejszy do zniesienia od myśli o noszeniu cały czas na ramieniu znamienia tyrana.

Wszystko było od tego lepsze.

Spojrzała na stojący na podłodze garniec sake. Myśli Buruu zalały jej umysł niczym łagodne fale letniego przypływu.

BYŁAŚ WYSTARCZAJĄCO DZIELNA JAK NA JEDEN DZIEŃ, SIOSTRO.

Yukiko sięgnęła trzęsącą się dłonią po garniec, uniosła go do ust i upiła porządny łyk płynnego ognia. Chłodniejszego od stali w dłoni Daichiego. Alkohol popłynął przełykiem, paląc ją w język i gardło, obiecując powrót do błogości zapomnienia, przed którym jeszcze przed chwilą tak bardzo chciała uciec. Wybór między agonią a pustką. Między życiem a istnieniem.

W tak ciemną noc nie był to żaden wybór.

– Czy chcesz, żebym przestał? – zapytał Daichi.

Przeknęła kolejny łyk i zamrugęła szybko, gdy do oczu napłył nętyj jej łzy.

– Zdejmij to ze mnie – wyszeptała. – Całe.

Yukiko zamknęła zmęczone oczy. Czują, jak przekrwione gałki pulsują jej pod powiekami.

Ziemia pod nimi rozmywała się od pędu. Kolejne uderzenia skrzydeł Buruu wzbijały w powietrze morze liści opadłych z drzew. W powietrzu dawało się już wyczuć nadchodzący mróz. Błady dotyk jesieni zakradał się coraz śmielej w dzikie rejony gór Iishi. Otaczające ich drzewa zmieniały szatę. Powoli, niemal niezauważalnie, olśniewający szmaragd przechodził w zieleń bładą, jakby chorą, a potem brzegi liści poczynęły związać się i rdzewieć.

Pozostawiali wszystko w tyle. Błada dziewczyna odziana w żałobne szaty z długimi włosami targanymi przesywającym wiatrem. Chłopak o ciemnych, mądrych oczach, z brudnymi szmatami na grzbiecie. Majestatyczna bestia pod nimi: dwadzieścia pięć stóp mechanicznych skrzydeł przecinających niebo bez większego wysiłku.

Kin kulił się na grzbiecie Buruu za plecami dziewczyny, obejmując ją jedną ręką w pasie. Drugie, zakrwawione ramię zwisało bezwładnie wzdłuż jego boku. Był skrajnie wyczerpany – tkwił tak ze spuszczoną głową, ledwo utrzymując pion. Pomimo warstw ubrania Yukiko czuła ciepło jego ciała. Do jej uszu dobiegał cichy szept jego słabego oddechu. W ustach jej zaschło, a żołądek kurczył się boleśnie wraz z opadaniem poziomu adrenaliny we krwi. Minęły blisko dwa miesiące, odkąd po raz ostatni go widziała – chłopaka, który uratował jej życie. Który porzucił wszystko, czym był, żeby uwolnić Buruu. W chaosie, jaki zapanował po śmierci Yoritomo, w czasie zamieszek, które wybuchły po jej przemowach, w ciągłym cieniu widma wojny domowej, każdą wolną chwilę poświęcała na szukanie go. Nalegała, aby miejskie komórki Kagé go wypatrywały, godzinami patrolowała skraj gór Iishi w nadziei dostrzeżenia samotnego wędrowca. Tak wiele mu zawdzięczali. Więcej, niż byli w stanie przyznać. A teraz nareszcie go znalazła...

– Czy na pewno wszystko w porządku, Kin-san? – Yukiko zaryzykowała spojrzenie przez ramię i zmierzyła chłopaka zatroskanym wzrokiem przez polaryzowane szkła gogli.

– Wytrzymam – wysapał. – Zranili mnie w rękę...

– Od wioski dzieli nas jeszcze około godziny lotu – powiedziała dziewczyna. – Wytrzymasz tyle?

Kin powoli kiwnął głową.

– Ponad miesiąc zajęło mi dotarcie do gór – wyszeptał. – Kilka minut więcej mnie nie zabije.

– Mogła cię jednak zabić samotna wędrownica przez góry. Kierowałeś się w niewłaściwą stronę, szedłeś prosto do Czarnej Świątyni. Mogłeś natknąć się na onich albo na bogowie wiedzą co innego. Osada Kagé jest na północny wschód stąd.

– Wiem – przytaknął. – Gdy zorientowałem się, że śledzą mnie łotostatki Gildii, uznałem, że trzeba ich odciągnąć od wioski. Nie chciałem wszystkich narażać.

Yukiko uśmiechnęła się, sięgnęła w dół i ucisnęła dłoń Kina. Powinna była się tego spodziewać; tak jak zwykle myślał najpierw o innych, a dopiero potem o sobie. Nigdy nie stawiał swojego bezpieczeństwa na pierwszym miejscu. W myślach dziewczyny panował nieład, a w jej piersi tłoczyły się sprzeczne emocje: radość z odnalezienia go, poczucie winy z powodu znalezienia go tak późno i czysty strach spowodowany świadomością tego, jak mało brakowało, aby zginął. W uporządkowaniu myśli zdecydowanie nie pomagał dotyk jego ciała na jej plecach, ręka, którą obejmował ją w pasie, wciąż krążąca w żyłach adrenalina czy opadająca żądza krwi Buruu pulsująca w jej głowie w rytm jej własnego przyspieszonego tętna.

Wzięła drżący, głęboki oddech, po czym wypuściła powoli powietrze.

– Spróbuj wypocząć, Kin-san – powiedziała. – Teraz jesteś bezpieczny.

Lecieli w stronę osady Kagé, pozostawiając za sobą dym pożaru i strąconych z nieba pancerników. Kin oparł czoło o plecy dziewczyny i zamknął oczy. Oddychał coraz wolniej, ostatecznie przegrywając walkę z wyczerpaniem organizmu. Mięśnie Buruu pod ich nogami pracowały wytrwale. Jego zmrużone bursztynowo-złote oczy lśniły niczym węgle w brzuchu pieca hutniczego. Lśniące pióra, grube futro w kolorze topniejącego śniegu na najwyższych szczytach Iishi, czarne jak bezksiężycowa noc pręgi wijące się na tylnej części jego ciała. Tygrys gromu. Arashitora. Ostatni ze swego gatunku w całej Shimie.

Jego myśli były splecione z myślami dziewczyny. Te same obrazy odbijały się echem w ich głowach dzięki łączącej ich więzi silniejszej od więzów krwi. Yukiko i Buruu. Buruu i Yukiko. Z każdym upływającym dniem coraz trudniej było im stwierdzić, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. W starych bajaniach umiejętność przemawiania w umysłach zwierząt zwana była Przenikaniem. Teraz jednak sama próba nazwania tego doznania jakby je umniejszała. Wykraczało ono daleko poza możliwości słabych, nieporadnych słów. Jej spuścizna po ojcu; jego

dar dla niej. I wynikała z tego przyjaźń, która pozwoliła jej sprzeciwić się woli szoguna i doprowadzić do upadku cesarstwa.

Przypomnienie, prawo jej krwi i błogosławieństwo.

Kłątwa?

CHŁOPAK MA SZCZĘŚCIE, ŻE ZNALEŻLIŚMY GO PRZED DEMONAMI.

Yukiko skrzywiła się z bólu, gdy myśli Buruu wypełniły jej głowę. Były głośniejsze niż kiedykolwiek wcześniej. Niebo wydawało się nieco zbyt jasne, a jej własna głowa zdawała się zbyt mała, aby to wszystko pomieścić.

„Wiem. Ostatnimi czasy pełno ich na zachodnich zboczach”.
GŁUPIEC. NIEMNIEJ JEDNAK CIESZY MNIE, ŻE JEST BEZPIECZNY.

„To widać. Nie nazwałeś go »małpim synem«”.

CÓŻ, NIE MÓW MU TEGO. MUSZĘ DBAĆ O REPUTACJĘ GBURA.

Śmiech zamarł jej na ustach niemal równie szybko, jak się pojawił. Yukiko przesunęła gogle na czoło i przycisnęła palce do powiek. W podstawie czaszki czuła pulsujący ból. Echa myśli Buruu rozsadały jej skronie zimnymi, palącymi mackami.

WCIAŻ BOLI CIĘ GŁOWA?

„Tylko trochę”.

NIE UMIESZ KŁAMAĆ, DZIEWCZYNO.

„Jakkolwiek by spojrzeć, można sobie wyobrazić wiele gorszych cech charakteru”.

TEN BÓL NIE OPUSZCZA CIĘ OD TYGODNI. TO NIE JEST NORMALNE.

„Mam ważniejsze rzeczy na głowie od bólu, Buruu”.

DOBRZE SIĘ ZATEM SKŁADA, ŻE JA NIE.

„Za bardzo się przejmujesz”.

A TY ZBYT MAŁO.

„Wiesz, co mówią. Kitsune dba o swoich”.

Yukiko przyłgnęła do karku potężnej bestii, która niosła ich do celu.

Czuła rytmiczne pulsowanie krwi w jej żyłach i harmonijny ruch mięśni skrzydeł. Dziewczyna przesunęła dłońmi po piórach arashitory, powiodła palcami po ich gładkich krawędziach w dół ramion i dalej, aż wyczuła opuszkami zimny metal wzmocnień okaleczonych skrzydeł. Pióra przycięte przez szaleńca, który niespełna miesiąc temu spoczął w grobie.

„Przynajmniej teraz jest z nami Kin. Będzie mógł wyregulować szyny na twoich skrzydłach. Niektóre części wyglądają, jakby miały zaraz opaść. Ile zostało jeszcze czasu do twojego pierzenia?”

ZMIENIASZ TEMAT RÓWNIE ZREĆZNIE, JAK KŁAMIESZ.

„Ty z kolei stajesz się mistrzem w unikaniu odpowiedzi na pytania”.

Tygrys gromu warknął gardłowo.

MINĄ MIESIĄCE, ZANIM WYROSNĄ MI NOWE PIÓRA.
POJAWIĄ SIĘ DOPIERO NA ZIMĘ.

Yukiko przeczesła palcami lśniące pióra na zetknięciu szyi z ramionami – w jego ulubionym miejscu.

„A potem?”

NIE ROZUMIEM.

„Co zrobisz, gdy będziesz już mógł latać sam, bez niczyjej pomocy?”

A CO OCZEKUJESZ, ŻE ZROBIĘ?

„Nie wiem. Że wrócisz może do domu? Że opuścisz to miejsce?”

ŻE OPUSZCZĘ CIEBIE, O TO CI CHODZI.

„...tak”.

PO TYM WSZYSTKIM, CO RAZEM PRZESZLIŚMY?

„To nie jest twoja wojna, a to nie jest twój dom. Mógłbyś po prostu odlecieć i zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło”.

WIESZ DOBRZE, ŻETO NIEPRAWDA.

„Czy aby na pewno?”

ZNASZ MNIE. RÓWNIE DOBRZE JAK SIEBIE SAMĄ.

„Nikogo już nie znam, nic już nie wiem, Buruu”.

WYSŁUCHAJ MNIE WIĘC. MIĘDZY, POD I POZA
WSZYSTKIM INNYM, CZYM MOGĘ BYĆ, PRZEDE
WSZYSTKIM JESTEM TWÓJ. NIGDY CIĘ NIE OPUSZCZĘ,

NIGDY CIĘ NIE PORZUCĘ. MOŻESZ NA MNIE POLEGAĆ, TAK JAK POLEGASZ NA SŁOŃCU, ŻE WZEJDZIE, CZY NA KSIĘŻYCU, ŻE ZNIKNIJE O PORANKU. TY BOWIEM JESTEŚ MOIM SERCEM.

Przytuliła się policzkiem do piór na jego szyi, objęła go ramionami i westchnęła głęboko. Blizny od oparzeń na jej ramieniu przypomniały o sobie tępym, przytłumionym bólem. Ostatnich kilka tygodni spędzonych z Buruu zdawało się wyrwanych żywcem ze snu – lot od jednej siedziby klanu do drugiej, rozmowy z ludźmi, obserwowanie ognia wznieszanego w ich oczach jej słowami. W miejscu śmierci jej ojca mieszkańcy Kigen położyli setki tabliczek duchów. W mieście Kawa, siedzibie klanu Smoka, jej przybycie stanowiło zarzewie trwających pięć dni zamieszek. W Yamie, stolicy jej klanu, klanu Lisa, lud okrzyknął ich bohaterami. Cały kraj sprawiał wrażenie gotowego do powstania, zrzućenia oków starego cesarstwa i stworzenia czegoś nowego.

Ale pamięć wciąż pozostawała. Głęboki żal przeradzał się w płonąca wolnym ogniem wściekłość. Śmierć jej ojca, jego krew na jej rękach. Konał w jej ramionach. Nie było jej przy stosie pogrzebowym. Nie przyglądała się, jak płomienie pochłaniają to spuchnięte, napęczniałe coś, w co przemieniło się jego ciało. Ani razu nie odwiedziła grobu, aby zapalić kadzidło, pomodlić się albo paść na kolana i zapłakać.

Od dnia, w którym zginął, nie uroniła ani jednej łzy.

Rzuciła przez ramię krótkie spojrzenie na przytulonego do niej chłopaka. Oddychał równo i miarowo. Na jego gładkim obliczu malował się spokój. Odnalazła jedną ręką jego dłoń, drugą wsuwając między pióra Buruu. Otaczali ją przyjaciele, którym na niej zależało. A mimo to...

A mimo to...

„Część mnie ma wrażenie, jakbym była wciąż uwięziona w Kigen. Widzę Yoritomo spoglądającego na mnie wzdłuż lufy swojego miotacza żelaza. Widzę płamiącą jego dłoń krew jego własnej siostry. I chce mi się krzyczeć. Pragnę sięgnąć do środka jego głowy i zabić go jeszcze raz, od nowa”.

YORITOMO JUŻ NIKOGO NIE SKRZYWDZI. NIE ŻYJE.
ODSZEDŁ.

„Wciąż jest wszędzie dokoła nas. W czerwonym niebie i czarnych rzekach. W grobach żołnierzy, na polach krwawego lotosu i w konającej ziemi. Dynastia Kazumitsu przestała istnieć, ale nawet bez szoguna wciąż trwa Gildia Lotosu. Oni są rakiem w sercu Shimy”.

Potrząsnęła głową, czując narastającą w jej piersi ciepłą gulę wściekłości. Nagła i kipiąca, każąca jej zacisnąć dłonie w pięści. Pamiętała gorąc pożaru na skórze i krzyki członków Gildii umierających razem z ich okrętami. Przez nich. Przez nią.

Czuła, że to było właściwe.

„Daichi i Kagé mają rację. Gildię należy wypalić”.

A TY MASZ BYĆ ISKRĄ? JESZCZE PARĘ TYGODNI TEMU NIE MOGŁAŚ POGODZIĆ SIĘ Z MYŚLĄ O ODEBRANIU JEDNEGO CHOĆBY ŻYCIA. A TERAZ...

„Parę tygodni temu mój ojciec jeszcze żył”.

TA ŚCIEŻKA JEST ŚCIEŻKĄ SPŁYWAJĄCĄ KRWIĄ, SIOSTRO. RWĄCĄ RZEKĄ KRWI. I CHOCIAŻ Z OGROMNĄ CHĘCIĄ PRZEPLYNĘ TĘ RZEKĘ, NIE CHCIAŁBYM, ABYŚ TY W NIEJ UTONEŁA.

„On wykrwawił się na śmierć w moich ramionach, Buruu. Nie wiesz, jakie to uczucie”.

WIEM, CO TO STRATA, YUKIKO. AŻ ZA DOBRZE.

„Wiesz też zatem, co muszę zrobić”.

Tygrys gromu westchnął. Spojrzał w dół na przemykającą pod nimi wiekową knieję. Ale oczy miał zamglone; nie widziały drzew, lecz spoglądały w przyszłość. Przyszłość splamioną czerwienią ciemniejszą od koloru zatrutego nieba nad nimi.

CO MY MUSIMY ZROBIĆ.

„My?”.

ZAWSZE.

Buruu zanurkował w szemrzącą ciemność pod nimi. ZAWSZE.

Sypialnia zatrzęsała się w nocnej ciszy. Światło świec zatańczyło na ścianach, tak jakby poranne promienie słońca przebijały się przez jesienne liście. Yukiko przyglądała się grze cieni przez zasłonę swoich rzęs. Jej powieki sprawiały wrażenie zrobionych z ołowiu, a głowę rozsadzał ten sam pulsujący ból, który prześladował ją od tygodni. Przycisnęła zwinie w pięści dłonie do skroni, zacisnęła zęby i oddychała głęboko. Skoncentrowała się na bolesnych bliznach na ramieniu, aby nie dopuścić do odpłynięcia myśli z powrotem w ciemność. W miejsce, gdzie spoczywał jej ojciec, zimny i martwy, z twarzą pokrytą prochami ofiar pogrzebowych. W miejsce, gdzie była bezradna. Mała. Przestraszona.

Przesunęła wierzch dłoni w poprzek ust.

„Nigdy więcej”.

Niskie warczenie Buruu oderwało uwagę Yukiko od bolącej głowy. Dziewczyna zamknęła oczy i spróbowała użyć Przenikania, aby sprawdzić, co go zaniepokoiło. Gdy jednak sięgnęła do jego myśli, świat rozbłysnął jasnym światłem i głośnymi dźwiękami, wypełnił się piskiem i drapaniem pazurów – głowę załaly jej myśli setek malutkich istot przemierzających nocny las. Sowa szybowała w aksamitnej ciemności (*znaleźćzabićzjeśćznaleźćzabićzjeść*), jakieś płochliwe, puchate zwierzątko z mocno bijącym tycim sercem kryło się w głębokich cieniach (*nieruszaćnieruszaćnieruszaćsię*), małe drozdy przycupnięte w gniazdach (*ciepłobezpieczniebezpiecznie- iciepld*), samotna małpa wyła na gałęzi (*głoooodnaaaaa*). Tak wiele, zbyt wiele. Nigdy dotąd nie słyszała tak obezwładniającego hałasu. Z trudem łapiąc powietrze, zamknęła Przenikanie, odcinając się od tego miejsca w jej umyśle, jakby zamykała niegrzeczne dziecko w jego pokoju. Oddychając ciężko, z trudem minimalnie uniosła powieki i spojrzała przez powstałą szparę w stronę drzwi.

W cieniach stała jakaś postać.

Wysoko osadzone kości policzkowe, stalowoszare oczy. Ubranie w

kolorze leśnej zieleni pokryte jaśniejszymi i ciemniejszymi plamkami. Przy pasie eleganckie, staroświeckie wakizashi skryte w pochwie ozdobionej złotymi żurawiami w locie. Długa czarna grzywka zakrywała połowę twarzy przybyszki, prawie całkowicie ukrywając brzydką bliznę po cięciu nożem biegnącą ukośnie od czoła po brodę.

Kolejna pamiątka po Yoritomo.

– Kaori.

Córka Daichiego stała napięta w mroku, mierząc tygrysa gromu czujnym spojrzeniem.

– Nic ci z jego strony nie grozi – powiedziała Yukiko. – Wejdz.

Kaori wahała się przez kilka chwil, po czym prześlizgnęła się obok Buruu tak szybko, jak tylko zdołała. Arashitora tylko przyglądał się jej swoimi błyszczącymi bursztynowymi oczami. Poruszył skrzydłami zamkniętymi w metalowych obręczach, po czym położył głowę na pomoście z westchnięciem i sykiem tłoków. Ogon wędrował powoli to w jedną, to w drugą stronę szerokimi, łagodnymi łukami.

Sypialnia Yukiko była kwadratowym pomieszczeniem dziesięć stóp na dziesięć o ścianach z nielakierowanych desek. Szerokie okna wychodziły na śpiący las. Woń suszonej glicynii wymieszana ze słodkim dymem z wonnej świeczki pomagała nieco zapanować nad pulsującym bólem w skroniach. Yukiko położyła się z westchnięciem z powrotem na swoje skotłowane łóżko.

– Strażnicy stojący na czatach powiadomili mnie o twoim powrocie – powiedziała Kaori.

– Przepraszam, że nie przysłałam przywitać się z tobą i Daichi – sama, ale byłam niezmiernie zmęczona.

Kobieta przyjrzała się dziewczynie krytycznym wzrokiem z mocno zaciśniętymi ustami, po czym przesunęła spojrzenie na pustą butelkę po sake stojącą tuż obok łóżka.

– Wyglądasz okropnie. Źle się czujesz?

– Zajęłam się statkami Gildii. – Yukiko zasłaniała twarz ramieniem, tłumiąc wypowiedane słowa. – Już nam nie zagrażają.

– Twój członek Gildii odpoczywa. Jest pocięty, posiniaczony, ale

zdaniem starej Mari wylize się z tego.

– To nie jest żaden „mój” członek Gildii. Nie jest już nawet jednym z nich.

– Istotnie.

– W każdym razie dziękuję – dodała Yukiko łagodniejszym tonem. – Twój ojciec czyni mi zaszczyt, pokładając we mnie swoje zaufanie. Wiem, co to dla niego znaczy gościć tu Kina.

– Szczerze w to wątpię, tancerko burzy.

– Nie nazywaj mnie tak.

Zapanowała niezręczna cisza zakłócana jedynie cichym szelestem suchych liści i przypominającym odległy pomruk burzy miarowym oddechem arashitory. Yukiko wciąż zasłaniała rękoma oczy, licząc, że zaraz usłyszy oddalające się kroki Kaori. Ta jednak wciąż tkwiła nad nią niczym ważki w porosłej bambusem dolinie, w której Yukiko bawiła się, gdy była dzieckiem. Wyczekująco. Bez ruchu.

W końcu Yukiko nie wytrzymała i usiadła na łóżku z ciężkim, przepełnionym irytacją westchnięciem. Momentalnie u podstawy jej czaszki odezwał się silny ból, sięgając swoimi pazurami wzdłuż rdzenia kręgowego.

– Jestem zmęczona, Kaori-san.

– I niewątpliwie spragniona. – Stalowszare oczy spojrzały na pustą butelkę po sake. – Otrzymałam jednak wieści od naszych agentów w Kigen.

Yukiko wyczuła w reprimendzie wahanie i powagę sytuacji.

– Czy z Akihito wszystko w porządku?

– Jest bezpieczny. Z powodu blokady ruchu kolejowego i powietrznego nie może wydostać się z miasta, ale znajduje się pod opieką naszej komórki. – Kaori podeszła do okna, starannie unikając spojrzenia na swoje odbicie w ciemnym szkle. – W mieście panuje chaos. Bushim klanu Tygrysa ledwo udaje się utrzymać spokój na ulicach. Każdego dnia nasze szeregi zasilają nowi rekruci. Na każdym rogu ludzie mówią o wojnie.

– Tego właśnie chcieliście, prawda? Żeby pozbawione głowy ciało

miotła się w drgawkach.

– Gildia czyni starania, aby wyrosła nowa głowa.

Yukiko zamrugła intensywnie, starając się zignorować dojmujący ból.

– W jakim sensie? – zapytała zdezorientowana.

Kaori westchnęła i przeczesała palcami opadającą na twarz grzywkę, spuszczać wzrok.

– Powiedzenie ci tego nie sprawi mi przyjemności...

– Powiedzenie mi czego, Kaori?

Kobieta spojrzała na dłonie i oblizwała wargi.

– Pan Hiro żyje.

Yukiko poczuła się, jakby ktoś ją uderzył w brzuch. Zimna pięść strachu wypchnęła jej z płuc całe powietrze. Pokój wokół niej zawirował, a podłoga odleciała w nęcącą nicłość. W jakiś sposób zdołała jednak stanąć na nogi, utrzymać pion, nie odejść od zmysłów i udać, że nie czuje się niczym ktoś zupełnie obcy próbujący wydostać się z cudzej skóry.

Widziała go oczyma pamięci, leżącego na mokrym od potu prześcieradle. Promienie księżyca rozjaśniały jego gładką skórę spowijającą silne mięśnie. Jego miękkie niczym chmury słońce usta przyciśnięte do jej warg w objęciach nocy. Zaciśnięte zęby, gdy wbiła ostrze w jego pierś, gdy dziób Buruu oderwał jego prawe ramię, gdy ciepła krew bryzgnęła na piach areny.

Jak to się mogło stać? Przecież on nie żył. Zabili go.

„Zabiłam go”.

– Bogowie – wyszeptła. – Miłościwi bogowie...

– Przykro mi – powiedziała Kaori, wbijając wzrok w ciemność za oknem. – Docierają do nas zaledwie strzępy wiadomości. Mamy tylko jedną osobę, która jest w stanie swobodnie poruszać się po pałacu. Wiemy jednak, że Hiro jest jedną z trzech osób, które starają się o tytuł daimyo klanu Tygrysa. Wieść niesie, że może liczyć na pełne poparcie Gildii Lotosu. Gdy tylko zabezpieczy swoją pozycję w klanie, sięgnie po tron szoguna.

– Ale to jest szaleństwo. – Yukiko spróbowała przełknąć ślinę, choć w

ustach miała całkowicie sucho. – Dlaczego pozostałe klany miałyby go poprzeć?

– Przysięgały wierność dynastii Kazumitsu.

– Ale w Hiro nie płynie krew Kazumitsu. Dynastia zakończyła się wraz ze śmiercią Yoritomo.

– Wciąż żyje jedna osoba, w której żyłach płynie krew Kazumitsu.

Yukiko zmarszczyła brwi, usiłując uporządkować myśli, skoncentrować się. Buruu wstał i warczał głośno. Jego ciepło odbijało się echem w korytarzach jej umysłu. Czowała nocne ptaki za oknem, mały przemykające z gałęzi na gałąź. Maleńkie życia i maleńkie bijące serca – całe setki. Jasne i płonące w oku Przenikania. Tak ciężko było myśleć, oddzielić się od nich, oddychać.

– Nic nie ro...

– Aisha żyje.

Wspomnienie przebiło się na powierzchnię jej myśli. Yoritomo stał na arenie Kigen z oczami rozszarżonymi wściekłością. Potarł dłonią krwawe szramy na policzku.

„Nie, moja siostra nie chciała was zdradzić. A mimo to nadal błagała o litość”.

Yukiko zgięła się wpół, wspierając się dłońmi o kolana.

„Lecz jej nie znalazła”.

W oczach rozkwitły jej czarne kwiaty, rozwijając się w rytm obezwładniającego bólu pulsującego w jej głowie.

YUKIKO?

– Hiro przypieczętuje swoje prawo do tronu, łącząc swoją krew z krwią Kazumitsu. Pojmie ostatnią przedstawicielkę dynastii za żonę. – Kaori mówiła takim głosem, jakby odczytywała panegiryk. – Wkrótce ma się odbyć ich ślub.

W ciemności zapanował bezruch. Nagły i cichy niczym śmierć. Nie śpiewał żaden ptak, nie słychać było szumu wiatru. Wtedy w pokoju rozległ się głuchy stuk. Kaori wzdrygnęła się, wpatrując się przez zmrużone powieki w czerń zalegającą za oknem. Na szkle dostrzegła mały rozbryzg krwi. Kolejny stuk, tym razem o ścianę za jej plecami.

Kolejny.

I kolejny.

Obróciła się gwałtownie do dziewczyny i ujrzała ją zwiijającą się z bólu.

– Yukiko?

YUKIKO!

Rozpędzony wróbel uderzył w okno, rozbijając łepkę o szkło. Za nim nadleciał kolejny ptak, i jeszcze jeden. Dziesiątki maleńkich stworzeń waliły nieustannie w ściany sypialni, w sufit, w okna. Kaori dobyła wakizashi. Ostrze zaślino słabo w świetle świecy. Obracała się powoli dokoła z twarzą stężałą ze strachu. Stukot małych stworzeń o deski ścian przerodził się w głośny łomot. Deszcz miękkich ciał i kruchych kości.

– Na oddech stwórcy, cóż to za czary?

Yukiko opadła na kolana. Wbiła czoło w podłogę, przyciskając pięści do skroni. Zaciśnięte do bólu powieki, wykrzywiona twarz, obnażone zęby. Słyszała je wszystkie – tysiąc bijących w mroku serc, tysiąc żyć, tysiąc ogni jaśniejszych i gorętszych od słońca. Ich głosy huczały jej w głowie. Nudności wzbierały w żołądku kwaśną falą zmieszaną ze smakiem jego ust i goryczą słów, które wypowiedział tuż przed tym, gdy ona go zabiła. Gdy ona go zabiła? Bogowie, to j a go zabiłam!

„Żegnaj, Hiro...”.

SIOSTRO.

„Buruu, niech one przestaną”.

ONE? TO TY, TYTO ROBISZ.

„Ja?”.

KRZYCZYSZ. PRZESTAŃ KRZYCZEĆ,

– Przestańcie – wyszeptęła.

Kaori chwyciła ją za ramię i mocno uścisnęła.

– Yukiko, co się dzieje?

Serca bijące w wątłych, opierzonych piersiach. Krew płynąca pod futrem i skórą. Uderzające o ściany, spadające zakrwawione i połamane w dół, do grobowca z opadłych liści. Oczy płonące jasnym płomieniem, zgrzytające zęby, dziewczyna krzycząca w ich głowach, wrzeszcząca wniebogłosy, żeby przestały to robić, bo to bolało. Czego ona chce,

dłaczego nie przestanie, niech ona przestanie, niech ona przestanie.

– Yukiko, przestań!

SIOSTRO, PRZESTAŃ!

Zaciśnięte pięści, dudniące tętno i tysiące, tysiące iskier.

„Przestańcie!”

Jej krzyk zagrział w ciemności. Otworzyła szeroko przekrwione oczy, dysząc ciężko. Pozlepiane potem włosy zwisały smętnymi strąkami po bokach twarzy. Zapadła śmiertelna cisza przerywana jedynie odgłosem drobnych, wciąż ciepłych ciał spadających przez gałęzie ku oczekującej na nie w dole ciemności. Jasne plamy czerwieni znaczyły deski podłogi między jej kolanami. Uniosła dłoń do nosa i poczuła pod palcami ciepłą, lepłą ciecz pokrywającą usta. Puls dudnił w jej skroniach w rytm pieśni jej serca. Myśli Buruu obejmowały ją i otulały. Gorąc Przenikania opadał niczym cofające się wody powodziowe, pozostawiając po sobie zimną i czarną pustkę.

Kaori przyklękała obok dziewczyny, w trzęsącej się prawej dłoni wciąż ściskając rękojęść wakizashi.

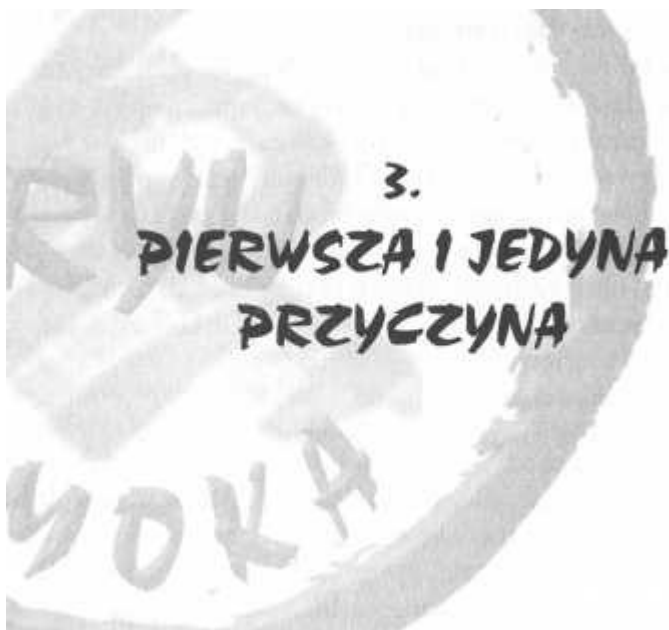
– Yukiko, wszystko w porządku?

Dziewczyna dźwignęła się na nogi i otarła krew z ust wierzchem dłoni. Potykając się o własne nogi, wyszła na zewnątrz, objęła szyję Buruu, po czym ponownie opadła na kolana, wtulając się w potężnego tygrysa gromu, szukając schronienia pod jego na wpół mechanicznymi skrzydłami. Ciepła, słona krew zatykała jej nos i spływała cienką strużką na usta. W głowie wciąż słyszała wielokrotne echo, iskry wszystkich zwierząt zamieszkujących las, kłębiących się w ciemności, błyszczących jaśniej niż kiedykolwiek dotąd.

„Żegnaj, Hiro...”

Czuła wszystko dokoła.

– Bogowie, co się ze mną dzieje?



Yukiko śniła o płonących lotostatkach.

O złotym tronie i chłopaku o oczach zielonych jak morze.

Uśmiechał się do niej.

Za dnia była w ciągłym ruchu. Odwiedziny u Kina w lazarecie. Omówienie ataku na lotostatki z radą Kagé. Rozmowa o ślubie Hiro. Żal z powodu wszystkich tych drobnych ptaków, które tłukły się aż do śmierci o ściany jej sypialni. Nieszczere zapewnienia, że wszystko jest w porządku. Niedowierzające spojrzenia.

Z każdym dniem ból głowy przybierał na sile. Codziennie myśli otaczających ją zwierząt były minimalnie głośniejsze, niczym tysiąc drzazg wbijających się coraz głębiej i głębiej w ciało. Co noc jednak uciszała głosy i ból dzięki kolejnym butelkom sake. Alkohol spychał jej myśli w błogi niebyt. Zachłanne łyki palącego gardło napoju okrywały ją miłosierną, aksamitną ciszą.

Siedziała z butlą w dłoni, walcząc z chęcią ciśnięcia nią o ścianę. Rozbicia na tysiąc drobnych kawałków. Roztrzaskania tak, aby nie dało jej się już naprawić.

Unicestwienia jej.

Troska i obawy Buruu wypełniały jej głowę nieustannym szumem. Jeśli jednak traciła w jego oczach, co rano wymiotując na jego oczach żółcią, jego myśli tego nie zdradzały.

Gdy trzeciego dnia wygrzebywała się z łóżka w przesywającym jej powieki na wyłot świetle słońca, z głową rozsadaną pulsującym bólem, jej skrzydlaty przyjaciel czekał na nią. W żołądku bulgotały niestrawione resztki alkoholu, a kac wbijał swoje szpony w jej czaszkę aż po nasady palców. Udała się na śniadanie razem z resztą wioski, starannie unikając czujnego spojrzenia Daichiego i przełykając napływające co rusz do gardła wymiociny. Do lazaretu dotarła dopiero tuż przed południem. Zapytała starą Mari, czy Kin czuje się już wystarczająco dobrze, aby się z nią przejść.

Zdecydowanie zbyt długo już to odkładała.

Cmentarz znajdował się na zacisznej polanie otoczonej wiekowymi drzewami sugi. Dokoła niej płonęły iskry setek maleńkich stworzeń, a ciepło i puls stojącego obok niej Buruu zalewały ją tak silną falą, że aż robiło jej się od tego niedobrze. Las był rozmazaną smugą zieleni gdzieś tam po drugiej stronie opadających z niewyspania powiek. Demony bólu kłuły zawzięcie swoimi kilofami jej czaszkę od środka. Pamiętała sake tłumiące ból, gdy Daichi wypalał jej tatuaż. Alkohol pomagający myślom odpłynąć w nieświadomość. Pamiętała swojego ojca topiącego swój dar w dymie i napitku.

„Nie chcę tego”.

Westchnęła.

„Ale tego potrzebuję”.

Spojrzała na tablicę tkwiącą w ziemi u jej stóp. Na jego imię wyryte głęboko w kamieniu.

„Z każdym dniem rozumiem cię chyba coraz lepiej, ojcze”.

W ustach jej zaschło, język miała wysuszony na wiór. Przenikanie płonęło jasno w jej myślach, ramię w ramię ze wspomnieniem dziesiątek małych, zniekształconych ciał rozrzuconych wokół drzewa, na którym mieszkała. Wiatr jęczał wśród gasnącej zieleni.

W chmurach zsyłających łagodny deszcz bóg gromu Raijin walił w

swoje bębny. Cienka strużka dymu z żarzącego się w kapliczce kadzidła ulatywała powoli ku niebiosom.

– Chcesz o tym porozmawiać?

Kin stał kilka kroków od niej, wpatrując się w nią swoimi stalowoszarymi oczami, strzepując co jakiś czas krople deszczu z rzęs. Miał na sobie szary strój, spod którego wyglądały świeże bandaże owinięte wokół jego stóp i ręki. Na szyi i brodzie jaśniały gojące się blizny po oparzeniach. Yukiko widziała wyraźnie, że ucieczka z Kigen odcisnęła na nim swoje piętno. Był wychudzony, zahartowany i ogorzały od palącego słońca. Jego niegdyś gładko ogolona skóra głowy była pokryta krótkimi ciemnymi włosami. Krótkie rękawy odsłaniały naprężone mięśnie i rozrzucone po ciele metalowe gniazda, do których podłączał wtyczki swojej skóry. Doskonale pamiętała wyciąganie z niego tych wszystkich czarnych, węzowatych przewodów o końcówkach przypominających głodne paszcze. Z jego kombinezonu pozostał teraz tylko wypełniony różnymi narzędziami i przyrządami mosiężny pas, który nosił na ubraniu. Tylko to zabrał ze sobą z metalowej skorupy, w której spędził większość swojego życia.

– Nie – odparła. – Ale dziękuję.

– Twój ojciec cię kochał, Yukiko. A gdy umierał, wiedział, że ty też go kochasz.

– To nie przywróci mu życia.

– Zgadza się, nie przywróci. Ale i tak możesz jeszcze nadać jego śmierci znaczenie.

– Kin, powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać – przerwała mu. – Proszę.

Chłopak przygryzł dolną wargę i wbił wzrok w ziemię.

– Sprawiasz wrażenie... innej – podjął. – Zmienionej. To, co zrobiłaś z tamtymi statkami...

– O tym też niezbyt mam ochotę rozmawiać.

Przykleknęła przy grobie i wbiła palce w glebę. Grudki ciemnej ziemi przyklejone do bladej skóry. Krople deszczu spływające po jej policzkach zamiast łez, które powinna znaleźć dla ojca. Widziała przed sobą twarz

Yoritomo, zmrużone oczy po drugiej stronie miotacza żelaza. Słyszała jego głos dzwoniący jej w głowie.

„To ja pozwalam ci mieć wszystko, co tylko posiadasz. To ja pozwalam ci być tym, kim jesteś”.

Zwinęła dłonie w pięści i zacisnęła mocno powieki. Wstała i uniosła twarz ku niebu. Chłodny deszcz spływający po policzkach nie zdołał jednak zmyć wspomnień. Buruu rozpostarł skrzydła i otrzepał się niczym zmokły pies. Jego myśli były tak głośne, że dziewczyna aż skrzywiła się z bólu.

MUSISZ POZWOLIĆ MU ODEJŚĆ, YUKIKO.

„Buruu, nie mogę po prostu zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło”.

CZUJĘ TWOJĄ WŚCIEKŁOŚĆ. KAŻDEGO DNIA STAJE SIĘ SILNIEJSZA. JEŚLI JEJ NA TO POZWOLISZ, SPALI WSZYSTKO DOKOŁA CIEBIE NA POPIÓŁ. WSZYSTKO.

„Mam więc zapłakać? Oplakiwać straconego tatę niczym jakąś przestraszona, mała dziewczynka?”.

POŻEGNANIE WYMAGA ODWAGI. SPOJRZENIA NA COŚ, CO SIĘ STRACIŁO, I PRZYZNANIA PRZED SAMYM SOBĄ, ŻE TO JUŻ NIE WRÓCI. NIEKTÓRE ŁZY SĄ Z ŻELAZA.

Wpatrywała się przez dłuższą chwilę w grób, po czym westchnęła do wtóru wiatru kołyszącego drzewami.

– Hiro żyje – powiedziała.

– Co? – wyszeptał Kin, wpatrując się w nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– Gildia udzieliła mu poparcia w jego staraniach o pozycję daimyo klanu Tygrysa. Poślubi panią Aishę, po czym zasiądzie na tronie szoguna. Musimy go powstrzymać.

– Hiro. – Kin przełknął głośno ślinę. – Szogunem...

Yukiko przywołała przed oczy twarz chłopca o oczach zielonych jak morze i przypomniała sobie, jaką czuła lekkość za każdym razem, gdy się uśmiechnął. Wszystkie te słodkie, nic nieznaczące słowa, które szeptał do jej ucha w długie godziny oddzielające zmierzch od świtu,

dotykając jej w miejscach, których wcześniej nie dotykał nikt inny. Jak ją tulił do siebie, obejmując swoim silnym ramieniem jej nagie plecy. Tym samym ramieniem, które Buruu potem wyrwał swoim dziobem. Te piękne oczy patrzące na nią z niedowierzaniem, kiedy kładła go na piachu areny z jej tantó tkwiącym między jego żebrami.

Gdybyż wtedy przekręciła nóż w ranie.

Gdybyż tylko wyrwała ostrze i rozplątała mu gardło...

– Wciąż go kochasz?

Yukiko zamrugnęła zaskoczona. Kin przyglądał się jej uważnie z oczami skrytymi w cieniu. Palce prawej ręki powędrowały bezwiednie na lewy nadgarstek i wodziły po metalowych gniazdach wpuszczonych w skórę. Przypomniała sobie tę noc, kiedy ujrzała go po raz pierwszy na „Dziecięciu Gromu”. Gdy stali razem na dziobie okrętu, oddychali czystym powietrzem, delektowali się zapachem burzy i pozwalali, aby rzęsy deszcz zmył z nich ich strach.

– Hiro?

– Hiro.

– Oczywiście, że nie. Sądziłam, że zabiłam drania. Teraz żałuję, że tak się nie stało.

– Ja... – Dłonie Kina zadrżały, po czym chłopak wsunął palce za pas narzędziowy i przesunął stopą kupkę suchych liści. – Nieważne, to nieistotne.

Yukiko westchnęła ze zniecierpliwieniem. Ból głowy atakował ją bez litości. Puls zwierzęcych żyć otaczających ją ze wszystkich stron huczał w jej uszach niczym potężny grzmot. Była poza tym przemoczona i czuła się podle. A jemu zachciewa się podchodów?

– Kin, na wszystkie demony piekieł, wysłów się wreszcie.

– Zabrzmię jak głupek. Zupełnie sobie z tym nie radzę – odparł Kin, po czym wskazał szerokim gestem otaczające ich płyty nagrobne. – A do tego cmentarz nie jest raczej najlepszym miejscem na taką rozmowę.

– Jaką rozmowę, na jaja Izanagiego?

Chłopak przygryzł dolną wargę i spojrzął Yukiko w oczy. Widziała słowa wzbierające wysoką falą w jego gardle, napierające na kruszejącą

zaporę wstydu, aby ją ostatecznie z hukiem przełamać.

– Gdy podążałem tu po śmierci Yoritomo... Podczas tak długiej podróży ma się wiele czasu na myślenie o tym, co dla ciebie ważne, wiesz? I wiem, że wszyscy teraz oglądają się na ciebie. Wojna się nie skończyła, rozumiem to. Nie wiem, jak to wszystko ma niby działać. Zrozum, całe życie spędziłem w Gildii i nie wiem, co... się dzieje między mężczyznami i kobietami...

Yukiko uniosła brew.

– Znaczący wiem, co się dzieje, jak dochodzi do, no, tego – dodał szybko Kin. – W sensie wiem, co gdzie wchodzi i że powinny być kwiaty. I że gdzieś w tym wszystkim musi się też znaleźć poezja, ale...

Yukiko zacisnęła mocno wargi, starając się powstrzymać cisnący jej się na usta uśmiech, który z jakiegoś powodu wydawał się jej nie na miejscu. Poczowała w środku dziwną lekkość sprawiającą, że oddychanie wymagało odrobinę mniej wysiłku. Ta prostota, ta słodka i dziwaczna niezdarność. To piękno.

Pamiętała.

Chłopak przesunął dłonią po odrastających włosach i wzniósł błagające spojrzenie ku zachmurzonemu niebu.

– Mówiłem, że zabrzmie jak głupek...

– Wcale nie brzmi jak głupek.

OWSZEM, BRZMI.

„Cicho bądź!”

OTO MOJE PIEKŁO, BEZ DWÓCH ZDAŃ. GDY ODEJDĘ Z TEGO ŚWIATA I PRZYJDZIE MI ZAPŁACIĆ ZA MOJE GRZECHY, TO BĘDZIE MOJĄ KARĄ. BĘDĘ OTOCZONY PRZEZ NIEPRZELICZONY TŁUM SNUJĄCYCH SIĘ BEZ CELU NASTOLETNIICH SYNÓW MAŁP BRODZĄCYCH PO KOSTKI WE WŁASNEJ, NIEUSTANNIE SKAPU- JĄCEJ ŚLINIE.

Uśmiech w końcu pokonał Yukiko i wypłynął triumfalnie na jej twarz.

Kin wpatrywał się w jej oczy. W jego łagodnym spojrzeniu tkwił ocean cichej nadziei. Nadziei, za której podszeptem zdradził wszystko, czym był – swoją rodzinę, swoją Gildię, swój sposób życia. Nadziei kierującej

jego rękami, gdy budował dla Buruu mechaniczne skrzydła, które potem wyzwoliły ich wszystkich. Bez niego Buruu wciąż przebywałby w niewoli Yoritomo. Bez niego Yukiko prawdopodobnie już by nie żyła. Czego było trzeba, aby odrzucił wszystko, czym był? Aby odrzucił metalową skórę, którą nosił całe życie? Aby przebył na piechotę całą drogę do gór Iishi, aby ją odnaleźć? To nie była tylko sprawa nadziei.

Ale też odwagi...

– Chcę tylko powiedzieć...

...siły...

– ...że mi ciebie brakowało.

...miłości?

Yukiko zamrugła intensywnie i otworzyła usta. Nie mogła ruszyć się z miejsca. Mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa, żołądek wywijał fikołki, a serce tłukło się w piersi, zagłuszając przetaczającą się nad nimi burzę.

Buruu oddalił się do lasu z cichym sapnięciem.

– Kin, ja...

– W porządku. Nie ma takiej zasady, która nakazywałaby ci czuć do mnie to, co ja czuję do ciebie.

– ...nie wiem, co czuję. Nie miałam nawet czasu się nad tym zastanowić.

– Gdybyś coś czuła, wiedziałabyś o tym. Nie musiałabyś się zastanawiać.

– Kin, ostatnia osoba, o której sądziłam, że ją kocham, chciała mnie zabić.

Wymówione słowa pozostawiły w jej ustach metaliczny posmak. Jakby otworzyła się w niej dawna rana. Pierwszy chłopak, którego kiedykolwiek kochała. Pierwszy, z którym...

– Nigdy bym cię nie skrzywdził – powiedział Kin. – Nigdy bym cię nie zdradził. Nigdy.

–Wiem.

– Przepraszam. Nie chciałem na ciebie naciskać. Ja tylko... chciałem, żebyś wiedziała.

– Zależy mi na tobie – odparła Yukiko, ujmując go za dłonie i

wpatrując się w jego twarz tak długo, aż odwrócił wzrok. – Naprawdę, Kin. Martwiłam się o ciebie. Szukaliśmy cię, kiedy tylko mogliśmy. To, że jesteś tu teraz... pomaga mi oddychać. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

– Wiem – odparł, ściskając jej palce mocno, aż do bólu. – Jesteś dla mnie wszystkim. Wszystko, co zrobiłem, wszystko! To ty jesteś przyczyną. Pierwszą i jedyną przyczyną.

Las wrzał dokoła nich, a oni stali bez ruchu ze splecionymi dłońmi. Pomimo deszczu i przemoczonego ubrania czuła ciepło promieniujące od jego skóry. Czuła siłę w jego dłoniach. Pogładził kostki jej palców kciukami i jakaś cząstka dziewczyny zapragnęła poczuć te dłonie na swoim ciele. Ponownie poczuć ciepło innego ciała przyciśniętego do niej. Poczuć w końcu coś innego niż ból i nienawiść, które z każdym dniem wzrastały w niej niczym choroba. W brzuchu zatrzepotały jej skrzydełka motyli. Usta jej wyschły, dłonie powilgotniały. Kin rozchylił wargi. Oddychał szybko, płytko. Po jego skórze ściekały krople deszczu. Drgnął, przysunął się do niej o ułamek cala. Przez krótką chwilę poczuła przemykającą niepewność, szybko zmytą delikatną pieszczotą deszczu. Odgłosy otaczającego ich lasu były przytłumione, jakby dobiegały z wielkiej oddali.

Wyszła mu na spotkanie, przymykając oczy.

Jego usta były miękkie jak muśnięcie pędzlem i delikatne jak opadające płatki kwiatu. Westchnęła głęboko, gdy ich wargi zetknęły się ze sobą, a w jej sercu zapłonął jasny, ciepły płomień. Był cudownie niezdarny z dłońmi trzepoczącymi przy bokach niczym ranne ptaki. Niemal stracił równowagę, gdy do niego przywarła. Czuła rytm serca bijącego w jego piersi. Jego usta otworzyły się, witając jej wargi i spijając z nich jej westchnienia. Yukiko czuła się, jakby jej ciało budziło się z długiego, pozbawionego nocnych marzeń snu. Po jej skórze przebiegały jeden za drugim przyjemne dreszcze. Czuła coś po raz pierwszy od wielu tygodni. Czuła...

Ze żyje.

Chwyliła jego dłonie i przycisnęła do swojego ciała, wyczuwając pod palcami napięte mięśnie. Coś przemknęło pod jej zamkniętymi

powiekami, coś wykutego w gromie, błyskawicy i osłepiającym deszczu. Coś głodnego i gorącego, każącego jej wbić pałce w jego skórę i gryźć jego wargi. Serce łomotało w jej piersi głośniej od grzmotu, krew pędziła na osłep. Niepewność, gniew, głosy lasu, wszystko to w końcu odchodziło...

– Tancerko burzy!

Przenikliwy, nagły krzyk roztrzaskał ich chwilę na tysiące lśniących w deszczu kawałków.

Dziewczyna zamruwała i odsunęła się od Kina, próbując uspokoić oddech. Spojrzała w stronę, z której dochodziło wołanie. Skądś dobiegał szybki tupot stóp uderzających o opadłe liście.

– Tancerko burzy!

Chłopak z osady wpadł w pełnym pędzie na cmentarną polanę i niemal upadł na twarz, gdy poślizgnął się na mokrej trawie. Zatrzymał się przed nimi, ledwo łapiąc oddech, z poczerwieniałą z wysiłku twarzą. Zgiął się w pół przed Yukiko, ocierając dłońmi pot zalewający mu oczy. Był od niej kilka lat starszy. Krępy, z przekrzywioną szczęką i płaską twarzą, jakby ktoś w dzieciństwie próbował wbić mu ją do wnętrza czaszki.

– Takeshi? – Yukiko położyła dłoń na ramieniu chłopaka. – Co się stało?

Chłopak potrząsnął głową, wsparł się rękami o kolana i łapał powietrze otwartymi ustami niczym wyrzucona na brzeg ryba. Dopiero po kilku chwilach był w stanie coś powiedzieć. Wyglądał, jak gdyby uciekał przed samą panią Izanami, Mroczną Matką.

– Zwiadowcy... na zachodnim stoku... w jednej z pułapek...

Strach ścisnął jej żołądek. Buruu wpadł na polanę jakby na zawołanie, wzbijając chmurę opadłych liści, z nastroszonymi piórami n.i szyi. Powietrze wokół jego skrzydeł było wypełnione niewielkimi wyładowaniami elektrycznymi. Oczy arashitory jaśniały. Paski błyszczącego bursztynu okalały jego rozszerzone źrenice. Zachodni •lok znajdował się niedaleko Czarnej Świątyni, gdzie minionego l.ita Yukiko i Buruu walczyli z demonami otchłani. Jeśli stwory / piekiel zapuszczały się na stok, na którym mieszkańcy osady wykopalili doły na zwierzynę, to

znaczyło, że podchodziły coraz bliżej wioski. A gdyby choćby jedno z dzieci Mrocznej Matki dotarło ilo lasów położonych niżej...

- O bogowie, złapali oniego? – zapytała Yukiko.
- Nie, nie demona. Gorzej. – Takeshi splunął pod stopy, kręcąc głową.
- Kolejnego członka Gildii!

Przez cały czas lotu Yukiko myślami była przy obejmujących ją w pasie ramionach Kina. Silne dłonie, ale jednocześnie delikatne. Jego spokojny, ciepły oddech łaskotał ją przyjemnie w kark. Niestety ból głowy powrócił niczym wierny pies i począł ubijać tłuczone szkło u podstawy czaszki.

Yukiko chwyciła się mocniej szyi Buruu i spróbowała uciec myślami od rąk Kina na jej biodrach i gry mięśni klatki piersiowej przyciskanej do jej pleców. Wplotła palce w pióra arashitory, sięgnęła ku gorącu jego myśli, z każdą chwilą zyskujących na jasności i wyrazistości.

„Coś nic nie mówisz”.

A CO MIAŁBYM MÓWIĆ?

„Nie udawaj”.

PATRZCIE NA NIĄ, „NIE UDAWAJ”. STWIERDZA TO DZIEWCZYNA, KTÓRA W JEDNEJ CHWILI MÓWI CHŁOPAKOWI, ŻE NIE WIE, CO DO NIEGO CZUJE, A W DRUGIEJ SZUKA JĘZYKIEM JEGO MIGDAŁKÓW.

„Ja... On sprawia, że coś czuję. Coś, czego chyba potrzebuję”.

AHA.

„No dalej, wyrzuc to z siebie”.

Tygrys gromu zarzucił głową i zatoczył krąg wokół przypominających zamczysko splątanych drzew sugi. Z czubków jego skrzydeł strzelały drobne wyładowania. Yukiko czuła go w swoim umyśle, głośnego niczym burza odgrażająca się na niebie nad nimi, upartego niczym otaczające ich góry. Tak bardzo przypominał jej o ojcu, że niemal poczuła smród dymu z fajki. Pamiętała bestię, z którą przemierzała góry Iishi. Aroganką i dumną, z trudem panującą nad przepelniającą ją

furią. Wtedy był zwierzęciem. Owszem, inteligentnym, ale mimo to sterowanym raczej instynktem niż świadomym rozumowaniem. Teraz stał się czymś więcej – dziką przebiegłością splecioną z ludzką zdolnością oceny. Czuła, jak chęć wyrzucenia z siebie tego, co mu leżało na wątrobie, bulgotała w nim niczym woda w zatkanym źródle, napierając coraz silniej. Aż w końcu nie zdołał dłużej tego w sobie tłumić.

NIE ROZUMIEM TWOJEGO GATUNKU. U NAS SAMICA WYBIERA SAMCA O NAJSILNIEJSZYCH SKRZYDŁACH I NAJOSTRZEJSZYCH PAZURACH. SAMIEC NIE MA NIC DO POWIEDZENIA. JEST TYLKO NIEWOLNIKIEM SWOJEGO INSTYNKTU I WONI SAMICY.

„Cóż... brzmi to okropnie”.

JEST PROSTE. A WY, LUDZIE... CAŁE TO WZDYCHANIE I WYMIANA ŚLINY. WASZE PARZENIE SIĘ JEST NIEPOTRZEBNIE I BEZSENSOWNIE SKOMPLIKOWANE.

„Bogowie, proszę cię, nie używaj tego słowa...”.

POZOSTAŁE MOŻLIWOŚCI SĄ NIEPRYZWOITE.

„Bo na co dzień jesteś wcieleniem dworskich manier?”.

Tygrys gromu zachnął się i zniżył lot, ocierając brzuchem o czubki drzew. Ze zwalistych chmur padał delikatny deszcz.

POWIEDZ MI JESZCZE, TO ZDERZANIE SIĘ TWARZAMI...

„Całowanie się”.

TO OKAZYWANIE UCZUCIA?

„Tak”.

A JĘZYKI?

... co?”.

NO NAPRAWDĘ, PO CO TO ROBICIE?

„W jaki, na nieba, sposób dowiedziałeś się o...”.

SIOSTRO, WYSYŁAŁAŚ SWOJE MYŚLI NA CAŁY LAS. CZUŁEM SIĘ, JAKBY ZAPANOWAŁA PEŁNIA WIOSNY. ZLANA POTEM POTĘŻNA FALA Z LEDWOŚCIĄ POWSTRZYMYWANEJ MŁODZIEŃCZEJ ŻĄDZY PORYWAJĄCA WSZYSTKO, CO NAPOTKA NA SWOJEJ DRODZE.

„Bogowie... naprawdę?”

MAŁPY SPRAWIAŁY WRAŻENIE SZCZEGÓLNI...
PODEKSCYTOWANYCH.

Yukiko przycisnęła pięści do skroni i rzuciła ukradkowe spojrzenie na Kina.

CÓŻ, MOŻE „PODEKSCYTOWANE” TO NIEWŁAŚCIWE
SŁOWO, MOŻE...

„Tak, Buruu, rozumiem. Dziękuję”.

PODNIECONE?

„Buruu...”.

MOŻE NAPALONE?

„Przestań, na miłość wszystkich bogów!”.

Gdy zanurkowali w las, drzewa rozstały się na boki niczym woda przed pływakiem. Za nimi strącone z gałęzi liście opadały niemrawo ku ziemi. Pozostawiając jasny blask dnia za sobą, Yukiko ściągnęła gogle na szyję i potarła dłońmi oczy.

„Naprawdę słyszałeś, co czułam?”.

GŁOŚNO I WYRAŹNIE JAK GROM W CZASIE BURZY. TAK
JAKBYM SAM TO ROBIŁ.

Dziewczyna przygryzła wargę i wsłuchiwała się w cichą kakofonię głosów na skraju jej podświadomości.

„Wiesz, Buruu, nigdy dotąd nie czułam Przenikania w ten sposób. Twoje myśli są głośniejsze niż kiedykolwiek przedtem. Gdy się skoncentruję, jestem w stanie usłyszeć każde zwierzę w promieniu wielu mil. Wszystkie te impulsy, wszystkie życia tworzą nieprzebrany chór. Huk ich myśli jest wręcz ogłuszający”.

TWÓJ OJCIEC NIGDY Z TOBĄ O TYM NIE ROZMAWIAŁ?

„Nawet się nie przyznał, że on też miał ten dar. Ale on topił swoje zdolności w alkoholu i lotosowym dymie. Może właśnie dlatego to robił? Może z wiekiem to staje się silniejsze? A może zniszczenie umysłu Yoritomo popsuło też coś w moim?”.

Westchnęła i przeczesła palcami pióra arashitory.

„Nic z tego nie rozumiem, bracie...”.

Minęli kępę gęstych paproci, nieprzenikniony gąszcz splątanych łodyg i długich, blaszkowatych liści wypełnionych kroplami deszczu. Łagodny zapach butwiejących roślin mieszał się z przyjemnym aromatem postępującej jesieni i ołowianą wonią burzy. Gdzieś w oddali zagrzmiało. Zdawać by się mogło, że chmury są wielkimi lotostatkami ciskającymi piorunami, płonącymi jasnym ogniem i rzucającymi się w dół ku ziemi. Gdzieś w zakamarkach swoich myśli Yukiko słyszała ciche i dziwne metaliczne echa dawno przebrzmiałych krzyków. Wilgotność powietrza była nieznośna, do tego bolało ją całe ciało, a występujący obficie na skórę pot mieszał się z deszczem i szczypał ją w oczy.

– Tam są – powiedział nagle Kin.

Dwóch młodzieńców, na oko jej rówieśników, stało na skraju szerokiego dołu. Buruu rozpostarł szeroko lotki i wysunął tylne łapy w stronę ziemi, starając się wylądować na nierównościach z jak największą gracją. Gdy osiadł na gruncie, Yukiko i Kin ześlizgnęli się z jego barków i poczęli przedzierać się w stronę pułapki przez pokręcone korzenie i gęste krzewy. Buruu kroczył za nimi z ogonem naprężonym niczym bicz.

Yukiko rozpoznała chłopców i jęknęła w duchu. To byli Isao i Atsushi. Pierwszy z nich miał długie ciemne włosy związane w kok, trójkątną twarz i podbródek przyprószony włoskami zbyt krótkimi i miękkimi, żeby można było mówić o męskiej brodzie. Drugi z młodzieńców był niski i zyłasty, o zwinnych palcach i ciemnych włosach zaplecionych w dwa warkocze. W prawej ręce dzierżył długą włócznię zakończoną zakrzywionym, jednosiecznym ostrzem. Gdy dostrzegli nowo przybyłych, objęli dłońmi pięści i się pokłonili.

– Witajcie, panowie – wymamrotała Yukiko. – Nie spodziewałam się was spotkać tak daleko od osady.

– Byliśmy na zwiadach, tancerko burzy – odparł Isao.

– Zwiadach? Czy nie zwykliście tego robić raczej przy dziurze w ścianie łaźni?

Chłopcy spojrzeli po sobie, po czym zerknęli na ostre pazury Buruu. Tygrys gromu zawarczał długi i nisko, wpatrując się to w jednego, to w

drugiego młodzieńca. Yukiko jednak słyszała, jak się śmieje w myślach.
JESTEŚ BEZLITOSNA.

„Mam do tego pełne prawo. Podglądali mnie, gdy byłam naga”.
ZAMIERZASZ JUŻ ZAWSZE TAK ICH MĘCZYĆ?

„Nie. Sądzę, że wystarczy kilka lat”.

– Sz-szukaliśmy o-onich – wyjąkał Atsushi. – Tak jak kazał nam Daichi-sama. Niektórzy mówią, że demony przemierzają knieję. Coraz liczniejsze.

– Oni nienawidzą ludzi – wtrącił Isao. – Dzieci Głoszącej Kres nigdy nie śpią, tancerko burzy.

– Dlaczego tak się do niej zwracasz? – zapytał Kin z grymasem niezadowolenia. – Ona ma imię.

Isao postukał palcami w swoją pałkę, nabijane ćwiekami tet- subo z twardego dębowego drewna, z rękojeścią owiniętą pasami starej, gładkiej skóry. Spojrzał na chwilę na Kina, gdy ten się odezwał, ale całkowicie zignorował jego słowa. Atsushi cały czas patrzył na Yukiko, tak jakby w ogóle nie przyjmował do wiadomości obecności młodego Konstruktor.

Yukiko spojrzała na pułapkę. Dół miał boki o długości dwudziestu stóp, był więc wystarczająco duży, aby wpadł do niego oni. Jamę przykryto kilkoma warstwami gałęzi i paproci. Dla kogoś, kto nie dostrzegłby tajemnych znaków ostrzegawczych rozmieszczonych w okolicy, pułapka była nie do zauważenia. Sądząc po dziurze w gałęziach, tkwiąca w pułapce zdobycz nie była wiele większa od człowieka.

– Znaleźliśmy to godzinę temu. – Isao wskazał pułapkę pałką. – Musiało wpaść do dołu zeszłej nocy. Ślady prowadzą na południe.

– Czy rozmawialiście ze schwytanym?

– Nie – odparł Isao, kręcąc głową. – Gdy tylko zobaczyliśmy, że wygląda na Gildię, wysłaliśmy Takeshiego, żeby znalazł ciebie i Daichi-sama. Nie będę rozmawiał z żadnym cholernym lotosow- cem. Oni są jak trucizna.

Yukiko nie mogła nie dostrzec, jak chłopak posyła Kinowi przelotne, mordercze spojrzenie.

„Jak ten członek Gildii nas znalazł?”.

MOŻE POWINNAŚ UŻYĆ SWOJEGO JĘZYKA, TYM RAZEM ZGODNIE Z JEGO PRZEZNACZENIEM, I ZAPYTAĆ GO O TO?

Yukiko pokazała tygrysowi gromu wspomniany przezeń język i przewróciła oczami.

„Ale z ciebie żartowniś”.

Buruu podszedł majestatycznie do brzegu jamy i zajrzał do środka z rozpostartymi dla równowagi skrzydłami. Prychnął i zwęził groźnie swoje bursztynowe oczy. Ogon arashitory począł chodzić z boku na bok szybkimi, energicznymi ruchami. CIEKAWY...

Yukiko podeszła ostrożnie do niego, objęła ramieniem jego szyję i również zajrzała przez dziurę w gałęziach. Z pułapki spojrzęło na nią dwoje wyłupiastych, czerwonych oczu. W dole tkwiła humanoidalna postać o wąskiej talii i gładkiej twarzy pozbawionej rysów. Od stóp do głów pokryta była jakąś przylegającą ściśle do skóry, gładką i lśniącą membraną w kolorze ziemi. Na plecach postaci znajdowała się kula wielkości melona, z której wyrastało osiem chromowanych ramion, jakby z grzbietem przybysza zrośnięty był pozbawiony oczu metalowy pająk. Dłoń Yukiko powędrowała odruchowo do rękojeści tantó zamocowanego na jej plecach.

– Co to, do dziewięciu piekieł, jest? – zapytała z odrazą w głosie.



Cios był taki, jak trzeba. Wystarczająco silny, aby odrzucić głowę dziewczyny do tyłu i wycisnąć łyzy do już i tak czerwonych i opuchniętych oczu, ale jednocześnie nie na tyle silny, aby pękła jej skóra na ustach i pozostał ślad, który nie zniknąłby po godzinie czy dwóch. Gdy nadzorca wydarł się na nią, kropelki śliny z jego gardła spadły na jej twarz.

– Odpowiadaj, suko!

Dziewczyna zwiesiła głowę i po twarzy skrytej za kotarą splątanych włosów popłynęły łyzy. Łkanie dręczonej odbijało się echem od wilgotnych kamieni ścian więziennej celi. Podłogę pokrywała przegniła słoma. Skute w nadgarstkach ręce dziewczyny pokryte były długimi śladami po cięciach nożem. Przecięty i spuchnięty policzek goił się bardzo wolno. Obnażone, posiniaczone nogi pokryte były świeżymi ranami. Spozrzegawcza osoba zauważyłaby, że były to ślady po ugryzieniach szczurów.

W ostatnich tygodniach cierpliwość przesłuchującego ją nadzorcy stopniowo się wyczerpywała. Obecnie wisiała na kilku ostatnich, bardzo cienkich włoskach. Wszystkie służki oddane w jego ręce pochodziły ze szlachty. Teoretycznie miały gdzieś tam rodziny, które mogłyby zacząć

naciskać na daimyo klanu Tygrysa, domagając się wydania ich córek. Zakładając oczywiście, że możni klanu wybiorą w końcu nowego przywódcę. Pomimo osadzenia dziewcząt w areszcie nie wysunięto przeciwko nim żadnych oficjalnych oskarżeń. Po części dlatego, że po śmierci szoguna cały system sądowniczy rozsypywał się w oczach. W ten oto sposób nadzorca więzienia znalazł się w sytuacji zdecydowanie nie do pozazdroszczenia. Miał „zadawać pytania” swoim więźniom bez sięgania po rozgrzane metalowe pręty czy torturę wody, które były w więzieniu Kigen najczęściej stosowanymi sposobami rozwiązywania języków.

Na głowę spadło mu tyle problemów, że znajdował się o krok od wpadnięcia w alkoholizm.

Nadzorca chwycił dziewczynę za gardło i odchylił jej głowę do tyłu, aby spojrzeć jej w oczy. Zobaczył czysty strach – rozszerzone źrenice i poblądłe, mokre od łez policzki.

– Służyłaś pani Aishy – warknął, zaciskając palce na szyi służki. – Twoja pani poświęcała długie godziny na rozmowy z tą dziewczyną Kitsune, planując zabicie swojego brata. O wszystkim wiedziałaś!

– Ona... zawsze... nas... odsyłała... – wykrztusiła z trudem dziewczyna.
– Zawsze...

– Jesteś szpiegiem Kagé! Chcę poznać imiona, nazwiska! Chcę...

– Nadzorco!

Donośny, władczy głos odbił się głośnieym echem od ścian ciasnej celi. Nadzorca spojrział w stronę wejścia i dostrzegł przed celą dwóch bushich w zbrojach pokrytych czarnym sukniem. Między nimi stał mężczyzna w sztytm na zamówienie przez dobrego krawca kimonie z kosztownego szkarłatnego jedwabiu.

Włosy mężczyzny były zaplecione w misterny warkocz udekorowany złotymi szpilkami. Przybysz był przystojny i sprawiał wrażenie intelektualisty. Nieustannie mrużył oczy w sposób typowy dla osób, które zbyt wiele godzin spędzają na czytaniu przy słabym świetle lampy. Na biodrze miał skrzyżowane pochwy kryjące katanę łańcuchową i wakizashi. Mechaniczne daishó świadczyło o tym, że jest szlachcicem z

kasty wojskowej. W dłoni trzymał przepięknej roboty metalowy wachlarz. Usta mu zakrywał kosztowny, mechaniczny aparat oddechowy. Mężczyzna nie mógł mieć wiele ponad dwadzieścia lat, zajmował jednak stanowisko, które zwykły piastować osoby nawet dwukrotnie od niego starsze.

– Sędzio Ichizo. – Nadzorca puścił gardło dziewczyny i uklonił się przybyszowi. – Nie zostałem uprzedzony o twojej wizycie.

– Widzę. – Oczy mężczyzny przeskoczyły na dziewczynę zwiniętą w kłębek na posadzce. – Czy tak traktujesz kobiety powierzone twojej pieczy? Dworki? Szlachcianki? Przynosisz hańbę sobie i swojemu panu, nadzorco.

– Błagam o wybaczenie, szanowny sędzio. – Nadzorca uklonił się jeszcze głębiej. – Kazano mi jednak wykryć współpracowników Kagé i...

– I twoim zdaniem wykryjesz ich, torturując służki?

– Wszystkie te dziewczęta służyły tej zdradzieckiej kurwie, Aish...

Cios nadszedł tak szybko, że nadzorca go właściwie nie zauważył. Ichizo uderzył go swoim metalowym wachlarzem prosto w twarz, pozostawiając niewielkie rozcięcie na policzku. Echa uderzenia metalu w ciało powoli milkły, ustępując miejsca zimnej, kamiennej ciszy, zakłócanej tylko zduszonym łkaniem dziewczyny.

– Mówisz o ostatniej przedstawicielce dynastii Kazumitsu – wysyczał Ichizo. – W jej żyłach płynie krew pierwszego szoguna. W jej łonie wzrośnie następca tronu cesarstwa. – Sędzia wsunął wachlarz do rękawa. – Zważ. Na. Swoje. Słowa.

Nadzorca dotknął dłonią rozciętego policzka i spuścił wzrok.

– Błagam o wybaczenie, sędzio. Ale Wielki Skarbnik zażądał...

– Wielki Skarbnik Nagahara ustąpił ze swojego stanowiska dwie godziny temu. Ostatnie wydarzenia mocno nadszarpnęły jego nerwy i zdrowie. Udał się na wypoczynek do swoich włości na prowincji. Z błogosławieństwem naszego pana, daimyo Hiro.

Nadzorca westchnął cicho.

Kolejna rosza w kręgach władzy.

Według najnowszych informacji, jakie posiadał, o przywództwo

zaibatsu klanu Tygrysa ubiegało się trzech możnych. Dwóch ministrów nieżyjącego szoguna i młody Żelazny Samuraj, który stracił ramię (a mało brakowało, aby stracił także życie), broniąc Yoritomo-no-miyi przed zabójczynią. Ze słów sędziego wynikało, że czas dyplomacji dobiegał końca. W ostatnich dwóch tygodniach poplecznicy Hiro zamordowali czterech wysokich rangą urzędników. Dworskie knowania zdecydowanie i nieubłagane ustępowały katanie pojedyńkowicza i sztyletowi zabójcy. Ludzie pokroju nadzorcy więzienia znajdowali się między młotem a kowadłem. Byli związani przysięgą wierności wobec daimyo, z tym że nie mieli pewności, kto tak właściwie, do wszystkich demonów, tym daimyo był.

– Te barbarzyńskie praktyki nie mogą mieć już miejsca – oznajmił sędzia, wędrując wzrokiem po celi. – Dworski pani Aishy zostaną odprowadzone do pałacu i objęte aresztem domowym. Osobiście zapytam każdą z nich o to, jak były tutaj traktowane.

– Ta była już ranna, gdy ją tu przyprowadzili – wymamrotał nadzorca.

– Kazałem felczerowi opatrzyć jej rany, aby nie wdało się zakażenie.

– A ugryzienia szczurów?

–Ja... '

– Dobrze znam charakter jej ran, nadzorco. Czytałem raport. Liczne rany po uderzeniach nożem. Dotkliwie pobita, pęknięta skóra na policzku, nieprzytomna przez wiele dni. Miała szczęście, że swojego spotkania z tancerką burzy nie przypłaciła życiem. A ty mimo to sądzisz, że mogła być w zмовie z dziewczyną Kitsune?

– W komnatach tej ku... – nadzorca urwał i odchrząknął. – W komnatach pani Aishy odbyło się wiele tajemnych narad. Niektóre z tych służek musiały być do nich dopuszczone.

– To dziewczę ma ledwie siedemnaście lat.

– Z całym szacunkiem, sędzio, ale zabójczyni Yoritomo-no- -miyi miała szesnaście wiosen.

– A ty sądziłeś, że biciem wyciśniesz tajemnice spiskowców z dziewczyny, którą ta właśnie zabójczyni pobiła prawie na śmierć?

– Rozkazano mi zbadać wszelkie...

– Twoja lojalność jest godna pochwały, nadzorco. Ale twoja nieumiejętność właściwego jej skierowania rodzi poważne obawy. Powinieneś więcej myśleć o swojej przyszłości.

Oczy sędziego błyszcząły groźnie nad aparatem oddechowym.

– Mój szlachetny kuzyn, daimyo Hiro, byłby wielce rozczarowany, gdyby się dowiedział, że ty również... udałeś się na odpoczynek z powodu pogorszenia zdrowia.

– Rozumiem, szanowny sędzio – odparł nadzorca. – Racz przyjąć moje podziękowania za twoje mądre słowa.

– Natychmiast ją uwolnij.

Nadzorca rozkuł ręce dziewczyny, blednąc na widok świeżych ran na jej nadgarstkach. Ichizo przepchnął go na bok, okrywając służkę połą swojej szaty, aby zasłonić jej wdzięki, po czym wyprowadził ją łagodnie z celi.

– Już po wszystkim, moja droga – uspokajał ją głosem delikatnym niczym opadające pierze. – Już po wszystkim.

Dziewczyna płakała całą drogę, tuląc się do sędziego. Nadzorca usłyszał w oddali tupot ciężkich butów; kolejni bushi wkraczali do więzienia i wyszczekiwali rozkazy do jego ludzi, domagając się uwolnienia pozostałych panien. Czuł to w swoich kościach – cały kraj chwiało się na ostrzu noża. W każdej chwili między klanami mogła wybuchnąć krwawa wojna. Zwolennicy Kagé toczyli miasto niczym pożerająca zdrowe ciało choroba. Samurajowie rozbijali się po okolicy jak rozpuszczone dzieci, całkowicie koncentrując się na próbach wycięcia sobie krwawej drogi na tron.

Nadzorca westchnął ponownie, marząc o powrocie prostszych, spokojniejszych dni. Dni, kiedy żołnierz wiedział, komu jest winien posłuszeństwo. Zanim tancerka burzy rozbiła jego świat w pył.

Potem mężczyzna opuścił celę i udał się na poszukiwanie czegoś do picia.

– Twoja komnata, jak mniemam.

Stali w szerokim pałacowym korytarzu w towarzystwie czterech bushich. Na skórze dziewczyny wciąż utrzymywał się swąd, którym nasiąkała podczas przejazdu motorową rykszą. Przez całą drogę z więzienia do pałacu wyglądała przez okno pojazdu z czołem przyciśniętym do szyby, przyglądając się nędzy i cierpieniu mijanego miasta. Uliczne stragany stały opuszczone i puste. Odłamki potłuczonego szkła chrzęściły pod kołami rykszy. Ludzie w bogatych strojach przemykali tu i tam z przygarbionymi plecami, rzucając nerwowe spojrzenia zza misternie zdobionych gogli. Piasek na pustej arenie wciąż był splamiony krwią. Gdy w końcu przejechali przez wysoką, żelazną bramę prowadzącą na tereny pałacowe, ponownie ujrzała skarlaty ogród skryty za wysokimi murami. Szary kamień zwieńczony szklaną pokrywą. Nadchodząca jesień nareszcie wyparła przeraźliwy żar lata. Jednak wszędzie, gdzie spojrzała, widziała kolor ognia. Powietrze pachniało hubką tylko czekającą na iskrę.

Na płomień.

Sędzia Ichizo przesunął na bok drzwi do jej komnaty. Stała bez ruchu i patrzyła na niewielkie, jakże znajome pomieszczenie. Nie– posłane łóżko, wywrócone do góry nogami szuflady, ubrania rozrzucone po całej podłodze. Na wiklinowej macie wciąż wyraźnie było widać plamę zakrzepłej krwi. Dziewczyna uniosła dłoń do twarzy i dotknęła ostrożnie rany na policzku. Ciosy nożem wymierzone w jej ramiona i uderzenie w twarz były wciąż świeżym wspomnieniem.

– Wybacz ten bałagan – powiedział Ichizo przeproszającym tonem. – Kolejny minister musiał zaordynować ponowne przeszukanie twoich rzeczy. Miniony miesiąc był... burzliwy. Jestem przekonany, że doprowadzenie tego do porządku nie zajmie dużo czasu.

– Jestem ci wdzięczna, mój panie.

– Czy... – Ichizo się zająknął. – Ty mnie nie pamiętasz, prawda?

Dziewczyna pokręciła głową.

– Wybacz mi, panie.

– Spotkaliśmy się podczas ostatniego festiwalu wiosennego –

powiedział sędzia z przyjaznym uśmiechem. – Na bankiecie Seii Taishōguna. Rozmawialiśmy o poezji, o przewadze wierszy Hamady nad dziełami Noritoshiego. Mile wspominał tamten wieczór...

Dziewczyna uniosła na niego wzrok, wciąż kurczowo trzymając okrywającą ją połę jego kimona. W mgnieniu oka utrzymywana dotąd maska spokoju stopniała niczym woskowa tabliczka wrzucona do buzującego kominka. Zarzuciła ramiona na szyję sędziego i /aszlochała żałością, wtulając twarz w pierś mężczyzny, aby choć i lochę stłumić łkanie. Ichizo zdumiał się jej zachowaniem i przez chwilę nie wiedział, czy powinien ją objąć, czy też raczej odsunąć od siebie. Skinął głową towarzyszącym im bushim. Ci zrozumieli w lot jego intencję i wycofali się w dół korytarza, aby oszczędzić dziewczynie dalszej utraty twarzy.

– Nie płacz, moja droga, powstrzymaj łzy – powiedział łagodnie, klepiąc ją niezręcznie po ramieniu. – Kompromitujesz się.

– To było takie okropne. – Ciepłe łzy dziewczyny wsiąkały w szkarłatny jedwab szaty. – Ostatnie, co p-pamiętam, to jak ta dziewczyna K-Kitsune mnie uderzyła. Ocknąłam się w celi i wszyscy na mnie krzyczeli. W-wrzeszczeli, że jestem z-zdrajczynią. Bogowie mi świadkami, nie było służki wierniejszej Yoritomo- -no-miyi ode mnie...

– Już dobrze, już cicho. – Ichizo spróbował jednocześnie przytulić dziewczynę i odsunąć ją od siebie, w rezultacie nie robiąc ani jednego, ani drugiego. – Już cię nie skrzywdzą. Nie będziesz mogła opuścić swojej komnaty bez straży, ale nikt cię już więcej nie skrzywdzi. Przyrzekam ci to na mój honor.

– Dziękuję ci, o panie. Niech bogowie cię błogosławią.

Wspięła się na palce i złożyła na jego policzku delikatny niczym letnia mżawka pocałunek. Potem kolejny i kolejny, aż w końcu dotarła do jego ust. Przycisnęła swoje wargi do jego nieco dłużej, napierając na niego całym ciałem. Ichizo przerwał pocałunek z nerwowym uśmiechem, wyswobodził się z jej objęć i wygładził kimono.

– Dobrze, dobrze. – Odkaslnął. – A teraz, skoro powinnościom stało się zadość...

Lekko zarumieniony Ichizo delikatnie, acz stanowczo wprowadził zapłakaną, pociągającą nosem i co chwila ocierającą oczy przemoczoną już od łez rękawem dziewczynę do środka, po czym uklonił się płytko, wycofał na korytarz i zamknął drzwi na klucz. Stała wśród rozrzuconych wszędzie swoich rzeczy, wciąż szlochając – wystarczająco głośno, żeby szloch usłyszał ktoś stojący pod drzwiami. Gdy oddalające się kroki już przebrzmiały, zaczęła liczyć uderzenia swojego serca, nieustannie łkając. Gdy doliczyła do stu, opuściła ręce, a łzy momentalnie przestały płynąć z jej oczu, jakby ktoś zakręcił kapiący kran.

Wyparła z głowy wszelkie myśli. Wpatrywała się w ciepłą pustkę pod zamkniętymi powiekami i wsłuchiwała w ciszę. Stała bez ruchu i bez słowa, oddychając powoli powietrzem wolności. Po pewnym czasie drgnęła i skierowała kroki do niewielkiej umywalni, gdzie czekały na nią czysta woda i wonne mydło. Nadszedł czas, aby zmyć ze skóry pamiętki po pobycie w celi.

Rzuciła okiem na mijane lustro, dostrzegając w przelocie swoje odbicie. Przez krótką, przerażającą chwilę nie mogła się pozbyć nieodpartego wrażenia, że twarz ukazująca się w szklanej tafli należy do kogoś obcego. Długie ciemne włosy, smukłe ciało i wydatne wargi jak najbardziej należały do niej, owszem. Ale twarz była obca. Należała do dziewczyny, której zupełnie nie znała. I której nie chciała poznawać. Słabej, anemicznej mimozy, której skórę przybrała.

Zdarła z siebie porwane szmaty i resztki kimona, po czym przyjrzała się uważnie w lustrze swojemu ciału. Ślady udawanych łez na skórze, którą szczypała tak długo, aż zrobiła się czerwona i napuchnięta. Rany po cięciach nożem, które pieczołowicie sobie zadała. Rozcięty policzek, którym z rozmachem uderzyła o róg toaletki. Wspomniała pisk i miotanie się szczurów w jej dłoniach, gdy przytykała ich ostre zęby do swoich nóg. Wszystko, cokolwiek tylko przyszło jej do głowy, aby wywołać litość, aby zmiękczyć serca, które pragnęła wyrwać jeszcze bijące z piersi ich właścicieli.

W jej myślach gorzało pragnienie roztrzaskania lustra w drobny mak. Wpatrywała się w swojego sobowtóra, w tę mizerną, złamaną

dziewczyne, którą udawała, i coraz mocniej zaciskała dłonie w pięści.

– Jesteś śmiercią – wyszeptała. – Zimną niczym grudniowy poranek. Bezwzględna niczym Pani Słońce. Musisz odegrać swoją rolę. Odegrać ją do końca tak, abyś oszukała samą siebie. Ale nigdy nie zapominaj, kim jesteś. Zawsze pamiętaj, czym jesteś.

Wskazała wyprostowanym palcem odbicie w lustrze i dodała szeptem ostrzejszym od niejednego sztyletu:

– Jesteś Kagé Michi.



Żołądek skręciły jej zimne nudności. Żółć podeszła do gardła, paląc i drażniąc przełyk.

Z mroku dołu-pułapki wpatrywały się w nią krwistoczerwone oczy – wypolerowane szklane kulki zamocowane na gładkiej, pozbawionej ust twarzy. Membrana pokrywająca ciało postaci miała kolor starej, wyprawionej skóry. Zbrązowiła, lśniąca, elastyczna, popękana na stawach. Zamocowane na piersi, połączone z licznymi tranzystorami mechanicznych i przewody wijące się po całym ciele wyraźnie wskazywały na dzieło Gildii. Chromowane, pajęcze kończyny wyrastające z kuli na plecach postaci tylko dopełniały odrażającego, groteskowego obrazu.

– Co to, do dziewięciu piekieł, jest? – wyszeptła Yukiko.

– Sztucznożyciowiec – odparł Kin, marszcząc czoło i pocierając kilkudniowy zarost na brodzie.

– Sztuczno-co?

Yukiko spojrzała na stojącego obok niej chłopaka, nie zdejmując dłoni z rękojeści tantó. Buruu górował nad jej ramieniem, wpatrując się zmrużonymi oczami we wnętrze jamy. Ciepło promieniujące od jego potężnego ciała przyprawiało ją o gęsią skórkę.

Naelektryzowane powietrze wypełniał znajomy już zapach ozonu wymieszany z wonią piżma.

– Gildia buduje dla siebie cielesne automaty – wyjaśnił Kin, wzruszając ramionami. – Służących wykonujących różne prace w kapitułach. Miejskich obwoływaczy, chodzących niestrudzenie po ulicach i wykrzykujących obwieszczenia. Przeprowadzają zabiegi chirurgiczne, wszczepiają implanty w nowo narodzonych, takie tam.

Cztery pary oczu wpatrywały się w niego, jakby przed chwilą przemówił w gaijińskim.

– Budują maszyny, które symulują życie – dodał zniecierpliwiony, zataczając ręką krąg w powietrzu. – Sztuczne życie: sztuczno- życiowiec.

– Miłościwi bogowie – wyszeptał Atsushi.

– Co to tu robi? – zapytał ostro Isao.

– Czy wyglądam, jakbym umiał czytać w myślach? – odpowiedział pytaniem Kin.

Isao zerknął na Yukiko.

– Gdybyśmy byli tu sami, opowiedziałbym ci ze szczegółami, jak moim zdaniem wyglądasz, pachołku Gildii.

Kin zamrugał i już otwierał usta, aby się odciąć, kiedy z jamy dobiegł ich syczący, chrapliwy głos. Brzmiało to jak na wpół stwierdzenie, na wpół pytanie wydobywające się z wnętrzości zardzewiałego metalowego węża.

– Gildia? – Tkwiący w dole stwór przechylił głowę, wpatrując się w Kina. – Ty jesteś Kioshi?

Na dźwięk tego imienia Yukiko przeszył nieprzyjemny, zimny dreszcz. Nie lubiła wracać pamięcią do tego, kim i czym Kin był w przeszłości. Imię to należało do jego nieżyjącego od lat ojca, szanowanego, wysokiego rangą lotosowca, zostało przekazane synowi zgodnie z tradycjami Gildii. Kinem nazywał siebie samego ukrytego w metalowej skórze. Kioshi było imieniem obcego, imieniem wroga. Zanim pod mosiądzem odkryła chłopca. Zanim...

– Zamknij się! – krzyknął Isao, wznosząc swoją pałkę tetsubo do ciosu, wyraźnie zaskoczony, że stwór potrafi mówić. – Ani słowa więcej albo rozwalę ci czaszkę, draniu.

Sztucznożyciowiec uniósł ręce. Siedem metalowych ramion na jego

plecach także uniosło się w doskonałym zgraniu. Ósme ramię strzeliło fontanną niebieskich iskier, zadrgało i zwisło bezwładnie wzdłuż nogi tworu Gildii.

– Nie chcę skrzywdzić żadnego z was – wysyczał sztucznożyciowiec. – Przysięgam na Pierwszy Kwiat.

– Czym, do demonów, jest Pierwszy Kwiat? – warknął Isao.

– Przywódcą Gildii Lotosu – wyjaśnił Kin. – Przełożony Drugich Kwiatów wszystkich kapituł.

– I wy przysięgacie na niego, tak jakby był bogiem?

Przez chwilę Kin tylko patrzył na chłopaka w milczeniu, po czym zwrócił się do istoty uwięzionej w jamie.

– Co tu robisz? – zapytał.

– Szukam ciebie, Kioshi-san.

„Szuka jego?!”

– Mam na imię Kin.

– Ale... Nie nosisz już imienia ojca?

– Jego imię jest jego sprawą – wycodziła Yukiko przez zaciśnięte zęby. – Na twoim miejscu przestałabym zadawać pytania i zaczęła na nie odpowiadać.

Sztucznożyciowiec spojrział na nią swoimi lśniącoymi, szklanymi oczami. Yukiko mogłaby przysiąc, że stworzył lekko się skulił.

– Wybacz, tancerko burzy.

– Co tu, do wszystkich piekieł, robisz? Czego od nas chcesz?

Istota wykonała zdawkowy, nieporadny gest ręką. Metalowe ramiona zafalowały do wtóru.

– Przystać do was.

– Przystać? – parsknęła Yukiko.

– Kiosh... – Sztucznożyciowiec zawiesił na chwilę głos. – Kin-san nie był jedynym, który marzył o wyrwaniu się ze szponów Gildii. Wielu z nas we wszystkich kapitułach Shimy skrycie rozmyślało o buncie. Nikt jednak nie sądził, aby to było możliwe. Nikt nie był wystarczająco odważny, żeby spróbować. – Stwór spojrział na Kina i dodał z wyraźnym podziwem w głosie: – Dopóki Kin-san tego nie zrobił.

– Tancerko burzy, powinniśmy to zabić – wtrącił Atsushi, wskazując sztucznożyciowca czubkiem włóczni, po której ostrzu spływały krople deszczu. – Nie można temu ufać.

– Proszę... – wyszeptał stwór. – Nie zabijajcie mnie. Pozwólcie mi do was przystać...

Kin wbił w Atsushiego wściekle spojrzenie.

– Gdy skóra członka Gildii odnosi nieodwracalne uszkodzenia, mechaniczność wysyła sygnał alarmowy. W ten sposób Gildia dowie się, gdzie jesteście.

– Czy możesz to wyłączyć? – zapytała Yukiko, wskazując pas z narzędziami na brzuchu Kina.

– Mógłbym – przytaknął chłopak ze zmarszczonymi brwiami. – Ale na pewno nie pozwolę wam...

Yukiko zwróciła się do Isao.

– Wydostańcie to z jamy.

Isao rozwinął linę i rzucił ją sztucznożyciowcowi. Yukiko przyglądała się wspinającemu się dwadzieścia stóp w górę członkowi Gildii z odrazą. Ramiona na jego plecach poruszały się z klekotem szybkimi, krótkimi zrywami, tak jakby na każdej kończynie znajdowało się gniazdo ruchliwych owadów. Błyszczące oczy rzucały krwistoczerwoną poświatę na lśniąca powłokę stwora. Skóra wyglądała na wilgotną, ale grudki ziemi nie lgnęły do niej i zsuwały się w dół.

Gdy członek Gildii dotarł na krawędź dołu-pułapki, liczne kłamry i sprzączki jego długiego fartucha zaczepiały o korzenie i gałęzie, wydatnie utrudniając mu wygramolenie się na wierzch. Widząc to, Isao chwycił za jedno z przypominających ludzkie ramion, po czym pociągnął i bezceremonialnie rzucił przybysza na ziemię, a Atsushi przytknął ostrze swojej naginaty do gardła sztucznożyciowca. Yukiko cofnęła się poza zasięg pajęczastych, mechanicznych kończyn członka Gildii. Ten jednak nie wykonywał żadnych agresywnych ruchów. Uniósł wszystkie ramiona, wyzwalając kolejną falę okropnego klekotania, i powoli dźwignął się na nogi. Wzrok wbił gdzieś w bok. Cały drżał. Jego mechaniczność milczało, tkwiąc bez ruchu nad wypukłością na klatce

piersiowej...

„Miłościwi bogowie”.

– To jest dziewczyna. – Yukiko zmarszczyła brwi i spojrzała na Kina. – Kin, to jest dziewczyna.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Wszyscy sztucznożyciowcy są płci żeńskiej.

– Nie wiedziałam, że w Gildii są jakieś kobiety.

– Jak sądzisz, skąd się biorą mali członkowie Gildii? – zapytał Kin z zażenowaniem.

Twarz Yukiko stężała. Przeniosła wzrok z powrotem na sztucznożyciowca i wskazała na mechalicydło. Urządzenie zaklekotało. Żetony przesuwaly się to w jedną, to w drugą stronę nad metalową powierzchnią pokrytą przekąźnikami, radiatorami i tranzystorami.

– Wyłącz to.

Kin zrobił niepewny krok do przodu, po czym wyjął z kieszeni pasa narzędziowego śrubokręt i kombinerki. Z zakłopotaną miną zaczął gmerać przy klatce piersiowej członkini Gildii. Dziewczyna stała bez ruchu ze wzrokiem wbitym w ziemię, podczas gdy Kin odkręcał kolejne śruby. Gdy w końcu zdjął pokrywę z urządzenia, ze środka wysypała się płatanina izolowanych przewodów.

– Eee... – Kin uniósł metalową płytkę. – Możesz to potrzymać?

Dziewczyna posłusznie wzięła od niego pokrywę. Jej pającze ramiona zadygotały. Yukiko poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Przełknęła z trudem ślinę, czując w ustach kwaśny smak żółci. Nogi trzęsły się pod nią, a do oczu napływały łzy. Z oddali dobiegi ją głos wróbli, przypominający raczej krzyk niż trel. Trzy małpy siedzące na drzewie nad nimi zaczęły pohukiwać i potrząsać gałęziami. Otaczające ją powietrze zrobiło się nieznośnie gorące.

Yukiko zacisnęła pięści.

SIOSTRO? WSZYSTKO W PORZĄDKU?

„Nic mi nie jest”.

– Jak masz na imię? – zapytał członkinię Gildii Kin.

– Kin, nie rozmawiaj z tym – warknęła Yukiko.

Chłopak spojrzał na nią przez ramię.

– Czy nie o to właśnie nam chodziło?

Yukiko wbiła w niego wściekły wzrok i odsunęła na bok mokry kosmyk włosów wpadający jej do oczu. Kin zwrócił się ponownie do stojącej przed nim dziewczyny, zdjął kilka żetonów z mechalicydła i zaczął gmerać w środku urządzenia. Gdy kolejny raz niechcący dotknął jej piersi, rzucił jej krótkie, przeprasające spojrzenie.

– Jak masz na imię? – powtórzył pytanie.

– Moja matka miała na imię Kei – padła cicha odpowiedź. – Gdy odeszła, przyjąłem je, jak nakazuje tradycja.

Kin przerwał na chwilę pracę i spojrzał w pozbawione wyrazu szklane oczy.

– Ale jak brzmi twoje imię?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Yukiko zazgrzytała zębami. Słyszała głosy tysięcy zanoszących się płaczem gajjińskich dzieci prowadzonych na rzeź w tłustych, żółtych wnętrzościach kapituł Gildii. Słyszała przesywający uszy i duszę krzyk zagłuszający trzask płomieni na stosach ofiarnych przy Kamieniach Ognia. Ludzie tacy jak ona, obdarzeni zmysłem Przenikania, paleni w imię wyznawanej przez Gildię idiotycznej Drogi Czystości. Odpowiedź sztucznożyciowca zabrzmiała jak gniazdo jadowitych węży.

– Ayane.

– Z której kapituły jesteś?

– Z Yamy.

– Ziemie klanu Lisa są dość daleko stąd. – Kin uniósł jedną brew, po czym wyciągnął z kieszeni pasa przecinak do przewodów i wrócił do pracy. – Jak ci się udało tutaj dotrzeć? Przecież sztucznożyciowcy nie latają.

– Zakradłam się w porcie Yamy na pokład liniowca Gildii. Potem ukradłam kapsułę ratunkową. – Mechaniczne ramiona wyprostowały się, lśniąc srebrzyście w dziennym świetle. – Doleciałam tak daleko, jak dałam radę. Ostatni odcinek drogi pokonałam na piechotę.

– Skąd wiedziałaś, gdzie nas szukać? – zapytał Kin, odrywając na

chwilę wzrok od strzelającego iskrami mechaniczycy dła.

– Gildia znała ogólne położenie kryjówki Kagé, odkąd uratowali was z wraku „Dziecięcia Gromu”. Od tamtej pory rozstawiają wokół gór Iishi wieże triangulacyjne. Za każdym razem, gdy Kagé wysyłają sygnał radiowy, przybliżają się do ustalenia dokładnej lokalizacji.

– Skoro tyle już wiedzą, dlaczego nie ściągnęli tu całej swojej floty i nie spalili doszczętnie lasu? – wypaliła Yukiko.

Członkini Gildii spuściła oczy na ziemię, unikając wzroku Yukiko.

– Duża część floty wciąż nadzoruje odwrót w Morchebie. Ale shatei ze statków, które ścigały Kin-sana, ten, któremu darowaliście życie, dotarł do Yamy z twoją wiadomością, Arashi-no-odo- riko. Utrata trzech pancerników sprawiła, że Wyższe Kwiaty zaczęły postępować ostrożniej. Kapitan, którego zabiłaś, był bohaterem wojennym, Trzecim Kwiatem Kigen, admirałem floty.

– No i?

– No i boją się ciebie. – Dziewczyna przełknęła ślinę. – Ciebie i twojego tygrysa gromu.

Kin wpatrywał się w Yukiko. W jego oczach odbijało się wspomnienie setki zabitych członków Gildii. Tancerka burzy oblizła usta. Gdy pajęczce kończyny sztucznożyciowca ponownie zadrżały, po jej skórze przebiegł zimny dreszcz. Sięgnęła ręką w bok i pogłaskała Buruu po szyi, wsuwając palce głęboko między ciepłe pióra.

„Nie ufam jej”.

ROZSĄDNIE.

„Możliwość, że w Gildii jest więcej odstępców w rodzaju Kina, jest zbyt piękna, aby była prawdziwa”.

SZCZERZE MÓWIĄC, AKURAT W TĘ CZĘŚĆ JEJ OPOWIEŚCI DOŚĆ ŁATWO JEST UWIERZYĆ.

„Przewrót wewnątrz Gildii? Nie, ona po prostu mówi to, co chcielibyśmy usłyszeć”.

CI Z GILDII RODZĄ SIĘ W NIEJ. BEZ WYBORU, BEZ WPŁYWU. NIETRUDNO WYOBRAZIĆ SOBIE, ŻE CZĘŚĆ CHCIAŁABY ZRZUCIĆ JARZMO.

„Nie wierzę, że ktoś z nich po prostu wyszedłby z kapituły i przybył aż tutaj, żeby znaleźć Kina. Zapewne była z flotą, którą spaliliśmy. Jakimś cudem przeżyła i teraz kłamie, żeby ocalić skórę”.

YUKIKO, ZOSTAWILIŚMY TYLKO JEDNEGO PRZY ŻYCIU.
WIESZ O TYM.

„To nie ma najmniejszego sensu. To coś kłamie”.

CHYBA CHCIAŁAŚ POWIEDZIEĆ, ŻE „ONA” KŁAMIE.

„Nie, chciałam powiedzieć »to«”.

Yukiko zlustrowała sztucznożyciowca od stóp do głów, krzywiąc się.

– Czy dlatego właśnie twoi przywódcy popierają Hiro? Bo sami mają za mało odwagi, żeby tu przybyć? Wolą zaryzykować życie mężczyzn z żonami i dziećmi, żeby mnie zabić, czy nie tak? Wolą, żeby to oni ginęli, a nie więcej ich cennych shatei?

– Jestem z Yamy. – Wszystkie sprawne mechaniczne ramiona zafalowały. Yukiko ku swojej konsternacji rozpoznała w tym ruchu odpowiednik wzruszenia ramionami. – Nie wyznaję się na polityce Pierwszego Domu. Nie wiem, dlaczego Pierwszy Kwiat każe, aby shateigashira Kensai popierał chłopaka z klanu Tygrysa. Wiem jednak, że cztery tygodnie temu Kigen zażądało przesłania im siedemdziesięciu procent członków naszej Sekcji Pociskowej.

Yukiko wpatrywała się w dziewczynę, nic nie rozumiejąc.

– Sekcja Pociskowa buduje maszyny wymagające sterowania przez człowieka – wyjaśnił Kin. – Motorowe ryksze, pilary, silniki do lotostatków i tak dalej. Sam do niej należałem.

Yukiko zmrużyła oczy.

– Nad czym teraz pracują?

– Nie wiem, tancerko burzy.

Kolejne groteskowe wzruszenie mechanicznymi ramionami.

– Nie nazywaj jej tak – wtrącił Kin, wyciągając z mechanicznych trzy tranzystory. – Ma na imię Yukiko.

Chłopak przeciął kilka ostatnich przewodów, po czym zebrał wystające bebechy urządzenia i upchnął je z powrotem w obudowie. Szybko przykręcił pokrywę kilkoma śrubami i cofnął się o krok.

– Gotowe.

Dziewczyna–sztucznożyciowiec spojrzała na ostrze Atsushie– go, cały czas znajdujące się o niespełna cal od jej szyi. Chłopiec poprawił chwyt, gotów w każdej chwili rozplatać jej gardło. Kin spoglądał błagalnie na Yukiko. Tancerka burzy stała z ramionami skrzyżowanymi na piersi i przez dłuższą chwilę patrzyła przez zmrużone powieki na członkinię gildii. Deszcz przybierał na sile. Duże, przejrzyste krople tętniły o liście drzew i krzewów dokoła nich. Wszyscy zdążyli już przemoknąć do suchej nitki.

Oczywiście wszyscy oprócz sztucznożyciowca.

– Nigdy dotąd nie widziałam deszczu, który nie byłby czarny – odezwała się sama zainteresowana, unosząc dłonie.

Krople deszczu spływały po jej ciele niczym rtęć ściekająca po kamieniu.

– Jest piękny.

Yukiko wbiła wzrok w ostrze trzymanej przez Atsushiego na– ginaty. Krople wody mieniły się na stali niczym wypolerowane klejnoty.

„Powinniśmy wywieźć się od niej wszystkiego, co się da, po czym zakopać ją w ziemi”.

Buruu wydał z siebie pomruk.

A JEŚLI MÓWI PRAWDĘ? JEŚLI ZROBIŁA TAK, JAK NAM POWIEDZIAŁA?

„Nikt nie opuszcza Gildii. Wszyscy to wiedzą”.

POZA TWOIM KINEM.

„Nie mów tak o nim”.

JEMU TEŻ NIE UFAM, PAMIĘTASZ? ALE BEZ NIEGO ŻADNEGO Z NAS BYTU NIE BYŁO.

„Wiem”.

POWINNAŚ ZATEM TEŻ WIEDZIEĆ, ŻE NIE MOŻEMY ZABIĆ TEJ DZIEWCZYNY BAZUJĄC TYLKO NA PO–DEJRZENIACH.

Yukiko syknęła i potarła pięściami oczy. Ból głowy związany ze zmysłem Przenikania podkładał się z powrotem na paluszkach. Hałas.

Żar. Wszystko to czało się z tyłu jej głowy z ołowianymi dłońmi i zapartym tchem.

– Zdejmij swoją skórę – powiedziała.

– Co? – zapytał Kin, unosząc brew. – Dlaczego?

– Jeśli mamy to zaprowadzić do osady, nie możemy zabierać też czegoś, dzięki czemu Gildia będzie mogła nas wysledzić. Ma zdjąć swoją skórę i mechalicydło. Zakopujemy je tutaj.

– Mechaliczydło już nie działa...

– Takie są warunki, Kin. Zakopujemy skórę tego czegoś albo zakopujemy to coś całe.

– Ona nie jest „tym czymś” – zaprotestował Kin, marszcząc brwi. – Ma na imię Ayane.

Isao skrzywił się gniewnie i pokręcił głową z niedowierzaniem. Yukiko spojrzała na sztucznożyciowca wzrokiem zimnym jak stal i przemówiła lodowatym głosem:

– Twój wybór. Nic chcę być okrutna, ale w obu przypadkach będę miała lekki sen.

Członkini Gildii spojrzała na ostrze przy jej szyi, po czym przeniosła wzrok na Kina. Bez słowa protestu zaczęła odkręcać śruby motylkowe pokrywające jej kombinezon. Następnie sięgnęła za swoje plecy i zaczęła gmerać przy srebrnej kuli, z której wyrastały pajęczaste mechaniczne ramiona. Przez kilka chwil próbowała działać po omacku, co jakiś czas posykując cicho. W końcu dała za wygraną.

– Kin-san, czy możesz mi pomóc? – poprosiła. – Samemu trudno się z tym uporać.

Po krótkim wahaniu Kin obszedł ją dokoła, po czym zajął się przekręcaniem śrub rozmieszczonych wzdłuż jej kręgosłupa i odpinaniem klamer. W pewnej chwili Yukiko usłyszała serię odgłosów przypominających pęknięcie nadmuchanego balonu, dobiegających z całej lśniącej, śliskiej powierzchni ciała sztucznożyciowca, a zaraz potem świst powietrza wdzierającego się pod zewnętrzną powłokę. Sztuczna skóra zwiotczała i teraz wisiała na przybyszce niczym ubranie ze starszego brata. Stwór pociągnął za pas zwalniający biegnący od podstawy czaszki

do samego dołu pleców. Atsushi i Isao przyglądali się z mieszaniną odrazy i fascynacji, jak sztucznożyciowiec zgiął się wpół i opuścił swój kokon niczym po- czwarka przekształcająca się w dorosłego owada.

Pod zewnętrzną powłoką członkini Gildii była owinięta jasnymi parcianymi pasami. Jej skóra była tak blada, że niemal przezroczysta. Na głowie nie miała ani jednego włosa. Była pozbawiona nawet rzęs i brwi. Długie, smukłe kończyny, zwężające się ku koniuszkom palce, gładkie krągłości pokryte czarnymi, lśniącymi metalowymi gniazdami na wtyczki kombinezonu. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż osiemnaście lat. Usta miała pełne, wręcz spuchnięte, jakby ugryzł ją jakiś jadowity owad. Jej twarz miała delikatne, doskonałe rysy – przypominała śliczną buzię porcelanowej lalki wystawionej po raz pierwszy na światło dzienne. Członkini Gildii zmrużyła oczy i uniosła dłoń, osłaniając twarz przed słońcem.

Z niejasnych i niewytłumaczalnych przyczyn Yukiko poczuła, jak zalewa ją fala współczucia i sympatii.

„Jest piękna”, pomyślała.

Kin spojrział na gapiących się na dziewczynę chłopców. Skrzywił się z niesmakiem, zdjął swoją uwagi i okrył nią blade ramiona dziewczyny. Oczom Yukiko ukazały się metalowe gniazda na jego ciele, psujące: harmonię skóry i mięśni. Takie same jak u przybyszki – i w tych samych miejscach: na nadgarstkach, ramionach, klatce piersiowej, przy obojczykach i wzdłuż kręgosłupa. Z tym że do kręgosłupa dziewczyny wciąż przyczepiona była srebrna kula.

Pajęczaste ramiona falowały, cały czas wydając ten okropny, nieludzki klekot.

– To też zdejmij – zakomenderowała Yukiko, wskazując mechaniczne ramiona.

– Nie mogę – odezwała się dziewczyna. Teraz, gdy mówiła bez pośrednictwa swojego kombinezonu, jej głos był miękki i przyjemny dla ucha, z wyraźnie zauważalną nutą strachu. – Są nieodłączną częścią mnie. Są połączone na stałe z moim kręgosłupem.

– Nie kłam.

– Proszę, wcale nie kłamię. – Dziewczyna wykręciła palce u rąk, wciąż mrużąc oczy. Jej źrenice były tak skurczone, że ledwo można było je dostrzec na tle jasnobrązowych tęczęwek. – Równie dobrze mogłabyś rozkazać mi zdjąć nogi.

JEDNOŚĆ Z MASZYNA. SZALEŃSTWO.

Yukiko skrzywiła się, patrząc na lśniące od deszczu, poruszające się bez ustanku srebrzyste palce o zaostzonych końcówkach i grubych stawach. Czując wzbierające nudności, spuściła wzrok na stopy sztucznożyciowca częściowo zagłębione w ciemnej, mokrej ziemi. Ból głowy przesunął się w stronę skroni, przybierając na sile w okolicach potylicy. Szept. Obietnica.

– Zwiążcie jej ręce – rozkazała, spoglądając na Atsushiego. – Wszystkie.

Kin sprawiał wrażenie nieco urażonego jej słowami.

– Yukiko – powiedział – nie musisz tego robić.

– Kin, proszę cię, nie mów mi, co muszę, a czego nie muszę robić.

Dziewczyna–sztucznożyciowiec złożyła swoje metalowe ramiona na plecach, zwijając je niczym kurczące się odnóża umierającego pająka. Zepsute ramię zwisało luźno wzdłuż jej nogi. Atsushi obwiązał ją liną, mocując ręce i mechaniczne wysięgniki do ciała. Dziewczyna wzięła głęboki wdech, zebrała się w sobie i po raz pierwszy uniosła wzrok na Yukiko. Jej głos był ledwo słyszalny w szumie deszczu.

– Dziękuję, że mi zaufałaś – powiedziała.

– Nie ufam ci – odparła Yukiko.

– Zatem... dziękuję, że mnie nie zabiłaś.

– Zabierzmy ją do osady. – Yukiko zwróciła się dwójki zwiadowców, dając im znak ręką. – Isao, zakop jej... skórę tak głęboko, jak zdołasz. Atsushi, chodź z nami. Muszę pomówić z Daichim.

Isao skinął głową i zaczął rozgarniać opadłe liście. Atsushi popchnął dziewczynę styliskiem włóczni. Wystarczająco mocno, aby straciła równowagę i poleciała do przodu. Kin pospieszył na ratunek i chwycił ją, zanim upadła na ziemię.

– Ruchy – warknął Atsushi.

Yukiko podążyła w las za Buruu. Cały czas dokuczały jej nieznośne mrowienie skóry i pulsujący ból głowy. Obejrzała się przez ramię i ujrzała Kina z dłonią zaciśniętą na węzłach liny na plecach Ayane, pomagającego jej utrzymać równowagę na nierównym podłożu. Atsushi kroczył za nimi z twarzą wykrzywioną w złowrogim grymasie.

Ayane szła ze wzrokiem wbitym w ziemię i mówiła cichym głosem. Mówiła cały czas, z przejęciem, wyraźnie bojąc się gniewu ludzi, którzy ją schwytali. Yukiko sięgnęła do umysłów otaczających ich leśnych stworzeń, pozwalając bólowi zalać jej głowę. Dzięki uszom mieszkańców lasu słyszała każde słowo sztucznożyciowca. Widziała ją przez setki par małych oczu. Czowała też bicie setki serc.

Z nosa tancerki burzy zaczęła się sączyć krew.

– Dziękuję, Kin-san – wyszeptwała Ayane.

– Nie masz mi za co dziękować – odparł chłopak, kręcąc głową. – Tutaj robimy to, co jest właściwe. Yukiko jest dobrą osobą, ale nie ufa Gildii. Wiele straciła przez nią i przez szoguna. Tak jak wiele osób mieszkających tutaj.

– Ojca.

– I przyjaciół.

– Czy będą mnie nienawidzić? Mam na myśli Kagé?

– Zapewne. – Kin zerknął przez ramię na Atsushiego i jego broń. – Nie ufają takim jak my... Znaczą takim, jakimi byliśmy.

– Dlaczego więc tu zostałeś?

Kin milczał dłuższy czas. Pozbawioną słów przestrzeń wypełnił siąpiący deszcz. Odgłos kropli spadających na liście wszędzie dokoła nich przypominał stukanie w ziemię wydrążonym bambusowym kijem. Dzięki oczom zwierząt Yukiko widziała, jak Kin wpatruje się w jej plecy. Potem powiódł wzrokiem po lesie, po stopniowo żółknących w jesiennym chłodzię liściach. Na koniec wzruszył ramionami.

– Bo tutaj są rzeczy, które kocham – powiedział. – Ponieważ należę do tego świata, a zdecydowanie zbyt długo siedziałem z boku i tylko patrzyłem, jak się wszystko rozpada. Licząc, że ktoś inny nas wszystkich uratuje.

– Więc teraz ty uratujesz świat, Kin-san? Sam?

– Oczywiście, że nie sam – odparł, kręcąc głową. – Wszyscy dzielimy ten sam los. Po prostu więcej ludzi musi to zrozumieć. Więcej ludzi musi znaleźć w sobie siłę, aby wstać i powiedzieć: dość. Niezależnie od ceny, jaką przyjdzie za to zapłacić.

Ayane zerknęła w bok na Kina i uśmiechnęła się. Jej oczy zalśniły niczym poranna rosa na wypolerowanym kamieniu. W jej głosie spod strachu przebijała wewnętrzna siła sprawiająca wrażenie równie starej co otaczające ich góry i równie niewzruszonej co ziemia pod ich stopami.

– Dość – rzuciła Yukiko.

Ból narastał i przybierał na sile, gorący i ostry. Zbyt dużo, zbyt mocno. Yukiko odcięła się od otaczających ją umysłów, otarła krew z ust i wślizgnęła się na powrót do swojej głowy. Czuła się dziwnie, jak złodziej włamujący się do własnego domu. Buruu rzucił jej spojrzenie z ukosa, ale nic nie powiedział. Nie musiał, jego spojrzenie powiedziało więcej, niż byłyby w stanie przekazać słowa. Tancerka burzy pociągnęła nosem i splunęła słoną czerwienią w mijane krzaki.

Setki małych oczu odprowadzały ich w milczeniu.



Reszta służby nigdy nie używała jej imienia.

Dziewczyna była niska jak na swoje osiemnaście wiosen, wychudzona, z nieciekawą twarzą, zapadniętymi policzkami i wystającą brodą. Zazwyczaj przepocone, kruczoczarne włosy nosiła nierówno przystrzyżone na pazia. Prawe oko zasłaniała ciemna skórzana opaska, spod której widać było bliznę rozdzielającą brew i zachodzącą na policzek. Zdrowe oko było duże, niemal nienaturalnie okrągłe i tak ciemne, że prawie czarne.

Każdemu gościowi w pałacu szoguna wystarczyłby jeden rzut oka na jej bladą skórę, aby odgadnąć, że pochodzi z ziem klanu Lisa. Gdyby ktoś jednak przydybał ją kiedyś z podwiniętymi rękawami bawełnianej kamizeli, na jej prawym ramieniu nie znalazłby klanowego tatuażu. Pochodziła z najniższych warstw społeczeństwa Shimy, co czyniło ją zdatną tylko do najprostszych i najbrudniejszych prac fizycznych.

Stąd też wzięło się jej przydomek.

– Hej! – zawołał ktoś. – Gnojarko!

Dziewczyna zatrzymała się w miejscu, szurając sandałami po wypolerowanych deskach podłogowych. Odwróciła się twarzą do zbliżającej się przełożonej służby, wbiła wzrok w podłogę i złożyła razem

dłonie. Gdy pulchna kobieta z twarzą pokrytą zbyt grubą warstwą pudru stanęła tuż przed nią, dziewczyna poświęciła całą uwagę słojom deski między jej stopami. Na zewnątrz powoli zapadała już noc, ale słysząc było jeszcze tęskny śpiew samotnego wróbla. Czy też raczej kaszel chorego ptaka z płucami wypełnionymi tłustymi lotosowymi wyziewami. Z drzew w marniejącym coraz bardziej ogrodzie opadały już liście. Jesień zakradała się do miasta Kigen i w dzień ubierała wszystko w szarości i rdzawą czerwień. Ale gnojarka przemierzała pałacowe korytarze wyłącznie po zmroku. Im mniej ją widywano w ostrym świetle dnia, tym lepiej.

– Pani? – zapytała uniżenie.

– Dokąd idziesz?

– Do skrzydła dla służby, pani.

– Gdy skończysz, opróżnij naczynia nocne w skrzydle gościnnym.

Dziewczyna się ukloniła.

– Hai.

– No, idź już – burknęła kobieta i machnęła na nią ręką. – I, na miłość Stwórcy, wykąp się jutro. Może i nie ma z nami chwilowo szoguna, ale to wciąż jest jego pałac, a służba w nim to zaszczyt. Szczególnie dla kogoś takiego jak ty.

– Tak zrobię, pani. Dziękuję, pani.

Dziewczyna trwała w głębokim ukłonie, dopóki przełożona się nie oddaliła, po czym skierowała się do kwater służby. Luźne deski słowiczej podłogi ćwierkały i śpiewały pod jej stopami. Pod każdymi z drzwi czekało naczynie z czarnej wypalanej gliny, nieco mniejsze od misy na wodę. W każdym z nich znajdowały się podarki przeznaczone wyłącznie dla niej. Dziewczyna zanosila każde naczynie z osobna do zbiornika kloacznego w odległej części terenów pałacowych. Po pozbyciu się zawartości płukała naczynie w wodzie i zanosila z powrotem do pałacu. Przez cały ten czas obserwowała powolny, uporządkowany chaos dokoła: ministrów, żołnierzy i sędziów knujących szeptem w małych grupkach, starających się uszczknąć jak najwięcej dla siebie z chwilowo bepańskiego stołu, jakim stała się Shima.

A ona krążyła wśród nich wszystkich.

Przełożona służby miała rację – służba w pałacu była zaszczytem, którego dostąpiło niewiele osób z pospólstwa. Burakumini znajdowali się na samym dnie systemu kastowego Shimy. Zatrudniano ich wyłącznie do wykonywania prac uznawanych przez zwykłych obywateli za nieczyste. Oczywiście mężczyźni mogli wstąpić do wojska i odsłużyć dziesięć lat w zamian za przyjęcie do klanu. Ale gnojarka nie miała takiego wyboru. Nawet jeśli czasem miewała samobójcze myśli o zgłoszeniu się jako mięso armatnie rzucane przeciwko gajjińskim działom miotającym błyskawice. Poza tym dla jej ojca pomysł z wojskiem nie skończył się najlepiej...

Opróżniała zatem nocne naczynia w pałacu szoguna. Wyszydzana. Wzgardzana. Nieustannie uświadamiana, że jest niegodna wielkiego zaszczytu, który ją spotyka. Niezależnie jednak od spraw pochodzenia przez dwa lata pracy wśród ociekających bogactwem komnat utwierdziła się w tym, co podejrzewała całe życie – nieważne, z jak honorowego tyłka wypada, gównu zawsze śmierdzi tak samo.

Wróciła do skrzydła dla służby i wsunęła opróżnione naczynie przez specjalny otwór w drzwiach prowadzących do sypialni. I tak raz za razem, kolejne drzwi, kolejne naczynie. Na wszystkich drzwiach lśniły nowe, świeżo zamontowane zamki. Wszystkie służki pani Aishy były objęte aresztem domowym. I tak im się poprawiło – wcześniej siedziały zamknięte w więzieniu Kigen. Po śmierci szoguna Yoritomo w więzieniu osadzono dużą część służby. Zarzucano im albo uczestnictwo w spisku, albo beczynność wobec podejrzanych o to. Ale gnojarka? Nienależący do żadnego klanu, bezużyteczny, bezwartościowy kundel noszący najpodlejsze ubranie dla służby? Przemykała między możliwymi tak samo, jak to dotąd czyniła. Obdarzana co najwyżej pogardą, niezauważona.

Biorąc pod uwagę okoliczności, całkiem nieźle jej się wiodło.

Przykleknęła przy ostatnich drzwiach na korytarzu, sięgnęła za połą kamizeli i wyciągnęła mały skrawek ryżowego papieru oraz kawałek węgla. Obrzuciła spojrzeniem obie strony korytarza, po czym nakreśliła

szybko kilka kanji i wsunęła papier w szczelinę pod drzwiami.

Jedno słowo. Daiyakawa.

Nazwa niewielkiej, praktycznie nieznannej wioski gdzieś na północnych rubieżach ziem Tora, gdzie lata temu żołdacy szogunatu krwawo stłumili chłopskie powstanie. Dla większości mieszkańców stolicy nazwa ta nie znaczyła zupełnie nic. Dla dziewczyny uwięzionej w pokoju, przed którym klęczała gnojarka, znaczyła wszystko.

Kilka chwil później pod drzwiami pojawiła się mała kartka z kanji nakreślonymi szminką.

„Kim jesteś?”

I tak się zaczęła cicha rozmowa. Kartka wysuwana z pokoju, rzut oka na treść, nakreślenie odpowiedzi na odwrocie i powrót papieru przez szczelinę pod drzwiami. Nasłuchiwanie zbliżających się kroków, podczas gdy uwięziona w swoich komnatach dziewczyna pisała kolejną wiadomość.

„Możesz mnie nazywać Nikt, Michi-chan. Kaori przesyła pozdrowienia”.

„Znam cię?”, zapytała w odpowiedzi Michi.

„Służę w pałacu od dwóch lat, ale mnie nie znasz. Kilka tygodni temu przystąpiłam do tutejszej komórki Kagé”.

„Dlaczego dołączyłaś teraz?”

„Słyszałam przemowę tancerki burzy na rynku. Powiedziała, żebym zacisnęła palce w pięść. To z jej powodu jestem tu, gdzie jestem”.

Kolejna odpowiedź przyszła z pewnym opóźnieniem.

„Ja również”.

„Czy możesz uciec ze swoich komnat?”

„Próbowałam. Panele sufitowe przybito dodatkowymi gwoździami, a okno jest zakratowane”.

„Dlaczego wróciłaś tu po śmierci Yoritomo? Musiałaś wiedzieć, że cię aresztują”.

„Nie mogłam zostawić Aishy”.

„Odważne”.

„Słyszałam pogłoski. Ślub? Pan Hiro?”

„Prawdziwie. Rozesłano zaproszenia do przywódców klanów. Ustalono datę na za trzy tygodnie”.

„Aisha nigdy by się nie zgodziła”.

„Nie dano jej wyboru”.

„Możesz z nią pomówić?”.

„Skrzydło cesarskie jest strzeżone lepiej od więzienia. Aisha nie opuszcza swoich komnat”.

„Muszę się stąd wydostać”.

„Sędzia Ichizo ma jedyny klucz”.

Kolejna dłuższa przerwa.

„Nie na długo”.

Nikt usłyszała skrzywienie desek pod czyimiś nogami, a w chwilę potem przyciszone głosy zbliżających się bushich.

„Muszę iść. Gdy będziesz mogła rozmawiać, zapal w oknie czerwoną świecę”.

Dziewczyna szybko wstała, zabrała naczynie nocne i ruszyła w dół korytarza z duszą na ramieniu. Siłą woli zapanowała nad drżeniem rąk i uspokoiła oddech. Strażnicy ominęli ją i jej śmierdzący ładunek szerokim łukiem, nie obdarzając jej nawet przelotnym spojrzeniem. Wszyscy doskonale wiedzieli, kim była. I z tego właśnie powodu wszyscy zawsze ją ignorowali. Taki już był los bez- klanowców w Shimie – bycie traktowanym jak niepełny człowiek. Przez całe życie była chodzącą i oddychającą dziurą w rzeczywistości. Mało kto się do niej odzywał, nikt jej nigdy nie dotykał. Na dobrą sprawę równie dobrze mogła być niewidzialna.

W zaistniałych okolicznościach okazało się to nad wyraz przydatne.

Kiedy byk jeszcze małą dziewczynką, Nikt uważała, że kominy wytwarzają chmury. Pamiętała zabawy z bratem pod murami rafinerii w Yamie. Przyglądali się niesłychanie brudnym dzieciom wchodzącym i wychodzącym na dźwięk gwizdka parowego przez wielką bramę z żelaznych prętów. Pamiętała, jak im zazdrościli pracy w tak magicznym

miejscu. Idąc do domu nędznymi ulicami Dołu, poczuła ukłucie wyrzutów sumienia na wspomnienie tamtej dziecięcej naiwności.

Rafineria chi wyrastała z Zatoki Kigen niczym wrzód na zdrowym ciele. Groteskowa płatanina napęczniałych rur i spuchniętych zbiorników spoglądająca złowrogo swoimi brudnymi szklanymi oczami na labirynt ciasnych zaułków. Wysokie kominy zwieńczone wiecznie włączonymi reflektorami wyrzygiwały w niebo smoliste wyziewy, które szybko opadały i okrywały niszczące rudery wokół kocem dławiących oparów. Z wnętrzości rafinerii wyłaniał się silnie skorodowany rurociąg wysokością dorównujący okolicznym domom. Tuż za murami budynku rury skręcały na północ – nad przelewającymi się powoli czarnymi odmętami rzeki Junsei. Nad śliskimi od tłustej czarnej mazi uliczkami Dołu chyliły się rozpadające domy ze swoimi rozklekotanymi przybudówkami. Była to najtańsza i najpodlejsza część Kigen. Trzeba było być naprawdę biednym lub naprawdę zdesperowanym, aby rozważyć choćby powieszenie kapelusza na kołku w tej okolicy.

Nikt spędził ostatnie osiemnaście lat w skrajnej biedzie i skrajnej desperacji.

Szła w wyświechtanym płaszczu narzuconym na ubranie służącej, z twarzą przesłoniętą brudną chustką. Na głowę wcisnęła szeroki słomkowy kapelusz, opuszczając go tuż nad swoje zdrowe oko, mrużące się w obronie przed promieniami wschodzącego słońca. Gdy skręciła za róg w zaułek prowadzący do budynku, w którym mieszkała, z mroku pod ścianą wyszedł jej na spotkanie niewielki kształt, cichy niczym ostatnie przedśmiertne tchnienie. Stwór był zwały, wielkością niemal dorównywał małemu dziecku. Dzięki niebieskawoczarnej sierści stąpił się ze snującym się po ulicach lotosowym dymem. Brakowało mu obu uszu i połowy ogona, a głowę miał poznaczoną licznymi bliznami, z nędznymi kępkami futra sterczącymi w nielicznych wolnych od ran miejscach. Z pyska wystawał okazały garnitur krzywych zębów. Przedstawiciele jego gatunku byli widywani na ulicach Kigen rzadziej niż diamenty. Teraz szedł ku dziewczynie, spoglądając na nią oczami koloru szczyń na świeżym śniegu.

Kot. Niesamowicie wredny i zaciekły koci pomiot.

Nikt uklęknęła na nierównym bruku i podrapała zwierząka za jednym z oderwanych uszu.

– Cześć, Dakenie. Tęskniłeś?

– Miiiiiaaauurrrr – odpowiedział, mrużąc głośno niczym piła łańcuchowa.

Gdy Nikt weszła po wąskich schodach budynku, kot podążył za nią. Ściany były oklejone plakatami zachęcającymi do wstąpienia do armii Kigen. Zaczęli je rozwieszać wszędzie ledwie kilka dni po śmierci Yoritomo-no-miyi. Przyjmowali każdego biedaka czy bezklanowca, obiecując trzy kwadratowe monety dziennie, czyste łóżko i okazję oddania życia w obronie pustego fotela.

Na czwartym piętrze zrobiła krok nad wychudzoną, sponiewieraną postacią leżącą bez ducha w kałuży własnych wydzielin. Poszarzała skóra, oczy wywrócone przekrwionymi od przedawkowania lotosu białkami do góry. Nikt nie mogła zrozumieć, dlaczego niektórzy wciąż palili to świństwo, chociaż przecież wszyscy już teraz wiedzieli, jakim kosztem uprawiany jest krwawy lotos. Nie zaszczycając nieprzytomnego nędznika kolejnym spojrzaniem, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka.

– Hej, siora – pozdrowił ją Yoshi, unosząc wzrok znad rozłożonych kart. – Co tam?

Jego brat siedział na podłodze przy niskim stoliku założonym kartami i monetami. Czarne włosy miał zaplecione w równe rzędy drobnych warkoczyków luźno opadających na ramiona. Jego przeraźliwie blada, przystojna twarz odznaczała się tymi samymi co twarz jego siostry ostrymi rysami, wystającą brodą i ciemnymi, okrągłymi oczami lśniącymi pod brwiami niczym dwie metalowe gwiazdki. Pod nosem i na policzkach pojawiały się nieśmiało kropki pierwszych włosków zarostu. Był brudny niczym chodzący w chmurach i miał na sobie poplamione ubranie. Na jego głowie tkwił przekrzywiony spiczasty kapelusz z naderwanym rondem. Był rok starszy od niej, ale wciąż nie zaliczał się do grona dorosłych – chude jak szczapy, długie kończyny

dopiero zaczynały nabierać męskiej krzepy.

– W porządku – westchnęła. – Dlaczego ty jeszcze nie śpisz?

– Nie masz jeszcze tylu lat, dziewczyno, żebym nie mógł na ciebie czekać – odparł Yoshi, sięgając po stojącą na stole butelkę taniego ryżowego wina. – Poza tym została jeszcze dobra jedna trzecia.

Nikt skrzywiła się i przeniosła wzrok na chłopca siedzącego po drugiej stronie stołu.

– Wygrywasz, Jurou?

Zapytany uniósł na nią wzrok, gmerając palcami przy swoim stosie miedziaków. Był w wieku zbliżonym do jej brata, lecz niższy od Yoshiego i o ciemniejszej karnacji. Kosmyki lekko kręconych czarnych włosów przesłaniały mętne oczy, sięgając niemal zaczerwienionych od spożytego wina policzków. Z wydętych ust wystawała pusta fajka. Na umięśnionym ramieniu nosił pięknie wytatuowanego tygrysa. Był to widok rzadki na ulicach Dołu i zazwyczaj łączył się z trupem o bardzo pustych kieszeniach.

– Czy wygrywam? Zawsze. – Jurou uśmiechnął się do dziewczyny czarująco, wyłożył klonową kartę i stracił słomkowy kapelusz z głowi Yoshiego. – Do kitu ten twój szczęśliwy kapelusz.

Yoshi zaklął i przesunął po stole wygraną kolegi. Ich mieszkanie było klaustrofobicznie małe. Za jedyne umeblowanie pokoju dziennego służyły niski stolik i zapleśniałe poduszki. Z zawieszonej pod sufitem starej kuli świetlnej sączyło się brudne światło. Na podłodze obok chłopców stała grająca skrzynka. Tania, blaszana puszka z płataniną miedzianych przewodów, skradziona minionej zimy z wozu jakiegoś drobnego handlarza. Przez maleńkie okno wpadało duszne powietrze, niosąc ze sobą dźwięki budzącego się ze snu miasta. Kigen rozprostowywało po nocy swoje odrętwiałe kończyny. Automatyczne rozgłaszacze toczyły się ulicami, co chwilę odzywały się parowe dzwonki rafinerii.

Nikt rzuciła między leżące na stole karty garść miedzianych monet kouka. Trzy prostokąty i dwa splecione paski metalu, wytarte od częstego obracania w tyśiącu dłoni.

Jurou zagwizdał.

– Na jaja Izanagięgo – powiedział. – Miesiąc targania gówna za taką nędzną zapłatę? Dziewczyno, lepiej wyjdiesz na żebracze.

– Skoro tak się o mnie martwisz – odparła Nikt – to lepiej wysłabym też na sprzedawaniu twojego tyłka przy przystani dla lotostatków.

– I w dwa tygodnie oboje przeszlibyśmy na emeryturę jako bogacze.

Dziewczyna zaśmiała się, a Jurou wyszczerzył zęby, nie wypuszczając z nich pustej fajki. Chłopak rzucił palenie lotosu, gdy poznał razem z resztą mieszkańców miasta sposób pozyskiwania nawozu inochi. Nie mógł się jednak wyzbyc nawyku pogryzania ustnika fajki.

– Nie zapomniałaś o czymś? – zapytał Yoshi, unosząc leniwie brew.

Nikt westchnęła, opadła na poduszki i podrapała bliznę wystającą spod przepaski na oku. Następnie sięgnęła pod kimono i wydobyła spod niego ciężki kawałek metalu. Broń miała szeroką na kciuk lufę rozszerzającą się przy wylocie, była matowoczarna i ogólnie brzydka jak dziwka sprzedająca swoje wątpliwe wdzięki za miedziaka. Urządzeniu brakowało symetrii. Była to odrażająca płatanina rur, nitowanej blachy i ołowiu. Wykonaną z wypolerowanego dębu rękojeść zdobiły złote tygrysy. W jednym miejscu w drewnie widniała głęboka rysa, która powstała, gdy broń wypadła z martwej dłoni poprzedniego właściciela i wylądowała na bruku u stóp dziewczyny.

Miotacz żelaza szoguna Yoritomo.

Broń była ciężka, zimna i przesiąknięta śmiercią. Ale Nikt była tam, na rynku Kigen, kiedy palec szoguna pociągnął za spust i lufa splunęła ołowiem w stronę Czarnego Lisa Shimy. Widziała, co ta broń potrafi. Widziała też, co potrafi zdziałać jedna dziewczynka.

To tam wszystko się zaczęło.

– Daj mi to – powiedział Yoshi – zanim sobie stopę odstrzelisz.

Nikt skrzywiła się na słowa brata, ale podała mu miotacz żelaza, mamrocząc pod nosem groźby wymierzone w jego części intymne.

– Zachodzę cały czas w głowę, dlaczego upierasz się nosić to żelastwo ze sobą – wtrącił Jurou.

– Spróbuj wracać samotnie przez całe miasto, będąc dziewczyną –

odparła.

– Powinniśmy to sprzedać. Na pewno jest warte całą fortunę.

– Można dorobić się fortuny, niczego nie sprzedając. – Yoshi wbił wzrok w Jurou. – Poza tym jaki paser byłby na tyle szalony, żeby próbować opchnąć własność szoguna? – Brat dziewczyny pociągnął z butelki solidny łyk i zerknął na siostrę. – Jak było w pracy?

– Wszystkie podkuchenne ciągle paplają o wojnie między klanami – odparła Nikt, wzruszając ramionami. – Klan Smoka szykuje się do zaatakowania Lisów. Krążą pogłoski, że miejscowi bushi zamierzają dzisiaj wykopać z Doków wszystkich gaijińskich kupców. Mają kazać okrągłookim zabierać się z powrotem do Mor– cheby, jeśli chcą jeszcze mieć czym żeglować.

– Zajmujesz się tam czymś innym oprócz plotkowania? – zapytał Jurou z uśmiechem.

– Ja nie plotkuję – odparowała urażona. – Ja tylko słucham.

Daken wszedł na stół i obrzucił obu chłopców nieprzyjaznym spojrzeniem oczu koloru szczywn. Światło lampy błysnęło złowrogo w żółtych ślepiach. Kot parsknął, tak jakby nie odpowiadał mu smród alkoholu, po czym przeskoczył ze stołu na parapet i skoncentrował się na witającym świt mieście, machając miarowo połówką ogona.

Jurou wyciągnął butelkę w stronę dziewczyny. W środku znajdowało się paskudne wino z brązowego ryżu, które okoliczni mieszkańcy nazywali poetycko „seppuku”.

– Łyka?

– Wiesz, że nie piję.

Chłopak wzruszył ramionami i odstawił butelkę na stół. W oddali zadźwięczało sześć uderzeń w żelazny dzwon. Automatyczny rozgłaszacz Gildii telepał się ulicą na gumowych gąsienicach i wydzwaniał godzinę feniksa. Nikt pochyliła się, włączyła ich małą grającą skrzynkę i zaczęła szukać sygnału na falach krótkich.

– Na jaja Izanagiego, tylko nie znowu Kagé... – jęknął Yoshi.

– Nadają jedną godzinę, jeden dzień w tygodniu – warknęła. – A ja co drugi dzień muszę słuchać tych twoich cikliwych seriali. Mógłbyś się

więc zamknąć.

Yoshi przytknął zwinętą w pięść dłoń do ust i zaczął przedrzeźniać spikera radiowego.

– Słuchacie rrrrrrrradia Kagé. Opowiemy wam, jak wspianiałe toczy się nasze życie po śmierci szoguna. Będziemy przed wami roztaczać te piękne wizje przez najbliższe pięć minut lub do czasu, gdy Gildia nas nakryje, kiedy to rozpierzchniemy się szybciej niż pchły, gdy pies się zaczyna drapać. Dziękujemy za uwagę!

– Przynajmniej coś robią – wymamrotała pod nosem Nikt. – Przynajmniej o coś walczą. Walczą o to, żeby zmienić nasz świat, Yoshi.

– Dziewczyno, masz głowę tak napakowaną tym gównem, że aż dziwne, że oko ci nie zbrązowiło.

– Mhm, teraz mam powiedzieć, że moje oko jest brązowe, tak?

– Bogowie! Kiedy to się stało?!

Nikt zgromiła wzrokiem szczerzącego zęby brata.

– Oj, nie gniewaj się, sostro ma. – Yoshi pochylił się, uściśnął ją i głośno cmoknął w policzek. – Wiesz, że tylko sobie z siebie żartuję.

Jurou przejął butelkę z ręki Yoshiego.

– Ale poważnie, dziewczyno – wtrącił. – Gdy tak patrzę, jak się wsłuchujesz w każde słowo tych audycji... Zaczynam mieć wrażenie, że lada chwila zakomunikujesz nam, że przystępujesz do tych głupców...

– Moja siostra może i jest szajbnięta, ale jednak aż tak jeszcze jej nie odbiło – parsknął Yoshi.

Nikt wydeła usta, ale zachowała milczenie. Po długich poszukiwaniach w ogólnym morzu szumów usłyszała nikły trzask. Zmrużyła oczy i całą swoją uwagę poświęciła wsłuchiowaniu się w dźwięki dobiegające z głośnika, powoli, drobnymi ruchami regulując częstotliwość. W końcu zdołała złapać sygnał.

Audycja była zniekształcona i niemożnością było pozbyć się częściowego zaszumienia dźwięku. Nikt ściszyła odbiornik i przysunęła ucho do głośnika. Nie rozpoznawała głosu spikera. Prawdę powiedziawszy, nie należała do Kagé wystarczająco długo, żeby poznać

więcej niż kilku innych członków i jedną kryjówkę na ulicy Kuro. W ten sposób ryzyko było mniejsze. Zarówno dla nich, jak i dla niej. Nikt w miejscowej komórce nie znał prawdziwych imion pozostałych. Wszyscy posługiwali się pseudonimami, aby w przypadku schwytania nie wydać współspiskowców. Kiedy została zapytana przez Szarego Wilka, pod jakim mianem chciałaby być znana, początkowo szukała czegoś romantycznego – brzmiącego egzotycznie lub groźnie. Albo jakiegoś imienia bohatera z bajki dla dzieci. Koniec końców jednak najbardziej pasowało do niej „Nikt”.

Dziewczyna oblizła wysuszone usta i z całych sił wsłuchiwała się w słaby głos.

„...godzina policyjna wciąż obowiązuje, chociaż od śmierci Yoritomo minęło już osiem tygodni. Jak długo rząd będzie kazał obywatelom siedzieć jak więźniowie we własnych domach? Czy dzieci i staruszki przydybane po zmroku bez glejtu biją dla waszego bezpieczeństwa? Czy też może dlatego, że całe oparte na niewolnictwie państwo chwieje się w posiadach? Ponieważ ich lęk przed własnym ludem jest w końcu uzasadniony?”.

„Tancerka burzy rozmyśla wspólnie z dowódcami Kagé i planuje następne uderzenie w ten zbrodniczy reżim, który przez dwa wieki tłamsił naród. Ona jest burzą, która zmyje resztki dynastii Kazumitsu i da początek nowej, świetlanej...”.

Nikt aż podskoczyła na dobiegający zza okna dźwięk ciężkich żelaznych butów uderzających o bruk. Ktoś krzyknął. Dziewczyna skrzyknęła głośności do minimum. Jeden z żołnierzy krzyknął: „Stać w imieniu daimyo!”. Chwilę później z ulicy dobiegły odgłosy szamotaniny zakończone uderzeniem ciała o bruk i urwanym okrzykiem bólu.

– Może wyłącz to na trochę – powiedział Yoshi. – Chyba że chcesz zaprosić tych bushich na herbatę?

Nikt westchnęła i pstryknęła wyłącznikiem grającej skrzynki. Usiadła na poduszce obok brata. Daken wykorzystał okazję i zeskoczył z parapetu na jej kolana. Dziewczyna przeczesła palcami szare futro

kocura, podrapała go za resztkami uszu i zaczęła wodzić opuszkami palców po licznych bliznach pokrywających ciało zwierzaka. Kot zamknął oczy i zaczął mruczeć jak motorowa ryksza.

– Śmierdzi martwym szczurem – jęknął Yoshi.

– Ciekawe. – Nikt powąchała kocura podejrzliwie.

– A zeszłej nocy znowu nasrał nam do łóżka.

Dziewczyna roześmiała się na głos.

– Wiem.

Yoshi dobył miotacza żelaza.

– Jak zrobi to jeszcze raz, może się rozstać z czymś więcej niż uszy i pół ogona.

– Nawet tak nie żartuj – oburzyła się Nikt.

Spojrzała gniewnie na brata i przyciągnęła kota do chudej piersi. Daken otworzył oczy, wbił wzrok wprost w Yoshiego, po czym wydał z siebie niski, groźny pomruk.

– Nie boję się ciebie, demoni pomocię – powiedział Yoshi, machając bronią przed nosem kocura.

Nikt wykrzywiła twarz w lekceważącym grymasie.

– Mały chłopczyk ze swoją dużą zabawką.

– Znowu opowiadałaś jej o mnie, Jurou? – Yoshi spojrzał na koleżkę, unosząc zawadiacko brew, po czym pociągnął kolejny łyk ryżowego wina.

Nikt przyglądała się swojemu bratu z zaciśniętymi mocno ustami, promieniejąc dezaprobatą. Nawet jednym okiem była w stanie wygrać pojedynek na spojrzenia z każdym z nich, Yoshi unikał więc skwapliwie jej wzroku. Nikt przełożyła sobie Dakena przez ramię i wstała z ciężkim westchnięciem.

– Idę spać – zakomunikowała.

– Co? – wykrzyknął Jurou. – Dopiero przyszałaś!

– Wolę iść spać niż przyglądać się, jak się upijacie i ślinicie na siebie nawzajem.

– Cóż, powinnaś wyjść z domu i znaleźć sobie jakiegoś przystojniaka. – Jurou poruszył znacząco brwiami. – Też miałabyś wtedy na kogo się

ślinić.

– Mam już swojego przystojniaka, prawda, Dakenie? – Cmoknęła soczyście kota w policzek i oddaliła się do swojego pokoju. – Tak, mam, mój duży, dzielny mężczyzno.

– Miaaaaurrrrr – oświadczył z zadowoleniem Daken.

Yoshi wpatrywał się w plecy siostry z niewesołą miną.

– Od samego myślenia o tym chce się wydłubać sobie oczy – powiedział, krzywiąc się do kocura zwisającego z jej ramienia i wygrażając mu trzymaną butelką. – Nie żartowałem, ty podły sierściuchu. Jeszcze raz nasrasz nam do łóżka, a nakarmię tobą truposzczury.

Wielki kocur zamrugął. W jego oczach zatańczył błysk tłuczonego szkła. Jego myśli były niczym mruczenie w głowach rodzeństwa. Były czarnym, aksamitnym szeptem w jedwabnej pościeli.

...na twoim miejscu nie spałbym dzisiaj z otwartymi ustami...



Niezależnie od tego, czy jest to śmierdząca dziura w samym środku miasta Kigen, czy wygodny dom z zamkniętymi na głucho oknami w gałęziach wiekowego drzewa sugi, więzienie pozostaje więzieniem.

Pomieszczenie zostało przedzielone na środku grubymi bambusowymi prętami, które oddzielały uwięzioną od strażników. Ayane siedziała oparta o ścianę, z plecami wygiętymi z powodu srebrnej kuli przymocowanej do jej kręgosłupa między łopatkami. Długie, chude pajączki nogi wystające z kuli tkwiły nieruchomo zwinięte przy jej bokach. Tylko zepsute odnóże leżało bezwładnie na podłodze obok dziewczyny. Co prawda przestało tryskać iskrami, gdy znaleźli się pod dachem, ale wciąż co pewien czas dygotało niczym biedne dziecko nękane dreszczami.

– Przykro mi.

Kin stał po drugiej stronie przegrody, zaciskając dłonie na prętach. Leśne powietrze było przesycone wilgocią. Na skórze chłopaka lśniły duże krople potu. Ayane nadal miała na sobie uwagi, którą ją okrył w lesie, chociaż musiała wyrwać w środku pleców dziurę na dodatkowe

kończyny. Ktoś szybko uszył dla niej zbyt dużą liakamę z brudnego, szorstkiego płótna, aby nie siedziała z gołymi nogami. Palce u niemiłosiernie umorusanych stóp podkurczyła z zimna. W deski dachu rytmicznie bębniły krople deszczu.

– Nie ma powodu, by było ci przykro, Kin-san. – Ayane uśmiechnęła się pomimo swojego niewesołego położenia. – Nie możesz winić ich za podejrzliwość. Gdyby jeden z nich oddał się w ręce Gildii, Inkwizycja umieściłaby go w o wiele gorszych warunkach.

– Inkwizycja – westchnął Kin. – Już od dłuższego czasu o nich nie myślałem.

– Czy wciąż śnisz? – zapytała Ayane z rozszerzonymi oczami. – Czy wciąż wraca do ciebie twoja wizja z dnia Przebudzenia?

– Każdej nocy, odkąd skończyłem trzynaście lat.

Ayane westchnęła i wbiła wzrok w podłogę.

– Miałam nadzieję, że... kiedy zostanę odłączona... – Urwała w pół zdania i potarła dłonią nagą skórę czaszki. – Ze wizje odejdą.

– Jaka jest twoja? – zapytał Kin głosem łagodnym niczym dym.

Ayane potrząsnęła głową.

– Nie chcę o tym rozmawiać.

– Twoje „to, co nadejdzie” nie może być gorsze od mojego.

Dziewczyna spojrzała na niego i Kin dostrzegł wzbierający w jej oczach żal.

– Są tajemnice, Kin-san, ale są też głębsze tajemnice.

Ayane przyciągnęła do siebie kolana i objęła je ramionami.

Delikatne kończyny na jej plecach rozwijały się kolejno parami, po czym obejmowały ją, zamykając w kokonie pięciu stóp ostrej stali. Powietrze wypełniło klekotanie setki mokrych szczęk, zagłuszając chłodny szum wiatru w koronach drzew i suchy niczym papier lament opadających liści. Zepsuta kończyna zadrgała, na chwilę oświetlając twarz Ayane błękitno-białymi wyładowaniami.

– Przebywanie poza skórą jest takie dziwne – powiedziała, pocierając z namaszczeniem swoje kolana, tak jakby delektowała się sygnałami wysyłanymi przez nerwy. – A do tego, Pierwszy Kwiecie ratuj, te

zapachy! Oczywiście zdejmowałam skórę w moim siedlisku, ale to było zupełnie co innego...

– Czy ty... czujesz je? – zapytał Kin, wskazując pajęczę odnóża. – Tak jak resztę ciała?

– Nie. – Ayane pokręciła głową. – Ale czuję je w myślach.

– Czy to zepsute cię boli?

– Przyprawia mnie o ból głowy – odparła i wzruszyła wszystkimi kończynami. – Będę musiała się do tego przyzwyczaić.

Kin rozejrzał się po maleńkiej celi, spojrzął na wilgoć osiadającą na skórze Ayane, na krople spływające po żelaznej kłódce. Przypomniał sobie czas, który sam tutaj spędził. Piekący ból oparzeń, którego nie mógł przytępić środkami znieczulającymi. I potęgowane bólem strach oraz niepewność. Puste godziny samotności, nasłuchiwanie odgłosu własnego oddechu, zliczania w głowie nieskończenie wielu minut.

– Mam tutaj narzędzia – powiedział, wskazując pas na swoich biodrach. – Może spróbowałbym je naprawić?

– Czy nie będziesz miał przez to kłopotów?

– Powiedzieli, że masz nie opuszczać celi. I nie opuścisz.

– Kin-san, nie chcę przysparzać ci zmartwień...

Ale Kin już wyciągał z kieszeni pasa niezbędne narzędzia. Uśmiechnął się do niej, unosząc dłoń dzierzącą śrubokręt.

– Odwróć się – powiedział. – Zobaczę, co się da zrobić.

Siedzieli blisko siebie – ona za kratami, on zaś przed nimi. Ich milczenie służyło za tło przyciszonych metalowych pobrzękiwań narzędzi i urządzenia na plecach dziewczyny. Gdy palce Kina tańczyły na złożonym mechanizmie, chłopak uzmysłowił sobie, jak bardzo mu tego brakowało – języka maszyn. Jego poezji. Jego zupełności. Świata rządzonego prawami – niezmiennymi i wiecznymi. Świata mas i sił, równań i kalibracji. Świata o tyle prostszego od świata ciała z całą jego chaotycznością i złożonością.

– Dobrze jest móc znów pracować rękami – wymamrotał przez cztery śruby trzymane w ustach.

– Dziwię się, że nie są pokryte pęcherzami od nadmiaru pracy.

- Nie rozumiem, jak to?
- Wybacz mi. - Dziewczyna potrząsnęła głową. - Odezwałam się nieproszona. Nie powinnam była.
- Kin wyjął śruby z ust i zmarszczył brwi.
- Nie, nie, Ayane. Powiedz, co masz na myśli.
- Chodzi o to... Twoja wiedza mogłaby tak bardzo ułatwić życie tutejszym ludziom... - Dziewczyna zadrżała i ponownie potrząsnęła głową. - Ale nie. Jestem tu gościem. Nie rozumiem ich zwyczajów. Będę milczeć.
- Kin jeszcze bardziej zmarszczył czoło.
- Ayane, ręka Gildii cię tutaj nie dosięgnie - powiedział. - W tutejszych cieniach nie czają się Inkwizytorzy. Tu nie ma kyo- dai gotowych cię ukarać. Nie ma Kwiatów, przed którymi musiałabyś się tłumaczyć. Tutaj należysz do samej siebie i możesz sama o sobie zdecydować.
- Zatem mam też prawo milczeć, czyż nie?
- Ale dlaczego? Jesteś wolna. Czego się boisz?
- Ayane zerknęła przez ramię i jej pajęczce kończyny zafalowały.
- Dziewczyny, której lęka się cała Gildia.

Kaori wbiła w nią wściekle spojrzenie oczu barwy wody spływającej po wypolerowanej stali.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę to tu przyprowadziłaś.

Cztery postacie klęczały w półkolu dokoła paleniska w chacie

Daichiego. Ich twarze rozświetlały jasne płomienie trzaskającego ognia. Byli to członkowie rady wojennej Kagé. Harde spojrzenia, kamienne twarze, odciski od rękojeści mieczy na dłoniach. Była tam oczywiście Kaori z grzywką przesłaniającą twarz, ubrana w proste szaty barwy lasu. Maro i Ryusaki siedzieli obok siebie. Szerokie, płaskie twarze orzechowej barwy, głęboko osadzone oczy sprawiające wrażenie zamkniętych, nawet gdy ich właściciele byli całkowicie rozbudzeni. Głowa Ryusakiego była gładko wygolona.

Jego jedynym owłosieniem były długie, zaplecione wąsy. W niezbyt częstych uśmiechach odsłaniał dziąsła niemal całkowicie pozbawione już zębów. Maro nosił swoje włosy splecione w warkocze wojownika. Miał tylko jedno oko, w związku z czym lewe szkło zsuniętych na szyję gogli zamalował czarną farbą. Bracia byli niegdyś samurajami z oddziału Daichiego. Gdy ich dowódca zdecydował się wymówić służbę szogunowi, podążyli za nim w dzicz. Maro zwykł dowodzić grupami odpowiedzialnymi za podpalanie pól lotosu położonych na południe od gór. Z tego powodu zdawał się być wiecznie otoczony dymem. Ryusaki był mistrzem miecza, nauczycielem Michi. Teraz, w nielicznych wolnych chwilach, uczył szermierki Yukiko.

Daichi klęczał pośrodku z pięściami wspartymi o kolana. Na podłodze przed nim stała filiżanka herbaty. Pogładził palcami swoje długie siwiejące wąsy. Oczy miał tej samej błękitnoszarej barwy co córka. W alkierzu chaty spoczywała jego staroświecka katana – bliźniacze ostrze wakizashi noszonego przez Kaori – w pochwie z czarnej laki zdobionej złotymi lecącymi żurawiami.

Yukiko przycisnęła dłoń do skroni. Miała wrażenie, że ból głowy usiłuje wypchnąć jej gałki oczne na zewnątrz. W żołądku wzbierały coraz silniejsze nudności, a podłoga domu Daichiego zdawała się bujać niczym pokład lotostatku podczas silnej burzy. Próbowwała wyłączyć zmysł Przenikania, ale jakkolwiek się starała, wciąż czuła Buruu czekającego na nią na podeście zaraz za drzwiami. Jego umysł był w jej myślach morzem białych płomieni piekielnych.

– Kaori, do wyboru mieliśmy przyprowadzić ją albo zabić na miejscu.

– Było ją więc zabić – rzuciła ostro córka Daichiego. – W czym problem?

– Nie zabijam bezbronnych dziewcząt z rękami przywiązanymi do boków.

– To nie jest dziewczę – warknęła Kaori. – To pieprzony pomiot Gildii.

Herbata miętowa. Pałacy się cedr. Stara skóra, oliwa do smarowania ostrza miecza, suszone kwiaty. Liczne zapachy wypełniały dom

Daichiego, jej płuca, jej głowę. Za dużo zbyt ostrych doznań przeszywających jej głowę na wskroś. Odniosła wrażenie, że wciąż czuje zapach palonego mięsa, że słyszy skwierczenie swojej wytatuowanej skóry pod rozgrzanym do czerwoności ostrzem noża.

Yukiko wstała i podeszła do okna. Tańczące wesoło płomienie wypełniały każdy zakątek izby nieznośnym ciepłem, łamiąc swoimi palcami poczerniałe polana i dysząc dymem w wysłużony mosiężny komin. Dziewczyna otworzyła okiennice i wdychała łapczywie świeże powietrze przepełnione słodkim zapachem deszczu.

Daichi przyglądał się jej uważnie z troską malującą się w oczach.

– Nikt z tu obecnych nie ma więcej powodów do darzenia Gildii zimną nienawiścią ode mnie, Kaori – powiedziała Yukiko, po czym odwróciła się od okna i wbiła wściekłe spojrzenie w zebranych. – Niemniej jednak mam wątpliwości, czy chcę zostać rzeźniczką.

– Załogi zniszczonych przez ciebie pancerników mogą mieć na ten temat odmienne zdanie – zauważyła Kaori.

– Och, ty pie...

– Wszyscy robimy to, co musi być zrobione, tancerko burzy – wybuchnęła Kaori. – Ciebie to się również tyczy. Gdy na koniec tego wszystkiego weźmiemy kąpiel, wszyscy zabarwimy wodę na czerwono. Lotos musi płonąć.

Yukiko spojrzała na Daichiego, oczekując jakiejś uwagi z jego strony, ale starzec tylko wpatrywał się w swoje dłonie i zachowywał nietypowe dla siebie milczenie.

– Chciałam się was poradzić przed podjęciem ostatecznej decyzji – powiedziała Yukiko i wytarła spocone dłonie w nogawki hakamy. – Przyrowadzenie jej tutaj nie stwarza dla nikogo zagrożenia. Kin zapewnił mnie, że po pozbyciu się jej skóry Gildia nie ma jak jej wysledzić.

– A ty mu uwierzyłaś? – zadrwił Maro.

– Oczywiście. Ufam mu. – Głos Yukiko był chłodny niczym zimowy poranek. – Ocalił mi życie. Ufam mu bardziej niż wam.

– Niezależnie od tego, czy mowa jest o łuskach, czy o mosiądzu, wąż,

którzy zrzucił skórę, cały czas pozostaje węzłem – zauważył Maro.

– W tym chłopaku nie ma stali – dodała Kaori. – Nie ma ognia. Tylko zdrada.

– Jak możesz tak mówić? – Yukiko poczuła, jak policzki zalewa jej fala gorąca, a wspomnienie dotyku ust Kina przebiega dreszczem po jej skórze. – Porzucił wszystko, co miał, żeby tu do nas dołączyć.

– Porzucił wszystko dla ciebie, nie dla nas – odcięła się Kaori. – On nie dba o naszą sprawę. Nic go nie obchodzi rewolucja. Gdybyś' nas opuściła, do jutra by go nie było. To ty jesteś powodem, dla którego tu jest, tancerko burzy. Przejrzyj na oczy.

Yukiko już nabrała powietrza, aby odeprzeć ten zarzut, ale nie znalazła w głowie właściwych słów.

„To ty jesteś przyczyną. Pierwszą i jedyną przyczyną”.

– Nie zebraliśmy się tutaj, aby rozprawiać o tym chłopaku. – Niski głos senseia Ryusakiego przebił się przez wiszące w powietrzu napięcie. – Zebraliśmy się w sprawie tej członkini Gildii. Musimy zdecydować, co z nią dalej zrobić.

– Musimy to zabić – powiedział Maro bezbarwnym głosem. – Oni są jak trucizna. Lotos musi płonąć.

– Zgadzam się – przytaknęła Yukiko. – Bylibyśmy głupi, gdybyśmy temu zaufali. – Powiodła spojrzeniem po twarzach zebranych, odczytując na wszystkich zdziwienie. – Może to sprawia, że jestem suką – dodała – ale nie jestem przynajmniej głupią suką.

– A jeśli dziewczyna nie kłamie? – Głos Daichiego przeciął powietrze niczym ostrze noża. – Jeśli istotnie w Gildii jest więcej takich jak ona?

– To niemożliwe – zachnęła się Kaori.

– Kilka miesięcy temu powiedziałybyś, że spotkanie arashitory jest niemożliwe – odparł Daichi głosem szorstkim niczym żwir na drodze. – A teraz możesz podziwiać jego dostojny majestat przed moim domem.

Wszyscy zebrani wyjrzeni przez otwarte drzwi i spojrzeli na tygrysa gromu wyciągniętego na deskach podestu. Buruu leżał na deszczu i jakby od niechcenia wydrapywał dziury w deskach. Ziewnął, wprawiając całą podłogę izby w dygotanie.

POWIEDZ IM, ŻE NIEGRZECZNIE JEST SIĘ GAPIĆ. NAWET NA DOSTOJNY MAJESTAT.

„Ciiiiszaj! Bogowie, jesteś taki głośny. Wracaj spać”.

Czuła, jak tygrys gromu próbuje się wycofać, świadom jej bólu, starając się wysłać przez łączącą ich więź jedynie ułamek swojego jestestwa. I chociaż jego myśli wciąż płonęły w jej głowie jasnym, niemal oślepiającym płomieniem, to przynajmniej głośność spadła do znośnego poziomu.

JAK MAM SPAĆ, GDY W TWOJEJ GŁOWIE PANUJE TAKI ZGIEŁK?

„Zakładam, że chcesz się podzielić z nami swoją opinią o zaistniałej sytuacji?”.

OWSZEM. ALE WCIAŻ NAPAAM SIĘ TĄ UWAGĄ

O „DOSTOJNYM MAJESTACIE”. DAJ MI JESZCZE CHWILĘ...

– Ojczy, chyba nie masz zamiaru temu zaufać? – zapytała Kaori, klękając przy starcu i kładąc dłoń na jego kolanie.

Daichi sięgnął po stojącą przed nim filiżankę, upił łyk herbaty i odchrząknął.

– Namawiam was jedynie do rozważenia możliwości, że przy– byszka nie kłamie – powiedział spokojnym głosem. – Pomyślcie, ile byśmy zyskali, gdyby wewnątrz Gildii wybuchł bunt. Pomyślcie, jak bardzo moglibyśmy zaszkodzić wrogowi. Dziewczyna może być kluczem do zniszczenia tych handlarzy chi raz na zawsze.

Yukiko spojrzała starcowi w oczy.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli jej ufać – powiedziała.

– Tak sądzisz, tancerko burzy? A jednocześnie zapewniasz nas, że możemy traktować twojego Kina jak jednego z nas?

ACH, TRAFIŁ W SEDNO.

Yukiko skrzywiła się z bólu i przekręciła głowę w bok, jakby ktoś uderzył ją w twarz.

„Za głośno”.

Buruu ponownie wycofał swoje myśli, aż w jej głowie pozostał zaledwie maleńki odłamek jego jaźni.

PRZEPRASZAM. W SUMIE NIE MUSZĘ PRZEKAZYWAĆ SWOICH MYŚLI, SKORO TEN STARZEC PRZEDSTAWIA JE ZA MNIE. BĘDĘ DOSTOJNIE I MAJESTATYCZNIE MILCZAŁ.

– Prosiłam, żebyście mnie tak nie nazywali. – Yukiko skrzyżowała ramiona na piersi, ignorując płynące od Buruu ciepłe zadowolenie z siebie.

– Tancerką burzy? – zapytał Daichi znad filizanki, unosząc wysoko brwi.

– To nie jest moje imię.

– Ale tym właśnie jesteś.

– Wszyscy patrzycie na mnie, jakbym... Jakbyście oczekiwali, że zacznę ciskać piorunami albo że ze śladów moich stóp zaczną rosnąć kwiaty. Niczego jeszcze nie dokonałam, a wy się zachowujecie, jakbym już zbawiła świat.

– Dałaś tym ludziom nadzieję – powiedział Daichi. – To bardzo cenny dar.

– To bardzo niebezpieczny dar.

– Nie bardziej niebezpieczny niż zabicie tej dziewczyny za to, czym była.

– Na wszystkich bogów, Daichi, kiedy przybyliśmy tu pierwszy raz, chciałeś zabić Kina właśnie z tego powodu. A mnie chciałeś zabić z powodu tatuażu, który nosiłam.

– Może czegoś się od tego czasu nauczyłem. Od nowej sensei – powiedział Daichi z uśmiechem. – A ty utrzymujesz, że niczego jeszcze nie dokonałaś.

Yukiko wpatrywała się w starca w milczeniu i bezruchu. Jeszcze nie tak dawno temu stała nad nim w tym samym pomieszczeniu, trzymając nóż na jego gardle. A on błagał ją, żeby go zabiła. Za każdym razem, gdy Daichi się odzywał, Yukiko dostrzegła nowy aspekt charakteru starca. Swoją nienawiść do Gildii i szogunatu trzymał w ryzach za pomocą pewnych dłoni i przenikliwego, wyrachowanego umysłu. Z każdym dniem coraz lepiej rozumiała, dlaczego Kagé poszli za nim. Dlaczego byli gotowi położyć na szali swoje życia, byle tylko przybliżyć ziszczenie

jego wizji.

Wyjaśnienie było proste – Daichi był naturalnym przywódcą. Przywódcą, którym ona raczej nigdy nie zostanie. Ona kierowała się tylko żądzą zemsty. Pamięcią o śmierci ojca, o jego sączącej się z ust ciepłej i lepkiej krwi na jej dłoniach. Myśl o tym pęczniała w głowie i stawała się nie do zniesienia. Pulsowała w rytm bólu tętniącego w podstawie jej czaszki.

– Byłoby to pozbawione symetrii, nieprawdaż? – Daichi zakaszłał silnie, odchrząknął i powiodł spojrzeniem po twarzach zebranych. – Oszczędzić chłopca, lecz zabić dziewczynę?

– Zawsze możemy zabić ich oboje – wtrąciła Kaori.

Yukiko rozmasowała pulsujące skronie i zacisnęła powieki, aby choć na chwilę dać odpocząć przekrwionym oczom. Czuła las wszędzie dokoła niej. Niezliczone życia tuż za oknem. Gorąc i nieustanny zgiełk ich umysłów wzbierający falą w jej głowie. Przypominający lawinę dźwięków harmider. Wstrząsający, wywołujący mdłości, zalewający ją całą niczym wrzący wodospad. Gdy zamknęła oczy i spróbowała stłumić ogień płonące w jej myślach, dostrzegła ku swemu bezgranicznemu zdumieniu i obezwładniającemu przerażeniu, że przez zmysł Przenikania wyczuwa inne tętna, inne bicia serc. Nie były to już tylko ulotne myśli ptaków, nikłe i płochy impulsy małych, ciepłych stworzeń, gorejące bicie serca tygrysa gromu czekającego na nią zaraz za drzwiami.

Czuła też otaczających ją Kagé.

Rozmazane i niewyraźne, składające się wyłącznie z ciepła i światła obce kształty i niemożliwe do ogarnięcia sploty emocji. Wszędzie. Jak rozwiązanie łamigłówek, które raz dostrzeżone zawsze już się będzie widziało. Przypomniała sobie, jak na rynku Kigen sięgnęła do umysłu Yoritomo. Jak schwywanie jego myśli przypominało próbę utrzymania w pięści drobnego piasku. Teraz jednak bez najmniejszego wysiłku czuła umysły wszystkich mieszkańców osady. Niskie buczenie wielu jaźni nałożonych jedna na drugą, osoba po osobie, aż cały świat stał się jednostajnym, bezkształtnym szumem. Yukiko zgięła się wpool, mrugając intensywnie. Buruu wstał i zaskowytał.

SIOSTRO?

Daichi upił kolejny łyk herbaty i zapytał cichym szeptem:

– Dobrze się czujesz, tancerko burzy?

Dziewczyna odgarnęła włosy z czoła. Dotyk opuszków jej własnych palców sprawiał wrażenie uderzeń młotem kowalskim. Spróbowała zamknąć się na świat zewnętrzny, odciąć od całego tego hałasu i gorąca. Zwinąć się w sobie i całkowicie wyłączyć zmysł Przenikania.

„Bogowie, co się ze mną dzieje?”

– Yukiko? – odezwał się ponownie Daichi. – Czy dobrze się czujesz?

Wzięła głęboki wdech, po czym bardzo powoli wypuściła powietrze z płuc. Świat wyciszył się, ale wciąż go czuła – tuż poza jej głową, niczym wodę podczas odpływu uciekającą z powrotem do morza, zbierającą siły na kolejny przypływ. Niczym falę tsunami wzbierającą wysoko, coraz wyżej, aż przesłoni słońce. Ona sama stała w jej cieniu niczym małeńki owad.

– Boli mnie głowa, Daichi-sama.

– Może powinnaś odpocząć? – zasugerowała Kaori.

– Jakże mam odpoczywać? – Zamrugła, próbując skupić wzrok na kobiecie. Miała kłopoty ze złapaniem oddechu, tak jakby przed chwilą zakończyła forsowny bieg. – Gildia Lotosu próbuje odtworzyć dynastię Kazumitsu, a ty mówisz o zabiciu Kina? Powinniśmy mówić o Hiro, o ślubie. O tym, jak ich możemy powstrzymać.

– Komórka z ulicy Kuro już nad tym pracuje – oznajmiła Kaori. – Mamy agenta w pałacu. Do ceremonii zaślubin pozostało jeszcze wiele tygodni. Uspokój się.

– Jestem spokojna!

– Yukiko... – powiedział Daichi.

SIOSTRO.

– Nie, do cholery! – krzyknęła Yukiko. – Jeszcze kilka dni temu cały naród był gotów powstać, a wy teraz siedzicie beczynnienie, podczas gdy okazja się wymy...

–Yukiko!

Tym razem Daichi krzyknął ostrym tonem. Yukiko poczuła się, jakby

została uderzona w twarz. Dużym wysiłkiem woli uspokoiła się trochę i złapała oddech. Wszystkie jej zakończenia nerwowe zalała troska promieniująca od Buruu. Cały świat pulsował. Myśli wszystkich osób zebranych w izbie napierały na jej kruszejącą wątłą tamę. Podłoga pod jej nogami chwiała się coraz mocniej.

– Co? – wysyczała.

– Krwawisz z uszu – powiedział Daichi.

Uniosła dłoń i dotknęła ostrożnie boku głowy. Po szyi ściekały jej dwie strużki lepkiej, ciepłej krwi. Skapujące krople tworzyły na podłodze bliźniacze kałuże. Przed oczami implodowały jej czarne słońca, mikroskopijne osobliwości zapadające się same w siebie i wciągające ją w swoje jądra. Buruu stał tuż przy drzwiach. Jego myśli szalały w jej czaszce niczym potężna burza. Trzask i huk piorunów przeplatał się z białymi rozbłyskami błyskawic. Walczyła o każdy kolejny oddech, o odrobinę miejsca dla samej siebie, o chwilę ciszy we własnej głowie.

Przyływ nadszedł z bezwzględny impetem.

Ściany dygotały, a podłoga pod jej stopami miotła się z boku na bok. Yukiko opadła na kolana, ściskając kurczowo skronie. Usłyszała brzęk ozdób stojących na półkach, stukot spadających na podłogę figur szachowych. Wszyscy wstali, krzyczeli, nie była w stanie powstrzymać ich myśli od zalewania jej głowy i wylewania się z niej przez nos czerwona fala. Filizanka roztrzaskała się o deski podłogi. Katana Daichiego spadła ze ściany. Z zewnątrz dobiegały przestraszone krzyki mieszkańców osady, podczas gdy drzewa drżały aż po korzenie. Wszystko to w jej głowie, splątane, kolczaste, raniące; ich myśli, ich nadzieje, ich strach (o bogowie! ten strach). Wszystko, czym byli, czym mogli być i czym chcieli być. Ich jaźnie wypełniały ją i ściągały ku nieprzeniknionej ciemności otwierającej się pod jej stopami.

YUKIKO!

„Buruu, pomóż mi!”

CO TY WYPRAWIASZ?

„Nie mogę pozbyć się ich z głowy!”

Chaos w jej głowie wleciał na czarnych skrzydłach niczym za-

pomniana bestia czająca się pod łóżkiem w czasach, gdy koc stanowił najlepszą zbroję, a głos jej ojca był jedynym mieczem, którego potrzebowała, by odgonić ciemność. Ale teraz już go nie było. Spłonął na stosie pogrzebowym i udał się przed oblicze wielkiego sędziego Enma-ó. Widziała go wyraźnie, z twarzą umazaną popiołami darów ofiarnych, z trupioblada skórą zwisającą luźno na kościach, z czarną krwią wciąż wyciekającą z dziury w jego szyi. Jej ręce przyciśnięte do rany, usiłujące powstrzymać krwawienie. Ale rana była zbyt poważna, zbyt głęboka. Było już zbyt późno na ratunek. Żar i myśli, i krzyki, i powódzie. Wszystko to wezbrało i wzniosło się, żeby ją pochłonąć. Gdzieś w tej ciemności wyczuwała Buruu, szukającego jej po omacku, płonącego jasnym ogniem w jej umyśle.

PRZYTRZYMAJ SIĘ MNIE.

„Buruu!”.

PRZYTRZYMAJ SIĘ MNIE, SIOSTRO.

Ażurowa płatanina naczyń krwionośnych pulsowała po wewnętrznej stronie jej powiek, rytmicznie tłumiąc wdzierające się z zewnątrz światło.

Sięgnęła ku niemu, ku jej skale, jej kotwicy. Ku temu wszystkiemu, co pozwalało jej utrzymać równowagę w tej miazdzącej powodzi.

Jego skrzydła dokoła niej, woń ozonu, ciepło, pióra miękkie jak puchowa poduszka.

I wtedy osunęła się w ciemność.



8. NIKT

Niezależnie od kształtu linii brzegowej czy barwy horyzontu pod wschodzącym i zachodzącym słońcem zawsze były i zawsze będą trzy rodzaje pijaków.

Pierwszym jest typ jowialny, który sięga po butelkę, gdy ma co świętować. Który pije o kilka kolejek zbyt wiele na uroczystościach i lubuje się w uczuciu towarzyszącym rozszerzaniu się naczyń krwionośnych. Który głośno fałszuje i kłóci się z kumplami o przebieg wojny z gajjinami czy o ostatnią walkę na arenie, nieustannie szczerząc zęby w szerokim uśmiechu. I chociaż nurkuje głęboko w butelkę, nie tonie w niej, a kiedy wzrok sięga jej dna, widzi w nim nieodmiennie odbicie swojej uśmiechniętej twarzy.

Drugim jest typ, który traktuje picie jako wyzwanie. Siedzi w milczeniu nad kubkiem, zmierzając ku otępieniu na złamanie karku – tak szybko, jak tylko jest w stanie przełykać kolejne hausty. Podróż ta nie sprawia mu ani krzty przyjemności, a w towarzystwie nie znajduje pociechy. Dąży jednak wytrwale do celu z gorliwością pozostawiającą głębokie cienie pod jego oczami. Błogi stan nieświadomości. Sen, w którym marzenia sennie są tak głęboko skryte pod ciepłą pierzyną zapomnienia, że ich głosy stają się bardziej cichym buczeniem niż dźwiękiem, niczym kołysanka śpiewana przez matkę w tych niewyraźnych dniach, kiedy słowa jeszcze nie miały

kształtu ani znaczenia.

Był jeszcze typ trzeci... Ojciec panny Nikt.

Siedem odcieni podłości. Butelkę postrzegał jako bramę do ciemności czyhającej wewnątrz. Rozpuszczalnik pozwalający usunąć farbę z przybieranej na co dzień maski, odsłonić glazurę kości i krwi. Wybełkotana wymówka mająca usprawiedliwić to, co się zdarzyło ostatnim razem. I niewypowiedziana obietnica, że zdarzy się to ponownie.

Przyciskał wargi do szyjki butelki niczym do ust kochanki. To było jego ukojenie, które ciągle odkrywał na nowo w te puste dni, kiedy wrócił z za morza, z wojny. Lek mający uciszyć krzyki gajjinów, które wciąż nawiedzały jego sny; uśmierzyć ból tego, co na wojnie stracił. Chociaż był też zapalonym hazardzistą, beznadziejnym i nieporadnym, to butelka była jego największą i najprawdziwszą miłością.

Aleją też kochał. Na swój własny, niezdamny, brzydki sposób. Jej matkę nazywał „suką”, jej brata – „bękartem”. Ale swoją córeczkę? Jego najukochańszą? Jego kwiatuszek? Nawet w najgorszych chwilach zawsze używał jej imienia.

Hana.

Jej najwcześniejsze wspomnienie matki to łzy płynące rwącymi strumieniami z opuchniętych oczu o lśniących błękitem tęczęwkach. Pochylone ramiona, trzęsące się ręce i połamane palce. Wykrzykiwane wyzwiska. Uniesione dłonie, zakrwawione wargi, wypluwane na ziemię zęby. Długie dni bez choćby okrucha suchego chleba dojedzenia. Krótkie, jakże krótkie okresy dostatku: suto zastawionego stołu i maleńkich zabawek (lalki dla niej, żołnierzyki dla jej brata), które wręczał im z tym jego szerokim, szczerbatym uśmiechem. I które po kilku tygodniach zastawiał w lombardzie.

Bieganie razem z bratem po rynsztokach Yamy z resztą sierot alkoholowych, lotosowych lub wojennych. Do czasu, gdy skończyła sześć lat, życie uczyniło ich oboje twardszymi od skóry lotosowca. Przemoc, brud i zakrwawione knykie. Świat przesiąknięty smrodem chi i ekskrementów. Walki na pięści. Potłuczone szkło. Chorzy na czarnopłuco żebracy rozkładający się na ulicach lub wykrztuszający resztki oskrzeli w ciasnych zaułkach, w których dzieci bawiły się, śmiały i zapominały – nawet jeśli

tylko na chwilę. Jednak przez cały ten czas mieli siebie nawzajem. Przynajmniej ona i Yoshi mieli siebie.

Krew nie woda.

Wtedy jej ojciec kupił gospodarstwo rolne. Tak po prostu. Niewielki splotek ziemi porosłej krwawym lotosem w pobliżu Kigen. Owoc szczęśliwej ręki w jednym z licznych rozdań w jakiejś szuler–niyakuzy. Bohater wojenny przemienił się w rolnika. Opuścili więc Yamę lotostatkiem lecącym na południe. Wtedy po raz pierwszy i jedyny w życiu leciała nad ziemią. Niski pomruk silników wibrował w kościach, a wiatr był niczym deszcz delikatnych pocałunków na policzkach. Stała na dziobie i przyglądała się znikającemu pod nimi światu. Marzyła o tym, żeby już nigdy, przenigdy nie musieli zstępować z powrotem z chmur na ziemię.

Yoshi go nienawidził Ale nawet kiedy straciła rachubę, ile razy ojciec spuścił jej bratu lanie, kiedy alkohol zabrał uszysztko, czym był i czym kiedykolwiek mógł zostać, ona wciąż go kochała. Kochała go całym swoim sercem.

Nie mogła nic na to poradzić.

W końcu był jej tatą.

Wygramoliła się z łóżka przed zachodem słońca i wciągnęła na siebie ubranie służącej. W ustach miała parszywy posmak stęchłych spalin. Gdy obmywała twarz w wiadrze letniej wody, pod palcami wyczuła gładką bliznę na policzku i na brwi. Myśli zalały jej wspomnienia płomienia świecy odbijającego się w potłuczonym szkle. Ślina i krew. Poprawiła zakrywającą oko przepaskę, przyglądała, jak mogła najlepiej, niesforne włosy i przygotowała się psychicznie na kolejną noc w pałacu. Zajrzała do sypialni Yoshiego i Jurou. Chłopcy spali twardo, wyciągnięci na brudnych prześcieradłach, miłosiernie nienoszących śladów kocich odchodów.

„Do zobaczenia, Dakenie”.

Kocur siedział na parapecie. Czarna sylwetka odcinająca się na tle nieba, wpatrująca się w nią oczami koloru szczyń.

...uwważaj...

Nikt podniosła miotacz żelaza spomiędzy pustych butelek i rozrzuconych kart. Wsunęła ciężką broń do kieszeni ukrytej pod pachą i poklepała ręką.

„Zawsze uważam. Widzimy się przed świtem”.

...ja cię pierwszy zobaczę...

Przez drzwi i w dół po schodach, między długie cienie na brudnych ulicach. Setki ludzi spieszyły załatwić swoje sprawy przed godziną policyjną. Powitał ją jakże dobrze znany smród miasta – ludzkie ekskrementy, czarna woda morska, wyziewy chi. Jesienny chłód przynosił pewną ulgę po niesamowicie upalnym lecie. Zachodzące szkarłatne słońce wciąż jednak raziło niczym żar bijący od pieca kowalskiego, założyła więc na oczy swoje zdezelowane gogle.

Miejski zgiełk napierał na jej skórę. Nieustający gwar ludzi spieszących do domów, warkot motorowych ryksz, ryk agregatów. Pod tym wszystkim czuła coś jakby bardziej drzenie niż dźwięk – ledwo zauważalny brzęk niezadowolenia. Gniewu. Pod jej stopami potłuczone szkło chrzęściło niczym wysuszone na wiór trzaski czekające tylko na iskrę. Plakaty wzywające do wstąpienia do wojska pokryte były wymalowanymi naprędce znakami kanji. To samo hasło na niemal wszystkich ulicach.

Arashi-no-odoriko nadchodzi.

Przeszła nad smoliście czarnymi rzekami Shoujo i Shiroi prosto w zwartą symetrię Góry. Tutaj nastroje były całkowicie inne. Kupcy neochónin krzatali się nerwowo, przygarbieni i rzucający co chwilę niespokojne spojrzenia na boki. Ich stoiska świeciły pustkami. Gdy dotarła do terenów pałacowych, słońce już składało pocałunek na linii horyzontu. Nikt skłoniła się strażnikom pilnującym bramy i ze wzrokiem wbitym w ziemię wyciągnęła przed siebie swoją przepustkę. Nędzna gnojarka nie była oczywiście warta jakichkolwiek pozdrowień, więc mężczyźni otworzyli tylko bramę i odsunęli się na bok. Myśl o odezwananiu się do jednej z burakuminów wydałaby im się równie absurdalna, co zagajenie do gnoju spływającego rynsztokiem.

Dworzanie tworzyli wielokolorowe węzły i knuli przyciszonymi głosami, z twarzami ukrytymi za aparatami oddechowymi i trzepoczącymi wachlarzami. Oczy mrużyli tak bardzo, że między powiekami pozostawały ledwo widoczne szpary. Nikt mijając ich niezauważona, kierując swoje kroki do skrzydła cesarskiego, od którego zawsze zaczynała swoje nocne obowiązki. Na przesiąkniętym mrokiem dziedzińcu trzy wynędniałe, niemiłosiernie wychudzone tygrysy ugięły się pod ciężarem łańcuchów, sapiąc ciężko, rżąc i krztusząc się zatrutym powietrzem. Gdy dotarła do skrzydła zajmowanego obecnie przez daimyo klanu Tygrysa, słowicza podłoga zaćwierkała, zaświergotała i zaskrzypiała, uprzedzając wszystkich o jej nadejściu.

Gdyby sama podłoga nie wystarczyła, aby odstraszyć potencjalnych skrytobójców, przed tygodniem Gildia wypuściła na korytarze pałacu całą chmarę automatów, które nazywali „pajęczymi dronami”. Mechanizmy były wielkości zaciśniętej pięści. Miały osiem wielostawowych, ostrych niczym igiełki nóg. Co jakiś czas każdy automat był nakręcany specjalnym kluczem. Mechaniczne pająki pełzały po podłodze, ścianach i sufitach, wypełniając korytarze nieustannym tykaniem i cykaniem ukrytych w ich wnętrzościach zębatek i zapadek. Gdy po raz pierwszy zobaczyła pełznący korytarzem automat, podniosła go z ciekawości. Machina zaczęła silnie wibrować w jej dłoni, wydając z siebie powtarzający się bez końca głośny brzęk, który ustał dopiero po odstawieniu „pajaka” na podłogę. Jedna z sympatyczniejszych służących ostrzegła ją, że urządzenia przesyłają wszystko, co widzą, do swoich właścicieli z Gildii. Od tamtego dnia Nikt regularnie spoglądała przez ramię, wypatrując przeklętych mechanicznych szpiegów. Śpiewająca podłoga i ruchome „oczy” Gildii sprawiały, że zgłaszane przez pana Hiro roszczenia do tronu z każdym dniem zyskiwały na sile.

Nikt zatrzymała się przed drzwiami prowadzącymi do komnat daimyo i ukloniła się nisko strzegącym ich Żelaznym Samurajom. Ich złote tuniki świadczyły o przynależności do elity Kazumitsu – strażników rodziny cesarskiej. Obecnie okrytych hańbą, gdyż nie zdołali zapobiec zabójstwu szoguna. Wysocy na siedem stóp, w zbrojach ö-yoroi, z

zespołami tłoków i zębatek, z szerokimi żelaznymi naramiennikami, z łańcuchowymi katanami i wakizashi skrzyżowanymi na biodrach. W dniach poprzedzających śmierć Yoritomo ich pancerze zostały pokryte czarną emalią. Teraz jednak wszystkie były pomalowane na kościaną biel – barwa śmierci powlekała żywych.

Słyszała plotki o wydarzeniach z nocy zamieszek inochi, kiedy rebelianckie radio ujawniło potworności, jakich doświadczali gaijińscy jeńcy wojenni z rąk Gildii. Historie o legionie białych duchów wymaszerowujących z pałacu, aby brutalnie zduścić powstanie w zarodku. O młodym kapitanie prowadzącym natarcie, o zielonym płomieniu lśniącym w jego oczach, jakby w jego źrenicach odbijały się same ognie piekielne.

Ledwo zauważalne skinienie głowy oznaczało, że Nikt może przejść przez drzwi. Trwając cały czas w głębokim ukłonie, z pochylonymi ramionami i wzrokiem wbitym w podłogę, dziewczyna rozsunęła podwójne drzwi.

– Spróbuj teraz – powiedział ktoś metalicznym, syczącym głosem.

Weszła do komnaty oświetlonej migoczącym światłem lampionów, szybko objęła spojrzeniem rozgrywającą się w niej scenę, po czym padła na kolana i przycisnęła czoło do desek podłogi. Przy fotelu terapeutycznym stało trzech członków Gildii. Dwójka była nie do odróżnienia od siebie: postury nieco kobiece, ciała pokryte obcisłymi, brązowymi membranami, na które nałożone były fartuchy z licznymi paskami i sprzączkami. Do ich kręgosłupów przytwierdzone były srebrne kule, z których wystawało osiem długich, ostro zakończonych odnóży tworzących dokoła lotosowców lśniącą aureolę. Postacie te miały gładkie, pozbawione wyrazu twarze i wyłupiaste oczy lśniące krwistoczerwonym światłem.

Trzeciego członka Gildii rozpoznała bez trudu. Był to Kensai, Drugi Kwiat Kapituły Kigen, głos Gildii w stolicy klanu Tygrysa. Jego ciało było ukryte w potężnym, wysokim na ponad sześć stóp kombinezonie z wypolerowanego brązu, pokrytym liniami rzeźbionych mięśni. Oczy lśniły upiornym światłem, a mechalicydło przymocowane do piersi

kombinezonu stukalo i pischalo w niepojetym jezyku maszyn. Twarz wyrzezbiona na przedniej czesci helmu Drugiego Kwiatu przedstawiala obraz wzbudzajacy w patrzacym niejasny wewnetrzny niepokoj: bylo to idealne oblicze pieknego mlodziencza, z ktorego zastyglych w wiecznym niemym krzyku ust wyplywal pek wielosegmentowych zelaznych rurek. Ten widok zawsze wywoływal w dziewczynie zimny, paniczny strach.

– Panie Hiro, proszę – powtórzyl Kensai z zelaznym zgrzytem. – Spróbuj ponownie.

Nikt zaryzykowała spojzenie na postac spoczywajaca w fotelu. Długie ciemne włosy, spiczasta brodka i bystre oczy w barwie jadeitu wydobywanego przez Kitsune. Wyraznie zarysowane, wysokie kosci policzkowe i gladka, opalona skora opinajaca doskonale umiesnione ciało. Mięśnie na jego brzuchu wygladaly, jakby zostaly wyrzezbione z drewna kiri. Nikt stwierdzila, ze kiedyś – w innym miejscu, w innych czasach – moglyby uchodzic za bardzo przystojnego, lecz bezsenne noce pozostawily pod jego pieknymi oczami glębokie cienie, a brak apetytu (dziewczyna zauwazyła juz wczesniej, ze jego posilki zawsze pozostawaly nietknięte) sprawil, ze daimyo schudl i zmizernial.

Hiro uniosl prawe ramie, marszczac mocno brwi, i jeden po drugim zwinal palce dloni.

Niezaleznie od tego, ile razy to widziala, za kazdym razem nie mogla stlumic podziwu dla kunsztu konstruktora. Palce z kulistymi stawami i stalowymi sciegnami. Misternej roboty mechanizm, jednoczesnie odstręczajacy i piekny. Syczacy i warczacy zbior kol zebatych i zapadek wykonanych z matowego, szarego zelaza.

Mechaniczne ramie.

– Doskonale – wysyczal Kensai. – Szybkość reakcji mechanizmu jest bardzo obiecujaca.

– Czy wkrótce bede mogl wladac mieczem? – zapytal Hiro nieobecny, dochodzacy jakby z daleka glosem.

– Z pewnošcia – przytaknela jedna z kobiet-pajaków. Jej srebrzyste ramiona zafalowaly. – Sztuczne ramie jest duzo mocniejsze od zwyklego z mięsa i kosci. Finezja ruchów dlonią dzierzaca broń zalezny jednak od

ciebie, panie. Potrzebujesz tylko treningu, Hiro- -sama. Skóra jest silna, ciało słabe.

- Lotos musi kwitnąć - mruknął Kensai.

Daimyo klanu Tygrysa wstał powoli i zgiął sztuczne ramię do wtóru syku tłoków i wypływanych w powietrze niewielkich chmur spalin chi. Jego prawy bark opasywała żelazna obręcz, pod którą kryło się miejsce styku metalu z ciałem. Lewe ramię pokrywał tatuaż cesarskiego słońca, gorejącego na pięknie wyrzeźbionych mięśniach. Poniżej widniał świeżo wytatuowany pęk kwiatów lotosu wskazujący jego obecną pozycję. Daimyo. Mistrz zaibatsu Tygrysa.

Imponujące osiągnięcie jak na osiemnastolatka.

Hiro zarzucił na siebie luźną jedwabną szatę i w końcu dostrzegł klęczącą na podłodze dziewczynę. Spojrzał na nią akurat wtedy, gdy kolejny raz na niego zerkała. Nikt oblała się rumieńcem i z powrotem przycisnęła czoło do podłogi z łomoczącym szaleńczo ze strachu sercem. Powinna była zaczekać, aż wszyscy opuszczą komnatę. Powinna była zacząć od komnat ministrów. Wtedy nie byłaby mierzona tymi krwistoczerwonymi spojrzeniami...

- Zajmij się swoją pracą, dziecko - powiedział przywódca klanu Tygrysa.

- Wielki panie.

Nikt wstała szybko i ruszyła do zatopionej w półmroku komnaty sypialnej. Przyklęknęła koło nocnego naczynia, wsłuchując się w brzęczenie głosu Drugiego Kwiatu.

- Przywódcy klanu Feniksa przyjęli zaproszenie na twój ślub, wielki panie. „Szybujący Pałac” jest już w drodze. Z zaufanych źródeł wiemy, że wkrótce potwierdzenie nadejdzie również od klanu Smoka. Jak tylko rozniesie się wieść, że Ryu i Fushicho popierają twoje roszczenie, Kitsune prędzej czy później zrobi to samo. A nawet jeśli nie, to gdy tylko Lisy zobaczą twój prezent ślubny, wszelkie myśli o buncie od razu wyparują im z głów.

- Prezent ślubny?

- Hai. Zabiorę cię, panie, do prowincji Jukai na inspekcję. Za mniej

więcej tygodni.

- Nigdy nie przepadałem za niespodziankami, Kensai.
- Niech to zatem będzie ten pierwszy raz, wielki panie.

Nikt wstała powoli ze zmarszczonym czołem, trzymając w dłoniach naczynie nocne.

„Prezent ślubny? Co, na Stwórcę...?”

Ale marudziła już zbyt długo i nie mogła się dalej przysłuchiwać rozmowie. Wyślizgnęła się z komnaty sypialnej ze spuszczonego wzrokiem i przeszła spokojnym krokiem, niosąc swoje gliniane brzemie. Zebrani poświęcili jej nie więcej uwagi niż zabrudzeniu dostrzeżonemu na podłodze. Kobiety-pajaki pakowały swoje narzędzia, a daimyo klanu Tygrysa stał na balkonie, spoglądając na swoje miasto tulone do snu przez zapadający wieczór. Drugi Kwiat tkwił za jego plecami. Powietrze w komnacie wypełniał smród smaru i spalin chi.

-Teraz - przemówił Kensai - musimy pomówić o tej... teatralnej żalobie, którą nosisz wraz z resztą elity Kazumitsu...

Nikt wyszła przez drzwi i minęła czuwających tytanów zakutych w śmiertelnie blade żelazo. Myśli w jej głowie wirowały. Musiała dostać się do kryjówki na ulicy Kuro i zdać raport Szaremu Wilkowi. Ale żeby uniknąć podejrzeń, musiała dotrzeć do końca swojej zmiany z kamienną twarzą, bez okazywania pośpiechu, bez zdradzania trawiącego ją strachu. Musiała być niezmiennie dziewczyną, której nikt nie chciał, której nikt nie znał. Nieistotność w ludzkiej postaci, niewarta większej uwagi czy zainteresowania niż karaluch w szczelinie między kamieniami.

Z każdym dniem powiększający tę szczelinę.

„Jestem niczym”.

„Jestem Nikt”.

Wkrótce potem nadeszło trzęsienie ziemi. Pół minuty drgań podłogi i ścian pałacu, waz spadających z półek i gobelinów zsuwających się ze ścian. Nieregularne wstrząsy przerwały na chwilę knucie misternych dworskich intryg. Oczywiście po ich ustaniu dworzanie wrócili do

przerwanych rozmów, a służący ruszyli spiesznie do sprzątan. Przełożona służby aż kipiała z gniewu, a Nikt, z racji tego, kim była, musiała znosić najwięcej jej krzyków.

Gdy dziewczyna zdołała opuścić pałac, do przebudzenia Pani Słońce pozostało może pół godziny. Szła powoli ze słomkowym kapeluszem nasuniętym głęboko na oczy. Przemierzyła tereny pałacowe i wysła w ten specyficzny miejski spokój, który zawsze panuje przed brzaskiem. Na jednym z rogów pustych ulic spotkała żebraka, który chodził w kółko i powtarzał, że trzęsienie ziemi było wyrazem niezadowolenia Pana Izanagiego, wywołanego zbliżającym się wielkim ślubem. Na jej oczach biedaka opadli bushi noszący barwy Hiro i dotkliwie go skopali. W pewnym momencie kapitan patrolu zauważył dziewczynę i kazał jej się wylegitymować. Nikt pokazała swoją przepustkę i odeszła spiesznym krokiem.

Gdy przekroczyła rzekę i weszła między zabudowania Dołu, światło dzienne wciąż dopiero wkraadało się ospale na wschodni kraniec nieba. Daken czekał na nią w jego zwyczajowym miejscu: wychynął z wylotu zaułka niczym ostrze wyciągane z pochwy. Gdy zamruczał i otarł się łbem o jej twarz, wyczuła w jego oddechu smród niedawno upolowanego truposzczura.

...zobaczyłem cię pierwszy...

„Spryciarz. Chcesz znowu pobawić się dla mnie w czujkę?”. ...idziemy do chudego domu?...

„Tylko na chwilę. Muszę spotkać się z przyjaciółmi”.

...Yoshi idzie?...

„Nie, Dakenie. Yoshi nie może o nich wiedzieć. Moi przyjaciele są tajemnicą, zapomniałeś?”.

...wiele tajemnic...

„Nie powiesz mu, prawda?”.

...tobie jego tajemnic nie wyjawiałem, prawda?...

Kocur obdarzył ją spojrzeniem pełnym samozadowolenia, po czym odwrócił się i szmyrgnął w mrok. Pomimo swoich rozmiarów

Daken wciąż potrafił poruszać się niczym cień, zachowując grobową

ciszę. Ze spadzistych dachów Dołu dostrzegął wszystko w promieniu wielu mil. Widział więcej i lepiej niż ktokolwiek, kto mógłby podążać za nią przez labirynt krętych uliczek Doków. Nikt wsunęła dłonie w rękawy. Ciężar miotacza żelaza pod pachą był bardzo krzepiący. Rozejrzawszy się, ruszyła między bezładnie rozrzuconymi domami w stronę, z której dobiegał niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym smród Zatoki Kigen.

Często zataczała koła i cofała się po swoich śladach, na każdym rogu oglądając się przez ramię, studiując odbicie ulicy w szybie każdej mijanej witryny sklepowej. Tak jak ją nauczyli. W szeregi Kagé weszła dość szybko – okoliczności wymuszały pośpiech. Gdy patrzyła, jak tancerka burzy zabija Yoritomo, gdzieś w środku Nikt poczuła rozbłysk małej iskry, która na mgnienie oka oświetliła całkowicie dotąd ciemny zakątek jej umysłu. Myśl o zbuntowaniu się – nie tylko o stanięciu z boku, lecz także o działaniu wprost wbrew władzy – nigdy dotąd nie zawitała jej w głowie jako coś, co naprawdę można zrobić. Ze zdziwieniem odkryła jednak, jak szybko mogą skruszeć filary podtrzymujące pozornie niewzruszony światopogląd, gdy na twoich oczach szesnastoletnia dziewczyna zabija władcę całego cesarstwa. W obliczu tak ważkiego wydarzenia rzeczy dotąd uchodzące za niemożliwe stają się prawdopodobne.

Kłopot polegał oczywiście na tym, że nie miała zielonego pojęcia, jak się skontaktować z Kagé. Nie wiedziała, jak mogłaby się dostać do grona spiskowców. Z braku chrustu do podtrzymania ognia iskra wewnątrz niej zamigotała i przygasła. Yoshi zadbał o to, żeby nie brała udziału w zamieszkach inochi. Powiedział jej wprost, że metodyczne zabijanie tysięcy gaijińskich jeńców na potrzeby nawożenia lotosu w żadnym wypadku nie powinno ich obchodzić. Ale wtedy tancerka burzy wróciła w czasie pogrzebu Yoritomo i wygłosiła swoje przemówienie na rynku. A kiedy wyłowiła Nikt z tłumu i spojrzała wprost na nią, iskra w środku dziewczyny rozbłysła jasnym płomieniem. Gdy po zakończeniu przemowy tancerka burzy uleciała ku niebu, Nikt ze łzami w oku unosiła w górę zaciśniętą pięść, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wiedząc, że

postępuje głupio. Ale wtedy już była przekonana i podjęła decyzję, że musi coś zrobić.

Następnego dnia odbyła rozmowę z Szarym Wilkiem.

Kryjówka buntowników mieściła się w niepozornym budynku wciśniętym między dwa magazyny w pobliżu górujących nad miastem iglic cumowniczych. Ulica Kuro była bardzo wąska. Uparte chwasty przebijały się tu i ówdzie przez szczeliny w bruku, walcząc o życie w dławiającym smogu. Wszystkie okna były zabite deskami. Przed budynkiem kręciły się ulicznice z papierowymi parasolkami pokrytymi szarymi plamami od toksycznego deszczu. Rynsztoki były pełne śmieci, ćpunów i chorych na czarnopłuco żebraków. Dla niewprawnego oka był to najzwyczajniejszy fragment dzielnicy portowej, niczym nieróżniący się od reszty okolicy.

Nikt skinęła głową jednej z czujek Kagé (była nią dwunastoletnia dziewczyna o niepojętym pseudonimie „Rzeźniczka”, która miała zadziwiająco niewyparzoną gębę i klęła gorzej od niejednego szewca), po czym podeszła do drzwi w wąskiej ścianie frontowej budynku. Zapukała cztery razy i odczekała, aż chuda, starszawa kobieta otworzy. Ubranie staruszki było ciemne, kontrastujące z siwymi włosami zaplecionymi w jeden warkocz. Usta przesłaniała jej czarna chusta. Kobieta chodziła przygarbiona, palce powykręcał jej reumatyzm, a liczne, głębokie zmarszczki zdradzały długie lata znoju i udręki.

– Szary Wilku – powiedziała Nikt i się skłoniła.

Staruszka kiwnęła głową.

–Wejdz.

Przeszły przez wąską jadalnię i zeszyły po trzeszczących schodach do obskurnej piwnicy. Ścianki działowe zostały wyburzone, łącząc pomieszczenia piwniczne trzech sąsiednich budynków. W kilku miejscach znajdowały się schody prowadzące w górę. Na jednej ze ścian wisały mapy miasta. Obok, na długim stole, stał imponujący zestaw sprzętu radiowego, nad którym nachylała się młoda kobieta o sennym spojrzeniu. Pracowała z lutownicą nad układami wewnątrz radiostacji. Kilka innych postaci stało w różnych częściach pomieszczenia. Gdy

staruszka i Nikt zeszy z góry, wszyscy zamarli. Największy spośród zebranych, olbrzym o potężnych mięśniach i dłoniach jak łopaty, otaksował dziewczynę bystrym wzrokiem.

– Kto to jest? – zapytał.

– Nasza przyjaciółka z pałacu – odparła Szary Wilk. – A teraz chodź tu i się przywitaj, grubianinie. Może i jesteś wielki, ale nie na tyle, żebym nie sięgnęła twojej głowy drewnianą chochlą.

Mężczyzna uśmiechnął się, przykuśtykał do nowo przybyłych, wyraźnie oszczędzając prawą nogę, i się uklonił. Nikt szacowała różnicę wzrostu między nimi na dobrą stopę. Mocna szczeka, gruba szyja, policzki pozbawione dotyku brzytwy od co najmniej kilku tygodni. Na prawym ramieniu nosił piękny tatuaż przedstawiający feniksa. Na lewym widniało cesarskie słońce (Nikt szybko się dowiedziała, że spiskowcy w mieście nie wypalali swoich tatuaży). Po obu stronach przystojnej twarzy zwisały mocno zaplecione warkoczki. Harde spojrzenie nieco traciło na sile perswazji z uwagi na głębokie cienie pod oczami. Przy jego obi wisiała kusarigama. Ostrze sierpa było niemal całkowicie ukryte w fałdach brudnych, zatłuszczonych spodni.

– Nikt – zwróciła się do niej Szary Wilk – tego nieogolonego kłoca nazywamy Myśliwym.

Dziewczyna się ukloniła.

– Wybacz mi obcesowość, ale przynoszę wieści.

Matczyny uśmiech w okamgnieniu zniknął z twarzy staruszki.

– Co się stało, moje dziecko?

– Przywódcy klanu Fushicho udzielili swojego poparcia panu Hiro. Przybędą na ceremonię zaślubin i jest niemal pewne, że poprą jego starania o tytuł szoguna. Ryu najwyraźniej również są gotowi przewrócić się na grzbiet i wystawić brzuchy na pieszczoty.

Szary Wilk westchnęła i pokręciła głową.

– Takłatwo. Miałam nadzieję...

– Złożone przysięgi wiążą ich z krwią Kazumitsu – wszedł jej w słowo olbrzym. – Jeśli dynastia przetrwa, przetrwa również ich zobowiązanie. Ale jeśli nie dojdzie do ślubu, żadne moce piekielne nie zmuszą

Smoków do ukłonienia się komuś takiemu jak Hiro. Dysponują zbyt potężną armią, żeby się tak upodlić. A Feniksy nienawidzą kłaniania się komukolwiek.

– Kitsune wciąż nie odpowiedzieli. Może Lisy zdecydują się...

– Błagam o wybaczenie – tym razem starszycie przerwała Nikt – ale to nie koniec. Drugi Kwiat mówił o prezencie ślubnym dla pana Hiro. Że zobaczy go podczas inspekcji w prowincji Jukai.

Myśliwy uniósł brew.

– Jaki prezent? – zapytał.

– Nie wiem – odparła Nikt. – Może Gildia tam coś buduje? Jakąś broń?

Szary Wilk zwróciła się do jednego z mężczyzn stojących przy radiostacji.

– Wróblu, powiadom Iishi i zapytaj ich, czy członek Gildii tancerki burzy wie coś o tym.

– Co u Michi? – zapytał Myśliwy. – Udało ci się z nią skontaktować?

– Wciąż jest w areszcie domowym – odparła Nikt – tak jak i wszystkie pozostałe służki Aishy. Pan Hiro wyznaczył swojego kuzyna, Ichizo, na Najwyższego Sędziego. On osobiście przesłuchuje wszystkie dziewczęta.

– Cóż, przynajmniej nie siedzi w więziennej celi. – Olbrzym odetchnął z ulgą. – Mówiłem jej, żeby tam nie wracała...

– Powiedziała, że nie może porzucić...

...strzeż się...

Myśli Dakena rozbłysły w jej myślach za sprawą Przenikania, nieco przytłumione dzielącą ich odległością, ale wystarczająco wyraźne i pulsujące nagłą. Czują, jak kocur przemierza dachy na północ od niej. Przez chwilę patrzyła przez jego oczy na panoramę miasta. Słońce powoli wstawało na wschodzie, od zatoki płynął mdlący odór.

„Co się stało?”

...nadchodzą mężczyźni żelazne ubrania wielu...

„Żołnierze?”

...tak...

– Na bogów – wysapała Nikt, rozglądając się wokół i rozcierając

spoczone dłonie. – Musimy uciekać.

– Słucham? – zapytała Szary Wilk, marszcząc brwi. – Co ty...

– Idą tu bushi – nie dała jej dokończyć dziewczyna. – Bardzo wielu. Musimy stąd uciekać. Teraz.

– Nie słyszałam sygnału od żadnej z naszych czu...

Z poziomu ulicy dobiegł dźwięk gwizdka. Dwa krótkie tony. Stłumione i nerwowe. Po chwili sygnał został powtórzony, bliżej, od strony wąskich schodów.

– Poranny nalot... – wyszeptła staruszka.

W odczuciu Nikt następna chwila trwała całą wieczność. Szary Wilk i Myśliwy wymienili spojrzenia. Twarze lekko im pobladły, źrenice trochę się rozszerzyły. Do głowy dziewczyny przenikały naglące myśli Dakena. Widok bushich w krwistoczerwonych tunikach biegnących zaułkami w stronę kryjówki. Nagle wszyscy obecni w piwnicy zaczęli się szybko poruszać. Chwyтали broń i sprzęt radiowy, zdierali mapy ze ścian. Myśliwy złapał Nikt za ramię i spojrzał jej prosto w zdrowe oko z poważną miną.

– Ktoś za tobą szedł? – zapytał grobowym głosem.

– Oczywiście, że nie!

– Na pewno?

– Moja czujka dostrzegła ich przed waszymi!

Szary Wilk wydawała polecenia pozostałym Kagé. Jej głos był spokojny niczym powierzchnia stawu w bezwietrzną noc i twardy jak wielokrotnie skuwana stal.

– Wszyscy wiecie, co robić. Sprawdzajcie skrzynki kontaktowe. Z nikim się nie spotykajcie, z nikim nie piszcie, dopóki nie dostaniecie od nas nowych rozkazów. A teraz znikajcie, szybko!

Kagé już wbiegali po schodach do okolicznych budynków. Kilkoro z nich rzuciło Nikt wrogie spojrzenia. Olbrzym wciąż się w nią wpatrywał z wyraźnie wypisanym na twarzy gniewem. Szary Wilk musiała dźgnąć go w pierś, aby zwrócić na siebie jego uwagę.

– Powiedziałam: znikajcie. Już! I zabierz ze sobą tę dziewczynę!

– Oszałałaś? – warknęła Myśliwy. – Nigdzie jej nie zabieram.

– Zaraz, myślisz, że was zdradziłam? – zapytała z niedowierzaniem Nikt.

– Chcesz, bym uwierzył, że ten nalot to zwykły zbieg okoliczności? – odpowiedział pytaniem.

– Gdybym chciała wydać kryjówkę, zdradziłabym im po prostu, gdzie was szukać! Musiałabym być niespełna rozumu, żeby przychodzić tutaj tuż przed nalotem!

– Może jesteś niespełna rozumu – odparował olbrzym.

Nikt się skrzywiła.

– Z całym szacunkiem, Myśliwy–sama, ale możesz mnie pocałować w...

Z góry dobiegł do nich krzyk bólu. Zaraz potem usłyszeli tupot wielu nóg, odgłos dobywanej broni i szczęk stali uderzającej o stal. Okrzyki wzywające w imieniu daimyo do poddania się. Stek niesamowicie barwnych wyzwisk płynący z ust Rzeźniczki.

Szary Wilk uderzyła olbrzymą otwartą dłonią w ramię.

– Powiedziałam: znikajcie, ale już!

– A co z tobą? – zapytał Myśliwy.

– Potrafię o siebie zadbać – odparła staruszka. – Ta dziewczyna to nasze jedyne dojście do pałacu. Potrzebujemy jej. Zadbaj więc o jej bezpieczeństwo.

Olbrzym zaklął szpetnie i spojrzał w górę, na deski sufitowe trzeszczące i jęczące pod ciężarem walczących. Znad nich dobiegały odgłosy bijatyki i rzucane co chwila wyzwiska.

– W porządku, chodź.

Olbrzym chwycił ją za dłoń i – zanim zdołała zaprotestować – pociągnął w stronę schodów po lewej stronie. Stopnie zaprowadziły ich do opuszczonego magazynu. Myśliwy holował dziewczynę za sobą tak szybko, jak tylko umożliwiała mu to ranna noga. Dopadli tylnych drzwi i wyszli przez nie na ciasny, ciemny i śmierdzący zaułek. Zza ich pleców dobiegł odgłos tłuczonego szkła, a zaraz potem ochrypliły krzyk. W myślach Nikt rozbłysło jaskrawe światło. Poczwała Dakena przemykającego dachami. Przymknęła oko i spojrzała przez ślepieca

kocura. Bushi nadchodzili ze wszystkich stron. Ulica, którą tu przysła, była zasłana ciałami. Część leżała posłusznie na brzuchu z dłońmi złożonymi na głowach. Reszta spoczywała na popękany bruku w różnych pozycjach, wykrwawiając się na śmierć. Myśliwy pociągnął ją w kierunku zachodnim, ale dziewczyna szarpnęła się mocno i pokręciła głową.

– Nie tędy – powiedziała.

– Co?

– Tam jest ich zbyt wielu. Chodź.

Olbrzym zawahał się i nie ruszył z miejsca. Próba pociągnięcia go za sobą przypominała przeciąganie liny z górą. Nikt jednak szarpała go za nadgarstek tak długo, aż w końcu mężczyzna drgnął i ruszył za nią. W powietrzu unosił się coraz wyraźniejszy smród szcurzych sików. Gdy biegli, przed nimi pierzchały na boki smukłe ciała pokryte szarym futrem. Ziemia pod ich nogami była zasłana pustymi butelkami, ludzkimi odchodami i zmiętymi gazetami. Wypadli na zatłoczoną ulicę. Myśliwy coraz mocniej kulał. Serce Nikt łomotało w piersi w opętającym tempie. Sięgnęła po wiszące na szyi gogle i założyła je, aby ochronić się przed rdzawym światłem dnia wbijającym ostre szpile bólu w jej zdrowe oko. Na ścianach wisiały plakaty zachęcające do wstąpienia do wojska zamazane grubymi znakami kanji głoszącymi buńczuczne ostrzeżenie.

Arashi-no-odoriko nadchodzi.

Dotarli do jednej z głównych ulic, przemknęli przez otwartą przestrzeń i wpadli w kolejny wąski zaułek. Przeciskali się między ścianami, brodząc po kolana w odpadkach. Nikt poprawiła chwyt spoczonej dłoni na nadgarstku Myśliwego. Z oddali dobiegły ich kolejne krzyki, śpiew stali uderzającej o stal i huk podkutych żelazem butów uderzających o bruk.

– Skąd wiedziałaś, którądy uciekać? – wysapał olbrzym.

– Zaufaj mi.

Ruszyli dalej. Biegli tak szybko, jak tylko pozwalała ranna noga Myśliwego. Mężczyzna spieszył w ślad za dziewczyną ze zlaną potem,

wykrzywioną w grymasie bólu twarzą. Wolną dłoń przyciskał do prawego biodra, poniżej którego nogawka nasiąkała świeżą krwią. Dwie przecznice dalej, gdy Nikt już zaczynała mieć nadzieję, że uciekli prześladowcom, usłyszała w głowie ostrzegawczy szept sunącego po dachach Dakena. Kilka uderzeń serca później przed nimi rozległy się okrzyki zwielokrotnione odbijającym się od budynków echem. Podkute buty zadudniły na kamieniach bruku, ludzie pierzchali na wszystkie strony. W ich kierunku biegło dwóch bushich z pochylonymi naginatami.

– Stać, w imieniu daimyo! – ryknęli.

Myśliwy przeklął pod nosem, przygarbił się i wyszarpnął dłoń z uchwytu dziewczyny.

– Cholerna noga... – westchnął, po czym odwinął kusarigamę z pasa, chwycił sierpowato wygięte ostrze w potężną dłoń i skinął na dziewczynę. – Uciekaj. Najlepiej nie przestawaj biec. A jeśli to ty nas wydałaś, oby Enma-ó rzucił cię po śmierci na pożarcie wygłodniałym umarłym.

Olbrzym stanął na drodze szarżujących żołnierzy, popuszczając łańcuch broni i kręcąc nim nad głową. Jeśli mu się poszczęści, zabije jednego żołnierza, zanim drugi przebije go swoją włócznią. Nie miał jednak najmniejszych szans na ujście z życiem z tej walki. Nikt strzepnęła pot z rzęs, widząc oczyma duszy nieuchronny koniec – Myśliwego upadającego na ziemię z przebitą klatką piersiową i połamanymi żebrami. I siebie samą, uciekającą do swojego małego mieszkania i małego życia, całkowicie odciętą od Kagé, podczas gdy wszędzie dokoła niej wydarzenia wymykają się spod kontroli...

Otaksowała wzrokiem nadbiegających żołnierzy. Wyglądali na świeżych rekrutów, ledwo kilka lat starszych od niej. Szkarłatne tuniki narzucone na segmentowe napierśniki, haftowane tygrysy, czyste, nowe chusty. Młodzieńcy wychowani najpewniej na tych samych wąskich ulicach, co ona. Zwabieni do wojska obietnicą otrzymywania regularnych posiłków i poczucia przynależności.

Myśliwy cisnął kusarigamę i owinął łańcuchem drzewce jednej /.

włócznie. Olbrzym szarpnął, pozbawiając atakującego równowagi, i uderzył go twardym jak skała łokciem w twarz, wybijając szczękę ze stawu. Kagé błyskawicznie ciął żołnierza sierpowatym ostrzem głęboko w szyję, po czym odepchnął przeciwnika zalewanego krwią obficie tryskającą z przeciętej arterii. Towarzysz nieszczęśnika ryknął wściekle i natarł, celując szpicem włócznie w serce Myśliwego.

Nikt uniosła dłoń pełną żelaza.

Huk wystrzału ogłuszył ją na chwilę, a odrzut poderwał wysoko ramię i wyrwał z jej ust krzyk strachu. Bushi chwycił się za szyję. Spomiędzy palców trysnęła fontanna krwi. Żołnierz zawirował, zakrzuszył się czerwona pianą i upadł z łomotem na bruk.

Myśliwy wpatrywał się w nią oniemiały. Między nimi unosiła się strużka dymu ulatującego z lufy miotacza żelaza.

– Jeśli Wielki Sędzia wyśle wygłodniałych umarłych choćby w moje poblizze – wysapała Nikt – skopię go po jajach tak mocno, że będzie miał trzy grdyki.

– Skąd, na wszystkie piekła, to wytrzasnąłaś?

...więcej nadchodzi uciekaj uciekaj...

– Później – rzuciła Yukiko. – Musimy uciekać.

Olbrzym schylił się, ze stęknieniem wyszarpnął ostrze z szyi żołnierza, po czym wytarł rękawem twarz z kropli krwi.

...przyjacieli?...

Nikt spojrzała na pobliski dach. Na tle krwistoczerwonego nieba dostrzegła zarys sylwetki Dakena: czarny cień na okapie, spoglądający w dół na zalany krwią bruk. Kot przesunął wzrok na martwych bushich i się obliznął.

„Może...”.

– Myśliwy, musimy ruszać...

– Mam melinę w północnej części Dołu. – Olbrzym owinął kusarigamę na powrót wokół swojego pasa. – Kawalek stąd, ale możemy tam przypaść na pewien czas.

Nikt spojrzała na jego nogę i na coraz większą plamę krwi przesiąkającą przez nogawkę hakamy.

– Mieszkam dużo bliżej – powiedziała. – Łatwiej tam dotrzeć.

– A będziemy tam bezpieczni?

– Bezpieczniejsi niż tutaj, na środku ulicy.

Myśliwy rozejrzał się i spojrzął na stygnące truchła u jego stóp.

...nadchodzą...

– Musimy ruszać – ponagliła go. – Jeśli wciąż sądzisz, że to ja sprowadziłam tu bushich, dlaczego niby miałabym jednego z nich zastrzelić? Dlaczego teraz nie przestrzeliłam ci zdrowego kolana, żebyś nie zdążył uciec, zanim nadejdzie pomoc?

Myśliwy oblizał pot z warg i spojrzął jej głęboko w zdrowe oko. Po chwili powoli skinął głową.

– W porządku.

– Nazywam się Hana – powiedziała Nikt. – To znaczy: to moje prawdziwe imię.

Do ich uszu dobiegły z oddali tupot nadbiegających żołnierzy i gorączkowe nawoływania. Gdzieś zabrzmiał żelazny dzwon. Olbrzym pociągnął nosem i naciągnął kapelusz głębiej na głowę, przesłaniając rondem twarz.

– Akihito – powiedział. – Przyjaciele mówili mi Akihito.



9. WYCZERPANE SERCE

Na świecie nie było dość łez, by ukoić jej żal.

Wszędzie dokoła rozlegały się głosy kami bambusa, duchy pędów poruszanych łagodnym wiatrem. Mała dziewczynka stała nad grobem brata z przekrwionymi oczami i opuchniętymi policzkami. Pani Słońce wypełniała polanę smugami znienawidzonego światła. Na kamieniu leżącym na grobie wyryto jego imię, dzień śmierci i dzień narodzin – ten ostatni taki sam jak jej.

Dziewięć lat temu. W tym dniu.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Satoru – wyszeptala Yukiko.

Od ataku węża minęły trzy miesiące. Trzy miesiące rozpamiętywania chwili, w której jej brat bliźniak skonał na jej rękach. Czuli się, jakby ktoś wydał część niej samej; jakby bogowie odłamali fragment jej duszy. Matka zatraciła się w żalu. Ojciec – w poczuciu winy. A Yukiko? Ona nie mogła sobie poradzić z potwornością tego, co się wydarzyło. Teraz, gdy nie było już przy niej brata, z którym mogła dzielić każde przeżycie, świat wydawał się zbyt ogromny, straszny i opustoszały. Pustka, której nic nigdy nie mogło wypełnić. Dłoń, której nikt nigdy już nie uściskał. Pytanie, na które nikt nigdy nie odpowiedział.

– Ichigo.

Głos ojca dobiegł zza niej. Wołał ją, używając jej pieszczotliwego

dziecięcego przezwiska. Nie odwróciła się, tylko tkwiła w miejscu, spoglądając przez łzy na łożo ostatniego spoczynku jej brata.

Masaru ukląkł obok niej na ciepłej ziemi. Łagodny wiatr uniósł jego długie włosy i połaskotał ją w nasiąknięte łzami policzki. Dotknął jej dłoni delikatnie jak opadający płatek śniegu. Wtedy dopiero na niego spojrzała, na człowieka, którego nazywała ojcem, a którego tak naprawdę ledwo знаła. Ciemna, ogorzała od wiatru twarz, szelmowska i przystojna. Długie włosy, ciemne włosy z pierwszymi śladami siwizny na skroniach. Ciemne, skrzące się, ruchliwe oczy.

Gdy z bratem dorastali, nigdy go przy nich nie było. Ciągłe wyruszał na kolejne wielkie polowania na każde skinienie szoguna. Co pewien czas wracał do ich małej doliny, rozpieszczał ich przez dzień lub dwa, po czym znów znikał na całe miesiące. Ale zawsze przynosił bliźniakom prezenty. Zawsze potrafił przywołać uśmiech na ich twarze. A gdy bralją pod ramiona i sadzał sobie na barana, aby chodzić z nią po bambusowym gaju, czuła się wielka niczym olbrzym i groźna niczym smok.

– Czy skończyłaś się pakować? – zapytał.

Yukiko zamrugała, unikając jego spojrzenia. Nie sądziła, że zostało to już postanowione. Nie sądziła, że jej matka kiedykolwiek się na to zgodzi. Myślała, że może po tym, jak jej brat...

– Więc mimo wszystko przenosimy się do pałacu szoguna?

– Musimy, Ichigo. Mój pan i władca rozkazał, a ja muszę mu być posłuszny.

– A co z Satoru? – wyszeptwała. – Będzie całkiem sa...

Słowa uwięzły jej w gardle. Przeniosła wzrok z powrotem na grób u jej stóp. Łzy wezbrały za tamą oczu, a w gardle napęczniała dławiąca gula gorąca. Zewsząd otaczała ją ziejąca pustka. Świat zbyt wielki, by przemierzała go sama.

– Mam coś dla ciebie – powiedział jej ojciec. – Twój prezent urodzinowy.

W wyciągniętej ręce trzymał białe pudełko przewiązane czarną wstążką. Nie można jej winić za to, że promienie słońca odbijające się od czarnego jedwabiu przyspieszyły jej tętno; że niezliczone niespodzianki, które mogły się kryć w tym pudełku, na chwilę uciszyły myśli o utraconym bracie. Przecież miała wtedy dopiero dziewięć lat.

Wciąż była tylko małą dziewczynką.

Wzięła pudełko w obie dłonie. Okazało się zaskakująco ciężkie.

– Otwórz – powiedział jej ojciec.

Pociągnęła za koniec wstążki i przyglądała się, jak kokarda rozwija się i jedwab opada po obu stronach. Piękno spoczywającego w środku przedmiotu zaparło jej dech w piersiach. Pochwa z lakierowanego drewna, czarna jak oczy jej ojca i gładka jak kocie pazury. Obok zaś lśniące w promieniach słońca sześć cali skuwanej stali tak ostrej, że gotowa była przeciąć dzień na pół.

– Nóż!?

– Tantó – wyjaśnił. – Wszystkie damy dworu takie noszą.

– Ale do czego będzie mi potrzebne?

– Obroni cię. – Ojciec wyjął pochwę z pudełka, włożył do niej ostrze i wetknął broń za fałdy obi na plecach swojej córki. – Obroni cię, kiedy ja nie będę mógł tego zrobić. W ten sposób nawet gdy nie będzie mnie w pobliżu, wciąż będę przy tobie.

Silne ramiona objęły ją w pół i uniosły ku niebu. Nic nie mówił, po prostu trzymał ją na wyprostowanych rękach, bujając w przód i w tył, i pozwolił się wyplakać. Yukiko otoczyła drobnymi rączkami jego szyję i ścisnęła mocno, tak jakby ojciec był jedyną rzeczą, która ratowała ją przed utratą zmysłów, przed osunięciem się w zimną ciemność.

Masaru przycisnął usta do jej policzka, łaskocząc wąsami.

– Będę przy tobie – powiedział.

Zawsze potrafił przywołać uśmiech na jej twarz.

Miękkość na skraju świadomości, atłasowy ciężar na powiekach. Język zbyt duży jak na jej usta. Świat bujał się w rytm melodii, której nie mogła usłyszeć. Gdy otworzyła oczy, cały pokój zawirował.

– Nie śpisz – powiedział Daichi.

Kami wiatru jęczały na zboczach odwiecznych gór, duchy szumiały w gałęziach drzew, na których wybudowano osadę, przynosząc ze sobą rzeźką zapowiedź nadchodzącej zimy. Yukiko z jękiem powoli usiadła i zacisnęła na powrót oczy. Puls całego świata huczał pod jej skórą. Myśli

wszystkich zwierząt, mężczyzn, kobiet i dzieci w okolicy nakładały się jedne na drugie, tworząc w jej głowie bezkształtną kakofonię. Wyszukała po omacku stojący obok jej łóżka do połowy opróżniony dzban sake i wychyliła solidny haust alkoholu. Daichi wymruczał coś zatroskanym głosem, spróbował odebrać jej butelkę, ale ona odepchnęła go i dalej wlewała do gardła roztopiony ogień, usiłując wypełnić pustkę wewnątrz niej.

–Yukiko...

– Przestań, proszę – jęknęła, zwijając się w kłębek i przyciskając do skroni zwinięte w pięści dłonie. – Daj mi parę chwil, choć parę chwil.

Starzec w milczeniu siedział przy jej łóżku ze skrzyżowanymi nogami, z rękoma złożonymi na kolanach wnętrzami dłoni ku górze. Z kataną przewieszoną przez plecy przypominał posąg wojownika z zamierzchłych czasów. Kamienny bezruch stanowiący całkowite przeciwieństwo kipiącego chaosu w jej głowie.

Choćby zerknięcie do Przenikania przypominało wpatrywanie się gołym okiem prosto w słońce. Yukiko miała wrażenie, jakby jej gałki oczne zamieniały się w rozżarzone węgle. Wyczuła jednak Buruu grzmiącego pod całym tym zgiełkiem niczym łoskot odległego gromu. Sięgnęła do niego mimo bólu przeciążonych synaps, aby choć na chwilę dotknąć jego umysłu i dać mu znać, że już nie śpi. W końcu sake zaczęło działać. Na głowę dziewczyny opadł czarny aksamit i przytłumił hałas i żar otaczającego ją świata. Spokój stopniowo wypełniał ją od stóp do głów przyjemną ciężkością, spychając Przenikanie w zaciszny kąt umysłu i dławiąc je aż na skraj zaduszenia.

Nie wiedziała, jak długo tak leżała – zwinięta w pozycji embrionalnej w ciemnym, matczynym cieple. W końcu jednak uchyliła nieznacznie powieki i ujrzała starca wciąż siedzącego przy jej łóżku z wyraźnie wypisaną w stalowoszarych oczach troską. Odkaszlnął raz, drugi, jakby walczył z chęcią odezwania się, otarł dłonią usta, po czym po dłuższej chwili uniósł wzrok i spojrzał jej w oczy.

– Yukiko, co się z tobą dzieje?

Głos miał szorstki i chrapliwy. Mokra chrypa typowa dla ludzi

nadużywających fajki, tak podobna do brzmienia głosu jej ojca, że Yukiko przez chwilę sądziła, że śni.

– Nie wiem – odparła, kręcąc głową i walcząc z zeszywnieniem języka.
– Słyszę wszystko. Zwierzęta, ludzi. Wszystkich. W głowie, w środku.

Starzec zmarszczył brwi.

– Ich myśli? – zapytał.

– Hai. To jest tak, jakby wszyscy krzyczeli... naraz. To jest ogłuszające.

Daichi pogładził w zamyśleniu wąsy.

– Przyczyna?

– Nie wiem. Ojciec nigdy mi o tym nie mówił. Nikt mi nigdy nic nie powiedział.

– Nie chciałbym cię niepokoić... – starzec zawiesił głos i oblizał wargi – ale sądzę, że wywołałaś dzisiaj trzęsienie ziemi.

Yukiko wpatrywała się w niego z lekko opadniętą szczęką, mrugając bardzo powoli.

– Nie pamiętasz wstrząsów? – zapytał Daichi. – Drzew dygoczących niczym wystraszone dzieci, kiedy upadłaś na kolana?

– Nie – wyszeptała na granicy słyszalności. – O, bogowie...

– Czy nie możesz nad tym zapanować?

Yukiko spojrzała na starca zamglonym wzrokiem. Sake rozgrzewało ją od środka i sprawiało, że powieki coraz bardziej jej ciążyły. Nogi zaczynały się trząść. W ustach jej zaschło.

– Mój ojciec... Sądzę, że chyba palił liście lotosu, żeby to uciszyć. Alkohol też zdaje się to tłumić.

– To wygląda na niebezpieczną drogę. Taką, na której końcu nie czekają żadne odpowiedzi.

– Wiem – westchnęła, ledwo panując nad swoim językiem. – Naprawdę to wiem. Nie chcę się chować na dnie butelki.

– Kaori powiedziała mi o ptakach. Tych, które zabijały się o ściany twojej sypialni.

– Buruu powiedział, że zrobiły to dlatego, że krzyczałam. W ich głowach.

– A teraz mówisz, że słyszysz już myśli nie tylko zwierząt, ale ludzi też?

Yukiko milczała. Wiedziała już, do czego zmierza Daichi. I zdecydowanie jej się to nie podobało.

– Zapomnij na chwilę o trzęsieniu ziemi – powiedział starzec. – Nie myśl o tym, że potrafisz zatrząść gruntem, po którym stąpasz, gdy się zdenerwujesz. Pomyśl o tym, co jeszcze może się stać, gdy następnym razem stracisz panowanie nad sobą.

– Czy chcesz powiedzieć...

– Nie wiem jeszcze, co chcę powiedzieć. Zastanawiam się jedynie, czy może następnym razem to nie ptaki będą próbowały uciszyć twój krzyk w swoich głowach, lecz ludzie. – Daichi zatoczył ręką szerokie koło. – My.

– Bogowie...

– W rzeczy samej.

Yukiko zamrugała. Zimny strach ścisnął jej żołądek. Wcześniej nawet przez myśl jej to nie przeszło...

– Daichi, nie wiem, co robić – wyszeptła, przeczesując palcami włosy.

– Nie mam kogo zapytać, jak nad tym zapanować. Nie mam nauczyciela, nie mam ojca. Nikogo.

Daichi splótł palce i oparł na nich brodę, marszcząc czoło w głębokim zamyśleniu. Milczenie się przeciągało. Chwile stawały się minutami, a bruzdy na czole starca tylko się pogłębiały.

– Nie chciałem ci tego mówić – odezwał się w końcu. – Powinienem był ci to powiedzieć po tej sytuacji z ptakami, ale żywiłem nadzieję, że sprawa nie jest tak poważna. Poza tym prawda jest taka, Yukiko, że nie możemy sobie pozwolić na stracenie ciebie.

– Nie rozumiem...

– Wiem, gdzie możesz znaleźć odpowiedzi, których szukasz. Jeśli te odpowiedzi w ogóle istnieją. – Starzec zakaszłał, po czym otarł usta rękawem, krzywiąc twarz. – Na wyspie Shabishii, daleko na północ, niemal na samym skraju cesarstwa, znajduje się pewien klasztor. Powiada się, że tamtejsi mnisi przechowują tajemnice tego świata wytatuowane na własnych ciałach.

– Aby nikt ich nie poznał?

– Aby nie popadły w zapomnienie. Ich zakon powstał w pierwszych latach panowania cesarzy z dynastii Tenma, kiedy cesarscy cenzorzy zaczęli palić „niemoralne” dzieła. Mnisi wytatuowali więc na swojej skórze starożytne teksty, największe sekrety, aby nie padły one ofiarą arogancji i pychy cesarstwa. Bo trudniej jest zabić człowieka niż spalić pergamin.

Yukiko uniosła brew.

– A co się działo po śmierci mnicha?

– Nie wiem. – Daichi ponownie zakasał i potarł dłonią gardło z grymasem bólu. – Nie wiem nawet, czy klasztor wciąż tam jest. Słyszałem, że został zniszczony. Niektórzy powiadają, że jest przeklęty.

– Ludzie mówią to samo o tych górach.

– Tak jest w istocie – zgodził się Daichi z uśmiechem. – Żywię nadzieję, że Bractwo Tatuazy podsyca te pogłoski z tych samych powodów, z których my to robimy. Aby odwrócić od siebie spojrzenie niepożądanych oczu.

– Bractwo Tatuazy...

– Tak ich zwano.

Yukiko wzięła głębokimi, drżącymi wdechami i otarła usta wierzchem dłoni. Gdzieś za oparami sake, daleko poza mgłą, w którą się zanurzyła, wciąż to słyszała. Tę kakofonię głosów, piekło czekające na nią w jej własnej głowie.

– Ale ślub... – powiedziała. – Aisha, dynastia... Nie mogę teraz odejść.

– Widzę, że rozumiesz nasz dylemat. Obecnie potrzebujemy ciebie i Buruu bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. I gdyby stawką było jedynie życie kolejnych paru ptaków, zaryzykowałbym twoją dalszą obecność tutaj. Ale mieszkańcy osady... Żony i córki, mężowie i synowie...

– Stanowią dla nich zagrożenie.

Starzec westchnął, wpatrując się w swoje dłonie, jak gdyby spodziewał się znaleźć w nich odpowiedzi na dręczące go pytania.

– Hai.

– Tak więc mogę zaryzykować lot na daleką północ, co może się okazać całkowitą stratą czasu, albo zostać tutaj i zaryzykować

doprowadzenie do śmierci wszystkich mieszkańców osady? Takie mam możliwości?

Daichi uśmiechnął się niepewnie.

– Nikt nie powiedział, że życie tancerki burzy będzie łatwe.

Yukiko przycisnęła pięści do skroni, usiłując stłumić tępy, pulsujący ból czający się tuż pod odrętwieniem przyniesionym przez sake. Cierpienie, ból i wzbierający przypływ. I spychający je na bok prosty, niezaprzeczalny fakt – wybór, który przedstawił jej Daichi, tak naprawdę nie był żadnym wyborem. Jej droga została już za nią wybrana. Teraz musiała tylko nią podążać. A każda chwila stracona na bezczynność przybliżała tylko zaślubiny Hiro i Aishy. Ale pomimo to...

Pomimo to...

– Załatwimy to prędko – powiedziała. – Polecimy na Shabishii najszybciej, jak tylko zdołamy, i postaramy się uzyskać odpowiedzi, których potrzebujemy. Przynajmniej wśród chmur nie będzie mnie dręczyć tyle głosów.

Daichi skinął głową.

– Wrócisz akurat na czas, aby nie dopuścić do ślubu. Przy odrobinie szczęścia.

– Wiesz, co mówią – powiedziała Yukiko ze znużonym, bezbarwnym uśmiechem. – Kitsune dba o swoich...

– Będę się modlić, aby tak było w istocie.

Daichi wyciągnął w jej stronę rękę i ujął ją za dłoń. Na palcach miał łatwo wyczuwalne zgrubienia, a skórę pokrywały plamy wątrobowe i głębokie zmarszczki. Yukiko podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Wtedy, przez krótką chwilę, ujrzała człowieka kryjącego się za maską, którą starzec nosił na co dzień. Za żelazem, w które zakuł swoją duszę. Sprawiał wrażenie niesłychanie starego, uginającego się nisko pod wieloma warstwami trosk, zmęczonego ponad ludzkie wyobrażenie. Jego uśmiech był blady.

– Wiem, o co cię prosimy, Yukiko – powiedział. – Widzę, ile cię to kosztuje.

Poszukała w jego oczach śladu wzgardy, ale go nie znalazła. Słowa

kłębiące się w niej sprawiały wrażenie, jakby żyły własnym życiem, kotłując się w gardle, domagając się wymówienia na głos. Zaciśnęła wargi i toczyła z góry skazaną na niepowodzenie walkę o powstrzymanie słów. Gdy ostatecznie ją przegrała, jej głos był zaledwie szeptem, dodatkowo przytłumionym zasłoną włosów.

– Wszystko to jest zbyt ciężkie, bym to udźwignęła, Daichi. – Dziewczyna wzięła drżący oddech, po czym wypuściła powietrze z westchnięciem. – Bycie... tym. Tancerką burzy. Czuję się jak bezczelny oszust. Jak mała dziewczynka tupiąca nogami i krzycząca, że świat jest niesprawiedliwy.

– Dajesz ludziom nadzieję, Yukiko. Siłę w sercu wszystkiej siły. Kroki, które teraz wykonujesz, te pierwsze kroki, one są zawsze najtrudniejsze. Ale po śladach, które za sobą zostawiasz, pójdą potem tysiące.

– Czasem tak bardzo się boję. Myślę o ojcu... – Yukiko pokręciła głową. – Nie oplakałam go nawet jedną łzą, wiedziałeś o tym? On nie żyje, a ja nie potrafię się zmusić do płaczu.

– To nie strach powstrzymuje twoje łzy, Yukiko-chan – powiedział Daichi niskim głosem, przez który przebijała się szorstka chrypa. – To wściekłość.

– Buruu powiedział mi to samo. Powiedział też, że to mnie wypali od środka.

– Nie. – Daichi nachylił się do niej i wbił w nią intensywne spojrzenie. – Nie. Posłuchaj mnie, dziewczyno. Rozejrzyj się. Spójrz na świat, jaki ci pozostawili. Czerwone niebo. Czarne rzeki. Góry kości. Powinnaś być wściekła. Powinnaś kipieć ze złości.

Ścisnął jej rękę tak mocno, że aż ją zabolowały palce.

– Dawno minął już czas na okazywanie strachu. Umarł wraz z ostatnim feniksem i ostatnim motylem. Umarł, kiedy za wygodę, jaką dają nam maszyny, zapłaciliśmy szlachetnością naszych dusz. Jeśli będziemy pielęgnować nasz strach, tak jakby był zesłanym nam błogosławieństwem, nic się nie zmieni. Jeśli lękamy się zniszczyć stare, bo w wyniku tego możemy coś stracić, nigdy nie zbudujemy nic nowego.

– Nie jestem pewna, Daichi-san, czy potrafię stać się tym, kim chcesz, żebym została.

Starzec wyprostował się i puścił jej dłoń.

– Ja jestem tego pewny – powiedział.

Sięgnął za siebie, zdjął z pleców wiekową katanę i wyciągnął ku niej na otwartych dłoniach. Yukiko z zapartym tchem wodziła oczami po pokrytej lśniąca laka pochwie zdobionej złotymi żurawiami. Słowa, które padły z ust starca, tańczyły na jej skórze niczym drobne wyładowania elektryczne.

– Dzierżyłem ten miecz w wielu bitwach. Ale żadna z nich nie mogła się równać z tą, która dopiero nas czeka. Dlatego też ofiarowuję go tobie, gdyż potrzebujesz go bardziej ode mnie.

– Bogowie – wyszeptła. – Daichi, nie mogę tego przyjąć od Ciebie...

– Owszem, możesz. – Starzec przesunął pieśczośliwie dłonią po rękojści w swoistym geście pożegnania. – I ofiarowując ci ten miecz, nadam mu również imię. Od tej pory zwać się będzie „Yofun”.

– Gniew – wyszeptła tancerka burzy.

– Mój dar dla Ciebie, Yukiko-chan – powiedział, kiwając głową. – Posłuż się nim, aby wyciąć do szczytu swój lęk, tak aby nic po nim nie pozostało. Szanuj go. I przyjmij te słowa prawdy, które teraz wypowiem, nawet jeśli miałabyś odrzucić wszystkie inne: największa burza w historii Shimy czeka, szybując w przestworzach, aż ją nazwiesz. Twój gniew może kruszyć góry i obracać wniwecz całe cesarstwa. Może zmienić kształt świata, w którym żyjemy. – Włożył miecz w jej rękę, cały czas spoglądając na nią zimnymi stałowoszarzymi oczami. – Twój gniew jest darem.

Kin siedział samotnie na moście sznurowym, dyndając nogami nad przepaścią, wsłuchując się w odgłosy powoli dobiegającego końca dnia. Ta przemiana zawsze niezmiennie go fascynowała: stopniowe przejście barwy światła od miedzi do kasztanu, następnie przez zaschniętą krew aż do braku światła – do smolistej czerni. Gdy noc zarzucała na świat swój

koc, najśłabsze odgłosy, które za dnia ginęły w ogólnym szumie i zgiełku, były wyraźnie słyszalne.

Gdy był młodszy, zamknięty w swojej skórze, odgłosy świata zewnętrznego dobiegały do niego stłumione metalem i częściowo zagłuszone nieustającym klekotem mechaniczdyła. W Kapitulie Kigen nie było okien, nie był więc nigdy w stanie określić, czy na zewnątrz jest właśnie dzień, czy też panuje noc. Łuna padająca od palników była dla niego blaskiem świtu, a migoczące halogenowe dyski były jego gwiazdami. Pierwszy zachód słońca zobaczył dopiero w wieku czternastu lat, na pokładzie „Dziecięcia Gromu”, gdy opuszczali Zatokę Kigen. Nadal potrafił sobie przypomnieć ucisk w piersi, jaki poczuł na widok kuli oślepiającego światła opadającej poniżej horyzontu, od której cała wyspa zdawała się płonąć. W tamtej chwili cały świat składał się z ognia i wyciągniętych czarnych cieni sięgających ku niemu niczym ręce dawnych, zapomnianych już przyjaciół. Widok ten całkowicie zaparł mu dech w piersi. Przez krótką, przerażającą chwilę sądził, że miechy jego skóry przestały działać. Że się dusi.

W górach Iishi słyszał tysiąc drobnych głosów wśród szepczących liści. Westchnięcia i jęki desek pod nim, krzyki ptaków nocnych wypatrujących zdobyczy, pieśń owadów tłoczących się wśród delikatnych palców pnączy glicynii. Cichy odgłos zbliżających się kroków.

Kin skoczył na równe nogi, serce podeszło mu do gardła.

– Yukiko?

– Cześć, Kin.

Wyciągnął do niej ręce, niezręcznie i niezgrabnie, czując się jak skończony idiota, i przyciągnął ją do siebie. Dziewczyna przycisnęła czoło do jego piersi i westchnęła.

– Martwiłem się o ciebie – wyszeptał.

Gdy uniosła twarz, by spojrzeć mu w oczy, i uśmiechnęła się, wyczuł w jej oddechu ostry zapach trucizny. Dostrzegł też pewną nieobecną szklistość w jej spojrzeniu.

– Wszystko ze mną w porządku.

Niechętnie puścił ją i usiadł z powrotem na deskach mostu. Yukiko siadła obok niego, zwieszając nogi między sznurami i machając nimi w przód i w tył jak małe dziecko. Oczy lśniły jej odbitym światłem opadającego ku zachodowi słońca. Dostrzegł lekki rumieniec na jej policzkach i butelkę sake w dłoni. Starał się nie gapić na przewieszoną przez plecy katanę.

– Pomyślałam, że chciałbyś się dowiedzieć. – Pociągnęła solidny łyk z butelki i zamknęła oczy. Gdy się ponownie odezwała, mówiła przez ściśnięte gardło. – Daichi i rada osady głosowali. Ta dziewczyna sztucznożyciowiec będzie żyła. Oczywiście będą ją trzymać pod kluczem, ale jej nie zabiją.

– To dobrze – powiedział Kin, ponownie zerkając na butelkę sake. – Cieszę się.

W pogłębiającym się półmroku zaśpiewała para wróbli, życząc sobie dobrej nocy. Z każdą chwilą ciemność zakradała się coraz bliżej na aksamitnie cichych stopach.

– Gdzie jest Buruu? – zapytał chłopak.

– Łapie ryby – odparła ze zdawkowym uśmiechem. – Obzera się przed naszym odlotem. Ma apetyt jak lotosowy ćpun na głodzie. Mam nadzieję, że da radę w ogóle wzbic się w powietrze.

– Przed waszym odlotem? Dokąd leccie?

– Na północ. Na wyspę Shabishii.

– Czy... Czy mogę polecieć z wami?

Yukiko westchnęła i otarła czoło wierzchem dłoni.

– Nie sądzę. Twoje myśli są w mojej głowie płataniną cierni. – Uniosła butelkę i zachlupotała zawartością. – Tylko to je ucisza.

– Moje... myśli?

– I nie chodzi tylko o ciebie – kontynuowała, zataczając butelką krąg obejmujący całą osadę. – Chodzi o wszystkich. Wszystkich was. Nie potrafię się od was odciąć. Nie sądzę więc, żeby przebywanie w towarzystwie ludzi było teraz najlepszym pomysłem.

– To... – Kin szukał właściwych słów, potrząsając głową. – To jest...

– Niewiarygodne? – Yukiko westchnęła. – Przerażające?

– Co to powoduje?

– Tego mam właśnie zamiar się dowiedzieć na Shabishii. Muszę się nauczyć panować nad tą mocą. Muszę to zrobić, zanim ona zapanuje nade mną. Bo wtedy będę stanowiła zagrożenie dla wszystkich wokół mnie. – Wyciągnęła rękę w bok i położyła swoją dłoń na jego. – Łącznie z tobą.

– Czy sprawiam ci teraz ból? Znaczy... czy chcesz, żebym sobie poszedł?

– Nie – odparła, przesuwając delikatnie palcem po jego skórze w sposób, który przyprawił chłopaka o gęsią skórkę. – Jeszcze nie...

Zapanowało milczenie. Przytłaczająca i pusta cisza. Wszystkie rzeczy, które powinien jej powiedzieć, wydawały mu się płytkie. Na wspomnienie dotyku jej ust krew mu wrzała. Dotyk jej ciała przyciśniętego do jego wciąż rozbrzmiewał głośnym echem w jego żyłach. A teraz odnosił wrażenie, że Yukiko od niego ucieka. Że...

– Cóż, przynajmniej będę miał coś do roboty, kiedy cię nie będzie – powiedział, wzruszając ramionami.

Dziewczyna uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Będziesz szalenie za mną tęsknić?

– No, poza tym. – Ścisnął nieśmiało jej dłoń. – Myślałem o posadzeniu kilku sadzonek krwawego lotosu.

– Lotosu? – Zdumiona Yukiko zamrugwała intensywnie. – Po co?

– Żeby poeksperymentować z nim w kontrolowanym środowisku. Może uda mi się sprawić, żeby nie zatruwał gleby, w której rośnie.

– A po co miałybyś to robić?

– Żeby uratować to, co jeszcze pozostało z Shimy. – Kin wyraźnie czuł ciepło promieniujące od skóry dziewczyny. – Poza Iishi wszędzie są tylko pola lotosu lub jałowe pustkowia.

– Kin, nie uratujemy Shimy, sadząc jeszcze więcej lotosu.

– To jak ją mamy uratować?

Yukiko popatrzyła na niego dziwnie, po czym przemówiła głosem rodzica pouczającego dziecko:

– Podpalimy wszystkie pola. Będziemy palić lotos, aż pozostaną po

nim tylko popioły.

– Chcesz, żeby cała wyspa stanęła w ogniu?

– Kin, Lotos musi płonąć. A Gildia razem z nim.

– A co potem? Kiedy już wszystko spalisz?

– Nie próbujesz przypadkiem ustawić rykszy przed ciągnącym? Zamiast martwić się o to, co będziemy robić po zakończeniu wojny, może powinieneś się skupić na tym, jak możesz nam pomóc ją wygrać?

Przeglądał się jej w milczeniu i bezruchu. Yukiko siedziała ze wzrokiem wbitym w ciemność przed nimi. Po paru chwilach uniosła butelkę sake do ust i pociągnęła kolejny łyk alkoholu. Błada skóra, wyraźne cienie pod oczami. Wyglądała na chorą, jakby od wielu dni nie jadła i nie wyspała się porządnie. We wnętrzościach Kina poczęły się wić oślizgłe palce strachu.

– Cóż, o tym też myślałem – powiedział, przerywając milczenie. – Sądzę, że powinniśmy odszukać wraki lotostatków i odzyskać z nich, co się tylko da. Na pewno jest tam mnóstwo rzeczy, dzięki którym będzie można lepiej ufortyfikować osadę. Miotacze shurikenów, pancerne płyty. Oczywiście są doły–pułapki na zachodnim stoku, ale ostatnio wszyscy mówią o coraz większej liczbie onich wędrujących po lasach w niższych partiach gór. Stara Mari powiedziała mi, że ich aktywność zwykle rośnie po trzęsieniu ziemi. A silniejszego od tego porannego nie pamiętam. Gdyby tak się zebrali i napadli osadę...

Yukiko westchnęła i spojrzała na Kina w gęstniejącym mroku.

– Nie pozwolą ci zbudować niczego, co potrzebuje chi jako paliwa.

– Można to zrobić bez spalania chi. Mogę tak przerobić podajniki miotaczy, żeby napędzała je ręczna korba. Owszem, będą wolniej strzelać, ale większość pracy i tak jest po stronie ciśnienia. – Kin czuł narastającą ekscytację. Mówił coraz szybciej, ciesząc się na myśl o możliwości zbudowania czegoś, o konstruowaniu urządzeń. – Mam już wstępne plany w głowie. Mówiłem o tym z Ayane i ona...

– Ayane? – Yukiko zmarszczyła brwi. – Kiedy z nią rozmawiałeś?

Kin urwał i zamrugął zdezorientowany.

– Dzisiejszego popołudnia, w jej celi.

– Kin, nie powinienes tego robić. Kagé nie ufają temu... To znaczy: jej. Jeśli będziesz spędzać z nią dużo czasu, tobie też już więcej nie zaufają.

– Dobrze słyszałaś dzisiaj rano, przy dole, co mówili Atsushi i Isao – odpowiedział chłopak, starając się nie zabrzmieć zgorzkniałe. – Oni i tak mi nie ufają.

– Tym bardziej powinienes się trzymać od niej z daleka.

– Ale ona przebyła tak daleką drogę, aby nas odnaleźć. Czy ty w ogóle masz pojęcie, z czego ona zrezygnowała, aby być tu z nami?

– Nic mnie nie obcho...

– Yukiko, ona jest samotna. Po raz pierwszy od Przebudzenia jest odłączona od mechaniczydła. Nie słyszy już głosu Gildii. Nie czuje jej obecności w swojej głowie. Wyobraź sobie spędzenie wielu lat przy palenisku pensjonatu na Górze. Całe twoje życie składałoby się ze światła, ciepła, rozmów i pieśni. Aż nagle, pewnego dnia, ktoś wrzuciłby cię do ciemnicy. Nigdy dotąd nie widziałaś nawet nocy, nigdy nie czułaś chłodu. A teraz dygoczesz z zimna i wszędzie dokoła widzisz tylko ciemność. Ona tak właśnie się teraz czuje, zamknięta w tej celi. I to właśnie wybrała, decydując się przybyć tutaj.

– Nie wiemy, czy cokolwiek wybierała. Kin, oni mogli ją tu przysłać...

– Czy wiedziałaś, że każda kobieta urodzona w Gildii zostaje sztucznożyciowcem? – Gniew wzbierający w chłopaku zaczynał się przejawiać w jego głosie, który stał się zimny, twardy i nieprzyjemny. – Nikt im nie daje wyboru, nie mają nic do powiedzenia, nikt ich nie pyta, kim chciałyby zostać. Nie do nich należy decyzja, z kim zostaną skojarzone ani kiedy przyjdzie czas na rozmnażanie. Nie jest im nawet dane spotkać ojca ich dzieci. Po prostu kolejny sztucznożyciowiec z rurką inseminacyjną i tubką żelu.

– Na bogów, Kin...

– Nie umniejszaj więc wyborów, których dokonała – warknął, wrywając dłoń z jej uścisku. – To była pierwsza rzecz w całym jej życiu, o której zadecydowała sama. Nie każdy ma tygrysa gromu, który by naprawiał jego błędy, wiesz? Niektórzy muszą ryzykować wszystko, co

mają. I samotnie stawiać czoła konsekwencjom.

– Kin, przepraszam...

Chłopak wstał. Yukiko zerwała się chwilę potem, przewracając butelkę z sake. Różowy płyn chlusnął z szyjki i rozlał się na deski u ich stóp. Kin odwrócił się do niej plecami, ale ona chwyciła go za dłoń i siłą odwróciła twarzą do siebie.

– Nie odchodź tak, proszę.

Była zaledwie kilka cali od niego, z palcami dłoni splecionymi z jego i lekko rozchylonymi ustami. Ziemia zakołysała się pod nim, serce waliło o żebra niczym młot parowy. Z całego świata dokoła rejestrował tylko jej obecność. Czuł tylko woń jej włosów zmieszaną z odorem alkoholu. Jej skóra promieniowała gorącem pieca kowalskiego, topiąc wszystkie wnętrzości Kina. Poczul, jak nagle zasycha mu w ustach, a dłonie spływają potem. I chociaż próbował wziąć oddech, miał wrażenie, że już nigdy nie zdoła zaczerpnąć powietrza.

– Kin, nie gniewaj się na mnie – powiedziała Yukiko, przysuwając się minimalnie do niego. – Nie chcę się z tobą kłócić.

– Czego zatem ode mnie chcesz, Yukiko?

– Mogą minąć całe tygodnie, zanim się znowu zobaczymy. – Jej wzrok błędził po jego twarzy, zatrzymując się na dłużej na ustach. – Ale do powrotu Buruu mamy jakąś godzinę...

Przylgnęła do niego. Jej dłonie rozsunęły na boki poły jego tuniki, sunąc po jego skórze, rozgrzanej do białości. Kin spojrział na sake rozlane dokoła ich stóp, na rozpalone do czerwoności policzki dziewczyny, na jej wargi w kolorze płatków róż.

– Pocałuj mnie – wyszeptwała.

Wspięła się na palce, obejmując go ramionami za szyję. Jej usta powoli dryfowały w stronę jego warg. – Pocałuj mnie.

Przyciągała go do siebie, tak jak ziemia przyciąga nogi. Nie słyszał nic, nie widział nic, tylko ruch, tylko jej przyciąganie, w dół, w dół, do miejsca, w którym tak bardzo chciał się znaleźć, którego tak mocno pragnął, że niemal czuł jego smak, czuł jego śpiew w swojej piersi. Do miejsca, za które był gotów zabić. Do miejsca, w którym chętnie by

umarł.

Ale nie tak.

Nie tak!

– Nie. – Chłopak chwycił ją za ramiona i odsunął od siebie. – Nie.

– Kin...

– Nie jesteś sobą, Yukiko.

– Nie jestem sobą? – zapytała, marszcząc brwi. – Zatem kim?

– Nie jestem pewien – odparł i wskazał leżącą na deskach mostu butelkę sake. – Może sama to odkryjesz, gdy dopijesz do dna?

Jeszcze przez ulotną chwilę pozostała sobą. Zwyczajną dziewczyną, zranioną, smutną i niemiłosiernie samotną. Dziewczyną, którą kochał. Dziewczyną, dla której był gotów zrobić wszystko. Ale chwilę później już jej tam nie było. Została zmieciona przez falę gorąca. Jej źrenice błysnęły groźnie. W jej oczach była już tylko wściekłość. Na wierzch wydostała się obca osoba, która zamieszkiwała pod skórą jego ukochaanej. Jak ją nazwała Ayane? „Dziewczyna, której lęka się cała Gildia”.

– Nie masz prawa mnie oceniać – wycedziła.

– Na wszystkie demony piekieł, ja cię nie oceniam. Zależy mi na tobie. I z bólem patrzę, jak zmieniasz się w... w to coś, w tę całą tancerkę burzy. Kawałek po kawałku Yukiko, którą znam, coraz bardziej się oddała. – Kin westchnął i potarł dłonią skórę głowy. – Znaczy... Yukiko, zabiłaś tamtych ludzi z Gildii. Załogę trzech pancerników. Ponad setkę ludzi. Zabiłaś ich.

– Jednego zostawiłam przy życiu – odparła, patrząc na niego lodowatym, hardym wzrokiem. – A może powinnam była pozwolić im spalić do szczętu las? Może powinnam była pozwolić im zabić ciebie?

– Kiedy stałaś się masową morderczynią?

– Nie masz prawa tak do mnie mówić – warknęła gardłowo z rozszerzonymi gniewem źrenicami. – Stałaś z boku i tylko przyglądałaś się, kiedy ginęły tysiące...

Te słowa były dla niego niczym siarczasty policzek. Przed oczami stanęły mu blade kobiety z dziećmi, całe korowody niezliczonych gajjinów powłóczących nogami w drodze do kadzi. Przerabiani na

nawóz, odradzający się na rozsianych po całej wyspie polach jako piękne krwistoczerwone kwiaty. Wiedział, że to była prawda, co do słowa. Ale usłyszeć to z jej ust...

Zamrugał. Nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Nie czuł nic.

– Nie powinnam była tego mówić – powiedziała z westchnięciem. – Przykro mi.

Wzięła głęboki wdech i odgarnęła włosy. Po jej twarzy widział wyraźnie, że w środku cała się gotuje. Palce same zaciskały jej się w pięści, usta wykrzywiały się w brzydkim grymasie. Gdy ponownie się odezwała, mówiła łagodnym, acz rozedrganym głosem.

– Kin, wiem, że to nie była twoja wina. Gajjini, inochi. Wszystko. Wiem, że nic nie mogłeś zrobić, żeby to powstrzymać. Kaori i inni mówią co innego: że w tobie nie ma stali. Ale ja wiem, że udzielenie mi pomocy w Kigen wymagało od ciebie większej odwagi, niż większość ludzi mogłaby sobie wyobrazić. Niemniej jednak toczy my wojnę. Yukiko, którą znasz? Ta mała, przestraszona dziewczynka w pałacu szoguna? Ona odeszła. – W oczach dziewczyny zapłonął dziki płomień. – Nie żyje.

– Nie ma we mnie stali – wyszeptał, wykrzywiając usta w cierpkim uśmiechu.

– Gówno prawda, Kin. – Yukiko ujęła go za dłoń i wplotła swoje palce w jego. – Nie wierz w to. Nie wierz w nic, co oni mówią. Ale pamiętaj, że masz tu wrogów. Ludzi, którzy widzą w tobie przede wszystkim Gildię, a dopiero potem cokolwiek innego. Pod moją nieobecność trzymaj się Daichiego. I staraj się nie zbliżać do Ayane. Nie daj im powodu, żeby zwątpili w twoją lojalność.

– Dlaczego miałoby mnie to obchodzić? – wyrzucił z siebie. – Doskonale sobie radzą bez...

– Kin...

– Mam nadzieję, że znajdziesz odpowiedzi, których szukasz – odparł, wyswobodzając dłoń z jej uścisku i pozwalając ręce opaść swobodnie wzdłuż jego boku. – Wiem, że Buruu zatroszczy się o twoje bezpieczeństwo.

Wyglądała na zranioną jego słowami. Przygryzła dolną wargę i błędziła oczami, szukając właściwych snów.

– Czy chociaż pocałujesz mnie na pożegnanie? – zapytała.

Kinem targwały sprzeczne uczucia. Pragnął tego bardziej, niż byłby w stanie wyrazić słowami. Ale duma i złość tłumili jego pragnienie, spychając je na bok, gdzie kuliło się w osamotnieniu. Wszystko, co z siebie dał, wszystko, co poświęcił... Takie życie miał otrzymać w zamian? Miał się przyglądać, jak odlatuje? Jak go zostawia, tak samo jak zostawiła go w Kigen? Samego.

Znowu.

Ujął jej twarz w dłonie, czując pod palcami aksamitną ciepłą jej skóry. Przebiegł go dreszcz pragnienia, niemal rozbijając w pył jego postanowienie. Ono jednak było zbyt silne. Odchylił jej głowę lekko do tyłu. Jej usta rozchyliły się w oczekiwaniu. Nachylił się ku niej i pocałował delikatnie w czoło.

– Żegnaj, tancerko burzy – powiedział.

Po czym obrócił się na pięcie i odszedł.

Część niego krzyczała, że postępuje straszliwie głupio i że tego pożałuje. Ale gniew i duma, paliwo urażonych głupców, pchały go do przodu. Oddalił się więc w mrok, słysząc w uszach huczący wodospad krwi. Wykrzyknęła jego imię jeszcze raz. Tylko raz. Nie zatrzymał się. Nawet się nie obejrzał. I wtedy, gdzieś w głębi jego umysłu, po raz pierwszy pewna mała myśl, dotąd ignorowana myśl przemówiła do niego szeptem niemal zbyt cichym, by mógł rozróżnić słowa.

Myśl ta odebrała mu sen tej nocy. Leżał na plecach na swoim sienniku, wbijając podkrążone oczy w belki sufitu. Oddychając, nasłuchując. Otchłań bezsenności, szara, bez dna. Godziny rozciągały się w nieskończoność. Aż nastał mętny poranek i zastał jego serce kompletnie wyczerpane, a umysł wypełniony wyłącznie siedmioma słowami, wbijającymi się w jego duszę niczym garść ostrych drzazg.

To samo pytanie.

Powtarzane w kółko, bez końca.

„Co ty tu, do wszystkich piekieł, robisz?”



Yoshi zatrzepotał rzęsami, gdy pomknął na czterech lekkich niczym piórka łapach wzdłuż rynsztoku. Wokół niego górowały stopy cuchnących odpadków, nozdrza wypełniał mu odór zgnilizny i śmierci. Krew z rozbitej czaszki wyciekała cienką strużką w pęknięcia w kamieniach bruku. Przekradł się obok warczącej watahy – czternastu smukłych, groźnych kundli – walczących o prawo do oderwania od kości co smakowitszych, jeszcze ciepłych kąsków. Gdy przemknął obok nich, zaskowyczały głośno, plując pienistą śliną. Ostrzeżenie. Wyzwanie. Zdobycz należy do tych, którzy znaleźli ją pierwsi. Reszta musi zaczekać i zadowolić się resztkami. Ich mięso, ich zaułek, ich teren.

Wyczuwał zapach soli i słodkiej miedzi. Zaburczało mu w brzuchu na myśl o oślizgłych, ciepłych, cudownych, lepkich delicjach. Ale pomknął dalej, przemierzając wijące się wąskie alejki, ten zatęchły ocean śmieci, w którym musiał pływać. Wąsy mu zadrgały. Poczł nieznośne swędzenie parchatej skóry poznaczonej śladami zacieklego żerowania tłustych, czarnych pcheł. Zatrzymał się, aby podrapać się nierównymi, ostrymi pazurami, rozkoszując się krwawą ulgą.

Stanął w końcu u wylotu zaułka naprzeciw burdelu i przeczesał okolicę oczami czarnymi niczym woda w rzece, nerwowo machając ogonem na

boki. Na szczycie schodów przed budynkiem stała grupa typów spod ciemnej gwiazdy z ramionami wytatuowanymi od ramion po dłoń. Rozmawiali przyciszonymi głosami naznaczonymi wyraźną lotosową chrypą. Tatuaze nie przedstawiały klanowych monów, lecz wzory roślinne, gejsze i splecione skorpiony. Były to tatuaze burakuminów, nisko urodzonych zajmujących się szemranymi interesami, które przyciągały wszystkich żyjących w rynsztokach Kigen. Pięści i walki. Dym i skóra. Cuchnąca melina. Kipiąca, duszna nora.

Yakuza.

Mijały minuty. Potem godziny. Pan Tsukiyomi, bóg księżycy, wisiał nisko na niebie, kryjąc swoją twarz za mdlącą zasłoną trujących oparów. Kolejne wytatuowane szumowiny wynurzyły się z mroku i weszły do środka, szczerząc nieliczne pozostałe zęby w parszywych uśmiechach. W końcu, gdy minęły kolejne godziny i bogini Amaterasu zaczynała rozświetlać wschodnie niebo, z budynku wyszło dwóch mężczyzn. Pierwszym był przygarbiony i chudy jak szczapa drań o poźółkłych, połamanych zębach wystających z poczerniałych dziąseł. Drugi był niski i krępy, ze świńskimi oczkami i odstającymi uszami. Obaj nieśli na ramionach nieduże, w wielu miejscach poprzecierane torby wypełnione pobrzękującymi przy każdym kroku monetami. Yoshi poczuł, jak jego wąsy unoszą się razem z wargami ku górze, odsłaniając żółte zęby w czymś, co mogłoby ujść za uśmiech. Wyszeptał słowa podziękii dla ciała, które pożyczył, po czym wrócił do swojego.

Otworzył oczy. Pokój zdawał się pulsować. Mięśnie jego długich kończyn, pokrytych nieowłosioną skórą i brudnym materiałem, zadrażały. Zanim na powrót przywykł do ciała, w którym spędził większość swojego życia, miał bardzo niemiłe uczucie, że coś jest przeraźliwie nie w porządku. Szczęśliwie wrażenie to szybko minęło.

Gdy wzrok mu się wyostrzył, dostrzegł siedzącego naprzeciw niego Jurou. Ciemne włosy opadały na jego wilgotne oczy, a pusta fajka marnowała się w doskonałych ustach.

– No i? – zapytał.

– Ta sama pora co poprzednio. Każdego ranka tuż przed świtem –

odpowiedział Yoshi z uśmiechem. – To na pewno lich- wiarnia.

– Czyja?

– Dzieci Skorpiona. Największa yakuza w całym Dole.

– Jesteś pewien, że chcesz od razu skoczyć na tak głęboką wodę? – zapytał niepewnie Jurou.

– Czy stary Yoshi choć raz zrobił coś na pół gwizdka, księżniczko?

– Ja tylko...

Yoshi przyłożył palec do ust Jurou i spojrzał w stronę drzwi ze zmarszczonym czołem.

– Daken wrócił – powiedział cicho. – I Hana też.

Yoshi usiadł wygodnie na stosie poduszek w rogu pokoju, a Jurou oparł się o jego nagą klatkę piersiową. Sączyli resztki ryżowego wina. Yoshi wyczuwał zbliżającego się kocura, tak jak magnes musi wyczuwać zbliżające się żelazo. Gdy Hana przekręciła klucz w zamku, jej brat siedział rozwalony na poduszkach, z rozrzuconymi niedbale nogami i dłonią wplecioną we włosy Jurou. Uniósł nieco uszkodzone rondo swojego kapelusza i uśmiechnął się krzywo do siostry.

– Teraz powinienem rzucić jakiś ograny dowcip o tym, co kot przywłókł z...

Hana wślizgnęła się do pokoju blejsza niż zwykle. Całą jej skórę pokrywał perlisty pot. W cieniu za nią stał największy facet, jakiego Yoshi kiedykolwiek widział. Na głowie miał naciągnięty głęboko na oczy słomiany kapelusz. Znoszone ubranie okrywał postrzępiony czarny płaszcz. Był tak szeroki w barkach, że ledwo mieścił się w drzwiach, a potężna szczeka groziła połamaniem palców w przypadku uderzenia. Yoshi oceniał jego ogólny wygląd na parę kroków w prawo od przystojnego. Wszedł do pokoju za dziewczyną, wyraźnie utykając na jedną nogę.

– No, no – odezwał się Jurou, uśmiechając się szeroko. – Skorzystałaś z mojej rady, jak widzę, co?

Hana wymamrotała pod nosem stek przekleństw. Wyglądała na bardzo zmieszana. Szurając nerwowo nogami, niczym niegrzeczne dziecko przed Wielkim Sędzią, wskazała zdawkowym ruchem dłoni wciąż

stojącego w drzwiach olbrzyma. Przedstawiła go tak szybko, że słowa pędzące od jej gardła do ust potykały się jedno o drugie:

– Akihitotojestmój bratYoshiijegokolegaj urou.

Jurou szczyrzył zęby w uśmiechu lisa wykradającego pisklęta z kurnika. Uśmiechu wyraźnie wymierzonym w Hanę. Rzucił jednak też okiem na nieznanego.

– Się masz?

Yoshi nie spuszczał oczu z olbrzyma. Skinał mu ruchem powolnym jak bieg pokoleń.

– Akihito-san zostanie u nas kilka dni – powiedziała Hana.

– Co ty nie powiesz – wycedził Yoshi, marszcząc brwi.

– Tylko na kilka dni.

– Przyjmowanie gości pod nasz dach jest do ciebie niepodobne, siostrzo moja droga. – Yoshi wrócił wzrokiem do olbrzyma. – Umie gotować? Nie wygląda mi na zbyt sprawnego tancerza.

–Yoshi, proszę... – powiedziała cichym głosem Hana, spoglądając na brata błagalnym wzrokiem.

„Daken, kto to, do jasnej cholery, jest?”

Kocur zajął swoje zwyczajowe miejsce na parapecie okiennym i przystąpił do wylizywania łap jęzorem szorstkim jak żelazny pilnik. Jego myśli były absolutnym przeciwieństwem jego wyglądu – aksamitnie miękkie, spokojne mruczenie snujące się w głowie Yoshiego niczym słodki dym.

...przyjacieli...

Yoshi pociągnął nosem. Zmrużył oczy. Próbował doszukać się podstępu w odpowiedzi kota, ale nic takiego nie znalazł. Hana nigdy dotąd nikogo nie przyprowadzała do domu. Ale w międzyczasie dorosła. To, co robiła i z kim to robiła, było jej wyłączną sprawą. Pochylił się, pocałował Jurou w czoło i wzruszył ramionami.

– W porządku, siostrzo ma.

Dziewczyna odwróciła się do olbrzyma i zachęciła go gestem dłoni.

–Wejdz.

Mężczyzna skinał Yoshiemu głową z przepraszącą miną i prze-

kuśtykał obok chłopców do sypialni Hany. Dziewczyna już miała wejść za nim, kiedy Yoshi ledwie słyszalnie odchrząknął.

– Nie zapomniałaś o czymś?

Hana skrzywiła się, sięgnęła pod kimono i wyjęła miotacz żelaza. Nachyliła się nad bratem i położyła broń na jego otwartej dłoni.

– Wyjaśnienia później – szepnęła mu do ucha.

Yoshi zerknął na Dakena, który szorował teraz długim, różowym jęzorem swoje części intymne.

...nie pytaj o jej nie wyjawię twoich...

– Jak wolisz – powiedział i zamachał miotaczem. – Swoją drogą tej nocy nie możesz tego zabrać ze sobą. Potrzebujemy go.

– Do czego?

– Wyjaśnienia później.

Ciekawość bijąca ze zdrowego oka Hany niechętnie się wycofała. Dziewczyna skinęła zdawkowo głową i wślizgnęła się do swojej sypialni. Gdy Daken statecznym krokiem dołączył do niej, zamknęła cicho drzwi. Jurou szczyrzył zęby tak, jakby to on miał zaraz hasać z nią na materacu. Wyciągnął rękę w stronę grającej skrzynki i włączył ją, po czym podkreślił głośność, aby zapewnić parze nieco prywatności.

– Dobrze dla niej – rzucił z niesłabnącym uśmiechem.

Yoshi przysunął wylot lufy miotacza żelaza do twarzy i pociągnął nosem. Wyczuł chemiczną woń spalenizny, przywodzącą na myśl zużyty olej z generatora i smród rafinerii. Broń wydawała się odrobinę lżejsza niż wczoraj. Jakby zawierała odrobinę mniej śmierci.

Opuścił rondo swojego szczęśliwego kapelusza na oczy.

– Bez wątpienia...

Akihito siedział przy oknie, wyglądając przez brudną szybę na zewnątrz. Hana zasunęła drzwi sypialni z cichym stukiem. Mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze, okno dawało więc całkiem dobry widok na ulicę poniżej. Czy raczej na klaustrofobicznie ciasny, spowity dławiającym dymem zaułek. Jednak nawet tak wysoko nad ziemią czuł się

całkiem nagi. Z nerwów cały się trząsał, a żołądek wywijał mu fikołki. Myśli olbrzymia krążyły wokół Szarego Wilka, Rzeźniczki i pozostałych. Modlił się w duchu, aby byli teraz gdzieś w bezpiecznym miejscu albo żeby leżeli martwi, zabici w walce. Widział zbyt wiele w więzieniu Kigen, żeby uważać skończenie tam za wyjście lepsze od śmierci.

„Biedna Kasumi...”.

Sięgnął do kieszeni w swoim obi i wyciągnął z niej stare dłuto oraz sosnowy klocek. Nie przestając obserwować ulicy za oknem, powoli pracował dłutem w drewnie. Nigdzie nie widział bushich. Na rogu bawiła się garstka dzieciaków z ulicy, pod ścianą dwóch uzależnionych od lotosu nieszczęśliwców przekazywało sobie fajkę. Nerwy Akihito były bardziej napięte niż nadmiernie nakręcona sprężyna zegarowa. Uchwyt dłuta ślizgał się w spoconych palcach.

– Ładne – powiedziała Hana, wskazując brodą powstającą rzeźbę. – Co to jest?

– Prezent – wymamrotał Akihito. – Dla przyjaciółki.

– Jak sądzisz, co tam się stało? – zmieniła nagle temat. – Jak nas znaleźli?

Akihito zerknął na drzwi, zza których słyhać było chłopców urzędujących w przylegającym pomieszczeniu. Z grającej skrzynki płynęły piękne dźwięki shamisenu, lekko przytłumione przez dwa cale splekanego tynku na dzielącej ich ścianie. Nie mógł pozbyć się uczucia, że coś jest nie w porządku. Że jest obserwowany. Bezbronny.

– Nie jest bezpiecznie rozmawiać tu o tym. Ktoś mógłby nas podsłuchać.

– Jest tu tylko mój brat i jego chłopak.

– A sąsiedzi? Widziałem chorych na czarnopłuco żebraków, którzy mieli więcej mięsa na kościach niż te ściany mają tynku.

Dziewczyna wydeła policzki i zdmuchnęła niesforny kosmyk włosów z czoła. Otaksował ją uważnie od stóp do głów – wychudzona niczym bezpański pies, spiczasta broda, stara blizna przecinająca brew i policzek, skórzana opaska zakrywająca to, co najgorsze. Potargane, przycięte na pazia włosy – suche jak wiór i czarne jak atrament z mątwy. „Harda” –

uznał. Typ dziewczyny wyrosłej na popękany bruź z pustym brzuchem i krwawiącymi pięściami. Sprytna? Wystarczająco, żeby ta cała maskarada trwała dostatecznie długo? Czy ona nim manipulowała?

„Niewiele byłoby w tym sensu, ale może...”.

Usiadła na środku poplamionego materaca. Spojrzała na drzwi. Na niego. Znowu na drzwi. Kąciki jej ust zaczęły powoli unosić się w przebiegłym uśmiechu.

– Ooooooch – westchnęła, drząc na całym ciele.

Akihito zmarszczył brwi. Dłuto zamarło mu w dłoni. Nabrał powietrza, żeby się odezwać, ale kolejny wydany przez dziewczynę jęk sprawił, że słowa utknęły mu w gardle.

– Ooooooch, bogowie.

Olbrzym wyprostował się nieco zażenowany, szczeka lekko mu opadła. Przyglądał się, jak dziewczyna klęknęła na czworakach i zaczęła chodzić po materacu. Szukając wzrokiem miejsca, gdzie mógłby podziać wzrok, natrafił na kocura siedzącego przy jego nodze z przekrzywioną głową. Patrzył się na niego swoimi wielkimi oczami w kolorze szczyń.

Kot zamrugał. I jeszcze raz.

Hana oparła się o drzwi sypialni i wydała z siebie przeciągły, gardłowy jęk przywodzący na myśl odgłosy nocnej ekstazy. Chwyliła z płaskiem jedną dłońią framugę i wbiła pięty w deski podłogi.

– Mmmmm – zamruczała. – Oooooo, taaaak.

– Co, do piekieł...

Dziewczyna uniosła palec, uciszając jego protesty, po czym kontynuowała swój występ przy cienkich drzwiach. Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegło ich stłumione przekleństwo jej brata. Błagał wielkiego i łaskawego pana Izanagiego, aby uczynił go głuchym jak pień lub – jeśli to okaże się niemożliwe – zesłał na niego szybką i miłosierną śmierć. Akihito mógł przysiąc, że drugi chłopak roześmiał się i zaklaskał.

– Ooooooch, bogowie, taaaaaaaak – jęknęła Hana.

Błagania Yoshiego ustąpiły nagłe wizgowi grającej skrzynki, która została rozkręcona na cały regulator. Nieprzystosowane do takiej katuszy maleńkie głośniki piszczały i trzeszczały niemilosiernie. Hałas

stał się wystarczający, żeby zagłuszyć jęki dziewczyny. Szczerze mówiąc, skrzynka wyła tak głośno, że zagłuszyłaby też jej krzyki.

Hana usiadła z powrotem na materacu i z zadowolonym uśmiechem podwinęła stopy pod siebie.

– Czy teraz jest dość bezpiecznie? – zapytała.

Akihito nie zdołał powstrzymać chichotu.

– To było dobre.

– Musisz wybaczyć mojemu bratu. – Hana zaczęła przeczesać palcami nierówno przycięte kruczoczarne włosy. – Zwykle nikogo... nie przyprowadzam.

– Czy zawsze taki był?

– Czy zawsze był wyszczekany małym draniem? – Hana roześmiała się na głos. – Tak, zawsze.

– Nie, chodziło mi o to, czy zawsze był... „taki”.

Dziewczyna zamrugła i dopiero po paru chwilach zrozumiała, o co chodzi olbrzymowi.

– Aaaaaa... Pytasz, czy zawsze wołał chłopców?

Akihito wymamrotał kilka niezrozumiałych słów.

– Dlaczego? – zapytała Hana, unosząc wysoko jedną brew. – Czemu tak cię to interesuje?

– Nie interesuje. – Akihito sprawiał wrażenie zawstydzonego niedopowiedzianą sugestią. – Ja tylko...

– Nie jesteś przyzwyczajony do takich rzeczy.

– Ano, nie.

– Cóż, nie masz się czym martwić – odparła wesoło Hana. Uśmiechnęła się krzywo i zajęła się pleceniem sobie warkoczyków. – Zdecydowanie nie jesteś w jego typie. Jesteś o wiele za stary.

Akihito poczuł, jak silny rumieniec zalewa mu policzki. Śmiech dziewczyny odbił się od ścian spoglądających matowymi szklanymi oczyma na zasnute smogiem ulice. Wycie grającej skrzynki wypełniło milczenie, które potem zapadło, sprawnie zagłuszając pomruki i narzekania zza ściany. Hana przyglądała się olbrzymowi przez dłuższy czas, sprawnie pracując palcami na głowie.

– Więc? – zapytała w końcu. – Jak nas znaleźli?

– Niech mnie piekła pochłona, jeśli wiem – odparł z ciężkim westchnięciem olbrzym, po czym zdjął kapelusz z głowy i przesunął dłonią po zaplecionych włosach. – Kogoś śledzili. Kogoś złapali i sprawili, że wszystko wyśpiewał. Szczerze mówiąc, wciąż nie jestem w pełni przekonany, czy to jednak nie ty nas wydałaś.

Kocur wskoczył bez żadnego ostrzeżenia na jego kolana i wbił pazury głęboko w ciało olbrzyma. Akihito syknął i skrzywił się z bólu. Kocur wybił się z jego nogi, wskoczył na parapet i począł wylizywać swoje części intymne, jakby ktoś je wysmarował koci- miętka. Olbrzym zaklął pod nosem i rozmasował z sykiem starą ranę oraz nowe ślady po pazurach.

Dziewczyna wskazała głową jego przesiąkniętą krwią hakamę.

– Swoją drogą, jak noga? – zapytała.

– Boli jak demony – wymamrotał Akihito, wciąż rozcierając udo.

– Co ci się w nią stało?

– Zadajesz strasznie dużo pytań.

– No i?

– No i co ty byś odpowiedziała, gdybym zapytał, co ci się stało w oko?

– powiedział olbrzym, wskazując skórzaną opaskę.

– Odpowiedziałabym, że mój ojciec był wrednym pijakiem – odparła z lekkim wzruszeniem ramion.

– Na jaja Izanagiego... – Akihito poczuł nagły przypływ poczucia winy.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. To co ci się w nią stało?

Od krwawej jatki podczas odbijania Masaru z więzienia Kigen minął już ponad miesiąc. Rana po ciosie mieczem nie chciała się jednak zbyt goić. Akihito wiedział, że powinien wypoczywać i częściej zmieniać opatrunek, ale okoliczności były takie, a nie inne. Zważywszy na wszystko, cieszył się, że w ranę nie wdała się gangrena. Kiedy po niezbyt udanej akcji w więzieniu Michi musiała wrócić do pałacu, aby odszukać panią Aishę, pozostawiła mu tylko bandażę i niejasne wskazówki mające go zaprowadzić do lotostatku, który miał wszystkich

zabrać z miasta. Niestety Akihito nie zdążył przekuścić choćby połowy drogi do iglic, kiedy bushi zamknęli miasto i nawet mysz nie dałaby rady się przecisnąć, czy to lotostatkami, czy koleją. Wtedy wrócił do kryjówki Kagé, w której przebywał przed akcją w więzieniu, i współpracował z Szarym Wilkiem i pozostałymi członkami miejskiej komórki. Uznał, że jeśli nie może dostać się do Yukiko, przynajmniej postara się jej pomóc najlepiej, jak zdoła, z miasta.

Masaru by z pewnością tego chciał.

Kasumi też.

– Pomagałem przyjaciółce – odparł.

Hana skinęła głową.

– Cóż, gdy jutro będę w pałacu, postaram się zorganizować czyste bandaże.

Olbrzym skrzywił się, opuścił wzrok na trzymany kawałek drewna i wrócił do rzeźbienia. Przez smog wiszący nad miastem przebił się lotostatek Gildii. Od ryku jego silników zatrzęsły się wszystkie szyby w oknach. Wrócił pamięcią do zasadzki w więzieniu Kigen, do krwi Kasumi rozlewającej się lśniąca kałużą na podłodze. Do zdrady, przez którą zginęła ona, przez którą zginął Masaru. I przez którą on też prawie stracił życie.

– Hano... skąd wiedziałas, że nadchodzą bushi? Powiedziałaś, że twoja czujka dostrzegła ich przed naszymi. Ale kogo postawiłaś na czatach? I jak dostałaś wiadomość?

Dziewczyna przyjrzała mu się badawczo. Jej jedyne, ciemne oko lśniło między niesfornymi kosmykami włosów. Powoli wstała, podeszła do okna i je otworzyła. Do pokoju wpadł powiew lekko toksycznego powietrza, niosąc ze sobą pieśń miejskiego gwaru, którą jednak prawie całkowicie zagłuszało wycie grającej skrzynki w pokoju obok. Hana zrobiła krok do tyłu, założyła ramiona na piersi i wbiła wzrok w siedzącego na parapecie kocura, który wciąż był zajęty szorowaniem swoich części intymnych (czy też chwilowo nie tak znowu intymnych, bo kocim zwyczajem wystawionych na widok publiczny) i udawał, że niczego innego nie zauważa.

– No dalej! – wykrzyknęła w końcu dziewczyna. – Przynieś!
Kot przerwał ablucje, zmienił pozycję, wydał z siebie dźwięk przypominający poirytowane prychnięcie i przeskoczył na zewnętrzny parapet. Tam przeciągnął się leniwie, rzucił Hanie kose spojrzenie, po czym ruszył w miasto. Dziewczyna wróciła bezgłośnie na materac, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się wyzywająco w Akihito, dalej zaplatając włosy w warkoczki.

– Kiedy dołączyłaś do Kagé? – zapytał olbrzym, marszcząc brwi.

– Dwa tygodnie temu.

– Co sprawiło, że zdecydowałaś się dołączyć?

– Tancerka burzy.

– Tancerka burzy?

Dziewczyna spojrzała na niego jak na kogoś przygłupiego.

– Dziewczyna, która oswoiła tygrysa gromu? Która sama przyprowadziła go z gór Iishi? Musiałeś o niej słyszeć. Ciagle o niej mówią w radiu Kagé. Ktoś nawet napisał sztukę kabuki o niej. Widziałam ją w zeszłym tygodniu wystawioną przed burdelem na ulicy Ibitsu. Niestety bushi przerwali występ.

– A, tak, słyszałem o niej – przytaknął Akihito. – Muszę jednak przyznać, że wciąż trudno mi się jest przyzwyczaić do jej nowego miana. Zawsze mówiłem do niej Yukiko.

Oko Hany się zwężiło.

– Znasz ją?

Akihito otaksował wzrokiem wpatrującą się w niego dziewczynę. Przekora. Podejrzliwość. Była niewiarygodnie wprost chuda.

Palce w zasadzie składały się wyłącznie ze skóry i kości. Bładą skórę pokrywały plamy brudu. Przyjrzał się bliżej jednemu, ciemnemu oku, które na jej wychudzonej twarzy wydawało się niemal zbyt duże. Chciał jej zaufać, chociaż nie potrafił ustalić dlaczego. Czy dlatego, że było w niej coś znajomego? Dziewczyna? Młoda? Ile ona tak w ogóle mogła mieć lat? Siedemnaście? Może osiemnaście?

Była prawie w tym samym wieku co...

– Polowałem z jej ojcem, Kitsune Masaru.

– Czarnym Lisem Shimy? – W głosie Hany wyraźnie słycać było podziw. Zapomniała całkowicie o zaplataniu warkoczyków i pochyliła się do przodu. – Ludzie kładą dla niego tabliczki duchów przy Kamieniach Ognia!

Olbrzym uniósł w górę kawałek drewna, nad którym cały czas pracował.

– Jak myślisz, kto położył pierwszą?

– Na bogów, ty ich znałeś? – Hana wzięła głęboki oddech. – Spotkałeś może jej tygrysa gromu?

– Czy go spotkałem? – Akihito nieco się przygarbił. – Pomagałem złapać tego drania.

– Dobrzy bogowie! – Hana zerwała się na równe nogi i zakryła usta dłońmi. – Pomóż mi więc, jeśli mówisz ze swojego...

– Pomagałem złapać. Na lotostatku o nazwie „Dzieci Gromu” walczącym z najgorszą burzą, jaką widziałem w całym swoim życiu. – Oczy olbrzyma zalśniły. – Ryu Yamagata wiedział, jak dowodzić statkiem, niech go demony, był w tym świetny. Był też dobrym człowiekiem. – Światło w jego oczach przygasło i znikło bez śladu. – Wszyscy byli dobrymi ludźmi.

– Jaka ona jest? – Jedyne oko Hany lśniło jasno ogniem rozpalającym jej wyobraźnię. – Tancerka burzy, jaka ona jest?

– To mądra dziewczyna – powiedział Akihito, kiwając głową. – Silna. Uparta jak diabli. Ale słodka jak najlepsze słodycze. Jeśli mam być szczerzy, to bardzo przypomina ciebie, Hana-chan. – Spojrzał na parapet, na którym parę minut temu siedział kocur, po czym podrapał się po brodzie. – Cholernie cię przypomina.



Yukiko zdążyła już zapomnieć, jaki piękny potrafi być świat.

Pod nimi przesuwały się majestatycznie potężne góry – wieczne i niezmiennie. Widok ten sprawiał, że czuła się zaledwie ulotnym pyłkiem istniejącym tylko chwilę. Iskrą, która wystrzeliła z płonącego ogniska i popędziła ku niebu, by wkrótce wypalić się i zniknąć. Porastające górskie zbocza drzewa przywdziały szaty w barwach krwistego szkarłatu, lśniącego złota, jasnej rdzy i zwiędłej róży. Przypominały tancerzy zastygłych w różnych pozach, oczekujących na ostatnie tony muzyki jesieni. Wtedy zrzucą swoje świetne szaty i zasną nagie w objęciach zimy, wyczekując dnia, w którym wiosna zbudzi je ciepłymi, delikatnymi pocałunkami składanymi czule na najwrażliwszych miejscach ich ciał.

Yukiko oparła głowę o szyję Buruu i przyglądała się krajobrazowi, który oddalał się i oddalał, nikiąc w dole. Odcięła się od zmysłu Przenikania. Pozostała tylko ona i wiatr w jej włosach. Reszta świata rozmyła się za soczewkami z polaryzowanego szkła.

Czuła ciężar Yofuna zamocowanego w poprzek pleców twardym, plecionym sznurem. Pochwa katany nieustannie obijała się o pochwę tantó na jej krzyżu, co groziło zniszczeniem lakieru na nich obu.

Ostatecznie uznała, że nóż i miecz nie są zbyt dobraną parą i schowała tan tö na dnie jednej z sakw przymocowanych do boków Buruu. Wraz z nim schowała tęsknotę za ojcem.

W miarę jak sake przestawało działać, coraz bardziej doskwierał jej fizyczny ból wywołany wspomnieniem chłodnego pożegnania Kina. Sięgnęła ku umysłowi Buruu, zaciskając mocno powieki, otwierając swoje myśli tylko minimalnie. Błyskawicznie jej zmysły zalała fala gorąca i oslepiającego światła. Pulsujące jaźnie zwierząt w lesie pod nimi świeciły jasno niczym małe słońca. Jeszcze miesiąc temu nie byłaby w stanie ich wyczuć, nawet gdyby wyteżyła wszystkie siły.

Zacisnęła zęby i spróbowała nawiązać kontakt w Przenikaniu. Przypominało to wpatrywanie się wprost w tarczę słońca. Spróbowała zbudować, cegła po cegle, ścianę siebie. Zaporę czystej woli, która powstrzymałaby płomienie. Coś mocniejszego od bezkształtnego odrętwienia przynieszonego przez upojenie alkoholowe. Sięgnęła po obrazy z jej dzieciństwa. Wspomnienia i chwile – cokolwiek, co by ją scaliło, zakotwiczyło, ochroniło przed czekającymi na nią ogniami piekielnymi. Zaczęła szybciej oddychać, czując zaciskające się na głowie zimne palce bólu.

„Bracie, słyszysz mnie?”.

TAK.

Jego głos był cichutki, jak gdyby stał na odległym szczycie górskim i wołał do niej poprzez dolinę wypełnioną szalejącymi płomieniami.

„Nie tłum swoich myśli. Mów normalnie”.

NIE CHCĘ SPRAWIĆ CI BÓLU.

„Muszę się nauczyć nad tym panować. A do tego potrzebuję twojej pomocy. Proszę, Buruu, zrób, jak mówię”.

W PORZĄDKU.

Yukiko skrzywiła się i syknęła z bólu, po czym opadła bezwładnie na barki tygrysa. Palce dłoni nie chciały się zacisnąć. W głowie słyszała tylko huk jego myśli rozbijających jej mur w drobny mak. Spazmy bólu przeszywały co chwilę całe jej ciało. Buruu jęknął i usztywnił skrzydła, aby dziewczyna nie zsunęła się z jego grzbietu. Z jej nosa poczęła kapać

jasna i lśniąca krew, plamiąc jej policzek i pióra arashitory.

„Wszystko w porządku... Nic mi nie jest...”.

Poczuła, jak Buruu się wycofuje, osłabia łączącą ich więź, ścisząc swój głos do szeptu.

MAŁYMI KROKAMI, ZGODA?

Otarła krew z nosa i przyjrzała się lepkiej czerwieni na wierzchu dłoni. Pociągnęła mocno nosem, odchrząknęła i splunęła.

„W porządku, zgoda. Małymi krokami”.

DOBRZE.

Tygrys gromu kiwnął głową.

NAWET TANCERZE BURZY MUSZĄ NAJPIERW NAUCZYĆ SIĘ CHODZIĆ, ZANIM PRZYSTĄPIĄ DO NAUKI LATANIA.

Buruu wzbił się wyżej, ku chmurom sunącym po krwisto-szarym niebie. Słońce było jaskrawym rozbłyskiem na skraju soczewek gogli, wystarczająco ostrym, aby wyciąć jej oczy z oczodołów. W miarę nabierania wysokości pulsowanie leśnych stworzeń osłabło. Wyspa pod nimi zmaląła, powietrze stało się rozrzedzone i zimne. Dokoła wyspy rozpościerał się aż po horyzont czerwony ocean.

Yukiko obejrzała się przez ramię. Daleko za nimi, wiele mil na południe, góry Iishi przechodziły łagodnie we wzgórze i pagórki. A za nimi? Krwawy lotos. Wszędzie. Kwiaty zostały zebrane pod koniec lata, więc czerwone zazwyczaj pola były odarte z koloru aż po bladezielone spodnie szaty. Chwast o setce zastosowań, jak twierdziła Gildia. Dowód na istnienie bogów. Jednak Yukiko widziała w ciągnących się bez końca polach kołysanych powiewami toksycznego wiatru wyłącznie dowód na chciwość jej ludu.

Martwe ziemie. Olbrzymie, dymiące połacie odarte z życia przez truciznę wydzielaną przez korzenie lotosu. Zaraza rozprzestrzeniająca się po całym cieple Shimy. Z tej wysokości widziała, jak bardzo było już źle. Jak daleko posunęła się zagłada głęby. Niezliczone mile wypalonego na popiół gruntu pociętego wieloma spękaniem. Sprawiało to wrażenie, jakby skóra wyspy pękała. Jakby przez szczeliny miała lada chwila wypłynąć ropna posoka. Nad martwymi ziemiami kłębiła się gęsta,

czarna mgła, która nigdy nie przekraczała skraju pustkowia.

Yukiko przyłapała się na myśli, że może Kin miał rację. Czy uratowanie ich ziemi było jeszcze w ogóle możliwe? Czy dało się jeszcze cofnąć te wszystkie szkody, które poczynili?

Buruu czaił się za jej oczami, drepząc delikatnie na miękkich łapach. Nawet jego myśli były przepełnione kocią gracją. Starał się za wszelką cenę nie obudzić w niej ponownie bólu, który wyczuwał – zwiniętego i gotowego do ataku. Skinęła głową w stronę pól na południu, rozmytych przez dzielącą ich od nich odległość i wiszące w powietrzu trujące opary.

„To są ziemie Kitsune. Kraj mojego dzieciństwa. Dolina, w której dorastałam, była kiedyś pokryta bambusowym lasem. Wszędzie tylko pędy bambusa i motyle. Teraz wszystko pokrywa ten przekłety chwast”.

DOKĄD ODEJDZIE TWÓJ LUD, GDY CAŁĄ SWOJĄ ZIEMIĘ
OBRÓCI W POPIÓŁ?

„Za ocean. Odebrać innym ich ziemie przy wykorzystaniu potęgi, jaką daje chi”.

A KIEDY TAMTE ZIEMIE TEŻ OBRÓCĄ SIĘ W POPIÓŁ? GDY
ZNISZCZĄ WSZYSTKIE ZIEMIE POD CZERWONYM
SŁOŃCEM?

„Jeśli ich nie powstrzymamy? Pójdą do piekieł, Buruu. A wraz z nimi pójdą tam też wszyscy z nas. Dlatego musimy działać szybko. Hiro nie może poślubić Aishy. Nie możemy dopuścić do odtworzenia dynastii”.

MOI PRZODKOWIE POSTĄPILI MĄDRZE, OPUSZCZAJĄC
TO MIEJSCE. ODCHODZĄC TAM, GDZIE TWÓJ GATUNEK
NIE ZDOŁA DOTRZEĆ.

„Na północ?”.

Przytaknął.

DO WIECZNO BURZY.

„Wiecznoburzy?”.

TAK ZWIEMY TO MIEJSCE.

„Jakie ono jest?”.

PIĘKNE. CHCIAŁBYM MÓC CI KIEDYŚ JE POKAZAĆ.

„Zabierzesz mnie tam kiedyś? Kiedy już będzie po wszystkim?”.

Nagle do myśli jej towarzysza wkradł się smutek. Cień uczuć, które zwykle tkwiły schowane w najciemniejszych zakątkach jego umysłu. Dostrzegła to dzięki nowej sile zmysłu Przenikania, ale i tak tylko mignęło jej to przed oczami duszy. Cień czegoś olbrzymiego, jakby lewiatana sunącego pod czarnymi falami. Chwilę później już tego nie było. Zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

NIE.

Westchnął.

NIE ZABIORĘ CIĘ TAM.

Lecieli na północ ponad dzikimi połaciami gór Iishi, nad ostrymi zębami górskich szczytów, nad lasami powoli przybierającymi złote szaty w coraz pewniejszym uścisku jesieni. Minęli brzeg wyspy Seidai i dostrzegli w oddali zarys wyspy Shabishii. Gołe granitowe zbocze wynurzające się z krwawego morza niczym nadłamany żąb. Burza przybierała na sile, kolejne uderzenia gromu wzbudzały w Yukiko dreszcze przesywające ją do szpiku kości. Po zapadnięciu nocy osunęli się w objęcia snu. Yukiko leżała na karku Buruu z ramionami ciasno oplecionymi wokół jego szyi. Tygrys gromu zapadł zaś w swoisty trans, półprzytomny stan dobrze znany migrującym ptakom, które potrafią spędzić całe miesiące w locie nad morskimi falami.

Rano wciąż unosili się wysoko nad wodą. Wyspa Shabishii wyłaniała się przed nimi z porannej mgły. Pod nimi przemykały fale oceanu, gubiąc się w dali, zanim dotarły do horyzontu i stopiły z nieboskłonem. Yukiko nigdy dotąd nie widziała otwartego morza, tylko czarną breję w Zatoce Kigen. W niczym nie przypominało tego, co można było zobaczyć na starych obrazach. Nie był to ani kolor gęstego lasu, ani barwa jadeitu z kopalń Kitsune, ani też nijak nie przypominało oczu samuraja, od którego uśmiechu w jej żołądku zrywały się do lotu stada motyli. Czerwona niczym krew kipiel odbijająca w swoich falach szkarłatne niebo. Zanim widok ten zdołał wypełnić jej serce bólem, zanim uciszyła myśli, zdała sobie sprawę, jak dziecinnie się zachowała.

Pokochała chłopca, którego nawet nie знаła. Opisała barwę jego oczu nazwą czegoś, czego nigdy nie widziała. Wszystko to wydawało się teraz tak odległe...

Jej myśli powędrowały ku Kinowi. Zamknęła oczy. Westchnęła. Przesunęła palcami po swoich wargach, wspomnienie jego pocałunku ożyło...

ZNOWU TO ROBISZ.

„Co?”

ZARAZ ZACZNĘ UKŁADAĆ NAPRAWDĘ KIEPSKIE WIERSZE.

„O bogowie, przepraszam...”

DOBRZE, ŻE W OKOLICY NIE MA ŻADNYCH MAŁP.

Zaczęli powoli osiągać równowagę: Buruu powstrzymywał się na tyle, aby jego myśli nie pogarszały i tak już dokuczliwych bólów głowy, ale jednocześnie były one na tyle głośne, żeby dziewczyna mogła ćwiczyć się w panowaniu nad swoim darem. Wciąż pracowała nad murem w swojej głowie, układając kawałki siebie jeden na drugim niczym cegły na rosnących blankach, tworząc zaporę, która miała powstrzymać napór hałasu i gorąca Przenikania. Często jednak myliła się, a cegły pękały i się rozpadały. Wtedy myśli tygrysa gromu piszczały w jej głowie niczym sprzężenie zwrotne w głośniku grającej skrzynki, a z jej nosa znowu leciała krew. Czuła, jak z każdym dniem zmysł Przenikania staje się silniejszy. Był niczym fala przyływu wzbierająca za jej oczami, co rusz przelewająca się nad jej wątlými wałami. A ona wciąż nie odkryła, dlaczego tak się dzieje.

Wiele godzin krążyli nad wyspą Shabishii, aż w końcu Yukiko dostrzegła miejsce, gdzie mogła znaleźć odpowiedzi na swoje pytania. Klasztor tkwił ponuro na naturalnym płaskowyżu. Został wybudowany tak sprawnie, że ciężko było orzec, gdzie kończyła się praca natury, a zaczynała robota murarzy. Przyczajona grupa prastarych budynków przytulona do skały klifu. Zewnętrzne mury opadały wprost do szalejącego poniżej morza. Ściany budynków zostały wzniesione z ciemnej cegły i wyłożone czarną terakotą. Wieńczyły je szerokie, wygięte dachy. Całość przypominała ścięte piramidy ustawione jedna na drugiej.

Klasztor Bractwa Tatuazy.

Z wąskich okien nie padało żadne światło. Na wysokich murach nie można było dostrzec żadnego ruchu. Budynek był w dobrym stanie, ale całe je porastały długie pnącza, które musiały wspinać się po murach od wielu dziesięcioleci. Nad ich głowami szalała burza. Niebo nad horyzontem raz po raz przecinał grot błyskawicy wbijający się w krwistoczerwone morze w towarzystwie ogłuszającego huku gromu.

„Widzisz kogoś?”

NI ŻYWEJ DUSZY.

„Podlecimy bliżej?”

Krążyli. Niżej. Bliżej. Yukiko dostrzegła już zarośnięte poletka na kwadratowym dziedzińcu, które kiedyś zapewne dawały mnichom żywność. Teraz rośliny rozrosły się dziko na tyle, na ile tylko zdołały, w nawet tu częściowo już zatrutym powietrzu. Nad naturalną zatoką zwisała z ramienia dźwigu zapomniana lina, nadgryziona zębem czasu i napęczniała od wody.

„Jak, na wszystkie piekła, zdołali to tu wybudować?”

Wylądowali na zarośniętym dziedzińcu. Kamienie bruku były pozarastane chwastami. Deszcz spływał z murów rwącymi wodospadami. Nie było widać żadnych śladów walki. Drzwi były całe i pozamykane, a ściany nie nosiły znamion oblężenia ani ognia. Gdy jednak Yukiko zsunęła się lekko z grzbietu Buruu i rozejrzała dokładniej, nadzieja ją opuściła. Ktokolwiek tu żył i mieszkał, opuścił to miejsce już dawno temu. Nikt nie buduje fortecy w tak niegościnnym miejscu, aby potem pozwolić naturze ją zająć.

Buruu rozglądał się z przechyloną głową swoimi bursztynowymi oczami bez choćby jednego mrugnięcia powiek. W jego spojrzeniu wyraźnie można było wyczytać zakłopotanie. Z lekkim niepokojem Yukiko odkryła nagle, że świat w jej głowie prawie całkowicie ucichł. Nie było jaśniejszej płataniny ludzkich myśli, nie było nawet żarzących się iskier ptaków czy zwierząt. Na samym skraju jej postrzegania zawodziło kilka osamotnionych mew. I tyle. To wszystko. Klasztor, porośnięty krzewami klify, cała okolica sprawiała wrażenie całkowicie

pozbawionej życia. Jedynymi dźwiękami były odgłosy burzy: nieustanny szum deszczu i łoskot gromu, gdy cienkie palce błyskawic ścigały się ze sobą na tle chmur, wyzwalając z gardła Buruu pomruki zadowolenia.

NIE CZUJĘ ŻADNEGO ZAPACHU.

Yukiko skrzywiła się z bólu i szarpnęła, gdy myśli Buruu wpa- rowały do jej umysłu niczym ciężki, żelazny hak wbijający się w skroń. Kolejny niewytłumaczalny napływ mocy – znów nadchodzący w chwili, gdy się go najmniej spodziewała – rozbił jej mury obronne w pył. Jej oddech stał się rwany, bolało ją całe ciało. Nagle poczuła, że ma tego wszystkiego serdecznie dość. Jej najbliższy przyjaciel na tym świecie był jednocześnie źródłem niemal nieustającego bólu. Walczyła z narastającą frustracją, wiedząc dobrze, że tylko wszystko pogorszy. Wówczas zmysł Przenikania już całkowicie wymknie jej się spod kontroli. I co się wtedy stanie? Nadejdzie kolejne trzęsienie ziemi? Czaszka jej pęknie, mózg wytryśnie na zewnątrz i będzie podskakiwał u jej stóp niczym wyrzucona na brzeg ryba? Przycisnęła ręce do czoła i zacisnęła mocno powieki.

„Jesteś taki głośny, bracie...”.

PRZYKRO MI. NIE CIERPIĘ CIĘ RANIĆ.

Wtedy poczuła nagły wybuch gniewu, pomimo jej usilnych starań, aby do niego nie dopuścić. Zmysł Przenikania zawsze po prostu był z nią, niezmienny i niezawodny. Traktowała go jak coś oczywistego, coś równie naturalnego jak mowa czy oddychanie. Czuła się, jakby jej własne nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa, ślizgając się, gdy chciała stać prosto; potykając się i posyłając ją twarzą ku ziemi, gdy chciała biec. Pierwszy raz w życiu lękała się swojego daru. Panicznie się bała tego, kim i czym była.

Otworzyła oczy i spojrzała na zarys budynków klasztornych, smoliście czarnych na tle rozświetlanego błyskawicami nieba.

„Mam nadzieję, że znajdziemy tu odpowiedzi na nasze pytania, Buruu”.

NIE PODOBA MI SIĘ TO, SIOSTRO.

„Przelecieliśmy taki szmat drogi. Głupio byłoby zawrócić o krok od

celu”.

ODNOSZĘ WRAŻENIE, ŻE GŁUPIE POSTĘPOWANIE STAJE SIĘ NASZĄ SPECJALNOŚCIĄ.

Powietrze rozdarł kolejny huk grzmotu. Deszcz tętnił o ziemię niczym grad małych młotków. I chociaż część niej (czy też może część niego?) tęskniła do szybowania wśród chmur, jej ludzka strona dygotała z zimna, przemoczona do suchej nitki w przybierającej na sile ulewie, co zdecydowanie nie pomagało na ból głowy kłębiący się u podstawy jej czaszki. Była wyczerpana, obolała po długim locie, spragniona i nieszczęśliwa. Marzyła o choćby paru chwilach pod dachem, gdzie nie będzie wystawiona na szal żywiołów.

„Nie znajdziemy żadnych odpowiedzi, moknąc na deszczu, bracie. A każda zmarnowana przez nas chwila przybliży ślub Hiro”.

Buruu warknął gardłowo, machając energicznie ogonem na boki. Warczenie powoli cichło, tak jak cichnie szum cofającej się wody podczas odpływu.

JAK WOLISZ.

Wstępu do głównego budynku kompleksu klasztorowego broniły wysokie, podwójne drzwi z grubych dębowych desek okutych żelazem. Yukiko chwyciła kołatkę i zastukała. Pod jej dotykiem od żelaznego uchwytu odeszły całe płaty rdzy. Gdy minęło kilka zdających się nie mieć końca minut, odgarnęła nasiąknięte deszczem włosy z oczu i zakołatała ponownie. Spojrzała w górę na ciemne okna. W zakurzonych, mlecznych szybach odbijały się zygzaki błyskawic.

„Nikogo nie ma w domu”.

COFNIJ SIĘ.

Yukiko odeszła na bezpieczną odległość, a Buruu zniżył głowę i zazgrzytał pazurami o kamień bruku. Czuła zbierającą się dokoła niego energię – cichy szept elektrycznych wyładowań, od których stanęły jej wszystkie włoski na skórze ramion. W powietrzu rozchodziła się coraz silniejsza woń ozonu. Tygrys gromu rozpostarł skrzydła. Tłoki na jego sztucznych lotkach zdrząły i zaskrzypiały w proteście. Po przyciętych piórach przemknęły cienkie smużki błyskawic. Świat zdał się wstrzymać

oddech, gdy Buruu stanął na tylnych łapach. Yukiko zacisnęła mocno szczękę i zakryła dłońmi uszy. Po chwili tygrys gromu uderzył skrzydłami, wyzwalając ogłuszający hurgot pieśni Raijina.

Jeśli wierzyć starym legendom, arashitory były dziećmi Raijina, boga gromu. Chcąc jednoznacznie naznaczyć tygrysy gromu jako swoje dzieło, ich boski ojciec wlał w ich skrzydła odrobinę swojej mocy. Wcześniej Yukiko sądziła, że to tylko mit, zwykłe bajania. Zmieniła zdanie, gdy ujrzała to na własne oczy – tej nocy, kiedy Buruu niemal stracił „Dziecię Gromu” na ziemię.

Podwórze wypełniło się ogłuszającym hukiem. Trzask tysiąca uderzających jednocześnie biczów rozdarł powietrze na pół. Drżące ściany krwawiły kruszącą się zaprawą. Brukowe kamienie wystrzeliły ku niebu, jakby pod podwórcem wybuchły dziesiątki beczek z czarnym prochem. Krople deszczu zamieniły się w drobne obłoczki pary, gdy fala uderzeniowa dosięgła wiekowych drzwi i rozbiła je na drzazgi. Z jękiem wyginanych żelaznych okuć i zawiasów, z brzękiem strzelających nitów potężne wrota wpadły do środka budynku. Jedno skrzydło zostało wręcz wyrwane z kamiennej framugi. Drugie wciąż kołysało się na ostatnim, upartym zawiasie niczym złamana szczęką.

Kurz pokrywający podłogę sieni zatańczył krótko w ogólnym chaosie, którego echa długo jeszcze nie chciały ucichnąć.

Yukiko odjęła dłonie od uszu i uniosła kąciki warg w uśmiechu. Objęła Buruu za szyję, wspięła się na palce i pocałowała tygrysa gromu w policzek. Zadowolony pomruk sprawił popękane kamienie w wibracje.

„Jesteś trochę wspaniałą, wiesz?”.

TYLKO TROCHE?

Nabierając gwałtownie powietrza, z dłonią przyciśniętą do czoła, próbowała zapanować nad myślami odbijającymi się od ścian jej czaszki niczym olbrzymie głazy. Znowu odcięła się od Przenikania. Krnąbrne dziecko odmaszerowało do swojego pokoju, by przemyśleć swoje postępowanie. Buruu jęknął i odsunął się od niej z podkulonym ogonem. Yukiko czuła, że chciał ją przeprosić, ale bez mostu łączącego ich umysły nie miał jak tego zrobić. Zastanowiła się, co on musi czuć,

kiedy ona całkowicie się od niego odcina. Kiedy nie ma w ogóle wstępu do jej głowy. Kiedy jest równie samotny co ona. Wyciągnęła w jego stronę dłoń i pogłaskała go po piórach na podgardlu, wsuwając palce między puch delikatny niczym szept; dając mu w ten sposób jedyne pocieszenie, jakie mogła mu w tej chwili zaoferować. Gdy pocałowała go ponownie, dostrzegła na jego piórach pozostawioną przez siebie smugę szkarłatu.

Otarła nos wierzchem dłoni, zbierając sączącą się lśniąca krew, po czym z ponurą miną skinęła arashitorze głową i oboje weszli przez strzaskane wrota do wnętrza budynku.



12. ŁANY SKÓRY

Ciarki ciągle przechodziły po jej skórze. Wzdrygała się na każde drgnienie cieni zalegających pod ścianami. Zęby zaciskała tak mocno, że zaczynała ją boleć szczęka.

Przed nimi ciągnął się szeroki korytarz, którego drugi koniec nikał w gęstym, wilgotnym mroku. Przytłumione światło dnia wlewało się z zewnątrz przez brudne szyby okien, tworząc na posadzce błotniście jasne plamy. Wiatr włóczył się od ściany do ściany niczym wygłodniały duch, skrobiąc przemarzniętymi palcami o okiennice i jęcząc przeciągle. Drewniane elementy budynku trzeszczały niczym starcze kości. Ściany zdawały się przesuwać w mroku, tak jakby klasztor był śniętym olbrzymem zagubionym w sennych koszarach, modlącym się o nadejście świtu.

Yukiko sięgnęła do jednej z sakw przewieszonych przez grzbiet Buruu i wyjęła z niej papierową latarnię wraz z pakietem zapalek. Nagły rozbłysk ognia rzucił rozedrgane światło na dziesiątki starych gobelinów wyblakłych już wskutek nieubłaganego upływu lat i żrącego tchnienia morza. Lodowaty wiatr przez zniszczone wrota wpadał z wyciem do budynku, potrząsając talizmanami zawieszonymi na wbitych w ściany hakach.

Buruu czuł mrowienie wędrujące wzdłuż kręgosłupa. Posuwał się powoli, złościąc pazurami rowki w kamiennej posadzce, wpatrując się czujnie rozszerzonymi źrenicami w mrok. Czubki jego skrzydeł szorowały o ściany. Gdy Yukiko pogładziła pióra rosnące na jego gardle, poczuła na palcach ukłucia przeskakujących iskier. Idąc ostrożnie, krok za krokiem, wyteżała słuch, wyczekując jakiegokolwiek odgłosu, który by zdradził obecność innych żywych istot. Ale w szarości korytarza słychać było tylko szept gobelinów, szalejącą na zewnątrz burzę i ich serca bijące jednym rytmem.

Przeszukiwali dokładnie wszystkie napotymane pomieszczenia. Nie znaleźli jednak nic ani nikogo. Tylko pokryte grubą warstwą kurzu meble, gnijące powoli tkaniny i latarnie, których knoty od lat nie zaznały płomienia. Ryk fal u stóp klifu, pieśń deszczu na dachówkach nad ich głowami.

Na końcu korytarza natrafili na kamienny łuk bez drzwi, za którym znajdowały się schody wiodące w dół do skąpanego w mroku pomieszczenia. Yukiko stanęła u ich szczytu, wznosząc wysoko latarnię. Słabe światło tylko częściowo rozganiało upartą ciemność. U stóp krętych stopni znajdowała się obszerna sala z ciągnącymi się w nieskończoność rzędami zakurzonych regałów. Buruu stanął za dziewczyną, zbyt duży, by zmieścić się w wąskim przejściu. Gardłowym warkotem dawał upust swojemu niezadowoleniu. Nozdrza wypełniał mu gryzący smród rozkładu.

Yukiko zebrała się w sobie, ponownie otworzyła się na Przenikanie i sięgnęła ku umysłowi tygrysa gromu. Jego ciepło było posępne, odległe, jakby przytłoczone otaczającą ich ogłuszającą ciszą. Poza ich dwójką nie wyczuwała nic – żadnych szczerów, żadnych myszy, żadnych ptaków. Ani jednej iskry życia. Po tygodniach spędzonych w tętniących życiem górach Iishi powinna się radować z możliwości delektowania się tym spokojem. Czowała jednak głęboko w żołądku kielkujące powoli zimne nasiona lęku wypuszczające na wszystkie strony swoje oślizgłe macki.

„To wygląda na... bibliotekę”.

ZAMIERZASZ TAM ZEJŚĆ?

„Jeśli to miejsce kryje odpowiedzi, których szukamy, to chyba znajdziemy je właśnie tam na dole”.

TO MIEJSCE CUCHNIE ŚMIERCIĄ. UWAŻAM, ŻE JEST TO NIESŁYCHANIE KIEPSKI POMYSŁ.

„Buruu, to miejsce zostało opuszczone kilkadziesiąt lat temu”.

ŻAŁUJĘ, ŻE NIE MAM BRWI. MÓGLBYM JE ZMARSZCZYĆ I SPOJRZEĆ NA CIEBIE KARCAĆCO.

„Nic nie wyczuwam. Tam nikogo nie ma”.

ŻAŁUJĘ TEŻ, ŻE NIE MAM DŁONI. MÓGLBYM SPISAĆ KRONIKĘ TWOICH DOKONAŃ. TEN ROZDZIAŁ ZATYTUŁOWAŁBYM: *NAJGORSZY POMYSŁ W CAŁYM JEJ ŻYCIU*.

„Bogowie! No to zwyczajnie rozbij tę ścianą pieśnią Raijina i chodź ze mną”.

TA ŚCIANA JEST Z LITEGO GRANITU. PRĘDZEJ WYBIŁBYM W NIEJ DZIURĘ, UDERZAJĄC W NIĄ TWOIM DURNYM ŁBEM.

„Może więc obrzucaj ją sarkastycznymi uwagami, aż zmięknie”.

Buruu zawarczał, ale nic już więcej nie powiedział, tylko milczał nadąsany. Wyraźnie wyczuwała jego zmartwienie; czułość w przebraniu posępnej, obrażonej agresji. Pod tym kielkował jednak znów ból, rytmiczny huk jej własnego pulsu uderzający raz po raz w podstawę czaszki. Wzbierała kolejna fala, kolejny wizg psychicznego sprzężenia. Znowu z nosa i uszu pociekną cienkie czerwone strużki. Miała tego już serdecznie dość. Miała dość niewiedzy, dlaczego tak się dzieje.

„Wkrótce będę z powrotem, bracie. Zaczekaj tu na mnie”.

Buruu wydał z siebie ciężkie, głębokie westchnięcie, które zabrzmiało, jakby wzbierało w nim od samego czubka ogona.

ZAWSZE.

Yukiko zeszła ostrożnie po schodach, uważając, aby nie poślizgnąć się na wilgotnych kamieniach. Światło latarni migotało na granitowych ścianach, z każdym pokonywanym stopniem coraz słabiej i słabiej. W sali było bardzo chłodno, a w powietrzu unosił się zapach oliwy

doprawiony słabą wonią rozkładu. Z oddali dobiegł przytłumiony huk gromu. Długie cienie tańczyły wśród potężnych krokwi.

Regały były wysokie na dziesięć stóp. Krzyżujące się deski tworzyły przegrody w kształcie rombu. Serce Yukiko zabiło szybciej. W każdej przegrodzie spoczywały zwoje; setki, tysiące zwojów ułożonych jedno na drugich. Regały stały w długich rzędach aż do samego końca pomieszczenia.

„Daichi powiedział, że mnisi tatuowali przechowywane tajemnice na swojej skórze”.

ZASTANAWIASZ SIĘ, PO CO IM W TAKIM RAZIE BYŁA BIBLIOTEKA.

„Jesteś niesamowity. Zupełnie jakbyś potrafił czytać w moich myślach”.

Rozbawienie Buruu odbiło się echem w Przenikaniu na podobieństwo maleńkiego trzęsienia ziemi, wystarczająco jednak silnego, aby przypawić ją o pulsujący ból w skroniach. Yukiko podeszła do najbliższej półki, postawiła latarnię na posadzce i sięgnęła po pierwszy z brzegu zwój. Papier był lepki. Gruby, ciężki pergamin, w dotyku niemal... wilgotny.

Rozwinęła zwój i obróciła, aby padło nań migotliwe światło latarni. Powierzchnia pergaminu zbrązowiała wskutek długiego przechowywania, a jego brzegi były lekko postrzępione. Wymalowane na nim znaki kanji układały się w grupy wersów. To były wiersze haiku. Yukiko odrzuciła na bok opadające na oczy włosy i przebiegła wzrokiem po zwoju, z każdym kolejnym wierszem coraz bardziej zdumiona.

„Na wszystkich bogów, Buruu! Według oznaczeń autorem tych dzieł jest Tora Tsunedo...”.

KTO?

„Poeta z dworu cesarza Hirose. Sprzed czterech, może pięciu wieków. Został skazany przez cesarski sąd na karę śmierci, a wszystkie egzemplarze jego dzieł zostały podobno spalone”.

POEZJA TAK FATALNA, ŻE GO ZA NIĄ ZABILI. JESTEM POD WRAŻENIEM.

„Tak właściwie to zabili go za »rozwiązłość«. Posłuchaj”.

Yukiko przysunęła zwój do twarzy i zmrużyła oczy, usiłując odczytać dokładnie ledwo widoczne w mroku pismo.

„Wśród twoich płatków

Czeka mnie jedwabny raj,

Rozwarta miłość... OCH, NA JAJA IZANAGIEGO!”.

Yukiko upuściła zwój na posadzkę i zaczęła energicznie wycierać dłoń o nogawkę spodni, wykrzywiając twarz w grymasie odrazy. Z nagle wyschniętymi ustami rozglądała się po otaczających ją ze wszystkich stron półkach, czując w sercu narastający lęk.

„ROZWARTA MIŁOŚĆ, OCH, NA JAJA IZANAGIEGO”. TAK. TERAZ JUŻ ROZUMIEM, DLACZEGO GO ZABILI.

„Dobrzy bogowie...”.

TO BYŁA BARDZO BOLESNA ŚMIERĆ, JAK MNIEMAM?

„Buruu, to był sutek”.

Tygrys gromu wetknął głowę przez łuk drzwi u szczytu schodów i zamrugał.

PRZEPRASZAM, ALE... CHYBA NIE DOSŁYSZAŁEM.

„Na pergaminie. Buruu, na tym zwoju jest cholerny sutek. To nie jest zwykły pergamin, to skóra, ludzka skóra”.

Cofnęła się parę kroków, zasłaniając usta drżącą dłonią.

„Cała biblioteka ludzkiej skóry”.

NA BĘBNY RAIJINA...

– Witaj, młoda panienko.

W oddali zagrzmiał kolejny grom. Yukiko zawirowała i chwyciła za rękęjęc Yofuna. Buruu zaryczał. Sierść na jego grzbiecie się zjeżyła, po skrzydłach zatańczyły małe błyskawice. Niebo za oknem przecięła błyskawica. Salę zalało na chwilę oślepiająco jasne błękitno-białe światło. W tym krótkim rozbłysku tancerka burzy dostrzegła postać stojącą w cieniu schodów.

– Nie mam złych zamiarów, młoda panienko – odezwała się postać, unosząc otwarte dłonie. – Tutaj stal nie będzie ci potrzebna.

Yukiko nie dobyła miecza, ale cały czas trzymała dłoń zaciśniętą na

jego rękojęści. Zmrużyła powieki, usiłując przebić wzrokiem mrok. Postać była nieco wyższa od niej. Jej ciało spowijała prosta mnisia szata w kolorze wyblakłego błękitu. Twarz była skryta w cieniu głębokiego kaptura. Postura i głos zdecydowanie sugerowały, że to mężczyzna.

– Kim jesteś? – zapytała ostro.

– Czy takie teraz panują w Shimie zwyczaje, młoda panienko? Ktoś obcy włamuje się do twego domu i to ty masz się mu pierwszy przedstawiać?

Nieznamy przemawiał spokojnym głosem, nieco płaskim, jakby mówił z zapartym tchem. Pobudzone nagłym pojawieniem się postaci serce waliło jej w piersi. Czubki palców mrowiły od krążącej w żyłach adrenaliny. Sprzężenie zwrotne emocji zatrzeszczało głośno w zmysle Przenikania, gwałtowne napięcie otworzyło szeroko ścieżki do jej synaps. Myśli Buruu grzmiały w jej głowie głośniejsz od szalejącej na zewnątrz burzy. Czuła jego zmysły przykrywające jej własne, to tak dobrze już znane splątanie – skrzydła na jej plecach, szpony zamiast paznokci. Nie wiedziała, gdzie kończył się on, a zaczynała ona. Wszystko to podszyte było nieokreślonym lękiem przed czyhającym gdzieś tam bólem. Powoli traciła kontrolę nad samą sobą.

– Nazywam się Kitsune Yukiko – powiedziała, starając się zapanować nad głosem. – A tam jest mój brat Buruu.

– Miło mi cię poznać – odparła postać, kłaniając się. – Ja nazywam się Shun i jestem przełożonym tego klasztoru.

Mężczyzna zdjął kaptur z głowy, odsłaniając wychudzoną, chorobliwie bladą twarz. Skóra czaszki była całkowicie pozbawiona włosów, usta okalała gęsta sieć zmarszczek. Na dnie głęboko osadzonych oczu lśnił blask mądrości. Tęczówki były zamglone, niemal białe, jak u chorego na zaćmę, a mimo to spojrzenie miał bystre. Otaksował ją od stóp do głów. Zamrugał. Trzy razy. Szybko, raz za razem.

NIE CZUJĘ JEGO ZAPACHU.

Myśli Buruu zagrzmiały w jej głowie z nieokiełznaną furią gwałtownej nawałnicy. Skrzywiła się z bólu i zacisnęła mocniej dłoń na rękojęści miecza.

„Ja też go nie wyczuwam. Żadnych myśli. Nic”.

– Potrzebujesz czegoś? – wyszeptał błady mnich. – Czujesz głód? Pragnienie?

– Szukam odpowiedzi, bracie Shunie, nie wygod.

– Tego mamy pod dostatkiem, Kitsune Yukiko.

– My? – zapytała, unosząc brew i rozglądając się po upiornej bibliotece.

– Bractwo Tatuaży.

– Czy to prawda, że przechowujecie tu tajemnice świata? Zapomniane sekrety?

Shun wskazał szerokim gestem długie rzędy półek i ich ohydną zawartość.

– One nigdy nie zostały zapomniane.

– Czy znacie zatem sekret zmysłu Przenikania?

– Hmm... Jeśli mnie pamięć nie myli, brat Bishamon miał na sobie teksty o zwierzomówieniu.

– Czy mogę z nim porozmawiać? Gdzie go znajdę?

– Jeśli pamięć mnie nie myli... – mnich w zamyśleniu postukał palcem o wargę, przebiegając wzrokiem po zakurzonych półkach – tam. Trzeci rząd, druga półka. Chociaż obawiam się, że jego talent krasomówczy może ci się wydać... niezadowolający.

Yukiko przełknęła ślinę z odrazą, jakby połykała gęstą, zbitą gulę. Zdenerwowana przebierała palcami na rękojęści Yofuna.

– Ale mogę... go przeczytać?

– Hai. – Potrójne mrugnięcie. – Tradycja jednak nakazuje pobrać opłatę za korzystanie z naszych zbiorów. Drobnym gestem uznania dla wysiłków bractwa, aby zachować wiedzę, która inaczej przepadałaby w niszczących dłoniach czasu lub równie niszczących płomieniach głupców.

– Nie mam pieniędzy.

Shun uśmiechnął się pojednawczo.

– Zatem nie możemy ich od ciebie żądać, młoda panienko.

Yukiko zerknęła w stronę oleistych zwojów, które wskazał błady mnich. Na uchwycie jednego z nich dostrzegła wyryte imię Bishamon.

Buruu zawarczał ostrzegawczo. Pomruk był gardłowy i przesiąknięty groźbą. Błyskawica liznęła szyby okienne. W jej drżącym blasku Yukiko dostrzegła w pomieszczeniu więcej postaci. Jedna stała skryta w cieniach za plecami brata Shuna, druga zaraz za nią. Dwóch kolejnych mnichów tkwiło u stóp schodów. Wszystkie postacie były ubrane w długie, bładoniebieskie szaty, których postrzępione skraje omiatały podłogę. Dłonie złożone razem, głowy pochylone. Wszyscy mnisi stali nieruchomo niczym posągi i cicho niczym duchy.

Była pewna, że jeszcze chwilę temu ich tam nie było. YUKIKO, UCIEKAJ STAMTĄD.

Pot zalewał jej oczy, w ustach jej zaschło. Przenikanie rozbłysło jasnym światłem. Strach i wzbierająca agresja Buruu ogarnęły jej ciało i myśli, źrenice rozszerzyły się, żołądek wypełniły trzepoczące skrzydła motyli. Ból zacisnął mocno swoje palce, doprowadzając jej krew do wrzenia. Odpowiedzi, których tak bardzo potrzebowała, były na wyciągnięcie ręki. Sięgnęła w stronę zwoju brata Bisha- mona. Brat Shun poruszył się błyskawicznie jak język jaszczurki, jak tańczące, kłębiące się muchy, i chwycił jej nadgarstek bladą, poplamioną atramentem dłonią. Jego skóra była lodowata niczym świeży śnieg. Mróz niemal palił jej skórę.

– Puść mnie – wyrzuciła z siebie.

– Najpierw opłata, młoda panienko.

Szarpnęła ramieniem, ale nie była w stanie wyswobodzić ręki z tego odrażającego, lodowatego uścisku. Napięła mięśnie, rozciągając blizny po oparzeniach na drżącym ramieniu. Dwie tony tygrysa gromu uderzyły o grubą na stopę ścianę z litego granitu. Ryk Buruu wypełnił pomieszczenie, odbijając się echem od ścian i rezonując w jej piersi. Zacisnęła zęby z bólu.

– Przecież powiedziałam już, że nie mam żadnych pieniędzy – wysyczała.

– Nie potrzebujemy żelaza. – Przesłonięte zaćmą oczy wędrowały po jej ciele. Na twarzy mnicha malowało się pragnienie, coś na kształt głodu. – Wystarczy stopa.

– Co? – Yukiko ponownie próbowała wyswobodzić rękę. – Chcesz

moją stopę?

Jeszcze raz szarpnęła ramieniem. Rękaw szaty brata Shuna zsunął się za jego łokieć, odsłaniając przedramię. Yukiko jęknęła ze zgrozą. Skóra poniżej nadgarstka została zdarta jak skórka z obranego owocu, pozostały tylko wilgotne, ciemne mięśnie i lśniąca między nimi kość.

– Może czternaście cali... – Shun się uśmiechnął. – W końcu zniszczyłaś nasze drzwi.

– Powiedziałam: puść mnie! – ryknęła.

Chwyciła wolną ręką rękojeść Yofuna i dobyła miecza z dzwięcznym brzękiem metalu trącego o metal. Nie przerywając ruchu ręki, przeszła płynnie do cięcia i uderzyła ostrzem w ramię mnicha, wkładając w cios całą swoją siłę. Skuwana stal przecięła płótno, mięsień i kość. Brat Shun odskoczył z przeraźliwym krzykiem. Yukiko obróciła się i kopnęła stojącego za nią mnicha prosto w krocze, po czym poprawiła ciosem kolana w twarz. Mężczyzna zwinął się na posadzce, jęcząc z bólu. Trzech pozostałych mnichów zrobiło kilka kroków naprzód, odcinając jej drogę do schodów i na wolność, po czym wyciągnęło w jej stronę ręce. Yukiko porwała zwój Bishamona z półki i cofnęła się, utrzymując bezpieczną odległość od przeciwników. Niestety powodowało to też zwiększenie dystansu między nią a Buruu. Tygrys gromu zaryczał ponownie, nieustannie waląc w ścianę.

YUKIKO, CHODŹ DO MNIE!

Błaganie Buruu dzwoniło jej w głowie. Tknięta przecuciem spojrzała na ostrze Yofuna. Było czyste, ani śladu krwi. Jej żyłami przetoczył się grom. Ból Przenikania rozsadał jej głowę. Wetknęła odrażający zwój za obi i ponownie spróbowała wyczuć myśli mnichów, chwycić tętniące w nich życie, tak jak to uczyniła z Yoritomo, po czym rozgnieść je pod obcasem. Ale nie było nic do chwycenia. Żadnego ciepła, żadnego życia. Zupełnie jakby... Jakby...

Brat Shun spojrzał na nią pustymi oczami i wykrzywił wargi w upiornym uśmiechu. Podniósł z posadzki odcięte ramię i przytknął do lśniącego kikuta (żadnej krwi, ani kropli!). Yukiko patrzyła z obezwładniającym przerażeniem, jak mnich rozprostował palce, jakby

chciał jedynie pozbyć się drobnego skurczu mięśnia. Potraktowany wcześniej dwoma kopniakami mnich wstał z posadzki, wyprostował nieco miazgę, która została z jego nosa, po czym przekrzywił głowę mocno na bok, aż strzeliły mu kręgi szyjne.

– Jak już wspomniałem – wyszeptał Shun – sekretów mamy pod dostatkiem.

Cała piątka rzuciła się na nią bezładną, bełkoczącą płataniną, z przesłoniętymi bielmami oczami, próbując ją pochwycić bladymi dłońmi. W okamgnieniu przypomniała sobie wszystkie ćwiczenia, jakie wymuszali na niej ojciec, Kasumi i sensei Ryusaki. Całe lata treningu z drewnianym mieczem. Pozwoliła ciału przybrać znajomą postawę, nieco bokiem, na ugiętych kolanach. Poruszała się płynnie, niczym wściekła fala przyływu, na przemian prąc do przodu i wycofując się. Rękojeść Yofima trzymała oburącz, w delikatnym uścisku, tak jakby trzymała nie miecz, a dłoń ukochanego. Pierwszego mnicha pozbawiła wyciągniętych ku niej palców. Kolejny stracił nogę tuż poniżej kolana. Trzeciemu klinga przeszła gładko przez gardło, przecinając krtań i pustą tętnicę szyjną. Stopniowo cofała się między regałami w głąb sali, tańcząc zwinnie na kamiennej posadzce i nie zważając na wpadające jej do oczu kosmyki włosów. Miała nadzieję dotrzeć do końca rzędu półek i ruszyć biegiem ku schodom przejściem między sąsiednimi regałami.

Z zadawanych przez nią ran nie płynęła krew. Tańcowi miecza towarzyszyły tylko zdumione stęknienia i płaski upadających na kamienną posadzkę odcinanych kawałków ciała. Po którymś z kolei ciosie Yukiko zauważyła, że usieczona noga była całkowicie pozbawiona skóry od kostki wzwyż. Gdy cięła kolejnego mnicha przez pierś, przez rozcięty materiał szaty także nie dostrzegła ani kawałka skóry – jedynie szare mięśnie i upiornie białe żebra.

Nad głowami walczących przetoczył się huk kolejnego gromu. Tancerka burzy krzyknęła do Buruu najgłośniejszemu, jak umiała, nie zważając na krew obficie ciekącą jej z nosa. Na widok rubinowego płynu na jej ustach Shun i pozostali mnisi zdali się stracić resztki pozorów zdrowych zmysłów. Wytrzeszczyli do granic możliwości oczy,

obnażyli lśniące bielą zęby. Było ich zbyt wielu, by mogła z nimi walczyć w sprzyjających okolicznościach. A obecnych okoliczności nie można było nazwać sprzyjającymi nawet przy najszczęśliwszych chęciach. Tak więc Yukiko schowała pięć stóp bezużytecznego ostrza katany do pochwy i zrobiła to, co jej ojciec radził jej robić w obliczu przeważających sił wroga.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła opętańczym biegiem.

Wykorzystując półki jako uchwyty i punkty podparcia, poczęła wspinać się na jeden z regałów. Któryś z mnichów chwycił ją za kostki i musiała się go pozbyć, kopiąc go w twarz. Gdy w końcu dotarła na szczyt mebla, ponownie wyjęła Yofuna z pochwy, uniosła miecz nad głowę, dokładnie wycelowała, po czym z głośnym okrzykiem przecięła płynnym ruchem szyję wspinającego się jej śladem mnicha. Stalowe ostrze przeszło przez mięśnie i kość jak przez masło. Mnich upadł z chrzęstem na podłogę, a odcięta głowa odcoczyła się w bok. W górze ponownie zabrzmiał potężny huk gromu. Piorun uderzył tak blisko, że aż zatrzęśły się ściany budynku. Yukiko spojrzała w dół i poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Bezgłowe ciało miotano się po posadzce, macając rękoma dokoła w poszukiwaniu odciętej głowy. Światło błyskawicy nadało całej scenie niesamowity, makabryczny wygląd. Drapiące kamień palce. Wciąż mrugające oczy. Poruszające się niemo usta.

„Na oddech Stwórcy...”.

Yukiko obróciła się, przeskoczyła na następny regał i zaczęła zmierzać w stronę wejścia do sali, starając się zachować równowagę na niestabilnych meblach. Shun ruszył za nią, w ślad za nim pozostali mnisi. Z przodu dostrzegła dwóch kolejnych wdrapujących się na regały stojące najbliżej schodów i odcinających jej drogę ucieczki. W mroku pomieszczenia wypatrzyła następne postacie, wszystkie w tych samych bladoniebieskich szatach. Światło błyskawicy oświetliło stojące w rogach sali kobiece sylwetki z twarzami pozbawionymi wyrazu, trzymające na rękach własne wnętrzności. Coraz więcej mnichów wdrapywało się na regały, osaczając ją ze wszystkich stron. Dziesiątki. Setki. Całe mrowie.

„Buruu!”.

W biegu przeskoczyła na kolejny regał. Cięła. Wyciągnięte ku niej pozbawione skóry ramię odpadło z cichym mlaskiem. Pot zalewał jej oczy, oddychanie zaczynało sprawiać jej ból. Krew na wargach, w ustach, w żyłach. Z każdą chwilą wytatuowani mnisi byli coraz bliżej. Cofnęła się na skraj ostatniego regału i odgarnęła włosy z oczu.

„BURUU!”.

Kolejny grom zatrząś dachówkami. Yukiko zrobiła wypad do przodu i cięła. Zaryzykowała spojrzenie przez ramię: próbujące ją pochwycić ręce, śnieżnobiałe oczy, zgrzytające zęby, poplamione atramentem palce. Jej pięty natrafiły na skraj regału.

Nie miała dokąd uciec.

Kolejne uderzenie pioruna, jeszcze bliżej. Wystarczająco blisko, aby tym razem zatrzęśła się nawet podłoga. Yukiko jęknęła, gdy sufit nad jej głową runął nagle w dół deszczem strzaskanych glinianych dachówek. Wodospad odłamków uderzył w brata Shuna i zgniótł go na miazgę. Regał, na którym stała, zawalił się. Tancerka burzy poleciała w dół z krzykiem przerażenia. Zderzenie z kamienną posadzką było bardzo bolesne. Od razu pochwyciły ją liczne ramiona i dzwignęły na nogi. Wtedy właśnie usłyszała głośny ryk oraz towarzyszące mu świst wiatru i stukot tłoków. Biały kształt pomknął w dół przez dziurę w dachu i wylądował obok niej, krusząc kamienie posadzki potężnymi pazurami. Regały przewracały się niczym kamienie domina. Buruu jeszcze raz zaryczał, po czym skoczył do przodu i rozciął na pół mnicha trzymającego Yukiko. Poszedł za ciosem, szeroko rozpościerając skrzydła i uderzając nimi z olbrzymią siłą. Regały rozpadły się na drzazgi, zwoje wirowały w naelektryzowanym powietrzu, jak suche liście wirują na jesiennym wietrze.

SIOSTRO!

Yukiko schowała miecz do pochwy i wskoczyła na grzbiet tygrysa gromu. Wszędzie dokoła kłębiło się morze ciał. Deszcz padał przez dziurę w suficie. Wylądowania elektryczne wywoływane przez Buruu przyprawiły ją o mrowienie skóry. Ostre szpony darły ciała, wyrwały

ramiona z barków i oddzielały głowy od tułowi. Potężny ryk zatrzęsł całym budynkiem. Nagłe arashitora wybił się do lotu i wygłodniałe ciało wtoczyło ją w pióra na jego karku. Podmucha powietrza spod jego skrzydeł przewrócił nieliczne stojące jeszcze regały. Wystrzelili w górę między potrzaskanymi dachówkami i wydostali się na wolność. Wiatr na ich twarzach, deszcz w ich oczach, krew na ich ustach i wypływająca z ich uszu. Byli wręcz zalani (ona była zalana), ciało dygotało, gwałtownie wzbierały nudności, przez gardło i dalej w pustkę, treść żołądka wytryskująca przez ich (jej) zęby, zaciskała palce i szaleńczo podciągała się na krawędź, aby nie runąć w przepaść, aby wdrapać się z powrotem do samej siebie, do swojego ciała, tego drobnego, trzęsącego się worka mięśni pozbawionego skrzydeł, trzymającego się kurczowo jego grzbietu. Małego, targanego konwulsjami, przerażonego.

Opadła ledwo żywa na barki Buruu i otarła dłonią z warg krew i resztki wymiocin. Ból żarzył się w jej głowie jasnym światłem. Gruby zbitek zardzewiałych gwoździ, haczykowatych zębów i drutu kolczastego, owinięty ciasno wokół podstawy czaszki. Oddychała z trudem, wszystko ją bolało...

Ale przynajmniej żyła.

„Dziękuję, bracie”.

Buruu zamruczał, zachowując swoje myśli dla siebie w obawie przed sprawieniem jej dodatkowego bólu. Sięgnęła do obi i ścisnęła zwój Bishamona. Dotyk oleistego pergaminu wywołał kolejną falę nudności. Nie mogła wyprzeć z pamięci widoku ciągnących się długich rzędów półek, całych mil tajemnic, całych łańców skóry. Zastanawiała się, jakie jeszcze inne prawdy kryły się w mroku klasztoru, strzeżone przed groteskowych mnichów. Jakie inne sekrety spoczywały w tej odstręczającej bibliotece naniesione atramentem na ludzką skórę?

Ale wszystko to nie miało teraz znaczenia. Stracili na tę wyprawę wiele cennych dni. Do ceremonii ślubnej Hiro było coraz mniej czasu. Zdobyła jednak to, po co wyruszyła. Miała to, czego potrzebowała.

Teraz żywiła tylko nadzieję, że informacje zawarte w zwoju były tego wszystkiego warte.



13.

PROPOZYCJA

Gdy Hiro otworzył oczy, przywitała go oślepiająca jasność.

Zmrużył powieki, spróbował osłonić się dłonią od źródła światła, ale nie mógł poruszyć nawet jednym mięśniem. Nic go nie przytrzymało, jego ramiona nie były przywiązane do jego boków, a ciało nie było przykute do podłoża. Zwyczajnie nie czuł nic poniżej brody. Zimne odrętwienie okraszone zawrotami głowy. Przyćmione wrażenie, jakby coś szarpało go za sam rdzeń jego jaźni. Słyszał wilgotne klekotanie, jakby tysiące larw gnieździło się w powietrzu ponad nim i przeżuwało coś bez ustanku grubymi żuwaczkami. Nabrał powietrza do płuc i poczuł zapach krwi, a także inną, ostrą metaliczną woń.

Chi.

Uniósł głowę.

Patrzył na niego tuzin wyłupiastych, krwistoczerwonych oczu, zamocowanych na twarzach gładkich jak wypolerowana kość i pozbawionych ust. Nieśmiały głos w głębi jego myśli zastanawiał się, w jaki sposób te stwory oddychają. Otaczało go sześć postaci o lekko kobiecych kształtach, z niemożliwie wąskimi taliami. Postacie od stóp do głów pokrywały membrany w barwie wyprawionej skóry. Na ich piersiach klekotały mechalicydła. Brzuchy i długie, poplamione krwią

spódnice pokrywały liczne paski i sprzączki. Z pleców każdej postaci wyrastało osiem chromowanych ramion umazanych po pierwsze stawy we krwi. To one wydawały to klekotanie przy każdym ruchu. Gdyby mógł cokolwiek czuć, z pewnością byłoby to przesuwanie się tych metalowych palców po jego skórze.

Przebiegł wzrokiem wzdłuż długich, srebrzystych pajęczych kończyn aż do swojego ciała. Źrenice mu się rozszerzyły, a krew zdała się zamarzać w żyłach. Jego klatka piersiowa stała otworem. Brzegi skóry leżały po bokach, odwinęte niczym papier figury origami, odsłaniając żebra i mięśnie. Mokre, lśniące kości zostały rozsunięte na boki. Stwory wkładały mu do ciała długie, lśniące kable. Bark był rozcięty niczym kaczką na weselnym bankiecie. Przerazenie opanowało jego ciało i wstrząsnęło nim do głębi. Wtedy dostrzegł, że po jego prawym ramieniu został zaledwie krótki kikut tuż poniżej barku, z którego sterczały przezroczyste rurki i zakrwawione żelazne zaciski.

Hiro spróbował się wyswobodzić, ale ciało nie reagowało na jego polecenia. Nie czuł absolutnie nic.

Drżącymi ustami nabrał powietrza, aby krzyknąć.

Wtedy się obudził.

Obudził się tak samo jak każdego ranka: z potem zalewającym mu oczy, sercem walącym niczym młot kowalski i silnym uciskiem w piersi. Na języku czuł metaliczny posmak. Spojrzał na nędzny kikut sterczący w miejscu, gdzie powinno być jego prawe ramię. Z ciała wystawały metalowe złącza i giętkie kable. Hiro ukrył twarz w dłoni – swojej jedynej dłoni – i wydał z siebie drżące, głębokie westchnienie.

Przed jego komnatami czekał na niego sztucznożyciowiec trzymający jego protezę. Poczł ciężar mechanicznej kończyny, gdy była wsuwana w gniazda, gdy w głodne wejścia trysnęły wartkie strumienie. Szczękanie, zapinanie, przekręcanie i regulowanie. Po wszystkim mógł wreszcie narzucić cienką szatę na zlaną potem skórę. Poruszył ramieniem w tył i w przód. Towarzyszył temu chrzęst przekładni i tłoków przywodzący na myśl pajęcze kończyny sztucznożyciowców. Czuł kable napinające się pod jego skórą, zapach smaru.

Otworzył na oścież drzwi balkonowe i wyszedł na palące słońce. Jego nozdrza zaatakował smród miasta zaakcentowany ostrym zapachem osmalonego drewna ze spalonych budynków i buntu. Niebывały gorąc lizał go po skórze. Ostre światło przywodzące na myśl trzewia wielkiego pieca hutniczego raziło go tak mocno, że aż musiał przymknąć oczy. Na południu pancerniki klanu Tygrysa wisiały bezwładnie przy iglicach cumowniczych, szarpane tylko zatrutym wiatrem. Z ogrodów dobiegały słabe, ochryple głosy wróbli. Wynędzniałe, nieszczęsne ptaki podfruwały niemrawo na podciętych skrzydłach, wpatrując się tęsknie w czerwone niebo.

Czuł pracujący za jego plecami mechanizm. Maszynę wprawioną w ruch przez Gildię i tych spośród ministrów, którzy wykazali na tyle przenikliwości, aby poprzeć go w chaosie, jaki zapanował po śmierci szoguna. Maszynę polityki młącą wydarzenia tuż pod skórą pałacu. Obietnice awansu lub nagrody. Zbiry i zabójcy zajmujący się tymi, których nie udało się kupić. Przypominało to funkcjonowanie mechanizmu przyczepionego do jego prawego barku. Sprawnie i nieczule. Wszystko to: ta posiadłość, to miasto, ten klan.

Już wkrótce.

Hiro uśmiechnął się gorzko i potrząsnął głową. Znikąd pocieszenia.

„Moje”.

– Jego Ekscelencja Drugi Kwiat Kapituły Kigen, shateigashira Kensai!

Dźwięk głosu Matsu wyrwał Hiro z rozmyślań. Służący stał za nim, nisko się kłaniając. Promienie słońca lśniły na wygolonej gładko skórze jego głowy.

Ciężkie kroki. Syk spalin. Drażniąca woń chi.

Hiro zerknął przez ramię na zbliżającego się shateigashirę. Ekstrawagancki, wypolerowany mosiądz. Piękna, zastygła twarz chłopca w pełnym rozkwicie młodości. Czarne kable wystające pomiędzy metalowych warg. Kensai dołączył do Hiro na balkonie mimo głośnych jęków protestu desek podłogowych.

– Szogunie Hiro. – Lotosowiec okrył pięść dłonią i skinął głową.

– Nie zwracaj się do mnie tym tytułem – zaprotestował Hiro.

– Bracia z Kapituły Kawa potwierdzili to, o czym wcześniej rozmawialiśmy – powiedział Kensai, pochylając głowę tak minimalnie, że nie można było nazwać tego ukłonem. – Przywódca klanu Smoka przyjął zaproszenie na twoje zaślubiny i niedługo tu przybędzie. Uczyniłeś kolejny krok na drodze ku dźwierzaniu władzy absolutnej nad Shimą.

Hiro musiał powstrzymać się od skrzywienia twarzy. Zdusił nikiłą ekscytację, jaką wzbudziły w nim słowa Kensaia, zgniatając ją całkowicie pod ciężarem podejrzliwości.

– Czy naprawdę uważasz, że daimyo innych klanów mi się pokłonią? Nie mam nawet jeszcze osiemnastu lat, Kensai-san.

– Gdy Yoritomo wstąpił na tron, miał ledwie trzynaście wiosen.

– Ale Yoritomo-no-miya był synem pierworodnym szoguna, krwią z jego krwi.

– Tak samo będzie w przypadku twojego syna.

– To czystej wody wariactwo. W moich żyłach nie płynie nawet krztylna krwi Kazumitsu.

– Nie o twoją krew się tutaj rozchodzi – wyjaśnił Kensai – lecz o krew twojej małżonki. To przez nią zwiążesz się z linią Kazumitsu. To dzięki niej odtworzysz dynastię i zaprowadzisz porządek w miejsce chaosu wywołanego przez te podłe psy Kagé i tę obmierzłą Nieczystą. Bez sztandaru szoguna, który by dał wszystkim wspólny cel, nadał wspólny kierunek, współpraca na wojnie z gajjinami przestała praktycznie istnieć. Otrzymujemy wręcz doniesienia, że oddziały klanów Smoka i Lisa atakują siebie nawzajem podczas odwrotu...

– Ich przywódcy sami pragną tronu dla siebie. – Hiro wykrzywił usta z niesmakiem. – Ale czy to kogokolwiek dziwi? Niegdyś samurajowie z naszych wysp wierzyli w honor. W drogę wojownika. A teraz?

– Naród może być tylko tak szlachetny i cnotliwy, jak szlachetny i cnotliwy jest jego władca. – Kensai wzruszył ramionami w akompaniamencie syku jego kombinezonu. – Każda ryba psuje się od głowy.

– Zważ na swoje słowa – wycedził Hiro, gromiąc Drugi Kwiat

wzrokiem. – Nie zdzierzę wygłaszanych w mojej obecności obelg pod adresem mojego zamordowanego władcy. Jestem członkiem elity Kazumitsu. Przysięga złożona panu Yoritomo nie wygasła wraz z jego śmiercią.

– Wygaśnie, gdy zobowiązanie przejdzie na kontynuatora rodu Kazumitsu.

– Nie ma nikogo takiego na świecie.

– Jeszcze nie, szlachetny Hiro. – Oczy Kensaia zaślniły jak oczy jadowitego węża. – Jeszcze nie.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę, Kensaie? – Hiro odwrócił się twarzą do shateigashiry, wbijając w niego ostre niczym stal spojrzenie. – Wieści o odpowiedzi klanu Smoka mógł przynieść naj– pośledniejszy z twych sług.

– Pani Aisha dochodzi do zdrowia. Nasi sztucznożyciowcy donoszą, że nie musi być już trwale znieczulona. Jest nieco... zaniepokojona swoim położeniem.

– Gdybym to ja obudził się po niemal śmiertelnym pobiciu tylko po to, aby dowiedzieć się, że w międzyczasie ktoś mnie zaręczył z synem prostego samuraja, sądzę, że byłbym bardziej niż tylko „zaniepokojony”, Kensai-san.

– Temat jej rychłych zaślubin... – Kensai przestąpił z nogi na nogę jakby zakłopotany tym tematem – nie został jeszcze... poruszony.

Hiro wpatrywał się w Drugi Kwiat z niedowierzaniem.

– W końcu tradycja nakazuje, aby to pan młody poprosił o rękę swojej wybranki – dodał Kensai. – A ponieważ pani Aisha nie ma żyjącego męskiego krewnego, który mógłby pobłogosławić wasz związek, zgodę na zawarcie małżeństwa musi wyrazić przywódca jej klanu. – Z metalicznym sykiem lotosowiec wziął głęboki oddech. – Czyli ty.

– Wy bezbożni tchórze – wysyczał Hiro. – Jest całkowicie zdana na waszą łaskę, a wy wciąż się jej lękacie.

– Zwyczajnie uznaliśmy, że lepiej przyjmie te wieści, jeśli to ty je jej przekażesz.

Hiro mógłby przysiąc, że Kensai uśmiechnął się szyderczo za maską.

– Nie mam najmniejszej chęci uczestniczyć w waszych gierkach, Kensai-san.

– Och, dobrze wiem, na co masz chęć, czego pragniesz, młody panie. Dlaczego zgodziłeś się na ten proces, skoro tradycja wymaga od ciebie, abyś po śmierci swojego pana odebrał sobie życie. Wiedz jednak, że nigdy nie osiągniesz swojego celu bez pomocy Gildii Lotosu. – Kensai przysunął się o krok do Hiro. W jego głosie zabrzmiała ledwo zauważalna nuta groźby. – Jeśli zatem wymagam, abyś uczynił swojej pani ten zaszczyt i poinformował ją o jej zaręczynach osobiście, zrobisz to. Zrobisz to z chęcią, albowiem przybliży cię to o kolejny krok do tego, czego naprawdę pragniesz: do zgładzenia tej obmierzłej Nieczystej, która zamordowała twojego pana i rzuciła na ten wspaniały kraj złowrogi cień buntu. Córki Masaru, Czarnego Lisa Shimy. Kitsune Yukiko.

Na dźwięk jej imienia metalowa dłoń Hiro zacisnęła się gwałtownie z głośnym szczękiem. Samuraj zamrugął, po czym z wysiłkiem rozwarł palce i zmusił protezę do swobodnego zwisania przy jego boku.

– Ach, widzę, że twoje sztuczne ramię jest już w pełni sprawne – zauważył Kensai z lekkim rozbawieniem w głosie.

– Będzie mi dobrze służyć.

– Jako i my wszyscy. – Lotosowiec okrył pięść dłonią i się skłonił. – Szogunie.

Leżała na łożu tak wielkim, że mogłaby się na nim zgubić. Jej ciało okrywał podciągnięty aż pod brodę czerwony jedwab. W powietrzu rozbrzmiewało tykanie setki zegarów. Pod jej plecy ktoś podłożył całą górę poduszek. Zastłony były rozsunięte; wpadające przez mleczone szyby okienne krwistoczerwone promienie słońca przesuwwały się ku niej powoli po deskach podłogi. Przy łożku stały klekoczące maszyny z licznymi pokrętłami i miechami, perforowanymi kartami i żetonami stukającymi w nierównym rytmie. Z wnętrza maszyn wychodziły liczne przewody prowadzące pod przykrywający ją jedwab. Koło niej, na

łóżku, czarno-biały terier zamęczał ostrymi szczenięcymi zębami ciasno zwinięty kłębek sznurka. Gdy gość wszedł, szceniak zamerdzał swoim małym ogonkiem.

Nie miała na sobie junihitoe, jak wypadało w przypadku takich odwiedzin. Jej nagość chroniły tylko gładki czerwony jedwab i całe rzeki długich, kruczoczarnych włosów spływających na ramiona. Jej bladej twarzy nie pokrywał puder, jej przekrwionych oczu nie podkreślał cień do powiek. Prawą rękę osłaniał gips; usta miała blade i pozbawione choćby cienia szminki; lewe oko wciąż okalał żółtawy siniec; skóra rozcięta od lewego kącika ust niemal aż do podbródka została zszyta delikatną nicią. Wbrew temu, co powiedziano większości dworzan, Yoritomo pobił swoją siostrę z niesłychaną wręcz brutalnością.

Mimo to wciąż była piękna.

– Moja pani, Tora Aisho. – Hiro okrył pięść dłonią i uklonił się głęboko. – Pierwsza Córko Shimy, ostatnia z dynastii Kazumitsu. Zaszczycasz mnie, udzielając mi audiencji.

– Panie Tora Hiro. – Uśmiechnęła się słabo, jakby bojąc się uszkodzić szwy. – Serce me raduje się na widok szlachetnego samuraja z honorowego domu. Wieki całe nie było mi dane cieszyć się tak miłym towarzystwem.

Zerknęła na dwójkę sztucznożyciowców stojących przy jej łóżku z ramionami skrzyżowanymi na mechalicydłach zamontowanych na piersiach. Ich oddechy przypominały ciche syczenie.

Rozproszone promienie słońca lśniły na wyłupiastych, karmazynowych oczach osadzonych na twarzach pozbawionych jakichkolwiek rysów.

Hiro przyklęknął przy łożu. Sprężynowe wentylatory zamontowane na belkach sufitowych leniwie miały powietrze, zmuszając je do niespiesznego krążenia po komnacie. Na brwiach Aishy zbierały się kropelki potu; nie uniosła jednak ręki, aby je otrzeć.

– Pragnę pomówić z panią Aishą na osobności – powiedział Hiro, spoglądając na sztucznożyciowców.

Istoty wymieniły milczące spojrzenia, ale się nie poruszyły.

– Zostawcie nas samych – warknął Hiro.

– Lotos musi kwitnąć.

Sztucznożyciowcy skłonili się jednocześnie, po czym ruszyli ku drzwiom równym krokiem, tak jakby ich dwoma ciałami sterował jeden umysł. Ich buty stukwały o podłogę w idealnej harmonii. Chromowane brzytwy na ich plecach lśniły w promieniach słońca. Gdy dotarli do drzwi z papieru ryżowego, rozsunęli je i wyszli na korytarz, tak jak tancerze wkraczają na scenę teatru. Po chwili drzwi zasunęły się za nimi z głośnym stukiem.

– Dzięki niech będą bogom – wyszeptła Aisha drżącym głosem. – Te kreatury stały tu cały czas, odkąd się przebudziłam. Jesteś pierwszym z podwładnych Yoritomo, którego widzę, odkąd... – Rozejrzała się nerwowo rozszerzonymi oczami, jakby obawiając się, że ściany mają uszy. – Trzymają mnie jak więźnia, panie Hiro. Nie pozwalają przyjść tu Michi ani żadnej innej z moich służących. Z nikim nie wolno mi mówić... – Pociągnęła nosem i przełknęła z trudem. – Musisz mnie stąd zabrać, z dala od nich, od Gildii. Nie wierzę, że dwór pozwoliłby im tak mnie traktować, gdyby tylko wiedział, co tutaj się dzieje. Nie mam nic, czym mogłabym się zająć. Nie mam do kogo ust otworzyć. Faszują mnie jakimiś środkami, traktują jak... worek mięsa. Miłościwi bogowie...

Zacisnęła zęby, starając się zwalczyć strach i powstrzymać łzy. Hiro dostrzegł wyraźnie, że nie załamała się jeszcze tylko ogromnym wysiłkiem woli. Widział, jak mało brakuje, aby rozpląkała się jak małe, zagubione dziecko, osamotnione i bojące się ciemności. Szczeniak przerwał zabawę sznurkiem i przyglądał się swojej pani z przekrzywionym łebkiem i podkulonym ogonem. Hiro usiadł na brzegu łoża i przypatrywał się jej przez dłuższą chwilę z opartymi o kolana dłońmi zwiniętymi w pięści i pozbawioną wyrazu, jakby wykutą w skale twarzą. Gdy w końcu przemówił, jego głos był twardy i ponury niczym kamień nagrobny, a także zimny i martwy jak popioły, które złożono w grobowcu jego pana i władcy.

– Zaszługujesz na to.

Szerokie oczy zamglone niewypłakanymi łzami, usta drżące niczym

liście targane jesiennym wiatrem. Wąły, ledwo słyszalny szept.

– Słucham?

– Zaslugujesz na to, moja pani. – Wpatrywał się w nią bez mrugnięcia, bez cienia współczucia w oczach. – Zdradziłaś swojego brata i władcę. Szoguna tych wysp. Człowieka, któremu wszyscy byliśmy winni posłuszeństwo. Pomogłaś tej suce Kitsune uciec z trofeum Yoritomo. To przez ciebie on nie żyje, kraj pogrążony jest w chaosie, a nasz klan się rozpada.

– O nie, ty też? – wyszeptała. – Bogowie... miejcie litość nade mną...

– Ależ bogowie okazali ci swą litość, moja pani. Okazali się o wiele bardziej litościwi, niż ja bym był. Dali ci możliwość odkupienia swoich przewin. Zmazania hańby, którą się okryłaś, dopuszczając się tej niewyobrażalnej zdrady.

– O czym ty...

– Wkrótce odbędzie się nasz ślub.

Resztki krwi odpłynęły z policzków Aishy, jakby ktoś jej właśnie rozplątał gardło.

– Zapowiedzi zostały już ogłoszone – ciągnął Hiro. – Przywódcy klanów Feniksa i Smoka przyjęli już zaproszenie. Przed końcem miesiąca będziemy małżeństwem i wspólnie odtworzymy dynastię Kazumitsu. Razem przywrócimy do życia linię, którą pomagałaś zniszczyć.

Hiro ujął Aishę za dłoń, zamykając swoje metalowe palce wokół jej. Jego ruchy były niezdarne. Wtórowały im syk i terkot przekładni i kół zębatych, co przywodziło na myśl kombinezon lotosowca.

– Teraz rozumiem. – W oczach Aishy płonął ogień wyzwania. Zdusiła w sobie chęć wyrwania dłoni z jego uścisku. – Szogun Hiro, czyż nie tak?

– Zawsze byłaś przenikliwa, pani.

– Zatem Gildia cię kupiła – wycedziła już pewniejszym głosem z nutą złości i subtelnej pogardy. Spojrzała na metalowe ramię Hiro, wykrzywając usta w grymasie odrazy. – Wyceniony i sprzedany.

– Nawet się nie waż mnie oceniać – warknęła. – Wszystko, co teraz

robię, robię po to, aby naprawić niegodziwości, w których ty miałaś współudział.

– Niegodziwości? – zapytała na wpół się śmiejąc, a na wpół łkając. – Ty śmiesz mówić mi o niegodziwościach?

– On był twym bratem, Aisho. Honor nakazywał, abys...

– Nie mów mi o honorze – parsknęła. – Nie praw mi tych swoich frazesów o kodeksie bushido i poświęceniu. Wyrzuj za okno, Hiro-san. Spójrz, co nasze cesarstwo uczyniło wyśpom, na których żyjemy. Niebo czerwone niczym krew, ziemia czarna jak smoła. Nasze uzależnienie od chi wysysa z tej krainy życie do ostatniej kropli. Prowadzimy wojnę za morzami, mordujemy gaijinów całymi tysiącami. I po co? Dlaczego? Nowe podboje, coraz większa produkcja paliwa. Jak się to wszystko skończy? Czy martwe ziemie rozpękną się i wszyscy co do jednego zostaniemy wciągnięci do najgłębszych piekieł?

– To się skończy, gdy ona zginie – wycedził.

– Ach. – Aisha spojrzała na niego niemal współczująco. – Teraz rozumiem. To nie moja zdrada tak cię boli, tylko jej. Yukiko.

Metalowa dłoń Hiro zacisnęła się w pięść.

– Nigdy więcej nie wymawiaj przy mnie tego imienia.

– Ona cię kochała, Hiro-san.

– Zamilknij!

Metalowe palce zadrgały.

– A mimo to zawiodłeś. Chociaż wydarłeś jej serce z piersi, chociaż zdradziłeś dziewczynę, która cię szczerze kochała... Mimo to nie zdołałeś ocalić życia swojego władcy.

Hiro wskoczył na łóżko i zacisnął metalowe palce na gardle Aishy. Rozwarła szeroko oczy. Gdy zimne żelazo wpiło się w jej skórę, krew zaczęła napływać intensywnie do jej policzków. Szczeniak zaszczekał i zawarczał, po czym wbił swoje ostre zębki w skraj szaty daimyo klanu Tygrysa i pociągnął, jak umiał najmocniej. Twarz Hiro przypominała maskę szaleńca – dzikość w oczach, piana na wargach, zgrzytające zęby. Naparł na nią całym swoim ciężarem i przyglądał się z satysfakcją, jak jej twarz czerwienieje.

– Ani słowa więcej, ty podła dziwko.

Łzy wzbierały w oczach Aishy. Jej głos był już tylko ledwo słyszalnym szeptem.

– Żal... mi... cię...

Hiro przysunął do niej swoją wykrzywioną nienawiścią twarz i spojrzał jej głęboko w oczy, przyglądając się, jak z każdą kolejną chwilą płonące w nich światło gaśnie. Gdy jednak jej kres był coraz bliższy, gdy Aisha chwiała się na krawędzi przepaści, zamiast przerażenia i bólu samuraj dostrzegł w jej spojrzeniu triumf i odrazę. Nie walczyła. Nie wymachiwała rękami, nie kopała go, nie próbowała się wyrwać z jego uścisku. Z jękiem przerażenia chwycił swoje sztuczne ramię zdrową ręką i oderwał je od gardła siostry nieżyjącego szoguna.

Aisha opadła na rozrzucone w nieładzie poduszki, łapiąc łapczywie powietrze. Splątane włosy oblepiały jej twarz, nadając jej wygląd dziecięcej lalki ciśniętej w kąt po skończonej zabawie. Szczeniak lizał ją po palcach dłoni, zawodząc żałośnie. Hiro wstał z łóżka, chwiejąc się na nogach i oddychając z trudem.

– Sprytnie, bardzo sprytnie, moja pani. – Otarł pot z warg prawdziwą dłonią. – Dworzanie zawsze opowiadali, że grasz na naszych emocjach równie sprawnie, co na shamisenie. Ale nie dziś. – Przełknął ślinę i potrząsnął głową. – Nie, dziś nie umrzesz.

Gdy uspokoił oddech, przykląkł przy łożu, poprawił poduszki i wygładził prześcieradło. Drżącymi metalowymi palcami odgarnął włosy z jej twarzy.

– Nie ma ucieczki – westchnął, wodząc palcami po świeżych sińcach pod jej szczęką. – Dla żadnego z nas nie ma ucieczki. Zostaniesz moją żoną. W ten sposób linia Kazumitsu przetrwa. Przynajmniej na tyle długo, żeby ta suka została pogrzebana w nieoznaczonym grobie. Potem niech się dzieje, co chce. Nie dbam...

W tej właśnie chwili splunęła mu w twarz. Lśniące krople wylądowały na jego nosie, oczach i policzkach. Zamknął oczy i zadrzał. Wargi odsłoniły zacisnięte wargi.

– Ty nędzny tchórze – wysyczała.

Hiro wziął pełną garść jej długich, czarnych włosów i wytarł nimi ślinę z oczu i policzków. Potem owinął je wokół swojej dłoni i pociągnął, odchylając jej głowę do tyłu. Aisha zasyczała z bólu.

– Zostawię cię teraz samą, moja miłości. – Zniżył głowę i złożył na jej czole delikatny pocałunek. – Wspominaj mnie czule do mego powrotu.

Wbiła w niego lodowate spojrzenie, nie kryjąc gotującej się w niej wściekłości. Wstał, wygładził poły kimona, poprawił wiszące przy boku daishó, po czym ruszył ku drzwiom z papieru ryżowego. Gdy je rozsunął, obejrzał się na nią ostatni raz.

– Radzę wnikliwie przemyśleć swoje położenie, moja pani. Wspomnij miłe ci osoby. Pomyśl o twych służkach, które tkwią w swoich celach w oczekiwaniu na czas, gdy odpowiedzą za współudział w twej zdradzie.

– Zostawcie je w spokoju – wysyczała Aisha. – One o niczym nie wiedziały.

– Ty tak twierdzisz. Pamiętaj jednak, że na szali spoczywa nie tylko twoje życie. I pamiętaj też, że człowieka może spotkać los po wielokroć gorszy od śmierci.

– Masz na myśli życie tak jak ty? – odparła. – Na kolanach? Jako niewolnik Gildii?

– Jeśli coś nakazuje mi klęczeć, pani, to mój honor. Wierność złożonym przysięgom. Wierność wobec mego pana. – Hiro wykrzywił pogardliwie usta. – Ale ty nigdy tego nie pojmiesz.

– Honor – parsknęła. – Jeśli miałbyś go w sobie choć kroplę, dawno byś popełnił seppuku, Hiro-san. Nie tylko bowiem pozwoliłeś swojemu władcy zginąć, lecz także po śmierci szoguna wciąż żyjesz... Ty, członek elity Kazumitsu... – Jej tętniące nienawiścią oczy się zwęziły. – Okrywasz swój klan hańbą, chłopcze.

Kąciki ust Hiro uniosły się w słabym uśmiechu.

Uśmiechu równie wypranym z emocji co jadeitowozielone oczy, którymi na nią spojrzał.

– Jak już wspominałem – powiedział, kiwając głową – zawsze byłaś przenikliwa...



Nic.

Najzwyczajniej w świecie nic.

Tkwili obok siebie na szczycie czarnej skały opadającej stromo do wzburzonego morza. Buruu leżał zwinięty w kłębek, z dziobem opartym o kamień. Futro i pióra nastroszył dla ochrony przed smagnięciami wyjącego wichru. Yukiko wtulała się w jego bok, niemal pijana jego ciepłem, rytmicznym biciem serca, tak doskonale zgranym z jej własnym. Wpatrywała się w swoją ponurą zdobycz, zmudnie, linijka po linijce przebijając się przez tekst.

Wbrew jej nadziejom i oczekiwaniom zwój Bishamona nie traktował o tajemnicach zmysłu Przenikania. Była to raczej kompilacja mitów i podań dotyczących tancerzy burzy i mistycznej więzi między nimi a dosiadanymi tygrysami gromu. Chociaż Yukiko nigdy tak naprawdę nie zastanawiała się nad przeszłością, teraz wydawało jej się naturalne, że wszyscy tancerze burzy w historii Shimy dysponowali tym samym darem co ona. Jak inaczej mogliby porozumiewać się z arashitorą, gdy ruszali do walki? Zwój zawierał opis starcia Kitsune-no-Akiry ze Smokiem Zapomnienia, triumfu Kazuhiko Czerwonego nad stoma roninami, a także niepełne podanie o bohaterskiej szarży Tory Takehiko

na Diabelską Bramę. Yukiko podejrzewała, że pozostałe legendy zostały zapisane na innej części ciała brata Bishamona. Tekst nie wspominał jednak ani słowem o tym, jak dawni bohaterowie panowali nad swoją mocą. Nie było też żadnej wzmianki o przypadkach utraty kontroli nad nią.

Yukiko zwiesiła smętnie głowę. Potarła oczy pięściami, starając się powstrzymać gorzkie łzy żalu. Nasiąknięte deszczem włosy zsunęły się jej na twarz, przylepiając się do skóry pozlepianymi kosmykami. Pani Amaterasu opadała już na zasłużony odpoczynek. Spowite chmurami niebo na zachodzie przybrało za sprawą bogini słońca barwę wypalonej, krwawej umbry. Zapadała noc, odbierając dziewczynie wszelką nadzieję.

Mocno zaciskając usta, wślizgnęła się do umysłu Buruu. Starła się skupić Przenikanie w jednym, maleńkim punkcie, tak jakby usiłowała przepuścić promienie słoneczne przez otwór z ciała i kości. Ponownie zbudził się ból głowy, a ciepła żołądka zaczęła wzbierać i przeć w górę przełyku. Ostre zęby czekały tuż pod powierzchnią jej skóry na dogodny moment, by ją ukąsić.

„Bracie, słyszysz mnie?”.

SŁYSZĘ.

Skrzywiła się z bólu; powoli oblizwała wysuszone wiatrem wargi. Była zbyt zmęczona i zbyt zniechęcona, aby ponownie budować mur w swoim umyśle, aby układać cegłę za cegłą tylko po to, aby wszystko znów się zawaliło.

„Tutaj nie ma nic, co by mogło nam pomóc. Tylko legendy o dawno nieżyjących bohaterach”.

Zacisnęła palce w pięści w przyływie gorzkiej i bezradnej wściekłości. Spojrzała na przewalające się nad jej głową czarne morze chmur, poszukując w nieboskłonie odpowiedzi. Doskonale wiedziała, że ich tam nie znajdzie. Ból głowy przybierał na sile. Była tak rozżalona, że miała ochotę wyć.

PRZYNAJMNIEJ NASZA WYPRAWA NIE BYŁA CAŁKOWITĄ STRATĄ CZASU.

„W jaki niby sposób?”.

Arashitora rozprostował jedno wzmocnione mechanicznie skrzydło i okrył nim swoją trzęsącą się z zimna towarzyszkę. Drobnie wyładowania elektryczne łaskotały jej skórę. Całe ciało spowiła charakterystyczna woń ozonu.

A, JAKOŚ TAK.

Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i wtuliła w jego futro. Objęła go mocno i wysłała do jego umysłu ciepło, wdzięczność za to, że jest tu przy niej. Jego obietnica wciąż widniała wyraźnie w jej pamięci, wyryta w kamieniu, o który opierała plecy.

Między, pod i poza wszystkim innym, czym mogę być, przede wszystkim jestem twój. Nigdy cię nie opuszczę, nigdy cię nie porzucę. Możesz na mnie polegać, tak jak polegasz na słońcu, że wszędzie, czy na księżycu, że zniknie o poranku. Ty bowiem jesteś moim sercem.

POWINNIŚMY WRACAĆ DO IISHI. TAM MOŻESZ SIĘ PRZESPAĆ. I ZJEŚĆ.

„Mam nadzieję, że Kagé traktowali Kina przyzwoicie. Martwię się o niego. Został tam zupełnie sam”.

NIE ZOSTAŁ SAM. JEST Z NIM DZIEWCZYNA.

„To mnie martwi jeszcze bardziej”.

CZYŻBYŚ BYŁA ZAZDROSNA?

„A dlaczegoż miałabym być zazdrosna o Ayane?”.

...NIEWAŻNE.

„Nie, proszę, powiedz, co masz na myśli”.

Westchnął ciężko. Wiatr targał piórami pod jego zwężonymi, bursztynowymi oczami.

PONIEWAŻ ONA ZNA CZĘŚĆ NIEGO, KTÓREJ TY NIGDY NIE POZNASZ. PONIEWAŻ OBAWIASZ SIĘ, ŻE ON DOSTRZEŻE W NIEJ TOWARZYSZKĘ, JAKIEJ NIGDY NIE ZNAJDZIE W TOBIE.

Wydęła wargi w jej przytulnym królestwie futra i piór.

„Wydawało mi się, że mówiłeś, jakobyś nie rozumiał ludzkich związków”.

NIE ROZUMIEM „DLACZEGO”. „DLACZEGO NIE” JEST O

WIELE PROSTSZE DO POJĘCIA.

„Nie wiem, co mam robić”.

NIEPRAWDA. ZWYCZAJNIE BOISZ SIĘ, CO ZROBIENIE TEGO BĘDZIE OZNACZAŁO. ON NIE JEST HIRO. ON CIĘ KOCHA.

„Wiem”.

A TY JEGO?

„Część mnie z pewnością. Inaczej bym się tak nie czuła. Kiedy myślę o nim i o Ayane spędzających czas sam na sam, mam ochotę coś udusić”.

ACH, MŁODZIEŃCZE UCZUCIA...

Słońce chyliło się coraz bardziej ku skrajowi świata. Yukiko przyjrzała się badawczo burzy szalejącej na północy. Błyskawice co chwila przecinały niebo. Buruu odwrócił głowę i również spojrział w tamtą stronę. Uczucie melancholii zabarwiło jego myśli na posępny granat. Sięgnęła ku niemu, aby go dotknąć, wciąż niepewna siły Przenikania. Gdy gładziła jego umysł, poznała prawdziwą naturę dręczących go myśli.

„Tęsknisz za domem”.

BURZA MI O NIM PRZYPOMINA. ZAWSZE.

„O Wiecznoburzy?”.

GDZIE DRZEMIĄ WIELKIE SMOKI MORSKIE. GDZIE RAIJINISUSANO-0 NUCA KOŁYSANKI, ABY UKOIĆ ICH GŁÓD. ODTĄD AŻ PO KRES ŚWIATA.

„Wielu was tam jest? Tygrysów gromu?”.

KILKA ROZPROSZONYCH STAD. OSTATNI Z MOJEGO GATUNKU. ROZMNAŻAMY SIĘ BARDZO POWOLI. JESTEŚMY ZAZDROŚNI, PRYMITYWNI. POD WIELOMA WZGLĘDAMI JESTEŚMY PODOBNI DO WAS.

Pytanie pojawiło się w jej myślach bez udziału świadomości.

„Wiesz, nigdy tak naprawdę nie powiedziałaś mi, dlaczego przybyłeś do Shimy. Wspomniałeś, że byłeś ciekawy, ale jestem pewna, że było coś jeszcze”.

...

„Buruu?”.

GILDIA.

Jej zmysły się wyostrzyły. Sierść na grzbiecie Buruu stanęła dęba. Wpatrywała się w dal, mrużąc oczy w pogłębiającym się mroku. Wytężała słuch, wyczekując znajomego odgłosu silników.

„Nic nie widzę...”.

UŻYJ MOICH OCZU.

Wślizgnęła się w ciepło za jego źrenicami i ujrzała świat takim, jakim on go widział. Przez chwilę, zanim zdołała zapanować nad nowym zmysłem, wszystko rozbłysło boleśnie oślepiającym światłem. Czuła, że z nosa leci jej krew. Czuła ciepłą lepkość na wargach. Ale zignorowała to i zwęziła oczy, tak jakby spoglądała wprost na tarczę słońca. Z ogromną ulgą zaczęła rozróżniać drobne szczegóły: zarys chmur, falujące morze, pianę na załamujących się falach przy- boju. Daleko na północy dostrzegła zaś drobny cień, nie większy od młodej muchy lotosowej. Głęboka czerń odcinająca się na stalowej szarości nieba. Zadarty nos, balon, podłużny kadłub. Sylwetka nie do pomylenia z niczym innym. Sylwetka lotostatku Gildii.

„Co oni, do wszystkich piekieł, robią aż tutaj?”.

WOJNA.

„Ziemie gajjinów leżą na wschodzie, nie na północy. Jeśli to okręt wojenny, to zdecydowanie zboczył z kursu”.

MOŻE ICH ZAPYTAMY?

Yukiko spojrzała w stronę wysuniętego najbardziej na północ punktu wyspy Seidai, a następnie z powrotem na małą sylwetkę lotostatku. Wiedziała, że powinni wracać do Kagé. Musieli zaplanować akcję na dzień wesela Hiro, ratunek Aishy. Ale jeśli pozwolą temu statkowi Gildii odlecieć, mogą już nigdy więcej nie mieć okazji dowiedzenia się, co oni tu robią i co zamierzają. Poza tym przecież zapowiedziała, co zrobi z kapitanem następnego wysłanego na północ statku.

Chwyciła rękojeść Yofuna i wspomniła słowa Daichiego. Bezkresne połacie martwych ziem, nad którymi przelatowali, gdy odwiedzali stolice czterech klanów. Skazę pozostawioną przez Gildię we wszystkich

provincjach. Zardzewiałe rurociagi. Chorych na czarnopłuco żebraków. Kamienie Ognia.

Cokolwiek lotosowcy tu robili, dałaby sobie rękę odciąć, że nie było to nic dobrego.

„W porządku”.

Skinęła głową.

„Polećmy za nimi i przekonajmy się, co zdołamy odkryć”.

Lotostatki może i były cudami mechaniki, ale w dużej mierze cierpiały na te same ograniczenia co ich morscy krewniacy. Każdy sterowiec – niezależnie od tego, jak potężne miał silniki – był zdany na łaskę i niełaskę boga wiatru, Fujina. Lot pod wiatr wiązał się z ogromnym skokiem zużycia paliwa, a do tego wodór zawarty w trzewiach balonu był skrajnie łatwopalny, czego dowodzą spoczywające w górach Iishi zwęglone szczątki trzech pancerników Gildii i „Dziecięcia Gromu”. Dlatego właśnie gdy Yukiko zorientowała się, że statek Gildii nie tylko leciał wprost pod wiatr, ale także w sam środek burzy, zrozumiała, że te podłe dranie coś planowały. Z całą pewnością coś niegodziwego.

Lecieli prawie cały dzień i Buruu zaczynał okazywać pierwsze oznaki zmęczenia. Kilkakrotnie udało mu się zdrzemnąć, gdy tylko napotkał oceaniczne prądy termiczne, na których mógł spokojnie szybować w stanie przypominającym lunatykowanie. Gdy Buruu odpoczywał, Yukiko czuwała, wykorzystując ten czas na mozolne odbudowywanie muru w swojej głowie. Nie stało się jednak nic groźnego – tygrys gromu wykazał niebywałą wręcz umiejętność statecznego szybowania nawet podczas snu. Tancerka burzy posiliła się nieco ciastkami ryżowymi wygrzebanymi z dna sakw i upiła nieco wody z ostatniej tykwy. Przez większość lotu wbijała wzrok w okręt, który mogła już dostrzec własnymi oczami.

Kapitan statku kierował go wprost w szalejącą nawałnicę. Huk gromu co rusz przetaczał się po niebie, cienkie jak włos błyskawice przecinały horyzont. Odległość między lotostatkiem a nimi stopniowo malała, arashitora potrafił bowiem lecieć pod wiatr o wiele sprawniej niż

sterowiec. Po pewnym czasie Yukiko dostrzegła, że ścigany przez nich statek nie był pancernikiem – był zdecydowanie zbyt mały na okręt wojenny. Leciał też dużo szybciej, niż byłoby to możliwe w przypadku statku obciążonego działami i miotaczami.

„Może to zwiadowca? Tylko co spodziewał się tu zobaczyć?”. MOŻE PILOT CIERPI NA PRZYTLĄCZAJĄCĄ DEPRESJĘ.

Im bliżej było do zapadnięcia nocy, tym bardziej wzmagał się wiatr. Burza wyciągała ku nim swoje łapczywe ramiona, podnosząc poziom adrenaliny w krwi Buruu. W jego uszach grzmot piorunów przybierał postać monumentalnego hymnu. Każda błyskawica wyzwalała w jego wnętrzu błękitno-biały dreszcz rozkoszy.

„Czy to możliwe, że kierują się do Wiecznoburzy?”.

JEŚLI ZAMIERZALI POPEŁNIĆ W TEN SPOSÓB SAMOBÓJSTWO, TO OBRALI NIEWŁAŚCIWY KURS.

„Dokąd zatem lecą?”.

NA PÓŁNOC STĄD JEST GRUPA WYSEPEK. CZARNE SZKŁO. NAZYWAMY JE WYSPAMI KŁÓW. ALE ŻADNA ŁÓDŻ ZBUDOWANA PRZEZ MAŁPIE DZIECI NIE BYŁABY W STANIE TAM PRZETRWAĆ.

„Cóż, kończy mi się jedzenie, a każda godzina spędzona tutaj tylko przybliży dzień zaślubin. Z drugiej strony głupio byłoby teraz zawracać. Jak uważasz?”.

...

„Buruu?”.

W piersi tygrysa gromu zrodził się przeciągły warkot, czy też raczej skowyt. Poziom adrenaliny w jego krwi gwałtownie skoczył, źrenice się rozszerzyły. Ledwo wyczuwalny strzęp zapachu unosił się w powietrzu. Podświadomie zwiertzony okruc, wzbudzający we wnętrzu arashitory coś bardzo pierwotnego. Przez chwilę również Yukiko poddała się temu uczuciu. Buruu stracił panowanie nad sobą i rozbłysnął w jej myślach niesamowicie jaskrawym światłem, przygotowując ją znowu o ból głowy. Przez zmysł Przenikania przebiegł silny impuls, wypełniając ich usta śliną, przyspieszając oddechy i bicie serc. W żołądkach zatrzepotały

motyle. Twarz i szyję zalała fala gorąca. Mięśnie ud zadygotały. Jej palce wbiły się w jego futro, czuła na dłoniach każdy włos z osobna. Skórę pokryła gęsta gęsia skórka.

Wielkim wysiłkiem wycofała się, opuściła jego umysł i odcięła się od niego, ocierając dłonią krew sączącą się z jej nosa. Zorientowała się, że Buruu nagle przyspieszył. Naprężone mięśnie, szpony zwinięte w potężne pięści. Czuła łomotanie jego serca i ogarniającą stopniowo także jej ciało euforię. Nagle rozpoznała to uczucie. Towarzyszyło jej w te wszystkie noce spędzone w objęciach Hiro. Wyczekiwanie na ten moment każdego wieczora, kiedy po całym dniu łaknienia ich usta nareszcie się zetkną. Ciepło rozchodzące się od żołądka w dół, między jej uda. Uczucie, które wzbudził w niej Kin wtedy na cmentarzu, gdy lgnęła do niego całym ciałem, wdychając go niczym tlen i ogień.

Pożądanie.

Chociaż nie... to było coś gorszego.

Coś poza granicą pożądania, niebezpiecznie blisko szaleństwa.

„Buruu?”.

Sięgnęła do Przenikania, usiłując wystawić za mur najmniejszy możliwy skrawek swojej jaźni, jakby starała się uchylić drzwi, tak aby prześlizgnął się tylko jeden promyk. Buruu gorzał jaśniej od słońca. Ból zaatakował nagle. Yukiko zakreśliło się w głowie, jakby zataczała się pijana. Czuła na sobie uderzenia pędzących lawin i wielu metalowych pałek. Zamknęła oczy i osłoniła twarz dłonią, tak jak człowiek osłania się przed żarem bijącym od ognia.

„Buruu? Słyszysz mnie?”.

W odpowiedzi tylko przyspieszył lot. Nity i śruby mechanicznych wzmocnień jego skrzydeł zajęczały w głośnym proteście, ale on na nic już nie zważał. Wzbił się wyżej, pozostawiając pod sobą wichry targające powierzchnię oceanu, wzlatając w spokojniejsze rejony przestworzy. Leciał wprost na północ, jakby kierowany wewnętrznym kompasem. Krew pędziła w jego żyłach, huczała w uszach, dudniła w głowie. Całą swoją uwagę skupiał na ulotnej woni, która pochłonęła wszystkie jego myśli, ciągnęła go niczym rybę na żyłce, zagłuszała głos Yukiko,

wypełniając jego skronie grzmiącym pulsem.

„Buruu, zatrzymaj się. Gdzie ty lecisz?”

NA PÓŁNOC.

Zachwiała się, jakby właśnie przyjęła silny cios. Niemal spadła z jego grzbietu, ratując się w ostatniej chwili wbiciem palców w jego szyję. Jego odpowiedź była tak niewyobrażalnie głośna, tak niesamowicie jasna. Ciśnienie i gorąc stapały jej czaszkę na szkło i kopały jej wnętrzości okutymi żelazem buciorami.

Obróciła się, aby spojrzeć za plecy. Wyspa Shabishii i znajdujący się na niej klasztor były już poza zasięgiem wzroku. Widziała teraz tylko ciemny ocean skąpany w ostatnich, krwistoczerwonych promieniach słońca. Wszędzie dokoła wyjący wiatr, szum i syk bezkresnej wody pod nimi. W żołądku Yukiko poczał budzić się strach, unosząc powoli zimną, gładką głowę, zaciskając palce na jej wnętrzościach. Objęła ramionami szyję Buruu i wtuliła twarz w ciepłe pióra. Smakowała echa jego myśli, wypełniające jego żyły upojenie, niczym odurzonego narkomana błędzącego w płonącej dolinie lotosowego dymu. Aż nagle, wśród tętniącej pieśni rytmu jego serca, przesycającej krew euforii pragnienia, natrafiła na ślad przyczyny. Na uczucie, które sprawiło, że oszalał; które odarło go z rozsądku i świadomości; które sprawiło, że na powrót stał się dziką bestią, jaką spotkała w cieniach gór Iishi, przemierzającą bezszelestnie mroczny las, umazaną krwią onich.

Gdzieś na północy unosił się na wietrze ślad, zapach wplatający się między jego pióra i pchający go naprzód, przyciągający go tak, jak miedziany pręt przyciąga pioruny.

To była samica.


Samica w rui.

CZĘŚĆ II

BURZA

*Mimo to nieczuła śmierć
Pokonała bladą małżonkę Izanagiego,
Tak jak noc pokonuje kruchy dzień.
I tak oto w głębinach Yomi najczystsza miłość
obróciła się w najmroczniejszą nienawiść,
A jej myślami zawładnęło pragnienie zemsty.
Wielki Stwórca został pokonany;
noc pochłonęła wszystkie jego nadzieje,
a żonę swą zmuszony został pozostawić w otchłani.
Czując wciąż na swych ustach jej czarny pocałunek,
Pan Izanagi ustanowił nowe prawo:
Rytuał Umarłych.*

Księga Dziesięciu Tysięcy Dni



15.
GODZINA FENIKSA

„Ojciec” było tylko innym określeniem „nieudacznika”.

Leżał bezwładnie na stole z butelką w dłoni, śmierdząc potem i rozlanym, alkoholem. Na ścianie za nim wisiły na kolorowych wstążkach lśniące medale z brązu, z wygrawerowanymi znakami kanji symbolizującymi odwagę i poświęcenie. Puste oczy na opuchniętej, spalonej słońcem twarzy. Kropie śliny na nieogolonej brodzie. Ohydny kikut tam, gdzie kiedyś by ta jego dłoń. Poszarpane przedramię, lśniaca skóra. Włosy przywodzące na myśl stracha na wróble na pustym polu. Ramiona przygarbione pod ciężarem żalu. Palce poranione o zęby ich matki. Gdy upijał się do nieprzytomności, ziemie za oknem popadały w ruinę. Winę za to zrzucił na pogodę, krew w jego żyłach, bogów i wojnę. On sam oczywiście nigdy się do odpowiedzialności nie poczuwał Nigdy.

– Gdzie się znowu szlajales, Yoshi? – warknął Spalona słońcem po całym dniu spędzonym pod gołym niebem skóra chłopaka ociekała potem, a szkła gogli oblepiał lepki pytek. Nie miał nawet czasu umyć twarzy, napić się wody, a już zaczęło się wyrzekanie.

– A jak myślisz? – Uniósł dłonie, pokazując czarne od ziemi połamane paznokcie.

– A teraz pewnie ruszysz do miasta, co? – wybełkotał ojciec. – Będziesz płasć ze swoimi ślicznymi koleżkami? Myślisz, że nie wiem, co robisz? I z kim to robisz?

– Co i z kim robię, to moja sprawa.

– Zachowujesz się jak bękart z rynsztoka i tak cię będą widzieć inni.

– Wiesz coś o tym, nie?

– Ja przynajmniej coś osiągnąłem, ty mały draniu. Byłem żołnierzem. Bohaterem. Wzniostem się ponadpodłą krew płynącą w moich żyłach. – Machnął ręką w stronę wiszących na ścianie medali. – Pokazałem tym psu bratom Kitsune, że urodzenie nie ma znaczenia. Ze to serce bijące w piersi się liczy.

– Bogowie, litości...

– Masz już dość lat – burknął – Najwyższy czas dorosnąć. Stać się mężczyzną, żołnierzem.

– Opowiedz mi więcej, tato. Opowiedz mi o tym, jakim mam być mężczyzną.

– Nie pyskuj. – Ojciec wstał, ledwo trzymając się na nogach. Postawił kilka chwiejnych kroków aż nazbyt znajomego tańca. – Skoro zachowujesz się jak baba, to jak babę będę cię traktował.

Matka Yoshiego była w kuchni. Stała ze spuszczoną głową, zaciskając mocno podbite oczy. Przez drzwi weszła Hana, ubrana w strój roboczy z szorstkiej wełny, cała oblepiona lotosowym pyłkiem. Ściągnęła gogle na szyję i powiodła wzrokiem od ojca do brata. Chłopak rozpoznał malujące się na jej twarzy uczucie: strach. Oczy jego siostry lśniły przerażeniem i z każdym dniem byty coraz bardziej martwe. Dwunastolatki nie powinny mieć takich oczu.

– Napij się jeszcze, bohaterze – powiedział Yoshi. – Wyglądasz na spragnionego.

Ojciec zatoczył się w jego stronę. Hana zaczęła go błagać, żeby przestał. Jego kwiatuszek, jego mała córeczka. Jedyne osoby na świecie, którą kochał. Po całej przelanej krwi, po niezliczonych latach, była jedynym, co ojciec i syn mieli wspólnego. Nie była w stanie ruszyć rosnącego mężczyzny choć o cal, a mimo to próbowała. Za każdym razem próbowała.

Yoshi uniósł pięści.

Nie mógł wygrać. Ojciec był większy i po siedmiokroć bardziej brutalny. Ale z każdym dniem chłopak stawał się silniejszy, szybszy. A jego ojciec–

grubszy, wolniejszy i bardziej pijany. Z każdym dniem.

Yoshi nie mógł wygrać. Nie tym razem.

Ale wkrótce miało się to zmienić.

Odgłos żwawych kroków zakłócił ciszę przed świtem, odbijając się echem w dusznym mroku ulic Kigen. Dwa długie cienie na popękany bruksu wyprzedzały ludzi przebijających się przez dławiące lotosowe wyziewy. Czarne chusty, szerokie kapelusze. Ciemnoszare płaszcze chroniące przed jesiennym chłodem. Pokonywali puste zaułki i spękane ulice, nasłuchując obwoływaczy Gildii oznajmiających nadejście godziny feniksa, nie zważając na ogłoszoną przez daimyo klanu Tora godzinę policyjną bardziej, niż Pani Słońce zważa na Ojca Księżycy.

Hida człapał przodem. Niski, zwały jak wół, ze świńskimi oczami osadzonymi w szerokiej, płaskiej twarzy. Uszy miał tak zdeformowane po wielu latach walk bokserskich, że przypominały dodatkowe pięści wyrastające po obu bokach głowy. Seimi siedł tuż za nim. Był wyższy i szczuplejszy od towarzysza. Jego usta wypełniały pożółkłe, połamane pozostałości po zębach. Wyraźnie zarysowane kości policzkowe i ostra broda zdradzały dziką, rynsztokową przebiegłość. Obaj mężczyźni nieśli pobrzękujące sakiewki i drewniane pałki tetsubo nabijane grubymi żelaznymi ćwiekami. Koniec roboczy obu pałek pokrywały ciemne plamy, które tylko ktoś zupełnie nieobeznany z życiem miasta mógłby wziąć za bejcę.

Gdzieś w oddali zamiauczał przeciągle kocur szukający samicy. Samotny krzyk stanowiący obecnie rzadkość w Kigen. Stado truposzczurów postawiło uszy. Dla nich ten dźwięk był dzwonkiem zwołującym na posiłek. Z lśniącymi oczami i zagiętymi pazurami stado pomknęło przez zasnute dławiącym smogiem ulice.

– Trzy kawałki żelaza, że go dorwą – rzucił Seimi.

Hida wzruszył ramionami i nie odezwał się słowem.

Szli teraz przez magazynową część Doków. Byli pewni siebie jak pan młody na weselu. Mijali rdzewiejące szkielety i powybijane okna

spoglądające na nich niczym niewidzące oczy. Gdy przeszli nad smolistą, śmierdzącą breją, w jaką zmieniła się rzeka Shiroy, Seimi spojrzął na południe, na zacumowane lotostatki unoszące się wokół iglic niczym obdarte ze skóry szczury w witrynie sklepu mięsnego. Na prawo od nich wyrastały żółte, poplamione czarnym deszczem ściany pięciokątnego budynku kapituły Gildii. Seimi uchylił runda kapelusza i lekko skłonił głowę w stronę budowli.

Gdy przed czterema tygodniami rebelianci Kagé ujawnili swoje rewelacje i zapoczątkowali tak zwane zamieszki inochi, Ministerstwo Łączności zaprzeczyło wszystkim ich twierdzeniom dotyczącym procesu wytwarzania nawozu. Nie oznaczało to jednak, że uczestnicy zamieszek mogli liczyć na uniknięcie kary. O nie! Od rozruchów z rafinerii Kigen nie wypłynęła ani jedna kropla chi. Wstrzymanie dostaw miało „przypomnieć ludziom”, komu są winni posłuch. Gdy silniki stanęły i cena paliwa wystrzeliła w górę, wszyscy błyskawicznie odzyskali pamięć.

Prawie od razu rozpoczęto racjonowanie. Od śmierci Yoritomo spadła liczba kursów lotostatków. Pociąg zaś nie przyjechał ani razu, odkąd ciało szoguna upadło na bruk placu. Z dnia na dzień rzeczy dotąd powszednie stały się luksusem. Gdy miasto zaczęło doświadczać drobnych drgawek niezadowolenia społecznego, zaostrożono godzinę policyjną i przedłużono stan wojenny. Dla tych, którzy zajmowali się handlem na rynkach, żyjąc w ogólnie pojętych cieniach społeczeństwa, od ciemnej szarości po atramentową czerń, był to istny raj. Dla tych, którzy żyli z dostarczania innym tego, czego tylko zechcą. Czego potrzebują. Za odpowiednią cenę.

Takimi właśnie ludźmi były Dzieci Skorpiona.

Hida i Seimi skręcili z ulicy w bok i zagłębili się w gęstą sieć cuchnących alejek Kigen. Obaj byli porucznikami Dzieci, ludźmi twardymi jak kamienie nagrobne. Przemierzali zdający się nie mieć końca labirynt równie łatwo, jak ryba koi porusza się w wodzie. Gdzieś z boku kocur wrzasnął, zasyczał i prychnął. Szczury zapiszczały, po czym w ciemności rozległ się odgłos kotłujących się małych ciał. Seimi wyszczerzył pozostałości po swoich zębach.

– Dorwały go.

Zaułek, w który weszli, był wąskim pasem popękanych kamieni brukowych. W powietrzu unosił się dławiący odór moczu. Budynek stały tak blisko siebie, że mężczyźni ocierali ramionami o ściany. Między nogami przebiegały im smukłe, czarne tru- poszczury, niektóre długości wakizashi. Pomimo niewygód lubili korzystać z tego skrótu, ponieważ pozwalał im uniknąć patroli bushich na głównej ulicy, a ponadto skracali w ten sposób drogę o dobre kilka minut. Gdyby Dzentelmen musiał na nich czekać dłużej niż do świtu, przerobiłby ich na mielone. A na to żaden z nich nie miał najmniejszej ochoty.

Szczury stawały słupka na kupkach śmieci i odprowadzały gangsterów spojrzaniem oczu przypominających lśniące czarne kulki.

– Mei dalej sprawia ci kłopoty? – zapytał Seimi.

Jego towarzysz tylko mruknął w odpowiedzi. Hida nigdy nie używał słów, jeśli uważał, że swoje zdanie może wyrazić nieokreślonym dźwiękiem. Potrafił przez kilka dni nie wypowiedzieć pełnego zdania.

– Skoro tak ci załazi za skórę, to po co ją w ogóle trzymasz? – Seimi wymierzył kopniaka tłustemu truposzczurowi przebiegającemu między jego nogami. – Mali bracia powinni zajmować się gangiem Białego Żurawia, a nie wypatroszać się z powodu tancerki. Na jaja Izanagiego, jesteśmy ninkyō dantai, a nie...

Seimi usłyszał ciche drapanie na pobliskim dachu z blachy falistej. Spojrzał w górę i dostrzegł brudnoszare futro i łeb pozbawiony uszu, oba należące do olbrzymiego kocura patrzącego na nich z góry jasnożółtymi oczami. Zwierzę stało na markizie zachlapanej szczurzą krwią. Seimi przesunął kapelusz na tył głowy.

– A niech mnie...

– To tak o sobie mówicie? – zabrzmiał głos należący do kogoś ukrytego w gęstym smogu przed nimi.

Hida zatrzymał się, szurając nogami, i zacisnął mocniej grube palce na rękojeści tetsubo. Seimi zmrużył oczy i wbił wzrok w ciemność, aż dostrzegł w przetaczających się u wylotu zaułka chmurach wyziewów chi sylwetkę jakiegoś mężczyzny w szerokim kapeluszu.

– Ninkyō dantai? – W głosie obcego zabrzmiała wyraźna wesołość. – „Organizacja charytatywna”? Kogo wy próbujecie oszukać, yakuzo?

– Yakuzo? – Seimi chwycił pewniej swoje tetsubo. Obaj z Hidą szli powoli w stronę nieznanego. – Rzucanie takich oskarżeń może okazać się niebezpieczne, przyjacielu.

– Ani kroku dalej, przyjacielu – ostrzegł mężczyzna.

Zbiry yakuzy nie posłuchały ostrzeżenia i szły dalej, zaciskając dłonie na rękojeściach pałek do zbielenia knykcii. Seimi zaczął dostrzegać szczegóły stojącej przed nim sylwetki. Kapelusz miał z przodu czterocalowe rozcięcie, jakby jego właściciel w ostatniej chwili uniknął ciosu mieczem. Czarna chusta przesłaniająca dużą część twarzy nieznanego nie była w stanie ukryć młodego wieku. Błada, brudna skóra. Duże czarne oczy. Wychudzony. Nieuzbrojony.

Seimi się roześmiał.

– Czy twoja matka wie, gdzie jesteś, chłopcze?

Chłopak sięgnął pod obi i wyciągnął jakieś urządzenie z rozszerzającym się końcem. Przyrząd wydał z siebie cichy syk i krótkie stuknięcie. Hida i Seimi zatrzymali się jak wryci i spojrzeli na wycelowaną w nich lufę.

– Skąd, do wszystkich piekieł, wytrza...

– Wygląda na to, że nadeszła moja kolej na śpiew, przyjacielu. – W głosie chłopaka nie było już śladu po początkowej wesołości. – Lepiej skombinujcie sobie jakieś poduszki i zamieńcie się w słuch.

Mężczyźni usłyszeli za sobą miękkie kroki. Jakaś postać zeskokczyła z dachu i odcieła im drogę ucieczki. Nowo przybyły również wyglądał na młodego chłopaka. Nosił ciemne ubranie, na głowie miał słomkowy kapelusz, a w ręce trzymał pałkę nabijaną gwoździami.

Seimi spróbował zrobić dobrą minę do złej gry.

– Czy ty wiesz, kim jesteśmy?

– Nie mam pojęcia – odparł chłopak. – A teraz, drogie Dzieci Skorpiona, rzućcie mi tu te sakwy.

Hida stanął szerzej na nogach i zaczął kiwać się na piętach. Chłopak znajdujący się u wylotu zaułka wycelował miotacz żelaza wprost w jego pierś, minimalnie naciskając spust.

– Hazardzista? – Nieznajomy przekrzywił głowę na bok. – Jak dla mnie możemy zagrać.

– Nie bądźcie głupcami – warknął ten stojący za nimi. – Odejdźcie albo was stąd wyniosą. Tak czy owak, torby idą z nami.

– A, do demonów. – Chłopak o dużych oczach wycelował w głowę Hidy. – Po mojemu powinniśmy ich załatwić. Dwa strzały i po krzyku. W końcu chłopak w moim wieku ma jeszcze duże zapasy w rurze...

– Niech wam będzie, wy małe dranie. – Seimi upuścił tetsubo i uniósł ręce. – Zabierajcie.

Zsunął torbę z ramienia i rzucił chłopakowi stojącemu za nim.

– A z tobą jak będzie, panie hazardzisto? – Właściciel miotacza żelaza spojrzął pytająco na Hidę i poruszył kilkakrotnie brwiami.

Hida stał bez ruchu z kamienną twarzą. Przez dłuższą chwilę spoglądał wzdłuż lufy prosto w spokojne czarne oczy po jej drugiej stronie. Skrzywił się w stronę partnera, po czym również zsunął torbę z ramienia i rzucił złodziejowi z tyłu.

– Mądrze postępujesz, przyjacielu.

Chłopak trzymający miotacz żelaza odczekał, aż jego towarzysz zniknie we mgle. Przez ten czas w milczeniu toczył z członkami yakuzy pojedynkę na spojrzenia. Ramię chłopca ani drgnęło. Broń tkwiła cały czas wycelowana w głowę Hidy. Zbir kiwnął niemal niezauważalnie głową, po czym odezwał się głosem miękkim niczym żwir:

– Do zobaczenia wkrótce. Przyjacielu.

Chłopak uchylił rondo kapelusza.

– Bez wątpienia.

Po czym zniknął w zalegającym na ulicy smogu, tak jak płetwa grzbietowa ryby znika w czarnej wodzie rzeki.

Dzentelmen zabił pierwszego człowieka, gdy miał trzynaście lat.

Stało się to podczas bójki między dwoma gangami gdzieś na przedmieściach Kigen. Nędzne, niewielkie podwórze z brudnej cegły i betonu. Rzucił się do walki, chcąc się wykazać przed starszymi

chłopakami z gangu. Upatrzył sobie cel w kłębowisku ciał. W mgnieniu oka wyczuł strach tamtego. Wyminął więc walczących z nożem w dłoni i rozplątał przerażonemu chłopakowi brzuch.

Wciąż pamiętał ciepło i zapach krwi, która trysnęła na jego dłoń. Lepka, rdzawa, dużo ciemniejsza, niż sądził. Doskonale pamięta też wyraz twarzy swojej ofiary, gdy cofnął rękę z nożem i wbił ponownie kilka cali wyżej. Trafił między żebra i przekręcił ostrze. Kość ustąpiła. Chłopak chwycił Dzentelmena za ramię i spojrział na niego oczami lśniącymi od bólu. A on wyciągnął nóż i dźgnął ponownie. I jeszcze raz. Nie z potrzeby czy żądzy krwi. Chciał wiedzieć, jakie to uczucie. Jak to jest odebrać coś, czego nie można nigdy oddać.

Oyabun Dzieci Skorpionia nie wyglądał na najbardziej przerażającego człowieka na wyspie. Szczerze mówiąc, był całkowicie przeciętny. Siwiejące włosy zaczesane do tyłu, cienkie brwi, szare oczy, ogorzała skóra. Głos miał łagodny i zawsze był doskonale uprzejmy. Nawet jego wrogowie nazywali go Dzentelmenem. Jego imię odeszło tam, gdzie udały się niedźwiedzie panda z bambusowych lasów Shimy i potężne tygrysy, które kiedyś polowały nocami. Popadło w zapomnienie.

Steraną dłonią uniósł do ust niewielki kubek i upił mały łyk czerwonego sake. Butelki zostały sprowadzone z Danro, stolicy klanu Feniksa. Obecnie trudno było w Kigen dostać trunku tej klasy. Mężczyzna delektował się szczypaniem i ciepłem rozlewającym się po języku. Powędrował myślami ku kobiecie czekającej na niego w domu. Do jej miękkich dłoni i ciepłych ud. Gdy przemierzy zasnute cuchnącymi oparami ulice i przekroczy próg mieszkania, jego syn będzie już od dawna spał. Ale ona będzie na niego czekała, choćby miała czuć aż do świtu. Wiedziała dobrze, że Dzentelmen nie lubi rozczarowań.

„Gdzie oni są...”.

Biuro miał urządzone skromnie: kilka starych biurek, stopy dokumentów, wentylator sufitowy mozolnie mielący jesienny chłód, który uporczywie cisnął się przez okno. Muchy lotosowe brzęczały sennie przy drzewku bonsai, które w milczeniu znosiło torturę lotosowych

zanieczyszczeń. Przypadkowy gość mógłby wziąć pomieszczenie za biuro zwykłego przedsiębiorcy. Kogoś, kto zarabia na życie handlem meblami lub silnikami sprężynowymi.

Przy drugim biurku siedział Jimen, rachmistrz Dżentelmena. Niski i chudy człowieczek miał gładko ogoloną głowę oraz ciemne, bystre i ruchliwe oczy. Właśnie układał monety w równe stosy. Gdy dany stos osiągnął odpowiednią wysokość, przesuwiał żeton na stojącym obok archaicznym liczydłe i rozpoczynał układanie nowej wieżyczki monet. Pozbawiona rękawów kamizelka uwagi odsłaniała ramiona pokryte w całości tatuażami. Na skórze prawej ręki ścierały się dwa skorpiony z uniesionymi żądłami.

– Księgi się zgadzają – powiedział Jimen, pomimo chłodu wachlując się bambusowym wachlarzem. – W tym kwartale zyski skoczyły o siedemnaście procent.

– Przypomnij mi, abym przesłał oficjalne podziękowania naszemu nowemu daimyo – mruknął pod nosem Dżentelmen. – Na tym ładnym papierze.

Unióś butelkę sake i przyjrzał się jej badawczo.

– Nigdy dotąd nie widziałem takiego ruchu na czarnym rynku. – Jimen pokiwał głową i wyciągnął swój kubek w stronę Dżentelmena. – Gildia wkrótce wznowi dostawy. Jeśli ten młody Tygrys istotnie zostanie nowym daimyo i pozostanie nim przez dłuższy czas, może nawet ruszą pociągi. Żeby ludzie mogli przybyć na ten cholerny ślub. Lepiej więc korzystajmy, póki możemy. – Jimen się skrzywił. – Ponadto Białe Żuraw wciąż sprawia problemy.

– Wkrótce przestanie – stwierdził Dżentelmen. – Dół należy już do nas. Teraz czas na Doki.

– Za Dzieci Skorpiona. – Jimen unióś kubek w toaście. – Za zwycięstwo.

– Banzai – odparł Dżentelmen, kiwnął głową i pociągnął kolejny niewielki łyk.

Gdy przełknął sake, usłyszał skrzypnięcie desek podłogowych przed drzwiami biura. Chwilę potem rozległo się nieśmiałe pukanie. Ciężkie

oddechy. Smród taniego alkoholu i potu. Brzęk ćwieków na tetsubo objających się o metalowe pierścienie. Hida i Seimi.

– Wejdźcie – powiedział.

Drzwi stanęły otworem i do pomieszczenia wsunęli się jego porucznicy. Oczy wbijali w podłogę. Spojrzał na nich i już miał ich zbesztać za opieszałość, kiedy dostrzegł wyrazy ich twarzy. Niepewne kroki. Dłonie złożone przed sobą.

P u s t e dłonie złożone przed sobą.

– Mieliście ciekawy poranek, bracia?

Za jedną żelazną monetę kouka można było w Kigen kupić sobie usługi kobiety na całą noc. I to nie jakiejś zapchlonej dziwki z Dołu, a wykwalifikowanej kurtyzany, która potrafi recytować poezję Fushicho Hamady, prowadzić dysputy teologiczne i polityczne, a na koniec wieńczy spotkanie w sposób, który przyprawiłby o rumieniec nawet chodzącego w chmurach. Za jedną taką monetę można było opłacić nocleg w renomowanym zajeździe, ciepły posiłek, chłodną kąpiel i łóżko o niezmiernie niskiej liczbie wszy na stopę kwadratową. Można było nabyć całą torbę porządnych suszonych liści, butelkę wina ryżowego z najwyższej półki (oczywiście miejscowego, nie z Danro) lub milczenie gospodarza na temat nocnych zwyczajów gościa.

A Yoshi wpatrywał się właśnie w ponad setkę takich monet.

Leżały rozrzucone na materacu w sypialni chłopców, oświetlone skąpym światłem przebijającym się przez brud na szybie. Jurou przykucnął obok z uśmiechem, którego szerokość mogłaby konkurować z bezkresem Morza Wschodniego. Z kącika ust zwisała mu pusta fajka.

– Na jaja Izanagiego. Jak myślisz, ile tu jest?

– Dość. To nam na razie wystarczy, księżniczko.

Kapelusz Yoshiego leżał na materacu obok monet. Jurou wodził palcami wzdłuż czterocalowego rozcięcia na rondzie.

– Tak się zastanawiam, czy „dość” oznacza, że kupisz sobie w końcu nowy shappo.

– To mój szczęśliwy kapelusz. Prędeż ciebie bym sprzedał.
Jurou przybrał urażoną minę i wymamrotał coś pod nosem.

Chłopcy trwali w kucki oświetleni promieniami wschodzącego słońca, wsłuchując się w hymny wyśpiewywane przez budzące się do życia ulice. Wciąż byli spoceni po opętańczym biegu przez pół miasta, a oczy nadal im się śmiały. Poszło im dużo łatwiej, niż się spodziewali. Dużo sprawniej. Zgrywające twardzieli zbiry yakuzy zmiękły jak wosk. Jak cholerne masło na słońcu. A wszystko dzięki kawałkowi żelaza w drobnej dłoni...

– Yoshi? – Zza drzwi dobiegł rozespany głos Hany. – Wróciłeś już?

– Cholera! – syknął chłopak, chwytając pospiesznie poduszkę.

Rozległo się delikatne pukanie, po czym jego siostra otworzyła drzwi.

Yoshi rzucił się razem z cienką, wypchaną pierzem tarczą na nocną zdobycz, po czym wydał z siebie stłumiony jęk, gdy Jurou usiadł mu na plecach. Nie zdołaliby skuteczniej zwrócić uwagi Hany na monety, nawet gdyby je podpalili.

Po chwili Daken wślizgnął się do pokoju i spojrzał na chłopaka lśniącymi oczami.

...toś się popisał...

– Co, do piekieł...? – wyszeptła Hana, otwierając szeroko zaspane oczy. – Skąd to...?

Yoshi zerwał się na równe nogi i wciągnął siostrę do pokoju. Rzucił szybko okiem w stronę jej sypialni, po czym cicho, zasunął drzwi do swojej. Hana była już całkowicie rozbudzona. Zmarszczki na jej czole stopniowo się pogłębiały.

– Yoshi, skąd wystraszeńście tyle pieniędzy?

– Dostaliśmy od przyjaznego kami – wyszeptał. – Może jeśli zaśpiewasz głośniejsze, przyleci tu z dokładką.

Spojrzała na niego swoim jedynym okiem z siłą, od której farba odeszłaby od ściany.

– Pytam poważnie.

– A ja mówię poważnie – wysyczał, zerkając nerwowo na drzwi. – Ściszy głos. Chyba że chcesz, aby twój zwalisty wkład do łóżka wszystko

usłyszał.

Przez chwilę rodzeństwo w milczeniu spoglądało sobie w oczy. Pierwszy odwrócił wzrok Yoshi. Hana uniosła dłoń do swojej przepaski, dotknęła czoła, potarła palcami bladą bliznę. Nie przerywając masowania brwi, wzięła małe lusterko z rozpadającej się szafki i teatralnie przyjrzała się swojemu odbiciu.

Jurou zmarszczył brwi i zapytał:

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno?

– Och, wybacz. – Oderwała wzrok od lusterka i ponownie spojrzała gniewnie na Yoshiego. – Pomyślałam sobie, że gdy spałam, ktoś musiał mi wytatuować na czole słowo „idiotka”. Zabierasz miotacz na noc i dziwnym trafem wracasz z małą fortuną, którą nie pogardziłby sam daimyo? Yoshi, w co ty się wpakowałeś?

– Miałem cię zapytać o to samo wczoraj. Ale przypomniałem sobie, czyich spraw powinienem pilnować.

– Zapytać mnie? – Hana odsunęła z czoła kosmyk włosów. – Moje sprawy ograniczają się do nocników.

– W pałacu musi być zatem strasznie brązowo, skoro czujesz potrzebę strzelania do nich. – Yoshi skrzyżował ręce na piersi. – Myślałaś, że nie zorientuję się, że w miotaczu jest o jedną kulę mniej? I kim, do wszystkich piekieł, jest ten wielki bydlak w twoim pokoju? Przez całe swoje życie nie przyprowadziłaś do domu żadnego kochanka. A ten kuternoga nocuje tu już drugi dzień.

– Nie wyrażaj się tak o nim.

– Nie mów mi, siostrzyczko, jak mam się wyrażać. To ja jestem mężczyzną w tej dziurze.

– Zwracaj się do mnie dalej w ten sposób, braciszku, a obudzisz się panienką.

Wbrew sobie Yoshi wyszczerzył zęby.

– Dobra, niech będzie. Zachowaj swoje tajemnice. Ale przyjmij do wiadomości, że te monety są moim sekretem. Wyciągnę swoje szkielety z szafy, kiedy i ty to zrobisz. A tymczasem żadnych pytań. Zadbam o nas, o wszystkich. Krew nie woda. Więcej nie musisz wiedzieć.

Hana zagotowała się w środku i poszukała spojrzeniem wsparcia u Jurou, ale ten tylko bezradnie wzruszył ramionami. Mamrocząc pod nosem przekleństwa, obróciła się na pięcie i wyszła z sypialni brata. Daken został, kręcąc pozostałościami po uszach. Pociągnął nosem, po czym zmarszczył go z odrazą.

...w tym pokoju śmierdzi, chłopcze...

Yoshi rozejrzał się po brudnej klitce, zerknął do pokoju dziennego. Za dzisiejszą zdobycz mogli przenieść się do zdecydowanie lepszej okolicy, z dala od rewiru Dzieci Skorpiona. Po kilku kolejnych skokach mogliby się przeprowadzić, gdziekolwiek by tylko chcieli. Koniec z żebraniem i drobnymi przekrętami. Koniec z noszeniem gówna bogaczy w pałacu. Koniec z ciągłym oglądaniem się przez ramię i kombinowaniem, skąd wziąć następny posiłek.

Skinął głową Dakenowi.

„Całe to mieszkanie śmierdzi, mały bracie. Pomagaj mi dalej zrobić to, co musi być zrobione, a wkrótce zawiniemy się z tej dziury”.

...może Hana pomoże? Siedmioro oczu lepsze niż sześcioro...

„Hana nie może nic o tym wiedzieć, słyszysz? Nic a nic. Do końca życia nie przestałaby mi tego wypominać. To ja jestem mężczyzną w tej rodzinie. To ja o nas wszystkich zadbam”.

...nie rozumiem...

„Nie musisz rozumieć. Jeśli cię zapyta, nic nie mów”.

...na jak długo to wystarczy...

Yoshi wyjrzał przez niewielkie okno na wzbierającą falę ludzką przetaczającą się po ulicach. Słyszał, jak Jurou przelicza monety. Czuł na karku spojrzenie Hany. Ciężar żelaza na krzyżu. Mrowienie dłoni na myśl o pieniądzach.

Wolność.

„Wystarczająco długo, przyjacielu”.

Zamknął drzwi do sypialni.

„Wystarczająco długo”.



Trzy dni.

Trzy dni wrzeszczących wichrów i oslepiającego deszczu. Obolałych mięśni i przejmującego zimna. Czerwonej wody, czarnego strachu i zbliałych knykcii. Trzy dni. A w samym środku zdających się nie mieć końca ciemnych godzin była ta okropna chwila, kiedy Yukiko sądziła, że już dłużej nie wytrzyma, że się załamie.

Nie była to chwila, kiedy przeknęła ostatni kęs jedzenia i ostatni łyk wody. Nie chodziło o to, że musiała przywiązać swoje ręce do szyi Buruu w obawie, że zaśnie i spadnie w rozpościerającą się pod nimi pustkę. Ani o to, że ostry wiatr rzucał nią po jego grzbiecie niczym szmacianą kukłką. Ani nawet o to, że wszędzie dokoła widziała tylko zasnute chmurami niebo i krwistoczerwony ocean.

Najgorsza była chwila, w której zorientowała się, że jej najbliższy przyjaciel stał się jej zupełnie obcy. Prosiła go, błagała. Krzyczała w jego umyśle pomimo krwawiącego nosa i rozsadzanej bólem głowy. Czasem zdawkowe, monosylabowe odpowiedzi przebijały się przez szum krwi w jego żyłach, przez podniecenie, które zalewało także jej myśli, jeśli spędziła w jego głowie więcej niż krótką chwilę. Był oszustem, który przywdział aż nazbyt dobrze znajomą skórę. Jak jeden z tych

mechanicznych obwoływaczy Gildii, zaprogramowanych na wykonywanie kilku powtarzalnych czynności. <znaleźć>

<parzyć się>

<powtórzyć>

Na północy kłębiły się smoliście czarne burzowe chmury. Gdy się do nich zbliżyli, żądza płonąca we wnętrzu Buruu przybrała na sile. Woń była dla niego jak narkotyk. Wijący się żar krążący po jego ciele, wprawiający go w stan przeraźliwej euforii. Za hukami gromu wypełniającym jego żyły Yukiko wyczuwała mikroskopijną iskrę świadomości, niemal całkowicie zduszoną przez palącą potrzebę ogarniającą całe jego ciało. Gdy długie godziny zmieniły się w długie dni, wynędzniała i dygocząca z zimna tancerka burzy dostrzegła nową część umysłu Buruu. Część, której wcześniej nie zauważała.

W czasie tego szalonego lotu była w stanie dostrzec tylko fragmenty jego zwierzęcej natury. Jej człowieczeństwo przesączało się przez Przenikanie od pierwszego razu, gdy spojrzała jego oczami. To całkowicie go odmieniło. Nawet w najczarniejszych godzinach niewoli pomagało uspokoić gotującą się w nim czystą, pierwotną furję. Teraz jednak ta zasłona została zerwana, podarta na strzępy i rzucona na porywisty wiatr. Skrzydła biły powietrze, potężne mięśnie pracowały, oczy świeciły wewnętrznym ogniem, płuca natężyły się do skrajnej wytrzymałości, a serce łomotało tak mocno, jakby chciało się wyrwać z jego piersi.

Wspomniała słowa jego obietnicy wypowiedzianej nad szczytami Iishi. Słowa, które ogrzały jej duszę.

Nigdy cię nie opuszczę, nigdy cię nie porzucę. Ty bowiem jesteś moim sercem.

Przerażała ją łatwość, z jaką Buruu zapomniał o niej. Zacinający deszcz starał się ukryć łzy wzbierające w jej oczach na samą myśl o tym.

W rozmytej szarości świtu trzeciego dnia Yukiko dostrzegła w dole ostre skały wystające z przestworu oceanu. Niektóre z nich były wielkie jak domy, inne zaś przypominały wbite w wodę drzazgi. Wyglądało to, jakby jakaś olbrzymia bestia czała się tuż pod powierzchnią, wystawiając

w stronę nieba ostre zęby z ciemnego kamienia. Koło południa zauważyła na skałach wrak. Połamane i pogieęte pozostałości lotostatku z kanji Gildii wymalowanymi na porwanym balonie. Później, gdy słońce skryło się za horyzontem niczym skopany pies, dziewczyna mogłaby przysiąc, że na innej skale spoczywał wrak kolejnego lotostatku. Większego, uzbrojonego jak na wojnę, z balonem również pokrytym znakami Gildii. Nie była w stanie orzec, czy którykolwiek z wraków był pozostałością po okręcie, za którym podążyli w sam środek burzy.

„Te burze sprowadziłyby śmierć na dowolną załogę chodzących w chmurach. Jaki szaleniec wysyłał kolejne statki w to miejsce?”

Wiatr przypominał watahę warczących wilków. Ich wycie brzmiało w huku gromu, mroźne powietrze kąsało ich ostrymi zębami. Sen przychodził i odchodził w nieregularnych odstępach. Gdy tylko zaczynała odpływać w jego objęcia ze zmęczenia, strach chwycił ją mocno i pewnie niczym dziecięcą zabawkę. W chwilach między kolejnymi drzemkami trzymała się kurczowo piór i sierści Buruu, walcząc z zalewającym ją przerażeniem. Im dalej lecieli na północ, tym burza przybierała na gwałtowności. Błyskawice oslepiały, gromy huczały niczym wybuchy bomb podczas intensywnego nalotu, ogłuszając ją i wpędzając w stan apatii. Przed oczami tańczyły jej mroczki, a w uszach dzwoniło od nieustającego huku. Ulewny deszcz wprawiał w odrętwienie. Usta zsiniały z zimna.

Rankiem czwartego dnia nękały ją koszmary o spadaniu. Gdy się obudziła, jej oczom ukazały się majaczące w oddali wyspy. Niektóre z nich były ogromne, wyższe od dowolnego znanego jej budynku, powyginane pod nieprawdopodobnymi kątami jak palce łamane wielokrotnie w różne strony. Inne były całkiem płaskie, jakby jakiś wściekły bóg odciął im czubki ogromnym mieczem. Wszystkie zbudowane ze skały przypominającej czarne szkło. Za zasłoną strug deszczu i płożącej się mgły, w blasku błyskawic całujących ich skraje, wyspy lśniły jak wypolerowane kły.

„Buruu, słyszysz mnie? Czy to są właśnie Wyspy Kłów?”

Nie doczekała się żadnej odpowiedzi. Cały jego umysł wypełniała

pulsująca żądza i trucizna znużenia stanowiąca odzwierciedlenie jej krańcowego wyczerpania. Samica była blisko – tak blisko, że niemal czuł jej smak. Czuł też jednak, że jej ruja już się prawie skończyła. Woń słabła, tak jak słabnie zapach kwiatów, gdy wiosna dobiega końca. Desperackie pragnienie odnalezienia jej, zanim nie będzie za późno, wypełniało każde naczynie krwionośne w jego ciele, każdy mięsień, każdy zakątek jego myśli.

Mijały długie, zimne godziny niskiego lotu przez kłujące, słone rozbryzgi. Z początku Yukiko sądziła, że się jej przywidziało. Że majaczy z powodu niewyspania i niekończącej się nawałnicy. Ale gdy wyostrzyła wzrok i przyjrzała się lepiej krwistoczerwonej wodzie pod nimi, dostrzegła pod powierzchnią podążające za nimi kształty. Wężowe ogony przecinające odmęty, klapiące w falach gęby wypełnione ostrymi zębami, kręgosłupy przypominające płetwy grzbietowe tuńczyków. Oczy wielkości jej pięści – żółte, z pionową źrenicą jak u kotów.

Widziała ich podobizny zdobiące ściany mordowni, grzbiety kart do gry, ramiona wielu jej rodaków. Sądziła, że już dawno wyginęły. Jednak to samo sądziła wcześniej o tygrysach gromu.

Smoki morskie.

Bestie wyglądały na młode; długość ich ciał ledwo dwukrotnie przewyższała przeciętny wzrost człowieka. Miały jasne łuski, wyłupiaste oczy i paszcze pełne zębów. Chociaż nie mogły dotrzymać tempa Buruu, z powodu czego rzucały się wściekle, wzbijając w powietrze fontanny piany, na sam ich widok Yukiko ogarnął zimny strach. Samo pojawienie się smoków morskich wystarczyło, aby otworzyła zmysł Przenikania i krzyczała w myślach tygrysa gromu, aż z nosa buchnęła jej krew, a całym ciałem poczęły targać drgawki. Ale on ją całkowicie zignorował. Wszystkie jej krzyki i błagania pozostały bez odpowiedzi. Wtedy Yukiko chwyciła jego umysł i ścisnęła mocno, powodując kolejny krwotok z nosa. Zacisnęła mocno oczy, nie zważając na tryskającą krew, łomoczące serce oraz pękającą z bólu głowę, i w końcu zdołała zmusić go do wzbicia się wyżej, z dala od powierzchni oceanu i kryjących się pod nią potworów.

Opadła na szyję tygrysa gromu, cała się trzęsąc ze strachu i wyczerpania. Żołądek skręcały jej nudności, wiatr chłostał jej skórę. Obsydianowe ręce wyciągały się ku nim spośród mgły niczym cienie wygłodniałych umarłych. Gardło miała wysuszone na wiór. Odchyliła głowę i – walcząc ze szczekaniem zębów – otworzyła usta, aby złapać w nie trochę wody deszczowej. Przez zamknięte powieki zobaczyła błysk pioruna. Wtedy też usłyszała dźwięk przebijający się przez ryk burzy i wycie wiatru między poskręcanyymi iglicami czarnego szkła.

Odgłos bijących skrzydeł.

Buruu zawył przeciągle i chrapliwe. Yukiko nigdy dotąd nie słyszała, żeby wydał z siebie taki dźwięk. Otworzyła oczy i między iglicami z czarnego szkła w rozświetlanym błyskawicami mroku dostrzegła perłowy błysk. Na krótką chwilę opuścił ją lęk, opadło z niej zmęczenie. Przez mgnienie oka czuła tylko bezgraniczny podziw i radość, że na świecie wciąż istnieją tak wspaniałe istoty.

Arashitora.

Wyglądem przypominała Buruu, ale jednocześnie znacznie się od niego różniła. Była mniejsza, smuklejsza, niczym ostrze z wielokrotnie skuwanej stali. Zakrzywiony, czarny jak otaczające ich skały dziób; oczy w kolorze płynnego miodu otoczone smoliście czarnymi obwódkami. Biel jej głowy mogła konkurować ze śniegiem na szczytach gór Iishi. Gardło pokrywały pióra przypominające wachlarz noży. Każde ze skrzydeł mogło przykryć dom. Przecinała powietrze jak dobrze naostrzony miecz – lotki, rozłożone szeroko niczym olbrzymie białe dłonie, chwyciły nawałnicę, jakby ta była ledwie lekkim letnim wietrzykiem. Mięśnie i futro, lekka i potężna, ostre szpony czarne jak najciemniejsza noc, zad i długi ogon pokryte grubymi czarnymi pręgami.

„Bogowie, jaka ona jest piękna”.

Buruu zaryczał, ale samica chyba dostrzegła go już wcześniej. Teraz pędziła slalomem przez szklany las. Pomknął za nią, przyciągany z wielką siłą, tak jak gwiazdny metal przyciąga opiłki żelaza. Jego myśli jaśniały jej zapachem. Uczucie było tak obezwładniające, że Yukiko

musiała zamknąć wątlą więź między ich umysłami i wrócić do swojego ciała chłostanego podmuchami lodowatego wiatru i zacinającego deszczu. Nawet teraz cała dygotała, wstrząsana siłą jego pożądania.

Mknęli przez kamienny las, to nurkując, to wznosząc się między lśniącymi obsydianowymi kłami. Samica była mniejsza i szybsza. Buruu ledwo za nią nadązał, z trudem mieścił się w bardzo wąskich szczelinach między pokręconymi czarnymi wieżami. Leciała na zachód, w stronę zamglonego, tonącego w oceanie słońca. Yukiko sięgnęła przez deszcz najmniejszą cząstką swojej jaźni, mrużąc oczy z wysiłku. Umysł samicy lśnił oślepiającym blaskiem.

„Halo?”

Rozbłysk agresji. Dezorientacja.

„Słyszysz mnie?”

–KTO?...

Jej głos był głośniejszy od huku gromu, ciepły jak grzany miód, zabarwiony miękkością przypominającą kłęby sinoczarne dymu z fajki jej ojca.

–CZYM JESTEŚ?–

„Jestem yókai-kin. Siedzę na grzbiecie tego napalonego tygrysa gromu, który za tobą leci”.

Samica odbiła w prawo i poszybowała między dwoma skalnymi kłami. Zerknęła przez skrzydło. Yukiko poczuła narastającą w niej ciekawość. A pod nią coś innego: pogardę, gniew. Dziwne uczucie na pograniczu nienawiści.

–DOSIADASZ BRATOBÓJCZY?–

„Bratobójczy?”

–FAŁSZYWE SKRZYDŁA?–

Buruu nagle skręcił pod kątem prostym i pomknął między dwoma obsydianowymi wieżami. Yukiko krzyknęła głośno i chwyciła kurczowo jego szyję. Kamień minął jej kręgosłup o zaledwie kilka cali. Siła ciężenia ciągnęła ją w bok. Dziewczyna modliła się w duchu, żeby węzeł na obi obwiązany wokół szyi tygrysa gromu nie puścił. Czowała, że już zaraz ześliznie się z jego grzbietu, gdy Buruu nagle wyrównał lot i

przeleciał pod zakrzywionym nawisem skalnym.

Samica skrzyła się przed nimi lśniąca bielą.

„Posłuchaj. Zapewne macie taki zwyczaj, żeby samiec zapracował na kolację, ale jeśli mogłabyś ten jeden raz zrezygnować z gry wstępnej i pozwolić mu się złapać... Byłabym bardzo zobowiązana. Lecimy już cztery dni bez ustanku i on chyba zaraz dostanie ataku serca”.

–NIE PRZYLECIAŁAM TU W POSZUKIWANIU SAMCA, MAŁPIA CÓRKO. A JUZ NA PEWNO NIE W POSZUKIWANIU JEGO.–

„Co jest w nim takiego złego?”.

–GŁUPIA. NIC NIE WIESZ. WRACAJ DO DOMU.–

„Na jaja Izanagiego, właśnie to się staram zrobić!”. –POSTARAJ SIĘ BARDZIEJ.–

Mknęli przez archipelag, cały czas podążając na zachód. Yukiko przysięgłaby, że samica igra sobie z Buruu, że celowo zwalnia, aby nieco się do niej zbliżył, aby nagle przyspieszyć lub śmignąć w wąski przesmyk, w którym on nie dałby rady się zmieścić. Za każdym razem, gdy zostawali w tyle, przez myśli samicy przemykało przewrotne rozbawienie. Yukiko martwiło jednak co innego: metalowe skrzydła Buruu. Czy konstrukcja Kina wytrzyma takie obciążenie?

Pozostawiali za sobą milę za milą czerwonych wód oceanu i czarnego szkła wysp. Lśniące rozbryzgi fal i grzmiące fale. Furia natury w pełni jej okrutnego piękna. Właśnie wtedy, gdy serce Buruu było już na skraju wytrzymałości, w ogłuszającym huku bębnow Raijina, Yukiko dostrzegła ogromną, asymetryczną budowlę z metalu i kamienia wyrastającą wprost z oceanu na żelaznych nogach, z kilkoma iglicami z grubego, skręconego miedzianego drutu. Na dachu głównego budynku znajdowała się dziwaczna maszyna: szklane cylindry, płatanina poskręcanych rur, pęki grubych kabli. Całość drżała i pulsowała blaskiem błyskawicy. Na płaskim fragmencie dachu stała zamocowana łańcuchami mniejsza maszyna przypominająca ogromną metalową ważkę z trzema śmigłami. Wokół niej biegały okryte lśniącem żółtym materiałem maleńkie sylwetki ludzi.

Ludzi.

Wołali do siebie i pokazywali ich palcami.

„Co, na wszystkich bogów...?”

Nagle usłyszała głośny ryk, inny jednak niż pieśń burzy, i padł na nią cień rozłożystych skrzydeł. Gdy tuż przed uderzeniem Yukiko wyrwała swój umysł z myśli samicy, przez chwilę wyczuła zmysłem Przenikania nieznośne gorąco. Od siły ciosu aż zadzwoniło jej w uszach. Wyczuła rozbłysk bólu w myślach Buruu i krzyknęła rozdzierająco, gdy impet oderwał ją od jego szyi i cisnął w dół, ku smaganej deszczem powierzchni wody. Ocean mknął na jej spotkanie z otwartymi, krwawymi ramionami niczym długo zaniedbywany kochanek. Wpadła w fale jak kamień, zupełnie tracąc oddech. Lodowate zimno błyskawicznie przeniknęło ją do szpiku kości.

Akihito nauczył ją pływać, gdy była jeszcze dzieckiem. Razem ze swoim bratem Satoru pluskali się w strumieniu przepływającym koło ich małego domku z bambusa. Ale woda w nim była gładka jak oczy kruka, a teraz przyszło jej zmierzyć się z falami wysokości ścian budynku kapituły. Pieniące się białe młoty uderzały ją w głowę, przemoknięte ubranie i ciężka jak ołów katana na jej plecach ciągnęły w dół, w mroczną głębinę. Prąd znosił ją w stronę żelaznych stóp dziwnej budowli. Musiała mu się poddać, nie miała wyboru – sił ledwie starczało na utrzymanie się na powierzchni. Po pewnym czasie zabrakło im nawet na to. Woda zamknęła się nad jej głową niczym duszący, lodowaty koc. W górze widziała sylwetki dwóch tygrysów gromu walczących na tle rozświetlanego błyskawicami nieba.

„Buruu! Pomóż mi!”

Poczuła palący ból w pozbawionych tlenu płucach. Prąd wciągał ją coraz głębiej w podwodny las, między wieże groźnych raf porośniętych gumowatymi wodorostami.

„BURUU!”

Odpowiedział jej tylko szum wody coraz mocniej napierającej na bębenki w uszach. Nie poddawała się, walczyła do ostatka, młócąc rękami ciemną wodę w rozpaczliwych, zdanych z góry na

niepowodzenie próbach wydostania się na powierzchnię. Ale teraz nawet już nie wiedziała, gdzie jest góra, a gdzie dół. Słona, zimna, czarna woda morska wtargnęła jej do płuc. Ostatnie promienie światła zgasły i dopadła ją całkowita ciemność. Czuła dłonie wodnych kami, które przybyły po jej duszę, aby ją zaciągnąć przed oblicze Sędziego Dziewięciu Piekieł.

Jaki wyda osąd? Czy będzie dla niej łaskaw? Co się z nią stanie, skoro nie ma nikogo, kto by spalił dla niej ofiary, kto by posypał jej twarz popiołem?

Czy Buruu będzie za nią tęsknił?

A Kin?



Jej usta ciepłe jak wiosenny dzień i miękkie jak jedwab z tkalni Kitsune smakowały truskawkami i potem. Błądził palcami po jej mokrym od potu ciele, po gładkich jak szkło udach. Rzeka lśniącej czerni spływała wokół jej twarzy i lgnęła do wilgotnej skóry na piersiach. Kołysała się nad nim w długim, powolnym tańcu. Światło świec oblewało jej ciało, spływając po miękkich krzywiznach i lśniąc perłście na kropkach potu w nęcących zagłębieniach. Całą jego uwagę pochłaniała jej skóra, śliska od potu i niemal parząca w dotyku. Chwyliła jego dłonie i przycisnęła do swojego ciała. Przygryzła wargę, przyspieszając swoje ruchy. Wznosiła się i opadała, wznosiła i opadała. Nie słyszał nic poza jej jękami, a bijący od niej żar przenikał go na wskroś. Poruszała na nim biodrami, tak jak letni wiatr pieści pola lotosu, jak wspina się na zbocza górskie, aby chwilę potem spłynąć w doliny. Wśród coraz głośniejszych jęków zaczęło pojawiać się jedno słowo, powtarzane raz po raz. Jego imię.

– Ichizo. – Jej usta na jego wargach, jej oddech w jego ustach. – Ichizo...

Krzyknął, gdy doprowadziła go na szczyt rozkoszy. W oczach rozbłysły mu oślepiająco jasne błyskawice, wszystkie mięśnie w jego ciele stanęły w ogniu. Opadła na niego i leżała bez ruchu przez błogą wieczność. Jej

pot mieszał się z jego potem, jej mokre ciało przyciśnięte do niego, zmaltretowana pościel pod nimi przemoczona do suchej nitki.

Ichizo z trudem łapał oddech.

– Do... – Przełknął. – Do grobu mnie wpędzisz, Michi-chan.

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało i stoczyła z niego. Osłoniła ciało prześcieradłem, usiadła na skraju materaca i sięgnęła po stojącą na podłodze butelkę wina ryżowego. Kontemplował jej profil w blasku świec, obserwował falowanie gardła, gdy przełykała kolejne hausty, śledził wzrokiem wędrówkę samotnej kropli spływającej po brodzie, wygięciu szyi, aż do zagłębienia między obojczykami. Gdy skończyła pić, odrzuciła długie włosy z twarzy i obdarzyła go spojrzeniem ciemnych, lekko zamglonych oczu. Wyciągnęła butelkę w jego stronę, ale on odmówił potrząśnięciem głowy i opadł na wznak na poduszki.

– Przyznaj, chcesz mnie wykończyć i uciec? – Serce wciąż łomotało opętaczno w jego piersi. – Po czymś takim jestem całkiem bezbronny, pójdzie ci łatwo...

Roześmiała się. Cichy głos, nieco ochrypyły od alkoholu.

– Obawiam się, że nie będę musiała nawet kiwnąć palcem, jeśli spóźnisz się na spotkanie rady, mój panie. – Wślizgnęła się z powrotem do łóżka i złożyła głowę na jego piersi. – Twój kuzyn każe ci popełnić seppuku, żeby dać przykład innym.

– Na bogów. – Ichizo usiadł gwałtownie. – Która jest godzina?

– Musi już być godzina węża.

– Na jaja Izanagiego!

Stoczył się ze skotłowanego łóżka i ruszył pędem do umywalni. Zabrział gong.

Z korytarza błyskawicznie wbiegły dwie służące z pochylonymi głowami i wzrokiem wbitym w podłogę.

– Czemu nic nie mówiłaś?

– Ależ mówiłam, mój panie. – Znowu ten sam nieśmiały, delikatny uśmiech. – Ichizo. Och, Ichizo...

– Demonica, nie kobieta! – Jego śmiech zmieszał się z pluskiem nalewanej do miski wody. – Dwie noce w twoim łóżu i już mnie

oczarowałaś. Powiniennem posłać po Strażnika Czystości, aby oczyścić mnie z twojej skazy.

– Jaki byłby tego sens, mój panie? – Podciągnęła pościel, okrywając się całą, i zwinęła się w kłębek. – Skoro następnej nocy skaziłbyś się ponownie?

Po chwili Ichizo wyszedł z umywalni, wyszorowany i pachnący lawendą. Służki upięły jego włosy w wysoki kok, a na ramiona zarzuciły szkarłatne kimono. Usiadł przed lustrem i czekał, aż jedna ze służących założy na jego głowę wysoki kapelusz z pomponami i przebije go długimi, złotymi igłami. Ubiór sędziego świadczył o jego nieprzebranym bogactwie. Irezumi na jego ramionach było dziełem jednego z największych mistrzów sztuki tatuazu. Wstał i uniósł ramiona, aby druga dziewczyna mogła owinąć go w pasie jedwabnym obi. Na koniec zamocował na lewym biodrze dwa pięknej roboty miecze łańcuchowe. Daishō lśniło w sposób, w jaki lśnią ostrza, które nigdy nie widziały bitwy. Nosił je jednak w sposób zdradzający wprawnego szermierza.

Ichizo skinął lekko głową i służące zniknęły bezszelestnie.

– I jak? – Obrócił się w stronę Michi. – Jak wyglądam?

Dziewczyna zsunęła nieco prześcieradło, odsłaniając kusząco kilka cali ciała, i obdarzyła go przeciągłym spojrzeniem spod czernionych węglem rzęs.

– Na wciąż wygłodniałego...

– Na bogów, ty naprawdę chcesz mej śmierci. Jak miałbym zabiegać o twe względy z Podziemi?

– Zabiegać o me względy? – Zaśmiała się krótko. – Odnoszę wrażenie, mój drogi Najwyższy Sędzio, że zwykło się to robić, za- n i m zacznie się dzielić z wybranką łożę.

Nachylił się i pocałował ją, smakując słony pot z jej warg i cierpkie wino z jej języka.

Z początku spędzanie tak wiele czasu w pokoju Michi wydawało mu się nierozsądne. Ale wspomnienie jej pocałunku z dnia, w którym wybawił ją od tortur w więzieniu, nie chciało go opuścić. Ostatecznie uznał, że przy całym zamieszaniu na dworze nikt nie zwróci uwagi na

kilka chwil spędzonych w jej towarzystwie. Odwiedzał ją więc każdego dnia. Przyglądał się jej, gdy w skupieniu parzyła dla niego herbatę, jak unosiła powoli wzrok, aby ostatecznie spojrzeć mu w oczy i obdarzyć tym lekkim, nieśmiałym uśmiechem. Wypytywanie o panią Aishę i działania dziewczyny Kitsune dały mu pretekst do zadania pytań o jej rodzinę i dzieciństwo. Dwa wieczory temu, gdy się uklonił na pożegnanie, Michi w okamgnieniu znalazła się tuż przy nim. Stała z rozchylonymi ustami, z rumieńcem na policzkach, drżąc na całym ciele. Wyszepiała jego imię. Tylko raz, niczym modlitwę.

Nie mógł się jej oprzeć.

Odgarnął zlepięte potem włosy z jej policzka, przesuwając czule palcami po skórze.

– Czy byłabyś szczęśliwa, Michi-chan, gdybyś mogła mi publicznie towarzyszyć?

– Oczywiście. – Usiadła prosto, cały czas owinięta pościelą. – Ale nie jestem pewna, czy to powinno cię pocieszać, ponieważ towarzyszyłabym samej Głoszącej Kres, gdyby tylko pozwoliło mi to wydostać się z tej komnaty.

Ichizo odchylił się i spojrzał badawczo w oczy dziewczyny.

– Wolałabyś wciąż gnić w więziennej celi?

Spuściła wzrok.

– Klatka wyściełana jedwabiem nadal pozostaje klatką, mój panie.

– Robię, co w mojej mocy. Potrzebuję czasu. – Dotknął starej blizny na jej policzku. – Wiem, jak cierpisz.

– Czy aby na pewno? – Między brwiami dziewczyny pojawiła się niewielka ciemna bruzda, której Ichizo zaczynał już nienawidzić. – O nic mnie nie oskarżono, a mimo to mój honor podawany jest w wątpliwość. Zdrajczynie Kitsune, która zabiła wielkiego pana Yoritomo, mnie również próbowała zgładzić. Mam blizny, które o tym świadczą.

– Wiem. – Przesunął palcem po wierzchu jej piersi. – Widziałem.

– Jednym tchem wyznajesz uczucia do mnie i kpisz z mojej hańby?

– Takie rzeczy wymagają czasu, Michi-chan. – Ichizo wyprostował się z ciężkim westchnieniem. – Pan Hiro zamierza dobić targu z oboma

politycznymi rywalami. Gwardia Yoritomo stoi za nim murem. Ma też już poparcie Gildii. Przed końcem tygodnia zasiądzie na tronie daimyo. Obawiam się, że obecnie niedola służek pani Aishy bardzo mało go obchodzi.

– A jak się miewa moja pani? – Michi spojrzała mu w oczy, po czym szybko ponownie spuściła wzrok. – Nie pozwalają mi jej zobaczyć. Wiem, że zdradziła szoguna, ale była mi nie tylko panią, lecz także przyjaciółką. Kochałam ją, Ichizo.

– Dlatego właśnie powinnaś trzymać się od niej z daleka. Jeśli chcesz dowieść swojej wierności, zdecydowanie nie powinnaś przestawać ze zdray czynią.

– Pan Hiro jest twym kuzynem, panie. Kto zdoła przekonać go o mojej niewinności, jeśli nie ty?

– Mój kuzyn jest złożonym człowiekiem, miła ma...

– Obiecuj mi. – Bruzda między brwiami Michi się pogłębiła. – Obiecuj, że mnie stąd wydostaniesz.

– Spróbuję.

Westchnęła i potarła oczy.

– Kto mówi, że próbuje, ten tak naprawdę nie zamierza nic zrobić.

– W porządku, w porządku. Na jaja Izanagiego, kobieto! Obiecuję.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech jasny jak promienie słońca wychylającego się zza chmur. Chwyliła jego dłoń, uniosła do ust i pocałowała jego palce, jeden po drugim.

– Och, panie mój – westchnęła. – Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko, co dla mnie uczyniłeś. Twoja dobroć... Nie przychodzi mi do głowy żaden sposób, w jaki mogłabym ci za nią należycie odpłacić.

– Jestem pewien, że coś wymyślimy, kiedy wrócę. – Wstał i ruszył w stronę drzwi. – Teraz jednak muszę iść. W przeciwnym razie Hiro skaze mnie na śmierć i wszystkie nasze plany spełzną na niczym.

Pocałowała lekko czubki swoich palców i posłała całusa w jego stronę.

– Będę tęsknić.

– Wrócę, nie lękaj się.

Opuścił komnatę w towarzystwie służących, pozostawiając ją samą.

Odgłosy kroków oddalały się, po czym zupełnie ucichły. Nie widział, jak uśmiech opada z jej ust, tak jak maska opada z twarzy aktora na zakończenie sztuki kabuki.

Nie widział, jak wyciera z ust smak jego warg.

Nie słyszał, jak szepce:

– Niczego się nie lękam.

Gdy Żelazni Samurajowie przybyli do Daiyakawy, miała sześć lat. Pamiętała dobrze dźwięk wydawany przez ich zbroje. Przypominał syk stada metalowych węży w akompaniamencie huku ciężkich butów na splekanej słońcem drodze. Za nimi szli bushi; było ich tak wielu, że wzbijana przez nich chmura kurzu mogła konkurować rozmiarami z falą tsunami. Wystarczyliby w zupełności sami Żelazni Samurajowie, pozostali żołnierze byli tam tylko na pokaz, niczym barwne pióra w rozłożonym ogonie pawia.

Morale ludzi z Daiyakawy było na skraju załamania. Ich odwaga wisała na włosku. Wściekłość dała im siłę, umożliwiła rzucenie wyzwania władzom: obsianie pół takim ziarnem, jakie sami wybrali, i nabicie głowy sędziego na przydrożny pal. Gdy do chłopów dotarło jednak, co tak właściwie zrobili i jaka będzie niechybna odpowiedź szoguna, wściekłość szybko zastąpił strach. Chociaż wtedy Michi była tylko dzieckiem, później zrozumiała, dlaczego wszystkich nagle opadły apatia i zubożenie. Dlaczego oczy wszystkich stały się nagle puste. Tak wyglądali i zachowywali się ludzie uważający, że już są martwi. Czekali tylko, aż świat potwierdzi ich obawy.

Ale jej wuj był człowiekiem odważnym. Przemawiał głosem tygrysa, głosem kogoś, za czyjego przewodem pójdą inni. Wzywał ich, aby stawiali opór do samego końca. Wołał, że jeśli miał ich wszystkich spotkać koniec, to niech przynajmniej będzie to koniec godny zapamiętania. Lecz Żelazni Samurajowie przeszli przez barykady z wozów i sprzętów domowych, nawet się nie zatrzymując. Ich miecze cięły skórzane zbroje i drzewca wideł, tak jak światło pochodni rozcina mrok. Gdy zaś wyciągnęli jej

kuzynów i jej ciotkę na ulicę, gdy zabili ich na oczach jej wuja, Michi zobaczyła, jak jego duch pęka i rozpada się niczym trafione kamieniem szkło. W tej ostatniej chwili, tuż przed tym, jak zmusili go do rozplątania sobie brzucha nożem, zrozumiała, że go złamali. I zrozumieli to też wszyscy inni.

Spojrzała na dowódcę samurajów, w te zimne, stalowoszare oczy skryte za mempó w kształcie łba tygrysa, i przysięgła sobie, że nigdy nie podzieli losu swojego wuja.

Nastaly ciężkie czasy. Rolnicy z Daiyakawy starali się odbudować swoje życie, zapomnieć o euforii, którą poczuli na widok płonącej strażnicy. Zapomnieć o tej ulotnej chwili, kiedy wszystko wydawało się możliwe. Większość przeklinała wspomnienie tamtych wydarzeń. Jarzmo, które Gildia narzuciła im ponownie na grzbiety, zdawało się o wiele cięższe. Jeśli w ogóle rozmawiali o rozruchach, robili to przyciszonymi głosami, kryjąc się w ciemnych kątach izb, przygarbieni, gorzko żalując tego, co się stało.

Rodzice Michi zmarli, gdy miała pięć lat. Teraz, bez żadnej rodziny, która by się nią zajęła, czuła się ciężarem dla innych i tak też była traktowana. Wypatrywała dnia, kiedy będzie mogła w końcu sama o sobie decydować. Kiedy będzie mogła opuścić Daiyakawę i zostawić daleko za plecami wygłodniałe duchy nawiedzające ulice.

Pewnego dnia do wioski zawitał samuraj. Za obi nosił zatknięte staroświeckie miecze w lakierowanych pochwach zdobionych podobiznami zrywających się do lotu żurawi. Nieznajomy był ubrany w czerń, jakby nosił po kimś żałobę. Nagłowicie miał szeroki, wypukły kapelusz shappo. Towarzyszyła mu młoda dziewczyna, cała pokryta kurzem z drogi. Twarz osłaniała jej długa grzywka i czarna chusta.

Gdy przybysze stanęli na placu w centrum wioski i mężczyzna uchylił ronda kapelusza, odsłaniając twarz, Michi błyskawicznie rozpoznała jego oczy. To były te same oczy, które zza żelaznej maski w kształcie łba tygrysa przyglądały się, jak jego żołnierze wycinali w pień jej wuja z rodziną.

Oczy kapitana Żelaznych Samurajów.

Michi krzyknęła, chwyciła giętką witekę i natarła na niego. Uderzyła go z całą siłą, na jaką było stać dziewięciolatkę. Złapał ją za rękę, uniósł w górę

i przycisnął do piersi. Michi wrzeszczała, kopała, biła i gryzła; wykrzykiwała wszystkie znane jej przekleństwa. A on ją trzymał, dopóki jej gniew nie wygasł, dopóki nie opadła z sił i nie zwisała bezwładnie w jego ramionach.

Wtedy przemówił. Mówił o żalu, o brzemieniu winy, o zakłamaniu Drogi Bushido, o zbrodniach, które popełniał w imię wierności i honoru. Mówił o żyjącej na północy grupie ludzi, którzy ujrzeni i przyjęli prawdę, którzy poprzysięgli tak jak i ona nigdy więcej nie zgiąć kolan, nigdy więcej nie dać się złamać.

Przemawiał głosem tygrysa. Głosem, za którym pójda inni.

– Nazywam się Kagé Daichi – zakończył.

I wtedy zrozumiała, że ona też za nim pójdzie.



18.
ZARYSY

Ayane zaczęła przypominać istotę ludzką.

Na jej głowie pojawił się delikatny meszek czarny jak woda w Zatoce Kigen. Górskie powietrze wyraźnie jej służyło, chociaż większość czasu spędzała zamknięta w celi. Kilka razy Kagé pozwolili jej wyjść pod strażą na świeże powietrze. To wystarczyło, żeby jej skóra lekko się zaróżowiła od promieni słońca. Przybrała też nieco na wadze dzięki regularnym posiłkom składającym się ze świeżej ryby i dzikiego ryżu. Kiedy się śmiała, w jej oczach pojawiały się ogniki przypominające ogniste koła używane w dniu święta Pana Izanagiego.

Kin siedział przed bambusowymi prętami celi. Na podłodze przed sobą rozłożył arkusz ryżowego papieru i kilka lasek węgla. Naprzeciw niego po drugiej stronie prętów siedziała ze skrzyżowanymi nogami Ayane. Jej pajęczne ramiona tkwiły nieruchomo zwinięte na jej plecach.

– Z brwiami wyglądasz zdecydowanie lepiej – powiedział Kin z uśmiechem.

– Są dziwne. – Ayane potarła czoło, marszcząc wciąż rosnące brwi.

– Cóż, dzięki nim wyglądasz bardzo dostojnie.

Dziewczyna wysunęła brodę i poruszyła teatralnie brwiami.

Oboje się roześmieli jak zwykli ludzie.

– Tej nocy miałam sen – oznajmiła. – Pierwszy sen, odkąd sięgam pamięcią, nie licząc oczywiście Przebudzenia. Czy ty miewasz takie zwykłe sny?

– Nie. – Kin pokręcił lekko głową. – Mam tylko ten jeden. Zawsze ten sam.

– Okropne, prawda?

– Przyzwyczałem się. – Wzruszył ramionami. – O czym był twój dzisiejszy sen?

Dziewczyna spojrzała na swoje palce splecione na kolanach. Na jej policzki wystąpił lekki rumieniec.

– O tobie – odparła.

Kin nie wiedział, co począć z oczami. Odchrząknął, wykrzywił usta w dziwnym grymasie i poczuł, jak jego twarz również oblewa rumieniec. Ayane przybrała zakłopotany wyraz twarzy i zaśmiała się ze skrępowaniem. Błądziła spojrzeniem dokoła, aż ostatecznie jej wzrok padł na leżący na podłodze papier.

– Więc... To są twoje słynne instalacje obronne?

– Ach, tak... – Kiwnął głową, wykorzystując skwapliwie okazję do zmiany tematu rozmowy. – No, zgrubny szkic. Budowa niedługo dobiegnie końca. Zdołaliśmy uratować z wraków pancerników siedem ciężkich miotaczy shurikenów. Ustawiliśmy je niedaleko dołów-pułapek. Zmodyfikowałem podajniki, aby działały na ręcznie obracaną korbę. Wciąż jednak borykam się z problemem spadającego ciśnienia w komorze strzałowej. – Wzruszył ramionami. – Nie mogę nic wymyślić.

– Nie mam pojęcia, dlaczego sądzisz, że byłabym w stanie ci pomóc. – Ayane splótła palce pod brodą, uważnie studiując rysunki ziemiście brązowymi oczami. – Przecież to ty należałeś do Sekcji Pociskowej. Ja jestem tylko sztucznożyciowcem, zapomniałeś?

– Byłaś sztucznożyciowcem.

Wydatne usta dziewczyny wykrzywiły się w kolejnym nieśmiałym, zakłopotanym uśmiechu.

– Muszę się przyznać, że wciąż nie przyzwyczałam się do myślenia o sobie w ten sposób.

– Druga para oczu zawsze się przydaje. Poza tym umiesz się obchodzić z maszynami, to widać.

– Byłoby mi łatwiej coś powiedzieć, gdybym mogła sama obejrzeć te modyfikacje. Same plany to nie to samo.

– Pracuję nad tym – odparł Kin, wzruszając ramionami. – Kagé mają teraz głowy zaprzątnięte czym innym.

– Arashi... Chciałam powiedzieć, Yukiko?

– Minęło osiem dni. Powinna była już wrócić.

Ayane przekrzywiła głowę i przyjrzała się chłopakowi między prętami.

– Martwisz się o nią?

– Trochę. – Westchnął. – Ale jest przy niej Buruu. On potrafi o nią zadbać.

– Tęsknisz za nią?

– Czemu pytasz?

– Cóż, ja tylko... – Ayane przygryzła dolną wargę. – Chodzi o sposób, w jaki o niej mówisz. Pomyślałam, że może ci na niej zależy.

– Czy moglibyśmy o tym nie rozmawiać?

– Przepraszam. – Sięgnęła ręką między prętami i dotknęła delikatnie jego kolana. – Jestem pewna, że nic jej nie jest.

Kin uściśnął lekko palce dziewczyny i wbił wzrok w swoje plany.

– Jaki ładny rysunek...

Ayane aż podskoczyła na dźwięk nowego głosu. Kin obrócił się powoli, czując wzbierający lęk. W drzwiach stało trzech chłopaków mniej więcej w jego wieku, z hardymi spojrzeniami i dłońmi zaprawionymi we władaniu mieczem. Poczul nagły przyływ adrenaliny – instynktowna reakcja zapędzonego w kozi róg zwierzęcia. W jego głowie ścierały się ochota do walki i chęć ucieczki.

Wstał powoli z zaciśniętymi zębami, wodząc wzrokiem od jednego chłopaka do drugiego.

– Cześć, gildiarzu.

Isao pogładził dłonią młodzieńczy zarost na brodzie, po czym przesunął ręką po ciemnych włosach zebranych w gruby kok na czubku głowy. Miał trójkątną twarz przypominającą raczej ociosany kołek niż

rękodzieło Stwórcy. Krótkie rękawy odsłaniały blizny po usuniętym irezumi. Pod opaloną skórą napinały się twarde mięśnie.

Pozostali dwaj stali ze skrzyżowanymi ramionami nieco z tyłu, po obu stronach prowodyra. Kin rozpoznał w nich niskiego i żyłastego Atsushiego, który znalazł Ayane w dole-pułapce, oraz jego wielkiego kuzyna Takeshiego o twarzy zbira spod ciemnej gwiazdy, który przerwał Kinowi i Yukiko pocałunek na cmentarzu. Obaj mieli oczy skryte za szkłami goggles. Wymamrotali burkliwe pozdrowienia, z których rozpoznał tylko słowo „gildiarz”.

- Nazywam się Kin – powiedział.
- Gównu się nazywasz – odburknął Isao.
- Czego chcesz, Isao-san?
- Żebyś stąd zniknął, suczy synu – warknął Atsushi.
- Nigdzie się nie wybieram.

Isao zrobił krok naprzód z zaciśniętymi pięściami. Był od Kina nieco młodszy, ale większy, zahartowany i zaprawiony w boju.

- Za to, co zrobiliście naszym wyspom, zgnijecie w podziemiach Yomi. Ty i ta twoja pajęczonoga suka. - Wskazał gestem pobladłą Ayane, która zastygła z oczami rozszerzonymi strachem. - Wy i wszyscy wasi pobratymcy z Gildii jesteście jak trucizna.

- Oni nie są już naszymi pobratymcami, Isao. - Kin oblizał wargi, starał się mówić spokojnie. - Nie masz pojęcia, ile nas kosztuje bycie tutaj. Nic o nas nie wiesz.

- Wiem tyle, żeś zdrajca. - Isao postąpił kolejny krok naprzód. Dzieliło ich teraz zaledwie kilka stóp. - I kłamca, który sprzedał swoich. A teraz zatruwasz swoim jadem moją rodzinę. Małe zabawki dla dzieci, wspaniałe maszyny wypluwające truciznę w...

- One nie działają na chi, kretynie - wypalił Kin. - Miotacze shurikenów są hydrauliczne, działają na sprężone powietrze. Nie trzeba palić lotosu, żeby...

- Jak mnie nazwałeś? - wycodził Isao przez odsłonięte zęby.
- Słyszałeś.
- Proszę... - wtrąciła się Ayane. - Nie chcemy kłopotów.

Isao splunął na podłogę i spojrzał wściekle na dziewczynę.

– Moi rodzice umarli na czarnopłuco. Nie żyją przez te rzygi, którymi plują wasze maszyny. Matkę Takeshiego zabili za działalność wywrotową, kiedy miał sześć lat. Siostrę Atsushiego wasi cholerni Strażnicy Czystości spalili na pieprzonym stosie. – Zwęził oczy. – Myślisz, że cokolwiek mnie obchodzi twoje zdanie?

– Zrobimy ci kuku, gildiarzu. – Takeshi wykrzywił twarz w złowrogim grymasie i strzelił stawami palców. – Sprawimy, że będziesz kwiczeć z bólu.

– I zrobimy to jeszcze raz i jeszcze raz. Będziemy to robić, aż zrozumiesz, że nie ma tu dla ciebie miejsca – dodał Isao. – Dopóki nie odpełniesz razem z tą swoją suką z powrotem do waszej pięć- ciokątnej nory, żeby nigdy więcej już się tu nie pokazać.

– Nie zbliżaj się do nas. – Kin powstrzymał głos od drzenia i uniósł pięści. – Nie żartuję.

Isao roześmiał się i obejrzał na towarzyszy. .

– Uważajcie, on nie żar...

Cios Kina wylądował na jego szczęce i odrzucił mu głowę do tyłu. Uderzenie było wystarczająco mocne, żeby rozciąć wargę. Isao zatoczył się do tyłu. Zanim zdołał złapać równowagę, Kin chwycił go za kołnierz i wyprowadził kolejny cios drugą ręką. Trafił prosto w skroń, przekrzywiając gole rywala. Nie zdołał uderzyć jeszcze raz, bo towarzysze Isao zdążyli ich rozdzielić.

Cios w brzuch wypchnął całe powietrze z jego płuc. Chwilę potem celny kopniak zwałił go z nóg. Poleciał do tyłu i uderzył boleśnie głową w pręty celi. Przed oczami zatańczyły mu gwiazdy. Ayane krzyczała, gdy Atsushi i Takeshi kopali zwiniętego w kłębek Kina. Chłopak próbował się bronić, machając na oślep rękami. Za którymś razem zdołał złapać jednego z napastników za nogę.

– Potrafisz się odgryźć, co?

Isao przetoczył Kina na plecy, a Takeshi unieruchomił jego nogi. Młodszy chłopak usiadł na klatce piersiowej swojej ofiary, kolanami przyciskając ramiona Kina do podłogi. Krew sącząca się z rozciętej wargi

kapąła na policzek młodego Konstruktor. Isao dobył nóż z fałdów swojego obi, rozciął tunikę Kina i przycisnął czubek ostrza do metalowego gniazda poniżej obojczyka. Gdy obrócił nóż, Kin poczuł, jak przewód pod jego skórą się wije. Metal trący o metal wydawał koszmarny odgłos.

Zgrzyt. Zgrzyt.

– Przestań! – krzyknęła Ayane. – Błagam!

– Zapłacisz mi za to. – Isao oblizał uszkodzoną wargę. – Może gdy z tobą skończę, otworzę tę klatkę i zabawię się z twoją siostrzyczką. Myślisz, że się jej spodoba, gildiarzu?

Gogle przesłaniające oczy Isao pokryła ślina.

– MAM NA IMIĘ KIN!

– Hej tam, chłopcy! – Głos kobiety. – Zostawcie go w spokoju!

Kin usłyszał stuk sandałów o deski podłogi. Ciężar na jego piersi zelżał. Isao wstał, schował tantó do pochwy i otarł twarz ze śliny. Oddychał ciężko, ze wściekłości był cały czerwony. Krew sącząca się z opuchniętej już wargi kolorem przypominała ranne niebo nad drzewami.

Kin przetoczył się na klęczki, gwałtownie się krztusząc i rozcierając okolice obojczyka. Przez zasłonę potu i bólu rozpoznał stojącą w wejściu starą Mari. W dłoni dzierżyła laskę równie wiekową i pokręconą co ona.

– Zostawcie go w spokoju – powiedziała staruszka głosem ochrypłym z oburzenia. – Zmykajcie, już was nie ma. Trzech na jednego? Wstydzilibyście się.

Chłopcy wymamrotali coś pod nosem i powlekli się w stronę drzwi. Isao poprawił gogle na nosie i wykrzywił brzydko usta. Wskazał Kina wyprostowanym palcem i splunął mu pod nogi krwią.

– Do zobaczenia jutro, gildiarzu.

Stara Mari zamachnęła się swoją laską na pierzchających chłopców i boleśnie uderzyła Takeshiego w pośladki. Ayane sięgnęła ręką między prętami i ucisnęła dłoń Kina.

– Jesteś cały?

Minęła przeszło minuta, zanim chłopak zdołał uspokoić oddech. Wciąż klęczał na podłodze, jedną ręką wspierając się o deski. Sprawdził

stan swoich żeber wolną dłonią i skrzywił się z bólu, po czym powoli wyprostował z jękiem.

– Nic mi nie jest...

– Haniebne – Mari postukała laską w podłogę, patrząc z niesmakiem za umykającymi niegodziwcami. – Cóż z tego, że Isao i Takeshi potrafią zabijać onich? Przed nauką władania mieczem sensei Ryusaki powinien był ich nauczyć dobrych manier.

Kin spojrział na staruszkę i spróbował przywołać uśmiech na twarz. Była chuda jak patyk, niższa od niego o co najmniej stopę, a do tego chodziła zgarbiona, jakby nosiła na ramionach ciężar całego świata. Jedną dłoń zaciskała na lasce, w drugiej trzymała kosz wyładowany rybami i ryżem. Jej skóra przypominała wyprawioną skórę zwierzęcą. Siwe włosy miała upięte na wdowią modłę. Fałdy okalające wiecznie łzawiące oczy były tak wydatne, że chłopak czasem się zastanawiał, jak ona cokolwiek widzi. Kierowała lazaretem Kagé. Kin dobrze pamiętał, jak pielęgnowała go zaraz po jego przybyciu. W obyciu była równie przyjemna co mocny kopniak w krocze, ale za to znała się dobrze na leczeniu.

– Postąpiłeś bardzo głupio – zwróciła się do niego, taksując go wzrokiem z wciąż skrzywioną twarzą. – Atakować trzech naraz. Kim ty myślisz, że jesteś? Kitsune-no-Akirą? Tancerze burzy z dawnych czasów zwykle ruszali do bitwy na swoich tygrysach gromu.

– Nie pozostawili mi wyjścia. – Kin dotknął gniazda pod obojczykiem i ponownie skrzywił się z bólu. – Dość mam już uciekania. Mężczyzna stawia czoła przeciwnościom.

– Ach, więc jesteś już mężczyzną, powiadasz? Gotowym samotnie rzucić wyzwanie całemu światu?

– Gotowym chociaż nie dać sobą pomiatać.

– Najlepsze, co teraz możesz zrobić, to opowiedzieć o tym zajściu Daichiemu.

– Nie – wtrąciła się Ayane, patrząc błagalnie na staruszkę. – Nie chcę, żeby z mojego powodu wynikły jakiegokolwiek kłopoty.

– Daichiego to nie obejdzie, Mari – westchnął Kin.

– Zatem pozostań głupcem. – Staruszka wzruszyła ramionami. – Ale gdyby tu była Yukiko...

– Ale jej tu nie ma, prawda? Czasem się zastanawiam, dlaczego ja tu jeszcze jestem.

Kin potarł skórę głowy i powściągnął gniew. Rzucanie takich stwierdzeń przy Ayane nie pomoże jej samopoczuciu. Jego samopoczuciu zresztą też. Spojrzał z ukosa na Mari i westchnął ciężko.

– A tak poza tym to dlaczego tu przyszłaś?

– Usłyszałam krzyk sztucznożyciowca.

– Ma na imię Ayane.

Staruszka wyduła usta, ostentacyjnie ignorując dziewczynę siedzącą za prętami.

– Nie masz przypadkiem czegoś do zrobienia? Poza służeniem za chłopca do bicia? Ryusaki cię szukał.

– Wiem, wiem. – Kin wskazał zmiętoszone rysunki, teraz rozrzucone po całej podłodze. – Miałem właśnie iść na pogranicze.

Mari się zachnęła.

– Cóż, idę teraz zanieść chłopcom śniadanie. Możesz za mną pokuśtykać, jeśli chcesz. Tylko nie za blisko.

Kin odwrócił się do Ayane.

– Mogę cię tu zostawić?

Dziewczyna posłała mu niepewny, lękliwy uśmiech.

– Nie mogę pójść nigdzie indziej, prawda?

– Jeśli chcesz, zajrzę do ciebie przed nocą, żeby sprawdzić, czy wszystko u ciebie w porządku.

– Hai. – Tym razem uśmiech był szczery. – Bardzo bym tego chciała.

Kin zebrał rozrzucone kartki, skinął Ayane głową na pożegnanie i opuścił budynek. Stara Mari szła przodem, wystukując laską równy rytm na chyboczących się mostkach. Uśmiechała się do mijanych mieszkańców osady i pozdrowiała ich skinieniami głowy, bardzo starannie ignorując podążającego za nią Kina i dbając o to, aby nikt nie pomyślał, że idą razem. Jak na swój wiek staruszka poruszała się zaskakująco żwawo, nawet obciążona wypakowanym koszem. Długa,

skręconą drabinę prowadzącą z ukrytej wśród koron drzew osady na ziemię pokonała ze sprawnością, której mogłoby jej pozazdrościć wielu młodszych od niej. Gdy Kin przedzierał się za nią przez poszycie leśne, woń jesieni objęła go swoimi miękkimi ramionami. Ciepły zapach koił nieco ból obitych żeber. Idąc wśród pięknej zieleni i wdzierających się coraz śmielej odcieni rdzy, stara Mari zwolniła kroku, aby chłopak mógł ją dogonić. Nie odzywała się ani słowem, ale co pewien czas Kin dostrzegał, jak obserwuje go kątem oka.

Gdy dotarli do pierwszych umocnień, Kin zauważył grupę wojowników Kagé skupionych wokół powyginanego i pokrzywionego ciężkiego miotacza shurikenów. Nie było to zdecydowanie najładniejsze urządzenie, nad jakim Kin pracował w swoim życiu. Cztery długie, spłaszczone lufy oraz poskręcany węzeł przewodów hydraulicznych i pasów podajnikowych osadzone na pospiesznie zespawanym żelaznym trójnogu. Zamocowany z tyłu do ramy miotacza fotel obracał się razem z lufami, dzięki czemu strzelec zawsze patrzył w kierunku strzału. U podstawy tkwiły przynitowane butle z powietrzem pod ciśnieniem. Biegące od nich w górę przewody przypominały stado węży wijących się wokół miotacza. Po naciśnięciu spustu cała konstrukcja syczała i dygotała jak agresywny pijak. Ten sam opis pasował też do ogólnej celności ostrzału.

„Paskudne jak zgraja męskich prostytutek za miedziaka” – tak opisała miotacze Kaori, gdy je zobaczyła po raz pierwszy. Kin nie mógł jej odmówić racji. Jednak w tym przypadku wygląd się nie liczył; próby ogniowe wypadły pomyślnie, jeśli tylko pominąć wahania ciśnienia. Las przed stanowiskiem ogniowym został dokładnie wykoszony od lewej do prawej. Z krzewów zostały tylko żałosne kikuty, z bylin zaś – same łodygi. Nie oszczędzono nawet wiekowych drzew.

Na północny wschód od wioski rozmieszczono jeszcze pół tuzina takich umocnień. Zbocza gór i rzędy dołów–pułapek miały skierować potwory nadchodzące od strony Czarnej Świątyni na względnie łatwy do obrony skrawek lasu. Zwiadowcy Kagé nadal zapuszczali się w niebezpieczne partie dzikiej kniei, ale jeśli istotnie dojdzie do walki,

obejrzą.

– Od rana stara Mari nazwała mnie już dwukrotnie głupcem. – Kin wskazał gestem kobietę. – Sądzę, że wystarczy mi jej pomocy na dzisiaj.

Ryusaki posłał staruszce bezzębny uśmiech.

– Dokuczałaś naszemu małemu członkowi Gildii, matulo?

– Hmpf. – Mari zgromiła Kina wzrokiem. – Chłopak nie ma nawet tyle oleju w głowie, żeby nie wdawać się w bójkę z trzema młodymi byczkami naraz. Powinien dziękować Kitsune, że skończyło się to tylko pękniętymi szwami.

– Trzema? – Ryusaki uniósł brew. – Z kim się wzięłeś za bary, chłopcze?

– To nieistotne, Ryusaki-sama. – Kin się uklonił. – Ale dziękuję za troskę.

Dowódca oddziału wpatrywał się w niego przez krótką chwilę, po czym wzruszył ramionami i przeniósł wzrok na miotacz.

– O świcie wypróbowaliśmy wszystkie stanowiska. Miotacze na czwartym, piątym i szóstym spisały się zaskakująco dobrze. W jedynce poszła uszczelka i piekło wzięło zasilanie. Dwójka, trójka i siódemka ciągle mają kłopoty z ciśnieniem. Ale jest coraz lepiej. Kaori była wściekła jak demony, kiedy Daichi zgodził się na twój szalony pomysł, ale jest w tym chyba jednak jakiś sens.

– Sądzę, że mogę usunąć problemy z ciśnieniem. – Kin pokazał swoje rysunki. – Już prawie wszystko obmyśliłem.

– To dobrze. Po tym trzęsieniu ziemi w szeregach oni panuje większy zamęt niż w burdelu w Dole w dniu wypłaty żołdu, bez dwóch zdań.

Mari uderzyła go w ramię.

– Powściągnij tę swoją bezzębną kloakę, zanim przyniosę mydło...

Ryusaki zachichotał, gwizdząc przez szparę po brakujących zębach.

– Błagam o wybaczenie.

Kapitan spojrział na północny wschód. Uśmiech stopniowo zniknął z jego twarzy, a oczy coraz bardziej się zwężyły, żeby lepiej widzieć w zapadającym mroku. Kin stanął obok niego i również wyteżył wzrok. Wiatr przybierał na sile, wyjąc coraz głośniejszy między drzewami. Wśród

górkich szczytów zaczynała wzbierać burza. Gdzieś na północy zagrzmiąło. Suche liście opadały wokół Ryusa- kiego gęsto jak krople podczas deszczu.

– Wiem, że ciebie tu nie było minionego lata, podczas bitwy – powiedział starzec posępnym głosem. – Wiem, że nigdy nie widziałeś jednego z nich z bliska. A do tego wyglądasz mi na takiego, który nie pokłada zbytnej wiary w niczym, czego nie widział na własne oczy. Ale oni wyłazą prosto z podziemi Yomi, bez dwóch zdań. A od dwóch dni nasi zwiadowcy widują całe ich stada w okolicy Czarnej Świątyni. Podejrzewam, że wstrząsy otworzyły szerzej jedną ze szczelin w zboczach gór, co pozwoliło większej ich liczbie przecisnąć się na powierzchnię. Prosto z brzucha Głoszącej Kres, przepełnione całym bezmiarem jej nienawiści do świata ludzi.

– Zatem bierzmy się lepiej do pracy – stwierdził Kin.

Ryusaki kiwnął głową.

– Swoją drogą, jutro stąd wyruszam. Nie będzie mnie jakieś dwa tygodnie, tak więc będziesz podlegał bezpośrednio Kaori.

Kin jęknął w duchu na samą myśl o tym.

– Dokąd się udajesz, Ryusaki-sama?

Kapitan dobrze ukrywał swoją nieufność, ale Kin wciąż miał gęsią skórkę.

– Na południe – odparł starzec.

Kin wydał usta i powoli kiwnął głową. Jeśli miał być ze sobą szczerzy, nie spodziewał się lepszej odpowiedzi. Obrócił się do miotacza, zdjął obudowę mechanizmu spustowego i położył ją na ziemi. Skrzywił się z bólu i roztarł zakrwawione ramię. Stara Mari przyglądała się mu z czymś, co prawie zaczynało przypominać poczucie winy.

– Posłuchaj – odezwała się. – Jeśli chcesz wrócić teraz ze mną i poprawić te szwy...

– Nie trzeba, dziękuję – odparł Kin. – Naprawdę.

Staruszka mlasnęła językiem o podniebienie.

– Przypominasz mi mojego męża, młodzieńcze z Gildii. On też był uparty jak osioł. Aż do dnia, kiedy dał się zabić.

– Dziękuję za troskę, Mari-san. – Kin zajął się maszynerią, starając się powstrzymać gniew w głosie. – Ale potrafię sam o siebie zadbać.

– Jak tam sobie wolisz – westchnęła Mari. – Kiedy opadnie kurz, znajdziesz mnie w lazarecie. Jednak jesteś głupcem, jeśli sądzisz, że poradzisz sobie sam ze wszystkimi swoimi problemami.

Chłopak wyjął z uchwytu na pasie narzędziowym klucz dynamometryczny i z ciężkim westchnięciem omiół wzrokiem cały mechanizm.

– Zawsze można pomarzyć...

Setki oczu czerwonych jak zachodzące słońce wpatrywały się w Kina z taką dozą uwielbienia, jaką tylko można wyrazić szklanymi bąblami. Morze mosiężnych twarzy, gładkich i pozbawionych jakichkolwiek rysów, rozlewające się aż po wszystkie ciemne kąty. Nieskończona liczba iteracji tego samego modelu. Bez osobowości, bez wyrazu, bez człowieczeństwa w ostrych niczym brzytwa konturach. Jego twarz, ale jednocześnie do niego nienależąca. Widoczna wszędzie dokoła.

Ociekające wilgocią ściany z żółtego kamienia. Pieśń pracujących silników, tłoków i kół zębatych zlewająca się w jednostajny szum; tykanie zepsutego zegara zapuszczające korzenie u podstawy jego czaszki i drapiące gałęziami jego oczy od środka. Stał nad nimi na suwnicy i wpatrywał się w zwrócone ku niemu twarze. Czuł dodający otuchy ciężar metalu na kończynach i wiedział, żejest w domu.

Wołali go po imieniu.

Rozpostarł szeroko ramiona, rozcapierzył palce. Światło bijące z ich oczu odbijało się od jego lśniącej skóry. Od oksydowanych filigranów wytłoczonych na czubkach palców, od obręczy rękawic, od brzegów naramienników. Nowa skóra dla jego ciała. Skóra świadcząca o pozycji, zaszczycie i władzy. Wszystko, co obiecali. Wszystko, czego się obawiał. Wszystko to się spełniło. Było prawdziwe.

Było Prawdą.

Wołali go po imieniu; wszyscy zmontowani shatei wyciągający ku niemu

swoje ręce. Gdy nabierał powietrza, aby do nich przemówić, słowa brzmiały mu w głowie niczym żałobna pieśń. Czuł, jak te resztki jego duszy, które mu jeszcze pozostały, wyciekają zeń i odpływają w ciemność.

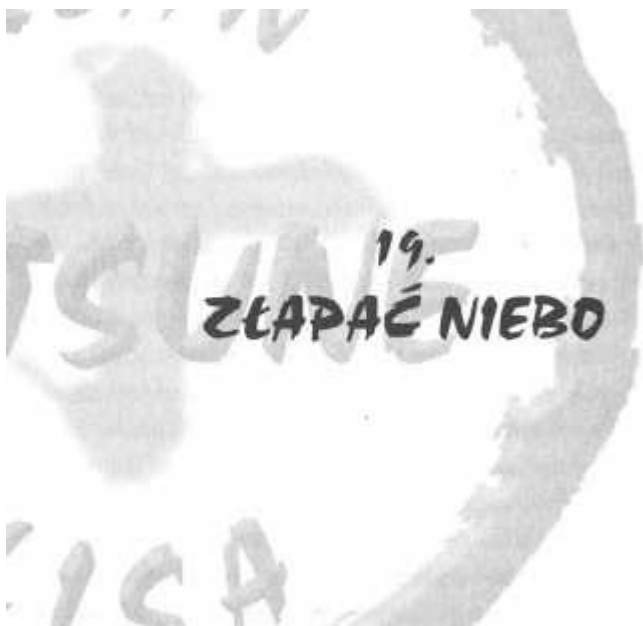
Wiedział, że śni. Wiedział, że to tylko sen trzynastolatka zwiniętego w kłębek w Komnacie Dymu i czującego, jak trucizna powoli wypełnia jego płuca. Ta sama wizja, która prześladowała go każdej nocy od dnia Przebudzenia. Jednak wciąż czuł na języku smak lotosu, wciąż czuł na kończynach ciężar skóry, wciąż czuł ten obezwładniający strach, który go ogarnął, gdy poznał swoją przyszłość.

Niezliczone rzesze poniżej zamilkły. Spojrzat w dół, na mrowie szkarłatnych punkcików światła w ciemności, migoczących jak świetliki owiewane podmuchem zimowego wiatru. Wydobył z gardła potężny okrzyk z głuchym i metalicznym pogłosem wywołanym przez mosiądz zakrywający jego usta.

– Nie nazywajcie mnie Kinem, gdyż nie tak mam na imię.

We śnie poczuł, jak usta pod maską wykrzywiają mu się w uśmiechu.

– Mówcie mi Pierwszy Kwiecie.



Ból w płucach był nie do zniesienia. Gorejący pod żebrami ogień sprawiał, że przed jej oczami rozkwitały czarne kwiaty. Wstrząs po uderzeniu, lodowate zimno wody przenikające ją aż po szpik kości, ostre niczym zęby demonów skały rwące jej ciało – wszystko to bla- kło w porównaniu z bólem w klatce piersiowej, wrzaskiem w głowie i przybierającym na sile pragnieniem otworzenia ust i wypuszczenia do płuc czarnej, słonej śmierci.

Odetchnąć.

Podpłynęła w górę. Albo w dół– nie było różnicy. Podwodne prądy rzucały nią po lesie okrutnych, śliskich od wodorostów kamieni, jak wiatr miota połamanymi gałązkami między drzewami. Nie słyszała żadnego dźwięku poza stłumionym rykiem oceanu. Ciśnienie wody zgniatało ją, przemożne pragnienie nabrania oddechu odbierało jej zmysły. Przełamanie jej siły woli było tylko kwestią czasu. ODETCZNAĆ.

Otworzyła usta i pozwoliła oceanowi wypełnić jej płuca.

Yukiko obudziła się gwałtownie, łkając i łapczywie wdychając słodkie, błogosławione powietrze. Ubranie miała przemoczone do suchej nitki,

włosy oblepiały jej twarz grubymi, czarnymi pasmami. Spróbowała odgarnąć je z oczu, ale nie mogła poruszyć rękami. Ktoś unieruchomił jej nadgarstki skózanymi pasami przymocowanymi do żelaznej ramy łóżka, a wokół kostek nóg obwiązał zwiniętą, czystą pościel. Przez chwilę rzucała się w próżnej nadziei wyswobodzenia rąk. Potem leżała, rozglądając się po wilgotnym, szarym pokoju, czując wzbierające zawroty głowy. Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje.

Ktoś przemówił. Poplątane słowa, z których nie zrozumiała ani jednego.

Obróciła głowę w stronę, z której dobiegał głos, i dostrzegła groźnie wyglądającego mężczyznę wyciągającego do niej rękę. Wyglądał na około trzydzieści lat. Ubrany był w długi biały płaszcz dziwnego kroju z niedopranymi plamami po krwi na mankietach. Ciemne włosy miał ostrzyżone niemal do skóry. Całości dopełniała spiczasta bródka wieńcząca bladą, wysmaganą wiatrem twarz.

Spróbowała się odsunąć od obcego, wierzgając rozpaczliwie nogami. Mężczyzna chwycił ją za ramiona i delikatnie nią potrząsnął, cały czas wypowiadając ciche, pozbawione sensu słowa. Rysy jego twarzy powoli nabierały ostrości w oczach dziewczyny. Miał blizny na obu policzkach. Ta na prawym była długa i prosta, jak po cięciu nożem. Ta na lewym zaś była półkolista. Nie miał też lewego ucha. Prawe oko przesłaniało kredowo białe bielmo, prawdopodobnie pamiątka po spotkaniu z tym, co okaleczyło mu twarz. Pod lewą, pokrytą solą morską brwią tkwiło zdrowe oko w kolorze bladego, iskrzącego się błękitu.

Biała skóra.

Niebieskie oczy.

„Bogowie, to gaijin”.

Odgarnął włosy z jej twarzy i ponownie przemówił w swoim niezrozumiałym języku. Yukiko szarpnęła głową, uciekając od jego dotyku. Po chwili mężczyzna przysunął jej do ust cynowy kubek z wodą. Jako że na języku wciąż czuła mdlący smak soli morskiej, a gardło miała całkowicie wyschnięte, wypła pospiesznie całą zawartość kubka. Przymknęła oczy, rozkoszując się błogim uczuciem zaspokojonego

pragnienia. I wtedy usłyszała od drzwi nowy głos:

– Piotr.

Jedynymi okrągłookimi, jakich w swoim niezbyt długim życiu widziała, byli kupcy sprzedające wyroby ze skóry w dokach Kigen. Ciężko więc było jej ocenić wiek drugiego gajjina, ale gdy przyjrzała mu się zmrużonymi oczami, wydał jej się niewiele starszy od niej. Wilgotne, długie do ramion blond włosy odgarnięte za uszy, skąpy zarost na brodzie, opalona skóra. W jego rysach dało się dostrzec pewną symetrię, która mogłaby nawet sprawić, że uznałaby go za przystojnego, gdyby nie wyglądał tak zupełnie obco. Miał na sobie obdartą czerwoną tunikę niezwykle kroju z naszytymi na kołnierzu dziwnymi insygniami i szal z jasnoszarego futra. Dłonie skrywały grube, skórzane rękawice. Na szyi wisały gogle. Wpatrywał się w nią lśniąco z zaciekawienia oczami w kolorze zmatowiałego srebra.

Było w nim coś znajomego...

Gdy mu się przypatrywała, wyjął z kieszeni płaskie cynowe pudełko i je otworzył. W środku znajdowały się cienkie rulony białego papieru. Wziął jeden w palce i włożył sobie do ust. Następnie schował pudełko do kieszeni, po czym wyciągnął z niej kawałek stali o zaokrąglonych brzegach i przytknął do rulonu. Po chwili z papieru zaczął unosić się jasnoszary dym, wypełniając pomieszczenie zapachem cynamonu i miodu. Yukiko zauważyła, że chłopakowi trzęsą się ręce.

Rozchodzący się w powietrzu zapach wydobył na powierzchnię jej umysłu niewyraźne wspomnienie, dotąd ukryte za gęstą, wilgotną mgłą. Leżała zwinięta na chłostanej deszczem metalowej płycie, wykrztuszając z płuc wodę morską. Nad nią przykucnął jakiś mężczyzna obwiązany w pasie grubą liną. Mokre blond włosy lepiły się do jego twarzy.

Pamiętała dziwny posmak w ustach, coś nieoczekiwanego przebijającego się przez sól i wodę...

„Cynamon i miód!”

– Ty... – powiedziała. – Ty mnie uratowałeś?

Blondyn przemówił niezrozumiałym, gardłowym językiem. Ciemnowłosy mężczyzna wyprostował się i podszedł do drzwi. Przez

chwilę rozmawiali przyciszonymi głosami, co jakiś czas zerkając w jej stronę. Yukiko zaś rozglądała się po pomieszczeniu, w którym się znajdowali.

Wyglądało to na jakieś hospicjum z około tuzinem metalowych pryczy. Powietrze było przesiąknięte ostrym zapachem alkoholu i przypalonych włosów. Pod żeliwnym zlewem stały stosy słoików wypełnionych jakimiś dziwnymi substancjami. Szare ściany lśniły od wilgoci. Od strony umieszczonych pod sufitem kratki wentylacyjnych dobiegało zawodzenie wiatru. Jedyne światło pochodziło od brudnych żarówek wkręconych w pordzewiałe oprawki zamontowane na ścianach, migoczących synchronicznie z silniejszymi porywami wichury. Pod oscylującym wyciem słyszała szum morza i trzask załamujących się na ostrych kamieniach fal.

Pieśń oceanu.

Niepewnie sięgnęła zmysłem Przenikania, czując ból narastający powoli u podstawy czaszki. Wyczuła dwóch gajjinów znajdujących się razem z nią w pomieszczeniu, tak jak wyczuwała ludzi w osadzie Kagé – jako niewyraźne smugi obcego ciepła. Odsunęła ich na bok i rozejrzała się po otaczającej ją ciemności. Czuła dobiegające skądś ciepło, wyczuwała zwierzę o znajomym kształcie, ale zdecydowanie zbyt małe jak na tygrysa gromu.

Zaciskając zęby, sięgnęła dalej, w zalegający dokoła mrok, usiłując choć trochę zapanować nad Przenikaniem. Przypominało to dobrowolne wystawianie się na atak huraganu, wychodzenie nago na smagający wiatr i palący ogień, stąpanie w powietrzu nad szalejącym oceanem. Wyczuwała skupisko ciepła, całe dziesiątki gajjinów upakowanych blisko siebie. Nad nią, pod nią, wszędzie dokoła. Sięgnęła jeszcze dalej, krzywiąc się z bólu. W oddali wyczuła coś ciepłego. Dźwięk burzy, błysk gorąca.

„Buruu?”.

Wtedy je wyczuła. Głęboko pod wodą, nieprzypominające niczego, czego dotąd dotykała. Zimne, śliskie, lśniące, wpatrujące się w nią oczami wyglądającymi jak wypolerowane kulki z żółtego szkła.

Syczące.

Błyskawicznie się wycofała, zatrzasnęła drzwi swojej mocy, zamknęła umysł i wzięła głęboki, drżący oddech. Nawet dysponując nabytą nie tak dawno siłą, nie potrafiła wyczuć Buruu. Był nieprzytomny? Może martwy? Co się z nim stało?

Mrugając intensywnie i starając się zignorować ból rozsadzający głowę, spróbowała odtworzyć przebieg wydarzeń sprzed utraty przytomności. Najpierw było spadanie. Przerazający stan bezwładności, gdy zawiódł pęd i pochwyciła ją grawitacja. Szybko zbliżająca się wzburzona czerwona woda. Zderzenie z falami wypychające całe powietrze z płuc. Przesiąknięte wodą ubrania ciągnące ją na dno. Kształty na tle nieba rozświetlonego błyskawicą.

Arashitory. Dwa samce.

Walczące ze sobą tygrysy gromu.

– Shima?

Brmienie znajomego słowa sprowadziło jej myśli z powrotem do wilgotnego pomieszczenia. Postarała się skupić na wpół niewi- dzące oczy na ciemnowłosym mężczyźnie. Gaijin przyglądał się jej bacznie ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Wyrazu jego twarzy nawet przy najszczerzych chęciach nie można było określić jako przyjaznego. Blondyn wpatrywał się w podłogę, co jakiś czas ssąc dymiący rulon papieru i wydmuchując chmury siwego dymu pachnącego miodem. Ból głowy doskwierał jej niczym świeża, otwarta rana wydrążona za uszami, wykuta dłutem u szczytu kręgosłupa.

– Ty Shima?

Co zaskakujące, poznaczoney bliznami mężczyzna zwracał się do niej w jej mowie – mówił co prawda z fatalnym, koślawym akcentem, ale słowa zdecydowanie były shimańskie. Gaijin się zbliżył, wskazał ją, a następnie machnął w kierunku, który miał być zapewne południem. Mężczyzna wyraźnie kulał, a gdy jego prawa stopa stawała na kamiennej posadzce, Yukiko słyszała wyraźny brzęk metalu.

– Hai – przytaknęła. – Shima.

Mężczyzna się skrzywił i obrócił do blondyna, unosząc ramię, jakby

chciał chłopaka uderzyć, i wyrzucając z siebie potok gniewnych, niezrozumiałych słów. Chłopak odskoczył i zacisnął zęby na dymiącym rulonie.

– Proszę was – powiedziała Yukiko łamiącym się głosem. Oblizła spierzchnięte wargi. – Powiedzcie mi, gdzie ja jestem?

– Eee? – Poznaczony bliznami mężczyzna zmarszczył brwi i spojrzał na nią.

– Czy mnie rozumiesz?

– Trochę. – Uszczypnęła powietrze kciukiem i palcem wskazującym. – Trochę.

– Gdzie jestem? – powtórzyła pytanie, wyraźnie wymawiając każde słowo. – Gdzie?

Mężczyzna wybuchnął gniewem, zarzucając ją potokiem całkowicie niezrozumiałych słów.

–Ja nie...

Z rykiem i czerwieniejącą twarzą podbiegł do pryczy, na której leżała, po czym wznosił rękę do ciosu. Yukiko odsunęła się w stronę ściany na tyle, na ile pozwalały jej więzy. Otwarta dłoń trafiła z całą siłą w jej policzek, niemal pozbawiając dziewczynę przytomności, podsycając ból czający się za oczami. Wcisnęła się najgłębiej, jak mogła, w materac i zamknęła jedno oko, spodziewając się kolejnego ciosu.

– Piotr – odezwał się blondyn, po czym wyrzucił z siebie potok słów w obcym języku.

W jego głosie wyraźnie słychać było troskę.

Yukiko spojrzała na ciemnowłosego gaijina. Słona woda piekła świeże pęknięcie na wardze, krew napływała jej do ust. Kilka razy szarpnęła krępujące ją więzy.

– Dotknij mnie jeszcze raz, a cię z a b i j ę – warknęła gniewnie.

Mężczyzna opuścił zgrabiąłą, szeroką niczym wachlarz bojowy dłoń. Wpatrywał się w swoją rękę i mamrotał coś pod nosem. Potem pokuśtykał do blondyna i wyrzucił z siebie kolejny stek niezrozumiałych słów. Chłopak wyszedł z pomieszczenia, zostawiając na podłodze mokre ślady. Starszy gaijin stał w wejściu i wodził palcem wzdłuż blizny

przebiegającej pod okiem. Nad jego głową zbierały się burzowe chmury.

Drżącymi palcami wyjął z kieszeni rzeźbioną drewnianą fajkę w kształcie ryby i nabił ją suchymi liśćmi dobytymi ze skórzanej sakiewki przy pasie. Pod białym płaszczem Yukiko dostrzegła czerwoną kurtkę z mosiężnymi guzikami i przypiętymi do kołnierza insygniami.

Skrzyżowane miecze.

Żołnierz?

– Żałować. – Mężczyzna machnął w kierunku jej głowy. – On cię żałować.

Yukiko patrzyła w milczeniu na nogę mężczyzny. Goleń obejmowały metalowe klamry, a do kolana zamocowany był dziwny mechanizm z tłokiem. Ciało wzmacniane maszynami.

„Tak jak Gildia...”.

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni na piersi kawałek stali o zaokrąglonych brzegach i pstryknął na nim palcami. Płomień zaśnił w przesłoniętym bielmem oku i pogłębił cień półkolistej blizny na lewym policzku. Po chwili liście w główce fajki się rozżarzyły. Gaijin ponownie pstryknął palcami i płomień zgasł.

– Kim jesteście? – zapytała Yukiko.

Obcy wzruszył ramionami i wymamrotał pod nosem kilka niezrozumiałych słów. Dziewczyna opuściła głowę na materac i oddychała głęboko. Niespodziewanie dopadł ją paniczny strach. Woń dymu wydychanego przez gaijina przywołała wspomnienia o ojcu. Gęstego dymu snującego się wokół siwiejących wąsów. Poplamionych lotosem palców i spuchniętego ciała owiniętego w białe płótno, czekającego na oczyszczający płomień. A jej tam nie było. Nawet się z nim nie pożegnała...

„Nie płacz”.

„Ani mi się waz!”.

– Bogowie?

Spojrzała na gaijina. Wskazywał w górę, unosząc pytająco brew nad niewidzącym okiem.

– Mieć bogowie?

– Hai – przytaknęła. – Mam bogów.

Mężczyzna wsunął fajkę do ust, pokręcił głową i wyszedł na korytarz, na odchodne rzucając przez zęby zaciśnięte na ustniku:

– Modlić się.

Yukiko długo leżała w ciemności, czekając, aż ból głowy zelżeje. Przez ściany docierał do niej szum załamujących się na skałach fal. W powietrzu unosił się zapach rdzy i smaru. Ubranie miała wciąż wilgotne, przez co cały czas dygotała z zimna. Chcąc się trochę rozgrzać, zaciskała i rozluźniała rytmicznie pięści, nie zważając na wcinające się w nadgarstki krępujące ją pasy. Po pewnym czasie, gdy ból głowy był ledwie bladą iskierką, powoli, cegła po cegle, odbudowała swój skromny obronny mur myśli. Bariere złożoną ze wszystkich kawałków swojej jaźni, jakie tylko zdołała zebrać. Ze wściekłości, która – wedle zapewnień Daichiego – miała być jej największą siłą, spajającą ją zaprawą ze wspomnień. Miecz Yoritomo przecinający pióra Buruu. Grób jej ojca. Jego krew na jej rękach. Zaciskała zęby, wrząc ze złości. A gdy mur był już gotowy, ponownie sięgnęła Przenikaniem na zewnątrz.

Nie była to metodyczna eksploracja, a raczej szybkie dźgnięcie na oślep w poszukiwaniu choćby najmniejszego śladu Buruu, niczym krzyk o pomoc w ciemności. Ale w okolicy nie było niczego w najmniejszym choć stopniu przypominającego jego ciepło. A wyczuwany w oddali mulisty gorąc przybierał zupełnie inny kształt. Praktycznie zaraz po tym, gdy otworzyła umysł, ból głowy rozbłysnął jasnym, rozproszonym, trzaskającym płomieniem ludzkich ciał. W wodzie pod nią wyczuwała czekające na nią stwory – zimne, pradawne gady. Odcięła się więc od Przenikania i zamknęła w ścianach własnej czaszki, wybierając całkowitą samotność.

Twarz bolała w miejscu, gdzie uderzył ją człowiek z bliznami. Ostrożnie dotknęła językiem pękniętej wargi i wyczuła coś słonego i ciepłego. Krew.

Zamknęła oczy; przypomniała sobie mniejszą kulkę ciepła, którą

wyczuła w pobliżu. Sięgnęła na zewnątrz małym, wąskim paskiem myśli i odnalazła źródło tego ciepła. Całkiem niedaleko, ledwie kilka pomieszczeń dalej. Leżało zwinięte na starym kocu koło nawiewu grzewczego, merdając ogonem i pogryzając strzęp zwierzęcej skóry trzymany między łapami.

Pies.

„Halo?”

Zwierz przechylił łeb i przestał merdać. Zainteresowany postawił jedno ucho.

„kto tam!?”

„Nazywam się Yukiko”.

„kto?”

„Yukiko”.

Wyczuwała kształt umysłu psa. Był jednocześnie obcy i znajomy, tak jak stary płaszcz należący do kogoś zupełnie nieznanego, który okazuje się doskonale na ciebie pasować. Jego myśli były ciepłym i miękkim kłębowiskiem ciekawości i energii. Gdy rozglądała się w jego głowie, pies zaczął ponownie merdać ogonem, „jedzenie!”

„Przykro mi, ale nie mam jedzenia. Jak cię wołają?”

„rudy!”

„Cześć, Rudy”.

„gdzie jesteś? nie widzę cię!”

„Jestem zamknięta w pomieszczeniu niedaleko”.

„bawimy się?!”

„Może później”.

Usłyszała w myślach psa echo jego skomlenia.

„Rudy, czy możesz mi powiedzieć, co to jest za miejsce?”, „...jest?”

„Co tu robią ludzie?”

„łapią niebo!”

„Łapią niebo?”

„niemądre!”

Yukiko zmarszczyła brwi, próbując rozszyfrować, co pies miał na myśli. Przeformułować pytanie w taki sposób, aby pies zrozumiał, o co jej

chodzi. Minęło wiele lat, odkąd mogła pływać w myślach prawdziwego psa. Co prawda przeniknęła do głowy szczeniaka Aishy, ale miała z nim styczność bardzo krótko. Ogary potrafiły być inteligentne, ale nie rozumiały pojęć wytwarzanych przez ludzkie umysły. Same koncentrowały się na terażniejszości, na rzeczach podstawowych. Jakby na zawołanie poczuła, jak zimny, mokry nos jego myśli węszy wokół wąskiego paska jej jaźni, który zawitał w jego głowie.

„jedzenie!”

W głowie zaświtał jej nowy pomysł. Zdecydowała się go pochwycić i przekonać, dokąd ją zaprowadzi.

„Wydaje mi się, że na zewnątrz było jedzenie”.

Pies zerwał się i zaczął jeszcze szybciej wymachiwać ogonem, „naprawdę!?”

„Tak mi się wydaje”.

„znajdźmy, podzielmy się!”

„Jeśli nie masz nic przeciwko, użyję twoich oczu”.

Gdy Yukiko wślizgnęła się za źrenice psa, ten już wędrował w stronę korytarza, tak więc mogła się tylko przelotnie przyjrzeć pomieszczeniu, w którym przebywał. Ściany były szare, pod nimi stały metalowa prycza i biurko. Była też dziwna, powykręcana maszyna upstrzona szklanymi rurkami próżniowymi i przyciskami. Obok niej leżał stos nienaturalnie białego papieru. Był jeszcze sztandar zdobiący ścianę – ułożony koliście tuzin czerwonych gwiazd na czarnym polu.

Rudy otworzył nosem gumową klapę w drzwiach i znalazł się w długim korytarzu o szarych, betonowych ścianach. Od strony kratki wentylacyjnych pod sufitem dobiegało wycie wiatru. Czuła wyraźny zapach morza: gryzące, słone powietrze podszyte nutą rdzy. Nie czuła jednak ani śladu rozkładu, żadnych ścieków czy odpadków, jak w przypadku Zatoki Kigen. Zapach był świeży i wspaniały. Oszałamiająca, ostra woń wypełniająca każdy zakamarek, każdy kąt.

Ruszyli korytarzem. Minęli wiele zamkniętych drzwi, dwóch wielkich gajjinów z bardzo gęstymi brodami, ubranych w brudne, żółte sztormiaki; gawędzili przy schodach prowadzących zarówno w górę, jak

i w dół. Yukiko i pies słyszeli pomruk pracujących silników, wycie klaksonu gdzieś w głębi budynku, nagły wybuch śmiechu. Gdzieś wysoko nad ich głowami burza przewalała się po niebie z hukiem gromu. Po każdym uderzeniu pioruna cały budynek mruczał i jęczał w odpowiedzi.

Ruszyli po schodach i przeszli do dużej hali wyglądającej na magazyn. Wszędzie stały skrzynie ustawione jedna na drugiej aż po sufit. Mocno naelektryzowane powietrze sprawiło, że sierść Rudego stanęła dęba. Na skrzyniach widniały różne dziwne napisy. Podłoga usiana była śladami mokrych butów. Pies otworzył nosem gumową klapę w wysokich drzwiach na drugim końcu hali. Za drzwiami przywitały ich wiatr i mrok nocy.

Przed nimi biegła mokra od deszczu metalowa kładka wsparta na kratownicy. Na jej końcu zamocowano solidną barierkę, za którą była już tylko ciemność. Czterdzieści stóp pod nimi szalał wzburzony ocean. Olbrzymie fale uderzały w potężne żelazne nogi, na których opierała się cała konstrukcja, sycząc wściekle, rozbryzgując się na tysiąc kropel, po czym wzbierając i napierając ponownie. W powietrzu wisiała gęsta jak zupa mgła, raz po raz rozświetlana błyskawicami. W ich blasku oczom psa ukazywały się pary długich, żelaznych kabli, które biegły nad ich głowami i znikwały gdzieś w ciemności. Kolejny piorun uderzył tak blisko, że przypadli do metalowej kładki i podkulili pod siebie ogon.

„na pewno czujesz jedzenie!?”

„W górę, spójrz w górę”.

Zwrócili swoje oczy ku niebu, na budynek stojący za ich plecami. Oświetlone od wewnątrz kwadratowe okna wychodziły na morze niczym puste, wydrążone oczy. Gładkie ściany z szarej cegły pięły się na wysokość trzech kondygnacji. Spowijała je płatanina rur i kabli. Z dachu wyrastały dziwaczne, stożkowe konstrukcje przypominające zwieńczenie kuriozalnej korony. Więcej podobnych budowli było rozsianych po kamiennych kłach sterczących z wód oceanu dokoła budynku. Metalowe pręty wysokie na dwanaście stóp, zakończone spłaszczonymi, jajowatymi bąblami. Wokół każdego pręta wiła się

cieńsza rura, zataczająca coraz szersze spiralne kręgi od czubka do podstawy konstrukcji. Wykonane były z pomarańczowego metalu, tu i ówdzie poznaczonego jasnozielonymi plamami, porysowanego pocałunkami tysięcy drucianych szczotek.

„Miedź!”.

Z dachu rozlał się bladobłękitny blask, migoczący niczym światło słońca przenikające przez falującą wodę. Po chwili huknął grom i oboje ponownie przypadli do metalowego podłoża. Błyskawica wystrzeliła z ciemnego nieba i pocałowała jedną z miedzianych iglic na skałach sterczących z oceanu, jakieś sto stóp od nich. Elektryczność spłynęła po miedzianej rurze, syjąc dokoła oślepiająco jasnym iskrami, po czym popędziła z trzaskiem po kablach biegnących od iglicy na dach budynku. Otaczający ich blask i światło dobiegające z okien zamigotały krótko.

„Co oni robią?”.

„łapią niebo!”.

„Błyskawice? I co potem z nimi robią?”.

„trzymają w słoikach!”.

Spojrzała oczami ogara na szalejącą burzę. Nad czarną wodą wzburzonego oceanu kolejna błyskawica uderzyła w inny miedziany pylon i surowa elektryczność popłynęła kablami prosto do abstrakcyjnej korony na dachu budynku. Ciemność nocy, siekący deszcz, wyjący wiatr, ryk gromu przenikający aż do kości, dygocące ciało. Przeżalenie psa przepłynęło do niej wraz z podkulonym ogonem i żalnym skomleniem. W końcu Yukiko zlitowała się i pozwoliła psu schronić się na powrót w budynku, z dala od furii żywiołów i bezdennego oceanu, w rezonującej echem pustce sal i korytarzy.

Rudy otrzepał się z wody, potrząsając faflami i ochlapując wszystko dokoła. Otaczające go ściany zachwiały się, odwzorowując drgawki wstrząsające Yukiko, gdy ta odcięła się od Przenikania i wróciła do swojego malutkiego ciała. Do małej, kruchej, dygocącej z zimna, przemoczonej, samotnej dziewczyny, którą od czegokolwiek, co mogła choć w przybliżeniu nazwać domem, dzieliło tysięcy mil burzy, oceanu i

ciemności.

Dziewczyny, która nie zdołała natrafić na choćby najmniejszy ślad brata, na którego grzbiecie tu doleciała. Góry, o którą wspierała swoje plecy, na której nauczyła się polegać bardziej niż na czymkolwiek innym.

„Na bogów, Buruu, gdzie jesteś?”.



W ciemności trzasnęła zapalka. W dłoni Michi zajaśniał pomarańczowy płomień, a w powietrzu zapachniało siarką. Dziewczyna osłoniła ogień drugą dłonią, delikatnie jak matka obejmująca swoje nowo narodzone dziecko, po czym przytknęła płomień do knota świecy. Wosk lśnił w migotliwym świetle kolorem świeżej krwi. Świeca nasączona była olejkiem o zapachu płatków róży i miodu. Był to luksus, o którym dziewczyna z tak zapadłej dziury jak Daiyakawa nie śmiałaby nawet marzyć.

Gdy knot zajął się ogniem, Michi zdmuchnęła zapalkę i przez chwilę przyglądała się tańczącemu na ścianie światłu. Przeszła kilka kroków i postawiła świecę na parapecie, przyciskając ją do mlecznego szkła. Światło w oknie wzywające jej współniczkę w zdradzie. Wyteęzała wzrok, wpatrując się w pałacowe podwórze. Ogród wypełniony był majaczącymi w ciemnościach zarysami kamiennych posągów przodków i płaczących wierzb dodatkowo przygiętych do ziemi brzemieniem zatrutego nieba. Ojciec Księżyc był ledwie widoczną różową plamą przesłoniętą unoszącymi się nad miastem oparami, pozbawionym rysów portretem na popielistym płótnie, z twarzą ukrytą w dłoniach.

Dziewczyna pozostawiła płonąca świecę w oknie i wślizgnęła się z

powrotem do łóżka. Uklękała na materacu i przyjrzała się twarzy Ichizo, której rysy znała teraz niemal tak samo dobrze jak własne. Gdy spał, nie był bynajmniej ucieleśnieniem doskonałości, kami w ludzkiej postaci leżącym przy niej i odbierającym dech w piersiach swoim pięknem. Twarz przyciśnięta do poduszki, włosy w nieładzie, ślina ściekająca po brodzie. Ichizo był zdecydowanie nadto rzeczywisty. I na tym polegał problem.

„To zbyt dobre, aby było prawdziwe”.

Przesunęła palcem po jego policzku, odsuwając gładkie, jedwabście czarne pasemka z oczu. Wymamrotał coś przez sen i uśmiechnął się tak, jak uśmiecha się mały chłopiec w dzień nadania imienia.

– Wiem, czym jesteś – wyszeptwała.

Uwiedzenie osoby, która ją więziła, stanowiło najbardziej logiczny sposób wydostania się z celi. Zatem to zrobiła. Był w końcu zwykłym śmiertelnikiem, a ona – kobietą biegłą w prostej sztuce zawracania mężczyznom w głowie. O ile z początku konieczność oddania mu swojego ciała było gorzką pigułką do przełknięcia, wkrótce osłodziło ją to, że nowy Najwyższy Sędzia pana Hiro nie był, jeśli miała być szczerą, nieatrakcyjny czy odpychający. Był wykształcony, ale nie arogancki. Filozof, miłośnik poezji, szlachetny pan niewykazujący skłonności do okrutnego traktowania służby. Michi musiała przyznać, że mogła trafić dużo gorzej. Klucz do jej celi w pałacu daimyo klanu Tora mógł znajdować się w dużo mniej przyjaznych rękach.

Była morderczynią. Zabójczynią, która odebrała życie kilkunastu mężczyznom, i nigdy nie dręczył jej z tego powodu nawet cień wyrzutu sumienia. Dopuszciała się najpoważniejszej zdrady, udzieliła pomocy terrorystce, pragnęła obalić władze samego cesarstwa. Czym wobec tych rzeczy była myśl o oddaniu komuś swojego ciała? Jeśli potrafiła kogoś zabić, jednym ruchem dłoni zniszczyć wszystko, czym był i czym kiedykolwiek mógł się stać, to zdecydowanie mogła rozłożyć nogi i wydać parę udawanych westchnień.

Gdy w grę wchodziła możliwość opuszczenia klatki, odnalezienia Aishy i uratowania jej z tarapatów, w jakich się znalazła, mogła udać dużo

więcej niż głupie westchnięcie.

Kłopot oczywiście polegał na tym, że Ichizo niemal na pewno prowadził taką samą grę jak ona.

Odgadła to za pierwszym razem, gdy przycisnął usta do jej warg. Jego pocałunek był zbyt czuły, zbyt niepewny. Musiała sama zaprowadzić jego dłonie na swoje ciało, musiała się mu wręcz narzucać. Odgrywał rolę zadurzonego głupca szepczącego jej czułe słówka, obsypującego ją potajemnie podarkami. Był w tym wszystkim bardzo wiarygodny. Mogłaby prawie uwierzyć w szczerść jego zachowania. Ale minionej nocy straciła wszelkie złudzenia, gdy ujął jej twarz w dłonie, pocałował obie powieki i wyszeptał, że chyba ją kocha.

Kocha!

Żaden sędzia, żaden sługa klanu Tora nie mógł być tak tępy.

Ten drań manipulował nią z równym wyrachowaniem, co ona nim. Spodziewała się, że lada dzień ich rozmowy zejda na Aishę, na Yukiko, na Kagę. To była tylko kwestia czasu. Musiała się stąd wydostać, zanim Ichizo się zorientuje, że Michi doskonale wie, kim on jest i co robi.

Słowicza podłoga zaśpiewała piskliwym świergotem gwoździ ocierających się o metalowe klamry i delikatnym skrzypieniem suchej sośniny. Usłyszała kroki – zbyt lekkie na bushiego, zbyt ostrożne na służącą wypełniającą swoje obowiązki.

To była Nikt.

Gdy odgłos kroków dotarł do jej drzwi i umilkł, Michi przyjrzała się uważnie twarzy Ichizo, nasłuchując zmiany rytmu oddechu. Ale jego oblicze było spokojne jak u śpiącego niemowlęcia, a pierś unosiła się i opadała z regularnością mechanizmu w skórze lotosowca. Wstała płynnie z delikatnym szepciem jedwabiu, nie głośniejsza od tańczących na ścianie cieni rzucanych przez migotliwy płomień świecy. Wykonała cztery bezszelestne kroki, przyklękła przy ścianie i czekała.

Po chwili przez szczelinę pod drzwiami wsunął się skrawek ryżowego papieru pokryty koślawymi znakami kanji.

„Czy możemy rozmawiać?”

Odwróciła papier na drugą stronę i nakreśliła odpowiedź kawałkiem

węgla.

„Nie jestem sama. Musimy się spieszyć”.

Przesunęła papier pod drzwiami na korytarz i czekała na odpowiedź.

„Z kim?”.

„Z sędzią Ichizo”.

Przyprawiająca o ciarki chwila bezruchu, a potem nagła przerwa w oddechu dziewczyny klęczącej po drugiej stronie drzwi. Michi usłyszała odgłos wstawania z podłogi i przez chwilę sądziła, że Nikt odejdzie. Wkrótce pojawiła się jednak kolejna wiadomość, nabazgrana w pośpiechu drżącą dłonią.

„Czyś ty oszalała?”.

„Niektórzy by tak rzekli”.

„Słyszałam plotkę, że wstawił się za tobą u daimyo. Zastanawiałam się dlaczego. Teraz już wiem”.

„Ichizo rozmawiał z Hiro?”.

„Prosił go o łaskę dla ciebie. Bushi mówili, że wdycha do ciebie jak zadurzony uczeń”.

Michi zmrużyła oczy i rzuciła spojrzenie w stronę łóżka.

„Jest zmiłą, niczym więcej. Odpowiedź Hiro?”.

„Odmówił. Dbą tylko o skonsolidowanie władzy i śmierć tancerki burzy”.

„A Aisha?”.

„Widziałam ją wczoraj wieczorem na balkonie”.

„Jak się czuje?”.

„Nie mogłam zapytać. Byli z nią ludzie z Gildii”.

„Jak wyglądała?”.

„Na poobijaną, chorą i przygnębianą”.

„Ślub?”.

„Przygotowania postępują. Daimyo Smoka i Feniksa w drodze”.

„Jakieś wieści z Iishi?”.

„Był poranny nalot na kryjówkę na ulicy Kuro. Nie ma jak porozumieć się z Iishi”.

Nagły atak paniki boleśnie zacisnął szczękę Michi, wysuszył usta i

odebrał oddech. Zerknęła nerwowo na śpiącego Ichizo i oblizała wargi.

„Nalot? Jak? Kogoś złapali?”

„Akihito bezpieczny, mieszka u mnie. Inni pewnie rozproszeni. Może w więzieniu. Dzisiaj po powrocie sprawdzimy z Akihito skrzynkę kontaktową. Jak dotąd żadnych wieści”.

„Jeśli nie możemy porozumieć się z Iishi, musimy sami uratować Aishę”.

„We trójkę?!”

„Do ślubu nie może dojść!”.

„Nie możesz nawet opuścić komnaty!”.

Przez kilkanaście uderzeń serca Michi tkwiła przy drzwiach i wsłuchiwała się w oddech Ichizo, zlewający się z szeptem wiatru w skarlałym ogrodzie za oknem. Błądziła wzrokiem po komnacie, która od dłuższego czasu była jej więzieniem. Myśli w głowie pędziły jedna za drugą.

„Zaczekaj”.

Wstała i przemierzyła odległość dzielącą ją od łóżka niczym dym, bezpostaciowy, bezdźwięczny. Przykucnęła przy rzuconych u stóp materaca szatach Ichizo i zaczęła przeczesywać jedwabie i bawełny, aż jej palce w końcu natrafiły na zimną żelazną obręcz. Fałdy ubrań stłumiły brzęk metalu, gdy chwyciła mocno klucze. Wyciągnęła je i podeszła do okna.

Ostrożnie zdmuchnęła świeczkę wciąż płonąca w oknie i wzięła ją w drugą rękę. Wokół dymiącego knota był niewielki staw ciemnoszkarłatnego wosku. Wylała go na spodek ze swojej zastawy do podawania herbaty i odczekała chwilę, aż wosk trochę wystygnie. Przejrzała klucze Ichizo, wybrała ten, którym wielokrotnie otwierała drzwi do jej sypialni, po czym przycisnęła uważnie do jeszcze miękkiej, krwistoczerwonej masy.

Obejrzała się i obserwowała śpiącego, licząc jego oddechy, starannie wypierając wspomnienie uczucia towarzyszącego tym chwilom, gdy ją wypełniał. Wspomnienie kłamstw, które wyszeptywał w jej włosy po chwilach uniesienia. Fałszywych zalotów i miłosnych wyznań. Bajek o

tym, jak to będzie mu oficjalnie towarzyszyć na ceremonii ślubnej Hiro. Zapewnień o rychłym wyciszeniu wszelkich zarzutów wobec niej. Oczywiście zgrywała głupią i naiwną, udawała, że wierzy w każde jego słowo. Dziękowała mu w najbardziej oczywisty sposób, po jaki mogłaby sięgnąć zhańbiona dama dworu. Ale prawda była taka, że była wojowniczką. Jej łóże było polem bitwy, a jej ciało po prostu jedną z wielu broni w jej arsenale.

„Lotos musi płonąć”.

Wyjęła klucz z wosku i przyjrzała się krytycznie jego odciskowi. Wyraźne, głębokie linie, w zupełności wystarczające do wykonania kopii, do wyrwania jej z tego gniazda węży.

Wróciła bezgłośnie do materaca, nie spuszczać oczu z Ichizo. Przyklękła przy drzwiach i przesunęła spodek przez szparę pod nimi. Cichy szmer porcelany sunącej po wypolerowanej sosnowej desce. Wkrótce potem pod drzwiami pojawiła się wiadomość od Nikt.

„Klucz do twojej komnaty? Dlaczego nie pójdziesz teraz ze mną .

„Nie opuszczę pałacu bez Aishy. Czy to wystarczy?”.

Pełna napięcia chwila oczekiwania.

„Poproszę Akihito o wykonanie kopii”.

Michi obejrzała się przez ramię na mężczyznę śpiącego w jej łóżku.

„Spiesz się, Nikt. Sypiam z wężem, który wkrótce mnie ukąsi”.

Usłyszała, jak Nikt cicho wstaje. Lekkie stuknięcie sandałów, odgłos przesuwanego po podłodze naczynia nocnego. Oddalające się kroki, śpiew słowiczej podłogi. Znowu zwykła służąca wypełniająca swoje obowiązki. Ichizo zmarszczył brwi i wymamrotał coś przez sen. Michi wstała z szybkością muchy lotosowej, wsunęła węgiel do kieszeni i zaczęła klucze z powrotem na jego pasie wśród leżącego ubrania.

Następnie zsunęła kimono z ramion i wślizgnęła się z powrotem do łóżka, wsuwając swoje nagie ciało pod pościel. Poruszenie na materacu obudziło Ichizo. Gdy sędzia otworzył oczy i zamrugał, Michi błyskawicznie przyłgnęła do niego całym ciałem i przycisnęła wargi do jego ust. Między jednym pocałunkiem a drugim wyszeptwała jego imię, a jej dłonie powędrowały w dół.

Jeśli wcześniej się nie wybudził do końca, to teraz już na pewno był całkiem przytomny. I chociaż jego usta smakowały sake i cukrem, Michi wyobraziła sobie, że czuje ukrywający się pod tym jad, płynącą jego żyłami i występującą na język truciznę handlarzy chi.

„Chyba że ja ukąszę cię pierwsza...”.

Jej duch został wykuty w Daiyakawie, ale to w Iishi został zahartowany.

Chciała być wojownikiem, walczyć ramię w ramię z pozostałymi Kagé, gdy w końcu powstaną przeciwko szogunatowi. Ćwiczyła więc wytrwale; może nie była tak silna jak chłopcy, ale dużo od nich zwin- niejsza. Miecz w jej dłoniach był szybki niczym promienie słońca przenikające przez korony drzew. Ćwiczyła pod okiem senseia Ryusa- kiego aż do krwawienia palców. Ćwiczyła tak długo, aż miecz przestał być trzymanym w dłoni przedmiotem, ale stał się przedłużeniem jej ramienia. A potem ćwiczyła jeszcze więcej, aż nie można było powiedzieć, gdzie kończy się ramię, a zaczyna miecz.

Ale nie było jej pisane walczyć ze stalą w rękę pod płonącym niebem.

Kaori nalegała, bo doskonale się nadawała do tej roli. Była wystarczająco młoda, żeby wyzbyć się prowincjonalnych nawyków, a także wystarczająco ładna, by cieszyć się zainteresowaniem nudniejszej płci, ale jednocześnie nie na tyle piękna, żeby się nazbyt wyróżniać z tłumu. Zaczęli więc ją szkolić do walki na zupełnie innym polu bitwy, choć nie mniej krwawym od tego, po którym kroczyli Żelaźni Samurajowie i bushi. Było to pole bitwy wypolerowanej sośniny, trzepoczących wachlarzy i falujących zastłon z krwistoczerwonego jedwabiu.

Kaori została wychowana na dworze szoguna, wiedziała więc, na czym polega wychowanie „damy z towarzystwa”. I dlatego została nowym senseiem Michi. Godzina po godzinie, dzień po dniu. Muzyka, poezja, filozofia, taniec. Beznadziejnie nudna monotonia ceremonii parzenia herbaty, zawilosci dworskiej mody, elegancji, właściwej postawy, dykcji, mimiki. Po opanowaniu podstaw przyszedł czas na lekcje posługiwania się bronią. Insynuacje, rozsiewanie plotek, podsłuchiwanie, czytanie z ruchu warg, flirt, seks. A jeśli nawet myśl o tym wszystkim przerażała ją podczas

długich, samotnych nocnych wart, wystarczało, że pomyślała o bezgłowych ciałach krewniaków leżących na ulicy, o pustce w oczach wuja, gdy rozplątał sobie brzuch. Wtedy strach znikał bez śladu, stawał się jedynie słabością małej dziewczynki, która umarła w centrum wioski razem ze swoimi krewnymi.

– Pamiętaj – szeptała sama do siebie. – Pamiętaj Daiyakawę.

Przemycili ją do Yamy, skąd dostała się do Kigen. Zapłaciła mistrzowi tatuażu fortunę w żelazie za przerobienie jej irezumi. Jej ramię musiał zdobić rysunek godny dobrze urodzonej kobiety. Weszła w rolę jedynej żyjącej córki szlachetnej rodziny z klanu Tora. Jej najbliżsi krewni mieli zginąć w pożarze wznieconym przez bandytów Kagé. Przybyła do stolicy, aby błagać Pierwszą Córkę o łaskę, skoro Cienie zabrały wszystko, czym dotąd była. Gdy Michi opowiadała swoją historię pani Aishy, ta przyglądała się jej zwężonymi oczami kobry. Oceniała udawane łzy spływające po policzkach dziewczyny, drżącą dolną wargę. Aisha była jedynym sędzią podczas przesłuchaniu do roli w najbardziej niebezpiecznym spisku w całej Shimie.

Gdy Michi skończyła, siostra szoguna się uśmiechnęła.

– Jesteś doskonała – stwierdziła.



21.

SIECI I PAJĄKI

Buntownicza, zdrajczyni, służąca, siostra, bezklanowiec, Kagé. Nic. Nikt.

Z każdym dniem granica między tym, kim Hana była, a tym, kim chciała być, ulegała coraz większemu zatarciu. O świcie i o zmroku zmieniała maskę, tak jak wąż zrzuca skórę. Jedną osobowość odrzucała w ką i przywdziewała nową, licząc, że wciąż będzie pasować.

Nigdy dotąd nie czuła się bardziej pełna życia.

Cały wieczór spędziła na krążeniu po korytarzach pałacu daimyo. Przygotowania do ślubu trwały w najlepsze: przyszykowano pokoje gościnne dla przywódców klanów Smoka i Feniksa oraz ich licznych świt. Nasłuchiwała klekotania pajęczych robotów, wypatrywała pałacowych bushich, innych służących i przełożonej służby z jej wypudrowaną, wiecznie skrzywioną twarzą. Stąpała ostrożnie z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w deski podłogi. Odgrywała rolę nędznej gnojarki, której nikt nie widział, nikt nie słyszał i na którą nikt nie zwracał uwagi.

Odliczała dni i godziny do momentu, w którym nie będzie już wyboru.

Za dnia dotrzyzymała towarzystwa Akihito. Olbrzym obserwował

ulicę ze swojego miejsca przy parapecie, ona siedziała na swoim łóżku. Rozmawiali o rewolucji, snuli wspaniałe wizje przyszłości i dyskutowali o swoich marzeniach. Był od niej co najmniej dziesięć lat starszy, nosił brzemień świata cięższe o całą dekadę, ale kiedy się śmiał, dźwięk ten rezonował w jej piersi. Gdy opowiadał o polowaniu na arashitorę, wierciła się z emocji na materacu. Przyglądała się, jak przekształca bloki gliny czy sosnowe klocki w małe arcydzieła, a Pani Słońce opromieniała profil jego twarzy, tak jakby nawet sama bogini go wielbiła. Gdy Hana rozmyślała o wszystkich chłopcach, których spotkała w swoim życiu, o tych wszystkich niezdarach i ich niedotrzymanych obietnicach, niezmiennie się zastanawiała, jakie jeszcze cuda Akihito byłby w stanie czynić swoimi zwinnymi dłońmi.

Spał w rogu pokoju, tak daleko od niej, jak się tylko dało. Za poduszkę służył mu zwinięty cienki koc. Gdy budziła się wieczorem, kiedy zachodziło słońce, jego nie było.

Przed dwoma dniami poprosiła Dakena, żeby poszedł za nim. Kierowała nią bardziej ciekawość niż obawa. Okazało się, że Akihito spędza całe dnie na rynku w cieniu Kamieni Ognia, tych słupów z pocerniałego kamienia przesiąkniętych smrodem palonych włosów. Wyjący wiatr zmiótł popioły w rozliczne zakamarki, tak jakby sam Fujin był zawstydzony widokiem ołtarza, przy którym Strażnicy Czystości z Gildii palili żywcem dzieci, ich zdaniem „nieczyste”. Miejsce, gdzie Czarny Lis Shimy zginał od kuli, gdzie Hana widziała na własne oko, jak tancerka burzy zabija szoguna Yoritomo.

Teraz plac rynkowy cały był założony drewnianymi, kamiennymi i glinianym tabliczkami duchów. Wieńce papierowych kwiatów szeleściły na śmierzącym wietrze. Setki imion wrytych przez setki dłoni: hołd dla mordowanych gaijinów, Czarnego Lisa, ojców i synów poległych w wojnie za morzem. Akihito czasem wykonywał nową tabliczkę i układał ją wśród pozostałych. Chociaż Daken nie potrafił odczytać wrytych na niej imion, Hana podejrzewała, że potrafiłaby je odgadnąć.

Gdy rano po pracy dotarła do domu, na swoim materacu znalazła zawiniątko opakowane w czarną bibułę przewiązaną wstążką z

najprawdziwszego jedwabiu. Gdy trzęsącymi palcami rozpakowała tajemniczy podarunek, jej oczom ukazały się nowe ubranie uszyte z miękkiego, ciemnego materiału, para solidnych sandałów, grzebień z jadeitu z kopalń Kitsune, kredka z węgla do podkreślania oka, butelka czarnej farby i garść monet. Na samym dnie pakunku znalazła niewielką kartkę zapisaną koślawymi znakami, które zawsze rozpoznałyby bez trudu.

„Kocham cię, siostró ma”.

Poszła do pokoju Yoshiego, ale łóżko zastała puste, chociaż pościel była jeszcze ciepła. Gdy kilka minut później opuściła budynek i wyszła na zatruty jesienny wiatr, w ponury mrok opustoszałych ulic, jej twarz wciąż rozjaśniał uśmiech. Daken szedł przy niej krok w krok. Jego myśli odbijały się w jej głowie przyjemnym mručeniem. Ściany budynków były poznaczone ciemnymi plamami spalin. W gęstniejącym mroku majaczyli tylko chorzy na czarnopłuco żebracy kiwający się rytmicznie przy pustych miskach na jałmużnę. Weszła do narożnej łaźni, wręczyła staruszce ziewającej za ladą miedziane kouka i usiadła na ławce w poczekalni.

...znowu kąpiel?...

„Jak to znowu? Ostatni raz kąpałam się dwa tygodnie temu”.

...no i?...

„No i śmierdzą jak odbył oniego”.

...całe miasto śmierdzi, czyści ludzie zwracają na siebie uwagę...

„Mam nadzieję, że masz rację”.

Staruszka dała jej znać kiwnięciem głowy, że jej kąpiel jest gotowa. Hana weszła do sali łaźiebnej. Daken czatował na dachu po drugiej stronie ulicy. Szeroka drewniana wanna czekała wypełniona gorącą wodą, a w pomieszczeniu było wręcz duszno od unoszącej się pary. Hana zdjęła brudne ubranie i przyjrzała się sobie krytycznie w zaparowanym lustrze. Chuda jak szczapa, z wyraźnie widocznymi wszystkimi żebrami, a do tego z długimi rękami i nogami. Pierś płaska jak deska, cienka szyja, na niej mały amulet na skórzanym rzemieniu. Złoty owal ozdobiony stojącym dęba jeleniem lśnił w świetle świec. Trzy

małeńkie rogi zwierzęcia miały kształt młodego księżyca. Yoshi nigdy nie pozwolił jej go sprzedać, nawet gdy przymierali głodem i nie mieli żadnych widoków na przyszłość. Wisiorek dostała od matki. Gdy zawiązywała rzemień na szyi Hany w jej dziesiąte urodziny, piękne niebieskie oczy promieniały matczyną miłością.

Powiedziała wtedy: „Noś go z dumą”.

Tylko to im po niej zostało.

Usiadła na brzegu wanny i nałożyła farbę na włosy. Czarny płyn skapywał na podłogę, tworząc małe kałuże na posadzce. Hana przyjrzała się nowym ubraniom, które dostała od Yoshiego. Na pierwszy rzut oka było widać, że wyszły spod ręki wprawnego krawca. Same sandały musiały kosztować z dwie żelazne monety. Dopadły ją czarne myśli: zastanawiała się, skąd jej brat wziął tyle pieniędzy. A raczej komu w spowitym ciemnością mieście ich teraz brakowało.

Oczywiście zapytała Dakena, ale w odpowiedzi kocur tylko zaczął pracować swoim szorstkim jęzorem między tylnymi łapami, udając, że nie słyszał pytania. Chociaż to Hana wychowała kocura, chociaż każdego dnia spał obok niej, to Yoshi wyłowił kilka lat temu zawodzącą, całkowicie przemoczoną kupkę futra z kanału burzowego. Kociak był na skraju śmierci, pogryziony przez szczury, bez uszu, z okaleczonym ogonem. Jakimś cudem zdołał uciec z jednej z ostatnich restauracji, które miały dość pieniędzy na inkubatory z filtrami powietrza, bez których każdy koci miot dusił się w ciężkich, cuchnących miazmatach Kigen. Od tamtego czasu między Dakenem a Yoshim wykształciła się pewna dziwna więź, nie przeszkadzało im to jednak ciągle drwić z siebie nawzajem, żeby nie wspomnieć już o kocich odchodach, które jej brat regularnie znajdował w swojej pościeli. Hana podejrzewała, że tak muszą wyglądać stosunki między kochającymi się braćmi. Braterska miłość ukryta pod powłoką szorstkości, okrutnych dowcipów i obojętności.

Honorowy dług przemoczonej kulki miauczącego futra.

Hana nie naciskała więc i pozwalała kocurowi i jej bratu zachować swoje tajemnice. Wiedziała, że pewnej nocy może się dowiedzieć w niezbyt przyjemny sposób, skąd pochodzą te pieniądze. Ale przez co

najmniej kilka najbliższych dni miała większe zmartwienia na głowie.

Gdy pół godziny później szła ulicami dzielnicy rafinerijnej skąpanymi w mroku ostatnich minut nocy, zobaczyła go opartego o pozbawioną drzwi framugę. Stał otoczony kruszejącymi kamieniami ścian i zabitymi deskami oknami opuszczonej garbarni. Wyglądał jak żywcem wyjęty z obrazu ulicznego malarza.

– No, no – powiedział Akihito z uśmiechem. – Prawie cię nie poznałem.

– Dzień kąpieli. – Hana wzruszyła ramionami. – Nowe ubrania.

– Ładnie wyglądasz – powiedział, przeczesując wzrokiem ulicę za jej plecami.

Dziewczyna uśmiechnęła się, usiłując uspokoić trzepoczące z zachwytu serce.

– Udało mi się porozmawiać z Michi. Opracowała plan wydostania się z zamknięcia.

Akihito pokiwał głową.

– Opowiesz mi o tym, gdy wrócimy do twojego mieszkania.

Daken podszedł do olbrzyma i otarł się o jego nogi, głośno mrucząc. Akihito schylił się z uśmiechem i podrapał kocura za pokierszowanymi uszami.

– Wiesz, on zazwyczaj nienawidzi ludzi – zauważyła Hana. – Ostatni obcy, który próbował go pogłaskać, odskoczył z otwartą raną od łokcia po nadgarstek. Ale do ciebie lgnie jak ćpun do fajki.

– Cóż, my, łowcy, musimy się trzymać razem.

Hana przyglądała się, jak Daken ocierał się łbem o dłoń Akihito, mrucząc przymilnie z przymkniętymi oczami.

„Bogowie, ależ z ciebie sprzedajna łajza”.

...ma przyjemne dłonie...

„Nie drażnij się ze mną”.

...taka moja rola...

– W porządku. – Hana skinęła głową. – Idziemy?

– Hai. – Wyprostował się i naciągnął kapelusz na oczy. – Skrzynka kontaktowa jest pusta, ale w okolicy wciąż mogą się kręcić bushi. Miej

więc oczy otwarte... – Akihito urwał, gdy jego spojrzenie padło na skórzaną przepaskę na jej oku.

Jego policzki oblał rumieniec.

Uśmiechnęła się lekko na widok jego zmieszania. Mamrotał coś pod nosem, gładząc dłonią warkoczyki na głowie. Wyglądał słodko jak uczeń.

– O bogowie, przepraszam – powiedział. – Wiesz, o co mi chodziło...

– Wiem, o co ci chodziło, Akihito-san. Nic się nie stało.

Ukradkowy uśmiech ukryty za jej nową chustką.

„W końcu mam ich setki”.

Przekradali się przez ciemny, pogmatwany labirynt uliczek Dołu. Akihito kuśtykał przodem, Hana szła tuż za nim. Dni robiły się coraz chłodniejsze, noc trwała coraz dłużej. Każdego popołudnia, gdy Pani Słońce udawała się na spoczynek, mieszkańcy Kigen spieszyli do swoich domów w obawie przed godziną policyjną, jak gdyby pięty podgryzała im wataha wygłodniałych wilków. Od ścian odbijało się echo odległych kroków bushich. Niegdyś wiecznie zatłoczone ulice miasta były teraz równie puste co jego tron. Za zamkniętymi drzwiami lud Kigen spoglądał w stronę pałacu przycupniętego na wzgórzu i szeptał. Albo spiskował. Albo się modlił.

Przez całą drogę trzymali się najgłębszych cieni. Teraz to dziewczyna szła przodem, stawiając kroki ciche jak szept. Smród Zatoki Kigen wypełzał z podbrzusza miasta od strony syczącej i stukającej rafinerii, której wyziewy dławily blask odległych gwiazd. Wzdłuż ulic stały latarnie zasilane chi: maleńkie płomyki tańczyły na palnikach w kształcie kwiatów lotosu. Minał ich sunący na gumowych kołach rozgłaszacz Gildii. Wyglądał jak niski, pozbawiony twarzy mężczyzna z nitowanej blachy. Wzdłuż środka pleców wystawały rury wydechowe. Do pokracznie małych dłoni przymocowane były dzwonki.

Dym snujący się za mechanoidem podrażnił gardło Akihito. Smród przywiódł mu na myśl fajkę Masaru. Przed oczami stanęły mu

poplamione palce i rozjaśnione śmiechem oczy jego przyjaciela.

„Nie powinienes być ich nigdy opuszczać”.

Spojrzał w dół na swoją nogę. Tępy ból niezagojonej rany odzywał się za każdym razem, gdy jego prawa stopa opierała się na bruku. W jego pamięci trwał wypalony obraz Masaru kucającego w swojej celi, z czerwonymi dłońmi i ustami oraz Kasumi leżącej pod ścianą w powiększającej się kałuży krwi. Pamiętał, jak na jej usta występowały czerwone bąbelki śliny, gdy zwracała się do niego po raz ostatni.

„Walcz innego dnia, ty wielka niezguło”.

Nigdy więcej nie widział ich już żywych.

Cóż, przynajmniej Yukiko zabrała ciało Masaru ze sobą, gdy odleciała na północ. Chociaż on doczekał się należytego pogrzebu. Ale czy psy szoguna spaliły odpowiednie ofiary dla Enma-ó za Kasumi? Czy pomazały jej twarz popiołem, tak jak nakazywała Księga Dziesięciu Tysięcy Dni? Czy też zwyczajnie cisnęli ciało w jakiś zawilgocony zaułek truposzczurom na pożarcie? Czy Sędzia Dziewięciu Piekieł sprawiedliwie osądził życie Kasumi, skoro nikt nie odprawił w jej imieniu żadnych rytuałów? Czy tabliczki duchów, które Akihito kładł na rynku, wystarczą, aby jej dusza przeszła do zaświatów?

„Niech mnie otchłań pochłonie za moje tchórzostwo. Powinienem być zginać wraz z nimi. Jeśli ona trafiła do Yomi, gdzie po wsze czasy będzie się snuła jako wygłodniały duch, przynajmniej byłbym teraz przy niej. Przynajmniej nie byłaby sama”.

Hana ścisnęła jego dłoń, wyrrywając go z ponurych rozmyślań i przywołując z powrotem na jeszcze mroczniejsze ulice Kigen. Wepchnęła go do wąskiego zaułka między niemiłosiernie brudnym sklepem z ubraniami a niewielką świątynią. Chwilę potem wślizgnęła się za nim i przycisnęła się do jego ramienia, oddychając miarowo i bezszelestnie.

– O co chodzi? – zapytał.

– Psst! – syknęła, przyciskając palec do ust.

Akihito zmarszczył brwi, ale nie odezwał się ani słowem. Dziewczyna była zwrócona twarzą do ściany. Zdrowe oko wywracało się białkiem do

góry, rzęsy trzepotały intensywnie. Usłyszał stukot ciężkich żelaznych butów na bruku. Wyrzwał ukradkiem na ulicę i dostrzegł dwóch bushich w krwistoczerwonych tunikach wyłaniających się z zaułka kilka budynków dalej. Popychali przed sobą młodą kobietę.

Mówili cicho. Przez jęki i szcęknięcie rafinerii przebiwały się tylko strzępy rozmowy. Serce Akihito przyspieszyło. Jeden z bushich ponownie popchnął dziewczynę. Była drobna, ładna. Prawą dłoń trzymała kurczowo zaciśniętą na zebranych pod szyją połach kimona o kroju typowym dla służby. Po jej policzkach spływały łzy, rozmywając ciemne kreski podkreślające czerwone od długiego płaczu oczy. Włosy miała w całkowitym nieładzie.

– No, zmykaj. – Bushi kończył wiązać swoje obi, trzymając okutą pałkę pod pachą. – Tu już cię więcej przyjemności nie spotka. Twój pan powinien mieć więcej oleju w głowie i nie wysyłać cię do Dołu przed świtem.

Dziewczyna odbiegła w stronę rezydencji Góry na zboczach wzgórza, cały czas zalewając się łzami. Drugi żołnierz krzyknął jeszcze za nią:

– Jak cię jeszcze raz złapiemy pałętającą się tu po zmroku, nie będziemy już tacy mili!

Gdy biegnąca w podartym ubraniu, łkająca i sponiewierana służąca minęła ich kryjówkę, Akihito zerknął na Hanę, napotykalając jej zdrowe oko. Dziewczyna wzruszyła ramionami, jakby nic się nie stało. Na twarz przywołała maskę obojętności wyuczoną w trakcie życia na samym dnie społeczeństwa. Czujnemu spojrzeniu Akihito nie umknęły jednak zaciśnięta mocno szczęka i drżące pięści.

Bushi ruszyli w dół ulicy, rozmawiając między sobą i chichocząc co chwilę. Minęli ich, nawet na chwilę nie spoglądając w bok. Gdy odgłosy ich kroków i chropawych głosów stały się cichsze od szeptu, Hana skinęła na Akihito i oboje ruszyli dalej przez spowite mrokiem miasto.

– Skąd wiedziałas, że tam są? – zapytał olbrzym, rzucając okiem na zaułek, którego tamta służąca już nigdy nie zapomni.

W półmroku dostrzegł świecące oczy truposzczurów siedzących na wysokich po kolana stosach śmieci. Jeden z gryzoni po- węszył w

powietrzu i obnażył żółte sztylety osadzone w czarnych dżiastach.

– Usłyszałam ich – odpowiedziała cicho Hana, nie oglądając się na niego.

– Ciekawe, że ja nie.

– Spróbuj stracić oko. Zobaczysz, jak bardzo poprawi ci się słuch.

Przemykali przez snujące się ulicami opary, kilkakrotnie zatrzymując się na znak dany przez Hanę i kryjąc się w wąskich zaułkach, aby uniknąć dostrzeżenia przez patrole bushich lub przetaczające się po niebie lotostatki. Żołnierze przemierzali ulice prawie losowo, ale Hana zawsze słyszała ich kroki z wyprzedzeniem i wciągała Akihito do ukrycia z cichym ostrzegawczym syknięciem. Poruszała się jak ryba w wodzie. Gdy bushi się zbliżali, zastygła jak kamień, wtapiając się doskonale w otoczenie. Było to niesamowite i niepokojące.

Kiedy zbliżyli się do skrzynki kontaktowej, wepchnęła go do niszy w ścianie piekarni, pod splekane markizy przy oknach wystawowych z przydymionego szkła. Sama wcisnęła się obok niego i wbiła wzrok w przestrzeń. I tym razem jej powieka zatrzepotała niczym chorągiewka na wietrze, a źrenica uciekła do góry. Nad ich głowami Daken przeskoczył z dachu na dach z gracją zupełnie niepasującą do jego wyglądu.

Akihito wspomniął Masaru i tropienie ostatnich potworów Shimy w dawno minionych czasach, w towarzystwie senseia Rikkimaru i Kasumi. Olbrzym widział swojego przyjaciela, tak jakby stał tuż obok, a te wszystkie wspaniałe łowy odbyły się ledwie wczoraj. Cisowy łuk napięty w nieruchomych jak kamień dłoniach, strzała gotowa do lotu, oczy Czarnego Lisa uciekające do wnętrza głowy.

Nigdy nie chybił.

Gdy teraz patrzył na tę chuderlawą dziewczynę z głową przechyloną na bladej, smukłej szyi, z okiem wywróconym białkiem do góry, wiedział. Wiedział, dlaczego kocur trzyma się jej i jej brata niczym żelazo magnetytu. Dlaczego szczury nigdy nie piszczały, gdy się do nich zbliżali. Dlaczego tak bardzo przypominała mu Yukiko.

Wiedział doskonale.

– Musimy zaczekać. – Hana ściągnęła na chwilę chustkę z twarzy, żeby

splunąć na bruk. – Przed nami jest więcej bushich.

Akihito kiwnął głową.

– Skoro tak mówisz, mała lisiczko.

– Mała lisiczko? – Uśmiechnęła się krzywo. – Nie jestem Kitsune.

– Cóż, przypominasz mi kilka osób, które znałem. Poruszasz się jak one i na bogów, jesteś wystarczająco blada, żeby pochodzić z klanu Lisa. Nawet my z klanu Feniksa mamy ciemniejszą skórę. – Stuknął ją palcem w brodę, wywołując kolejny uśmiech. – A ty jesteś biała jak śnieg w Iishi.

– Moja rodzina mieszkała na ziemiach Kitsune. – Wzruszyła ramionami. – Pewnie mam w sobie trochę lisiej krwi, gdzieś w którymś pokoleniu.

– Twój ojciec też był nisko urodzony?

– Żołnierz – przytaknęła. – Walczył z gaijinami w Morchebie. – Wyjrzała na ulicę, skrzywiła się i dodała pod nosem: – Tutaj też z nimi walczył...

Akihito zmarszczył brwi, niepewny prawdziwego znaczenia słów dziewczyny.

– Kiedy przybyliście do Kigen?

– Kiedy miałam dziesięć lat. Przylecieliśmy na statku kupieckim Kitsune. Lecieliśmy tak wysoko nad ziemią, że mogliśmy objąć wzrokiem prawie całą wyspę. – Twarz dziewczyny rozjaśniła się oświetlona promieniami słońca, które przebiły się przez zasnuwające niebo chmury. – Ludzie w dole wyglądali jak dziecięce zabawki. Nigdy tego nie zapomnę. Czego bym nie dała, żeby móc żyć w chmurach...

– Co się stało z twoimi rodzicami? – zapytał. – Gdzie są?

– Odeszli.

– Nie masz gdzieś jakiejś rodziny?

– Moją rodziną są Yoshi i Jurou. Jedyńą rodziną, jakiej potrzebuję. Czemu zresztą tak cię to interesuje?

– Cóż, ponieważ to zdecydowanie nie jest życie, jakie powinny wieść dzieci, ot co.

Nagle odwróciła się do niego ze stężałą twarzą i okiem tak zwężonym,

że niemal zamkniętym.

– Dzieci? – zapytała z niedowierzaniem. – Masz mnie więc za dziecko?

– Cóż...

– Czy wiesz, Akihito-san, co trzeba robić, żeby przeżyć w rynsztoku Shimy? – Mówiła teraz twardym i zimnym jak gład głosem. – Czy kiedykolwiek musiałeś rozłupać komuś czaszkę dla ochłapu jedzenia czy skrawka suchej ziemi na nocleg? Czy kiedykolwiek patrzyłeś, jak twoje koleżanki sprzedają swoje ciała za drobne? Czy twoje życie kiedykolwiek było tak parszywe, że wynoszenie gówna z pałacu staje się namiastką rajy? – Rzuciła okiem w bok, na siedzących pod ścianami żebraków, na wszechobecny rozkład i plamy krwi. – Czy naprawdę sądzisz, że ktokolwiek tutaj zdołał pozostać dzieckiem?

– Nie chodziło mi o...

– Wiem, o co ci chodziło. Aha, zanim ponownie wżgardzisz tym, jak żyję, to pomyśl, jakbyś może jakimś cudem tego nie zauważył, że ty teraz też tak żyjesz, Akihito.

– Przepraszam.

– Nie znasz mnie – wycodziła Hana przez zaciśnięte zęby. – Nic o mnie nie wiesz. Nie wiesz, co widziałam, co musiałam robić.

Codziennie ryzykuję życie w pałacu, a dwie osoby, które kocham najbardziej na świecie, nawet o tym nie wiedzą. Gdybym nagle stanęła w ogniu, większość ludzi w tym mieście nie nasikałaby na mnie, żeby mnie ugasić. Ale mimo to robię to, co robię, bo tak trzeba. Bo nikt inny nie zrobi tego za mnie. Więc wal się i nie nazywaj mnie więcej pieprzonym dzieckiem...

Położył jej dłoń na ramieniu i ścisnął mocno, gdy próbowała się wywinąć. Przez materiał jej nowego ubrania wyczuwał zbyt chude ciało i zbyt kruche kości.

– Przepraszam, Hano.

Patrzyła na niego z zaciśniętą szczęką, bez słowa, bez mrugnięcia. Powiew wiatru przesunął kosmyk mokrych od potu włosów na jaśniejące w mroku oko, zbyt wielkie na jej wynędzniałej, bladej twarzy. Trwali tak w ciszy przez dobrą minutę. Akihito dostrzegął prawdę w jej

słowach. Stała mocno na nogach, mowa ciała zdradzała wewnętrzną determinację i nieustraszonego ducha. Zaciśnięte pięści przy bokach, napięte jak postronki mięśnie, harde spojrzenie. Nie zostało w niej nic z dziecka, którym kiedyś była; Kigen odarło ją z resztek dziecięcej niewinności. Po dłuższej chwili stania bez ruchu w migotliwym świetle lamp chi dziewczyna złagodniała, po czym kiwnęła zdecydowanie głową i wzięła głęboki oddech.

– Chodź – powiedziała, kiwając na niego palcem. – Bushi już poszli. Jeśli się pospieszymy, załatwimy, co trzeba, zanim wrócą.

Wyszła z cienia, stąpając po kamieniach bruku tak lekko, jakby jej ciało składało się z dymu. Akihito pokuśtykał za nią, trzymając się niskiego łuku niewielkiej arkady. Drzwi były zabarykadowane, wszystkie okna zabite deskami. Bruk pokrywały brązowe plamy niedawno zaschniętej krwi. W szparach między kamieniami błyszcząły kawałki potłuczonego szkła. Starali się jak najmniej rzucać w oczy. Akihito schylił się, krzywiąc się z bólu, i wyjął obluzowaną cegłę koło wlotu kanału burzowego. Hana stała na straży, trzepocząc intensywnie rzęsami.

Włożył dłoń do skrytki i pomacał wkoło. Puls mu gwałtownie przyspieszył, gdy natrafił w jednym z rogów na mały zwitek papieru. Wyjął wiadomość ze skrytki, rozwinął i szybko przebiegł wzrokiem. Adres, godzina, data. Jutrzejsza. Czyli jeszcze ktoś uratował się z kryjówki na ulicy Kuro i zdołał się skontaktować z komórką w górach Iishi. Co znaczyło, że gdzieś jest działające radio. Nie wszystko jeszcze było stracone.

„Bogom niech będą dzięki...”.

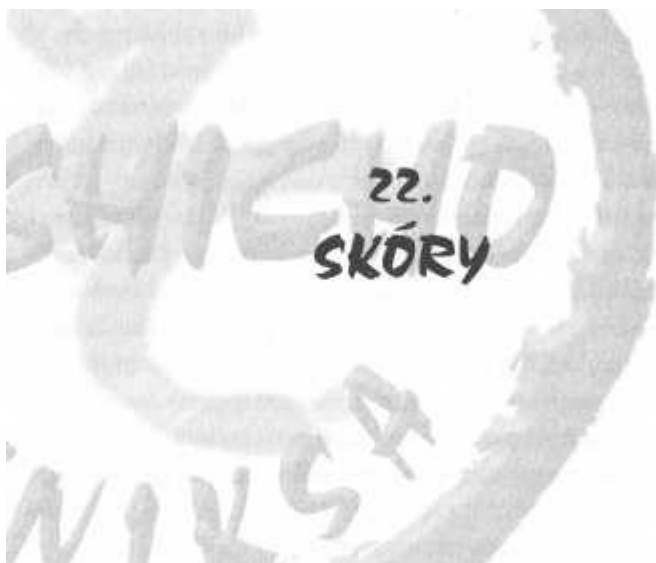
Zapamiętał adres, po czym włożył papier do ust, przeżuł szybko i połknął. Wsunął luzną cegłę na miejsce, wyprostował się z grymasem bólu na twarzy i skinął Hanie głową. Z góry dobiegł cichy szept miękkich łap. Spojrzał w tym kierunku i spostrzegł Dakena biegnącego po dachach w stronę mieszkania dziewczyny. Chwilę potem oboje podążyli za kocurem, trzymając się cienia. Pomimo nieznośnego bólu w nodze Akihito nie mógł pohamować uśmiechu.

– Dobre wieści? – zapytała szeptem Hana.

– Wieści – przytaknął. – Zawsze lepsze od ich braku. Powiem ci wszystko, jak będziemy bezpieczni.

Gdy dziewczyna i kulejący olbrzym zniknęli w mroku, chromowana kulka wielkości pięści powstała ze swojej kryjówki w rynnie dachowej. Osiem srebrzystych pajęczych nóg stuknęło cicho po dachówkach. Klucz do nakręcania obracał się powoli w korpusie. Jedyne świecące oko automatu odprowadzało spiskowców, jaśniejąc w zatrutym mroku.

Było krwistoczerwone.



Są sytuacje, gdy miska letniej brei może wydawać się najwspanialszym prezentem pod słońcem.

Poblížniony, ciemnowłosy gaijin siedział przy pryczy Yukiko i karmił ją czubatymi łyżkami gęstej papki z wodorostów, co chwila ocierając jej brodę ścierką. Po czterech dniach spędzonych na grzbiecie Buruu, w którym to czasie niemal nic nie jadła, nawet z jej nudnościami, z druzgocącym bólem głowy, z nieustannym strachem, że każda godzina spędzona w niewoli przybliży nieuchronnie wesele Hiro, ten nędzny posiłek wydawał jej się najwspanialszymi delicjami, jakich dane jej było skosztować w całym życiu.

Gdy mężczyzna spojrział na jej dłonie i dostrzegł, że paznokcie zrobiły się już fioletowe, poluzował nieco jej więzy – najpierw jeden, potem drugi. Przyglądała się mu, skacząc wzrokiem od insygniów na jego kołnierzu do tłoków i klamer na jego nodze. Przy pasie miał krótki nóż, zwój miedzianego drutu i szklane kulki wyglądające na kruche, które przywiodły jej na myśl miotacz żelaza Yoritomo. Kiedy wcześniej gaijin wszedł do pomieszczenia z jej posiłkiem, na ramiona miał zarzuconą zwierzęcą skórę. Jednak gdy tylko zamknął za sobą drzwi, zdjął ją i powiesił na kołku wystającym ze ściany. Przyjrzała się jej teraz: ciemne

futro, długi ogon sięgający podłogi. Yukiko pomyślała, że jeśli to skóra wilka, zdarto ją z osobnika większego od jakiegokolwiek, o jakim słyszała.

Od czasu do czasu huk gromu wstrząsał ścianami. W małym przeszklonym oknie osadzonym wysoko w ścianie nad nią błyskały błyskawice. Przy każdym uderzeniu pioruna żarówki w pomieszczeniu rozżarzały się mocniej, bucząc w oprawkach, a cały budynek wibrował.

„Łapią niebo...”.

– Piotr – odezwał się gaijin, wskazując siebie palcem. – Piotr.

– Yukiko – powiedziała, starając się wskazać siebie na tyle, na ile pozwalały jej więzy.

Piotr przesunął palcami po jej policzku; tym samym, w który ją wcześniej uderzył. Yukiko czuła, że rośnie jej tam siniak. Od jego dotyku przeszły ją ciarki.

Otworzył usta i chyba chciał powiedzieć coś jeszcze, ale wtedy na korytarzu zagrzmiały ciężkie kroki. Gaijin wstał z grymasem bólu i sykiem tłoków. Zdążył zdjąć skórę z kołka na ścianie i zarzucić na ramiona, kiedy w drzwiach stanął blond chłopak, który uratował jej życie.

Chłopak potknął się i wpadł do środka, jakby został popchnięty. Za nim w drzwiach pojawił się olbrzymi gaijin, równie wysoki i barczysty jak Akihito. Wyglądał na czterdzieści kilka lat. Gęsta broda była zapleciona w trzy warkocze. Rude, przyprószone siwizną na skroniach włosy nosił krótko przystryżone. Twarz miał ogorzałą, poznaczoną bliznami na brodzie, jednej brwi i policzkach. W dłoni trzymał długi cylindryczny przedmiot zawinięty w nieprzemakalny materiał. Jego gruba, ciemnoczerwona kurta była wysmarowana czarną, oleistą mazią. Insygnia na kołnierzu miał oblamowane postrzępioną złotą nicią. Na płaszcz zarzucił skórę jakiegoś olbrzymiego zwierzęcia o szczeciniastej sierści i przednich łapach wielkości ludzkiej głowy. Przypominała nieco skórę pandy, ale była cała rdzawobrazowa. Na czole nad bladobłękitnymi oczami gaijina znajdowały się duże gogle spawalnicze o ciemnych szklach lśniących tą samą barwą, co dziwne kształty

przymocowane do szerokich ramion mężczyzny.

Gdy Yukiko rozpoznała te przedmioty, serce zabiło jej mocniej ze strachu. Za naramienniki obcemu służyły mocno spłaszczone hełmy. Wciąż można jednak było rozpoznać mempó w kształcie wykrzywionych obliczy onich.

„Hełmy Żelaznych Samurajów. Co najmniej tuzin”.

Olbrzym nosił je najwyraźniej jako trofea.

Za nim stała pierwsza gaijińska kobieta, jaką Yukiko widziała. Jej sięgające bioder blond włosy były tak jasne, że niemal białe. Zaplotła je w liczne warkoczki przeplatane przewodami w izolacji. Kiedyś mogła pewnie nawet uchodzić za ładną, ale teraz jej twarz szpeciły symetryczne blizny. Po trzy na każdym policzku i cztery biegnące od dolnej wargi do podbródka. Te ostatnie były zygzakowate, przypominające błyskawice. Całe odzienie kobiety wykonane było z ciemnej skóry upstrzonej przewodami, tranzystorami, radiatorami i różnorodnymi częściami mechanizmów. Jej pierś, golenie i przedramiona pokrywały wypolerowane płytki z mosiądzu. Była niska, ale niedobór wzrostu nadrabiała dzięki wysokim, bardzo grubym gumowym obcasom olbrzymich butów. Wargi i długie paznokcie nie nosiły najmniejszego śladu barwnika. Jej ramiona zdobiły pozostałości owadzych hełmów, z oczami z czerwonego szkła i uciętymi przewodami oddechowymi zwisającymi z ust. Yukiko wszędzie by je rozpoznała.

„Hełmy lotosowców!”.

Wyglądało to tak, jakby odarła ich ciała z metalowej skóry i przywdziała ją jako własną.

Gaijinka weszła do pomieszczenia; jej ruchy były kocie i oszczędne. Przy każdym kroku różne elementy zdobiące jej ubiór wygrywały klekoczącą, pozbawioną duszy muzykę. Na ile Yukiko była w stanie to ocenić, kobieta zbliżała się do trzydziestki. Był to jednak tylko domysł, ponieważ oprócz licznych blizn na twarzy i dziwnego ubioru było w niej coś przejmująco obcego. Gaijinka przechyliła głowę na bok i wbiła wzrok w Yukiko. Wtedy dziewczyna spostrzegła, że jej oczy miały różną barwę. Jedno było czarne jak wody w Zatoce Kigen. Drugie dawało

dziwny różowy poblask. Świeciło w półmroku jak dławiony wzywami chi księżyc. Przemówiła niskim, śpiewnym głosem. Yukiko nie rozumiała ani jednego słowa.

Olbrzym w niedźwiedziej skórze wymamrotał coś w odpowiedzi i skinął głową z wyraźnym respektem.

Do pokoju wpadł pies. Miał osmalone rude futro i lśniące czerwone oczy. Wskoczył na łóżko, polizał Yukiko po twarzy, po czym wsadził nos w miskę z jej jedzeniem. Piotr wydarł się na niego, w wyniku czego pies błyskawicznie zeskoczył na podłogę i skulił się w kącie pomieszczenia.

Yukiko zebrała się w sobie, wzmacniając mur wokół jej umysłu, po czym wysłała maleńką część swojej jaśni do myśli psa.

„Cześć, Rudy”.

„to ty! dziewczyna!”.

Rozbłysk ostrego bólu, na szczęście do zniesienia.

„Czy to są twoi przyjaciele?”.

Rzucił ukradkowe spojrzenie na stojących przy drzwiach ludzi, którzy teraz rozmawiali ze sobą przyciszonymi głosami.

„chłopak tak mężczyźni nie zła pani nie”.

„Zła pani?”.

„kopie mnie”.

„Aha”.

„jestem dobry pies nie trzeba kopać”.

„Jestem pewna, że jesteś bardzo dobry”.

„a mężczyźni biją mojego chłopaka nie lubię tego chłopak mój jest mój chłopak a ja jestem dobry pies taki właśnie jestem”.

„Czy rozumiesz, o czym mówią?”.

Rudy przechylił łeb na bok i zamrugął.

„Nieważne...”.

Przy drzwiach Piotr perorował czerwony z przejęcia, co chwila wskazując Yukiko palcem i wykonując zdecydowane nieprzyjazne gesty, które najwyraźniej były wspólne dla ich kultur. Yukiko zakładała, że olbrzym z hełmami samurajów był kimś ważnym. Gdy się odzywał,

Piotr przerywał swój słowotok i uważnie słuchał. Kobieta w zdeformowanych skórach lotosowców tylko wpatrywała się w Yukiko bez słowa, z przechyloną na bok głową, bezwiednie wodząc paznokciem po jednym z hełmów na jej ramionach. Chłopak, który ją uratował przed utonięciem, stał oparty o ścianę i nie odzywał się ani słowem.

– Ona – powiedział ciemnowłosy mężczyzna. – Ładna dziewczyna.

Wszyscy gajjini wpatrywali się w Yukiko. Rudy łypał cały czas na miskę z jedzeniem, kombinując nieustannie, jak tu się do niej dostać i nie zarobić kopniaka. Ból w głowie dziewczyny pulsował, żołądek się skręcał, w ustach jej całkowicie zaschło. Czuli tylko niezni- kający słony posmak. Odnosiła wrażenie, że lada chwila zwymiotuje.

– Ja? – wykrztusiła.

– Dlaczego tu?

Dwaj gajjińscy mężczyźni stanęli przy jej łóżku. Kobieta tkwiła przy drzwiach z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, wykrzywiając blade wargi w zdawkowym uśmiechu. Chłopak odsunął się od niej ukradkiem i stanął pod przeciwległą ścianą.

Ciemnowłosy mężczyzna, który kazał na siebie mówić Piotr, przyciągnął sobie stołek, usiadł na nim i z grymasem bólu wyprostował swoją okaleczoną nogę. Tłoki zasyczały, stawy zaskrzypiały pomimo czarnego smaru pokrywającego metal grubą warstwą. Gdy nachylił się do niej, poczuła od niego słoną wodę, przetrawiony alkohol, jakieś chemikalia i tłusty dym. Zdrowe oko miał całkowicie przekrwione.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Yukiko.

Mężczyzna zamrugał zdumiony.

– Ja zadawać pytanie.

– Yukiko. – Dziewczyna wskazała siebie na tyle, na ile pozwalały jej skrępowane przeguby. – Piotr. – Wskazała mężczyznę. – Oni? – Skinęła głową w stronę pozostałych.

Mężczyzna tylko warknął i nie odpowiedział.

– Ilja – odezwał się blond chłopak, wydychając chmurę dymu. Następnie wskazał wielkiego gajjina z samurajskimi hełmami. – Danił. – Na koniec skierował palec na kobietę. – Katja.

Piotr warknął coś w ichnim języku. Olbrzym zaryczał, zrobił krok do przodu i uderzył chłopaka w twarz otwartą dłonią tak mocno, że dymiący rulon papieru wyrwał się spomiędzy zębów blondyna i poleciał pod ścianę w deszczu iskier. Wypowiadane słowa były bardzo twarde, niemal wzbudzały w Yukiko strach. Dziewczyna poczuła, jak ból w jej skroniach narasta. Kobieta wpatrywała się w nią intensywnie, z przechyloną na bok głową, kiwając biodrami, tak jakby tańczyła do niesłyszalnej muzyki.

– Dlaczego ona tu? – Ciemnowłosa mężczyzna szturchnął Yukiko palcem w pierś, przyciągając na powrót jej uwagę do siebie.

Dziewczyna wykręciła się od jego dotyku z odrazą.

– Spadłam z mojego tygrysa gromu, jeśli was to jakkolwiek obchodzi.

Mężczyzna zamrugał.

– Tygrys gromu. – Spróbowała zamachać skrępowanymi rękami, naśladując ruch skrzydeł. – Arashitora.

– Grifon – powiedziała kobieta dziwnym, pożądlivym głosem.

Piotr wydał z siebie pytający odgłos i obejrzał się na nią. Kobieta odezwała się ponownie, wskazując w górę. Danił zadał jej pytanie, wyraźnie zdziwiony, unosząc wysoko brwi. Kobieta kiwnęła głową i wyszeptwała kilka całkowicie niezrozumiałych, gardłowych słów.

– Ona wąż? – Piotr wbił nieprzyjazne spojrzenie w Yukiko.

– Wąż? – zapytała, krzywiąc się.

– Ona wąż dla miły!

– O czym ty, do wszystkich piekieł, mówisz?

– Przychodzi tu. – Piotr wskazał palcem podłogę, z każdą chwilą kipiąc coraz większą złością. – Słowa dla Shima zabierać, da? Wąż. – Pstryknął palcami. – Szpieg! Ona szpieg!

– Nie jestem żadnym przeklętym szpiegiem – warknęła Yukiko, unosząc się na łokciach, czując na policzku płonąca bólem pamiątkę po uderzeniu. – Nie chciałam w ogóle tu przybywać, ty szalony okrągłooki draniu. Przyleciałam tu na grzbiecie bałwana, który myślał penisem zamiast mózgiem.

Piotr wyglądał na całkiem skolowanego.

- Penis! - Yukiko wskazała krocze mężczyzny. - Wasza druga głowa! Ta, za pomocą której myślicie przez większość waszych pieprzonych żyć!

Piotr zasłonił oburącz swoją pachwinę i odsunął stołek o kilka stóp od pryczy, na której leżała dziewczyna. Katja się zaśmiała i klasnęła w dłonie, jakby ta scena ją rozbawiła. Yukiko dostrzegła, że wszystkie zęby miała spiłowane jak ząbki na ostrzu piły. Nawet chłopak się uśmiechnął pomimo czerwonego odcisku dłoni na policzku. Piotr mamrotał coś pod nosem niezadowolonym tonem i pokręcił głową. W pomieszczeniu zapanował ogólny zamęt. Uciął go dopiero donośny ryk Daniła.

Piotr spojrział ponownie na dziewczynę. Zmarszczył czoło i szukał w skupieniu właściwych słów.

- Bestia - odezwał się po chwili. - Grifon.

Zamachał rękami po bokach, po czym wskazał sufit.

- Arashitora - odparła Yukiko.

Piotr skinął głową.

- Gdzie być? Gdzie?

Yukiko zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, gdzie on jest.

- Nie żyć? - Piotr zamknął oczy i skrzyżował ręce na piersi. - Jest nie żyć?

- Ja... - Głos się jej załamał; odchrząknęła. - Nie wiem.

- Zawołać? - Piotr włożył palce w usta i gwizdnął przenikliwie. - Zawołać go?

- Na jaja Izanagiego, to nie jest pies. - Powiodła spojrzeniem po wszystkich zebranych, czując wzbierający w piersi gniew. - I możecie mi wierzyć, że ściągnięcie go tu jest ostatnią rzeczą, jakiej chcecie. Rozszarpałby tę waszą blaszaną puszkę na strzępy. Moglibyście sobie dokładnie obejrzeć swoje wnętrzności.

Piotr pokręcił głową i zwrócił się przepaszającym tonem do Daniła. Kobieta wzruszyła ramionami i przemówiła do mężczyzn jak do dzieci. Olbrzym pokiwał głową z ciężkim westchnięciem. Uniósł trzymany w dłoni cylindryczny przedmiot, odwinął go z materiału i oczom zdumionej Yukiko ukazała się jej katana. Lakowana pochwa lśniła w

świetle żarówek.

– Yofun – wyszeptła.

Sądziła, że zgubiła miecz w oceanie.

– To moje, ty draniu – syknęła.

Piotr chyba przetłumaczył jej słowa olbrzymowi. Danił dobył katany z pochwy. Wielokrotnie skuwana stal zaśpiewała czysto, dźwięk odciął się wyraźnie na tle przytłumionych odgłosów szalejącego sztormu. Uniósł ostrze do oczu i przekręcił je lekko, przyglądając się odbłaskom światła na wypolerowanym metalu. Mruknął z zadowoleniem i spojrzał na Yukiko.

– Szpieg – powiedział.

– Nie. – Yukiko zazgrzytała zębami. – Nie jestem szpiegiem.

Danił opuścił ostrze bardzo powoli, celując czubkiem w gardło dziewczyny. Przełknęła ślinę, starając się zapanować nad narastającym strachem, stłumiła tętniący u podstawy czaszki ból, wyciszyła łomot świata czyhającego na nią poza jej głową. Spojrzała gajjin- nowi prosto w oczy, bez mrugnienia, bez strachu.

Danił powiedział coś do Piotra ostrym, rozkazującym tonem.

– Jakiej duszy ty ślubować? – zapytał Piotr.

– Duszy? – Yukiko potrząsnęła lekko obolałą głową, nie spuszczając wzroku z Daniła. – O czym ty, do wszystkich piekieł, mówisz?

– Nazywać. – Mężczyzna poklepał się po swoim prawym ramieniu. – Nazywać się!

– Już ci mówiłam, że mam na imię Yukiko!

Danił warknął gardłowo i wymamrotał jedno słowo. Piotr nachylił się i chwycił Yukiko za kołnierz, wciąż wilgotny od morskiej wody.

– Przepraszać – powiedział, spoglądając jej w oczy. – Żal cię.

– Co...

Gajjin rozwarł poły jej uwagi na boki i ściągnął je w dół, całkowicie odsłaniając jej ramiona i piersi. Słowa Yukiko złąły się w jednolity krzyk wściekłości. Rzuciła się na pryczy, krew napłynęła jej do twarzy. Wyzywała ich, pluła, ciskała się w bezsilnej furii, tym pięknym, wspaniałym gniewie powracającym na skrzydłach zemsty. Naprężone

jak kable żyły wyszły na wierzch jej szyi, więzy wpiły się głęboko w ciało. Wymyślała im od tchórzy, wrzeszczała, warczała, zarzekała się, że jeżeli choć się do niej zbliżą, skopie im głowy na drugą stronę, wyłupi oczy i rozszarpie gardła ich własnymi zębami.

Katja nabrała gwałtownie powietrza, cała stężała i wpatrywała się w tatuaż Yukiko. Bez słowa obróciła się na pięcie i wyszła na korytarz. Chłopak, Ilja, spłonął rumieńcem i wbił wzrok w podłogę, starając się nie patrzeć na jej obnażone ciało. Piotr obejrzał się na swojego przywódcę, ale jego wzrok nieustannie dryfował w stronę piersi dziewczyny.

Danił powoli obniżył ostrze katany, aż jego czubek dotknął skóry Yukiko. Dziewczyna przestała się rzucać, ale patrzyła hardo spomiędzy zmrużonych powiek, dysząc z sykiem przez zaciśnięte zęby pokryte bąbelkami śliny. Gaijin przytknął ostrze do jej gardła, po czym przesunął po nagim ramieniu, wzdłuż wijącego się wokół jej prawej ręki misternego tatuażu klanowego, lisa o dziewięciu ogonach. Nie potrafiła się zdobyć na zwrócenie się do Daichiego z prośbą o wypalenie również tego rysunku. To było wszystko, co jej pozostało po utraconej rodzinie. Wszystko, co pozostało z osoby, którą kiedyś była. Danił przemówił do Piotra i ten wstał, po czym wykuśtykał na korytarz. Młody blondyn rzucił Yukiko przepraszające spojrzenie i również opuścił pomieszczenie.

Wtedy olbrzym zwrócił się bezpośrednio do niej, wpatrując się lodowato błękitnymi oczami w tatuaż na jej ramieniu. Słowa były ledwo zrozumiałe, zniekształcone silnym, twardym akcentem. Przez głos przebijała taka nienawiść, że wręcz ściekała z jego języka na wargi i skapywała na podłogę.

– Kicune – warknął. – Samuraje.

Yukiko była przerażona. Leżała skrępowana, obnażona po pas, pod palącym spojrzeniem gaijina. Nikogo poza nimi nie było w pomieszczeniu. Znajdowała się tysiące mil od domu, nie było przy niej Buruu ani Kina, nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc...

Zwężiła oczy, poczuła wzbierające w niej Przenikanie, ból narastający w czaszce. Przypomniała sobie, jak Yoritomo upadł na bruk rynku,

krwawiąc z oczu. Czy będzie jednak wystarczająco silna bez pomocy ojca? Czy zdoła zrobić coś temu mężczyźnie, zanim on...

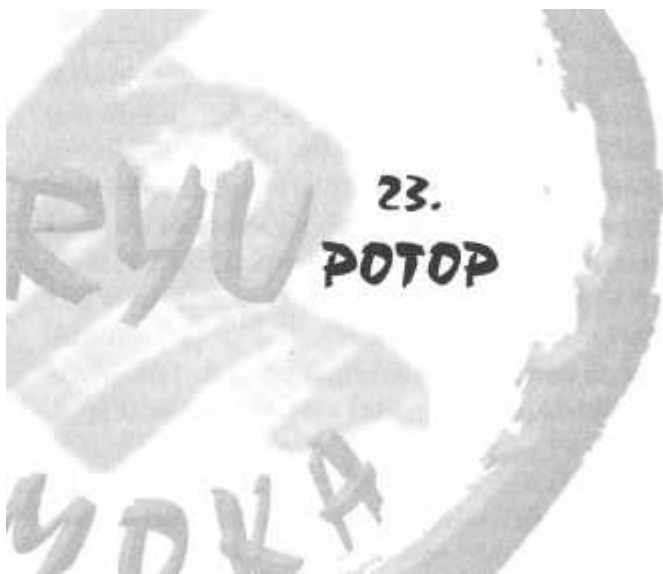
Danił zawył, wymamrotał coś niezrozumiałego, po czym schował jej katanę do pochwy i przymocował miecz do pasa. Wycofał się na korytarz i zatrzaskał drzwi za sobą, pozostawiając ją całkiem samą.

Yukiko oddychała głęboko, próbując uspokoić łomoczące w piersi serce. Usta miała wyschnięte na wiór.

„Sama...”.

Zamknęła oczy i leżała z twarzą zwróconą ku górze.

„Bogom niech będą dzięki...”.



W powietrzu unosiła się słodka leśna woń mięty i cedrów. Ciepło wypełniało go całego, skóra przyjemnie mrowiła. Leciutki powiew wiatru przenikał przez otwór wycięty w podłodze po to, aby przepuścić gruby konar drzewa wijący się przez całe pomieszczenie i znikający w suficie. Równie ważny element wystroju jak palenisko. Zza zamkniętych drewnianych okiennic dobiegał głuchy pomruk jesiennej burzy. Płomienie pełgały na poczerniałych polanach. Na czubku języka czuł słodki aromat dymu. Odetchnął głęboko, napawając się nim. Teraz rozumiał, dlaczego Daichi spędza ostatnio tyle czasu zamknięty w swoim domu.

„Tutaj jest tak cicho. Zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz człowieka”.

Przycisnął czoło do maty i czekał, aż starzec przemówi.

– Kin-san. – Głos Daichiego był suchy. – Witaj.

Kin uniósł głowę, wyprostował się i usiadł na piętach.

– Czy wiesz, że jesteś jednym z niewielu mieszkańców tej osady, którzy się tak do mnie zwracają? – zapytał.

– Z pewnością pod tym względem żaden z nas nie może mówić o jakimkolwiek zdziwieniu.

– O zdziwieniu nie. Może o rozczarowaniu.

Starzec upił łyk herbaty.

– Kin-san, czy naprawdę wierzysz, że paroma dziecięcymi zabawkami i kilkoma na wpół sprawnymi miotaczami shurikenów zyskasz ich przychyłność?

– Na wpół sprawnymi? – Kin starał się nie zdradzić w głosie urazy. – Linia obrony jest w pełni sprawna, Daichi-sama. Rozwiązałem wszystkie kłopoty z ciśnieniem, zakończyliśmy próby obciążeniowe. Zaplanowałem na jutro pokaz dla wszystkich mieszkańców wioski.

– Nawet jeśli te cacka z dziurką działają, czy sprawią, że ludzie zapomną, kim byłeś? Czym byłeś?

– Każdy tutaj był kiedyś kimś innym. Dlaczego ja tak nie mogę?

– Istotnie, dlaczego.

Kin westchnął i przygryzł wargę. Starzec upił kolejny łyk herbaty, cały czas spoglądając prosto w oczy chłopca.

– Grasz? – zapytał Daichi.

– Czy gram?

Daichi skinął głową w stronę stojącej na stole szachownicy. Zestaw był przepiękny, w całości wykonany z obsydianu i jadeitu. Każda figura została starannie wyrzeźbiona z wielką dbałością o detale. Czarne przedstawiały potwory z otchłani Yomi: wygłodniałych umarłych, szkieletowe smoki i onich. Na ich czele stali Enma-ó i pani Izanami zasiadająca na tronie zbudowanym z ludzkich czaszek. Jasne figury przedstawiały istoty niebiańskie: Raijin ze swoimi bębnami, Susano-ó z mieczem Trawosieczem¹, bogini słońca Amaterasu oraz Tsukiyomi, Ojciec Księżyc. Cesarzem był oczywiście pan Izanagi, Wielki Stwórca. Sama szachownica była wykonana z barwionego dębu i sosny. Jasne pola zostały wyłożone masą perłową. W rogu widniał wytłoczony znak

1 Trawosiecz, jap. *Kusanagi-no-tsurugi*, jeden z trzech świętych atrybutów władzy cesarskiej, wydobyty przez boga Susano-ö z ogona smoka Yamata-no-Orochiego (za: Jolanta Tubielewicz, *Mitologia Japonii*, Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe, Warszawa 1977, s. 50 i 65). Warto nadmienić, że w oryginalnych podaniach japońskich nazwa Trawosiecz została nadana mieczowi później i to nie przez boga Susano-ó, ale przez legendarnego bohatera Yamato Takeru, który posługiwał się tą bronią (tamże, s. 96). (przypr. tłum.).

rzemieślnika z klanu Feniksa.

– Jest piękna – zauważył Kin.

– Jedna z niewielu rzeczy, które zachowałem z mojego poprzedniego życia – wyjaśnił Daichi posępnym głosem. – Szachy, moje miecze, moja córka i moja skrucha.

– Kiedyś byłeś Żelaznym Samurajem.

– Ku mej wiecznej hańbie. – Starzec westchnął. – Nawet gdy zrzucimy naszą skórę, płamy naszej przeszłości będą wciąż sięgały głęboko aż do szpiku.

Kin wpatrywał się w milczeniu w szachownicę.

– A więc – odezwał się ponownie Daichi – grasz?

– Gram, chociaż niezbyt dobrze.

– Z każdej porażki można wyciągnąć naukę. – Daichi ukląkł przy stoliku z filiżanką w dłoni, drugą ręką wskazując Banowi miejsce naprzeciw siebie. – Czasem na całym świecie nie znajdziesz lepszego nauczyciela niż ciężki but na twoim gardle.

Kin wstał i ukląkł we wskazanym miejscu przy szachownicy. Spozrzegł, że Daichi wybrał ciemne figury, co go bardzo zdziwiło. Jadeitowe miały pierwszy ruch, więc Kin wykonał standardowe otwarcie pionem. Daichi odpowiedział błyskawicznie, niemal bez namysłu przestawiając czarny, szklisty pion zgrabiałą dłonią. Kolejne ruchy wykonywał bez wahania, oszczędnymi gestami dłoni, z kamiennym opanowaniem. Na pierwszy rzut oka widać było nawyki mistrza miecza. W ruchach jego ręki nie było znać wieku czy słabości, chociaż oznaki obu były aż nazbyt widoczne w jego ciele.

Grali w milczeniu, w niemal zupełnej ciszy przerywanej jedynie trzaskaniem ognia na cedrowych polanach, hymnem schyłku jesieni. Za każdym razem, gdy Kin unosił wzrok, Daichi wpatrywał się w skupieniu w szachownicę, całą uwagę poświęcając rozgrywce. Kin z rozważą planował każdy kolejny ruch, stopniowo przechodząc do ataku. Daichi odchrząkał, popijał herbatę i wykonywał ruchy pozornie bez namysłu. Kin szybko się jednak zorientował, że starzec był wytrawnym graczem. Pierwszy atak chłopca został odparty. Drugi zwińczyła druzgocąca

porażka. Riposta Daichiego skończyła się zagrożeniem panu Izanagiemu z trzech stron naraz.

Kin położył Wielkiego Stwórcę na szachownicy.

– Boisz się podjąć nawet najmniejsze ryzyko – zauważył Daichi, nalewając sobie herbatę z osmalonego czajnika stojącego przy palenisku.
– Bronisz się i atakujesz, jakbyś kłócił się z samym sobą.

Kin wzruszył ramionami.

– Taki mam po prostu styl gry.

Starzec podniósł cesarzową chłopaka, która przez całą partię stała niezagrożona w tylnym szeregu.

– Chronisz ją, jakby miała być twoim zbawieniem.

– Jest najsilniejszą figurą na planszy.

– Jest bezużyteczna, jeśli jej nie użyjesz, Kin-san.

– Ale utrata jej równa się przegranej.

– Bzdura. Tylko jedna figura się liczy. – Postukał palcem głowę swojego cesarza. – Cała reszta może iść na straty.

– Nie można wygrać partii, mając tylko cesarza.

– Jeśli odbierzesz przeciwnikowi wszystkie figury, wystarczy ci cesarz i jeden pion. Warto jest poświęcić prawie wszystko, jeśli w ten sposób pozostawisz wroga z niczym.

– Zwycięstwo za wszelką cenę?

– Wysoka stawka wymaga daleko idącego poświęcenia. W tej grze nie ma nagrody za drugie miejsce.

– Powiedziałeś, że z każdej porażki można wyciągnąć naukę.

– Owszem. – Daichi odchrząknął i skrzywił się z bólu. – Ale w końcu nadchodzi czas, kiedy cena za przegraną jest zbyt wysoka. Kiedy trzeba poświęcić wszystko w imię zwycięstwa.

Starzec zaniósł się długim kaszlem. Kolejne spazmy coraz silniej wstrząsały jego ramionami, dopóki nie uspokoił ich solidnym haustem herbaty. Gdy odzyskał oddech, splunął rzęsicie w ogień.

Gdy otarł usta wierzchem dłoni, serce na chwilę zamarło w piersi Kina, a strach zapuścił swoje zimne macki do jego żołądka.

Na palcach Daichiego pozostała lśniąca, czarna plama.

– O, nie... – jęknął Kin.

Daichi wpatrywał się dłuższą chwilę w maż na swojej dłoni. Jedynymi odgłosami zakłócającymi ciszę były trzaskanie ognia i miarowy oddech starca.

– A potrafi też nadejść czas, kiedy nie masz już czasu na nic – wymamrotał.

– Masz czarnopłuco.

– Adekwatny koniec. – Daichi wzruszył ramionami. – Niewiele mógłbym wymienić bardziej stosownych.

– Od kiedy wiesz?

– Od niezbyt dawna. – Starzec pociągnął nosem. – Ale wystarczająco długo.

– Daichi, tak mi przykro...

– Niepotrzebnie. – Potarł dłonią blizny pooparzeniowe na ramieniu. – W pełni zasłużyłem na ten los.

– Czy Kaori wie?

– Nie. – Daichi wbił intensywne spojrzenie w Kina. – I od ciebie również się tego nie dowie.

– Nie sądzisz, że prędzej czy później sama się zorientuje?

– W odpowiednim czasie. – Wzruszył ramionami. – Z czasem wszystko stanie się równie klarowne jak krople deszczu w Iishi.

Kin przesunął dłonią po krótkich włosach porastających jego czaszkę od czoła aż po potylicę. Było mu niedobrze, żołądek miał niemiłosiernie skręcony i nie mógł przestać myśleć o losie, jaki czeka Daichiego. Nie był to koniec godny wojownika, bohatera. Przed oczami stanęli mu chorzy na czarnopłuco żebracy gnieźdzący się w rynsztokach Kigen. Nieszczęśnicy wypluwający własne płuca, z trzęsącymi się dłońmi wypełnionymi ciemną, wymieszaną z krwią flegmą.

Wiedział, jakie czyny Daichi miał na sumieniu. Wiedział, krew ilu ludzi płamiała jego ręce. Chłopi z Daiyakawy, ciężarna matka Yukiko... Ale nikt nie zasługiwał na taką śmierć.

Daichi upił kolejny łyk herbaty.

– Ale nie przyszedłeś tu grać w szachy.

Kin zamrugał.

– Nie, istotnie. Chciałem prosić o wypuszczenie Ayane z jej klatki.

– Dziewczyna lotosowców nie zrobiła niczego, żeby zasłużyć na nasze zaufanie. Uwolnienie jej byłoby niemądre.

– Jeśli się jej obawiacie, dlaczego nie przekażecie jej pod moją pieczę? Mogę zagwarantować...

– Osób darzących cię zaufaniem również jest wśród nas niewiele, Kin-san.

– Ale ty mi ufasz?

Starzec wytarł pokryte czarną wydzieliną palce o hakamę.

– Z każdym dniem trochę bardziej.

– Nie byłbyś więc spokojniejszy, wiedząc, że mam na nią oko przez cały czas?

– Dlaczego miałbym być? Ty byś był spokojniejszy?

Spojrzeni sobie w oczy nad pobojowiskiem pozostałym po druzgocącej porażce wojsk Kina. Cisza była ciężka jak kamień. Płomienie tańczące na palenisku odbijały się w oczach Daichiego podwójnym półksiężycem.

Wtedy Kin usłyszał miękkie kroki na podeście przed chatą, ciche skrzypienie desek. Ktoś lekko zapukał do drzwi, po czym uchylił je, wpuszczając do środka rozproszone światło dnia; wystarczająco jasne, żeby po tyłu kwadransach spędzonych w ciemnym pomieszczeniu razילו w oczy. Kaori weszła do pokoju, niemal bezgłośnie stawiając kroki. Grzywkę odgarnęła na bok i przycisnęła do skóry głowy paskiem odsuniętych na czoło gogli. Blizna lśniła wściekłą czerwienią na skórze koloru drewna tekowego.

– Ojczce, Ryusaki przesłał wiadomość. Są w pobliżu prowincji Jukai i...

– Urwała, gdy tylko jej wzrok przyzwyczyłał się do mroku i dostrzegła Kina klęczącego przy stoliku z szachownicą.

– Prowincji Jukai? – Kin zamrugał. – Masz na myśli teren Skazy? To tam wybierał się Ryusaki? Poligon Gildii jest...

Kaori wpatrywała się w niego bez słowa z otwartą wrogością. Jej dłoń spoczywała na rękojści wakizashi.

– W takim razie już sobie pójde. – Kin wstał, okrył pięść dłonią i się

skłonił.

– Gra z tobą była prawdziwą przyjemnością, Kin-san – powiedział Daichi, wskazując ruchem głowy szachownicę. – Jednak w następnej partii oczekuję, że będziesz odważniej atakował. Jutro?

– Z wielką chęcią.

Kin skłonił się płytko Kaori. Kobieta nawet nie mrugnęła. Odprowadziła go wzrokiem, tak jak drapieżny ptak obserwuje mysz polną przemykającą w cieniu wysokiej, pozółkłej trawy.

Wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się po osadzie. Mężczyźni ciągnęli upolowaną dziczyznę do rzeźni, kobiety naprawiały strzechę na dachach, dzieci z tabliczkami i kawałkami kredy w dłoniach siedziały półkołem wokół nauczyciela. Otaczające go ze wszech stron drzewa zdawały się płonąć. Liście chwiały się na wietrze niczym języki płomieni, wijąc się wokół suchych, łamliwych gałęzi, i co pewien czas opadały ku ziemi niczym gwiazdy spadające z pustego, czerwonego nieba.

Tyle ryzykowali. Tyle mieli do stracenia.

Kin zastanawiał się, czy Daichi naprawdę rzuciłby to wszystko na szalę, jeśli stawką byłoby ostateczne zwycięstwo.

Wspomnienie Przebudzenia wdarło się nieproszone do jego myśli. Setki świecących czerwonych oczu wpatrujących się w niego z większym uczuciem bijącym od każdej pozbawionej rysów twarzy, niż mieli dla niego wszyscy Kagé zebrani razem. Wspomnienie tamtego snu wypełniło jego wnętrze lodowatym strachem.

„Czy zdobędziesz się na to, gdy nadejdzie czas?”

Spokój nocy zakłócił dźwięk żelaznego dzwonu. Krzyk dźwięczący wśród drzew. Jedno słowo.

Kin otworzył oczy, przechylił głowę i wyteżył słuch.

–Oni!

Odległy krzyk, niemal niesłyszalny w morzu nocnych odgłosów i wśród nieustannych pomruków krążących po górach burz.

– Oni!

Kin stoczył się z łóżka, zerwał na równe nogi, wypadł za drzwi i ruszył pędem w stronę, z której dobiegały wołania. W oddali widział podskakujące ogniki latarń. Szmer licznych głosów stawał się coraz wyraźniejszy. Nieoheblowane deski pomostów linowych chwiały się pod jego bosymi stopami. Zeschłe liście spadały ku ziemi gnane zawodzącym wiatrem. Przed domem Daichiego natknął się na grupę Kagé – byli tam Kaori, Maro, Isao, Takeshi, Atsushi i z dwa tuziny innych, mężczyźni, kobiety, wszyscy uzbrojeni. Wojownicy. W samym środku kręgu stał Daichi w segmentowym żelaznym napierśniku, z ogromnym, większym chyba od Kina mieczem ódachi w dłoniach. Starzec przemawiał ochrypłym, zmęczonym głosem, ale w jego oczach jaśniał silny płomień.

– Zwiadowcy dostrzegli grupę uzbrojonych onich. Idą ku nam od strony Czarnej Świątyni. – Daichi powiódł wzrokiem po zebranych. – Są ich co najmniej dwa tuziny.

Zaniepokojone mamrotanie, wymiana niepewnych spojrzeń.

„Tak wielu...”.

– Nie lękajcie się – ciągnął Daichi. – Już stawialiśmy czoła takim ich bandom.

– Ale wtedy u naszego boku walczyła tancerka burzy – odezwał się Atsushi, werbalizując obawy Kina. – A teraz jej tu nie ma. Jak mamy stawić czoło tyłu potworom bez jej pomocy?

– Mamy w swoich rękach inny atut – odparł Daichi. – Miotacze shurikenów przerzedzą szeregi demonów wystarczająco, abyśmy mogli poradzić sobie z pozostałymi. Stawimy im czoła przy linii miotaczy.

Isao potrząsnął głową i zaprotestował:

– Daichi-sama, nie mamy pewności, że te ustrojstwa Gildii nie rozpadną się w drobny mak w samym środku starcia. A jeśli uwiążemy się tej linii umocnień, nie będziemy mieli pola manewru.

– Zgadzam się z Isao, ojciec – wtrąciła się Kaori, kiwając głową. – Urządźmy zasadzkę. Zaczekajmy, aż oni zaczną manewrować między dołami-pułapkami, i uderzmy na nich z drzew.

– Zrobiliśmy tak poprzednim razem, prawda? – odezwał się Kin.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu. Odczytywał w nich nieufność,

złość, nawet otwartą wrogość. Jednak chłopak zignorował to i spojrział Kaori prosto w oczy.

– Nie damy rady zaskoczyć ich drugi raz w ten sam sposób – podjął. – Ci, którzy przeżyli poprzedni atak, z pewnością powtórzyli swoim pobratymcom, że zaatakowaliśmy ich z gałęzi drzew.

– My? – warknął Isao. – Nie przypominam sobie, żebyś tam z nami był, gildiarzu...

– Bo zamknęliście mnie w celi – odparł Kin. – Zaraz po tym, jak groziliście mi podejrzeniem gardła. Już zapomniawszy?

Odpowiedziały mu tylko przepełnione nienawiścią spojrzenie i zaciśnięta mocno szczęka. Isao odwrócił się do Daichiego.

– To szaleństwo – powiedział chłopak. – Nie możemy ufać maszynierii Gildii.

– Z całym szacunkiem, Daichi-sama, ale zgadzam się z Isao. – Atsushi stanął za plecami kolegi.

W jego oczach czaiło się coś zbliżonego do strachu.

Po chwili obok nich stanął też Takeshi, wyraźnie roztrzęsiony, z rozszerzonymi źrenicami, obgryzający paznokcie.

– Przyjmuję wasze obawy do wiadomości, panowie – powiedział starzec.

– Ojciec...

Daichi delikatnie położył dłoń na ramieniu córki, nie spuszczając wzroku z Kina.

– Czy naprawdę jesteś przekonany, że twoje miotacze zdadzą egzamin, Kin-san? Tym razem nie będziemy strzelać do kamieni i drzew, a do plugawych demonów prosto z otchłani Yomi. Wysokich na dwanaście stóp, z pazurami zdolnymi ciąć stal i mocą Głoszącej Kres krążącą w ich żyłach.

Kin oderwał wzrok od Isao i spojrział na starca. Miał zaciśnięte zęby, dłonie zwinął w pięści, strach skręcał mu żołądek. Ale przecież ostatnie próby wypadły śpiewająco. Żadnych spadków ciśnienia, żadnych awarii komór. Wiedział, był pewien, że zadziałają. Był gotów postawić na to własne życie.

– Zdadzą egzamin – odpowiedział.

Daichi zerknął na swoich kapitanów. Maro milczał z ramionami skrzyżowanymi na okrytej pancerzem piersi, ale wzrokiem wyrażał sprzeciw. Kaori spojrzała ojcu w oczy i potrząsnęła głową. Po niebie nad ich głowami przetoczył się grom pioruna, błyskawica rozdarła chmury. Z każdą upływającą chwilą demony były coraz bliżej osady.

Daichi ponownie spojrzał na Kina. Ze świstem nabrał powietrza do płuc.

Coraz bliżej.

– Niewielki oddział urządzi zasadzkę na demony i ściągnie je do linii miotaczy.

– Daichi-sama... – zaczął mówić Isao, ale pod zimnym spojrzeniem starca głos uwiązł mu w gardle.

Daichi skinął głową i Isao zamknął usta.

– Maro-san – zwrócił się starzec do swojego kapitana – weź pół tuzina Cieni i sprowadź onich do nas. Reszta: za mną.

Maro zerknął na Kaori z posępną miną, ale ostatecznie okrył pięść dłonią i skłonił się przywódcy.

– Hai.

Kin dostrzegł wymianę ponurych spojrzeń między Isao, Take-shim i Atsushim. Coś jakby wzbierało w tej trójce. Desperacja? Strach? Takeshi już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale Isao pokręcił głową i dał mu znak, aby zachował milczenie. Kina oblał zimny strach. Potężny huk gromu zatrzęsł czubkami drzew i zmroził mu serce.

– Daichi-sama – odezwał się – za twoim pozwoleniem, chciałbym pójść z wami. Mogę obsługiwać jeden z miotaczy, co da ci jeden miecz więcej do walki z tymi demonami, które się przedrą. – Gdy mówił, cały czas wpatrywał się w Isao, którego twarz była blada jak wysuszone kości.

– I w ten sposób będę na miejscu, gdyby coś poszło nie tak...

Starzec skinął głową, osłonił dłonią usta i zakaszłał sucho.

– Nie wyobrażam sobie, Kin-san, żeby mogło być inaczej.

Potoczył wzrokiem po swoich wojownikach. Błyskawica odbiła się jasnym światłem w stalowoszarych tęczówkach.

– Ruszajmy. Wyślijmy te pomioty otchłani z powrotem do piekieł.

Krople deszczu miarowo bębniły w liście nad ich głowami, zagłuszając wszystkie odgłosy świata na dole. Pomimo szalejącej burzy Kin pocił się niemiłosiernie. Tkwił skulony na siedzeniu operatora miotacza, zaciskając wilgotne dłonie na drążkach sterowniczych. Zamrugał piekącymi oczami i zmrużył powieki, wyętzając wzrok, próbując dojrzeć coś w gęstniejącym mroku. Siedział tak, ślepy, głuchy i niemy.

Zazgrzytał zębami i poprawił chwyt na korbie podajnika. Wszędzie dokoła niego czaili się wojownicy Kagé, ukryci w krzakach, między kupami opadłych liści. Wszyscy patrzyli przed siebie, w mroczny las. Daichi przykucnął za gęstym krzakiem górskich paproci, tuż koło stanowiska ogniowego Kina. Starzec był nieruchomy niczym głaz, tak że nawet chłopak, doskonale wiedząc, gdzie go wypatrywać, czasem nie mógł go odróżnić od otaczających go liści. Burza przybierała na sile. Pioruny uderzały tak blisko, że Kin podskakiwał na swoim miejscu za każdym razem, gdy Raijin bił w swoje bębny. Zalewany kolejnymi falami strachu, smagany strugami ulewnego deszczu, nękany coraz poważniejszymi obawami, Kin nie zdołał powstrzymać się od powtarzania w głowie znajomych mantr – słów, których nigdy nie zdoła zapomnieć, tłumaczących życie w sposób, który miał mu wystarczyć na zawsze.

Skóra jest silna.

Ciało słabe.

Czuł się nagi i mały. Jedyłą pociechą, jedynym pewnikiem był metal pod jego dłońmi. Maszyny, które zbudował, wyciągnięte z osmalonych wraków, napełnione nowym życiem – je znał. Ale demony? Dzieci Głoszącej Kres? Wychowano go w pogardzie dla takich przesądów. Bajki o bogach i boginiach były kulami, bez których bezskórzy nie potrafili kroczyć przez świat. Bo nigdy nie wdychali ciepłych, sinoczarnych oparów w Komnacie Dymu. Bo nigdy nie została im ukazana Prawda.

„Mówcie mi Pierwszy Kwiecie”.

Odległy krzyk. Dudniący, gardłowy ryk. Ledwo słyszalne odgłosy, skutecznie zagłuszone przez burzę, przypominające prawie muzykę. Dźwięczny brzęk stali rozbrzmiewał przy akompaniamencie niebiańskiej perkusji. Tupot stóp nadbiegających ludzi wśród syczącej ulewy. Ktoś dał sygnał i wzdłuż linii umocnień przebiegła seria krótkich krzyków nocnych ptaków. Kin jeszcze bardziej zmrużył oczy, wyteżył wzrok, aż dostrzegł małe postaci odziane w ciemne, cętkowane szaty, mknące ku miotaczom tak szybko, jak tylko były ich w stanie ponieść stopy. A za nimi...

Za nimi...

Kin nigdy dotąd nie widział czegoś podobnego. Nawet w najstraszniejszych snach. Skrzeczące i warczące postacie sadziły wielkimi susami, ciągnąc za sobą długie, żylaste ramiona zakończone wielkimi dłońmi z czarnymi, zakrzywionymi szponami. Błyskawice co chwila rozświetlały mrok lasu, rzucając zimne światło na powalane błotem i brudem skóry potworów w wielu różnych odcieniach niebieskiego, od nocnego granatu po jasny błękit. Ich twarze, żywcem wyrwane z koszmarów, z rdzewiejącymi metalowymi kółkami, z groźnymi i ostrymi kłami wystającymi z wysuniętych dolnych szczęk, rozświetlał krwistoczerwony blask bijący z ich oczu. Trzymane w dłoniach miecze i potężne maczugi były wystarczająco ostre i wystarczająco ciężkie, aby powalić największe nawet drzewo. Języki wijące się w ich ustach niczym czarne robaki wypluwały na świat chrapliwe słowa w języku mrocznym jak najgorszy grzech.

– Nadchodzą – powiedział Daichi.

Oni.

Maro i jego zwiadowcy byli szybcy i zwinni. Chociaż demony deptały im po piętach, sprawnie kluczyli między wilczymi dołami. Jeden z onich wpadł do jamy z trzaskiem maskujących ją gałęzi i opadłych liści i poleciał głową w dół, wprost do czekającego dwadzieścia stóp niżej grobowca wypełnionego zaostrozonymi bambusowymi palikami. Po klindze miecza Maro ściekała czarna posoka. Pędzący lasem oni byli rozwścieczeni, gnali na oślep. Wkrótce kolejny demon wleciał do

pułapki zastawionej przez Kagé i runął na spotkanie śmierci. Ale potworów były dziesiątki, każdy z nich wysoki na dwanaście stóp, dyszący wściekłością. Utrata towarzyszy zdawała się tylko dodatkowo podsycać ich gniew. Sadziły ku nim długimi susami z przenikliwym wyciem, gardłowym rykiem, krwistoczerwonym blaskiem oczu, odsłaniając krzywe zęby w szalonym grymasie, z każdą chwilą bliżej umykających zwiadowców.

Palce Kina zastęły na spustach miotacza. Oddychał coraz szybciej, czując wzbierający w nim strach.

– No dalej – wyszeptał. – Szybciej...

Jeden ze zwiadowców potknął się o wystający korzeń i poślizgnął na mokrej ziemi. Pędzący za nim oni dopadł go w mgnieniu oka z pałką tetsubo uniesioną wysoko nad głowę. Potwór zawył triumfalnie, z olbrzymią siłą opuścił ramię i z łatwością zgniótł nieszczęśnika. Pozostali zwiadowcy biegli dalej przez jeżyny i paprocie. Nie zawahali się nawet przez chwilę. Nie mieli czasu nawet spojrzeć na martwego towarzysza.

Kin wycelował w sam środek klatki piersiowej jednego z demonów.

– Szybciej...

Błyskawica przecięła niebo, zalewając całą scenę trupioblady światłem. Huk gromu wstrząsnął Kinem do szpiku kości. Chłopak dygotał z zimna i strachu, wpatrując się we wroga rozszerzonymi źrenicami. I nareszcie, gdy dotarli w zasięg miotaczy, Maro dał znak i wszyscy zwiadowcy jak jeden mąż skryli się za kamieniami i powalonymi pniami, znikając im z oczu i linii strzału.

– Nareszcie – wysyczał Kin.

Daichi wstał i wzniósł ódachi.

– Ognia!

Kin pociągnął spust, miotacz szarpnął i wzdłuż całej linii umocnień rozległa się terkocząca pieśń, jednostajny ryk maszyn wypełniających powietrze lśniąca śmiercią. Jego miotacz trząsł się jak dziecko w ataku hysterii, piszcząc i dygocząc w rytm przesuwanych korbą pasów amunicji. Każdej wyplutej z lufy zaostromej gwiazdce towarzyszyły krótkie syki buchającego z boków urządzenia sprężonego powietrza.

Wirująca śmierć wystrzeliwana przez wszystkie miotacze lśniła w deszczu przy każdym kolejnym uderzeniu pioruna. Strach w żyłach Kina powoli zastępowała euforia. Oni padali jeden po drugim, chwytając się za gardła, piersi, brzuchy. Czarna posoka rozbryzgiwała się i mieszała z deszczem. Krwistoczerwone, rozszerzone z szoku i zaskoczenia oczy spoglądały dokoła na bezlitosną rzeź.

Odrzut miotacza telepał Kinem jak galaretą. Metalowa konstrukcja jęczała, dygotała i skakała, siekąc szeregi onich niczym rozgrzane ostrze świeży śnieg. W pierwszych sekundach tuzin demonów padł z licznymi ranami. Euforia wezbrała w Kinie do takiego poziomu, że czuł się, jakby za chwilę miał wybuchnąć. Z szalonym grymasem na twarzy zerknął na Daichiego, na moment odrywając wzrok od rozgrywającej się przed nimi rzezi, i napotkał spojrzenie starca. Daichi skinął lekko głową, na krótką, piękną chwilę wypełniając Kina uczuciem, którego nie doświadczył tak długo, że prawie już o nim zapomniał.

Duma.

Ogłuszający terkot miotaczy.

Wypełniająca całą pierś, wlewająca ciepło w serce duma.

Ra-ta-ta-ta-ta-ta!

I wtedy maszyny zaczęły zawodzić.

Pierwsza wybuchła trójka. Uszczelki na komorach strzałowych pękły niczym przepełnione balony. Sprężone powietrze uciekało ze zbiorników z piskiem. Następny poddał się miotacz Kina. Rozbłysło jaskrawe światło, a w twarz chłopaka buchnął kłęb pary. Wierzgająca metalowa bestia, której dosiadał, momentalnie zamarła i oklapła jak kukiełka, której ktoś nagle odciął sznurki. Wszystkie maszyny niemal jednocześnie zakrzusiły się i umilkły, trzęsąc się na swoich stanowiskach niczym ludzie umierający na czarnopłuco. Morderczą perkusję miotaczy zastąpiły słaby grzmot gromu i szepczący deszcz. Wydawały się tak ciche po ogłuszającej kanonadzie, że Kin ledwo je słyszał.

Przeżalenie zaparło mu dech i ścisnęło serce. Zerwał się ze swojego siedzenia, przebiegł wzrokiem po pękniętych uszczelkach, przycisnął do nich palce, jakby w ten sposób mógł je naprawić. Nie było jednak na to

czasu...

– O, nie... – jęknął cicho.

Rozległ się głośny, mrozący krew w żyłach ryk, odbijający się echem wśród pni drzew. Kin uniósł wzrok i dostrzegł wyłaniający się zza wiekowego klonu olbrzymi kształt. Głowę potwora zdobiła czaszka olbrzymiego orła, a ciało okrywała zbroja wykonana z kości. Był wyższy od reszty onich. Potężne kończyny opinała skóra tak ciemna, że niemal czarna jak heban. Olbrzymia góra mięśni, ścięgien, pazurów i kłów. Stwór uniósł wielką maczugę nabijaną pordzewiałymi żelaznymi ćwiekami, dwukrotnie większą od Kina, skierował jej czubek w stronę Kagé, odsłonił wypełniające paszczę połamane kły i wydał z siebie głośny ryk przepelniony bezgraniczną nienawiścią.

Daichi pokręcił głową, otarł krople deszczu z oczu i wbił wzrok w zbliżające się demony. Wszędzie dokoła Kagé wychodzili z ukrycia i zbierali się wokół swojego wodza. Ostrza ich mieczy lśniły w świetle błyskawic. Zwiadowcy mknęli przecinką, dołączając do reszty towarzyszy. Potwory skupiły się przy swoim dowódcy. Pozostało ich zaledwie kilka i wszystkie co do jednego pokrywała czarna posoka, ale wciąż były groźne, wciąż mogły bez trudu poradzić sobie z garstką dwukrotnie od nich mniejszych mężczyzn i kobiet uzbrojonych w maleńkie zaostrzone wykałaczki.

Wyszczерzone kły zalśniły w blasku krwistoczerwonych oczu.

Daichi spojrział na Kina z powagą. Jego oczy były zimne i puste. Cała duma, która jeszcze chwilę wcześniej wypełniała pierś chłopaka, umknęła na rannych skrzydłach, a w jej miejsce wślizgnął się zimny strach. Ręce mu się trzęsły, otworzył usta, aby przemówić, ale nie mógł znaleźć słów.

Daichi obrócił się do swoich wojowników. Spojrział każdemu po kolei w oczy swoim stalowym wzrokiem. Potem uniósł miecz i wskazał nim wroga.

– Banzai! – krzyknął.

– Banzaiiiii! – zaryczały w odpowiedzi dwa tuziny Kagé.

Huknął piorun. Wojownicy ruszyli biegiem przed siebie z wysoko

uniesionymi mieczami. Kin opadł na przesiąkniętą deszczem ziemię i przyglądał się wrogom pędzącym ku sobie wśród wirujących kropli deszczu. Małe figurki i olbrzymie pomioty piekieł oświetlane raz po raz blaskiem błyskawic. Serce łomotało mu w piersi, w ustach czuł gorzki posmak. Myśli wypełniały mu panika, poczucie winy i wściekłość. Powiódł wzrokiem wzdłuż linii bezużytecznych miotaczy. Nad jego głową brzmiał gromki śmiech boga gromu.

„Jak to się mogło stać?”

Wojownicy starli się z wrogiem w mroku lasu. Kin ruszył ku nim, potykając się o niewidoczne przeszkody. Dobył z pasa ciężki klucz maszynowy, który od biedy mógł posłużyć za broń. Nigdy nie odbył choćby krótkiego przeszkolenia bojowego, ale nie mógł przecież stać przy zepsutych maszynach i nie kiwnąć nawet palcem. Walczące postaci skakały i tańczyły w deszczu. Krótkie okresy między jednym uderzeniem gromu a drugim wypełniały okrzyki bólu i przeraźliwe ryki. Kaori walczyła po lewej, rozmyta biała plama na tle ciemności. Daichi był w samym sercu bitwy, ostrze jego miecza już ociekało czarną posoką. Poruszał się zwinnie, jakby tańczył do muzyki słyszalnej tylko dla niego. Bez chwili przerwy, bez zawahania; krok, zwód, cios, pchnięcie, szerokie cięcie, strumienie lepkiej czerni. Wielki oburęczny miecz zdawał się być naturalnym przedłużeniem jego ramion. Skręt nadgarstka i na ziemię padła w fontannie ciemnej posoki odrąbana noga oniego. Okaleczony demon zaryczał z bólu. Krok w lewo, pozornie niedbałe cięcie rozplątało gardziel stwora aż po kręgosłup, a Daichi płynnie przeszedł do kolejnego ciosu. Był niczym poeta piszący swe arcydzieło ciepłym, najczarniejszym atramentem.

Kipiące kłębowisko walczących przetaczało się po polanie. Co chwila ktoś upadał, to oni, to człowiek. Kaori wskoczyła na plecy jednego z potworów i wbiła swój miecz po rękojeść w podstawę jego czaszki. Maro walczył ramię w ramię z Isao i Takeshim nad ciałem poległego druha. Ciosy wyprowadzał jedną ręką, druga zwisała bezwładnie przy boku. Wspólnie rozplatali brzuch demona i teraz brnęli po kostki w oślizgłych zwojach jego wnętrzości. Szale bitwy przechylały się na korzyść Kagé,

ale właśnie wtedy wódz onich utworował sobie drogę przez szeregi wrogów i parł ku Daichiemu. Kin krzyknął ostrzegawczo.

Starzec się obrócił, błysnęła stal. Odskoczył w bok, gdy demon opuścił swoją ogromną maczugę. W górę wystrzeliła fontanna błota, na walczących spadł deszcz suchych liści. Daichi zmrużył oczy i wykrzywił pogardliwie twarz, po czym ruszył do przodu i ciał oniego w poprzek brzucha. Kin zerwał się do biegu, uderzając stopami w błotnistą ziemię, gdy nagle w mroku przed nim wyrósł jak spod ziemi jeden z potworów. Chłopak instynktownie uniknął ciosu mieczem, niemal tracąc równowagę na śliskich liściach. Momentalnie dołączyła do nich trójka Kagé i wdała się w walkę z demonem. Kin poczuł narastającą panikę. Wiedział, że nie powinien był pchać się na pole bitwy z kluczem w dłoni i strachem w sercu. Ale mimo to obrócił się i dołączył do walki. Uderzył wściekle żelazem w łydkę oniego. Od siły ciosu zupełnie zdrętwiały mu mięśnie w rękach. Potwór obrócił się do niego i nozdrza Kina zaatakował smród pogrzebowych stosów. Demon zaryczał tak głośno, jakby w jego gardzieli kryły się wszystkie piekła. Chłopak przetoczył się na bok. Miecz potwora świsnął nad nim. Kagé wykorzystali fakt, że uwaga demona skupiona jest na Kinie, i zaatakowali go od tyłu. Stał, deszcz, krew i grom. Gdy chłopak zerwał się na równe nogi, przed oczami wciąż tańczyły mu czarne plamy, a do tego padający, wydawałoby się, że ze zdwojoną siłą, deszcz dodatkowo ograniczał widoczność. Kin zaryzykował szybkie spojrzenie w stronę Daichiego.

Pierś starca falowała, zaciśnięte wargi stanowiły ledwie cienką kreskę na jego twarzy. Ostrze miecza było czarne od wrażej posoki. Wódz onich zamachnął się maczugą w rozpaczliwym szale. Demon krwawił z tuzina ran na ramionach, nogach, tułowiu i głowie, a sam nie zdołał dotąd nawet raz trafić byłego Żelaznego Samuraja. Jego oczy żarzyły się z wściekłością dorównującą płomieniom Pani Słońce. Potwór ryknął, rzucił się naprzód i otrzymał kolejną ranę. Starzec walczył z nim, jakby ociosowywał pień drzewa, odrąbując kawałek po kawałku. Tańczył wokół niego, po każdym ciosie odskakiwał poza zasięg ramion oniego, pozwalając utracie krwi i zmęczeniu wykonać większość roboty. Moc

Yomi przeciwko całemu życiu doskonalenia sztuki posługiwania się mieczem. Furia wszystkich piekieł przeciwko spokojowi zrodzonemu z umiłowania ostrza, drogi wojny, serca prawdziwego tygrysa.

Aż Daichi zaczął kaszleć.

Z początku było to tylko krótkie prychnięcie, minimalne rozchylenie powiek, chrapliwy wdech, napięcie wszystkich mięśni. Gdy Daichi uniknął kolejnego ciosu, zakaszłał ponownie, tym razem mokro i świszcząco. Starzec przycisnął jedną dłoń do piersi, wyraźnie czując ból. Kin zawołał do Kaori, wykrzykując słowa ostrzeżenia. Odwrócił się od warczącego demona i rzucił się pędem przez siekący deszcz. Daichi zatoczył się, osłonił rękawem usta i uniósł miecz, aby sparować wściekły cios oniego. Kin mógłby przysiąc, że na ustach starca pojawiła się czarna plama. Atak czarnopłuca teraz, ze wszystkich możliwych chwil. Choroba powoli wdzierала się do piersi przywódcy Kagé i niszczyła jego organizm.

Daichi się cofnął, nie mogąc przestać kaszleć. Kaori wstała z dymiącego truchła demona Otchłani i starała się przekrzywić ryk burzy. Maro powtórzył jej krzyk: „Do Daichiego! Do Daichiego!”. Kagé ruszyli biegiem ku swojemu słabnącemu przywódcy z wysoko uniesionymi mieczami. Wódz onich dźwignął swoją maczugę, szczerząc triumfalnie oślinione kły, po czym uderzył potężnie szerokim łukiem, rozbijając miecz Daichiego na setki lśniących odłamków. Starzec zachwiał się i krzyknął między kolejnymi kasznięciami. Wtedy władca demonów kopnął go prosto w klatkę piersiową.

Kaori i Kin wrzasnęli jednocześnie, patrząc, jak były Żelazny Samuraj leci kilka stóp w powietrzu, po czym uderza bezwładnie w błotnistą ziemię. Wódz onich postąpił naprzód, pragnąc za wszelką cenę dobić starca, i ponownie wznosił swoją maczugę. Wydając z piersi desperacki okrzyk, Kin cisnął trzymanym kluczem – maleńkim, pokrytym smarem kawałkiem metalu – w górującego nad polem bitwy potwora. Rzucił celnie, klucz trafił prosto w tył czaszki demona, który odczuł to nie silniej niż człowiek ugryzienie pchły. Wystarczyło to jednak do odwrócenia jego uwagi. Wódz onich przystanął na moment i warknął.

Tę chwilę Kaori wykorzystała na dopadnięcie go. Poruszała się zwinnie i szybko niczym czarny rekin w wodzie wymieszanej z krwią. Wybiła się z pnia złamanego drzewa, wskoczyła na plecy potwora i zatopiła swój miecz w jego karku. Zaraz potem uderzył Maro, tnąc głęboko staw skokowy. Demon zaryczał głośno z bólu i upadł na jedno kolano. Posypały się kolejne ciosy: Isao, Atsushiego, Takeshiego. Miecze wznosiły się i opadały niczym tasaki w rzeźni. I wśród szalejącej burzy, lejącego deszczu i lśniącej stali władca onich padł z rykiem, młóćąc w koło ramionami, aż uciszyło go szerokie cięcie miecza Kaori, rozcinające skórę jego głowy od jednego spiczastego ucha do drugiego. Na dziewczynę trysnęła fontanna czarnej, pieniącej się krwi.

– Ojcze! – krzyknęła, doskakując do starca i opadając na kolana przy jego boku.

Daichi leżał na wznak, z jedną dłonią przyciśniętą do piersi, oddychając z trudem przez rozchyłone, pokryte czerwoną pianą usta. Pozostali Kagé zebrali się wkoło, wszyscy umazani czarną posoką, z bladymi twarzami, na których wyraźnie rysowało się przerażenie.

Gdy Kin podszedł do nich, kilku z nich spojrzało na niego ponuro i zmełło pod nosem przekleństwa, zerkając ku zniszczonym miotaczom. Z gniewnego mamrotania wyłowił słowa „przeklęty” i „gildiarz”. Złowrogie spojrzenia paliły mu skórę w ciemności, do wnętrza powoli sączył się zimny strach. Próbował się przepchnąć do Daichiego, ale drogę zagroziło mu muskularne ramię Maro. Kapitan Kagé spoglądał na niego z gorzką wściekłością.

– Nawet się do niego nie zbliżaj – wysyczał.

– Mogę pomóc...

– Nie sądzisz, że dość już pomogłeś, ty bezbożny mały draniu?

– Maro, nie trać na niego czasu! – krzyknęła Kaori ze łzami w oczach.

– Pomóż mi z ojcem!

Kapitan odwrócił się od Kina z sarknieniem i przyklęknął obok Daichiego. Czterech Kagé uniosło starca w górę. Daichi krzyknął z bólu, chwytając się za żebra, krztusząc się krwią. Kaori nalegała, aby biegli jak najszybciej i zanieśli swojego przywódcę do lazaretu starej

Mari. Gdy jej wzrok padł na Kina, w oczach miała tylko zimną nienawiść. Odwróciła się i wybrała kilku wojowników, którzy mieli tu zostać i dopilnować, aby żaden z powalonych demonów już nigdy nie wstał. Pozostali mieli pomóc swoim rannym towarzyszom.

Nad ich głowami huczały gromy, wiatr wył w koronach drzew, a deszcz syczał niczym gniazdo pełne węży. Kulejący, zakrwawieni i oszołomieni Kagé powoli wracali do swojej osady. Kin stał cały czas w miejscu, zagubiony i rozkojarzony. Któryś z mijających go wojowników umyślnie go potrafił, jeszcze inny splunął mu pod nogi. Chłopak spoglądał z rozpaczą na milczące miotacze, na popękane uszczelki, cały czas próbując zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Zrozumiałby, gdyby zawiódł jeden. W najgorszym wypadku dwa. Ale żeby wszystkie naraz? Jak to było możliwe?

W strugach deszczu ruszył, zataczając się, w stronę swojego stanowiska. W żołądku czuł wzbierającą mdłości.

– Gildiarzu.

Na dźwięk głosu Isao stanął jak wryty. Strach chwycił go za gardło i nakazał spojrzeć w kierunku, skąd dobiegło to znieawidzone słowo.

Stała tam cała trójka: Isao, Atsushi i Takeshi. Skrzyżowane na piersi ramiona, dłonie zwinięte w pięści, na twarzach wyraźnie wypisane złość i nieskrywana pogarda. Takeshi zrobił krok naprzód, ale Isao powstrzymał go ramieniem i wymamrotał coś pod nosem, zbyt cicho, aby Kin dosłyszał. Z niezadowolonym parsknięciem dryblas ruszył razem z Atsushim ku leżącemu pokotem onim. Chodzili od ciała do ciała i podrzynali demonom gardła, a czarna posoka tryskała w górę gwałtownymi fontannami.

Isao stał w miejscu i wpatrywał się w Kina zwężonymi oczami. Miecz tkwił schowany do pochwy na jego plecach. Po chwili młody Kagé uniósł powoli jedną rękę, wskazał przemoczonego Konstruktora i wykonał poziomy ruch w poprzek swojej szyi.

Kin zamarł, zmrożony nagłą falą przerażenia. Pozostali wojownicy już odeszli w stronę osady. Świadomość, że był całkiem sam, rozbłysła w jego myślach z niespodziewaną jasnością. Wsunął się więc między

krzaki, kryjąc się w cieniu, by w końcu ruszyć pędem w stronę celi więziennej Kagé. Nie przychodziło mu na myśl żadne inne miejsce, do którego mógłby uciec. Wiedział, że ta trójka nie cofnie się przed niczym. Jeśli byli gotowi posunąć się do zabicia go, byli zdolni zrobić wszystko.

Po drodze przypomniał sobie protesty Isao, gdy Daichi zdecydował się walczyć na linii miotaczy. Chłopak prosił, błagał, wyglądał na wręcz zdesperowanego. Teraz Kin w końcu zrozumiał, dlaczego tak się zachowywał. Przez całą drogę miał ten obraz przed oczami. Isao wykonujący dłonią poziomy ruch w poprzek swojej szyi, z wyjaśniającą wszystko czarną plamą lśniąca w świetle błyskawicy.

Na obu dłoniach miał plamy od smaru.



Ichizo przyglądał się, jak daimyo klanu Tora uniósł miecz, trzymając lśniące w świetle krwistoczerwonego słońca ostrze na wysokości szyi przeciwnika. Drugi samuraj nabrał z sykiem powietrza przez zaciśnięte zęby. Miecz zwisał mu w dłoni niczym worek cegieł. Hiro wpatrywał się w przeciwnika stojącego na drugim końcu podłogi z wypolerowanych desek, wśród pozbawionych życia spojrzeń pustych ludzi. Mięśnie lśniły w słońcu, żelazne ramię wypluło w duszne powietrze ciekłą strużkę spalin.

Nagle ruszył przed siebie.

Ichizo ledwo nadążał wzrokiem za ruchami kuzyna. Sztuczna kończyzna Hiro poruszała się tak szybko, że przypominała rozmytą smugę. Daimyo odbił broń przeciwnika na bok, obrócił się i szerokim łukiem uderzył samuraja w zębra. Wypolerowane drewno uderzyło w napierśnik, pozostawiając wgłębienia na metalowych płytkach. Mężczyzna sapnął ciężko i opadł na kolana z twarzą wykrzywioną z bólu, trzymając się ręką za bok. Hiro stanął nad nim z mieczem uniesionym do imitowanego ciosu łaski.

Kłęczący samuraj wyciągnął dłoń w geście poddania się.

– Wygrałeś, wielki panie – wysapał. – Wygrałeś.

Aplauz Ichizo utonął w gromkich brawach zebranej służby oraz czterech poprzednich sparingpartnerów Hiro, obitych i posiniaczonych, opartych o ściany dojo. Daimyo okładał swoich ludzi drewnem już od blisko godziny. Ichizo kręcił się przez ten czas w okolicy, wysłuchując krzyków i jęków bólu. W końcu jednak stracił cierpliwość i wszedł do dojo, zdecydowany zamienić parę słów z przywódcą swojego klanu.

Hiro pomógł przeciwnikowi wstać, a gdy podniósł wzrok, zauważył stojącego wśród służby Ichizo i uniósł pytająco brew. Daimyo walczył bez zbroi, w samej hakamie. Promienie chylącego się ku zachodowi słońca lśniły na obficie skropionej potem skórze opinającej potężne mięśnie. Długie czarne włosy zebrał w koński ogon, teraz zupełnie mokry i przyklejony do skóry na jego piersi. Tuż nad sercem odznaczała się niewielka blizna po pchnięciu. Do śmiertelnego ciosu zabrakło zaledwie kilku cali. Jego prawe ramię pokrywał zniekształcony tatuaż tygrysa. Biceps opinała żelazna obręcz skrywająca połączenie między ciałem a protezą podarowaną mu przez Gildię. Ichizo zawsze czuł niepokój na ten widok. Na jego gust to połączenie ciała z maszyną zbyt przypominało to, jak wyglądali lotosowcy.

Szogun Yoritomo zawsze starał się w miarę możliwości unikać handlarzy chi. Za jego rządów sprawy tronu i interesy Gildii były wyraźnie oddzielone. Teraz wszystko wskazywało na to, że Hiro bez wahania całkowicie im zawierzył. Ichizo wiedział, co lotosowcy zaferowali jego kuzynowi. Wiedział, ile zależało od ślubu Hiro i pani Aishy. Wiedział, co by się stało z krajem, gdyby klany rzuciły się sobie do gardeł. Mimo to z każdym mijającym dniem obawa o możliwe skutki tego jawnego sojuszu z Gildią narastała. Lękał się tego bardziej niż czających się wśród cieni buntowników Kagé, bardziej niż podsycającej niezadowolenie ludu, kryjącej się na północy tancerki burzy. Nieustannie zastanawiał się, jaką naprawdę cenę jego daimyo zapłaci za tron.

Ale Hiro był jego kuzynem. Jego władcą. W jego żyłach płynęła krew Toru. Samo myślenie o takich rzeczach...

– Pragniesz ze mną pomówić, Ichizo-san?

Hiro opuścił bokken na podłogę. Drewniany miecz uderzył o deski podłogi z głośnym trzaskiem. Jeden służący błyskawicznie podbiegł do swojego pana z miską niemal przezrystej wody.

– To sprawa niewielkiej wagi, wielki panie. – Ichizo się uklonił. – Nie powinienem był przerywać twojego treningu. Zaczekam.

– Cóż, niemniej jednak go przerwałeś. Równie dobrze możemy załatwić obie sprawy jednocześnie.

Daimyo wskazał ze zdawkowym uśmiechem stojak z drewnianymi mieczami i kukły ubrane w pancerze ćwiczebne.

– Obawiam się, że nie byłbym godnym ciebie przeciwnikiem, wielki panie – zauważył Ichizo.

Hiro wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– W przeszłości nie powstrzymywało cię to od stawania naprzeciw mnie.

– Och, wybacz, panie – powiedział Ichizo, odwzajemniając uśmiech – ale przypominam sobie pokonanie cię raz czy dwa.

– Niech to będzie zatem trzeci raz. Czy też może zmiękłeś przez te sędziowskie szaty, które ci podarowałem?

Ichizo skłonił się z ironicznym uśmieszkiem, po czym podszedł do jednej z kukieł i przywdział ćwiczebną zbroję, pozwalając słującemu zapiąć wszystkie sprzączki. Gdy Ichizo gotował się do walki, Hiro sączył wodę. Przyglądał się w milczeniu, jak jego kuzyn zakłada napierśnik, ciężkie rękawice, osłaniający głowę i kark hełm, a następnie waży w dłoni z pół tuzina mieczy treningowych, zanim decyduje się na jeden z nich. Gdy Najwyższy Sędzia był już gotowy do walki, wkroczył do kręgu i uniósł miecz w pozdrowieniu. Daimyo odrzucił miskę innemu słującemu, odgarnął włosy na plecy i chwycił sztuczną dłonią nowy bokken.

– Broń się – syknął Hiro.

Daimyo natarł na Ichizo. Ciężkie kroki odbijały się echem od wysokiego sufitu. Gdy zbliżył się na odległość ciosu, opuścił miecz na głowę Najwyższego Sędziego. Ichizo odbił uderzenie, choć od jego siły zdrętwiały mu nadgarstki. Cios minął jego głowę w akompaniamencie

syczenia i warkotu mechanicznego ramienia, ale chwilę później kopniak wycelowany w pierś odrzucił go do tyłu sapiącego i krztuszącego się. Sędzia uniósł wzrok akurat na czas, aby sparować kolejną serię ciosów miecza Hiro, wycelowanych kolejno w jego twarz, pierś i brzuch.

Cofnął się zdumiony zaciekłością ataków. Hiro uśmiechnął się, spoglądając na niego nad czubkiem miecza, wyczekując kontry.

– A więc – odezwał się – mów.

Ichizo ruszył do przodu i uderzył raz, drugi. Hiro odbił oba ciosy z wyćwiczoną przez lata łatwością. W uszach sędziego zadzwoniły dwa głośne trzaski drewna uderzającego o drewno.

– Sprawa jest niezwykle nikłej wagi, wielki panie.

Cios, zasłona, wypad.

– Ależ mów – powiedział Hiro, odskakując niemal tanecznym krokiem. – W ostatnich dniach nic, tylko słucham o organizacji ślubu.

Cios.

– O ministrach, których nie można posadzić na przyjęciu obok sędziów z powodu zaszłości sprzed trzech dekad.

Finta.

– O tym, czy obrazić członków Gildii, podając jedzenie i napoje, które uznają za nieczyste, czy też obrazić wszystkich innych, nie podając absolutnie nic.

– Racz przyjąć ode mnie wyrazy współczucia, drogi kuzynie. – Ichizo uniknął szerokiego ciosu wymierzonego w jego głowę i odskoczył, aby złapać oddech. – Z pewnością panowanie nad wielkim narodem ma swoje minusy. Ale przynajmniej sam ślub będzie wkrótce należał do historii.

Finta, unik, wypad.

– Hai. – Hiro skinął głową. – Oni z wszystkich piekieł nie mogliby już tego powstrzymać.

– A chciałbyś, żeby spróbowali?

Hiro uderzył, końcem miecza trafił Ichizo w bark, po czym ponownie kopnął sędziego w pierś. Najwyższy Sędzia zatoczył się do tyłu, trzymając bokken w pozycji gotowej do wykonania zasłony, ale daimyo

nie natarł ponownie.

– Starczy już podchodów – powiedział Hiro, usztywniając swoje żelazne ramię. Oddychał miarowo, bez śladu zmęczenia. – Powiedz, z czym do mnie przyszedłeś. Twoje intrygi przynajmniej pozwolą mi przez chwilę pomyśleć o czymś innym.

Ichizo wykonał przeczący gest wolną ręką. Skapujący z brwi pot szczypał go w oczy.

– Obawiam się, wielki panie, że to tylko błahostka.

– Błahostka. Zatem chodzi o tę uwięzioną służkę...

Ichizo poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Zerknął nerwowo na zebranych w sali służących i samurajów. Na ustach Hiro pojawił się pozbawiony wesołości uśmiech. Krótkim ruchem miecza nakazał wszystkim pozostawienie ich samych. Obserwujący dotąd pojedynek mężczyźni błyskawicznie opuścili dojo w niskich pokłonach. Partnerzy do ćwiczeń daimyo wyglądali na wdzięcznych losowi za taki obrót spraw. W pomieszczeniu zapadła cisza zakłócana jedynie przez wróble skrzeczące żałośnie w ogrodzie, skrzypienie desek pod nogami ich dwojga i ciężki oddech Ichizo, który zaczął czuć nieznośne pieczenie w płucach.

Po dłuższej chwili sędzia odchrząknął i przełknął z trudem ślinę.

– A więc słyszałeś.

– Zdziwiłbyś się, jak wiele Gildia wie o tym, co się dzieje w pałacu.

Ichizo zerknął na mechanicznego pająka przycupniętego na barierce antresoli. Na jego przekłete wszystkowiedzące czerwone oko.

– Nie arobujesz tego?

Oczy Hiro były nieprzeniknione. Równie zimne i pozbawione życia, co jego sztuczne ramię. Ichizo zlustrował twarz kuzyna w poszukiwaniu choćby najmniejszej pozostałości po chłopcu, z którym bawił się w żołnierzy w posiadłości swojego ojca. Z którym szarżował z dziecinnym mieczem w dłoni na wymaginowane zastępy wrogów Shimy. Zawsze wesołego, zawsze roześmianego.

Całe wieki temu.

– Nie arobuję – odparł Hiro.

– Jest piękna, kuzynie. Jak pierwszy kwiat po odejściu zimy.

– Jest niebezpieczna. Prosiłem cię o przesłuchanie tych dziewczyn, Ichizo, a nie o zaciągnięcie ich do łóżka. Straciłeś trzeźwość osądu. Jej pani to trucizna w najczystszej postaci. Kto wie, jak daleko sięga jej haniebny wpływ?

– Zabójczynie Yoritomo usiłowała zabić tę dziewczynę. Całą ją pocięła i niemal roztrzaskała jej czaszkę. Ciężko to pogodzić z twierdzeniem, jakoby były w zмовie. Nie jestem głupcem, Hiro.

– Czyżby? A co ta twoja piękność szepcze ci do ucha, gdy leży nocą w twoich objęciach? Może wyznaje ci miłość? – Hiro wykonał teatralny gest trzymanym mieczem, przebierając metalowymi palcami po rękojęści do wtóru syczenia tłoków. – Zdrada kobiety potrafi przeszyć człowieka na wskroś, kuzynie.

– Nie wszystkie kłamią, Hiro. Nie wszystkie nas oszukują.

– Czego ode mnie chcesz?

– Wolności dla Michi-chan. Za moim poręczeniem, pod moją opieką. Ona chce zobaczyć się ze swoją pa...

– Już o tym rozmawialiśmy.

Ichizo złapał oddech i uderzył bez ostrzeżenia, chybając o włos twarzy Hiro. Daimyo zripostował zaciekle, bez uśmiechu na ustach. Nacierał zażarcie, cios za ciosem, aż zmusił Ichizo, by ponownie się cofnął.

– Nieustępliwość jest jedną z moich największych zalet, wielki panie – wysapał sędzia, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Prosisz o rzecz niemożliwą, Najwyższy Sędzio.

– Uznałbym to za osobistą przysługę, mój daimyo. – Ichizo spojrzał na kuzyna błagalnym wzrokiem. – Przysługę dla krewniaka, który biegał razem z tobą, gdy martwe ziemie w Czarnogłazie jeszcze porastał lotos. Który zawsze pozwalał ci się pokonać, gdy się szermowaliśmy na bokkeny.

– Że niby ty pozwalałeś mi pokonać siebie? – Wbrew sobie Hiro wybuchnął szczerym śmiechem.

Przez chwilę z jego twarzy opadła maska Żelaznego Samuraja i daimyo. Przez chwilę można było dostrzec tego chłopca, którego Ichizo znał od

lat. Chłopca, z którym dorastał. Któremu ufał.

– Niech cię Pan Izanagi pokarze za bycie draniem i podłym kłamcą, kuzynie – powiedział Hiro z szerokim uśmiechem.

– Błagam cię, kuzynie. – Ichizo postąpił naprzód, stopniowo poważniejąc. – Łaskawy władca może sobie zaskarbić wiele serc.

Hiro pogładził lewą dłonią bródkę i westchnął głęboko. Przez dobrą minutę stał nieruchomo, bez słowa, jakby był tylko kolejną kukłą treningową. Koło jego skroni unosiła się strużka sinoczar-nych spalin, wskutek czego jego oczy nabierały ciemnozielonej barwy przywodzącej na myśl liście lotosu. Gdy się odezwał, jego głos odbił się echem od ścian dojo. Mówił chłodnym i ostrym tonem, który Ichizo wydał się nożem zatapiającym się w jego plecach.

– Ci chłopcy, o których mówisz, Ichizo-san, dorośli i stali się mężczyznami. Czasy, które wspominasz, bezpowrotnie minęły. Powinieneś zapomnieć o wszystkim, co było, i pamiętać tylko o tym, kim jesteś teraz.

– Jestem zakochanym mężczyzną, kuzynie. – Ichizo spojrział na Hiro błagalnym wzrokiem. – Z pewnością pamiętasz, jakie to uczucie?

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, Hiro uniósł swój miecz i uderzył. Był szybszy, niż Ichizo byłby skłonny uwierzyć, gdyby nie widział tego na własne oczy. Drewniany miecz ugodził go boleśnie w ramię. Kolejny cios wybił mu broń ze zdrętwiałych palców. Hiro okrążył go i walnął w plecy tak mocno, że bokken pękł na pół. W powietrze wystrzelił deszcz drzazg, a z ust Ichizo wydobył się stłumiony krzyk. Sędzia postąpił krok do przodu, a gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa, opadł na kolana.

Krzywiąc się z bólu i z trudem łapiąc oddech, padł na wznak i uniósł otwartą dłoń w geście kapitulacji. Daimyo stanął nad nim, ściskając w żelaznej dłoni rękojeść złamanego miecza.

– Doskonale pamiętam, kuzynie, jakie to uczucie być zakochanym – powiedział głosem lodowatym jak wnętrze kamiennego grobowca. Z głośnym trzaskiem odrzucił bezużyteczną już broń na podłogę, po czym uniósł swoją żelazną dłoń przed twarz i powoli zacisnął palce w twardą, syczącą pięść. – Przypominam to sobie każdej nocy.

– Co byś powiedziała, gdybym poprosił cię o rękę? – zapytał Ichizo.

Leżeli przytuleni do siebie w skotłowanej pościeli. Ich ciała pokrywał wysychający powoli pot. Michi złożyła głowę na jego piersi, włosy opadały jej na oczy. Bicie jego serca niemal ją uspiło, ale teraz jego słowa przywołały ją do rzeczywistości. Uniosła się na łokciu i spojrzała z niedowierzaniem na leżącego przy niej węża.

– Słucham?

Ichizo spoczywał na wznak i wpatrywał się w sufit. Jedną rękę podłożył pod głowę, drugą zaś obejmował Michi, przyciskając mocno jej ciało do siebie. Krągłości jej bioder i piersi przy jego boku, noga zarzucona na jego udo, jak elementy układanki pasujące idealnie do siebie.

„Wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety tak do siebie pasują, głupia dziewczyno...”.

– Zapytałem: co byś powiedziała, gdybym poprosił cię o rękę.

Michi powoli zamrugnęła.

– Czy prosisz mnie o rękę?

– Nie – odparł z uśmiechem. – Zastanawiam się tylko, co byś odpowiedziała.

– Odpowiedziałabym, że postradałeś zmysły, mój panie – parsknęła drwiąco, opierając głowę z powrotem o jego pierś. – Że znasz mnie ledwie od kilku uderzeń serca. Że lotos, którego liście palisz, musi należeć do jakiejś wyjątkowo specyficznej odmiany. I zapytałabym, czy użyczyłbyś mi swojej fajki, gdy ty już zażyjesz dość jego dymu.

Zachichotał cicho.

– Tak właśnie sądziłem.

– Dobrze zatem, że nie poprosiłeś mnie o rękę.

Ichizo milczał przez chwilę. Gdy się ponownie odezwał, dosłyszała w jego głosie wahanie.

– Co masz na myśli, mówiąc, że znam cię zbyt krótko? Przecież znam cię od poprzedniego święta wiosny.

– Czy po jednym spojrzeniu w pomieszczeniu pełnym ludzi i krótkiej

rozmowie o poezji można stwierdzić, że się kogoś zna?

– W ten sposób dowiedziałem się, że jesteś piękna i inteligentna, a także, że masz cięty język i romantyczną duszę.

– Och, czyżby? Jestem romantyczką?

– Gdybyś miała serce z kamienia, nie poruszałaby cię poezja, Michi-chan.

Zamilkła. Przez dłuższą chwilę wodziła palcem po zarysie mięśni na jego brzuchu, po twardych wzgórzach i głębokich dolinach pokrytych gęsią skórka.

– I dlaczego nie mielibyśmy móc się pobrać? – Ichizo odsunął ją delikatnie, sam usiadł i spojrzął jej w oczy ze zmarszczonym czołem. – Znam cię lepiej, niż Hiro zna panią Aiszę, a ich ślub niebawem się odbędzie.

– Tylko po to, aby naszych wysp nie ogarnął chaos – odparła Michi. – Aby przedłużyć dynastię, której korzenie sięgają dwa wieki wstecz. Nie sądzę, mój panie, żeby oficjalne poinformowanie o naszym przelotnym romansie mogło spowodować nagły upadek cesarstwa albo jego cudowne odrodzenie. Nie wspominając już o trudnościach, jakie napotkalibyśmy, usiłując zmieścić wszystkich gości w tej mojej przytulnej małej celi.

– Przelotny romans? – Zamrugał. – Tym tylko dla ciebie jestem?

– Lepsze to od drugiego możliwego wytłumaczenia.

– Tego, że szczerze cię kocham?

Michi spojrzała mu głęboko w oczy, próbując wyczytać w źrenicach jego myśli.

– Ze wciąż uważasz, jakobym brała udział w spisku Kagé – powiedziała. – Że wszystko to jest tylko częścią przesłuchania podejrzanej.

– Uśmiechnęła się lekko z odpowiednią mieszanką nadziei i lęku. – Że po wszystkim złamiesz mi serce.

W jego oczach pojawiło się ostrzeżenie: źrenice się rozszerzyły. Ale dlaczego? Ze strachu czy z podejrzliwości? Jedno było pewne, trafiła w sedno...

– To samo mógłbym powiedzieć o tobie.

„Za dużo, głupia, za daleko. Wycofaj się, szybko!”

Popchnęła go z powrotem na pościel długim pocałunkiem, usiadła na nim okrakiem i unieruchomiła jego nadgarstki w uścisku nad głową. Nachyliła się, owiewając go wonią perfum i świeżego potu. Jej ciemne włosy opadły po bokach na materac. Gdy szeptała, muskając wargami jego usta, wręcz namacalnie czuła jego poruszenie.

– Powiedz to zatem, mój panie. Powiedz, że mi nie ufasz. Powiedz, że to wszystko jest kłamstwem.

– Ależ to byłoby największe kłamstwo ze wszystkich – wyszeptał w odpowiedzi, unosząc lekko głowę, szukając pocałunku, którego mu odmówiła, odchylając się do tyłu. – Jestem cały twój, pani. Zdany na twoją łaskę. Zapytaj mnie o cokolwiek, zadaj mi dowolne pytanie, a ja odpowiem.

Jego uśmiech wyglądał na szczery, w oczach nie mogła wyczytać żadnych ukrytych zamiarów. Był dobry w tej grze.

„Tak dobry, że cię to przeraża”.

– Powiedz więc, czy mnie kochasz?

Poruszyła biodrami. Błaha rzecz, która potrafi wstrząsnąć całym światem. Westchnął razem z nią, napiął mięśnie, gdy oparła się na jego nadgarstkach i ponownie nachyliła nad nim, szepcząc mu do ucha:

– Kochasz szczerze? – Przycisnęła wargi do jego ust, dając mu pocałunek, którego pragnął, wprawiając całe jego ciało w drżenie.

– Kocham cię – wyszeptał. – Niech bogowie mają mnie w swojej opiece, kocham cię.

„To nie jest prawdziwe”.

Głos w jej głowie. Głos dziewczyny, która przyglądała się egzekucji swojej rodziny na rynku w Daiyakawie. Dziewczyny, która w cieniu gór Iishi wyrosła na osobę twardą, zimną i zawziętą.

Dziewczyny, która żyła tylko po to, aby uwolnić Aishę, nie dopuścić do ślubu i zniweczyć plany Gildii. Dziewczyny, która całym swoim jestestwem nienawidziła tego mężczyzny, jego panów i całego cesarstwa.

„To nie jest prawdziwe”.

Ale gdy tarzali się w jedwabnej pościeli, gdy czuła jego ręce na swoim

ciele, gdy jego oddech wypełniał jej płuca, prawie zapomniała, kim była, skąd pochodzi i dlaczego jest teraz tu, gdzie jest. Mała dziewczynka z Daiyakawy rozplýwała się, spalała się w ogniu jego dotyku, płomieniu jego języka, umykała przed gorącym jego skóry. Pozostawała tylko ona: kobieta, kochana i uwielbiana, czysta i pozbawiona tego nieznosnego brzemienia, tego lęku życia pod zatrutym niebem.

„To nie jest prawdziwe”.

Prawie zapomniała.

„To nie jest...”.

Prawie.

„To

nie

...



Krew.

Na jego szponach, na języku.

Buruu się obudził. Leżał na czarnym szkłe. Zawodzący głośno wiatr ciskał morską pianą w jego oczy i rany, powodując nieznośne pieczenie. Rozcięcie na brzuchu bolało. Zgiął się i zabrał do wylizywania zmatowiałego futra, pokrytego zakrzepłą krwią, dziękując losowi, że rana była tylko powierzchowna. Najbardziej ucierpiały jego metalowe skrzydła.

Były bezużyteczne.

Niezdatny już do niczego balast połamanych prętów i podartego płótna na barkach, protestujący zgrzytem przy każdym ruchu. Przynajmniej uprząż i rama ochroniły jego grzbiet. Gdyby za jedyną ochronę przed ciosami miał tylko skórę i kości, nie zdołałby walczyć jak równy z równym, szarpać i rwać, szepiony z przeciwnikiem, gdy runęli w dół. Potem jednak żałosne szczątki fałszywych skrzydeł tylko mu przeszkadzały. Poskręcany metal utrudniał ruchy, nie mając w sobie już nic z dawnego syntetycznego wdzięku.

Był słaby i głodny. Wyspa, na której wylądował, była gołą, czarną, okrutną skałą sterczącą ze wzburzonych fal oceanu, tak jakby Susano-ö

oderwał garść obsydianu i mocno ścisnął. Na niewielkim cyplu stała dziwna, wysoka na dwanaście stóp konstrukcja ze skrzyśconego spiralnie metalu. Z jej rdzenia wybiegały dwa grube, żelazne kable, które nikięły w dali nad morską kipiela.

Buruu obrócił głowę i wyczuł w powietrzu znajomą woń: drugi samiec leżał na tej samej wyspie co on, z podbrzuszem rozprutym szponami od klatki piersiowej po podogonie. Martwy? Dyszący żądzą zemsty? Czy też wciąż opanowany pragnieniem zdobycia upragnionej nagrody?

Zapach samicy nadal kładł się ciężką mgłą na zmysłach Buruu, choć teraz był przytępiiony bólem i smrodem własnej krwi. Powoli przez wyjący w mroku wiatr, zacinający deszcz i metaliczny posmak w paszczy, przez gęstą breję feromonów i endorfin przebijająca się natarczywa myśl. Myśl, która wywołała w jego piersi ból ostrzejszy niż dowolna rana, jaką można zadać dziobem czy szponem.

Myśl, że znowu się zagubił.

Że ją zawiódł.

Tak jak wcześniej zawiódł ich.

YUKIKO?

– Buruu!

Yukiko wykrzyczała jego imię, podrywając się do góry na swojej pryczy tak gwałtownie, że skórzane paski krępujące jej nadgarstki wpiły się boleśnie w skórę. Przez chwilę sądziła, że jest z powrotem w górach Iishi. Zdziwiła ją ta cała sól w powietrzu oraz nieobecność woni glicynii i szumu górskiego wiatru. A potem sobie przypomniała, gdzie się znajduje. Przywołała z pamięci jego kształt widziany we śnie i poczuła ulgę tak ogromną, że niemal wybuchnęła płaczem.

„On żyje”.

Sięgnęła Przenikaniem tak daleko, jak tylko dała radę, a potem jeszcze kawałek dalej. Nie zważała na ból i wzbierające nudności.

Wyczuła ledwo dostrzegalny ciepły blask pograżonego we śnie Rudego. Otaczający ją gajjini przypominali burzę świetlików. Hen, w oddali

wyczuła gorąco i kształt samicy arashitory płasającej wśród piorunów. Jaśniała w jej myślach niczym fajerwerki na nocnym niebie. Yukiko wyczuwała też zimne migotanie poniżej, połyskliwe łuski głęboko pod powierzchnią wody. Na skraju postrzegania błysnął świeżo wybudzony gorąc, tak odległy, że ledwo widoczny, rozmyty, prawie niedostrzegalny. Ale ona doskonale wiedziała, co – a raczej kto – to jest.

Pchnęła swój głos daleko w czerni, krzycząc tak głośno, jak tylko zdołała.

„Buruu!”.

Żadnej odpowiedzi. Żadnego znaku, że jej krzyk został w ogóle usłyszany. Yukiko zmówiła szeptem modlitwę do Kitsune, błagając Lisicę o dziewięciu ogonach o obdarzenie jej pomyślnością. Zaciśnęła mocno powieki, sięgnęła głęboko w siebie i z ogromnym wysiłkiem obaliła swój mur, wystawiając się całkowicie na widok. Ostry ból zaatakował wściekle podstawę czaszki i wystrzelił w kierunku skroni. Coś ciepłego i lepkiego skapywało jej z nosa i malowało usta słoną czerwienią.

„Halo?”.

Żadnej odpowiedzi. Nic poza kipiącą czernią, poza pustym, wyjąłym wiatrem.

„Halo?”.

–YÖKAI-K3N. WCIAŻ ŻYJESZ.–

Głos samicy był słaby, przerywany, jakby wołała do niej z wielkiej oddali, usiłując przekrzyczeć szalejący wichur. Yukiko westchnęła z ulgą i ponownie uroniła łzy wdzięczności.

„Tak, żyję”.

–DOBRZE PŁYWASZ.–

„Potrzebuję twojej pomocy”.

–DLA?–

„Mojego przyjaciela. Arashitory, z którym tu przybyłam. Jest ranny. Czy możesz mu pomóc?”.

–POMÓC MU? CZEMU?–

„Jest arashitorą, tak jak ty. Jednym z ostatnich z waszego ga- lunku.

Nie możesz tak po prostu pozwolić mu umrzeć!”

-TU SIĘ MYLISZ.- „Proszę cię!”

-PRZYBYŁAM TU, ŻEBY UNIKNĄĆ MACIERZYŃSTWA, A NIE NIAŃCZYĆ DOROSŁEGO OSOBNIKA JAK NOWO NARODZONEGO KOCIAKA.-

„Przybyłaś tu, żeby żaden tygrys gromu nie mógł się z tobą parzyć?”

-NIGDY WIĘCEJ, MAŁPIA CÓRKO.- Umysł samicy zapłonął nieznośnym żarem.

-NIGDY WIĘCEJ.-

„Cóż, nie odleciałaś wystarczająco daleko. Buruu wyczuł cię z odległości kilku dni lotu, zanim cię zobaczył”

-TU ZAWSZE WIEJE PÓŁNOCNY WIATR. PRAWDZIWE ARASHITORY NIE LATAJĄ NA POŁUDNIE.- „A ten drugi samiec? Też cię musiał wyczuć”

-NO I?-

„Dlaczego nas zaatakował?”

Śmiech w myślach.

-BO JEST SAMCEM, MAŁPIA CÓRKO.- „Cóż, mój przyjaciel jest teraz ranny. Nie może latać i nie jest w stanie polować”

-NO I?-

„No i proszę cię, żebyś mu pomogła. Błagam!”

-NIE-

„Dlaczego nie?”

-NIE POMOGĘ BRATOBÓJCZY.- „Ma na imię Buruu”

-STRACIŁ WSZELKIE PRAWO DO POSIADANIA IMIENIA, YÖKAI-KIN- „...znasz go?”

-LEPIEJ NIŻ TY.-

Kontakt się urwał z trzaskiem jak po uderzeniu biczem, pozostawiając z przodu głowy bolesny ślad. Yukiko skrzywiła się z bólu, wytarła nos o ramię, rozsmarowując krew po ustach i brodzie. Głowa ją bolała, jakby ktoś jej po niej skakał w ciężkich butach. W uszach jej dzwoniło jak na alarm. Czuła się koszmarnie. Jej ojciec zwykł kwitować takie samopoczucie stwierdzeniem: „Czuję się, jakby mi oni nasrali do

głowy”. Wspomnienie ojca przelało czarę goryczy. Zmęczenie pięciu dni opadło na nią w ciemności niczym żelazne kowadło, grożąc zepchnięciem w przepaść.

„Ani mi się waż rozplakać!”.

Przed oczami stało jej jego ciało leżące na stosie pogrzebowym. Nabrzmiałą twarz pokrywał popiół. Wspomniała jego ostatnie słowa wymówione, gdy wykrwawiał się w jej objęciach w przestworzach ponad Kigen. Poszukała w sobie wściekłości, ale nie znalazła jej. Zamiast niej natrafiła na morze łez. Zaciśnęła mocno powieki, tak jakby mogła powstrzymać w ten sposób płacz.

Instynktownie sięgnęła w dal ku Buruu. Był to odruch, tak jak się sięga po czyjąś dłoń, gdy się upada. Ale w pobliżu nic na nią nie czekało. Tylko mała plamka rozmazanego ciepła w zimnej, bezkresnej ciemności, która wypełniała całą przestrzeń niegdyś zajmowaną przez niego. Ciemności przetykanej jedynie głodem czających się w odmętach gadów. I to właśnie zepchnęło ją z krawędzi i posłało w otchłań rozpaczy

Na tyle, na ile umożliwiały to krępujące ją więzy, zwinęła się w mroku jak dziecko w łonie matki.

I zapłakała.

Ze snów wypełnionych ryczącym wichrem wybudził ją zapach ciepłej owsianki i gorącej herbaty. Gdy otworzyła oczy, okazało się, że to, co wzięła za wycie wiatru w sennych marzeniach, było tak naprawdę głośnym burczeniem w jej pustym brzuchu. Przez maleńkie okno wpadało przyćmione, brudnoszare światło dnia. Piotr siedział na brzegu jej łóżka i przyglądał jej się czujnie swoim jedynym zdrowym okiem. Na kolanach trzymał metalową tacę.

Gdy strząsnęła już całkowicie sen z powiek, powiedział coś w swoim szeleszczącym, gardłowym języku, wyciągnął rękę w jej stronę i naciągnął połę jej uwagi na ramiona, zakrywając piersi. Yukiko drgnęła nerwowo, a jej twarz spłonęła rumieńcem. Wnet przypomniała sobie

szaloną wściekłość, jaką zapalała, gdy mężczyzna rozchylił jej tunikę, odsłaniając tatuaż na ramieniu... i wszystko inne.

„Czemu mój tatuaż był dla nich taki ważny?”

Piotr odgarnął zlepione włosy z jej twarzy i podsunął pod usta łyżkę owsianki. Sposób, w jaki na nią patrzył, przyprawiał ją o ciarki, a wspomnienie doznanego upokorzenia wciąż burzyło myśli w głowie. Ale jedzenie pachniało smakowicie, a pusty żołądek głośno domagał się wypełnienia. Przełknęła więc dumę razem z pierwszą łyżką potrawy. Wkrótce wchłonęła całą zawartość miski.

Gdy skończyła jeść, szarpnęła lekko więzy na nadgarstkach i kostkach nóg i spojrzała na nie wymownie.

– Możesz mnie rozwiązać?

– Nie może. – Piotr skrzywił się i potrząsnął głową. – Ładna dziewczyna.

– Dokąd mnie zabierzecie?

Piotr dotknął jej policzka i odgarnął niesforne kosmyki włosów za uszy. Następnie odstawił tacę z miską i kubkiem herbaty i rozsiadł się wygodnie na krześle. Z kieszeni płaszcza wyciągnął fajkę z główką w kształcie ryby i nabił ją tymi samymi wysuszonymi brązowymi liśćmi co poprzednio.

– Lepiej, co ona nie tu. – Potrząsnął głową. – Lepiej dla wszyscy.

– Czy mógłbyś mnie uwolnić? – Yukiko ponownie szarpnęła więzy.

– Za późno. – Gaijin zapalił fajkę swoim ognistym pudełkiem, zassał powietrze przez ustnik, po czym wypuścił z ust kłęb dymu. – Już idzie tu ona, one.

–He?

– Zriaczije – powiedział z ciężkim westchnięciem. – Zriaczije.

– Gdzie się nauczyłeś shimańskiego? – Yukiko przekrzywiła głowę na bok. – Byłeś kupcem?

– Jeńcem – odparł z wyraźnym smutkiem i gniewem w głosie.

Zrozumienie nadeszło razem z falą nudności. Teraz rozumiała, skąd się wzięła ta wrogość w jego zachowaniu. Skąd wymierzony policzek, blizna na twarzy, bielmo na oku, proteza nogi.

Samurajowie uważali, że lepiej jest popełnić seppuku niż wpaść w ręce wroga. Gaijiński żołnierz, który dał się pojmać, był traktowany gorzej od sparszywiałego psa. W oczach samurajów był śmieciem bez honoru czy jakiegokolwiek wartości. Jeśli Piotr został wzięty w niewolę przez wojsko szogunatu podczas inwazji na ziemie gaijinów, wołała sobie nie wyobrażać, czego doświadczył z rąk jej rodaków.

Mężczyzna wydawał się skończonym draniem, ale nikt nie zasługiwał na tortury.

– Przykro mi – wymamrotała pod nosem.

– Przykro? – Gaijin pociągnął z fajki i wydmuchnął struzkę jasnoszarego dymu. – Przykro dla ty zachować.

Wstał, wykuśtykał na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Wiatr wył jak osamotniony pies. Opętańczy jęk wśród mrocznej dziczy, świt oddalony od jej świata o całe życie.

Gdy drzwi zatrzasnęły się za wychodzącym, Yukiko zrozumiała, że jest tutaj zdana tylko na siebie samą. Że jest na niedającej się objąć umysłem metalowej wyspie na samym środku bezkresnego oceanu, otoczona ludźmi uważającymi ją za szpiega, najeźdźcę i wroga. Nie miała nawet pojęcia, w którą stronę miałyby się udać, żeby dotrzeć do lądu. Do tego nikt nie wiedział, że wpadła w tarapaty. A nawet gdyby, to nie wiedzieliby, gdzie jej szukać.

Nikt nie mógł jej pomóc. Nie było przy niej Buruu, który mógłby zanieść ją daleko stąd na swoich skrzydłach. Nie było przy niej Kina, który mógłby zbudować dla nich mechaniczne skrzydła, na których odlecieliby razem ku wolności. Nie było przy niej Kagé, ojca ani żadnego z przyjaciół. Ze zgrozą przyjęła świadomość, że może liczyć tylko na samą siebie. Ale jeśli nie wydostanie się stąd wkrótce, Buruu zdechnie z głodu gdzieś wśród szalejącej bez ustanku burzy. Ślub Hiro odbędzie się bez przeszkód, Aisha zostanie jego niewolnicą i usankcjonuje jego rządy, a jej kraj nie doczeka lepszych czasów i otrzyma tylko nowego szoguna w miejsce starego. Wszystko, do czego dążyli, za co umarł jej ojciec, wszystko to poszłoby na marne.

Należało więc skończyć z siedzeniem w ciemnościach i wyplakiwaniem

się w poduszkę. Dość już czekania na uderzenie pioruna. Nadszedł czas na powstanie z kolan, na wygrzebanie się z tego dołu za pomocą każdego narzędzia, jakie tylko znajdzie.

A nawet jak nie znajdzie żadnego, zawsze ma własne ręce.

Ciepło Buruu, przytłumione dzielącą ich odległością, pulsowało wciąż gdzieś na północy. Musiała się jakoś do niego dostać. Pomyślała o maszynie latającej stojącej na dachu budynku, ale przecież zupełnie nie wiedziała, jak ją uruchomić i jak nią potem sterować. Tygrysyca gromu ewidentnie nie miała zamiaru nawet kiwnąć pazurem, żeby jej pomóc. A co do gajjinów... Danił i Katja wyraźnie uważali ją za wroga, a wspomnienie policzka wymierzonego jej przez Piotra oraz jego obojętności po obnażeniu jej przed pozostałymi wciąż napełniało ją gorzką, bezradną wściekłością.

Ale potrzebowała czyjejś pomocy. Sama nie miała najmniejszych szans na wydostanie się z tego pomieszczenia, nie mówiąc już o uratowaniu Buruu.

Najlepszym wyborem wydawał się Ilja: był młody, nie dogadywał się najlepiej z Daniłem i Piotrem, zdawał się popychadłem, które mało kto szanował. Do tego to przecież właśnie on uratował ją z fal oceanu. To on zaryzykował swoje życie, żeby ją ocalić. To musiało chyba świadczyć o dobrym sercu? O życzliwej duszy? Poczwała nagłe wyrzuty sumienia na myśl o tym, co mogło go spotkać, gdyby pozostali przyłapali go na pomaganiu jej. Szybko jednak je stłumiła; nie mogła zapominać, o jaką stawkę toczy się ta gra. Nie chodziło przecież tylko o jej życie, ale też o życie Buruu i Aishy. A także o los całej Shimy.

Musiała jakoś wrócić, wciąż była nadzieja. Jeśli szybko stąd wyruszą, mieli szansę dotrzeć do Kigen na czas, aby powstrzymać ślub Hiro. Poza tym jeśli nie mogła zawierzyć chłopcu, który skoczył do lodowatego morza pełnego morskich smoków, aby ją wyłowić i ocalić jej życie, to komu, do wszystkich piekieł, miała ufać?

„Ale on nie zna shimańskiego. Jak mam się z nim porozumieć?”

Westchnęła i zamknęła oczy. Otworzyła na nowo Przenikanie, minimalnie, wyglądając tak ostrożnie, jak tylko zdołała, poza otaczający

jej umysł mur. Od razu wyczuła otaczających ją gaijinów: rozmytych i nieokreślonych. Ból głowy zaczął narastać z sykiem jak budzący się ze snu wąż. Yukiko zakwiliła z bólu.

Wspomniała dotknięcie myśli Yoritomo przy Kamieniach Ognia i zgniecenie go na miążgę siłą swojego umysłu. Owszem, wtedy wydatnie wspomógł ją jej ojciec, dodając swoją siłę do jej. Ale cokolwiek się działo w ostatnich tygodniach z jej zmysłem Przenikania, na pewno zyskał na sile wystarczająco dużo, aby potrafiła samodzielnie skrzywdzić inną osobę. Chociaż nie zdołałaby zapewne nikogo zabić, z całą pewnością dałaby radę wywołać krwawienie.

Ale czy umiałaby przemówić do kogoś w myślach?

Nie skrzywdzić – tylko przemówić?

Nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Przenikanie towarzyszyło jej od szóstych urodzin. Małemu dziecku wydawało się czymś całkowicie naturalnym. Potrafiła go użyć, ponieważ nikt nigdy nie powiedział jej, że jest to niemożliwe. Dorastała, traktując swój dar jak coś oczywistego, na równi z chodzeniem i oddychaniem. Ale to, co chciała zrobić, było czymś zupełnie nowym. Czymś, czego nigdy nie próbowała. Przypominało raczej wykonanie gwiazdy czy innej akrobacji niż stawianie jednej stopy za drugą. Czy zrobi mu krzywdę? Zabije go? Jeśli włoży mu do głowy słowa, czy nie wpędzi go w szaleństwo?

Był tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć.

Sięgnęła do Przenikania i rozpoczęła poszukiwania umysłu chłopaka w kotłującym się, kipiącym morzu otaczających ją gaijinów. Niemal natychmiast zorientowała się, że nie potrafi odróżnić jednego osłepiającego splotu myśli od drugiego. Nie umiała odczytać ich umysłów, aby jakoś ich rozróżnić; psychiczne odbicia wszystkich okrągłookich były praktycznie identyczne. A nawet gdyby zdołała ich od siebie odróżnić, nie była pewna, czy potrafiłaby przesłać swoje myśli do czyjejś głowy bez kontaktu wzrokowego.

Kontakt wzrokowy...

„Rudy”.

Zwinięty na kocu w pokoju „jego chłopaka” pies uniósł głowę. Z pyska

zwisał mu strzęp przeżuwanej zwierzęcej skóry. Po chwili zaczął merdać ogonem.

„dziewczyna!”.

„Rudy, czy możesz coś dla mnie zrobić?”.

„spróbuję jestem dobry pies!”.

„Poszukaj swojego chłopaka”.

„jedzenie?”.

„Tak, znajdę dla ciebie jakieś jedzenie”.

Rudy zerwał się ze swojego koca, a Yukiko wślizgnęła się do gładkiej niczym szkło przestrzeni za jego oczami. Przypominało to przechadzkę po bambusowym lesie z czasów jej dzieciństwa, kiedy razem z Satoru, jej bratem, chodzili splątani ze sobą w umyśle ich starego psa, pierwotnego Buruu, który zginał, broniąc ich przed wygłodniałym wilkiem.

Czuła lekką nieciągłość między ruchami psa a jej unieruchomionym ciałem. Jej zmysły zalewała feeria zapachów i krystalicznie wyraźne odgłosy. Gdzieś w trzewiach kompleksu buczały maszyny. Na zewnątrz burza szalała z siłą zdolną niemal poruszyć platformę w posadach. Niestrudzone fale uderzały o żelazne nogi, jak gdyby chciały zmyć nienaturalny twór z powierzchni oceanu, tak aby pozostały po nim tylko rdzewiejący metal i białe kości rozrzucone głęboko na dnie, gdzie nie docierają promienie słońca.

Rudy przemierzał korytarze. Minał duże pomieszczenie zastawione stołami i krzesłami, z którego dobiegał zapach jedzenia, następnie przeszedł koło drzwi prowadzących do dużej sali wypełnionej pryzmami, w której unosił się silny, stęchły i wybitnie męski zapach – były to zapewne koszary. Spróbował wyjść na dach, ale drzwi były zamknięte i pozbawione klapy dla psa. Rudy zawrócił i szedł trzy kondygnacje niżej, po czym wślizgnął się na szeroki korytarz. Po kilkunastu krokach zatrzymał się przed ciężkimi, lekko uchylonymi drzwiami. Pies zaskomlał i zaczął się kręcić nerwowo z uszami położonymi płasko na łbie.

„Co się stało?”.

„tu mi nie wolno...”.

„Czemu?”

„głośne miejsce złe miejsce!”

„Czy twój chłopak jest w środku?”

Rudy powęszył w powietrzu, potem przy podłodze.

„tak...”

„No dalej, zjrzyjmy tam. Jesteś zbyt sprytny, żeby cię złapali”

Wciąż niepewny, ale rozradowany nieoczekiwanym komplementem pies wcisnął pysk w szparę i otworzył drzwi szerzej, po czym wszedł do pomieszczenia przypominającego ogromną centralę ciepłą. Dziesiątki mężczyzn w brudnych czerwonych kombinezonach pracowały przy olbrzymiej płataninie kabli i zaworów z umazanego smarem żeliwa. Z metalowych pierścieni w suficie opadały gigantyczne, lśniące szklane spirale. Ich dolne końce były zatopione w dziwnych, pokracznych maszynach upstrzonych wskaźnikami o nieznanym przeznaczeniu, gęsto nawiniętymi miedzianymi cewkami i szklanymi walcowatymi naczyniami wypełnionymi gęstą cieczą barwy moczu. Nagle uderzenie gromu zatrzęsało ścianami i całą aparaturą, do wtóru jęku potężnych mocowań. Sufit rozbłysnął światłem błyskawicy; szklane spirale wypełniły się oslepiającym błękitno-białym blaskiem, odbijającym się niezliczonymi rozbłyskami na szklach gogli zakrywających oczy gajjinów. Wszystkie żarówki w pomieszczeniu na krótką chwilę rozzarzyły się jaśniej. Yukiko poczuła, jak od statycznej elektryczności w powietrzu futro na grzbiecie Rudego staje dęba.

Pomieszczenie wypełnił głuchy syk, jakby ktoś wysysał z niego powietrze. Rudy skulił się, gdy czysta elektryczność przebiegła po miedzianych zwojach i wpadła do naczyń z żółtym płynem. Yukiko było wstyd, że podstępem zwabiła tu psa i naraziła go na coś, czego najwyraźniej panicznie się bał. Jednak wspomnienie ранnego Buruu szybko zdusiło wszelkie wyrzuty sumienia. Zebrani w pomieszczeniu ludzie zaczęli pokrzykiwać do siebie, po czym rzucili się do przełączania dźwigni i zaciskania kabli. Gdy światło przygasło, do sali wjechały niskie metalowe wózki. Gajjini załadowali na nie szklane zbiorniki, po czym wywieźli wzdłuż torów wychodzących z drugiej strony pomieszczenia.

Ciecz wewnątrz pojemników zmieniała kolor na jarzący się błękitno-biały. Zewnętrzna strona ścianek naczyń pokrywała się powoli szronem. Wysoki pisk, który dotąd atakował uszy psa, zaczął cichnąć. W powietrzu rozchodziła się ostra woń ozonu.

„Łapią niebo...”.

„trzymają w słojach głupi nie można zjeść nieba!”.

„Poszukajmy twojego chłopaka”.

„tu mi nie wolno...”.

„Rudy, proszę”.

„krzyczą na mnie i biją”.

„Proszę?”.

Pies zaskomlał.

„nie chcę być zły pies”.

„Rudy...”.

„idę stąd jestem dobry pies”.

Rudy skierował się do wyjścia. Przed oczami Yukiko ponownie stanął Buruu – wykrwawiający się i zdychający z głodu na jakiejś wyspie wśród szalejącego sztormu. Jej najlepszy na całym świecie przyjaciel, jej brat, którego ceniła bardziej niż życie. Wzbierające poczucie winy wykrzywiło jej twarz i zaparło dech w piersiach. Sięgnęła więc w głąb Przenikania i umocniła je, uczyniła twardym jak żelazo. Nie był to już głos łagodnej sugestii ani nawet subtelnej manipulacji. Był surowy i brutalny, podporządkowujący sobie cudzą wolę. Posługiwanie się nim przypominało dzieło lalkarza pociągającego za sznurki podskakującej na ich końcach kukiełki. Ból głowy pulsował tak mocno, jakby lada chwila miał rozsadzić jej czaszkę. Po wargach pociekła ciepła struga.

„Rudy, rób, co mówię”.

Już nie prosiła, lecz rozkazywała.

Pies ponownie zaskomlał cicho, po czym podwinął ogon i posłusznie wykonał polecenie.

Przekradł się przez pomieszczenie wśród krzyków i odganiania ze strony gajjinów. Yukiko zauważyła, że żaden z robotników nie miał na kołnierzu insygniów; żaden też nie nosił zarzuconej na ramiona

zwierzęcej skóry. Wyglądali na bardziej zaniedbanych od Daniła i jego ludzi. U kilku dostrzegła blizny pooparzeniowe na odkrytych partiach skóry.

Węch psa zaprowadził go na kładkę ze stalowej siatki prowadzącej przez gęstwinę rur i zaworów ręcznych pomalowanych jasnoczerwoną farbą. Na pobliskiej ścianie wisiał duży obraz pokryty gajjińskim pismem. Rysunek przypominał pajęczynę. Spory węzeł w samym środku był połączony z mniejszymi węzłami za pomocą cienkich, fluorescencyjnych drutów. W każdym z tych mniejszych węzłów znajdowała się szklana bańka, a obok nich widniały dziwne symbole. Żarówka na samej górze świeciła słabym błękitno-białym światłem. Również przewód łączący ją z centralnym węzłem jarzył się lekko. Światło powoli przygasało wraz z zanikiem statycznej elektryczności w powietrzu. W jednym z dolnych rogów wokół czegoś przypominającego kompas owinięty był stylizowany smok morski. Nagle Yukiko zrozumiała, na co patrzy.

To była mapa farmy błyskawic i otaczających ją wież.

Gajjini byli nachyleni nad pobliskim stołem z wieloma wskaźnikami i pokrętłami. Wkrótce jeden z nich zauważył Rudego stojącego pod ścianą. W polu widzenia psa pojawiła się wielka postać w mundurze, którą Yukiko szybko rozpoznała jako Daniła. Mężczyzna wrzeszczał głośno z wściekłością. Rudy przypadł do podłogi. Błękitno-białe światło odbijało się od spłaszczonych hełmów samurajów zdobiących ramiona olbrzyma.

„mówiłem ci ja teraz zły pies...”.

„Przepraszam, Rudy, naprawdę”.

Danił podniósł ciężki klucz i z kolejnym wściekłym rykiem rzucił nim w psa. Zza płataniny rur wyłonił się Ilja z ociekającą wodą ścierką na kiju. Na jego policzku widniał siniak w kształcie dłoni. Olbrzym uderzył chłopaka w potylicę, strącając jego gogle na podłogę. Ilja schylił się po nie, po czym chwycił Rudego za obrozę i pociągnął go w dół po schodach, ganiąc go w swoim dziwnym języku. Yukiko wyczuła wstyd psa oraz lekką urazę zmieszaną z zakłopotaniem i niepewnością,

dłaczego właściwie zrobił coś, co robią tylko złe psy. Dziewczyna poczuła okropne wyrzuty sumienia. Podszyty współczuciem niepokój, że przekształciła zmysł Przenikania w coś tak otwarcie złego, wręcz okrutnego.

Złagodziła więc z psem, mrugając intensywnie i oblizując krew zasychającą na jej górnej wardze. Na próbę ostrożnie wyszła przez oczy Rudego i spróbowała dotknąć myśli chłopaka. Ból głowy stał się wprost nieznośny, jakby ktoś miażdżył jej podstawę czaszki wielkim metalowym imadłem. Musiała wyżyć wszystkie siły, aby nie stracić kontroli i utrzymać się w hałasie i świetle ludzkiego umysłu, tak całkowicie odmiennego od umysłów zwierząt, w których przebywała przez większość swojego życia.

Chłopak ciągnął Rudego po podłodze sali łapania błyskawic i dalej, przez podwójne drzwi i w górę po spiralnych schodach. Yukiko spróbowała przemówić w jego głowie, sformułować słowa, które Ilja mógłby zrozumieć, ale nie zdołała ich utrzymać w ryzach i wymknęły się jej, przyjmując postać niezrozumiałego hałasu przypominającego puste rury upadające na mokre podłogę.

Chłopak się zatrzymał i rozejrzył ze zmarszczonymi brwiami. Rudy zaskomlał i najeżył sierść na grzbiecie. Yukiko czuła wyraźnie zaniepokojenie psa instynktownie wyczuwającego, że coś jest nie w porządku.

Spróbowała ponownie, chcąc sformułować pozdrowienie i przesłać je przez psa, ale i ono rozpadło się jak zamek z piasku, który próbuje się chwycić dłonią. Wyszedł jej tylko zniekształcony zlepek głosek wymieszany z syczącym szumem. Ilja przekrzywił głowę na bok i zamknął mocno powieki, po czym zatkał nos i spróbował odblokować uszy. Yukiko wycofała się, utrzymując się na skraju jego ciepła. Chłopak chwycił ponownie Rudego za obrozę i pociągnął go dalej w górę schodów.

„To nie działa, nie potrafię tworzyć słów”.

Odnosiła wrażenie, że konstrukcje werbalne w głowie chłopaka zbyt się różniły od tych w jej umyśle. Przypominało to próbę włożenia

kwadratowych klocków do okrągłych otworów. W przypadku zwierząt nigdy nie natrafiła na barierę językową, ale może działo się tak dlatego, że zwierzęta tak naprawdę do porozumiewania się nie używały żadnego języka? Może zmysł Przenikania nie powstał z myślą o komunikacji na poziomie mowy?

Ale co innego mogła zrobić? Jak inaczej mogła pokonać dzielącą ich barierę? Musiała znaleźć sposób komunikacji, który będzie zrozumiały dla nich obojga...

Wtedy przypomniała sobie górującego nad nią Daniła, jak przesuwiał ostrze katany wzdłuż jej tatuażu. Nie odrywał oczu od wizerunku zdobiącego jej skórę, od symbolu, który rozumiał bez wyjaśnień z jej strony.

„Kicune. Samuraje”.

To było to!

To było rozwiązanie.

„Nie słowa, obrazy”.

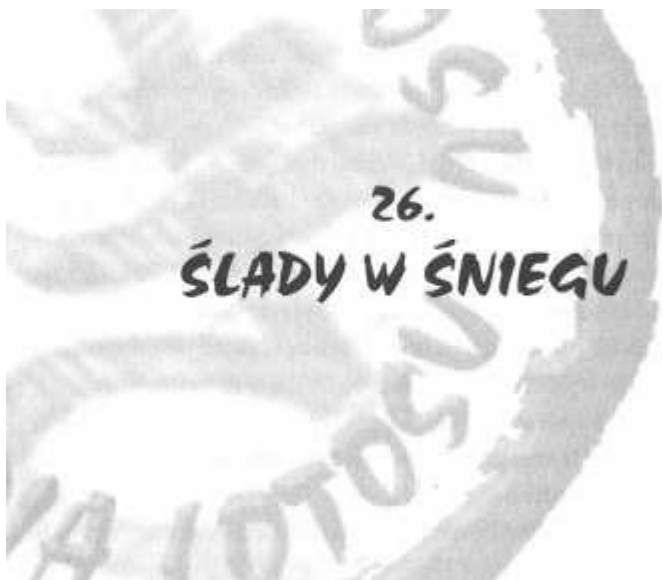
Yukiko uformowała obraz i wysłała go do umysłu Ilji. Była to wizja jej samej tonącej pod falami oceanu i jego wskakującego do wody, żeby ją uratować. Chłopak stanął i oparł się o barierkę schodów, przyciskając dłoń do czoła. Wysłała kolejny obraz, jej i Buruu lecących po bezchmurnym niebie. Próbowała zawrzeć w tej wizji podstawowe emocje, ciepło przyjaźni i zaufania.

Ilja chwycił barierkę, aby zachować równowagę, tak jakby ktoś przed chwilą uderzył go w twarz. Puścił obrozę Rudego, spojrział w górę schodów, po czym zaczął wchodzić powoli, ostrożnie. Pies człapał w ślad za nim. Ciężkie kroki na metalowych stopniach odbijały się echem na klatce schodowej. Wkrótce dotarł do właściwego podestu i ruszył korytarzem w stronę drzwi prowadzących do pomieszczenia, w którym była uwięziona.

Uczucie było dezorientujące, niemal mdłące. Widziała korytarz oczami chłopca, Rudego idącego przy jego nodze, słyszała odgłos kroków jego uszami, a jednocześnie odgłos tych samych kroków rejestrowała coraz wyraźniej własnym zmysłem słuchu. Zakończyła więc pełny kontakt i

otworzyła oczy. Wytarła nos o ramię najlepiej, jak zdołała, po czym oparła się o ścianę. Na koniec wysłała do umysłu gajjińskiego chłopca ostatni obraz: niej samej, bezbronnej, przestraszonej i sponiewieranej, ze skrępowanymi nadgarstkami i błagalnym spojrzeniem, zrozpaczonej i samotnej, wyglądającej jego, jej jedynej nadziei.

I gdy Ilja kilka chwil później otworzył drzwi, zobaczył właśnie to.



Dzentelmen uklęknął na satynowej poduszce u szczytu długiego dębowego stołu. Odbijające się w wypolerowanym lakierze blatu wiszące pod sufitem żarówki przypominały maleńkie gwiazdki migoczące z wigorem, o którym prawdziwe gwiazdy nad dachem budynku mogły tylko pomarzyć. Z sąsiedniej sali dobiegały miękkie dźwięki koto i shamisenu, częściowo zagłuszone przez warkot znajdującego się w piwnicy generatora.

Stół nakryto dla ośmiu osób. Przed każdym z obecnych stały talerz oraz czarka na sake z dobrej jakości porcelany. Przy każdym nakryciu położono śnieżnobiałą serwetkę z drobno tkanego płótna. Po prawicy Dzentelmena siedział księgowy Jimen. Pozostałe miejsca zajmowali porucznicy yakuzy. Ich umięśnione ciała poznaczone były licznymi bliznami. Zmrużone oczy lśniły w jasnym świetle. Pięciu mężczyzn i jedna kobieta, wszyscy rozebrani do pasa. Każdy skrawek skóry poniżej szyi aż po nadgarstki pokrywały piękne, zawile tatuaże. Ludzkie płótna prezentujące dzieła największych artystów w całym Kigen.

Seimi opierał zwinięte pięści na kolanach. Klęczący obok niego Hida co chwilę pocierał jedno ze swoich pokaźnych uszu.

W pokoju było chłodno, jak przystało na jesienną porę. Lekko

oszałamiająca woń alkoholu przytumiła smród potu i wyziewów chi opadających spod niedalekich iglic. Przez wychodzące na zatokę okna Seimi widział dobrze horyzont pomalowany na odcienie nocy. Na tle nieba odznaczały się ciemne sylwetki zacumowanych lotostatków, samotnych niczym porzuceni kochankowie.

I ani krztyny wiatru.

– Bracia. – Jimen potoczył wzrokiem po zebranych. – Dżentelmen pragnie wam wszystkim podziękować za przybycie.

Wszyscy porucznicy objęli dłońmi pięści i się pokłonili. Dżentelmen skinął głową w odpowiedzi, niezmiennie zachowując milczenie.

– Dlaczego tu jesteście? – zapytał Jimen.

Członkowie jakuzi wymienili niepewne spojrzenia. Nikt się nie odezwał.

Dżentelmen odczekał dłuższą chwilę, oddychając miarowo. Smętne dźwięki instrumentów unosiły się w powietrzu niczym woń stęchłej chi.

Potem nagle klasnął w ręce.

Do pokoju weszło pół tuzina służek z podkreślonymi węglem oczami wbitymi w podłogę i twarzami pomalowanymi bladą farbą przywodzącą na myśl wygłodniałych umarłych. Ubrane w różowe kimona, przepasane wielkimi kokardami w kolorze deszczowych chmur gejsze stąpały lekko niczym dym. Przed każdym z poruczników położyły z delikatnością i precyzją godną ceremonii parzenia herbaty dwa podłużne, cylindryczne pakunki zawinięte w papier ryżowy. Następnie wszystkie służące ukłoniły się Dżentelmenowi i wyszły pospiesznie z pomieszczenia, ani na chwilę nie odrywając wzroku od podłogi.

– Otwórzcie je – odezwał się Jimen.

Salę wypełnił szelest rozdzieranego papieru. Przejrzyste wstążki opadły łagodnie na ziemię. Seimi wpatrywał się w podarki: grubszy pakunek skrywał tantó w krótkiej, lakierowanej pochwie, z rękojeścią wykładaną masą perłową. Drugim prezentem był sześcio- calowy żelazny pilnik: chropowaty i zupełnie zwyczajny.

– Wszyscy zawiedliście naszego oyabuna. – Jimen mówił głosem spokojnym, pozbawionym nawet cienia złości, wodząc wzrokiem od

twarży do twarży. – Każde z was pozwoliło się okraść tym rysztołowym śmieciom, którzy nękają naszą organizację. Każde z was otrzymuje teraz możliwość odkupienia swojej winy.

Dżentelmen wciąż milczał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Czekał cierpliwie z istic lodowcowym spokojem.

Seimi i Hida spojrzeli po sobie, po czym wzięli leżące przed nimi serwetki. Chwilę później wszyscy porucznicy poszli w ich ślady i zawiązali śnieżnobiały węzeł wokół ostatniego stawu małych palców u lewej dłoni. Kilka palców było już pozbawionych czubków, w związku z czym ich właściciele byli zmuszeni zawiązać materiał wokół drugiego stawu. Seimi dobył tantó z pochwy i przyglądał się siniejącemu paznokciowi. Pomieszczenie wypełnił odgłos dobywanych ostrzy.

Jeden nóż pozostał jednak w pochwie.

– Nakai-san. – Jimen spojrział lodowatym wzrokiem w stronę tego, który nie dobył noża. – Odmawiasz?

Wszyscy zebrani zwrócili oczy na zapytanego. Mężczyzna był od nich nieco starszy, związane w czub włosy zaczynała już przyprószać siwizna. Jego tatuaże częściowo wyblakły, czernie przechodziły stopniowo w błękity. Węzłowate mięśnie, przekrwione oczy i lekko szarawy odcień skóry wskazywały na nadużywanie w ostatnim czasie fajki. Wpatrywał się w miejsce, z którego powinien wyrastać jego mały palec. Palcowi serdecznemu brakowało już czubka. Uniósł dłoń i zwrócił ją do Dżentelmena, mrugając nad okaleczonymi palcami.

– Oyabunie – powiedział. – Będę miał problem z utrzymaniem miecza.

– Do czego potrzebujesz miecza? – Jimen uniósł pytająco brew. – W towarzystwie swoich braci i swojej siostry?

– Nie tu. – Nakai wskazał ruchem głowy okno. – Tam.

– Na ulicach?

– Hai.

– Na ulicach, na których dzieci bawią się w cieniach, których kiedyś się lękały? Na których dwóch uliczników wystarcza, żeby zmusić porucznika Dzieci Skorpiona do oddania sakwy z żelazem i uciezki z podwiniętym ogonem? Te ulice masz na myśli, Nakai-san?

– Nie zwracaj się do mnie w ten sposób – wybuchnął Nakai. – Jesteś pieprzonym księgowym, gryzipiórkiem. Gównu wiesz o życiu w tym mieście.

– Wiem wystarczająco dużo, by rozumieć, że okrywasz się właśnie hańbą. – Głos małego człowieczka był cichy, miękki i niebezpieczny. – Tak samo jak okryłeś się hańbą, gdy oddałeś nasze monety dzieciom.

– Mieli miotacz żelaza. Co niby miałem zro...

Dżentelmen poruszył się niemal niezauważalnie dla oka. Nakai urwał w pół zdania, wpatrując się z głupim wyrazem twarzy w rękojeść tantō sterczącą z jego piersi. Po brzuchu ściekała mu cienka strużka krwi. Wziął wdech drżącymi ustami i zakrzuszył się szkarłatem. Chwycił rękojeść noża, zabulgotał, po czym padł twarzą na stół. Na wypolerowanym drewnie zaczęła się tworzyć kałuża krwi. Do woni potu i dymu dołączył smród moczu.

– Miałeś zrobić właśnie to, Nakai-san. – Dżentelmen wytarł i bez tego czyste dłonie w serwetkę. – Coś takiego zdecydowanie by ci się przysłużyło.

Nakai drgnął i zastygł w bezruchu.

– Wiedźcie, że nie wstydzę się za żadne z was. – Dżentelmen potoczył wzrokiem po twarzach zebranych. – Ale muszę wam z całą szczerością powiedzieć, że nigdy nie byłem z was mniej dumny.

Seimi położył z płaskim rozcapierzoną dłoń na talerzu, po czym jednym płynnym ruchem odciął czubek małego palca. Pozostali porucznicy yakuzy poszli w jego ślady, odcinając sobie kawałki najmniejszych palców. Krew wypływająca na talerze była jasna, niemal jaskrawa. Wszyscy podnieśli dłonie z talerzy, pozostawiając na nich blade kawałki palców, przycisnęli serwetki do świeżych ran i zwinęli dłonie w pięści. Seimi wpatrywał się w talerz. Zauważył, że paznokieć nie był już fioletowy.

Dżentelmen skinął głową, wziął z podgrzewanej tacy butelkę sake i napełnił swoją czarzkę, po czym wznosił ją do toastu i zaczął, aż wszyscy zebrani uczynią to samo. Zanim spełnił toast, spojrzął każdemu głęboko w oczy.

– Za Dzieci Skorpiona! – rzucił ostro.

– Za Dzieci Skorpiona! – odpowiedziało mu sześć okrzyków.

Wszyscy wychylili swoje czarki, po czym odstawili je z powrotem na stół. Kilkoro z nich wymieniło niespokojne spojrzenia, ale nikt nie palił się do zabrania głosu. Ostatecznie Hida warknął, chwycił w dłoń żelazny pilnik i wyciągnął go w stronę oyabuna.

Dzentelmen uśmiechnął się do niego.

– Hida?

Dzentelmen nigdy się nie uśmiechał.

– Dlaczego? – Hida wodził wzrokiem od oyabuna do pilnika i z powrotem.

– Ogar. Ogar, który wytropił złodziei, bracie.

– Skąd wiedzą, skąd i dokąd nosimy urobek? – odezwał się Seimi, zaciskając żółte pniaki, które uchodziły u niego za zęby, aby nie pozwolić bólowi dłoni przeniknąć do głosu. – Nigdy nie podążamy tą samą trasą, a napadli nas już cztery razy z rzędu.

– Nie atakują melin – wtrącił krzepki mężczyzna z ospowatą twarzą o imieniu Bao. – Napadają nas w drodze. Z zasadzki, jak nefrytowa żmija. Jak cienisty pająk.

– Ktoś od nas? – Geisu, jedyna kobieta w towarzystwie, wypowiedziała na głos obawę, którą dzielili wszyscy, ale do której nikt nie miał dotąd odwagi się przyznać. – Ktoś nas zdradził?

– Niemożliwe – padły wymamrotane pod nosem odpowiedzi. – Nie do pomyślenia.

– Jak zatem to robią? – Seimi uderzył zdrową dłonią w stół.

Na krótką chwilę zapanował rozgardiasz, ponieważ każdy chciał koniecznie przedstawić swoje domysły. Głos Dzentelmena uciął zgiełk równie sprawnie, jak ostrza tantō chwilę wcześniej odcinały palce.

– Zapytamy, kiedy ich złapiemy.

– Jak? – Hida wciąż trzymał pilnik w dłoni i wpatrywał się w oyabuna.

– Ślady w śniegu, bracie. – Dzentelmen ponownie się uśmiechnął. – Ślady w śniegu.



Wargi i nos Daichiego były pokryte krwawą pianą, różową niczym hiacynty kwitnące na zachodnich stokach. Jęczał przeciągle, co rusz targały nim wstrząsy. Z każdą chwilą puls był słabszy, a światło w jego oczach powoli gasło.

Stara Mari sprawnie przecięła paski przytrzymujące jego pogięty napierśnik, odrzuciła bezużyteczne żelazo i rozsunęła poły uwagi. Cała klatka piersiowa, od obojczyków po pępek, była pokryta sińcami. Mari miała całe zakrwawione ręce, włosy kłębiły się na jej głowie w chaotycznym nieładzie. Spojrzała na przyglądających się Kagé i krzyknęła do nich ostrym, roztrzęsionym głosem:

– Jeśli nie macie zamiaru mi pomóc, wynoście się stąd! – Obróciła się do czekającej obok młodej dziewczyny. – Suki, przynieś mi tu więcej latarni. Eiko, potrzebuję wrzątku. Nie obchodzi mnie, skąd go weźmiesz, byle szybko. I niech ktoś mi przyniesie, na miłość Amaterasu, trochę lotosu!

Daichi podkulił nogi, walcząc z kolejnym spazmem bólu. Zakaszłał, wykrztuszając głównie krew. Miał przebite płuco i Mari wiedziała, że niewiele może zrobić. Kilku mężczyzn przytrzymało Daichiego, aby mogła spokojnie zbadać rany starca. Ucisnęła delikatnie żebra i poczuła,

jak pod jej palcami kości przesuwają się z chrzęstem. Zaklęła głośno i ponownie zawołała o więcej światła.

– Czy on umrze?

Kaori stała parę kroków dalej, do szczytu zdruzgotana, trzęsąc się na całym ciele. Przemoczona od deszczu grzywka przykleiła się do blizny na jej twarzy. Przekrwione stalowoszare oczy lśniły wściekłością i rozpaczą. Widzieć, jak ojciec odchodzi w ten sposób...

– Nie umrze – odparła Mari. – Nie, jeśli ja mam coś do powiedzenia.

Ale nie miała nic do powiedzenia i dobrze o tym wiedziała. Daichi był już w pół drogi do Góry Kości. Z każdym chrapliwym oddechem z kącika ust wyciekała nowa strużka krwi, tworząc coraz większą kałużę pod jego głową. Każdy wdech był okupiony bólem, pierś unosiła się coraz słabiej i słabiej. Z każdym kolejnym uderzeniem serca ciśnienie krwi spadało gwałtownie.

Najlepsze, co wszyscy mogli zrobić, to modlić się o możliwie bezbolesną śmierć.

– Gdzie ten lotos? – wrzasnęła Mari.

Usłyszała jakąś wrzawę na zewnątrz, do lazaretu zbliżała się fala gniewnych głosów. Kaori uniosła wzrok i na widok wchodzącego do pomieszczenia przemoczonego do suchej nitki Kina skrzywiła się, zaciskając mocno zęby, niczym sam Enma-ó. Za chłopakiem wkroczyła wysoka, szczupła dziewczyna o oczach barwy mokrej ziemi, z ciemnymi włosami ledwo odrastającymi od skóry czaszki. Jej usta miały kolor zwiędłych róż i były tak pełne, że sprawiały wrażenie opuchlizny po uderzeniu. Szła boso, ubrana tylko w płócienną hakamę i brudną uwagi z dziurą wyrwaną z tyłu, z której wystawała przymocowana do jej pleców srebrna kula z pękiem zwiniętych, połyskujących, metalowych owadzych kończyn.

W drzwiach zebrała się grupa gapiów, spoglądających ponuro za parą byłych członków Gildii i mamroczących złowrogo pod nosem.

– Mari, znasz Ayane – powiedział Kin.

– Bogowie w niebiosach... – wyszeptała staruszka.

– Co to ma znaczyć? – syknęła Kaori. – W jaki sposób udało ci się

opuścić celę?

– Przyszła tu, żeby pomóc, Kaori – odparł Kin.

Ayane podeszła do zakrwawionego stołu, szybko oceniając stan Daichiego. Nachyliła się nad głową przywódcy Kagé i odciągnęła kciukiem jedną z powiek. Następnie przycisnęła mu dwa palce do szyi i przysunęła ucho do jego ust, aby posłuchać grzechoczącego mu w płucach oddechu. Starzec zakaszłał, opryskując jej twarz krwią. Dziewczyna się wyprostowała, odwróciła do Kina i zamrugła. Po chwili zamrugła ponownie.

– Płuco mu się zapadło – odezwała się w końcu. – Wkrótce umrze.

– Na wszystkich bogów w niebiesiach, czyś ty, gildiarzu, oszalał? – Kaori piorunowała Kina wzrokiem, nie kryjąc swojego oburzenia. – Czy naprawdę sądzisz, że pozwoliłabym tej przekłętej pokrace choćby dotknąć mojego ojca?

– Wolisz, aby umarł? – odpowiedział pytaniem Kin.

– To szaleństwo. Wsuniesz przewody do jego ciała? Podepniesz go do jednego z tych przeklętych mechalicydeł? Prędeż bym go pochowała, najchętniej z wami obojgiem.

– Co w ciebie wstąpiło? – Kin uderzył dłońmi o blat stołu. – Ona może uratować życie twojego ojca, a ty jej odpłacasz groźbami? – Potoczył wściekłym spojrzeniem po twarzach ludzi zagląających do lazaretu przez drzwi i okna. – Czy to nie wy macie przynieść wolność tej wyspie? Powinniście dawać przykład, a nie...

Kaori zbliżyła się do Kina i stanęła tak blisko, że ich twarze dzieliło zaledwie kilka cali.

– Gdyby nie twoje przekłete maszyny, nie leżałby tu umierający!

– To przez twoich kompanów tu leży! Kaori, miotacze zostały rozmyślnie zepsute!

– Oboje marnujecie czas. – Przez narastający zgiełk przebił się głos Ayane; miękki jak jedwab, a zarazem ostry jak sztuczne kończyny na jej plecach. – Z całym szacunkiem, ale jemu nie zostało już wiele życia. Jeśli nie zrobimy nic, możemy równie dobrze zacząć się z nim żegnać. Doprawdy nie dostrzegam, w jaki sposób pozwolenie mi na podjęcie

próby uratowania mu życia może pogorszyć jego stan.

Kin potarł dłonią głowę i spojrzał butnie w oczy Kaori.

– I co ty na to, Kaori? Zaufasz Ayane czy też będziesz się przyglądać, jak twój ojciec kona?

Kaori przeniosła wzrok na Daichiego. Wyraźnie się męczył, walczył coraz słabiej. Oddychał płytko przez zaciśnięte, pokryte krwią zęby. Na twarz jego córki stopniowo wkradał się strach. Najpierw wślizgnął się na czoło, potem powędrował w dół, aż sięgnął kącików ust. Stała z dłońmi zwiniętymi w pięści i zaciśniętymi zębami. Oddychała ciężko, drżąc na całym ciele. Spojrzała na Ayane. Mijające sekundy zdawały się rozciągać w minuty, w godziny, w dni. Wtem Daichi zaniósł się potężnym kaszlem, który zatrzęsł całym jego ciałem i pomalował jego usta świeżą czerwienią. Kaori przyklękła przy boku ojca i ścisnęła jego dłoń, walcząc z napływającymi do oczu łzami.

– Czy naprawdę możesz go uratować, dziewczyno?

Mechaniczne ramiona na plecach Ayane rozwinęły się jedno po drugim niczym ogon pawia. Metal lśnił jasno w świetle latarni. Dziewczyna dotknęła krwi spływającej powoli po jej twarzy i roz-
tarła ją w palcach, jakby w ten sposób chciała ją zbadać.

– Mogę go uratować.

Kaori westchnęła, po czym skinęła krótko głową.

– Zatem zrób to.



28.

RUCHOME OBRAZY

W słowach drzemie wielka moc.

Są słowa, które nas rozśmieszają; są też takie, które wyciskają nam łzy z oczu. Słowa, od których się zaczyna, i słowa, którymi się kończy. Słowa, które chwytają nas za serce i ściskają je mocno, które wzruszają nas do głębi. Słowa tak piękne, że nas kształtują, zmieniają nie do poznania, żyją w nas tak długo, jak długo mamy w płucach dość powietrza, aby je wypowiedzieć. Są słowa zapomniane; słowa, które zabijają; słowa wspaniałe i przerażające, i okropne. Są słowa prawdziwe.

Ale są też obrazy.

Z początku proces był powolny. Ilja siedział naprzeciw Yukiko na pryczy, a ona wysyłała do jego myśli obrazy, po czym czekała na jego niezgrabne odpowiedzi. Chłopak wpatrywał się w nią z rozszerzonymi oczami i otwartymi ustami. Chociaż nie miał pojęcia, jak to wszystko było możliwe, zdawał się wystarczająco oczarowany i zaintrygowany, aby nie marnować czasu na dociekania.

Obrazy przesyłane przez Ilję były nieostre, jakby malowane palcem na deszczu, o rozmytych i zlewających się na brzegach barwach. Z kolei obrazy Yukiko były bardzo szczegółowe, jasne i pełne żywych barw. Szybko zdołali jednak znaleźć wspólny język, a dziewczyna nauczyła się

pojmować znaczenie skrótów myślowych gaijina i odgadywać jego intencje. Starła się zabarwić swoje myśli emocjami, aby uznać ją za kogoś mu przyjaznego, ale nie była w stanie ocenić, czy osiągnęła jakikolwiek skutek.

Zaraz na samym początku tej niecodziennej rozmowy Yukiko pocięła krew z nosa. Długo musiała tłumaczyć, że nie ma się co tym przejmować, bo chodzi o dużo ważniejsze rzeczy. Ból głowy był tak nieznośny, że czuła się, jakby czaszka miała jej zaraz pęknąć na pół. Mur, którym się ponownie odgradziła od świata, trząsł się w posadach, z najwyższym trudem utrzymując ogień Przenikania w ryzach. Lecz było coś, co spajało cegły, co nie pozwoliło zaporze rozsypać się w drobny mak. Coś w głębi niej, coś silnego, jasnego i zdesperowanego. Może zrodzonego z obawy o Buruu zagubionego gdzieś w mroku nocy? A może przyczyną tego była wściekłość na własną bezradność i niemożność ruszenia mu z pomocą?

Zaczęła od pokazania Ilji wycofujących się po śmierci Yoritomo armii shimańskich, wchodzących na pokłady lotostatków i odlatujących na zachód. Starła się mu przekazać, że wojna dobiegła końca, że ona nie była wrogiem, a przynajmniej nie dla niego.

W odpowiedzi młodzieniec ukazał jej spalone plony na polach i zniszczone zabudowania. Zabijanych bez litości gaijińskich żołnierzy wymachujących białą flagą. Obozy jenieckie i zawodzące dzieci zaciągane na lotostatki; dzieci, których nikt już nigdy więcej miał nie zobaczyć.

Ona pokazała mu wtedy śmierć Yoritomo na rynku Kigen i pusty tron.

Ilja odpowiedział wizją postawnej kobiety siedzącej z ponurą miną na kamiennym tronie. Sprawiała bardzo złowrogie wrażenie. Miała blond włosy i, tak samo jak Katja, oczy w różnych kolorach – jedno było czarne, drugie zaś w barwie lśniącego różowego kwarcu. Ciało chroniła żelazna zbroja z pękami czarnych piór upiętymi na ramionach. Na głowie miała czaszkę jakiegoś olbrzymiego ptaka z groźnym, zakrzywionym dziobem. U jej stóp leżało dwanaście gwiazd. Nachyliła się, jedną po drugiej zebrała je z podłogi i ułożyła na podolku.

Pokazał jej całe legiony gaijinów o poważnych twarzach, ze skórmi wielkich wilków i niedźwiedzi na ramionach, dzierżących obnażone miecze. Flotę statków, prawdziwych żelaznych fortec unoszących się na wzburzonym morzu, zasilanych błyskawicami, które ściągali z nieba.

A następnie ukazał jej klepsydrę, w której przesypał się już prawie cały piasek.

Yukiko porzuciła więc temat wojny i skoncentrowała się na Buruu. Przywołała obrazy z wielkiego polowania na pokładzie „Dziecięcia Gromu”, z czasu spędzonego samotnie w górach Iishi, z okresu niewoli w Kigen. Na koniec pokazała mu bitwę z samurajami Yoritomo na piasku areny. Ilja przyglądał się temu z podziwem. Otworzył szeroko usta i bezwiednie gładził dłonią futro zarzucone na ramiona.

Potem w odpowiedzi przesłał stylizowaną sylwetkę Yukiko z wysoko wzniesioną kataną. Słońce rozświetlało jej długie włosy, a u jej stóp klęczały tysiące samurajów. Cały obraz był wyraźnie podszyty niepewnością.

Chłopak uniósł pytająco brwi.

Yukiko uśmiechnęła się i pokręciła głową, po czym pokazała mu osadę Kagé w górach, tę oazę spokoju, w której razem z Buruu leżeli w promieniach słońca rozproszonych w koronach drzew. Spokojne życie.

Ilja zmarszczył brwi, tak jakby nie do końca rozumiał.

Pokazała mu więc obraz Buruu leżącego z powykrzywianymi łapami i wykrwawiającego się na zimnym kamieniu. Do tego dodała igłę kompasu wskazującą północ i wieżę, którą widziała w swoim śnie o tygrysie gromu.

Ilja pokręcił głową i przesłał jej uproszczoną wersję mapy, którą widziała na ścianie w dolnej części budynku. Były na niej dziesiątki wież rozrzuconych po wielu okolicznych wysepkach. Nie wszystkie były podłączone bezpośrednio do farmy błyskawic – większość kabli biegło od wieży do wieży i dopiero na koniec do centralnego węzła, niczym nici dziwacznej pajęczyny. Jeśli obraz, który mu pokazała, był zgodny z prawdą, Buruu znajdował się na samym końcu jednej z linii.

Wiele mil stąd.

Yukiko sięgnęła po jeden z jego wcześniejszych obrazów, ten przedstawiający klepsydrę z kończącym się piaskiem, a następnie dodała do niego jedzenie i szkielet arashitory na czarnej skale.

Wyciągnęła rękę w jego stronę, naprężając mocno skórzany pas krępujący jej nadgarstek. Zmarszczył brwi i ujął ją za dłoń. Ucisnęła mocno jego palce.

– Proszę – powiedziała, czując zbierające łzy. – Proszę.

Ilja westchnął i spojrział na drzwi. Po chwili wstał, unikając jej wzroku, wskazał Rudego ręką i wydał ostrą komendę. Rudy położył się na ziemi i zaczął merdać ogonem.

– Zaczekaj. – Yukiko się wyprostowała i zmarszczyła brwi. – Dokąd idziesz?

Chłopak odpowiedział jej coś w swoim dziwnym języku, uniósł otwarte dłonie, jakby chciał ją uspokoić, po czym obrócił się i wyszedł zamyślony z pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi.

„Rudy, dokąd on poszedł?”

„nie wiem ja zostaję tutaj jestem dobry pies”.

Yukiko wsłuchiwała się w odgłos oddalających się kroków Ilji. Nie miała pojęcia, czy się jej udało przekonać go, aby zdecydował się jej pomóc, i poszedł właśnie po zapasy na drogę, czy też raczej zmierza do Daniła i zaraz o wszystkim mu opowie. Jednocześnie po raz pierwszy od przybycia tutaj znalazła się sama w jednym pomieszczeniu z Rudym.

Zatem niezależnie od tego, jaką decyzję podjął chłopak, ona nie miała zamiaru czekać beczynnie.

Pies zdążył przegryźć jeden z pasów krępujących jej ręce i był już w połowie drugiego, gdy usłyszała ciche kroki na korytarzu.

Spojrzała na Rudego, który zamarł z zębami wbitymi w skórzany pas, zastrzygł jednym uchem i począł merdać ogonem.

„Czy to Ilja?”

Pies zamrugał.

„Twój chłopak, czy to twój chłopak tam idzie?”

„...nie”.

Yukiko naprężyła rękę i po chwili zdołała zerwać naruszony psimi zębami pas. Zgięła się wpół i pospiesznie rozsypała więzy na kostkach u nóg. W tym czasie kroki zdążyły dotrzeć do połowy korytarza. Szybko zeskoczyła z łóżka i gdy drzwi zaczęły się otwierać, ona już czekała gotowa w cieniu.

Do ciemnego pomieszczenia weszła, kulejąc, jakaś postać. Yukiko uderzyła i błyskawicznie zarzuciła obcemu na głowę prześcieradło, po czym wymierzyła kopniaka w zgięcie kolana. Postać upadła na ziemię z wizgiem tłoków i stłumionym okrzykiem bólu. Yukiko chwyciła urządzenie tkwiące w kaburze przy pasie swojej ofiary i je wydobyła. Postać ściągnęła z głowy prześcieradło i obróciła się twarzą do dziewczyny. Yukiko rozpoznała Piotra, który był teraz równie blady co krępująca go jeszcze przed chwilą pościel. Uniósł ręce w geście poddania się.

– Stój! – Jedyne zdrowe oko spoglądało na przyrząd trzymany przez dziewczynę. – Nie!

Yukiko szybko się zorientowała, że mężczyzna był pijany. Spowijający go smród alkoholu był tak silny, że można go było kroić nożem. Dziewczyna wycelowała trzymane urządzenie w jego głowę i położyła palec na czymś, co uznała za spust.

– Co tu robisz? – zapytała groźnie, cedząc słowa przez zęby.

– Proszę. – Wskazał ręką korytarz. – Proszę. Ja chcę twoja.

– Dlaczego? Czego ode mnie chcesz?

– Użyć cię. – Oblizwał wargi i zlustrował ją od stóp do głów, jakby chciał ją pożreć wzrokiem. – Ciało, użyć dla ciała.

– Moje ciało?

Opuścił ręce, oparł dłonie na jej ramionach, po czym zsunął je na jej piersi. Yukiko się cofnęła, wykrzywiając usta z odrazą.

– Proszę. – Piotr ponownie zlustrował ją z góry na dół, po czym przyłożył palec do ust. – Chcę twoja. Chodź dla mnie. Musimy iść.

– Ty chory draniu – warknęła.

– Chory? – Mężczyzna zmarszczył czoło. – Nie być chory, być...

Urwał, gdy jej kolano wbiło się z impetem w jego krocze.

Z ciężkim sapnięciem zgiął się wpół i wtedy dziewczyna uderzyła go łokciem w szczękę. Głowa Piotra odskoczyła w bok, z ust trysnęła ślina wymieszana z krwią. Oczy uciekły w górę i mężczyzna upadł z głuchym stukiem na posadzkę. Rudy zeskoczył z łóżka i obwąchał twarz mężczyzny, po czym polizał go po nosie, merdając ogonem z nadzieją.

„zabiłaś?!”

„Nie, tylko ogłuszyłam”.

Rozmasowała obolały łokieć i spojrzała z najwyższą pogardą na leżącego u jej stóp gajjina.

„Chociaż może i powinnam była go zabić. Cholerny zwyród- nialec, mógłby być przecież moim ojcem”.

Szybko przeszukała ubranie mężczyzny, znalazła fajkę z główką w kształcie ryby, woreczek z dziwnymi, wysuszonymi liśćmi, którymi nabijał fajkę, oraz pęk żelaznych kluczy na kółku. Chciała się bliżej przyjrzeć dziwnej broni, ale wtedy Rudy usłyszał zbliżające się kroki Ilji. Yukiko wstała i wycelowała przyrząd w światło drzwi, nie wiedząc, jak pomagający jej chłopak zareaguje na widok nieprzytomnego towarzysza.

Ilja zatrzymał się w progu i zmarszczył brwi. Gdy jego wzrok przyzwyczał się do mroku, dostrzegł Yukiko z bronią w dłoniach. Uniósł w zdziwieniu jedną brew, upuszczając trzy niesione torby na ziemię. Gdy dostrzegł leżącego Piotra, uniósł ręce, tak żeby je widziała, przyklęknął szybko przy mężczyźnie i sprawdził jego puls. Gdy wyczuł tętno, wybuchnął cedzonym przez zęby potokiem niezrozumiałych słów, okraszając go żywą i gniewną gestykulacją.

W odpowiedzi Yukiko wysłała do jego głowy obraz napastującego ją Piotra z dłońmi na jej piersiach. Chłopak momentalnie zamilkł i spojrzał na leżącego towarzysza z dziwnym wyrazem twarzy. Po chwili wstał i położył pocieszająco rękę na jej ramieniu, ale ona się cofnęła. Ilja nie ponowił gestu i pozwolił swojemu ramieniu opaść luźno wzdłuż boku. Odwrócił się do przyniesionych toreb, przyklęknął przy nich i zaczął przeszukiwać największą z nich. Po chwili rzucił Yukiko brudny czerwony kombinezon, solidne buty i żółty gumowy sztormiak.

Dziewczyna nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień. Szybko włożyła kombinezon i sztormiak (oba za duże na nią), po czym przysiadła na brzegu łóżka i wzięła buty (też za duże). Wstała, zarzuciła na głowę kaptur sztormiaka i zaciągnęła troczki po bokach twarzy tak mocno, jak tylko zdołała.

Ilja w międzyczasie zarzucił sobie na ramiona dwa zwoje grubej liny. Gdy zobaczył, że dziewczyna jest już gotowa, zdjął jedną linę z ramienia i powiesił jej na szyi. Następnie chwycił mniejsze torby i podał jej jedną z nich. Była ciężka i śmierdziała surowymi rybami. Domyśliła się, że w środku musi być pożywienie dla Buruu, i poczuła nagły zalew wdzięczności wobec tego obcego chłopaka o oczach w kolorze zmatowiałego srebra.

Podeszła do niego i pocałowała go w policzek, uważając, aby nie urazić napuchniętego, fioletowego już siniaka. Jego skóra była gładka i smakowała solą.

– Dziękuję, Ilja – powiedziała.

Gaijin uśmiechnął się ciepło, podrapał po potylicy i oblał rumieńcem. Dziewczyna następnie nachyliła się nad Rudym i pozwoliła mu polizać się po nosie.

„Zostań tu, dobrze?”

„nie mogę iść z wami?”

„Nie możesz, chyba że umiesz latać”.

„tutaj przyleciałem”.

„Naprawdę?”

„z domów na wodzie”.

„Z domów?”

„tak wiele, takie głośne!”

–Yukiko.

Dźwięk jej imienia wypowiedzianego przez Ilję wyrwał ją z myśli psa. Chłopak skinął głową w stronę drzwi i dał dłonią znać, żeby za nim poszła.

„Do widzenia, Rudy. I przepraszam za wcześniej, za to, że zmusiłam cię do bycia niegrzecznym”.

Podrapała go czule za uszami.

„Jesteś dobry pies. Zawsze”.

„a ty dobra dziewczyna”.

Słaby, smętny uśmiech.

„Nie taka dobra”.

Naciągnęła kaptur głębiej na twarz i opuściła swoją celę w ślad za gajjińskim chłopcem.

– Chyba sobie żartujesz!

Wyjący wiatr porывał słowa z jej ust i rzucał je na zatracenie w padającym niemal poziomo deszczu. Bocznyymi schodami koło pokoju z pojemnikami na pioruny ostrożnie weszli na sam dach. Niebo było tak zachmurzone, że było ciemno jak w nocy. Widzieli cokolwiek tylko dzięki grubej bańce żarówki w ścianie.

Nad ich głowami przetaczały się ciężkie, czarne chmury, rozcinane co chwilę przez jasne błyskawice w akompaniamencie przeraźliwego huku gromu. Yukiko odnosiła wrażenie, że ogląda pokaz slajdów. Wszędzie dokoła sterczały miedziane wieże, ku których szczytom, niewidocznym w panującym mroku, biegły pary kabli grubości jej przegubu. Z dołu dochodził huk fal oceanu roztrzaskujących się na metalowych wspornikach budowli, wprawiających ją w ciągłe dygotanie. Kable buczały na wietrze, dokładając do hurgotu bębnow Raijina metaliczny kontrapunkt.

Ilja zaśmiał się i podał jej jakieś urządzenie, po czym wyjął drugie dla siebie z szafki u podstawy wieży. Yukiko przyjrzała się otrzymanemu przyrządowi i poczuła, jak żołądek spływa jej do stóp.

Było całkowicie wykonane z żelaza, śliskiego od deszczu i smaru. Do metalowego krzyżaka przymocowano cztery wyżłobione wzdłuż obwodu gumowe kółka. Po bokach wystawały uchwyty przypominające pokrętko korby. Do zacisku w dolnej części krzyżaka przymocowana była skórzana uprząż. Ilja był już w połowie zakładania swojej. Yukiko wzdrygnęła się ze strachu na myśl o tym, co podejrzewała, że za chwilę

zrobią. Przełknęła ślinę i zaczęła mocować się ze swoją uprzężą, smagana porywistym wiatrem i siekącym deszczem. Gdy po szczególnie silnym podmuchu omal się nie przewróciła, oparła się o barierkę, aby utrzymać równowagę. Piorun uderzył gdzieś na południe od nich. Po chwili żywa elektryczność popędziła kablami na dach budynku. Yukiko aż podskoczyła i osłoniła oczy od oślepiającego błękitno-białego blasku bijącego od ogromnej maszynerii za nimi. Na całym ciele poczuła silną gęsią skórkę.

Ilja spojrział na kłębiące się nad nimi chmury, po czym wspiał się na wieżę, wykorzystując miedziane zwoje jako drabinę. Zarzucił swój przyrząd na podwójny kabel; wyłobienia w kółkach pewnie osiadły na grubych przewodach. Płynnym ruchem odbił się nogami od wieży i pojechał jakieś trzydzieści stóp wzdłuż kabli w otaczający platformę mrok. Przez chwilę dyndał w uprzęży pod krzyżakiem, po czym złapał uchwyty po bokach kółek i zaczął nimi obracać. Wózek powoli toczył się z powrotem w stronę wieży. Następnie Ilja zakręcił korbami w drugą stronę, aby jej pokazać, że przyrząd umożliwia jazdę w obu kierunkach. Po tym małym pokazie spojrział na nią i się uśmiechnął.

„Latający lis”.

– Co się stanie, kiedy piorun uderzy w nasze kable? – zawołała Yukiko, starając się przekrzywić wyjący wicher.

Ilja uniósł pytająco brew.

– Piorun!

Dziewczyna wskazała na niebo, następnie powiodła palcem wzdłuż kabli i najlepiej jak potrafiła, zademonstrowała wybuch.

W odpowiedzi Ilja uniósł wyprostowany palec, włożył go w metalowe kółko z przodu uprzęży i pociągnął. Nagłe uprzęż puściła i chłopak runął w dół na spotkanie ciemności pod nimi.

Yukiko krzyknęła, przechyliła się przez barierkę i wyciągnęła rękę w stronę spadającego gaijina, chociaż dobrze wiedziała, że nie zdoła go dosięgnąć. Ale po przebyciu około pięciu stóp Ilja zatrzymał się nagle i zawisł na naprężonej gumowej linie. Chłopak rozpostarł ramiona i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, kręcąc się wokół własnej osi

niczym wietrzne dzwonki.

– Drań – wymamrotała Yukiko pod nosem.

Ilja wspiął się po linie, zarzucił nogi na kable i spokojnie zaczął uprząć z powrotem w uchwycie krzyżaka. Następnie krzyknął coś do niej i machnął zachęcająco ręką.

Yukiko oblizwała wargi; smakowały świeżą solą i czystym deszczem. Knykcie obu dłoni pobierały jej od kurczowego zaciskania palców na barierce. Serce łomotało w piersi, a we wnętrzościach czuła wzbierające ze strachu mdłości. Chmury nad ich głowami ponownie przeciął łuk błyskawicy. Wtedy właśnie Yukiko popełniła błąd i spojrzała w dół. Ocean był czarną, szalejącą otchłanią, ryczącą i atakującą zaciekle podpory platformy wysokimi na dwadzieścia stóp falami. Nie to jednak było najgorsze. W ułamku sekundy, gdy błyskawica rozświetliła powierzchnię wody, zanim widok przesłonił jej ponownie wszechogarniający mrok, zobaczyła przecinający fale lśniący węzowy ogon.

Smoki morskie.

Sięgnęła w dół Przenikaniem i wyczuła je: gładkie niczym wypolerowana stal, zimne, ostre i głodne. Ich kształt był przedwieczny, wzbudzał w niej silny pierwotny lęk, dużo głębszy od obawy, że piorun uderzy w kable, gdy będą się wzdłuż nich posuwać. Jej umysł instynktownie się wycofał, uciekł niczym małe dziecko biegnące schować się pod kołdrą w łóżku rodziców.

Ze strachu trzęsły jej się ręce.

Gdy jednak przywołała obraz Buruu, samotnego i wykrwawiającego się w ciemności, zacisnęła zęby, sięgnęła w górę, chwyciła latającego lisa, wspięła się na wieżę i zamocowała przyrząd na kablach.

Wzięła głęboki wdech, wstrzymała oddech i z rozszerzonymi źrenicami rzuciła się w smaganą wichrem ciemność.



Czasem Hiro wciąż czuł swoją dłoń.

Budził się w środku nocy z powodu swędzenia lub skurczu. Sięgał wtedy w stronę prawej ręki i znajdował tylko pusty materac, śliski pocałunek jedwabnej pościeli. Szukał po omacku w miejscu, gdzie powinna być jego ręka, aż natrafiał na nędzny kikut, który mu pozostał; na nierówne blizny po szwach, resztki chrząstki i przecięte mięśnie oznaczone metalowymi gniazdami. Poniżej ramienia nie zachowała się mu nawet połowa bicepsa. I wtedy, w nieruchomej nocnej ciszy, przywoływał przed oczy jej twarz. I oddawał się marzeniom o wszystkich sposobach, na jakie mógł ją zniszczyć.

–Yukiko.

Wyszeptał jej imię, jakby było trucizną na jego języku. Za każdym razem, gdy budził się z kikutem zamiast prawej ręki; za każdym razem, gdy czuł swędzenie nieistniejącej dłoni; za każdym razem zatruwała go na nowo. Tkwiła w nim, wniknęła do każdej komórki jego ciała. Była jak rana, która nie chce się zagoić. Jak blizny czarnego popiołu odpływające w dal pod jego stopami, warczenie silników przenikające jego kości do samego szpiku niczym rak.

Pancernik „Błogosławiona Światłość” odznaczał się na porannym

niebie jak ciemny odcisk palca. Smoliście czarny na tle krwistej czerwieni firmamentu podpalanego od wschodniego horyzontu przez panią Amaterasu. Hiro stał na dziobie okrętu w towarzystwie pół tuzina Żelaznych Samurajów. Promienie budzącego się ze snu słońca barwiły ich zbroje koloru kości płomienną czerwienią. Daimyo klanu Tora założył ręce za plecami i lustrował przesuającą się pod nimi znękaną glebę prowincji Jukai spojrzeniem swoich oczu zielonych jak morze.

Na zachodzie widniały ośnieżone szczyty gór Tónan. Gdzieś wśród nich znajdowała się niezdojta siedziba Gildii Lotosu – Pierwszy Dom. To właśnie tam dwa wieki temu, tuż po objęciu tronu przez Kazumitsu, zaczęła się rewolucja technologiczna Gildii. W tym czasie zaibatsu Tygrysa, Smoka, Feniksa i Lisa zaczęły pochłaniać mniejsze klany. Wielka czwórka upajała się krwią Sokoła, Pandy, Węża i innych.

To właśnie tutaj, całe wieki temu, wyhodowano pierwszą odmianę krwawego lotosu, która umożliwiła produkcję chi. Niegdyś były to najżyźniejsze ziemie w całym cesarstwie. Teraz gleba była wyschnięta na popiół, a ze szczelin wydobywał się czarny dym. Krajobraz wyglądał tak, jakby mistrz pędzla włożył cały swój kunszt w namalowanie najpiękniejszych widoków pod słońcem, a potem jakaś zazdrosna kochanka pomazała płótno całymi garściami węgla, po czym wystawiła tak zrujnowany obraz na niszczące działanie promieni słońca w gorący dzień. Na mapach te zniszczone ziemie były wciąż opisywane jako prowincja Jukai – co znaczyło „wiecznie zielone”. Ale mieszkańcy Shimy od dawna używali innej nazwy.

Skaza.

– Jest coraz gorzej. – Hiro zerknął na stojącego obok niego członka Gildii. – O wiele gorzej.

Drugi Kwiat Kensai nie spoznał w dół. Jego krwistoczerwone oczy cały czas były zwrócone w stronę poligonu przed nimi. Wschodzące słońce składało jasny pocałunek na jego doskonałym metalowym policzku, na gładkich rysach wyrzeźbionego młodzieńca wyrzygującego przewody aparatu oddechowego. Z każdym tchnieniem jego masywny kombinezon syczał i wyrzucał w powietrze śmierdzące spaliny. Głowa

dziecka osadzona na ciele potwora.

– Gdy odtworzymy zapasy inochi, wszystko wróci do normy. – Dudniący głos Kensaia wzbudzał niemiłe wibracje we wnętrzościach Hiro. – Ale teraz sam widzisz, dlaczego wojna musi zostać wznowiona. Potrzebujemy więcej jeńców, szogunie. Więcej gajjinów, którymi moglibyśmy nakarmić lotos. I więcej ziemi, na której moglibyśmy go posadzić.

Hiro zmarszczył brwi. W jego głowie kłębiły się niedające mu spokoju myśli.

– Czy nie ma innego sposobu? Jakiegoś...

– Nie – przerwał mu Kensai, krzyżując ramiona na metalowej piersi. – Pewne ofiary są konieczne. Lotos musi kwitnąć.

– Dręczą mnie myśli...

– Natura nie zna litości. Krew cielecia gasi pragnienie tygrysa. To prawo nie zostało wymyślone przez Gildię. To uniwersalna prawidłowość rządząca wszystkim na tym świecie, szogunie.

– Nie nazywaj mnie szogunem.

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nim nie jestem. To, że przywódcy dwóch klanów raczyli przyjąć zaproszenie na mój ślub, nie oznacza, że zechcą złożyć mi przysięgę posłuszeństwa.

– Uklękną przed tobą, młody panie. Wszyscy.

– A jeśli nie? W jaki sposób klany mają walczyć z Kagé czy gajjinami, jeśli całe swoje wysiłki poświęcą na walkę między sobą. Mam zbudować tron z kości moich rodaków?

– Nie musisz walczyć z pozostałymi klanami, szogunie. Oni wszyscy potrzebują tylko jasnego i silnego przywództwa. Sztandaru wystarczająco wspaniałego i strasliwego, aby chcieli pod nim walczyć. – Kensai wskazał coś w oddali. – I my to właśnie ci damy.

Hiro skierował wzrok na poligon wyłaniający się z gęstych chmur popiołu. Za lasem drutu kolczastego wyrastały spowite dymem kuźnie i huty przypominające krwawe ropnie na martwej ziemi. Po przerdzewiałych torach toczyły się ciężko pociągi dowożące rudę żelaza i

węgiel z kopalń w sercu Shimy. Wśród tego wszystkiego wiły się szerokie drogi wysypane czarnym żwirem, wzdłuż których stały liczne wieże strażnicze. Na poligonie panował duży ruch. Wszędzie chodzili ludzie w kombinezonach, setki palników migotały niczym gwiazdy na dawno straconym niebie. Wtem wzrok młodego daimyo padł na długie rzędy opancerzonych machin, przypominające żołnierzy gotowych do musztry. Nawet w spoczynku kolosy były wysokie na piętnaście stóp. Ich wygięte ramiona kończyły się ostrzami pił łańcuchowych. Każda maszyna miała cztery grube jak pnie drzew nogi. Ich żółta skóra lśniła w promieniach palącego słońca. Były ich setki.

Hiro uniósł brwi.

– Pilarze?

– Kagé gnieźdzą się w kniei porastającej zbocza gór Iishi – odparł Kensai. – Wytniemy więc cały las.

Hiro zmrugał oczy, usiłując przebić wzrokiem duszący całun okrywający okolicę i przyjrzeć się dokładniej majaczącemu olbrzymiemu kształtowi otoczonemu rusztowaniami. Lotosowcy pracowali nad czymś ogromnym, rozświetlając pancierz błękitnymi płomieniami palników i jasnym ogniem tryskającym z dysz ich rakietowych plecaków. Członkowie Gildii wydawali się przy tym monstrum mali jak owady. Śpiący olbrzym otoczony chmurą komarów; zbyt wielki, aby poczuć ich ukąszenia. Trzysta stóp żelaza, osiem nóg zwiniętych pod pękatym tułowiem jak pająk czyhający na ofiarę. Ramiona zakończone piłami łańcuchowymi o zębach wielkości dorosłego człowieka. Tłoki rozmiarów domów, wystający z pleców rząd olbrzymich kominów odcinających się na tle nieba niczym ostrza mieczy. Grzmot jego silników brzmiał jak głośny huk trzęsienia ziemi.

Maszyna, kolos, monstrum z czarnego żelaza, wypluwające z siebie jeszcze czarniejszy dym.

Hiro wpatrywał się w maszynę z podziwem.

– Co, na wszystkich bogów...

– Patrzysz na zgubę Kagé.

Hiro otarł gogle z popiołu i przyjrzał się lepiej olbrzymowi. Niczego

takiego nie widział nawet w snach; była to ogromna, dudniąca, żelazna niemożliwość.

– Cienie mają swojego chorążego – podjął Kensai – teraz my mamy własnego. Nasze dzieło będzie krzykiem, który zjednoczy zaibatsu. Smok, Feniks, Lis: żaden z nich nie będzie na tyle głupi, żeby posyłać swoją armię do ataku na taką maszynę. Wszyscy, jeden po drugim, okażą ci posłuch. A ty ich poprowadzisz, powiedziesz ich do Iishi i wytniesz wszystkie drzewa, zmiądzysz każdy kamień, zniszczysz co do jednej kryjówki, w których mogliby się schronić buntownicy. Pomścisz swojego pana i odzyskasz honor. Zabijesz Nieczystą i wszystkich głupców, którzy za nią podążają.

Hiro oblizał wargi; smakowały wyziewami chi. W gardle poczuł gorzki posmak adrenaliny. Z trudem przełknął ślinę.

– Niesamowite.

– Za kilka tygodni kolos będzie gotowy do wymarszu. Cała Shima zadrzy na wieść o jego nadejściu. A ty będziesz kroczyć przed nim i żaden daimyo nie będzie już miał najmniejszych złudzeń co do tego, kogo popiera Gildia. Położymy kres tej bezsensownej wojnie domowej i ponownie zjednoczymy armie wszystkich klanów. Kagé muszą zostać wyeliminowani, a ta obmierzła Nieczysta musi spłonąć.

Choć twarz Kensaia skrywała maska, Hiro wyczuł w tonie jego głosu, że wewnątrz swojego hełmu Drugi Kwiat się uśmiecha.

– A mówiłeś, że nie lubisz niespodzianek. – Kensai się skłonił i okrył pięść dłonią. – Szogunie.

Hiro spojrział na górującego nad okolicą kolosa z żelaza i dymu. Zamknął oczy, nabrał do płuc dławiącego powietrza, rozkoszował się smakiem chi na zębach i języku. Ponownie poczuł swędzenie palców straconej dłoni. Otrzymane od Gildii żelazne ramię zadrzało współczująco. Przypomnienie tego wszystkiego, co ona mu zabrała. Obietnica tego wszystkiego, co on zabierze jej.

– Czy nazwaliście to już? – zapytał.

– Oczywiście. – Kensai rozpostarł szeroko ramiona. – Oto Miażdżyciel.

Ziemia była morzem popiołów, po którym snuły się czarne opary. Każde stąpienie wzbijało w górę chmurę czarnych drobinek, które wirowały wokół ich nóg i spowijały całych dławiącym całunem. Promienie wschodzącego słońca próbowały przebić się przez chmury pyłu. Cały krajobraz był szary, wyprany z kolorów. Powietrze było zimne jak śnieg. Znajdowali się gdzieś na wschód od Pierwszego Domu, największego bastionu Gildii. Przeszli już wiele mil od skraju ziem, gdzie wieki temu zasiano po raz pierwszy krwawy lotos, bezpowrotnie zatruwając glebę.

Ryusaki dobrze wiedział, dlaczego to miejsce nazywano Skazą.

Aparat oddechowy kapitana Kagé był kompletnie zatkany i tym samym bezużyteczny. Ryusaki odnosił wrażenie, że nosi przymocowany do twarzy kamień. Mechanizm w środku urządzenia przestał działać poprzedniego dnia. Teraz na straży między trującymi oparami a jego płucami stały tylko paski filtrów. Mistrz miecza jeszcze nigdy nie czuł się taki brudny. Czuł się, jakby odbył długą kąpiel w ściekach, po czym w ramach schnięcia tarzał się w gnijących zwłokach. Każdy kolejny oddech był okupiony ciemnym bólem, powieki się mu kleiły pod goglami od czarnych jak węgiel łez. W ustach całkowicie mu zaschło, więc nawet nie mógł oblizać spękanych warg. Nie odważył się jednak zdjąć nawet na chwilę aparatu oddechowego, żeby się napić, choćby na jeden łyk.

Wiedział dobrze, że Gildia zbudowała swoją fabrykę w Skazie nie bez powodu – jeśli ktokolwiek spróbowałby się tu dostać powietrzem, przechwyciłyby go pancerniki. Drogi i kolej prowadziły do wąskiego gardła górskiej przełęczy, która była bez przerwy obserwowana. Zaś przejście łądem przez martwe ziemie praktycznie równało się samobójstwu. Jako żołnierz nie miał wyjścia i podziwiał tych drani.

– Chłopcy, jak sobie radzicie? – Ryusaki obejrzał się przez ramię na swoich towarzyszy.

Shintaro i Jun wyglądali okropnie. Nie widział wyrazu ich twarzy, bo przesłaniały im je aparaty oddechowe i gogle, a dodatkowo od stóp do

głów byli szczelnie owinięci płótnem. Improwizowanego ubioru ochronnego dopełniały ciężkie rękawice i buty. Po ich ociężałym chodzie widział jednak wyraźnie, że martwe ziemie miały na nich równie zgubny wpływ co na niego. Jun odczuwał trudy podróży szczególnie mocno; poprzedniej nocy zwymiotował do swojego aparatu oddechowego i żeby go wyczyścić, musiał zdjąć maskę z twarzy. A to oznaczało konieczność oddychania przez chwilę otaczającymi ich toksycznymi oparami. Oczy miał przekrwione tak bardzo, że niemal lśniły za szkłem gogli.

W odpowiedzi na swoje pytanie Ryusaki uzyskał jedynie uniesiony kciuk zmęczonego Shintaro. To musiało mu wystarczyć. Stary sensei ruszył dalej, z każdym krokiem czując, jak powierzchnia ziemi pod jego nogami kruszeje, tak jakby szedł po wyschniętej na wiór skorupie. Głębokie odciski butów w zalegającym na glebie pyłe znaczyły szlak ich wędrówki od północnej linii kolejowej. Udało im się dostać niepostrzeżenie do wagonów przewożących rudę żelaza i dojechać na gapę tak blisko poligonu, jak tylko się odważyli. Przedostatniej nocy zeskoczyli z pociągu na nasyp kolejowy i rozpoczęli swój marsz.

„Jeden dzień i dwie noce w piekłach...”.

Daichi potrzebował ochotników. Ryusaki dobrze rozumiał ryzyko, gdy się zgłosił. Ale wiadomość z ich komórki w Kigen nie pozostawiała raczej wyboru: Gildia budowała coś ważnego w Skazie, a na tym etapie wielkiej rozgrywki Kagé nie mogli sobie pozwolić na nieznaną tego, z czym przyjdzie im się zmierzyć. Gdyby tancerka burzy zdążyła wrócić, rada mogłaby skorzystać z jej oczu. Ponieważ jednak wciąż jej nie było, trzeba było to zrobić w ten trudniejszy sposób, czyli tak jak to robili przez lata, zanim przybyła do nich dziewczyna na swoim tygrysie gromu.

Ryusaki nie miał nic przeciwko.

Trójka Kagé przedzierała się przez pustkowia, podążając w ślad za smugami spalin lotostatku. Po martwych polach szalał zimny wiatr, ale nie potrafił rozwiać toksycznej mgły. Opary lgnęły do ziemi, jak małe dziecko lgnie do swojej matki. Ziemia była spękana gorzej, niż pamiętał.

Niektóre szczeliny były głębokie na dziesięć stóp, a część z nich była tak szeroka, że nie mogąc ich przeskoczyć, musieli schodzić na dno i potem wspinać się na powrót na powierzchnię. W tych mrocznych kanionach powietrze było jeszcze gorsze; gęsty jak smoła, zimny jak sama śmierć, lepki smog całkowicie tłumił światło dnia. Gdy zeszli do najgłębszej ze szczelin, Ryusaki mógłby przysiąc, że usłyszał melodyjny, słodki głos szepczący tuż na granicy słyszalności, zbyt cichy, aby rozróżnić słowa.

Kobiocy głos...

Maszerowali dalej, jeden posuwisty krok za drugim, aż do dygotania kolan i krwawienia stóp. Wtem Jun padł na kolana, ponownie wymiotował do aparatu oddechowego ohydną, czarną mazią, która trysnęła aż na szkła jego gogli. Ryusaki był całkowicie bezradny, mógł tylko stać i patrzeć, jak młodzieniec zrywa maskę i ponownie wymiotuje, tym razem wyrzucając z siebie fontannę szarej brei zabarwionej obficie szkarłatem, po czym pada twarzą na spaczoną ziemię.

Zanim upadł, Ryusaki dostrzegł, że jego oczy stały się całkowicie czarne.

„Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata”.

Wyszęptali modlitwy do Enma-ó, prosząc Wielkiego Sędziego o sprawiedliwe osądzenie krótkiego życia ich towarzysza. Nie mieli nic, co by mogli złożyć w ofierze; ani jednej drewnianej monety dla duszy na drogę, ani kawałka kadzidła. Ryusaki spoglądał na czarny popiół, który już zdążył oblepić twarz chłopaka, i miał szczerą nadzieję, że on wystarczy, aby jego dusza została wysłuchana w Piekielnych Dworcach. W końcu był wynikiem spalenia całej okolicy, to powinna być wystarczająca ofiara dla każdego sędziego.

Wiele mil, wiele godzin zabójczego marszu przez tak gęste trujące opary, że oczy Ryusakiego zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Obraz falował, w głowie mu szumiało, na języku czuł cierpki smak śmierci. Wkrótce potem nogi ugięły się pod dźwigającym plecakiem Shintaro. Ryusaki szarpnął towarzysza w górę i pomógł mu w stać, po czym poklepał go po ramieniu i obiecał duży kubek danroan- skiego sake po

powrocie. Chłopak już niemal majaczył, ale przytaknął i ruszył naprzód. Szedł przygarbiony, powłócząc nogami, niczym skazaniec w drodze na szafot.

Zmierchało już, gdy się wdrapali na szczyt niewielkiego wzgórza i przez gęste czarne chmury ujrzeli swój cel.

Poligon Gildii.

Nad ziemią unosiły się pancerniki przypominające rozdęte muchy lotosowe. Pani Amaterasu udawała się już na nocny odpoczynek, więc otoczony gęstym ogrodzeniem z drutu kolczastego teren rozświetlały tylko lampy halogenowe i błękitne płomienie palników. Ryusaki drżącymi palcami odczepił od pasa lunetę, pobieżnie oczyścił szkło z popiołów, klnąc pod nosem, po czym przytknął okular do gogli. Przymknął jedno oko i przez zmrużone powieki drugiego, mrugając co chwila z powodu napływających bez ustanku czarnych łez, dojrzał długie rzędy potężnych maszyn. Na szybko naliczył ich blisko setkę. Cztery nogi, żółty pancerz, ramiona zakończone piłami łańcuchowymi. Z powodu ogromnego zmęczenia dopiero po pewnym czasie rozpoznał w nich pilarzy.

„Po co Gildii cały legion tych maszyn?”

Gdy po chwili pojął plany lotosowców, syknął przez zaciśnięte zęby.

„Żeby wyciąć cały las...”

Pokręcił głową i już miał zawracać, kiedy coś dostrzegł. Mgnienie na skraju widzenia, nieco ciemniejszy cień w morzu innych cieni. Coś olbrzymiego i czarnego w chmurach smogu. Kiedy jednak Pani Słońce dotknęła horyzontu i rozbłysła na czerwono tuż przed zaśnięciem, zobaczył to: rozdęty tułów, liczne zębate ostrza; kolos z grzebieniem kominów na grzbiecie i potężnymi, pajęczymi odnóżami z żelaza. Maszyna, jakiej nigdy dotąd nie widział.

– Na bębny Raijina, co to jest? – wyszeptał.

Shintaro opadł na kolana w zalegający na ziemi popiół. Wpatrywał się w swoją dłoń, tak jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Ryusaki odkaslnął i poczuł na języku smak czarnego śluzu. Zdjął plecak z pleców Shintaro i wyjął z niego okazały pakunek zawinięty w

natłuszczoną skórę. Ostrożnie postawił przedmiot na ziemi i rozpakował. Promienie zachodzącego słońca padły na toporną przenośną radiostację. Sensei zakręcił korbą, ale maszyna wydała z siebie tylko odgłos przywodzący na myśl maszynkę do mięsa i zachowała milczenie.

– Szlag. – Ryusaki uderzył pięścią w obudowę urządzenia. Shintaro padł obok niego na ziemię, łapiąc powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba. – No dalej, do cholery, działaj...

Ale nadajnik nie wykazywał najmniejszej chęci do współpracy.

Kapitan Kagé poczuł wzbierające w żołądku nudności. Nie ze strachu, lecz od trujących oparów. Czarna trucizna przenikała go na wskroś, aż po szpik kości, aż po samo serce. Czuł ją krążącą w żyłach, śmierć zapuszczającą korzenie w jego ciele. Strach był zaraz obok, ale jeszcze go nie opadł, jeszcze nie teraz.

Ryusaki dźwignął się na nogi, zrzucił swój tobół na ziemię i zarzucił radiostację na plecy. Shintaro targały niekontrolowane spazmy, a jego aparat oddechowy był wypełniony czarną pianą. Starzec przykucnął przy nim na chwilę wystarczającą na przebicie nożem serca chłopaka. Lepiej umrzeć szybko niż konać w męczarniach.

On sam jednak ani myślał umierać.

Kapitan Kagé wziął drżący wdech, poprawił przerzucony przez ramię nadajnik i ruszył na północ, w stronę torów kolejowych. Musiał dotrzeć na tyle daleko, żeby urządzenie zaczęło działać i żeby zdołał nadać wiadomość do najbliższego punktu nasłuchowego, który przekaże ją dalej i dalej, aż wieść dotrze do Iishi. Albowiem Ryusaki dobrze wiedział, że on już tam nie wróci.

Nigdy więcej nie zobaczy gór, nie usłyszy śpiewu wiatru w koronach drzew, nie ujrzy kwitnących kwiatów witających nadejście błogosławionej wiosny. Nigdy już nie zobaczy swojego brata. Nigdy nie zostanie zbesztany przez matkę za niewłaściwą dietę i niewyparzony język. Nie dożyje końca tej wojny.

Zamknął oczy, po czym przepędził precz żal, strach i rozpacz. Czas naglił, a on nie miał ani chwili do stracenia na bezwartościowe emocje.

Zdecydował, że nie umrze nadaremno. Nie pozwoli, żeby śmierć Shintaro i Juna poszła na marne. Wiadomość o tym, co odkryli, dotrze do Iishi, nawet jeśli przypłaci to życiem.

Z pochyloną głową, walcząc o każdy kolejny oddech, Ryusaki rozpoczął marsz ku północy.

„Nawet jeśli przypłacę to życiem”.



Chociaż Kin zniszczy! zamek w drzwiach jej celi, Ayane uparła się powrócić do więzienia po opatrzeniu ran Daichiego. Wbrew protestom chłopaka w milczeniu zamknęła kraty za sobą, usiadła w ciemności i czekała. Powiedziała, że chce uzyskać od nich pozwolenie na opuszczenie klatki. Potwierdzenie jej przydatności, zrehabilitowania się w ich oczach. Ostatecznie uzyskała to, czego tak pragnęła, z ust poobijanego starca o chrapliwym oddechu, który przebudził się ze snu mogącego zakończyć się jego śmiercią, gdyby nie przeklęta członkini Gildii i jej lśniące pajęczne kończyny.

W końcu wolna.

Ayane wyszła z celi i rzuciła się Kinowi na szyję, uśmiechając się od ucha do ucha. Pachniała potem, wilgotną bawełną i zaschniętą krwią. Kin uścisnął ją nieśmiało, po czym czekał cierpliwie, aż dziewczyna go puści. Ayane niechętnie uwolniła go z objęć, zrobiła krok do tyłu i przyjrzała mu się uważnie swoimi ciemnymi, lśniącymi oczami osadzonymi na twarzy bladej jak światło księżyca.

- Kin-san, co się stało?

-Nic.

- Na Pierwszy Kwiat, mógłbyś chociaż spróbować udać, że mówisz

prawdę? – Uśmiechnęła się krzywo. – Wtedy ja mogłabym spróbować udąć, że ci wierzę.

– Dlaczego wciąż to robisz?

– Co wciąż robię?

– Ciągłe przysięgasz na Pierwszy Kwiat. Nie jesteś już w Gildii.

– Siła nawyku? – Dziewczyna wzruszyła ramionami; srebrne kończyny na jej plecach zafalowały.

– Przez to się wyróżniasz, przypominasz im ciągle, kim byłaś. Daichi zgodził się wypuścić cię, bo uratowałaś mu życie. Ale im mniej będą cię kojarzyć z Gildią, tym lepiej.

– Na kogo zatem mam przysięgać? Na bogów gromu i ich bębny? A może na Stwórcę i jego jądra? – Wykrzywiła twarz w parodii złości i zahuczwała szorstkim tonem. – Na jaja Izanagiego!

Kin uśmiechnął się wbrew sobie.

– Bardzo dobrze ci idzie.

– Dzięki ci, mój panie. – Dziewczyna ukloniła się nisko niczym dama dworu. – A teraz wyjaw mi, co cię gnębi. Czy też może wolisz udawać, że jesteś choć trochę dobrym kłamcą, i zaprowadzić mnie do łaźni?

– Chodzi o... wszystko – odparł i wzruszył ramionami. – Awarię miotaczy, otarcie się Daichiego o śmierć. To mnie o to obwiniają. Odkąd Yukiko i Buruu odlecieli na północ, wszystko się wali. – Westchnął ciężko. – Powinni byli już dawno wrócić.

Słowa zabrzmiały, jakby wypowiedział je ktoś inny, ktoś w odległym pomieszczeniu, lubujący się w plotkowaniu, zbyt niemądry, żeby zastanowić się choć przez chwilę.

Yukiko w tarapatkach? Nonsens. Gdy się widzieli po raz ostatni, ostro się pokłócili. Przecież los nie byłby tak okrutny, aby mu ją odebrać bez dania mu szansy na...

– Martwisz się o nią – stwierdziła Ayane.

Kin wbił wzrok w podłogę, po czym powoli kiwnął głową.

– Jestem pewna, że nic jej nie jest, Kin. Gdziekolwiek teraz jest. Przecież jest tancerką burzy, zniszczyła trzy pancerniki Gildii, nie odnosząc nawet drobnej rany. Zabiła szoguna samym spojrzeniem.

Kin pokręcił głową.

– Ona nie jest taka, jaką wszyscy ją widzą... – Westchnął i potarł nasadę nosa. – Nie znasz jej. Nie wiesz, jaka jest naprawdę.

Ayane dotknęła jego ręki tak delikatnie, jakby o jego skórę otarła się pajęczyna. Niepewny uśmiech rozkwitł na jej ustach.

– Jesteś bardzo słodki, wiesz, Kin-san? Zawsze myślisz o innych jak najlepiej.

Gdy zetknęły się ich palce, Kin wbił spojrzenie w podłogę, zakłopotany nieoczekiwaną gęsią skórką spowodowaną jej dotykiem. Gdy podniósł wzrok, napotkał jej oczy i nagle zdał sobie sprawę z tego, jak niewielka dzieli ich odległość. Zanim zdążył się zorientować, co się dzieje, jej pełne, miękkie i ciepłe wargi dotknęły jego ust. Ayane delikatnie napała na niego swoim ciałem, tak jakby obawiając się, że chłopak jest zbyt kruchy i może go uszkodzić, jeśli przylgnie do niego zbyt mocno. Zawahał się przez sekundę, dwie, trzy... Oddech zamarł mu w płucach, w uszach słyszał tylko jednostajny szum. Po chwili w końcu cofnął się o krok i uniósł obie dłonie. Ayane stała przed nim z zamkniętymi oczami, nieruchoma jak kamień. Jej srebrne kończyny rozwinęły się i falowały wokół głowy. Jasnoróżowe usta wygięły się w delikatnym, nieśmiałym uśmiechu.

– A więc takie jest to uczucie – wyszeptęła.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Ayane otworzyła oczy i zamrugęła kilkakrotnie. Jej srebrne kończyny zadrżały.

– Tylko po to, żeby poczuć – odparła. – Żeby wiedzieć.

– Nie powinnaś robić takich rzeczy, nie bez pytania.

– Nie podobało ci się?

– Nie, nie podobało.

„Czyżby?”

– Przepraszam. Myślałam... – Złożyła dłonie razem. – Myślałam, że gdybyś tego nie chciał, tobyś mnie powstrzymał...

– Nie rób tego więcej, proszę.

– Nie gniewaj się na mnie.

– Nie gniewam się...

– Owszem, gniewasz się. – Łzy weszły w oczach dziewczyny. – Przepraszam. Chodzi o to, że... To wszystko, ja... – Pokręciła głową, nie mogąc znaleźć właściwych słów. – Teraz, kiedy mam możliwość poczuć coś, chcę poczuć wszystko... – Łzy skapywały z jej nowych rzęs i spływały po bladych jak tarcza księżycy policzkach. – Tak bardzo cię przepraszam, Kin-san.

– Wszystko w porządku – powiedział Kin, przyciągając ją do siebie w niezręcznym uścisku.

Przytuliła się do niego i zadrżała, oddychając ciężko. Kin pogłaskał dłonią szorstkie włosy, które zaczynały porastać jej głowę.

– Wszystko będzie w porządku, nie płacz, już dobrze – wyszeptał.

Czuł się bardzo podle.

Jeszcze nie tak dawno był taki sam jak ona teraz: rozpościerał skrzydła po raz pierwszy w świecie, którego nie znał. Pamiętał dobrze, jakie to było uczucie. Być tym niechcianym, tym obcym, z zewnątrz zagląającym przez szparę w drzwiach. Przez krótką, niemal niemożliwą chwilę zapomniał o dziewczynie o długich czarnych włosach i skórze koloru śmietany. Dziewczynie o oczach tak głębokich, że gotów był w nich utonąć. Dziewczynie, która odleciała na swoim tygrysie gromu, zabierając ze sobą jego serce. Zapomniał o tym, że jej nie ma, że mogła gdzieś zginąć, że ostatnia ich rozmowa mogła być naprawdę ostatnią – już na zawsze.

Całkiem o niej zapomniał.

Ale tylko na chwilę.

Na jedną pustą chwilę.

Czuł na karku palące, gniewne spojrzenia.

Ayane szła obok niego, na pozór zagubiona w powodzi widoków i zapachów. Mrużyła oczy i przyglądała się z lekkim uśmiechem koronom drzew. Wdychała górskie powietrze tak głęboko, jakby każdy oddech był jednocześnie jej pierwszym i ostatnim. Ale Kin to czuł, widział to w

ponurych twarzach Kagé, w ich sztywnych postawach. Widział, jak przerywają swoją pracę, gdy ich mijali, i jak czynią znaki na odegnanie złego, kiedy tylko sądzili, że tego nie widzi.

Niektórzy spoglądali na Ayane z czymś, co mogłoby uchodzić za aprobatę. Najwyraźniej pogłoska o tym, że uratowała życie Daichiego, zdążyła się już rozejść. Ale na niego patrzyli wyłącznie z podejrzliwością, ze złością i pogardą.

Weszli na kolejny mostek. Ayane trajkotała o tym, jak to wiatr ustawiał włoski na jej ramionach w równych rządkach, jak to przypominało statyczną elektryczność i w ogóle, jakie to dziwne uczucie mieć włoski na ramionach. Kin dostawał gęsiej skórki od tych wszystkich wrogich spojrzeń i zaciśniętych zębów. Czuł fizyczny ból z powodu takiej jawnej niesprawiedliwości. Przecież gdyby nie jego miotacze, ta horda onich przesłaby po nich jak po zeschniętych liściach. Kagé nie zdołaliby im nawet stawić czoła w walce, a co dopiero mówić o pokonaniu ich! Gdyby nie jego umocnienia, gdyby nie jego maszyny, te piekielne pomioty przemierzałyby las niepowstrzymane, a wszyscy siedzieliby na drzewach i modlili się o jak najrychlejszy powrót Yukiko. Zanim miotacze przestały działać, zabiły co najmniej kilkanaście demonów. Ale czy kogokolwiek to obchodziło? Czy ktokolwiek nawet przez chwilę się zastanowił, co by się stało, gdyby Kina tu w ogóle nie było? Czy ktokolwiek poza nim uznał nagły wybuch wszystkich miotaczy w tym samym czasie, jeden po drugim, za cokolwiek podejrzany?

„Jak oni zdołali doprowadzić do pęknięcia uszczelek?”

– Gildiarzu.

Ten głos był niczym cios pięścią w brzuch. Kin zamarł, przypominając sobie ostrze noża przekręcane w gnieździe na jego obojczyku; ten odgłos, który przyprawiał go o ból zębów.

To zgrzytanie, to piekielne zgrzytanie.

– Zostaw nas w spokoju, Isao – rzucił Kin.

Chłopcy stali na drugim końcu mostka, zagrządzając im drogę do łaźni. Na przedzie stał Isao, a za nim niczym wierny cień tkwił Atsushi. Kin zatrzymał się i przytrzymał ręką Ayane. Dziewczyna zamrugła i

rozejrzała się swoimi dużymi, okrągłymi oczami, wyraźnie nie rozumiejąc, co się dzieje.

– Co się stało, Kin-san?

– Wróć do więzienia – powiedział przyciszonym głosem. – Zaczekaj tam na mnie.

– Powiedziałem ci, co się stanie, jeśli stąd nie odejdziesz. – Isao uniósł dwie pałki tonfa z krótkimi uchwytyami zamocowanymi prostopadle do drzewca. – Powinieneś być posłuchać mojego ostrzeżenia.

Kin zauważył kątem oka ruch za swoimi plecami. Takeshi odciął im drogę odwrotu, stając na platformie, którą przed chwilą opuścili, i wykrzywił twarz w nieprzyjemnym uśmiechu. Młody Konstruktor poszukał spojrzeniem pomocy u innych mieszkańców wioski na okolicznych platformach, ale wszyscy odwracali wzrok i zajmowali się swoimi sprawami lub zwyczajnie przerywali pracę i odchodzili. Wszyscy trzej chłopcy walczyli z onimi – jeśli mieli jakieś porachunki z członkami Gildii, po awarii miotaczy najwyraźniej niewielu Kagé to obchodziło.

Kin ścisnął dłoń dziewczyny i pociągnął ją za rękę, stając między nią a Isao.

– Cofnij się, Ayane.

– Daichi-sama prawie zginął przez twoje przeklęte miotacze shurikenów – warknął Isao. – Ostrzegąłem cię.

„Jeszcze dziesięć stóp”.

– Przez moje miotacze? – syknął wściekle przez zaciśnięte zęby Kin. – To wy je uszkodziliście. Dlatego błagaliście Daichiego, żeby nie podejmował tam wałki. Uszkodziliście je tak, żeby zawiodły, ale chcieliście, żeby to się stało podczas próby generalnej na oczach całej wioski, a nie w samym środku...

– A skąd, na wszystkie piekła, miałbym niby wiedzieć, jak uszkodzić twoje maszyny, Gildiarzu?

– Widziałem twoje dłonie po bitwie, Isao. Były całe pokryte smarem.

– Smarem, kretynie? – zachnął się Isao. – Czy to, co widziałeś na moich dłoniach, było przypadkiem czarne? Może do tego lepkie? Tak

jak krew onich?

„Pięć stóp”.

– Kiedy Daichi się o tym dowie...

– A jak miałyby się o tym dowiedzieć? – Isao uśmiechnął się złowrogo. – Od nieboszczyka nie dowie się niczego.

Dwie stopy. Chłopak był wystarczająco blisko, żeby Kin mógł dostrzec krople potu perlące się na jego skórze i nienawiść płonąca w jego oczach.

– Isao, nie...

Tonfa świsnęła tuż przy jego szczęce. Kin się cofnął i uderzył potylicą w nos Ayane. Dziewczyna pisnęła, zakryła twarz dłońmi i zatoczyła się do tyłu. Odjęła jedną rękę od twarzy i chwyciła sznurową barierkę, aby utrzymać równowagę, chybocząc przy tym całym mostem.

Kin zrobił krok do przodu i chwycił drugą tonfę, krzywiąc się z bólu, gdy twarde drewno uderzyło boleśnie we wnętrze dłoni. Spróbował wyrwać Isao broń z ręki, ale ten uderzył drugą pałką w splot słoneczny i żebra Kina, wypychając mu z płuc całe powietrze i wywołując gwałtowne torsje. Upadając, Kin niezdarnie zamachnął się łokciem, zahaczając lekko o podbródek przeciwnika. Zanim zdołał cokolwiek zrobić, celny i mocny kopniak w brzuch sprawił, że mógł już tylko leżeć zwinięty na deskach mostu. Oczekując na kolejny cios, usłyszał krzyk Ayane i nieprzyjemny rechot Takeshiego.

Isao dźwignął Bana na nogi, po czym ponownie uderzył go w brzuch, i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż ból rozbłysnął w jego oczach jaskrawym światłem, oddech zabarwił się czerwienią, a świat się mocno kołysał na wszystkie strony, tak jakby potrząsał nim niezdarny olbrzym. Ktoś pchnął go ponownie na barierkę. Most silnie się zachybotał pod ich nogami. Isao chwycił Kina jedną ręką za kołnierz, drugą za obi i podniósł go do góry, gotów posłać go w lot ku majaczącej sześćdziesiąt stóp niżej ziemi.

– Masz przy sobie jakąś maszynę, która pozwoli ci latać, gildiarzu?

Kin zarzęził, poczuł krew napływającą mu do ust i chwycił się dłonią za szyję. Czuł lekki powiew rześkiego leśnego wiatru, widział, jak strącone

z gałęzi czerwone liście spadały w dół niczym pozwijane płomyki. Czy on zaraz podąży za nimi? Czy tak jak one będzie wirował, aż zatrzyma się nagle na ziemi, gdzie zamknie oczy po raz ostatni, ale tym razem nie spodziewając się nadejścia snu? Czy właśnie taki czeka go koniec?

Czy Komnata Dymu go okłamała?

Setki lśniących czerwonych jak zachodzące słońce oczu wpatrywały się w niego bez mrugnięcia z taką dozą uwielbienia, jaką tylko można wyrazić szklanymi bąblami. Jego twarz, ale jednocześnie do niego nienależąca.

– *Nie nazywajcie mnie Kinem, gdyż nie tak mam na imię.*

Przez korony drzew przedarł się zagubiony promień słońca, krwisto-czerwone ostrze rażące go w oczy.

„Yukiko, gdzie jesteś?”

Coś mokrego chlapnęło mu na twarz. Ktoś krzyknął do wtóru świszczącej, srebrzystej muzyki. Isao puścił go i cofnął się gwałtownie. Kin opadł na kolana na deskach mostu i ze zdziwieniem słuchał głośnych krzyków strachu i bólu. Zamrugał, usiłując wyostrzyć wzrok. Obok niego stała Ayane z krwią na twarzy, rozłożonymi ramionami i rozcapierzonymi palcami, tak jakby chwyciła powietrze. Wyprostowane pączyce kończyny na jej plecach otaczały ją szerokim łukiem. Każde sztuczne ramię było pokryte ciekłą warstwą szkarłatu.

Isao cofał się krok za krokiem z dłonią przyciśniętą do twarzy, nie odrywając oczu od falującego srebra nad głową Ayane. Jego palce pokrywały się coraz wyraźniejszą czerwienią. Za nim Kin dostrzegł Atsushiego, który był jak wygłodniałe niemowlę. Miał całkowicie pocięte palce i ręce pokryte gęstą siatką ukłuć, tak jakby próbował brać się za bary z miotaczem igieł. Takeshi leżał skulony na moście, trzymając się kurczowo za ramię, po którym spływały cienkie strużki krwi skapujące następnie na deski mostu.

Dolna warga Ayane dygotała, źrenice jej ciemnych oczu były wyraźnie rozszerzone strachem.

– Zostawcie go – powiedziała cichym, drżącym głosem. – Nawet nie ważcie się go dotknąć.

– Potwór – wyrzucił z siebie Isao. – Ohydny potwór.

Dziewczyna spojrzała na Takeshiego za nią, potem z powrotem na Isao. Na jej policzkach łzy mieszały się z krwią.

– Po prostu zostawcie nas w spokoju – wyszeptwała.

Takeshi dźwignął się na nogi i odkuśtykał w stronę platformy, pozostawiając za sobą krwawe ślady. Kipiący nienawiścią Isao i Atsushi również się wycofali, nie spuszczać wzroku z drżącej dziewczyny. Pomarańczowe, żółte i krwistoczerwone liście opadały z koron drzew w powolnym i pięknym spiralnym tańcu, wypełniając przestrzeń między nimi wzorzystym kobiercem. A potem leciały dalej, w dół, do miejsca, w którym wszyscy doskonale wiedzieli, że wszystko się skończy.

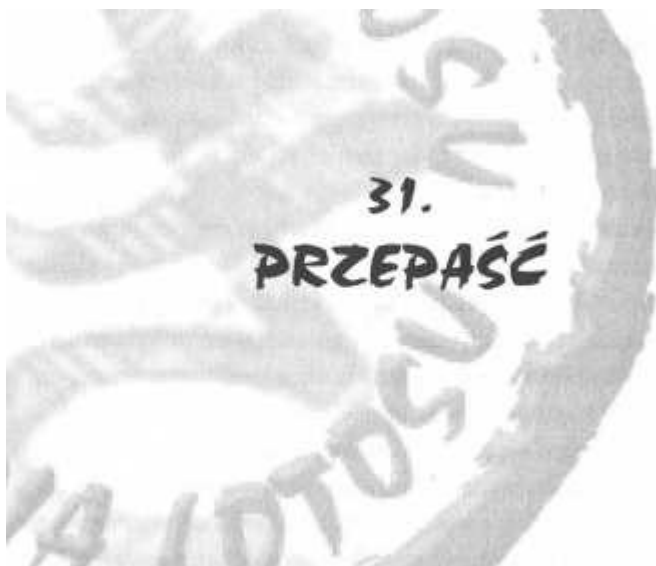
Napastnicy uciekli.

Ayane chwyciła Kina pod pachy i pomogła mu wstać. Trzęsła się tak mocno, że z ledwością dawała radę go podtrzymać. Kin czuł się, jakby ktoś przepuścił jego żołądek przez maszynkę do mięsa. Musiał walczyć o każdy oddech, a na języku wyczuwał nieprzerwany marsz miedzi. Dziewczyna zarzuciła sobie jego rękę na ramię i powoli poprowadziła go wzdłuż mostu. Po paru krokach przemówiła głosem cichym i delikatnym jak płatki śniegu:

– Mówiłeś mi, Kin-san, że Kagé to dobrzy ludzie. Że wierzą w to, co dobre.

Kin otarł usta wierzchem dłoni i przyjrzał się plamie krwi na skórze. Każde słowo okupywał bólem większym, niż był sobie to w stanie wcześniej wyobrazić. Niemniej jednak wymówił je:

– Może się myliłem.



Pęcherze na dłoniach, ból w mięśniach, pot szczypiący w oczy. Pałący ból na ramieniu, które kiedyś zdobił tatuaż przedstawiający cesarskie słońce. Ręce trzęsące się ze zmęczenia nieustannym obracaniem korbami trzydzieści stóp nad wzburzonymi falami.

Poruszali się wzdłuż kabli już od dwunastu godzin, minęli w tym czasie dwadzieścia siedem wież. Farma piorunów była teraz tylko odległą plamką światła migoczącą za wznoszącymi się i opadającymi falami. Pierwsza połowa drogi między wieżami nie wymagała żadnego wysiłku; latające lisy zjeżdżały w dół po naturalnej krzywiznie kabli w akompaniamencie przenikliwego wizgu gumowych kółek. Ale po minięciu najniższego punktu łuku zaczęli zwalniać i resztę drogi musieli pokonać siłą własnych rąk, mozolnie przesuwając się po coraz bardziej wznoszących się kablach. Za każdym razem najgorsze było kilka ostatnich stóp. Przy ostatniej wieży Yukiko miała wrażenie, że ramiona zaraz odmówią jej posłuszeństwa.

Wiatr kołysał nią w uprzęży, deszcz ściekał strużkami po wewnętrznej stronie rękawów sztormiaka, a przewieszona przez ramię nasiąknięta wodą lina ciążyła niczym zwój ołowianego drutu. Do tego wszystkiego ból u podstawy czaszki stawał się coraz silniejszy, jakby ktoś jej wbijał w

mózg zardzewiałe noże i potłuczone szkło. Przez całą drogę wyczuwała w wodzie pod nogami długie, smukłe, wijące się kształty, wpatrujące się w nią głodnymi oczami o pionowych źrenicach.

Nagle na mgnienie oka zapadła cisza, tak jakby burza zamarła, aby wziąć głęboki wdech, po czym w wieżę oddaloną mniej więcej dwieście stóp na wschód od nich uderzył łuk jaskrawego błękitno- białego światła. Yukiko przyglądała się surowej elektryczności pędzącej z trzaskiem sąsiednią parą kabli w stronę farmy piorunów. Zastanawiała się, czy – gdyby błyskawica trafiła wieżę na ich linii – zdołałaby wystarczająco szybko pociągnąć uchwyt zwalniający na swojej uprzęży.

Ilja dotarł już do wieży, zeskoczył na małą wysepkę, na której wzniesiono budowlę, i odwrócił się do dziewczyny, wykrzykując słowa, których nie rozumiała. Yukiko zacisnęła zęby i napała mocniej na uchwyty korb, przebijając nogami synchronicznie z ruchami obolałych ramion, tak jakby biegła do wieży po powietrzu.

Na ostatnich kilku stopach ręce trzęsły się jej tak mocno, że ledwo dawała radę obracać korbami. Ilja dostrzegł jej problemy, wspiał się na wieżę i wyciągnął ku niej dłoń. Dziewczyna chwyciła ją, ale gdy mocniejszy podmuch wiatru podrzucił nią niczym kulka dmuchawca, jego mokre palce wyslizgnęły się z jej uścisku. Chłopak wychylił się mocniej i złapał ją za rękaw, po czym przyciągnął do siebie i objął swoimi silnymi ramionami. Czują jego zapach, woń cynamonu i miodu zmieszaną z nikłym zapachem smaru i gumy. Z trudem ściągnęli jej latającego lisa z kabli. Gdy się to w końcu udało, Ilja się poślizgnął, zaklął i oboje polecili w dół na spotkanie twardej skały. Yukiko wylądowała na gajinie, oblepiając jego twarz swoimi mokrymi włosami. Po chwili jej latający lis wylądował obok z głośnym brzękiem.

Stoczyła się z chłopaka i przez kilka chwil leżeli obok siebie na siekanej deszczem skale, z trudem łapiąc oddech, zbyt zmęczeni, aby się poruszyć. Spróbowała sięgnąć w dal Przenikaniem, rozsuwając cegły w swoim murze na tyle, aby mogła między nimi wychynąć, i szukała po omacku w mroku, czując w głowie narastające pulsowanie. Czują krążącą wśród chmur tygrysyce gromu rozkoszującą się każdym

uderzeniem pioruna. Czuła napętniające ją lękiem zimne kształty smoków morskich pływających wokół wyspy. Czuła leżące obok niej Ilję. Czuła też dobiegającą gdzieś z oddali falę jasnego ciepła, które w jej myślach przybierało znajomy kształt.

– Bogowie, Buruu... – wyszeptwała.

Yukiko chwyciła za ramię rozmasowującego poobijaną goleń chłopaka i krzyknęła głośno: – Jesteśmy blisko!

Wskazała na północ, po czym dźwignęła się na nogi, całkowicie zapominając o bólu i zmęczeniu. Zamknęła oczy i sięgnęła poza swoją barykadę, ciskając myśli w otaczającą ich pustkę.

„Buruu, słyszysz mnie?”

Odpowiedziała jej długa, pusta i okropna cisza. Aż nagle...

YUKIKO.

„Na bogów, tak, to ja! Czy z tobą wszystko dobrze?”

FAŁSZYWE SKRZYDŁA ZEPSUTE, ALE MÓJ UMYSŁ NALEŻY Z POWROTEM DO MNIE. TAK MI PRZYKRO...

„Wszystko w porządku”.

JEJ WOŃ, NIE MOGŁEM...

„Idę do ciebie. Zostań tam, gdzie jesteś”.

I TAK NIE MAM INNEGO WYBORU.

„Wkrótce do ciebie dotrzemy, wytrzymaj”.

STRZEŻ SIĘ.

„Tak, wiem, wyczuwam smoki”.

NIE SMOKÓW, DRUGIEGO TYGRYSA GROMU. JEST TU RAZEM ZE MNĄ.

„Czy jest ranny?”.

TAK. I GŁODNY.

Buruu leżał zwinięty, z grzbietem przyciśniętym do skalnego kła chroniącego go przed szalejącym wiatrem. Już dawno przestało mu burczeć w brzuchu. Teraz dręczący go głód był już tylko tępym, pustym bólem, ściskającym swoimi bezlitosnymi dłońmi jego wnętrzości. Przez

myśli wciąż przewalały mu się fale woni samicy, doprowadzając go niemal do szału. Cała powierzchnia skały, na której leżał, była poznaczona śladami jego przepełnionego frustracją pożądania. Ale chociaż wciąż wyczuwał ją w szalejącej nad nim burzy, przez ostatnią dobę impuls słabł. Ruja zapewne dobiegała już końca.

Niemniej jednak nawet słaba woń piżma niesiona wiatrem śpiewała opętańczo w jego żyłach, przyspieszała oddech i trzęsa jego myślami. Był w stanie to zwalczyć dzięki trzymaniu się myśli o tym, jak bardzo zawiódł Yukiko, na jakie niebezpieczeństwa ją naraził, poddając się swojemu zwierzęcemu instynktowi. Zbyt wiele już stracił z powodu drzemającej w nim pierwotnej bestii. Zbyt wiele już przepadło w mrocznych czasach, których nie chciał pamiętać.

A teraz prawie stracił też ją.

Czas włókł się niesłychanie wolno, każda minuta zdawała się trwać godzinę. Przez długi czas jedynymi odgłosami, które docierały do uszu Buruu, były szum ulewy, wycie wichru i trzask załamujących się na skale fal. Wtem dołączył do nich długi, gardłowy pomruk, który wyrwał go z melancholijnej udręki. Wyjrzał spod skrzydła, którym osłaniał głowę, mrugając w siekącym bez opamiętania deszczu. W targanym gwałtownymi podmuchami wiatru powietrzu wyczuwał woń zakrzepłej krwi i ledwo uchwytny zapach ozonu. Do pomruku dołączył zgrzyt pazurów trących o skałę i trzask łupku ustępującego pod wielkim ciężarem. A potem nagły, długi ryk. Rzucone w ciemności wyzwanie.

WIDZĘ, ŻE WYLIZAŁEŚ JUŻ SWOJE RANY.

Buruu wychynął ze swojego schronienia i wyszedł na otwartą przestrzeń. Wyspa, na którą spadli, nie miała więcej niż trzysta stóp od brzegu do brzegu. Poprzekrzywiane połącze czarnego szkła wznosiły się nieco ku północy. Miedziany łapacz błyskawic stał na południowym cyplu, siedem, może osiem stóp nad powierzchnią fal. Północny brzeg opadał do oceanu czterdziestostopowym urwiskiem, na którego dole czekało na nieostrożnego nieszczęśnika wiele ostrych skał. To od tamtej strony nadszedł drugi samiec.

Buruu odpowiedział na jego ryk hukiem gromu, wprawiając kamienie

pod nimi w drzenie. Dojrzał cień sunący w jego stronę od urwiska, taniec wyładowań na jego skrzydłach. Nie rozpoznawał jego zapachu. Wątpił zresztą, żeby ktokolwiek z jego stada zapędził się tak daleko na południe.

ZATEM NOMADA.

Zaryczał ponownie, domagając się od rzucającego wyzwanie podania swojego imienia.

Nomada wykrzyczał je w odpowiedzi.

Obcy arashitora się zbliżył. Gdy kolejna błyskawica przeszła ołowiane niebo, Buruu mógł się lepiej przyjrzeć przeciwnikowi. Był mniejszy od niego, młodszy, chyba ledwo po chrzcie krwi. Pręgi na jego zadzie były jeszcze niewyraźne, pazury – wciąż jasnoszare. Pióra na szyi pokrywała zaschnięta krew. Do tego rywał wyraźnie oszczędzał prawą przednią łapę. Buruu dostrzegł jeszcze, że skrzydła nomady były nienaruszone. Miał za to rozorany cały bok od barku aż po grzbiet. Nomada nie czuł się jeszcze na siłach wzbić w powietrze, ale instynkt obrony swojego terytorium w połączeniu z wciąż unoszącą się w powietrzu wonią samicy zmusiły go do rzucenia wyzwania, gdy tylko poczuł się wystarczająco pewnie.

Buruu doskonale pamiętał, jak to jest – być niewolnikiem instynktów, zewu wewnętrznej bestii. Sądził, że ma już te czasy za sobą, że jego więź z Yukiko całkowicie uśpiła demona i zmyła z języka smak krwi pobratymców. Jakże bardzo się mylił, jakże łatwo wpadł ponownie we władzę szaleństwa. Jakże szybko przywdział z powrotem skórę tego, kim kiedyś był.

Zasługiwał na to, co mu zrobili. Zasługiwał na stratę tego, co mu odebrali.

Buruu zaryczał ostrzegawczo, dając wyraźnie znać, że nie ma zamiaru traktować rywala ulgowo. Że to nie była rytualna walka o prawo do spółkowania z samicą, o dumę czy o pozycję w stadzie. Że tutaj nie obowiązywało prawo chana. Że będzie walczył aż do śmierci.

„Twojej”, nadeszła odpowiedź.

Twojej.

Tym razem to Yukiko prowadziła, czerpiąc nowe siły ze świadomości, że Buruu był już niedaleko. Pałący ból w mięśniach, pot szczypiący niemiłosiernie w dłonie pokryte popękkanymi już bąblami, wszystko to bledło w obliczu elektryzującej euforii adrenali- nowej. Pokonali jeszcze trzy kable, zatrzymując się przy wieżach jedynie na krótki wypoczynek. Ilja zaczął odstawać i czasem dziewczyna musiała się zatrzymać i krzyknąć ponaglająco przez ramię, chociaż wiedziała, że i tak jej nie zrozumie.

Nic już nie miało znaczenia: ani ból, ani żal, ani myśli o ojcu, Hiro, Kinie czy Gildii. Przeistoczyła się w maszynę, silnik sunący wzdłuż żelaznych kabli jeden przepelniony desperacją cał za drugim. Poruszali się teraz pod wiatr, którego niektóre silniejsze podmuchy sypchały ich w tył. Wichur wył, że jest za mała, zbyt słaba, aby podołać temu zadaniu. Że jest zaledwie dygoczącą na całym cieple, krwawiącą z palców słabą istotą ludzką, której organizm mógł w każdej chwili dać za wygraną.

Ale coś tkwiącego głęboko w niej nie pozwalało jej przestać, nie dopuszczało myśli o poddaniu się. Było niczym ogień płonący w jej piersi i zmuszało do zaciśnięcia zębów, walczenia o kolejne oddechy, wyteżania mięśni ramion do wysiłku, o którym nie wiedziała, że jest do niego zdolna. Żeby pokonać kolejną stopę – i kolejną, i kolejną, chociaż wszystko inne w niej krzyczało, aby się zatrzymała, odsapnęła choć przez chwilę. Aż zrozumiała, co to za uczucie, i dostrzegła, że drzemie w nim siła dużo potężniejsza od niejasnej obietnicy składanej przez nienawiść, strach czy złość.

Dostrzegła to w świetle, które rozproszyło cienie, jakimi wypełniła się po śmierci ojca. Dostrzegła to w sile, którą znalazła na zbudowanie w swoim umyśle muru, tej tamy utrzymującej furię Przenikania w ryzach. I rozumiała, że liczyło się tylko to.

Miłość.

Cał za całem, stopa za stopą. Wbrew próbującym ją powstrzymać ramionom wichru, wbrew ulewie siekającej jej skórę niczym miotacz

gwoździ. Piorun uderzył w wieżę na zachód od niej i elektryczność pomknęła po kablach do instalacji daleko za jej plecami, zbyt daleko, aby teraz o niej pamiętać. Zbyt wiele wysiłku włożyła w dotarcie aż tutaj, aby teraz myśleć o tym, co pozostawiła za sobą. Musiała przeć do przodu. Zatrzymanie się oznaczałoby porażkę.

Wtem dostrzegła to przez szumiącą ścianę deszczu – wielki kiel obsydianowej skały, wystający z oceanu przed nią niczym wzniesiona do ciosu pięść. Sięgnęła przed siebie Przenikaniem, wzdrygając się na obecność węży pod powierzchnią fal, i wyczuła na północy trzy jasne źródła ciepła. Jednym był mgliście zapamiętany kształt arashitory, który ich zaatakował; cały pulsował rzuconym wyzwaniem. Drugim była wyraźnie zarysowana samica przemierzająca przestworza; zabarwiona ciekawością, wbrew sobie ciągnąca do walczących. Trzecim był jej przyjaciel, jej brat, jej jedyna stała w tym świecie, który w ostatnich miesiącach tak często się zmieniał i tak mocno wirował, że najpierw straciła wszelkie poczucie kierunku, a potem zatraciła siebie – w złości, w alkoholu, w poczuciu winy. Całkowicie zapomniała o tym, co ważne.

Wtedy zrozumiała, że to, co naprawdę ważne, znajduje się właśnie przed nią.

„Buruu, jestem!”.

Zetknęli się z sobą, tak jak proch strzelniczy styka się z żywym płomieniem. Szarża po spękanym kamieniu, iskry tańczące na skrzydłach, szklista skała pod ich łapami. Nomada wybił się w powietrze, rozczapierając szpony niczym wachlarz noży i rycząc wyzywająco. Buruu skoczył mu na spotkanie z nastroszonymi piórami i zwężonymi oczami, wpadając w rywala z siłą huraganu. Nomada chwycił uprząż i wierzgnął potężnie zadnimi łapami. W tym czasie Buruu zamachnął się, celując w gardło przeciwnika. Krew trysnęła z obu cielsk, które chwilę potem uderzyły z hukiem w skałę, wyrzucając w powietrze fontannę odłamków obsydianu.

Gdy tygrysy gromu odtoczyły się na boki, Raijin zadudnił w swoje

bębny. Buruu błyskawicznie się zerwał i rzucił na przeciwnika z obnażonymi szponami, odrzucając nomadę do tyłu z groźnym warknięciem. Gardło tamtego znaczyła świeża krew spływająca po tej już zakrzepłej. Oczy płonęły zwierzęcą furią. Buruu również miał rozciętą szyję, do tego ranę na brzuchu. Również z jego filtra skapywał rozrzedzony deszczem szkarłat.

Był większy i silniejszy, ale też osłabiony. Dawno nie jadł, a do tego wciąż czuł w mięśniach długi lot. Nomada z kolei był szybszy i młodszy. I jeszcze bardziej głodny.

„Buruu, jestem!”.

Obejrzał się przez bark i dostrzegł Yukiko przesuwającą się wzdłuż kabli, może pięćdziesiąt stóp od niego. Za nią dostrzegł zarys sylwetki jeszcze kogoś innego. Nomada zaatakował, mierząc pazurami w jego łeb, ale Buruu zdążył się cofnąć poza zasięg jego łap. Machnął skrzydłami do wtóru jęków protestu zepsutego mechanizmu na jego grzbiecie. Płócienne pióra były podarte i poobrywane, ale zdołał zyskać kilka cennych stóp. Wylądował na pękniętym nawisie skalnym i cofnął się ponownie, unikając kolejnego ataku nomady. Otaczające ich powietrze wypełnił deszcz iskier. Buruu zetknął skrzydła ze sobą, dając początek głębokiemu pomrukowi pieśni Rajjina. Fala uderzeniowa zmiotła młodszego arashitorę z łap i pchnęła go w poprzek wyspy. Buruu ponownie uderzył skrzydłami, pchając krople rzęśstego deszczu prosto w oczy nomady.

Napastnik zaczął zataczać szeroki krąg, rycząc z irytacją.

Buruu się cofnął, obracając zadem do wieży i stając między Yukiko a dwiema tonami rozwścieczonego tygrysa gromu.

Była coraz bliżej, teraz dzieliło ich już tylko trzydzieści stóp. NIE ZBLIŻAJ SIĘ.

„Czyś ty oszalał?”.

ON CIĘ ZABIJE.

Nomadą wyskoczył w górę i rozpostarł zakrwawione skrzydła, po czym zapikował w dół na rywala. Buruu odskoczył w bok. Skała zadrzała pod jego łapami, gdy młody arashitora uderzył w podłoże. Wykorzystując

chwilę oszołomienia rywala, Buruu natarł na jego skrzydło i wyrwał pełny dziób piór. Szczepili się ze sobą szponami i stanęli na zadnich łapach. Pióra błyszcząły w świetle błyskawic, dzioby kłapały, próbując ugodzić przeciwnika, gardła wydawały z siebie wściekłe warczenie.

Poczuł za sobą Yukiko – tak upartą jak głębokie są korzenie gór. W myślach miał echa jej obolałych mięśni, popękanych pęcherzy na dłoniach i palącej potrzeby.

Dzieliło ich dwadzieścia stóp.

NIE ZBLIŻAJ SIĘ.

„Mogę ci pomóc!”

Z potężnym rykiem Buruu odrzucił młodszego arashitorę w bok tak mocno, że ten przeturlał się i wyhamował z łapami w górze. Starszy tygrys gromu, wykorzystując chwilę przewagi, rozorał pazurami bok nomady i spróbował rozerwać mu dziobem gardło, ale ranny młodzik zdołał się jakoś odtoczyć. Wstał z trudem na cztery łapy, bijąc wściekle skrzydłami, warcząc zajadle. Jaskrawoczerwone krople mieszały się z deszczem i malowały śnieżnobiałe futro w barwy rzezi. Teraz to nomada przywołał Pieśń Raijina i cisnął Buruu w tył, wzbijając w rozedrgane powietrze fontanny wody z kałuż tworzących się w zagłębieniach nierównej powierzchni skały. Siekący deszcz wygiął się niczym napięta cięciwa, krople wielkości much lotosowych rozpadały się na wodną mgiełkę.

Tygrysy gromu krążyły wokół siebie, oba pokrwawione, oba czujne. Nomada przypadł do skały i sprężył się do skoku. Wtem spojrzął ponad skrzydłami Buruu i dojrzał sunącą po kablach Yukiko oraz usiłującego nadażyć za nią gajjina. W oczach młodego arashitory zajaśniał złowrogi błysk, źrenice się rozszerzyły, z gardła dobiegł wściekły warkot.

Intruzi, małpie dzieci, mięso.

Nomada rozpostarł skrzydła i wybił się w górę, nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

NIE.

Buruu również odbił się od skały, wściekle młóćąc powietrze uszkodzonymi skrzydłami w akompaniamencie jęków i pisków nitów i

łożysk. Zderzył się z młodszym przeciwnikiem i chwycił mocno, ciągnąc go w dół, na spotkanie kamienia. Nomada uderzył grzbietem o skałę, tracąc na moment oddech, ale chwilę później już rzucił się na rywala ze skowytami, bijąc wściekle skrzydłami i próbując sięgnąć boku Buruu pazurami. Szczipione ze sobą tygrysy gromu przetoczyły się po skałę, tworząc jeden kłęb powykęczonego metalu i powyrywanych piór.

Buruu czuł w głowie myśli Yukiko, która pokonała ostatnie kilka stóp kabli i właśnie zarzucała nogi na wieżę. Objęła miedzianą spiralę ramieniem, drugą rękę wyciągając w stronę ledwo zipiącego gajjina. Chwyliła mocno dłoń chłopaka i przyciągnęła go do siebie. Trzymając się mocno wieży, pomagała mu wydostać się z uprzyży latającego lisa.

Nomada zaryczał głośno w wielkiej wściekłości. Buruu wyczuł jednak coś jeszcze – Raijin robił głęboki wdech, wzbudzając znajomy dreszcz wzdłuż kręgosłupa arashitory.

YUKIKO, ZESKAKUJ Z WIEŻY.

„Próbuję, ale uprzęż się za...”.

YUKIKO, ZESKAKUJ, TERAZ!

Z kłębiących się nad ich głowami chmur wystrzelił łuk oślepiającego błękitnego światła i pomknął w dół niczym zakrzywiony palec niebios. Yukiko zdołała tylko wykrzyknąć ostrzeżenie i odepchnąć chłopaka, po czym skoczyła do tyłu, rozciągając za sobą długą, ciężką od deszczu wstęgę włosów. Na chwilę przed uderzeniem świat jakby zamarł w doskonałym bezruchu i ciszy. Piorun natarł na miedź z metalicznym łoskotem i sykiem niesamowicie gorącej pary. Dziewczyna zasłoniła twarz ramionami, aby choć trochę odgrodzić się od blasku, przy którym słońce wydawało się bladą gwiazdą. Upadła na czarną skałę, uderzając boleśnie głową w spękane szkło.

Fala uderzeniowa wypchnęła całe powietrze z płuc Buruu, ogień Raijina osmałił mu futro, liczne wyładowania tańczyły na skrzydłach jego i jego rywala, który odtoczył się na bok, obryzgując skałę krwią wymieszaną z deszczem.

Tuż po uderzeniu pioruna wszystkie dźwięki zdawały się być przytłumione, tak jakby burza była zamknięta w starej, zardzewiałej

skrzynce grającej stojącej pod przeciwległą ścianą ciemnego pokoju. Yukiko zamrugła, usiłując pozbyć się sprzed oczu czarnych plam, wijąc się z bólu dzwoniącego głośno w stłuczonej głowie. Buruu się cofnął i stanął z rozpostartymi skrzydłami między nią a nomadą. W tej chwili łatwiej byłoby wyrwać górę z korzeniami i przenieść ją w inne miejsce niż przesunąć tygrysa gromu. JESTEŚ CAŁA?

„Chyba...”.

MASZ SZCZĘŚCIE.

„Kitsune dba o swoich”.

A CHŁOPAK?

Yukiko usiadła i zmrużyła oczy, usiłując przebić wzrokiem rozmazany mrok.

– Ilja?

–Yukiko!

Słaby krzyk, prawie niesłyszalny wśród łoskotu fal uderzających o skałę i ryku szalejącej burzy. Yukiko poczuła wzbierający w niej strach. Gaijin spadł z kabli prosto do lodowatej kipieli pod nim.

– Ilja!

Yukiko zerwała się na nogi i pobiegła w stronę wieży. Deszcz syczał na rozgrzanej miedzi niczym oliwa na patelni. Cofnęła się o krok, bojąc się dotknąć gorącego metalu. Jeszcze raz wykrzyczała imię chłopaka. Wtem dostrzegła go przez mgnienie oka, walczącego o utrzymanie się na powierzchni wody, wyciągającego ku niej rękę. Olbrzymie fale przyboju zalewały go, wdzierając się pod sztormiak. Wciąż miał na sobie uprząż połączoną z latającym lisem, który teraz ciągnął go na dno. Gaijin walił rękoma o wodę, tak jakby mógł się chwycić grzbietu fali i podciągnąć w górę.

Ale nie mógł.



Wyszli na chłodne jesienne powietrze z uniesionymi głowami, przepelnieni dumą.

Ubranie Jurou było wykonane z czarnego jak smoła jedwabiu, z dyskretnym dodatkiem tygryziej czerwieni na obi. Pod szyją lśniła jadeitowa brosza. Yoshi włożył czarną, bardzo obszerną hakamę oraz sięgającą ud kamizelę uwagi uszytą z najlepszego jedwabiu. Włosy zebrał w drobne warkoczyki, które wiły się na jego szyi niczym małe węże. Przechadzali się spokojnie bulwarem. Yoshi uchylał przeciętego rondo swojego kapelusza każdemu, kto na nich spojrzał.

To był piękny dzień.

Ulice Góry zdawały się bardziej ruchliwe niż zwykle. Wiele osób biegało w tę i w tę. Było tu więcej bushich, niż Jurou widział chyba w całym swoim życiu. Trakt Pałacowy pękał w szwach od brudnych służących i jeżdżących już chyba tylko na oparach chi pojazdów motorowych. Do Doków dojechali tradycyjną rykszą. Na miejscu Yoshi wręczył chudemu jak szczapa właścicielowi pojazdu szczodry napiwek, po czym obaj młodzieńcy skierowali swe kroki do pracowni tatuażu. Tam leżeli długie godziny z nagimi torsami w lekkim popołudniowym chłodzie, a pomarszczony staruszek z klanu Fushicho

wraz ze swoim synem o dziobatej twarzy pracowicie nanosili danroański atrament na ich skóry za pomocą cienkich bambusowych igieł, zadając ogromną ilość bólu znoszonego dzielnie w imię próżności.

Yoshi zamówił nowy tatuaż: piękny portret Pana Izanagięgo miesząjącego w pierwotnym oceanie stworzenia czubkiem swojej włóczni, biegnący od ponętnej krzywizny jego prawego mięśnia piersiowego w dół, aż po delikatną wypukłość biodra. Jurou zlecił poprawienie swojego klanowego irezumi, wielkiego i pięknego tygrysa prężącego się dumnie na jego bicepsie, wyglądającego, jakby miał za chwilę zeskoczyć ze skóry chłopca i rozedrzeć świat na strzępy.

Fajka Jurou zwiślała mu z ust. Młodzieniec oblizłał delikatnie czubkiem języka ustnik i delektował się pięknym, sinocarnym dymem. Wiedział, że nie powinien palić lotosu; wiedział, że ceną za jego chwilę błogości było morze krwi. Ale w ostatnich dniach głód narkotyku narastał i narastał... A poza tym przecież mógł w każdej chwili przestać, kiedy tylko by zechciał. Nasłuchiwał dobiegającego z ulicy gwaru, brzęku much lotosowych między belkami stropowymi, stopniowo poddając się aksamitowi spowijającemu jego myśli coraz ciałniej. Znajomy pocałunek lotosu tłumiał wszystkie inne bodźce. Znowu miał uczucie, jakby jego język spuchł tak bardzo, że nie mieścił się w ustach. Zamglonym wzrokiem wpatrywał się w chłopaka, którego kochał, wzdrygając się i naprężając w rytm tańca igieł na jego skórze.

– Po drugiej stronie powinieneś sobie zrobić Panią Izanami – powiedział, wskazując tors Yoshiego.

Starzec uniósł gwałtownie głowę i uczynił gest przeciw złemu.

– Dym ci zamglil myśli, księżniczko. – Yoshi skrzywił się z bólu, gdy igły mistrza tatuażu wznowiły swój taniec. – Nigdy nie dawaj smokowi sterować swoim okrętem.

– Dlaczego nie? – spytał Jurou, wydmuchując w stronę Yoshiego obłok słodkiego dymu.

– A dlaczego, na wszystkie piekła, miałbym sobie tatuować Głoszącą Kres?

– Życie i śmierć, światłość i ciemność. – Jurou machnął od niechcenia

dłonią. – Wiesz, ta, symetria.

– Jesteś bardziej stuknięty niż portowa dziwka.

– Pani Izanami nie zawsze była boginią śmierci. – Mężczyzna o dziobatej twarzy zdawał się wbijać swoje igły mocniej, niż było to potrzebne, ale Jurou zbyt już odpływał, aby móc się tym przejąć. – Kiedyś była Matką Ziemią, to z niej zrodziła się nasza wyspa i jej siedem towarzyszek. To nie jej wina, że Panu Izanagiemu nie udało się jej uratować z Yomi. Nie jej wina, że zostawił ją tam w ciemnościach.

– To może sam sobie ją wytatuuj, co?

– Może tak zrobię.

– A ja może znajdę sobie chłopaka, który nie podejmuje decyzji o tatuażach na całe życie, będąc na ostrym haju.

– Mmm – zamruczał Jurou i uśmiechnął się, pozwalając ciężkim powiekom opaść na ciemne, mądre oczy. – Jakoś w to wątpię.

Yoshi powiódł wzrokiem po ciele chłopaka i również się uśmiechnął – krzywo, ale zarazem pięknie.

– Ja też.

– Kocham cię, wiesz?

Siedzieli na dachu dwupiętrowego budynku, oczekując na ponowne rozpoczęcie gry. Tarcza księżycy była całkowicie przesłonięta całunem spalin, wskutek czego bruk pod nimi okrywała gruba warstwa głębokich cieni. Był to ten rodzaj ciemności, który sprawiał, że człowiek czuł się samotny nawet wtedy, gdy dotykał osoby siedzącej obok. Ten rodzaj ciemności, który wzbudzał nieodparte wrażenie, że człowiek stracił wzrok, ponieważ zupełnie nic nie widział.

– Hmm? – Yoshi przycupnął na skraju dachu, trzepocząc powiekami. Przypominał drapieżnego ptaka czekającego na pojawienie się kolacji. – Powiadasz?

Gdyby było jaśniej, pomimo dużej odległości Jurou widziałby je z ich stanowiska: rezydencje stłoczone na wzgórzach położonych na wschód od pałacu daimyo, usiłujące rozpaczliwie wytknąć nos ponad warstwę

cuchnących oparów. Zamieszkujący je szlachetnie urodzeni odwracali wzrok od nędzy niższych partii miasta, podczas gdy ich śliczne ogrody stopniowo stawały się jednolicie szare. Tam też był dom jego ojca, z wysokimi stropami i ogrodami wyłożonymi gładkimi kamieniami, w którym bawił się ze swoim bratem Kazuyą, gdy byli jeszcze mali. Ojciec przyglądał się im, klepiąc się dłońmi po potężnym brzuszysku, na którym opinało się kimono z jedwabiu Kitsune (zawsze tylko najlepsza jakość), z lśniąca od potu łysiną, nieustannie martwiący się o swój majątek, honor i dobre imię.

„Rodzina – mawiał. – Na całym świecie nie ma nic ważniejszego od rodziny. Pokażcie mi czyichś przyjaciół, a powiem, jakim jest człowiekiem. Ale pokażcie mi jego synów, a przepowiem wam jego przyszłość”.

Odkąd tylko nauczyli się z Kazuyą chodzić, odbywali regularne lekcje. Żeby zająć należne miejsce wśród możliwych Kigen i aby móc odpowiednio administrować rodzinnymi posiadłościami: rozległymi polami uprawnymi, które ich ojciec odkupił za bezcen od zubożałych rolników i na których teraz pracowali gajjińscy niewolnicy. Jurou został zaręczony, gdy miał trzynaście lat. Wybranką była córka zaprzyjaźnionej rodziny. Ich ślub miał zacieśnić więź między rodami. Ku swemu niepomiernemu zdziwieniu Jurou został całkowicie i bezgranicznie zauroczony pięknymi ciemnymi oczami, pełnymi wargami i smukłymi, ponętными krągłościami. Nie należały one jednak do jego narzeczonej (biedaczka).

Należały do jej brata.

Ich romans był gorący, piękny... i krótki. Skończył się tak, jak się musiał skończyć – wyjściem na jaw. Zostali nakryci nie przez służącą i nie przez jego narzeczoną, lecz przez jego rodzonoego brata. Mały Kazuya natknął się na złanych potem kochanków w ogrodowej altanie. Niewiele myśląc, malec puścił się pędem wyśpiewać wszystko jak najzdolniejszy słowik. Chociaż miał ledwo dziesięć lat, wiedział doskonale, że jedyny syn będzie dużo bogatszy od drugiego w kolejce. Gdy ojciec się o wszystkim dowiedział, popładł i rozdarł swoje kimono w rozpacz,

przeklinając Jurou, nazywając go bękartem, łajdakiem i zakałą rodziny, który okryje ich wszystkich hańbą.

„Cóżem uczynił – wołał – aby zasłużyć na takiego syna?”

Gdy Jurou wspominał ojca, zawsze stawał mu przed oczami jego obraz z tego właśnie dnia, rozganiając wszystkie wspomnienia dni wesołych, uścisków i uśmiechów w dniu nadania imienia, bijącej z rodziciela dumy podczas rodzinnych bankietów. Obraz wściekłości, plującego śliną, goniącego Jurou z wysoko uniesioną kataną. Przepędzającego syna z domu, zarzekającego się, że go zabije jak psa, jeśli na próg rodzinnego domu padnie choćby cień niegodziwca.

„Nie jesteś już członkiem tej rodziny” – wrzeszczał.

„Nie jesteś już moim synem”.

Siedząc na dachu budynku, czekając na ponowne rozpoczęcie gry, Jurou potarł oczy i spojrzął w stronę domu, w którym upłynęło jego dzieciństwo, a który teraz jawił mu się jako niezmiernie odległy i pusty. Wszystkie te wspomnienia wywoływały kłujący, utrudniający oddychanie ból w klatce piersiowej.

Mroczna noc, ponure myśli.

– Powiedziałem, że cię kocham – wyszeptał, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego.

Objęło go silne ramię, przyjazne wargi złożyły pocałunek na jego policzku. Skrzywiony uśmiech na twarzy będącej wystarczająco blisko niego, żeby mógł dostrzec każdy szczegół jej doskonałych rysów, niezależnie od tego, jak ciemna była noc. Tu i teraz – nie liczyło się nic więcej.

„Yoshi”.

– Ja ciebie też kocham, księżniczko.

Było ich czterech, o barach jak szafy dwudrzwiowe. Szli dość szybko pomimo niesionego ciężaru. Wszyscy naciągnęli swoje shappo głęboko na oczy i trzymali się raczej mrocznych zaułków, przez ulice przebiegając jak najszybciej. Yoshi przyglądał się im lśnącymi czarnymi oczami,

szczerząc poźółkłe zęby, starając się ignorować nieustanny ruch opitych pcheł na grzbiecie. Biegł za nimi przez wąskie przesmyki między budynkami, przedzierając się przez labirynt zabudowań Dołu, przez ten splełany węzeł popękanych cegieł i obficie skrapianego co noc żwiru, wśród znaków wymalowanych na ścianach wysokich na dziesięć stóp.

Arashi-no-odoriko nadchodzi.

– Powinni wysłać tej suce kwiaty. – Uśmiechnął się, mrużąc oczy. – Te patałachy nie miałyby nawet połowy tej kasy, gdyby nie mała panna „popatrzcie, mam tygrysa gromu!”.

Obserwował zbliżających się członków yakuzy, cienie wśród cieni, ze ścisiskanymi w brudnych dłoniach pękatymi sakwami i okutymi pałkami. Ruszył po dachach, aby przeciąć im drogę. Jak szczury biegnące na spotkanie kota, jak muchy zlatujące się do pająka.

– Się macie, panowie?

Miotacz żelaza zasyczał, gdy Yoshi ustawił ciśnienie, delikatnie umieszczając palec na spuście. Trzymał dłoń w wyprostowanej ręce, kierując ziejący śmiercią wylot lufy w stronę głowy herszta bandy. Cała czwórka zatrzymała się, wpadając na siebie, mrużąc oczy nad przesłoniętymi chustkami twarzami. Unieśli wzrok na Yoshiego, który przykucnął na skraju dachu u wylotu zaułka. Chłopak uchylił lekko ronda kapelusza w ich kierunku.

– Ty – wysyczał drugi z mężczyzn.

– Na to wygląda. – Yoshi uśmiechnął się krzywo, celując między oczy wygadanego zbira. – Gdybyście byli teraz, misie-pysie, tak mili i rzucili te sakwy na ziemię, będziecie mogli wszyscy wrócić do domu do mamusi. Dajcie jej ode mnie buzi, co?

Jurou wychynał zza rogu budynku za plecami łudzi yakuzy, po czym otworzył niesiony worek i teatralnym gestem rozrzucił jego brzęczącą zawartość na splekanym betonie. Były to kolczatki z dwóch kawałków zaostzonego na końcach drutu, skreconych i wygiętych w taki sposób, że jeden z czubków zawsze sterczał w górę. Około setka ich odcinała teraz ludzom yakuzy drogę odwrotu, podczas gdy droga naprzód przebiegała pod nogami Yoshiego i lufą jego miotacza żelaza.

Jurou cofnął się i uniósł ostrzegawczo pałkę nabijaną gwoździami dekarскими, nie spuszczać oczu ze zbirów. Nie przejmował się obserwowaniem ulicy, Yoshi wykorzystywał do tego inną parę oczu.

„Dakenie, co widzisz?”

...żadnych strażników na dole, idą wzdłuż rzeki...

– Żeby była między nami jasność, drogie Dzieci Skorpiona, ja nie zwykłem prosić dwa razy. – Yoshi pomachał miotaczem żelaza. – Wyskakujcie z żelaza, liczę do pięciu.

– A więc wiesz, kim jesteśmy?

Herszt grupy ściągnął przesłaniającą twarz chustkę na szyję i przesunął na tył głowy kapelusz przypominający kształtem wywróconą do góry dnem miskę. Miał szeroką, nalaną twarz, gładko wygoloną, teraz obficie zlaną potem. Nieprzyjemny szeroki uśmiech zdradził poważne braki w uzębieniu.

Ręka Yoshiego ani drgnęła.

– Cztery...

– Dorwiemy cię, wiesz?

– Trzy...

– Na tych wąskich ulicach łatwo znaleźć małego gówniarza z kupą kasy.

– Dwa...

Herszt zbirów dał za wygraną, uśmiechnął się jeszcze raz do Yoshiego i uniósł niesioną sakwę w jego stronę. Nagle zamarł, zmarszczył zdeorientowany brwi i rozejrzał się z wyraźnym zaniepokojeniem.

Dachówki pod stopami Yoshiego zaczęły wibrować. Z początku były to tylko lekkie drgania, ale z każdą chwilą przybierały na sile. Przez chwilę podejrzewał, że wybrał budynek o bardzo wątej konstrukcji i ten właśnie zaczyna się walić. Dopiero po chwili spostrzegł, że ludzie yakuzy też czuli drzenie, dobiegające gdzieś z głębin ziemi wstrząsy, tak jakby cała wyspa poruszała się pod ich stopami.

– Co, do piekieł...? – krzyknął z przestraczem Jurou.

...co się dzieje?...

Yoshi przykucnął, przytrzymując się jedną ręką okapu, żeby utrzymać

równowagę. Ze ścian unosił się gipsowy pył, wszędzie w okolicy pękało szkło.

„Kolejne trzęsienie ziemi”.

Wstrząsy ustały równie nagle, jak nadeszły. Ciszę chłodnego przedświtów rozdarły gniewne okrzyki i zawodzenia dzieci. Yoshi zebrał się w sobie i obrócił na powrót do ludzi yakuzy.

Ruch był tak szybki, że prawie go nie zauważył. Krótkie mignięcie bladego światła na stalowym ostrzu wystrzeliwującym z dłoni zbira i zmierzającym prosto w serce przykucniętego na dachu chłopaka. Jurou krzyknął głośno. Yoshi odturlał się w bok, zapominając zupełnie o trzęsieniu ziemi; wystarczająco szybko, aby nóż nie sięgnął jego serca, lecz nie dość szybko, aby całkowicie uniknąć ostrza, które rozorało mu bok aż po żebra. Chłopak okręcił się na bok, sycząc z bólu. Niewiele myśląc, wycelował i pociągnął za spust.

Miotacz żelaza zarzucił.

Kula trafiła zbira prosto w pierś, tuż powyżej serca, po czym wykwitła na jego plecach niczym kwiat lotosu w pierwszych dniach wiosny. Grubas przycisnął dłoń do otworu wielkości gałki ocznej i spojrzał na ciemną krew plamiącą jego uwagi. Potem zakrzuszył się i upadł na ziemię jak ciężki worek cegieł. Pozostała trójka rzuciła się do ucieczki, pierzchając w stronę wolnego wylotu zaułka. Yoshi wystrzelił ponownie, posyłając do grobu kolejnego zbira. Masywne ciało zatrzymało się z chrzęstem na żwirze, zostawiając za sobą długi, krwawy ślad. Pozostali dwaj byli już daleko, przebierali nogami tak szybko, jak tylko zdołali, mijając wychodzących na ulicę zdezorientowanych mieszkańców okolicznych domów, bladych i zaniepokojonych kolejnym trzęsieniem ziemi.

Yoshi leżał na dachu, przyciskając dłoń do rany na boku, czując pod palcami lepłą krew. W uszach wciąż dzwoniło mu od huku wystrzału. Stoczył się z dachu, wylądował na ugiętych nogach, sycząc z bólu, po czym schował wciąż ciepły miotacz w fałdach obi. Herszt o nalanej twarzy leżał bez ruchu ze szklanym wzrokiem nieruchomo wbitym w niebo. Drugi zbir jęczał żałośnie, leżąc na brzuchu z podkulonymi

nogami. Ziemia pod nim wymalowana była na czerwono.

– Yoshi! – Jurou przeszedł ostrożnie między kolczatkami i podbiegł do niego. – Na jaja Izanagiego, wszystko w porządku?

Poblądły ze strachu chłopak chwycił się za głowę, po czym ściągnął uwagi z Yoshiego, aby lepiej przyjrzeć się ranie. Na widok krwi otworzył szeroko oczy. Było jej dużo, wsiąkała szybko w bandaż chroniący nowy tatuaż, spływała po skórze prawej ręki rannego.

Zbir ponownie jęknął. Na jego ustach pojawiły się różowe bąbelki.

– Yoshi, tak? – wybełkotał, szczerząc poplamione, ciemne zęby niczym półprzytomny pijak. Wzrok wbił w miejsce, gdzie powinien się znajdować tatuaż klanowy Yoshiego. – Jesteś już, kurwa, martwy, burakuminie Yoshi...

...nadchodzą...

Głos Dakena zabrzmiał w myślach Yoshiego głośno i wyraźnie.

...słyszeli strzały, nadchodzą żelazni ludzie...

Zbir przetoczył się na plecy i zakrzusił się krwią. Jego uwagi była całkowicie przesiąknięta posoką. W piersi miał dziurę wielkości pięści. Yoshi wyprostował się, krzywiąc się z bólu. Jedną rękę trzymał cały czas przyciśniętą do rany w boku, drugą zaciskał na kawałku bruku.

Bushi wkrótce tu przybędą.

Człowiek yakuzy może do tego czasu wyzionąć ducha, ale wcale nie musi.

„On wie, jak się nazywam”.

– Yoshi, nie – zaprotestował Jurou.

Zbir usiadł z trudem. Krew spływała mu po brodzie. Yoshi podszedł do niego chwiejnym krokiem, mrugając intensywnie przez pot zalewający mu oczy. Wzmocnił chwyt na trzymanym kamieniu. Czuł się, jakby z powrotem miał czternaście lat, kiedy jego ojciec wstał z za stołu i zamachnął się butelką z sake, gdy szkło roztrzaskało się na kości i udekorowało ścianę czerwienią.

...nadchodzą, uciekaj...

– Yoshi, nie. – Jurou próbował odciągnąć go w zaułek. – Proszę, nie!

– Proszę, nie! – Zbir przedrzeźniał Jurou piskliwym głosem. – Jesteście

hajtnięci czy co? Które z was nosi kiecki?

Yoshi uniósł kamień nad głowę.

Czternaście lat.

Krzycząca siostra.

Krwawiąca matka.

Dłonie zwinięte w pięści.

– Nie masz jaj, nędzna cipo – prychnął zbir.

Mylił się.



33.

ZŁAMIE SIĘ CZY PĘKNIE?

Siniaki pokrywały jego ciało, tak jak plama oleistych ścieków pokrywa powierzchnię wody. Całą skórę miał upstrzoną wielobarwnymi wzorami, od czerni przez szarość po ciemną czerwień. Po brzuchu wiły się ornamenty pękniętych naczynek krwionośnych.

Każdy ruch i każdy oddech były okupione bólem.

Siedzieli w pokoju Yukiko wśród pustych butelek po sake. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzął, coś przypominało mu o niej. Kin nie chciał udać się do lazaretu; nie uważał, żeby tam byli bezpieczniejsi. Jeśli miał być ze sobą szczerzy, to zważywszy na stan Daichiego, w całej osadzie nie było chyba miejsca, gdzie mogliby być bezpieczni.

Ayane nie spuszczała wzroku z drzwi, tak jakby spodziewała się, że w każdej chwili mogą przez nie wpaść Kagéc, żeby ją wywlec na zewnątrz i zrzucić z podestu za napaść na jednego z nich. Srebrzyste kończyny otaczały ją niczym cienki, ostry jak brzytwa kokon. Siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, obejmując nogi ramionami. Była małym kłębkim strachu.

Maść, którą Kin otrzymał od Mari, nieco przytępiła ból. Przez te kilka chwil spędzonych w lazarecie staruszka pocmokała nad nim z dezaprobatą, ale gdy wychodzili, ze smutkiem dostrzegł ulgę na jej

twarży. Zdawała się zadowolona, że się go pozbyła. A także rozkojarzona, jakby czymś zmartwiona.

Wszyscy wyglądali na bardzo zmartwionych.

Strach wywołany historią z Daichim oraz przedłużającą się nieobecnością Yukiko i Buruu szybko rozprzestrzenił się wśród koron drzew, zapuszczając korzenie głęboko niczym czarnopłuco w organizmie chorego. Po mostach nie biegały dzieci z rozpostartymi ramionami, wyobrażające sobie, że właśnie lecą, ryczące wyzywająco w stronę niewidzialnych wrogów. Nikt nie śpiewał po zmroku, nikt nie gawędził przy ogniu. Wszędzie tylko niesione wiatrem przyciszone głosy, ukradkowe kroki. Rosnące napięcie tężało w powietrzu niczym gęsta mgła. Pod tym wszystkim była ich dwójka siedząca cicho, starająca się nie rzucać w oczy, a między nimi wisiało niewypowiedziane pytanie – niewidzialne i wszechobecne niczym woń glicynii.

„Co my tu jeszcze robimy?”

Do wieczora Kin poczuł się na tyle dobrze, żeby spróbować chodzić. Z trudem dźwignął się na nogi, trzymając się kurczowo za brzuch, tak jakby ten mógł w każdej chwili pęknąć i udekorować podłogę jego wnętrznościami. Oparł się o ścianę, krzywiąc twarz z bólu. Ayane przyglądała się mu z rozszerzonymi ze strachu źrenicami.

Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– ...kto tam? – zawołał Kin.

– Kaori. – Głos kobiety był stłumiony dzielącym ich drewnem i papierem ryżowym.

– Czego chcesz, Kaori-san?

– Mój ojciec życzy sobie z tobą pomówić, członku Gildii.

Ayane spojrzała na niego i pokręciła głową. Kin westchnął i przesunął dłońią po głowie. Włosy miał coraz dłuższe, wydawały się takie miękkie. Wrażenie to było dla niego niesamowicie obce. Ciężko było się przyzwyczaić do tych zmian.

– Przyjdę do was – zawołał przez ścianę.

Kaori jeszcze przez chwilę stała w milczeniu na podeście, aż w końcu odwróciła się i odeszła bez słowa.

- Nie idź tam, Kin-san – błagała Ayane cichym, przerażonym głosem.
- Muszę pomówić z Daichim.
- Nie mów mu, co się stało. Wyniknie z tego tylko więcej kłopotów dla nas. - Dziewczyna przyciągnęła nogi mocniej do siebie. - Dla mnie.
- Chcesz pójść ze mną? – zapytał Kin.

Ayane spojrzała na drzwi. Jej srebrzyste ramiona zadrżały jak dziecko na zimowym wietrze. Po chwili potrząsnęła głową.

- Postąpiłam głupio, przybywając tutaj – stwierdziła głosem, który sprawiał wrażenie, jakby dochodził z jakiegoś mrocznego i pustego miejsca.

- Nie mów tak. Ayane, wszystko będzie w porządku.

Spojrzała na niego, przyciskając usta do kolan. Na wilgotnych policzkach zalśniło rozproszone światło księżyca wpadające przez otwarte okno. Kin podszedł do niej, przyklęknął z grymasem bólu i otarł jej łzy najdelikatniej, jak umiał. Odezwała się ponownie, nie odrywając ust od swoich nóg, przez co jej głos był trochę stłumiony. On jednak usłyszał wyraźnie każde słowo.

- Wiedziałam, że nigdy tak naprawdę nie będę jednym z nich, ale miałam nadzieję... myślałam... - Pokręciła głową. - Nie ma tu dla mnie miejsca. Ktoś taki jak ja nie ma tu czego szukać.

„Ktoś taki jak ja...”.

- Wszystko będzie w porządku – zapewnił ją słabym, zmęczonym głosem. - Obiecuję.

Pochylił się i pocałował jej oczy – najpierw jedno, potem drugie. Na wargach poczuł ciepłe krople smakujące solą i pustką. Ayane ujęła go za dłoń i ścisnęła mocno. Gdy przemówiła ponownie, w jej głosie kryła się niewypowiedziana prośba; krucha, a jednocześnie ostra jak srebrne igły.

- Nie ma tu dla mnie miejsca, Kin-san. - Wbiła wzrok w podłogę. - Nie ma tu miejsca dla nas.

Czekali na niego w domu Daichiego – trzy postacie siedzące wokół paleniska, twarze oświetlone ciepłym blaskiem, lodowato zimne

spojrzenia. Kin nie zapukał, lecz zwyczajnie wszedł, szurając nogami, odprowadzany przez przyciszone, gniewne głosy, po czym rozsunął drzwi i dołączył do rady Kagé.

Kaori klęczała po lewej ze spojrzeniem wbitym w płomienie. Po prawej był ubrany w żałobną czerń Maro z lewą ręką na temblaku, przekrwionym okiem, wilgotnymi policzkami, pochyloną głową i przygarbionymi ramionami. Na środku siedział Daichi owinięty bandażami od pasa po gardło, oddychający z wyraźnym trudem. W dłoni trzymał filiżankę z herbatą. Przez bandażę na wysokości żeber przesączała się powoli krew, a twarz i dłonie znaczyły liczne blizny. Gdy tylko Kin przekroczył próg, spojrzał chłopcu w oczy i odezwał się głosem chropawym jak popękana skała i skrzeczącym jak dawno nieoliwione zawiasy.

– Kin-san. – Starzec odchrząknął, krzywiąc się z bólu.

– Daichi-sama, czy nie powinienes być w lazarecie?

Daichi machnął ręką.

– Tu jest mi o wiele lepiej. A stara Mari ma... inne sprawy na głowie. – Wskazał wolne miejsce naprzeciw niego, po drugiej stronie paleniska. – Proszę, usiądź.

– Postoję. – Kin starał się nie zdradzić w głosie bólu sponiewieranych żeber, podobnie jak starzec starał się ukryć swój ból. – Jeśli nie sprawi ci to różnicy.

– Czy dobrze się czujesz?

Przez moment rozważał powiedzenie prawdy, wyjawienie Daichiemu wszystkiego: pobicia, gróźb, usiłowania zabójstwa. Chciał zawierzyć temu człowiekowi tak, jak zawierzyła mu Yukiko. Naprawdę chciał w niego wierzyć. Miał już gotowe słowa na końcu języka, gdy nagle Kaori odezwała się bezbarwnym, chłodnym głosem.

– Ojczy, są o wiele bardziej naglące sprawy niż samopoczucie członka Gildii.

– Cholerna racja – przytaknął Maro.

Łzy na jego twarzy lśniły odbitym blaskiem żaru z paleniska.

Wtedy pragnienie powiedzenia prawdy zgasło w Kinie niczym

zdmuchnięty knot świecy. Daichiemu mogło naprawdę zależeć, pomimo własnego bólu i własnych zmartwień. On mógł naprawdę szczerze widzieć w nim więcej niż to, kim kiedyś był. Ale Kaori i Maro? Oni dbali tylko o siebie i swoją rewolucję. Interesowały ich tylko jego błędy i krew rozlana, bo on zawiódł. I chociaż zapewne by temu zaprzeczyli, Kin doskonale wiedział, odkąd tylko tu przybył, że w ich oczach wciąż był wrogiem.

– Daichi-sama, wezwałś mnie? – powiedział. – Jeśli chodzi o awarię miotaczy, to jeszcze nie...

– Do wszystkich piekieł z twoimi przeklętymi miotaczami – przerwał mu Maro napiętym głosem. – Otrzymaliśmy wieści z południa. Wieści, których dostarczenie tutaj mój brat i dwóch innych Cieni przypłaciło życiem.

Kin zamrugał.

– Sensei Ryusaki nie żyje?

Powolne skinienie głową, zwężone oczy.

– Hai.

– Bardzo mi przykro, Maro-san. Racz przekazać wyrazy współczucia...

– Dość – wybuchła Kaori. – To nie czas na fałszywą troskę, członku Gildii.

Kin spojrział w zimne oczy kobiety. Chyba nigdy dotąd nie był tak zmęczony.

– Zatem mów.

– Gildia buduje armię na północny wschód od Kigen – zaczęła Kaori.

– Setki pilarzy, których chcą bez wątpienia użyć do wypłoszenia nas z lasu.

– Jednak bardziej martwi nas maszyna, która ma poprowadzić natarcie.

– Daichi mówił powoli, ostrożnie, przyciskając dłoń do żeber. – To prawdziwy kolos, Kin-san.

Obok bólu w trzewiach Kin poczuł kielkujący strach.

– Wysoki na trzysta stóp – podjęła Kaori. – Czarne żelazo i piły łańcuchowe szerokie jak pokład lotostatku. Dziesiątki kominów wysokich jak wieże. Silniki wprawiające ziemię w drżenie.

- Miażdżyciel – wyszeptał Kin.

- Znasz to monstrum? – zapytał Maro ze zwężonymi oczami. – Wiedziałeś, że coś takiego istnieje?

- Czy wiedziałem, że istnieje? Nie. – Kin oblizał wyschnięte nagle wargi i poczuł na języku smak łez Ayane. – Wiedziałem jednak o istnieniu planów jego zbudowania. Ten projekt był oczkiem w głowie shateigashiry Tory. Człowieka imieniem Kensai.

- Drugi Kwiat Kigen – wymamrotał Daichi.

- Ten sam – przytaknął Kin. – Mówił o nim całymi godzinami. Ta machina miała zakończyć wojnę w Morchebie i rzucić gaijinów na kolana. Miała to być broń zdolna obrócić całe miasto w kupę gruzów. Coś, czego okrągłooocy nigdy wcześniej nie widzieli. Dotychczas jednak Kensai nie zdołał pozyskać odpowiedniego poparcia w Gildii, aby swoje plany urzeczywistnić. Musiało się stać coś poważnego, skoro Pierwszy Kwiat dał mu swoje przyzwolenie.

Ojciec i córka spojrzeli na siebie, czytając sobie nawzajem w myślach.

- Yukiko – powiedziała Kaori.

- Ayane mówiła, że Kapituła Kigen zażądała przysłania większości ludzi z Sekcji Pociskowej Kapituły w Yamie – wyszeptał Kin. – Musiało to mieć związek z pracami nad Miażdżycielem. Bogowie, oni naprawdę to budują...

Aż trudno było mu w to uwierzyć. Lata temu widział kopię planów. Kensai poprosił jego ojca o pomoc w zaprojektowaniu wlotów paliwa i elementów silników. Wyniki ich współpracy były prezentowane nowicjuszom jako przykłady prawdziwego geniuszu inżynierskiego. Ale skonstruowanie Miażdżyciela pochłonęłoby olbrzymie ilości surowców. Sama ilość chi niezbędna do napędzania go niemal nie mieściła się w głowie. Spokojnie wystarczyłaby na obdzielenie dwudziestu pancerników wraz z pełną załogą.

„Muszą bardzo pragnąć jej śmierci...”.

Wpatrywał się w płomień z zapartym tchem.

„Yukiko, gdzie jesteś?”.

- Dlaczego mi to mówicie?

– Musimy zniszczyć tę maszynę – warknął Maro. – Pytanie brzmi: jak to zrobić?

– To niemożliwe – stwierdził Kin.

Maro splunął w ogień. Ślina zasyczała na żarzących się węglach.

– Łżesz.

– Mówię prawdę. – Kin poczuł w piersi wzbierający gniew. – Widziałem przed laty plany. Mógłbym zniszczyć to od środka, ale wszelki atak od zewnątrz to zwykle samobójstwo. – Zwrócił się do Daichiego: – Budują to na poligonie w prowincji Jukai, prawda? Na terenie Skazy?

Daichi przytaknął i zmienił pozycję, krzywiąc się z bólu.

– Hai.

– To miejsce to prawdziwa forteca, do tego otoczona martwymi ziemiami. – Kin pokręcił głową. – Obok Pierwszego Domu jest to najpewniej najpilniej chroniona placówka Gildii na wszystkich wyspach. Dysponują tam większą siłą ognia niż dowolna kapituła na Shimie. Nigdy nie dotrzemy do celu.

Kaori spojrzała na niego gniewnie nad ogniem.

– Jacy znowu „my”, członku Gildii?

– Nie możemy zapominać o Aishy – zauważył Daichi – i jej zaślubinach z Hiro.

– Niech demony porwą Aishę – prychnął Maro. – W tej chwili na szali spoczywa dużo więcej niż cnota tej...

– Poświęciła dla nas wszystko, co miała, Maro-san. – W oczach Kaori pojawił się niebezpieczny błysk. – Nie waż się jej ubliżać.

– Z całym szacunkiem, ta armia oznacza kres wszystkich Kagé!

– Nie możemy jej zostawić i pozwolić, aby została zgwałcona dla tronu!

– Nie możemy zaryzykować wszystkiego dla jednej osoby! Nie teraz, kiedy ten... Miażdżyciel zagraża wszystkiemu, o co walczymy. Cóż możemy zdziałać przeciwko całej armii pilarzy? Nie wspominając już o takim monstrum!

– Nie chodzi tylko o nią jedną! Jak sądzisz, co się stanie, gdy dynastia zostanie odtworzona? Jeśli rządy Hiro zostaną usankcjonowane?

Wszystko, co dotąd zrobiliśmy, co udało nam się osiągnąć, pójdzie na marne!

Kin przyglądał się ich kłótni w milczeniu. W głowie kręciło mu się od otaczającego go hałasu, dymu oraz bólu w brzuchu i piersi. W zasadzie cieszył się, że nie przedstawił Daichiemu zajścia z Isao i jego koleżkami. Gdyby to zrobił, czułby się teraz naprawdę żałośnie, jak dziecko płaczące z powodu zdartego kolana. Zamiast tego czuł się zupełnie sam, jakby oderwany od rzeczywistości i unoszący się w całkowicie pozbawionej światła ciemności. Ten obcy.

„Jacy znowu »my«, członku Gildii?”

Obrócił się i wymknął na zewnątrz.

Pozostali byli zbyt pochłonięci swoim gniewem, żeby zauważyć jego odejście.

Szedł boszo, przemykając cicho od cienia do cienia z dłońmi ukrytymi w rękawach. Blask Ojca Księżyca był słaby i przytłumiony. Cienkie ostrza bladoszarego światła przebijały się tu i ówdzie przez gęste korony drzew. Wokół niego rozbrzmiewała pieśń nocy – tysiąc istot nawoływało, polowało i umykało pod osłoną ciemności. Szedł przez las nie głośniejszy niż cichy pomruk wśród szepczących drzew i opadających liści, aż stanął przed potężną sylwetką jednego z jego miotaczy shurikenów.

Maszyna przypominała przygnębioną postać, zgarbioną i przechylającą się na jeden bok, tak jakby było jej wstyd, że zawiodła w potrzebie. Kin wspiął się po drabinie na siedzenie operatora, walcząc z bólem żeber i mięśni, tak ostrym, że odnosił wrażenie, jakby ktoś zastąpił mu jelita zwojami drutu kolczastego.

Gdzieś w mroku zaskrzeczał nocny ptak.

Wiatr szeptał do drzew.

Tajemnice.

Ostrzeżenia.

Kin rozejrzał się uważnie, ale nikogo nie dostrzegł. Wyjął zapalnik i

potarł nią o obudowę pompy. Na drewnie zatańczył jaskrawy pomarańczowy płomień, a w powietrzu rozeszła się woń siarki. Zapalił knot przyniesionej papierowej latarni, ze strachu zapominając o oddychaniu. Wyobraził sobie, co by się stało, gdyby Isao ze swoimi poplecznikami przydybał go tu w środku nocy. Jak łatwo rzucaliby przez zaciśnięte zęby oskarżenia. Jeszcze łatwiej przyszedłby im nieuchronny rozlew krwi.

Miotacz jęknął pod jego ciężarem.

Nachylił się, odblokował klapkę i zdjął ją, odsłaniając wnętrze maszyny. Wyjął z pasa klucz maszynowy i zatracił się w pracy. Minuty przelizgiwały się jedna za drugą niczym złodzieje. Wspominał te niezliczone dni spędzone w budynku kapituły, cierpliwy głos jego senseia, łagodne dłonie jego ojca, ciepło w sercu na dźwięk słów pochwały, gdy radził sobie coraz lepiej z maszynami. Był uzdolniony i dobrze o tym wiedział. Wiedział to jeszcze, zanim doznał wizji w Komnacie Dymu, zanim przyrzeczono mu los, o jakim wielu członków Gildii nie śmiało nawet śnić.

Wspominał Drugi Kwiat Kensaia, bliskiego przyjaciela jego ojca. Człowieka, którego nazywałby wujem, gdyby tylko byli normalnymi ludźmi z normalnym życiem. Wspominał smutek w jego głosie, gdy informował chłopca o śmierci ojca; metalowe dłonie spoczywające na jego ramionach w niezdatnym geście pocieszenia. Wspominał płacz wewnątrz skóry, łzy spływające po policzkach, których nie mógł dotknąć, gdy wrzucali ciało jego ojca do kadzi z inochi. Słowa wypowiedziane przez Strażników Czystości wciąż huczały mu w uszach.

„Prapoczątkiem była Otchłań.

I w Otchłań powracamy.

Czarną jak łono matki”.

Ale nawet w najgłębszym żalu miał ciepłe światło palnika, schronienie w obudowach, tranzystorach i zębatkach, w piśmie zachodzących na siebie żelaznych zębów. W języku, który znał równie dobrze co ludzką mowę. Szeptaly do niego w te wszystkie długie i samotne noce, mówiły mu, że tu jest jego miejsce, że tu jest jego dom.

„Czy w Gildii naprawdę było tak źle?”

Potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z niej tę myśl. Było gorzej niż źle, to była niewola. Był więźniem przetrzymywanym w mosiężnej klatce. Jeńcem wyborów dokonanych za niego, Inkwizycji i ich „tego, co nadejdzie”, czarnych metalowych uśmiechów i Komnaty Dymu. Szeptów snujących wizję przyszłości tak przerażającej, że każdej nocy swojego życia budził się z koszmaru zlanego potem.

„Mówcie mi Pierwszy Kwiecie”.

Był świadkiem masowej rzezi niewinnych w imię większej produkcji chi, większej mocy, większej ilości paliwa do napędzania maszyny wojennej. Miał nigdy nie poczuć dotyku dłoni drugiego człowieka, nigdy nie poznać prawdziwej przyjaźni. Ani miłości.

„Ale jaką przyjaźń niby poznałeś? W tej dziurze, którą nazywasz wolnością?”.

Głos w jego głowie należał do niego. Był metalicznym zgrzytem w masce z wypolerowanego mosiądzu, sykiem i sapaniem miechów aparatu oddechowego, nieodmiennie śmierdzącego chi.

„Czyją miłość niby teraz znasz?”.

Zamrugnął intensywnie. Tkwił z ramionami zanurzonymi po łokcie we wnętrzościach miotacza.

„...Yukiko”.

Głos w jego głowie się roześmiał. Przypominało to klekotanie mechanicznych. Trzepot skrzydeł tysiąca much lotosowych.

„Ona miałaby cię kochać? Ona przecież nawet cię nie zna”.

Pałce zamaryły na gładkich rurach i metalu pokrytym smarem. Maszyna go znała, wiedziała wszystko. Znała swoje miejsce, swoje przeznaczenie, swoją funkcję. Wszystko, czym była i czym kiedykolwiek będzie. Cała istota maszyny sprowadzała się do zamontowania właściwych podzespołów we właściwej kolejności, do przyłożenia właściwej siły we właściwym czasie. Żadnych niemożliwych do rozwikłania tajemnic, żadnych problemów, z którymi nie poradziłyby sobie bystry umysł i praktyczne doświadczenie.

Gdyby to było takie proste z ludźmi.

„Gdyby to było takie proste z n i ą”.

Przez myśli przemknęły mu słowa Isao. Na wierzch wypłynęło wspomnienie noża obracanego w gnieździe osadzonego w jego ciele, w metalu, który już zawsze będzie częścią niego, którego nigdy nie zdoła się pozbyć.

„Wy i wszyscy wasi pobratymcy z Gildii jesteście jak trucizna”.

I wtedy, w migoczącym świetle latarni, w okrytych cieniem wnętrznościach maszyny, dostrzegł odpowiedź, którą miał przed oczami przez całe swoje życie. Teraz widział ją z taką wyrazistością, że aż zaparła mu dech w piersiach. Drżącymi ustami nabrał zimnego powietrza do sponiewieranych płuc. Obraz był tak klarowny. Miał wrażenie, że gdyby wyciągnął przed siebie rękę, mógłby go dotknąć. Straszliwa prawda, zimna i rzeczywista jak metal w jego dłoniach.

Prawda, przed którą nie można uciec.

Prawda, której nie można zaprzeczyć.

„Nigdy nie dadzą mi tu zaznać choć chwili spokoju”.

Klucz wypadł z odrętwiałych palców, spadając z brzękiem tysięcy mil w dół. Odgłos był równie odległy jak twarz Ojca Księżycy i jego nikły blask.

„Nigdy nie dadzą mi spokoju”.

Bezdźwięcznie zszedł z miotacza i zanurzył się z powrotem w ciemność.

Kiedy zostawiał Ayane, zamknął za sobą drzwi. Teraz były szeroko otwarte.

Poczuł zaciskające się na gardle i odbierające mu oddech lodowate palce strachu. Gdy dokuśtykał na platformę przed pokojem Yukiko, usłyszał cichy szloch. Wszedł do pomieszczenia. Ayane siedziała zwinięta w kłębek w najdalszym rogu. Drgnęła na odgłos kroków, ściągnęła strzępy ubrania i wierzgnęła nogami, usiłując odsunąć się jak najdalej od wejścia, jeszcze głębiej w cień między ścianami. Krew na jej skórze, na twarzy, na wewnętrznej stronie ud, tak ciemna, że aż niemal czarna.

– Na Pierwszy Kwiat... – wyszeptał. – Co oni zrobili?

Gdy się do niej zbliżył, jęknęła żałośnie ze strachu. Sińce na twarzy, pełne wargi dodatkowo napuchnięte, fioletowe ślady na nadgarstkach i udach. I ta krew.

Taka drobna, a tyle krwi.

– Ayane. – Wyciągnął do niej rękę. – Ayane, to ja.

Przyklęknął przy niej, ignorując ból poobijanych żeber. Na dźwięk jego głosu rzuciła się mu na szyję i przylgnęła do niego jak przerażone dziecko, jak potłuczona porcelanowa lalka. Trzęsa się z płaczu tak mocno, że Kin odnosił wrażenie, jakby kolejne spazmy poruszały całym pokojem, jakby sięgały korzeni wiekowego drzewa, na którym znajdowała się chata.

Gdy podłoga pod nimi zadrżała, krzyknęła z przerażenia, wbijając palce mocno w jego plecy. Puste butelki ustawione rzędem na parapecie okiennym zadzwoniły głośno. Wtedy Kin zdał sobie sprawę, że nie wydawało mu się, że pokój naprawdę się trzęsie, że cała wyspa dygocze w uścisku kolejnego trzęsienia ziemi. Z sufitu spadła chmura pyłu, zeszcłe liście posypały się za oknem niczym suche, poskręcane płatki śniegu.

Objął ją i przytulił mocno, przyciskając dłonie do nagiej, lepkiej od krwi skóry pleców. Dziewczyną targają kolejne spazmy płaczu. Jej szloch przenikał go na wskroś; okropny, chwytający za duszę dźwięk, którego miał nadzieję już nigdy więcej nie usłyszeć. Wkrótce wstrząsy ustąpiły równie nagle, jak się rozpoczęły. Świat zamarł. Cisza i spokój jak w czasie między chwilami, w pustce między jedną udręką a drugą.

– Kto? – zapytał cichym, twardym szeptem. – Ayane, kto ci to zrobił?

Upłynęła dłuższa chwila, zanim dziewczyna zdołała uspokoić oddech. Tkwiła z twarzą wtuloną w jego pierś, a jej pajęczce ramiona otaczały go jak płatki muchołówki. Z ostrych końcówek skapywała krew.

– Isao... – wyszeptała ze wstrętem, jakby to imię było przekleństwem. – Isao i... pozostali.

Sapnął z odrazą i nienawiścią. Dziewczyną ponownie targnął silny szloch. Oddychając przez zaciśnięte zęby, Kin zwiesił głowę i zamknął powieki.

„Jak do tego doszło?”

– Uciekajmy stąd. – Mówiła głosem osoby załamanej, przełykając łzy, starając się oszczędzać spuchnięte wargi. – Po prostu stąd uciekajmy, proszę. Nie ma tu dla nas miejsca. Nigdy nie powinniśmy byli tu przybywać. Och, Kinie, proszę cię...

– Gdzie mamy się udać? – zapytał, dobrze wiedząc, co usłyszy w odpowiedzi.

– Do domu. – Uścisnęła go tak mocno, że miał problemy z oddychaniem, i wtuliła w jego szyję twarz śliską i ciepłą od łez. – Musimy wracać do domu.

Przytulił ją mocno i słuchał jej płaczu, wpatrując się w mrok czający się za okienną szybą. To miejsce, gdzie miał nadzieję znaleźć nowy dom. To miejsce, gdzie miał nadzieję znaleźć święty spokój, a nie znalazł nawet jednej jego chwili. Gdy przemówił, w jego głosie pobrzmiwało echo ciemności gęstszej od nocy za oknem.

– Wrócimy do domu. – Uścisnął łkającą z ulgą dziewczynę. – Ale najpierw się pożegnamy.



Żelazo ciągnęło go w dół, tak jak szyjka butelki przyciąga ku sobie usta pijaka. Zaczynało mu brakować powietrza. Ilja szarpnął uprząż i mocował się z rękawicami, tracąc cenne sekundy na ściągnięcie ich z dłoni. Kopał wściekle lodowatą wodę ciężkimi butami. Zew fal załamujących się nad jego głową zdawał się zbyt odległy. W końcu dopiął swego i żelazne sprzączki puściły. Wykręcając ramiona, zrzucił z siebie uprząż i odprowadził ją wzrokiem w mroku pod jego stopami.

Wtedy je zobaczył: długie srebrne wstęgi wijące się w morskiej głębinie. Paszcze wypełnione ostrymi zębami, oczy z gatunku tych, które jawiły się w środku nocy dzieciom w szparze niedomkniętych drzwi szafy. Strach tak mocno ścisnął jego pierś, że mimowolnie wrzasnął, wypuszczając z płuc resztkę powietrza. Chmura bąbelków, gromada idealnych, gładkich jak szkło kul, pomknęła w górę, ku powierzchni wody. Pchany panicznym strachem Ilja ruszył za nimi tak szybko, jak tylko zdołał.

A w ślad za nim popłynęły srebrzyste cielska.

Yukiko dostrzegła wypływającego na powierzchnię Ilję, z trudem utrzymującego się na falach, łapiącego desperacko powietrze, by od razu wypchnąć je z płuc w krzyku przerażenia. Był piętnaście stóp poniżej występu. Z trudem zdołał utrzymać głowę nad powierzchnią lodowatej wody na tyle długo, by nabrać powietrza i krzyknąć ponownie.

Buruu nie spuszczał wzroku z warczącego gardłowo nomady, który okręzał go szerokim łukiem, gotując się do kolejnego ataku. Zerknął w bok akurat w chwili, gdy Yukiko skopywała z nóg za duże na nią buty i zrzucała z ramion sztormiak. Przewięzała się w pasie liną, której drugi koniec przywiązała najmocniej, jak zdołała, do miedzianego pręta wijącego się spiralnie wokół wieży.

NIE MOŻESZ TEGO ZROBIĆ.

„On zrobił to samo dla mnie!”.

NIE POZWOLE...

„Buruu, on ocalił mi życie! Kiedy ty nawet nie słyszałeś moich krzyków. Gdyby nie on, utonąłabym wtedy”.

Nie oglądając się na tygrysa gromu, Yukiko skoczyła wprost do czarnej kipieli u stóp skał. Wyczuwała te bestie w otaczającej ją wodzie, sunące ku powierzchni szerokimi, leniwymi kołami. Nie musiały się spieszyć, ich ofiara nie miała wszak dokąd uciec. Lśniące, śliskie cielska, złote oczy, pionowe źrenice. Podłużne płetwy wzdłuż boków i kręgosłupa falujące rytmicznie wedle kaprysu wzburzonego oceanu.

Rozwidłone języki, ostre jak brzytwy zęby.

Zmagała się z falami, ledwo będąc w stanie płynąć. Szczęśliwie dobrze wycelowała skok, a kolejna fala przyboju rzuciła nią wystarczająco blisko Ilji, aby zdążyła go chwycić, zanim ten ponownie poszedł pod wodę. Buruu zerknął przez ramię i warknął ostrzegawczo, gdy dostrzegł wyłaniającą się powoli na powierzchnię podłużną, węzową głowę, ledwie pięć stóp od dziewczyny i chłopaka. Stwór poruszał się jak kobra: odchylił głowę do tyłu i rozłożył płetwy na podgardlu w szeroki, drżący wachlarz ociekający wodą morską i jadem. Z wypełnionej ostrymi zębami paszczy wy dobył się długi, świszczący syk.

ZA TOBĄ!

Z głębin morza wynurzył się kolejny smok, również wydając / siebie chrapliwy odgłos i odcinając Yukiko drogę ucieczki. Trzeci potwór krążył wokół nich, przecinając fale swoją płetwą grzbietową, połyskując łuskami pokrywającymi smukłe cielsko. Buruu sprężył się do skoku na skraju skały, gotów rzucić się w dół na pomoc i zanieczyścić ocean ciemną czerwieńią. Wtedy jednak nomada zaatakował go od tyłu i oba tygrysy gromu ponownie utworzyły warczące i charczące kłębowisko piór, łap i futra, miotając się niezdarnie jak dzieci walczące o nową zabawkę. Buruu zaryczał wściekle, rzucając się na rywala z całą swoją siłą, rwąc, szarpiąc i gryząc w desperackiej próbie wyswobodzenia się z uścisku. Wiedział, że jest zbyt daleko, aby był w stanie pomóc, że jest już za późno. NIE! YUKIKO!

Sześcioro zimnych gadzich oczu spoglądało na Yukiko i Ilję. Spomiędzy obnażonych kłów dobiegały groźne syki. Kolejny grom zatrząsł niebem, wicher wył niczym ranny oni. Ilja zamknął oczy i zaczął mamrotać pod nosem coś brzmiącego jak modlitwa, cały czas starając się utrzymać na powierzchni wzburzonego morza. Niebo przeciął oslepiający luk błyskawicy. Największy smok morski zacharczał i zagrzechotał wyrostkami kostnymi na gardzieli, otwierając szeroko paszczę i wznosząc się do śmiertelnego uderzenia.

Wtedy Yukiko uniosła rękę.

Woda lśniła na jej skórze, maleńkie krople łączące się w większe pod opuszkami palców i skapujące na powrót w objęcia oceanu. Burza przycichła, jakby wstrzymała oddech, deszcz zaś przemienił się w stłumiony szept kochającej chmury do łagodnej ziemi. Raijin nakazał swoim bębnom milczenie, kładąc na nich szerokie dłonie. Czas pełzł powoli na brzuchu, przyglądając się scenie z podziwem.

Smoki morskie zamarły.

Oddechy świszczwały w przepastnych pieczarach ich potężnych płuc, jad skapywał między półprzezroczystymi, ostrymi niczym katany zębami. Stwory zwężyły oczy, przechyliły głowy i nachyliły się tak blisko, że Yukiko poczuła smród ich jadu i słonego oddechu, a także dostrzegła w

gładkich złotych oczach maleńkie srebrne plamki. Przyglądała się im, a one przyglądały się jej. I dumały.

Ilja chwycił linę łączącą Yukiko z wieżą stojącą na skale, owinał nogi wokół pasa dziewczyny i na wpół oszalały ze strachu zaczął gorączkowo wybierać linę, holując ich oboje w stronę brzegu. Smoki odprowadzały ich wzrokiem, zachowując się jak węże oczarowane przez zaklinacza, kołysząc się w przód i w tył w rytm tętna oceanu i muzyki jej umysłu. Ilja dotarł do brzegu i krzyknął do Yukiko. Dziewczyna zarzuciła mu rękę na szyję, drugą dłoń cały czas trzymając wyciągniętą w stronę smoków, nie spuszczając z nich spojrzenia półprzymkniętych oczu. Co chwila zalewały ich potężne fale, przygniatając z wielką siłą do kamienia, grożąc wciągnięciem na powrót do zimnej i ciemnej pustki. Ilja wspinał się po nasiąkniętej wodą linie z uwieszoną na szyi dziewczyną, zaciskając mocno zęby, zmuszając mięśnie i ścięgna do tytanicznej pracy, oddalając się stopa za stopą od morskiej kipieli.

Arashitory wciąż tarzały się szczipione ze sobą, warcząc i rycząc wściekle. Ostatecznie Buruu zdołał się wywinąć i odrzucić młodszego tygrysa gromu od siebie potężnym wierzgnięciem zadnich łap. Nomada odcoczył się i uderzył mocno głową w popękany kamień. Buruu momentalnie skoczył na cztery łapy i podbiegł na skraj wyspy z dziką paniką w oczach. Dostrzegł napiętą linę szorującą po ostrej grani, pękającą włókno za włóknem.

Dwie tony młodzieńczej furii zaatakowały go od tyłu, boleśnie uderzając w żebra i ciskając na ostry nawis skalny. Kamień pękł pod ciężarem dwóch tygrysów gromu, opalizujący metal zaskrzypiał, wnet zagłuszony wściekłym rykiem. Nomada poszedł za ciosem i dopadł do niego w mgnieniu oka. Jedną łapą przycisnął uszkodzone skrzydło do ziemi i opuszczył dziób na odsłonięte gardło, skrzeczając niczym oni, który dopiero co wypadł z bram prowadzących prosto do Dziewięciu Piekieł.

– Stój!

Krzyk Yukiko rozległ się głośniejsz od szalejącej nad ich głowami burzy, odbijając się od skały echem niczym łoskot gromu. Nomada zamarł w pół ciosu i obrócił się do dziewczyny z gardłowym warkotem. Yukiko

opuściła głowę i zmrużyła oczy. Woda morską skapująca z jej ubrania tworzyła kałuże wokół jej stóp.

– Nie waż się go tknąć.

Wymawiała słowa ustami, językiem i zębami, ale jednocześnie te same sylaby odbijały się echem w Przenikaniu, pływały w ich myślach niczym płonące, żywe istoty. Włosy oblepiały pół jej twarzy zwartą, czarną zasłoną. W szparze między kotarami lśniło jedno oko. Deszcz uderzał w jej skórę, tak jakby była z kamienia, spływał strumieniami po policzku, skapywał z rzęs. Yukiko postąpiła krok naprzód. Ilja leżał na skale za jej plecami, wykrztuszając wodę z płuc. Dziewczyna uniosła zakrwawioną dłoń, drugą zwijając ciasno w pięść. Była śmiertelnie blada, cała się trzęsła, ale trzymała się sztywno, z zaciśniętymi zębami. Każdemu słowu opuszczającemu białe jak papier usta towarzyszył wachlarz kropel deszczu.

– Czy ty wiesz, kim jestem?

Jej siła przytłaczała nomadę niczym południowe słońce w upalny letni dzień. Raijin zgiął się wpół i zadudnił w swoje bębny tak mocno, jakby obwieszczał właśnie koniec świata. Przenikanie całe falowało od bijącego od niej gorąca. Jej głos odbijał się w umbrze silnym echem. Gdy postąpiła kolejny krok naprzód, nomada cofnął się i rozpląszczył na skale. Wypowiadane przez dziewczynę słowa płonęły w jego myślach żywym płomieniem.

– Jestem córą lisów. Zabójczynią szogunów. Kładącą kres cesarstwu. Najpotężniejsza burza, jakiej kiedykolwiek doświadczyła Shima, czeka tylko, aż ją zawołam. Jej nadejście wstrząśnie wyspami aż do ich korzeni, tak jak to czynią bębny boga gromu.

Chmury stały się i błyskawica przecięła niebo nad jej głową.

– Jestem tancerką burzy. A ty będziesz mi posłuszny.



Hana prawie krzyknęła ze strachu, gdy drzwi do mieszkania otworzyły się z impetem. Akihito dźwignął się na nogi akurat na czas, aby zobaczyć, jak Jurou wciąga Yoshiego do środka i kopniakiem zamyka za sobą drzwi. Obaj chłopcy byli zalani krwią. Brat dziewczyny wisiał na ramieniu Jurou z twarzą bladą jak sama śmierć.

– Na bogów, Yoshi! – Hana zerwała się na równe nogi i podbiegła do brata, aby pomóc mu spocząć na stosie poduszek. – Co się stało?

– Bójka w barze.

Krzywiąc się z bólu, Yoshi odchylił połę zakrwawionej tuniki i wylał butelkę sake na paskudną ranę ciętą na żebrach. Hana zerwała z twarzy chustę i przycisnęła do boku brata. Jej palce momentalnie pokryły się lepłą krwią.

– Bójka w barze?

Yoshi kiwnął głową, wlewając sobie resztkę wina ryżowego do gardła.

– Pijany mnich żebraczy zamachnął się na mnie swoim sznurem modlitewnym. Te pieprzone kamyki były diabelnie ostre...

Hana wstała i wspanała dłonie na biodrach.

– Yoshi, czy choć raz w swoim cholernym życiu mógłbyś być poważny?

– A jaki to miałyby sens? – Odetchnął z trudem, po czym zlustrował

swoją siostrę od stóp do głów, podziwiając ją w nowym ubraniu, i dodał z zawadiackim uśmiechem: – Wyszorowałaś się lepiej niż na wiosnę, siostró ma.

Hana skrzywiła się na komplement, wciąż czując lepką krew Yoshiego na palcach. Spojrzała na Jurou. Chłopak był wyraźnie spanikowany. Dłonie miał całe w świeżej krwi, a z ciemnych, wilgotnych oczu wyzierał nowy strach. Akihito stał w kącie, milcząc jak grób i wodząc wzrokiem od siostry do brata. Po chwili Hana spojrzała wymownie na Dakena leżącego na jego zwyczajowym tronie na parapecie.

– Niech ktoś mi wreszcie powie, co tu się, do wszystkich piekieł, dzieje...

Ponieważ nikt nie kwapił się do udzielenia jej odpowiedzi, sięgnęła do Przenikania. Zbadała okoliczne truposzczury, szybko zerkając przez tuzin par oczu kręcących się w zasięgu głosu od ich domu. Aż w końcu dostrzegła w oddali...

...w oddali...

...sześć truposzczurów uctowało na zwłokach martwego żebraka. Na dźwięk zbliżających się kroków jej rodzeństwo rozpierchło się niczym chmara lotosowych chmur. Uniosła swoje lśniące czarne oczy znad pożywienia, poruszając nerwowo umaczanymi we krwi wąsami. Pisnęła gniewnie.

Żołnierze, polaryzowane gogle i obnażona stal. A ona jeszcze nie zdążyła się najeść.

Ciężki but opadał szybko w stronę jej głowy...

– Szczury – wyszeptła Hana. – O, cholera...

Spojrzała na Yoshiego, który pojawił w lot, o co jej chodziło, i jego oczy już stawały się zamglone, źrenice się rozszerzały.

– „Cholera” mniej więcej oddaje stan rzeczy – zgodził się.

– Co najmniej tuzin...

– Może z tyłu. Spójrz no z przodu.

– Co się dzieje? – zapytał Jurou, patrząc to na nią, to na niego.

– Bushi. – Yoshi dźwignął się na nogi, krzywiąc się z bólu. – Całe zatrzęsienie.

- A skąd wiesz, że przyszli po nas?
- Chcesz tu na nich zaczekać, żeby się przekonać?

Daken wyszedł na zewnątrz przez maleńkie okno, kilkoma susami pokonał okap, aby ostatecznie wspiąć się po rynnie na dach. Jurou zniknął na chwilę w sypialni. Gdy wrócił, targał na ramieniu cztery pękate torby wypełnione brzęczącymi monetami. Nie było czasu na zadawanie pytań. Hana chwyciła Akihito za dłoń i cała czwórka wyslizgnęła się przez drzwi, nie oglądając się nawet przez ramię.

Yoshi szedł przodem, cały czas przyciskając rękę do boku, drugą trzymając na rękojęści ukrytego za plecami miotacza żelaza. Za nim kuśtykał Akihito, pochód zamykał Jurou. Hana szła między nimi, potykając się co chwila. Powieka zdrowego oka trzepotała szybko, a myśli dziewczyny gościły w głowie Dakena. Nie zeszli schodami. Zamiast tego ruszyli w stronę dużego, przesłoniętego ryżowym papierem okna na końcu korytarza. Yoshi szarpnęła wypaczone drewno i okno ustąpiło z jękiem protestu zardzewiałych zawiasów. Trzy kondygnacje poniżej parapetu znajdował się zaułek między ich budynkiem a sąsiednim. Szkarłatne promienie słońca lśniły niesamowicie jaskrawo na bruku i cuchnącej brei w rynsztoku.

Hana wyszła pierwsza. Szybko i sprawnie zbiegła w dół po ścianie, przytrzymując się mocno skorodowanej rynny. Za nią ruszył Yoshi. Następny w kolejce Akihito przerzucił zdrową nogę przez parapet, po czym wyciągnął resztę ciała na zewnątrz. Chwycił rynnę dłońmi wielkimi jak talerze i zszedł na dół, polegając wyłącznie na sile swoich ramion, tylko czasem opierając się o ceglana ścianę zdrową nogą. Jurou miał więcej problemów z zejściem. Rynna ślizgała się w jego dłoniach do wtóru niewybrednych przekleństw. Dwanaście stóp nad ziemią zachwiało się i chwycił kurczowo przerdzewiały metal.

Yoshi gwizdnął cicho i powiedział teatralnym szeptem:

- Mamy tu na dole wspaniały widok, ale mógłbyś się jednak pospieszyć.
- Zamknij się, bo przez ciebie spadnę.
- Złapię cię, księżniczko.

Jurou zsunął się wystarczająco nisko, aby móc zeskoczyć na ziemię. Zamortyzował upadek ugięciem kolan i przetoczył się z czymś, co prawie mogło uchodzić za grację. Yoshi zaklaskał cicho i przesłonił szeroki uśmiech chustką. Z okna nad nimi dobiegał tupot ciężkich butów żołnierzy wspinających się po schodach. Chwilę później usłyszeli trzask łamanego drewna i gniewne okrzyki.

– Czas się ulotnić – powiedziała Hana, zakładając gogle na nos.

– Bez wątpienia.

Yoshi ruszył na palcach ku wylotowi zaułka wypełnionego dławiącymi oparami. Pozostała trójka podążyła za nim. Hana sięgnęła ku okolicznym truposzczurom. Jej myśli błyskawicznie wypełniły bogaty bukiet cuchnących rynsztoków i przyprawiające o szal śwędzenie śladów po ukąszeniach pcheł. Wyczuwała kilka sztuk w ściekach przed domem, ale stado przebywające zazwyczaj z boku budynku rozpierchło się na wszystkie strony, spłoszone nadejściem straży. Zbyt mało oczu, zbyt mało oddechów. Żołądek skurczył się jej ze strachu, dziąsła wyschły, wargi lepiły się do zębów.

Czwórka uciekinierów ruszyła zawałoną śmieciami uliczką na wschód. Akihito nie wypuszczał dłoni Hany ze swojego uścisku. Dziewczyna przyjrzała się badawczo olbrzymowi. Z jego skupionej i poważnej twarzy nie dało się nic wyczytać. W drugiej ręce ścisnął kusarigamę, której ostrze lśniło krwawo w palących promieniach słońca.

– Czy sądzisz, że oni... – wyszeptła.

– Hana, czy Daken coś widzi? – Yoshi spojrział na nią przez ramię.

– Jest na gorze. – Hana rozejrzała się po okolicznych dachach, głos miała mocno zachrypnięty. – Z przodu nie przejdziemy, będziemy musieli...

Yoshi i bushi wpadli na siebie, skręcając za róg z przeciwnych stron. Twarz chłopaka odbiła się od napierśnika żołnierza. Brat Hany zatoczył się do tyłu, złapał za nos i wyrzucił z siebie stek przekleństw. Bushi niemal wypuścił z rąk naginatę – długą włócznię z trzystopowym ostrzem – ale ostatecznie zdołał przyjąć postawę bojową w wykroku, z pochyloną bronią.

– Stać, w imieniu daimyo!

Yoshi zamrugał, aby strzepnąć z powiek łzy. Otarł zakrwawioną dłonią nos, w efekcie tylko pokrywając ją kolejną warstwą czerwieni. Na szkarłatnej tunice bushiego narzuconej na zbroję z czarnego żelaza widniały wyhaftowane złotą nicią dumne tygrysy. Żołnierz zacisnął zęby i wbił w uciekinierów wściekle spojrzenie. Skierowane w ich stronę ostrze naginaty lśniło groźnie.

– Pod ścianę! – warknął rozkazująco. – Ale już!

– Ty pieprzony trupojebco, chyba złamałeś mi nos...

– Mam go! – krzyknął bushi przez ramię. – Jest tutaj!

Do uszu Hany doszły tupot nadbiegających żołnierzy, szczęk metalu uderzającego o metal, przesywający pisk gwizdków. Truposzczury, żebracy i narkomani pierzchali na boki przed pędzącymi bushimi.

Stojący przed nimi żołnierz wbił wrogie spojrzenie w Akihito i wycelował ostrze swojej włóczni w pierś olbrzyma.

– Powiedziałem: pod ścianę, ty szumowino Kagé!

Yoshi zamrugał i powiódł wzrokiem od bushiego do Akihito i z powrotem. Serce Hany zamarło jej w piersi.

– Kagé? – Chłopak zmarszczył czoło. – Zaraz, zaraz... to jego szukacie?

Akihito puścił dłoń dziewczyny i zrobił krok do przodu. Ruch jego ręki był tak szybki, że niemal nieuchwytny dla oka. Łańcuch kusarigamy owinął się wokół włóczni bushiego. Krótkie szarpnięcie wytrąciło żołnierza z równowagi. Z wyszczerzonymi w gniewnym grymasie zębami olbrzym posłał ostrze sierpa w górę, wbijając je pod brodę strażnika tak mocno, że czubek przebił się przez górę czaszki i stuknął o hełm. Zza rogu wypadli kolejni żołnierze. Akihito wyrwał ostrze razem z zaklinowaną na nim zuchwą bushiego i z przejmującym wyciem rzucił się na wrogów.

Chlasnął łańcuchem w twarz najbliższego żołnierza, przecinając drzewiec naginaty. Hana odwróciła się na pięcie na odgłos kroków za plecami. Trzech żołnierzy biegło w ich stronę uliczką, którą przed chwilą szli. Nagle nad ich głowami rozległ się huk płomieni.

Dziewczyna osłoniła oko przed oślepiającym żarem i spojrzała w górę. Na skraju dachu nad nimi stało dwóch lotosowców o lśniących czerwonych oczach. Jeden z nich wskazał Akihito wyprostowanym mosiężnym palcem.

– Żywego! – krzyknął trzeszczącym, owadziim głosem. – Chcę go żywego!

Powietrze rozdarł huk wystrzału, odbijając się echem od ścian wąskiej uliczki, przyprawiając Hanę o ból głowy. Jeden z bushich upadł na bruk, wrzeszcząc wniebogłosey i przyciskając zakrwawione rękawice do miejsca, gdzie przed chwilą była połowa jego twarzy. Jego towarzysze rzucili się za róg budynku, głośno przeklinając. Yoshi wypalił ponownie. W plecach uciekającego żołnierza pojawiła się gwieździsta dziura. Bushi padł na bruk bezwładnie jak głaz, pozostawiając za sobą mgiełkę drobnych kropli krwi.

– On ma miotacz żelaza!

Nozdrza Hany wypełnił odrażający smród spalonych chemikaliów. Yoshi obrócił się na pięcie i wycelował w bushich za ich plecami. Żołnierze i lotosowcy na dachu rozpięchli się niczym opadłe jesienne liście targane porywistym wiatrem. Jurou coś krzyczał, wręcz wrzeszczał, ale Hana słyszała w głowie tylko zwielokrotniony echem łoskot wystrzałów. Spojrzała na leżących na bruku żołnierzy, chłopców niewiele starszych od niej, w kałużach jaskrawej czerwieni i brudnej żółci. Ktoś inny krzyczał, blada twarz Yoshiego wypełniła pole jej widzenia. Znowu miała trzynaście lat, znowu czuła nieznośny ciężar na piersi. Z jej policzka sterczały odłamki potłuczonego szkła, a ona krzyczała, i krzyczała, i krzyczała.

„Mogę je wyjąć...”

– Hana, ruchy! – ryknął Yoshi, popychając ją w stronę Jurou.

Zanim zdążyła zareagować, chłopak odrzucił na bok pokrywę studzienki kanalizacji burzowej pod ścianą budynku i już dawał susa do ciemnego kanału. Hana zamrugała i zebrała się w sobie. W jej głowie rozległ się ponagłający szept Dakena. Opadła na kolana i zsunęła się do studzienki. Wylądowała po kostki w śmierdzącej wodzie w kamiennym

okrągłym tunelu o średnicy dziesięciu stóp. Trzeci zeskoczył Akihito. Yoshi jeszcze warknął ostrzeżenie w stronę żołnierzy i chwilę później spadł jak kamień w wodę. W otworze studzienki pojawił się płomień wypływany przez plecaki odrzutowe lotosowców. Jurou pociągnął Hanę w dół i zanurzył całą w ściekach. Chwilę potem powietrze nad ich głowami wybuchło. Członkowie Gildii krzyczeli, ale ich głosy były zbyt stłumione i zniekształcone, aby można było rozróżnić poszczególne słowa.

Na bruku nad głowami uciekinierów zabrzmiał tupot ciężkich butów w akompaniamencie brzęku stali.

Rozproszone promienie słoneczne rozświetlały pokryte grzybem kamienne ściany. Nozdrza Hany atakował kwaśny smród dymu, odchodów i gnijącego mięsa. Jurou chwycił ją za dłoni i pociągnął za sobą. Biegli przed siebie, na oślep, wśród rozbryzgów ścieków. Echo zwielokrotniało odgłos ich kroków w wydającym się nie mieć końca mroku. Za sobą usłyszała urwany krzyk bólu i świst łańcucha kusarigamy. Sięgnęła myślami do szczurów pod jej stopami i nad jej głową, by po chwili pociągnąć Jurou w lewo na rozwidleniu kanałów, a następnie prosto. Biegli, cały czas biegli, z trudem łapiąc oddech, z potem zalewającym oczy, lepiącymi się od brudu rękami i ledwie powstrzymując nudności powodowane wszechogarniającym smrodem. Ale biegli dalej, aż oddech zaczął palić ich płuca, a nogi trzęsły się przy każdym kroku, aż do skurczu żołądka, aż serca zdawały się pompować nie krew, a ropę i kwas. Razem z nimi pędziły truposzczury z futrem pokrytym odchodami, przebijając zalegający w kanałach mrok łśniącymi, nieruchomymi oczami.

Za ich plecami rozległy się kroki dziesiątek ludzi brnących przez ścieki. Światło latarni rzucało na wilgotne ściany tunelu rozedrgane cienie. Akihito utykał coraz mocniej, ciężko oddychając i sycząc z bólu przy każdym kroku. Yoshi co chwilę się potykał, nie odrywając dłoni od rany na boku. Kombinezony lotosowców były zbyt duże, nie mieściły się w otworze studzienki, ale – sądząc po odgłosach – posłali w pogoń za nimi pół armii stacjonującej w Kigen. Obwieszane metalowymi płytkami

ogary śmigały przez mrok z obnażonymi kłami, szukając tropu zwierzyny.

Hana sięgnęła głębiej do Przenikania, do tych maleńkich oczu, maleńkich umysłów i ostrych żółtych zębów. Weszła w ich myśli i przemieniła strach w gniew, po czym go spotęgowała. Smukłe, zaprawione w wielu bojach stada zbierające się w cichej, cudownej ciemności – ich ciemności – teraz wypełnionej hałasem i smrodem tych przeklętych ludzi. Wzywała je do siebie wszystkie, jednego po drugim. Obejrzała się na brata. Poruszał się z coraz większym trudem. Twarz miał kompletnie białą, jeśli nie liczyć plamy krwi pod nosem. Przyklejone do czoła i policzków luźne kosmyki czarnych włosów wyglądały jak pęknięcia w skórze.

– Yoshi, pomóż mi – wychrypiała.

Przełknął ślinę, skrzywił się z bólu i kiwnął głową. Spletli swoje myśli i sięgnęli razem: nawołując, przyciągając, błagając. Powódź zaczęła się od jednej czarnej kropli, która przemknęła koło ich nóg z obnażonymi brudnymi kłami. Potem kolejnych kilka, tuzin, całe dziesiątki podążyły posłuszne wezwaniu skrzypiącemu w ich głowach, dzwoniącemu w pustce za czarnymi oczami. W stronę hałasujących intruzów pomknęła fala parchatego futra, długich nagich ogonów, czarnych od brudu szponów i pysków wypełnionych tchnieniem śmierci. Po kilku uderzeniach serca do uszu Hany dobiegł okrzyk żołnierza i brzęk stali uderzającej o kamień. Uciekinierzy rzucili się ponownie do biegu, mijając kolejne i kolejne grupy kłębiących się mieszkańców ścieków.

Goniły ich krzyki gniewu i bólu. Nie było czasu na przystąpienie i nasłuchiwanie, nie było czasu na kierowanie szcurzą watahą czy włączenie się do walki. Uciekali i uciekali, chociaż każdy kolejny krok zdawał się być ponad ich siły. Nudności wzbierały w ich żołądkach, pałaca żółć podchodziła do gardeł, szczypała w język. Wszystkie mięśnie protestowały, grożąc zerwaniem albo odmówieniem posłuszeństwa. Na rozwidleniach skręcali na ślepo: prosto, w lewo, znowu w lewo, potem w prawo. Zalegającą w kanałach ciemność z rzadka rozświetlała oślepiająca smuga światła słonecznego wpadającego przez kraty ściekowe

nad ich głowami. W pewnej chwili Akihito jęknął, oparł się plecami o śliską ścianę i osunął w cuchnące ścieki. Obie dłonie przyciskał do sączącej się rany na udzie. Yoshi runął na kolana. Spomiędzy zaciśniętych na boku palców wypływała gęsta, świeża krew. Hana opadła na czworaki i zaczęła się krztusić, ledwo powstrzymując wymioty. Kwaśny odór wypełniający powietrze wyciskał jej z oczu łzy i drapał w gardło.

Nie zważając na łomot tętna w skroniach, na towarzyszący każdemu oddechowi pałacy ból w płucach, sięgnęła myślami do dzieci grobu, do tej hordy o postrzępionym futrze i skórze pokrytej ranami po żerowaniu pasożytów, sięgnęła do ich oczu i rozejrzała się po kanałach. Żadnych ludzi. Żadnych wzbudzających lęk żołnierzy. Tylko oni – tylko ona. Truposzczury siedziały spokojnie, oblizywały szarymi językami owrzodziałe dziąsła i zastanawiały się, czy dziewczyna padła twarzą w ścieki, czy w ostatnich spazmach wypełnia swoje płuca cuchnącą zupą... i jak to jej śliczne, prześliczne oko będzie smakowało.

– Nie ma ich... – wychrypiała i zaniósła się kaszlem. – Zgubiliśmy... ich...

Jurou stał oparty o łukowatą ścianę. Pierś chłopaka wznosiła się i opadała w tempie dorównującym trzepotowi skrzydeł wróbla.

– Na jaja Izanagiego...

Akihito wyciągnął rękę i odszukał w ciemności jej dłoń.

– Czy wszystko... w porządku?

– Martw się o siebie, kurwi synu! – warknął Yoshi, przytykając wylot lufy miotacza żelaza od spodu do brody Akihito i zmuszając olbrzyma do cofnięcia się pod ścianę.

– Yoshi, przestań! – krzyknęła Hana.

Chociaż Akihito ważył jakieś osiemdziesiąt funtów więcej od chłopca i przewyższał go o dobre pół stopy, cofnął się pod oślizgłą ścianę i nie dał się sprowokować lufą uciskającą jego grdykę. Nie spuszczać wzroku z Yoshiego, powoli podniósł poplamione krwią ręce.

– Uspokój się, synu...

– Chcesz teraz pozować na mojego starego, koleś? Uważaj no, bo to się

może naprawdę paskudnie skończyć. – Yoshi pochylił się do przodu, przyciskając miotacz mocniej do szyi mężczyzny. W jego głosie pobrzmiwała mieszanka niedowierzania i wściekłości. – Jesteś pieprzonym buntownikiem i wykorzystywałeś mój dom jako kryjówkę, w której możesz sobie przypaść? Do tego wciągasz moją siostrę w swoje gówno? Zapraszasz bushich, aby rozwalili nam z buta drzwi? Powinienem rozwalić ci łeb! – wrzasnął, rozsiewając w powietrzu kropelki śliny. – I nakarmić twoim truchłem pieprzone szczury!

– Yoshi! On mnie w nic nie wciągnął! – krzyknęła Hana. – Przestań!

– Na jaja Izanagiego, Hano, on jest z pieprzonych Kagé!

– Ja też jestem z Kagé!

Zapadła cisza. Yoshi obrócił się powoli i spojrzał na siostrę z konsternacją.

– Mam nadzieję, że się ze mnie nabijasz...

– Dołączyłam do nich wiele tygodni temu, zaraz po tym, jak tancerka burzy wróciła i...

– Czyś ty postradała wszystkie zmysły? – Jej brat aż kipiał z wściekłości; jego głos stopniowo przeradzał się w ryk. – Zapytałem, czy postradałaś już...

– Usłyszałam za pierwszym razem! – odkrzyknęła w odpowiedzi Hana.

– Co cię opętało?

– Już nieraz ci mówiłam! Oni przynajmniej o coś walczą, Yoshi! Mówią „dość” i walczą: z Gildią, z lotosem, z inochi, z całym tym gównem. Codziennie pływam w tym po uszy i codziennie mam ochotę wymiotować. Zrozum, tam są ludzie, którzy o to walczą i którzy za to giną! Za nas! A ty chcesz, żebym siedziała z założonymi rękami i nic nie robiła? Żebym tylko liczyła na to, że ktoś inny naprawi za mnie świat?

– Wiesz, kim jesteśmy – warknął Yoshi, wskazując sklepienie nad ich głowami. – Dobrze wiesz, że gdyby te dranie wiedziały, kim ty czy ja naprawdę jesteśmy, obchodzilibyśmy ich mniej niż gówno lotosowej muchy! I tyle właśnie jesteśmy im winni: gówno. I nic więcej!

– Yoshi – wtrącił Jurou błagalnym tonem, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Uspokój się.

– Posłuchaj swojego... – zaczął Akihito pojednawczym tonem.

Yoshi momentalnie obrócił się i wycelował miotacz żelaza prosto między oczy olbrzyma.

– Jeśli chcesz się jeszcze kiedyś podobać dziewczynom, siedź cicho – warknął. – Załatwiamy teraz sprawy rodzinne. – Zwrócił się ponownie do Hany, mówiąc głosem zimnym i twardym jak lód: – Ta mała szarada dobiegła końca, siostró ma. Pobiegałaś sobie z bohaterami, pobawiłaś się, teraz już z tym koniec. Przypadamy gdzieś na dłużej i zostawiamy tego kolesia samemu sobie. Nigdy więcej już się z nim nie zobaczymy, nigdy więcej się do niego nie odezwiemy. On idzie swoją drogą, my idziemy swoją. I nie oglądamy się za siebie.

Hana potrząsnęła głową z gniewnym grymasem.

– Nie mów mi, bracie mój, co mam robić.

– Ja ci nie mówię, co ty masz robić. – Yoshi wyprostował się powoli, ujął dłoń Jurou i dźwignął się z cuchnącej brei. – Ja mówię, co my m u s i m y zrobić.

Hana zerknęła na Jurou. Twarz chłopaka była całkiem blada i wykrzywiona bólem, ale stał twardo przy boku Yoshiego, umazany odchodami i gnijącymi odpadkami, ściskając mocno dłoń przyjaciela.

– Proszę, Hano...

– Nie mam zamiaru umierać za gości, którzy najchętniej by mnie podpalili – dodał Yoshi. – Nie mam zamiaru czekać, aż ci bushi znowu rozwalą butami moje drzwi, zaciągną mnie do pierdła i wrzucą do zatęchłej celi, w której najpierw oślepnę, a potem umrę z głodu. Nie mam zamiaru poświęcać się dla ludzi, którzy nie poratowaliby mnie kroplą swoich szczyń, gdyby widzieli, jak umieram z pragnienia. Ani teraz, ani nigdy. Ty to sobie przemyśl i sama zdecyduj, czy warto dla nich ginąć.

– Twój brat ma rację, Hano. – Wszyscy spojrzeli na Akihito, który powoli dźwigał się na nogi, trzymając się kurczowo za krwawiące udo. – Powinnaś uciekać ze swoją rodziną.

Yoshi zamrugnął zdezorientowany.

– Bez wątpienia – stwierdził po dłuższej chwili milczenia, kiwając

głową.

– To wszystko moja wina – dodał olbrzym. – Nie powinienem był przychodzić do twojego domu i narażać twojej rodziny. Przepraszam cię za to.

– Akihito... – Wzbierały w niej głupie, dziewczyńskie łzy. Zaciśnęła zęby i zepchnęła je głęboko, aż do pięt. – Nie mogę cię teraz zostawić...

– Powinnaś uciekać. Już wystarczająco wielu moich przyjaciół zmarło na moich oczach. Umarło, bo nie zrobiłem tego, co powinienem był zrobić. – Opuścił wzrok na swoje szerokie, zręczne dłonie, usmarowane krwią i brudem. Wzruszył ramionami w geście bezradności. – Nie chcę rzeźbić tabliczek duchów i dla ciebie.

– Miaaaaauuuuu.

Cała czwórka spojrzała w górę. Na tle oslepiająco jasnego nieba widocznego przez kratkę ściekową majaczyła sylwetka Dakena.

– Ja pójdę dalej – powiedział Akihito. – Wyjdę na powierzchnię kilka ulic stąd, daleko od waszej trójki.

– Tak zrób – warknął Yoshi, rzucając mu pełne nienawiści spojrzenie. Następnie wyciągnął rękę do Hany i spojrzął jej w oko. – Idziesz?

Teraz nie potrafiła już powstrzymać łez, które przełamały tamę oczu i popłynęły palącymi strumieniami po policzkach. Nienawistne, okropne krople, przez które wyglądała na małą, przestraszoną dziewczynkę. Na dziecko, które próbowała w sobie zabić już dawno temu. Znowu miała trzynaście lat, znowu była mała i przerażona, znowu trzęsła się tak mocno, że nie mogła ustać. Yoshi wyprostował się z zaciśniętymi pięściami, cały umazany krwią...

Nie mogła go teraz zostawić, nie po tym wszystkim, co zrobił. Dla niej. Tylko dla niej.

„Tylko dla mnie”.

Hana zwiesiła głowę, zrobiła krok w stronę brata. Kilka cali, tysiąc mil. Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. Ostatni raz spojrzała na olbrzyma, ledwo go widząc przez wszystkie łzy.

– Przykro mi – wyszłochała. – Akihito, tak mi przykro...

– W porządku – odparł, zmuszając się do uśmiechu. – Dość już

zrobiłaś. Więcej niż większość innych.

Olbrzym spojrzał przepaszająco na Yoshiego i Jurou, u jednego napotyając pozbawiony cienia współczucia grymas, u drugiego zaś niepewne, smutne oczy. Bez słowa się obrócił, przycisnął dłoń mocniej do uda i odkuśtykał w mrok przez rzekę odpadków. Odgłosy jego kroków odbijały się echem od spoconych ścian i niknęły w głębi tunelu, w jaskini jej piersi, w pustce jej serca.

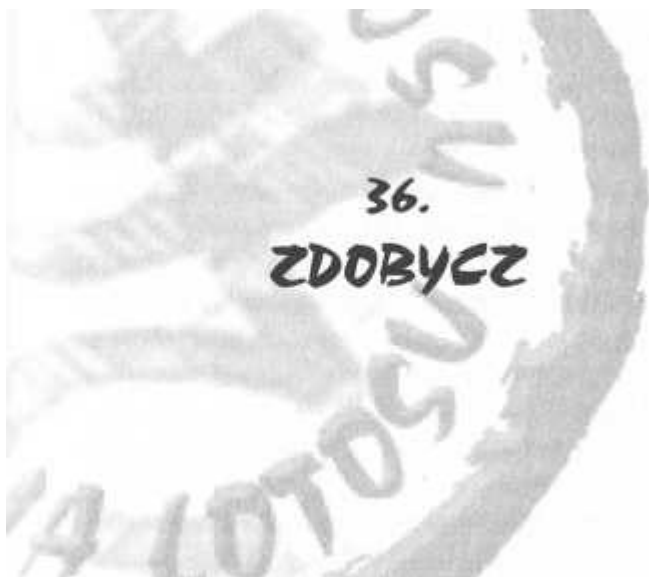
Tup, chlust.

Tup, chlust.

– Nie przejmuj się, Hano. – Yoshi ujął ją za rękę i spojrzał w oko. – Zadbam o nas wszystkich, tak jak zawsze. Krew nie woda, pamiętasz?

Wargi jej się trzęsły, policzki płonęły żywym ogniem, a gardło było całkiem ściśnięte. Ale mimo to zdołała zmusić się do wypowiedzenia tych słów, ich przysięgi. Tylko tyle jej pozostało.

– Krew nie woda.



Deszcz wypełniał ciszę między jednym a drugim hukiem gromu hymnem jednostajnego szumu wygrywanym na skórze oceanu. Nomada leżał płasko na skale, upojony krwią, warcząc wściekle. Buruu dźwignął się na łapy, otrzepał niczym zmokły pies, nastroszył sierść na grzbiecie i wbił w młodego tygrysa gromu wściekle spojrzenie. Yukiko wyciągnęła przed siebie pojednawczo dłoń i zrobiła krok w stronę nomady. Jej głos brzmiał dźwięcznie w Przenikaniu – wystarczająco głośno, aby usłyszeli ją obaj. „Wszystko w porządku, nie bój się”.

NICZEGO SIĘ NIE BOJĘ. I NIKOGO

Myśli nomady rozbrzmiewały w jej czaszce niczym głośny krzyk, były jaskrawe jak ogień wystrzału z miotacza żelaza. Dość głośne, aby sprawić fizyczny ból. Skrzywiła się, trzęsąc się na całym ciele z wysiłku. Ustawiła między nimi w Przenikaniu swój mur, tak jak tamuje się bieg rzeki, by pozwolić przepłynąć jedynie cienkiemu strumykowi. Jego niepokój aż bił po oczach. Jego strach przed tą dziwną dziewczyną, która mówiła w jego myślach, której woła przytłaczała go niczym sama burza.

„Nie zrobię ci krzywdy”.

TYLKO SPRÓBUJ

„Chcę z tobą pomówić”.

W JAKI SPOSÓB MÓWISZ W MOICH MYŚLACH?

„Jestem yókai-kin”.

Nomada zamrugał i spojrzął na nią spod zmrużonych powiek swoimi bursztynowymi oczami. Od intensywności jego myśli bolała ją coraz bardziej głowa, nawet pomimo wzniesienia w Przenikaniu psychicznej barykady. Znowu poczuła na wardze cieknącą z nosa krew.

„Jesteś wędrowcem? Nie masz stada?”.

ZAŁOŻĘ SWOJE

Yukiko spojrzała w górę, gdzie wyczuwała samicę, która wciąż krążyła nad ich głowami.

„Ona, mój przyjacielu, nie wydaje się zainteresowana”.

SAMICA SILNA. POTRZEBUJE SILNIEJSZEGO SAMCA. TAKIEGO, KTÓRY ZDOBYŁ CHWAŁĘ. TAKI JEST NASZ ZWYCZAJ

„Znam lepszy sposób”.

LEPSZY?

„Sposób na zdobycie niebywalej sławy”.

...JAK?

„Dołącz do naszego stada”.

Nomada spojrzął na Buruu i wydał z siebie parsknięcie przypominające śmiech.

SKRAAI MIAŁBY DOŁĄCZYĆ DO BRATOBÓJCY? NIGDY

Yukiko zamrugała, strząsając z rzęs krople deszczu, po czym zmarszczyła brwi.

„Dlaczego tak go nazywasz?”.

TYM JEST

„Ale siebie nazywasz Skraai?”.

MOJE IMIĘ

„Kiedy spotkałam Buruu, nie miał imienia. Nie sądziłam, że...”.

Buruu postąpił naprzód ze spuszczonego wzrokiem.

YUKIKO...

Nomada podrzucił głowę do góry i ponownie parsknął.
^BRATOBÓJCA MIAŁ IMIĘ. ALE MU JE ZABRALI, MAŁPIA

CÓRKO*

Wtem uszu Yukiko dobiegł odgłos krztuszenia się. Obejrzała się i ujrzała Ilję zwiniętego na mokrej skale, z włosami przyklejonymi do twarzy, usiłującego wykaszczać wodę z płuc. Poczowała nagły przypływ obaw o stan chłopaka, momentalnie zapominając o rozmowie ze Skraaiem. Podeszła do swojej torby, wyjęła dwa tuńczyki głębinowe, oba długości jej nogi, po czym jednego rzuciła w stronę Buruu, a drugiego cisnęła z wysiłkiem w kierunku nomady.

„Czy jesteście w stanie zająć się jedzeniem, nie rozrywając się nawzajem na strzępy?”.

Tygrysy gromu zmierzyły się nawzajem nieufnymi spojrzeniami, ale pozostały w miejscu. Yukiko przyklęknęła przy gajinie i odgarnęła włosy z jego twarzy. Burza zelzała, wiatr stracił na sile. Strugi deszczu nie były już ciężką zasłoną, a raczej lekką firaną. Ilja spojrział na nią i uśmiechnął się słabo. Dźwignął się na rękach, oparł plecami o spękaną skałę i owinął szczelnie swoją wilczą skórą. Jedną dłonią gładził skórę, wplatając palce w przemoknięte włoki, i mamrotał coś pod nosem z zamkniętymi oczami i pochyloną głową. Czy odmawiał modlitwę dziękczynną? Yukiko była ciekawa, do jakich bogów się zwraca.

Po kilku zdaniach modlitwy Ilja wyciągnął z kieszeni kombinezonu metalowe pudełko, otworzył je drżącymi dłońmi, wyjął ze środka jeden z tych jego dymiących rulonów i włożył między usta. Dopiero po chwili zorientował się, że rulon jest cały nasączony słoną wodą. Wypłuł go z niesmakiem.

Yukiko wstała i podeszła do Buruu. Położyła dłoń na zniszczonych mechanicznych skrzydłach i przesunęła palce po powyginanym metalu. Część płóciennych piór poluzowała się zupełnie podczas jego walki ze Skraaiem. Do tego cała uprząż była porwana, chociaż sam szkielet wyglądał na cały. Wszystko było jednak powyginane pod dziwnymi kątami i uniemożliwiało lot. Może jeśli udałoby się jej zdobyć odpowiednie narzędzia, zdołałaby doprowadzić konstrukcję do jako takiego stanu?

Niestety nie zabrali ze sobą żadnych narzędzi.

Obróciła się z powrotem do Ilji, który wciąż siedział oparty o skałę, ciężko oddychając. Wysłała do jego umysłu obraz narzędzi i rąk pracujących nad mechanicznymi skrzydłami. Chłopak otarł usta wierzchem dłoni i skinął głową z ociąganiem.

– Jak zatem możemy tu przetransportować narzędzia? – Yukiko wskazała na kable biegnące od wieży w dal, po czym wykonała rękoma ruch przypominający kręcenie korbą. – Musimy po nie wrócić i je tu przywieźć.

Na samą myśl poczuła ból we wszystkich mięśniach.

Gaijin uniósł palec, jakby chciał powiedzieć „patrz i się ucz”. Następnie sięgnął do swojej torby i wydobył z niej pakunek zawinięty w brązową natłuszczoną skórę. Po odwinięciu kilku warstw oczom Yukiko ukazał się walec z czarnego metalu, długi może na stopę. Dziewczyna podeszła do chłopaka i pomogła mu wstać. Uśmiechnął się i wymamrotał jakieś słowo, które prawdopodobnie było podziękowaniem. Podszedł na skraj wyspy, trzymając skórę pod pachą, a następnie przekręcił cylinder wokół jego osi, uniósł go wysoko nad głowę i wycelował w niebo. Z dolnej części tuby zaczął się wydobywać dym, a powietrze wypełnił przenikliwy syk. Po chwili zajaśniał oślepiający błysk i ku chmurom pomknął świetlisty przedmiot, wzbijając się dobre pięćdziesiąt stóp w powietrze. Był jak maleńkie słońce. Syczał i strzelał w deszczu, zostawiając za sobą długą smugę jasnoszarego dymu. Buruu i Skraai podnieśli wzrok znad swoich posiłków i odprowadzili spojrzeniem płonąca kulę. Buruu zawarczał. Zdezorientowana Yukiko zmarszczyła brwi i zrobiła krok do przodu.

– Co ty robisz? – powiedziała głośno, tak jakby to miało pomóc gaijinowi zrozumieć jej słowa. – Iljo? Przecież dostrzegą to ludzie z platformy!

Gaijin obrócił się do niej z uśmiechem na twarzy. Sięgnął do trzymanej wciąż pod pachą skóry, wyjął z jej fałdów przyrząd składający się z mosiężnej cewki i delikatnych szklanych kulek, po czym wycelował nim w Buruu.

– Na bogów, n...

Z cewki wystrzelił skwierczący łuk białego światła i pomknął błyskawicznie w stronę Buruu do wtóru potwornego hukku. Arashitora stanął na tylnych łapach i błyskawica trafiła go prosto w pierś, wypychając mu powietrze z płuc i ciskając potężne cielsko na kamień. Yukiko krzyknęła i rzuciła się do przodu z rękami wyciągniętymi w stronę broni. Ilja odwinął się i trafił ją dłonią w szczękę, zwalając z nóg. Skraai zaryczał, rozpostarł skrzydła i rzucił się wprost na kolejny rozbłysk białego światła. Trafiony padł nieprzytomny na śliską od deszczu skałę i sunął po niej z rozpędu, aż zatrzymał się niespełna trzy stopy od nóg gajina. Powietrze wypełniła woń palonego futra, a z miejsca, gdzie błyskawica z broni chłopaka trafiła tygrysa gromu, unosiła się strużka dymu.

Yukiko zamrugła, próbując pozbyć się mroczków sprzed oczu. Sięgnęła ku myślom Ilji, zamierzając rozetrzeć jego umysł na miazgę. Nie zdążyła jednak nic zrobić. Chłopak szybko się zorientował, co się dzieje, i kopnął ją mocno w brzuch, uderzając okutym żelazem czubem buta prosto w żebra i pozbawiając ją tchu. Kolejny kopniak trafił w tył głowy. Yukiko zwinęła się w kłębek; przed oczami tańczyły jej niezliczone gwiazdy.

Ilja pogrzebał chwilę w swojej torbie, na wszelki wypadek celując cały czas w ogłuszonego arashitorę. Yukiko zdołała przewrócić się na brzuch i odzyskać oddech. Usilnie starała się zignorować potłuczone szkło raniące jej głowę od środka. Ilja warknął ostrzegawczo, wycelował broń prosto w jej twarz i potrząsnął głową. Wśród chmur przetoczył się huk gromu, ciemne niebo rozcięła błyskawica. Chłopak wydobył kolejną flarę i wystrzelił ją w stronę chmur. Yukiko oparła twarz na splekanym obsydianie, tak cudownie chłodnym, mokrym od deszczu. Usłyszała dobiegający z niego głos równie stary co sama ziemia.

„Śpij”.

„Śpij, moje dziecko”.

Zacisnęła zęby i wydobyła z siebie zduszony głos.

– Dlaczego to robisz?

Ilja odwarknął jej w swoim niezrozumiałym języku, machnął mosiężną

cewką i przyłożył palec do ust.

Ignorując ból kwitnący krwawo w jej głowie, Yukiko sięgnęła przez Przenikanie do Buruu. Czują jego ciepło zaburzone zawrotami głowy. Odrętwienie ryby wyłowionej z wody i uderzonej o burtę, aby przestała się rzucać. Skraai był w podobnym stanie. Próbował się dostać do stanu świadomości z wszechogarniającej ciemności wypełnionej mosiężnymi zwojami i maleńkimi szklanymi kulkami.

Ale przynajmniej obaj żyli.

– Niech cię demony porwą... – Yukiko odgarnęła przemoczone włosy z ust i spróbowała się dźwignąć na rękach. – Ocaliłam ci życie. Dlaczego to robisz?!

Krzyk Ilji zadziałał na nią tak samo, jakby splótł palce na jej gardle i mocno zacisnął. Yukiko przycisnęła dłonie do poobijanych żeber i objęła się ramionami. Chwile mijały – minuty czy godziny, dla niej to było bez znaczenia. Widziała tylko szarość. Po pewnym czasie wyłapała wśród wycia wiatru rytmiczny odgłos, monotonne łopotanie, wzbierające za jej plecami, przybliżające się z każdą chwilą. Nie musiała się obracać, aby wiedzieć, co oznacza ten dźwięk – do wyspy zbliżała się latająca maszyna, którą widziała na dachu farmy błyskawic. Metalowa wałka.

Sięgnęła poza swój mur i ponownie dotknęła myśli chłopaka, odpychając od siebie pokusę zaciśnięcia wokół nich pętli. Ale ile by ją kosztowało zabicie go? Ile musiałaby poświęcić samej siebie? Ile by jej pozostało sił na walkę z gaijinami zmierzającymi w stronę wyspy w brzuchu metalowego owada?

„Wykorzystał mnie. Wykorzystał mnie, żeby ich obu złapać. Ale dlaczego? Po co?”

Obserwowała Ilję przetrząsającego swoją torbę i nagle coś ją tknęło. Jej wzrok padł na zarzuconą na ramiona gaijina wilczą skórę. Przywołała w myślach obraz Daniła i jego brązowej niedźwiedziej skóry, hełmów samurajów zdobiących jego szerokie barki, zniekształconą skórę lotosowca na skórzanym odzieniu Katji. Wszyscy gaijińscy żołnierze, których widziała, nosili skórę wroga lub zwierzęcia.

Nikt jednak nie mógł się poszczycić czymś tak wspaniałym jak skóra arashitory.

„Na bogów, nie...”.

Na samą myśl o tej możliwości strach ścisnął ją mocno za żołądek, spychając w cień wszystkie uczucia, jakie były jej udziałem w niewoli Yoritomo.

„Nie mógłby...”.

Chłopak znalazł w końcu w torbie to, czego szukał. Wydobyty z sakwy przedmiot zaśnił w świetle błyskawicy, która na chwilę rozcięła niebo. Miał co najmniej stopę długości i zakrzywiony czubek. Nóż.

– Nie, nie możesz...

Nie zważając na rozsadzający jej głowę ból, spróbowała dźwignąć się na nogi, chwycić jego myśli i zdusić je. Oczy gaijina rozszerzyły się i nabiegły krwią, twarz wykrzywił grymas bólu. Z dużym wysiłkiem Ilja doskoczył do niej i kopnął ją w głowę. Yukiko wzniosła się na moment w powietrze, aby chwilę później upaść plecami na spękane czarne szkło. Zamrugała, próbując zogniskować wzrok na burzowych chmurach, nie do końca rejestrując fakt, że chłopak chwycił ją za ręce i związał je mocno. Potem zaczął bić ją po twarzy. Z każdym kolejnym ciosem świadomość stopniowo umykała na czarnych skrzydłach.

„Buruu...”.

Latająca machina gaijinów była coraz bliżej, monotonny odgłos jej silnika pulsował w skroniach Yukiko niczym dobiegające z oddali dudnienie bębnow.

Łup-łup-łup-łup-łup.

Przetoczyła się na brzuch i przypatrywała się, jak rozmazana plama Ilji przykuca obok rozmazanej plamy Buruu. Jediną oznaką, że tygrys gromu jeszcze żyje, był drgający ogon. Ale ona czuła go, wyczuwała jego myśli, jego walkę o odzyskanie przytomności.

Spróbowała sięgnąć do Przenikania, ale myśli uciekały jej z głowy przez pęknięcia w czaszce, wyciekały z uszu.

„Buruu, o b u d ź się!”.

Ilja się skrzywił, przyglądając się metalowym skrzydłom, przesuwając

palcami po opalizującym metalu, kulistych stawach, tłokach i sztucznych piórach. Podniósł płótno i zbadał tępe, obcięte pióra – pamiątkę po Yoritomo i wydarzeniach na arenie Kigen sprzed jakichś dziesięciu tysięcy żywotów. Gaijin zmełł pod nosem przekleństwo, wstał, splunął na ziemię i podszedł do Skraaia.

Chrzęst okruchów obsydianu pod jego butami.

Wycie wiatru.

Huk gromu.

Łup-łup-łup-łup-łup.

Nomada się budził. Szpony, które potrafiłyby rozedrzeć burtę pancernika jak nóż płótno, żłobiły głębokie rysy w czarnej skale. Ilja przecesał palcami pióra pokrywające szyję arashitory, pogładził potężne skrzydła, po czym wziął głęboki oddech i uśmiechnął się triumfalnie. Lotki lśniły słabym blaskiem, drobne wyładowania elektryczne odbijały się w łakomych oczach gaijina.

Chłopak kiwnął głową.

Łup-łup-łup-łup-łup.

– Nie – jęknęła Yukiko. – Nie rób tego...

Ilja stanął okrakiem nad głową arashitory i zwrócił twarz ku zasnutemu chmurami niebu.

– Impieratrix, bud'cie swidietielem! – krzyknął. – Moja do- bycza! Moja sława!

Łup-łup-łup-łup-łup.

Chłopak wznosił nóż do ciosu.

– Iljo, n i e!

Błyskawica rozdarła niebo, odbijając się blaskiem na ostrzu.

Nóż zaczął opadać.

–NIE!

Z błyskiem stali chłopak rozplątał gardło tygrysa gromu. Na czarną skałę trysnęła fontanna żywej czerwieni.

CZĘŚĆ III

POPIOLEY

*Najsampierw modlitwę zanosimy do Sędziego,
składamy ofiarę dla Enma-ö, palimy ją w świętym ogniu.
Monetą i świętym słowem prosimy o sprawiedliwy sąd.
A gdy żar i światło odejdą, z trzewi ognia dobywamy garść popiołów
i znaczymy nimi zimną skórę, blade twarze i martwe wargi.
By móc je ponownie rozpoznać.*

Księga Dziesięciu Tysięcy Dni



Zawsze pukał do jej drzwi. Tak jakby mogła mu odmówić wstępu do swojej komnaty.

Michi przykleiła do twarzy uśmiech, a Ichizo nakazał skinieniem głowy towarzyszącym mu bushim pozostać po drugiej stronie drzwi, na korytarzu pełnym służących spieszących do swoich obowiązków. Przeszła przez pokój go powitać, z radością na twarzy, lecz nie w oczach. Przycisnęła wargi do jego ust, zastanawiając się, ile jeszcze czasu minie, zanim wąż, którego obejmowała, spręży się do ataku.

– Moja ukochana – powiedział. – Stęskniłem się za tobą.

– A ja za tobą – skłamała. – Bez ciebie czuję się taka samotna.

Zsunęła dłonie w dół wzdłuż jego boków, zatrzymując je tuż nad pasem z kataną łańcuchową. Stał kusił, wzywała jej drżące palce. Jakże łatwo byłoby chwycić ten pleciony sznurek i pociągnąć mocno, nacisnąć przycisk zapłonu i słuchać śpiewu silnika...

Zaczęła rozwiązywać jego obi.

– Zaczekaj, kochana. – Chwycił jej dłonie i pocałował czubki jej palców. Osiem lekkich jak piórko dotknięć. W jego oczach tańczyły dziwne iskry. – Pomyślałem sobie, że może wybralibyśmy się na przechadzkę.

Michi uniosła powoli brew.

– Po pokoju, mój panie?

– Miałem nadzieję na zaczerpnięcie nieco świeżego powietrza koło przystani dla lotostatków. – Uśmiechnął się. – Jeśli można je nazwać świeżym.

Zamrugła.

– Czy to znaczy, że mogę...

– Pan Hiro zgodził się, abys mogła opuścić swoje pokoje w celu towarzyszenia mi na spacerze. – Przyłożył palec do jej ust, zduszając w zarodku okrzyk radości. – Tego popołudnia mają przybyć daimyo klanów Feniksa i Smoka. Pan Hiro pragnie, aby cały jego dwór był obecny podczas ich przywitania.

– Dobry bogowie! – Rzuciła się mu na szyję. – Udało ci się!

– Niezupelnie. Po skończonym spacerze musisz wrócić do swojej komnaty. Ale jest to dobry początek. Obiecałem ci przecież, kochanie, że będziesz mi towarzyszyć na weselu. A Tora Ichizo dotrzymuje swoich obietnic. – Pocałował ją w usta. – A teraz proszę, przebierz się w coś, co ich wszystkich olśni. Zaczekam tu na ciebie.

Odwróciła się i pobiegła do przebieralni, wciąż się uśmiechając, chociaż on już przecież nie widział jej twarzy. Jeśli gdzieś za tym uśmiechem był okrusz szczerego uczucia, to było tak tylko dlatego, że od blisko miesiąca nie postawiła nogi poza swoimi komnatami. A może też dlatego, że miała nadzieję na zobaczenie Aishy na przyjęciu? Na pewno nie dlatego, że Ichizo dotrzymał obietnicy. Nie dlatego, że w tym szalonych okolicznościach zdołał jednak jakoś ją uszczęśliwić.

Nie, wcale nie dlatego.

Słońce tonęło w wodach Zatoki Kigen.

Nawet z aparatem oddechowym na twarzy Michi czuła fetor ciągnący od mętnej wody. Słaba morska bryza niosła w swoich objęciach smród rozkładu. Iglice cumownicze górowały nad wyblakłym od słońca deptakiem. Nad ich głowami samotna mewa zataczała bezcelowe kręgi

na tle czerwonego nieba poznaczonego smolistymi plamami chmur. Oleista woda mlaskała i bulgotała przy gnijącym molo. Krwistoczerwone powietrze wibrowało od pomruku wielotysięcznego tłumu – na oko połowy mieszkańców Kigen – który zebrał się tu na rozkaz daimyo, aby powitać przywódców klanów Feniksa i Smoka.

Twarze wszystkich zebranych były ukryte za brudnymi chustami i pokrytymi warstwą popiołu goglami. Ich ciała okrywały jedwabie we wszystkich możliwych odcieniach czerwieni. Nad ich głowami na trującym wietrze łopotały proporce klanu Tygrysa. Michi wyobraziła sobie, że słyszy w tym pomruku szmer niezadowolonia, zarzewie kolejnego buntu, wzbierające niczym przyptyw napierający na kruszącą zaporę. Powiodła wzrokiem po otaczających ją niezliczonych twarzach, spojrzała na gnijącą skorupę tego chorego miasta. I uśmiechnęła się.

„Przyjdzie dzień, kiedy to wszystko zniknie”.

Delegacja dworu wyglądała bardzo okazale – sędziowie, skrybowie, dworzanie, urzędnicy, żołnierze i kurtyzany. Również Gildia Lotosu przysłała liczną reprezentację, bez wątpienia chcąc w ten sposób zademonstrować gościom z klanów Smoka i Feniksa swoje poparcie dla klanu Tygrysa. W tłumie stały całe dziesiątki zakutych w mosiądz owadzich postaci z różnych kast lotosowców ramię w ramię z fanatycznymi Strażnikami Czystości odzianymi w białe tuniki i poplamione sadzą rękawice. Kolejny tuzin członków Gildii otaczał złowrogiego shateigashira Kensaia, Drugi Kwiat Kigen. Jego wypolerowana chłopięca maska lśniła oślepiająco w promieniach zachodzącego słońca. Do jego pleców przymocowano zielone jak kwiaty lotosu sztandary opatrzone godłem Gildii.

Nigdzie jednak nie było widać przywódcy klanu Tygrysa ani jego narzeczonej.

Po wodzie poniosło się bicie dzwonów, żelazna pieśń spłotła się z sykiem czarnej soli. Michi spojrzała na wchodzącą do zatoki flotyllę. Pół tuzina okrętów – prawdziwych, starodawnych żaglowców – rozcinało pokryte brudną pianą fale. Były to potężne, trój- masztowe pływające

fortece z rozbudowanymi rufami i dziobami ozdobionymi szczyrczącymi zęby smokami. Prawdziwe perły sztuki skutniczej, aczkolwiek zdecydowanie relikty przeszłości. Michi uśmiechnęła się mimowolnie pod aparatem oddechowym.

Odkał opracowano technologię pozwalającą budować loto- statki, zagłowce były niezmiernie rzadkim widokiem. Do tego w zwykłych okolicznościach z pewnością nie zostałyby uznane za właściwy środek transportu dla daimyo i jego swity. Ale w barbarzyńskich czasach sprzed powstania cesarstwa klan Smoka był klanem łupieżców, postrachem mór niezważającym na żadne prawa. Stojący na czele zaibatsu Smoka Ryu Haruka nie był głupcem. Przybycie w taki sposób miało z pewnością przypomnieć niedoszłemu jeszcze szogunowi, czym był klan Ryu. A może raczej: czym ponownie w każdej chwili mógłby się stać. To był pokaz siły; nastroszona sierść i obnażone kły. Ale jeśli przywódca klanu Smoka chciał wyrzucić duże wrażenie na gospodarzu, bez wątpienia przeklinał los za to, że przybył równocześnie z daimyo klanu Feniksa.

Na twarz Michi padł cień, a popiół i kurz wokół niej wzbily się w powietrze przeganiane podmuchem wywołanym przez potężne śruby napędowe. Huk silników zagłuszał wszystkie odgłosy dobiegające od strony zatoki. Uniosła wzrok i chociaż teoretycznie była przygotowana na ten widok, patrzyła z zapartym tchem na oszalamiająco majestatycznego kolosa, który przesłonił chmury i z każdą chwilą rósł w oczach, powoli zbliżając się do iglic cumowniczych.

Okręt nazwano „Szybujący Pałac”. Był to największy lotosta- tek, jaki kiedykolwiek zbudowano: trzysta stóp wypolerowanego drewna, potężne ściany i spiczaste dachy nakładające się jeden na drugi. Na burtach łopotały żółte sztandary, nad nimi unosiły się balony w tym samym kolorze, przypominając olbrzymie, złote słońca. Rury wydechowe silników wypluwały gęste chmury spalin w już i tak zatrute niebo. Mówiono, że daimyo klanu Fushicho nie schodzili już z pokładu swojego statku na cierpiącą ziemię swoich włości, że w pełnych przepychu salach lotostatku można było zaznać każdej rozkoszy, jaką

oferowało Siedem Wysp. Myśl o ilości paliwa, jaka musiała być potrzebna do ciągłego utrzymywania tego monstrum w powietrzu, nie wspominając już o odbyciu podróży do Kigen, przyprawiła Michi o mdłości. Ekstrawagancja i arogancja w równych, odrażających proporcjach.

Spojrzała na dzieci żebrzące w otaczającym ją tłumie, na kobiety otoczone swoim potomstwem, które nie wiedziały, kiedy zjedzą następny posiłek. Zacisnęła dłonie w pięści.

– Niesamowite, czyż nie? – zapytał Ichizo.

– Owszem, panie mój – wyszeptała.

Wokół „Szybującego Pałacu” wręcz roiło się od śmigłych korwet – trzymiejscowych lotostatków z balonami w kształcie grotu od strzały, z wymalowanymi na nich ognistymi ptakami. Były w ciągłym ruchu, płasząc ku uciezce gawiedzi w nieustannym tańcu niczym będące już historią kolibry. Gdy wiekowe żaglowce klanu Smoka rzuciły kotwice przy nabrzeżu, a od strony olbrzymiego lotostatku Feniksów nadleciała niewielka grupa korwet, słońce się właśnie zupełnie skryło za krawędzią świata. Niebo eksplodowało wtedy osłepiającym pokazem fajerwerków – wirujące koła i smocze działa rozświetliły zmierzch. Zebrani mieszkańcy miasta wzniesli owacje na cześć przybyłych szlachetnych gości. Michi omiotła wzrokiem świty przybyłych daimyo, zatrzymując na chwilę spojrzenie na przywódcach klanów, gdy schodzili na ląd.

Ryu Haruka, daimyo zaibatsu Smoka, był niskim i żyłastym mężczyzną w podeszłym wieku. Jego twarz zdobiła długa, cienka broda, a przeredzone już mocno siwe włosy nosił zebrane w kok na czubku głowy. Na szafirowoniebieskim kimonie błyszczał pięknie wytłaczany napierśnik. Nad srebrnym aparatem oddechowym przypominającym pysk smoka lśniły czarne jak węgiel oczy o spojrzeniu głębokim jak krwawe morze, w którym niegdyś pływały smoki. Obok daimyo stała elegancko ubrana kobieta (Michi założyła, że była żoną daimyo) ukrywająca twarz za kunsztownym wachlarzem połączonym z aparatem oddechowym. Wokół nich rozstawiła się gwardia Żelaznych Samurajów w srebrzystych zbrojach ó-yoroi, na które mieli narzucone długie

błękitne tuniki sięgające aż do samej brudnej ziemi. Wszyscy samurajowie wpatrywali się nieruchomo w przestrzeń ponurymi stalowoszarzymi oczami.

Świta klanu Feniksa była zupełnie inna: wielobarwna, w ciągłym ruchu. Obaj daimyo byli pięknymi, wysokimi mężczyznami o umalowanych twarzach. Ciała okryli identycznymi kimonami w barwie ciemnej żółci i złota. Shin i Shou byli ewenementem wśród władców klanów Shimy – zamiast się kłócić o to, który z nich opuścił łono matki jako pierwszy, zdecydowali się rządzić swoim klanem wspólnie. Poruszali się z przyprawiającą o ciarki na plecach zgodnością, w idealnie zgranym rytmie, sunąc ramię w ramię tanecznym krokiem. Ich świta składała się z nieustannie płasających tancerzy o oczach podkreślonych kredką barwy płomienia, w tańcu żonglujących szklanymi kulami mieniającymi się wieloma kolorami, tak jakby wypełnione zostały żywym ogniem. Nawet pancerze towarzyszących im Żelaznych Samurajów wyglądały, jakby przy ich konstruowaniu piękno przedkładano nad użyteczność: rzeźbione hełmy przypominały głowy feniksów, a z ramion spływały tuniki ozdobione piórami we wszystkich barwach ognia.

Wśród tego tłumu dworzan i gości stał stary Tanaka, odziany w szkarłatne kimono brzuchaty herold dworu klanu Tygrysa. Z głośników zamontowanych pod jego aparatem oddechowym rzeźbionym na podobiznę tygrysięgo pyska popłynęła mowa powitalna. Gdy starzec wymienił imiona przybyłych daimyo, Michi okryła dłonią pięść i skłoniła się z pełnią szacunku razem z resztą dworu, wbijając wzrok w ziemię jak przykładna, posłuszna dworka. Wierna poddana. Po chwili jej spojrzenie mimowolnie podążyło w bok i spoczęło na łańcuchowym daishó przy pasie Ichizo.

„Już wkrótce”.

– Wybacz mi, panie – wyszeptała tak, aby usłyszał ją tylko sędzia – ale nie widzę delegacji klanu Kitsune. Czy przybędzie później?

– Daimyo Kitsune Isamu odrzucił zaproszenie naszego pana – wyszeptał Ichizo w odpowiedzi. – Zaibatsu Lisa nie przybędzie na ceremonię zaślubin ani nie przysięgnie posłuszeństwa nowemu

szogunowi Shimy.

– Czy mogę spytać dlaczego?

Ichizo wzruszył ramionami.

– Może Isamu – samie znudziło się już życie...

Blask fajerwerków przycisnął i w chłodnym wieczornym powietrzu zabrzmiały bębny. Michi obróciła się razem z resztą zgromadzonych i odprowadzała wzrokiem długi konwój ryksz motorowych toczących się Traktem Pałacowym. Na nosach pojazdów wyglądających jak spłaszczony żuki świeciły zasilane chi latarnie, rozświetlając spowijający wszystko smog. W awangardzie maszerował tuzin Żelaznych Samurajów w złotych tunikach elity Kazumitsu. Ich kościane białe zbroje wypływały w powietrze sinoczarne spaliny. Za nimi maszerował liczny oddział bushich. Do drzewców opartych na ramionach naginat przymocowano łopoczące na wietrze sztandary klanu Tygrysa.

Michi powiodła wzrokiem po twarzach stłoczonych przy nabrzeżu ludzi i dostrzegła na nich tylko czysty podziw – szczerzy czy udawany, nie można było tego jednoznacznie stwierdzić. Tłum klaskał i wiwatował. Z pokrytych rdzą głośników systemu rozgłoszeniowego dobiegały dźwięki fletu, bębnow i instrumentów strunowych. Gdy mijali ich konwój pojazdów pana Hiro, Michi dostrzegła kątem oka jakiś ruch na dachu znajdującego się w pobliżu budynku. Spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła małego mechanicznego pająka wypełzającego z rynny na cienkich srebrnych nogach. Jego jedyne oko świeciło czerwonym światłem. Wpatrując się w dziwadło oczami rozszerzonymi ze zdziwienia i przestraszenia, chwyciła rękę Ichizo.

– Co to, na wszystkich bogów, jest?

Ichizo zerknął w stronę mechanoida i wymamrotał coś pod nosem.

– Czy możesz powtórzyć, mój panie? – poprosiła Michi, przysuwając się do niego, aby dosłyszeć jego słowa zagłuszone przez ogólny zgiełk.

– To urządzenie Gildii – odparł Ichizo nieco głośniejszym głosem, przenosząc wzrok z powrotem na kawalkadę. – W pałacu jest ich pełno.

– Co one robią?

– Co one widzą, widzi Gildia.

– Nasz szlachetny daimyo Hiro wpuszcza Gildię do swoich komnat sypialnych?

– Najwyraźniej.

Michi przyglądała się, jak mechaniczny pająk sunie wzdłuż krawędzi dachu walącej się szopy przyklejonej do jakiegoś sklepu. Wystający z jego grzbietu klucz obracał się powoli. Rozejrzała się po okolicy i dostrzegła więcej tych urządzeń; małe czerwone światła przyczajone w cieniach przybudówek i kanałów ściekowych, przebierające żwawo srebrnymi kończynami.

– Gildia oddała mojemu kuzynowi wiele przysług – mruknął Ichizo. – Zwrócili mu rękę, którą odjęła mu Nieczysta zabójczyni, i dali mu siłę potrzebną do sięgnięcia po Cztery Trony. Stara gwardia Yoritomo-nomiyi ostrzegała go przed zbyt mocnym wiązaniem się z Gildią. Z biegiem czasu coraz bardziej się zastanawiam, czy ci starcy nie mieli racji. – Potarł dłonią kark. – Cóż, przynajmniej szpiedzy Gildii są dobrze widoczni, nie kryją się w cieniach.

Spojrzała na niego, próbując z wyrazu twarzy wyczytać ukryty sens jego słów. Mówił cichym, miarowym głosem, z metalicznym echem dodanym przez aparat oddechowy. Ale przysięgłaby, że wyczuła lekki nacisk położony na ostatnie słowo.

– Jak sądzisz, Michi-chan, czy mój kuzyn będzie dobrym szo-gunem?

Michi zamrugnęła i stężała na dźwięk tego pytania. Rozejrzała się czujnie dokoła. Pilnujący wiwatującego tłumu żołnierze byli w zasięgu jego głosu. Jeden okrzyk i... Może to właśnie tu miało nastąpić, w miejscu publicznym, na tym deptaku. Może to teraz wąż właśnie obnażał zęby jadowe przed atakiem.

– Mój panie?

– Hiro-sama. – Ichizo wskazał głową na nadciągającą kolumnę żołnierzy i ryksz. – Czy sądzisz, że będzie dobrym władcą?

– Moje zdanie nie ma najmniejszego znaczenia. – Spuściła wzrok na ziemię, starając się przywołać na twarz wyraz zakłopotania. – Nie jestem godna, by oceniać tak wielkiego pana.

– Niemniej jednak z pewnością masz swoje zdanie, każdy człowiek je

ma. Miałaś z nim styczność, gdy zalecał się do tej dziewczyny Kitsune. Jakie wywarł na tobie wrażenie? Szlachetnego? Zrównoważonego?

– Był członkiem elity Kazumitsu. Jego honor był bez skazy, a jego zachowanie bez zarzutu.

Po tych jej słowach przez dłuższą chwilę stali w milczeniu, słuchając muzyki płynącej z trzeszczących głośników, strzelania fajerwerków, huku uderzających o bruk butów maszerujących żołnierzy. Michi czuła na sobie spojrzenie Ichizo, ale nie podniosła wzroku, aby spojrzeć mu w oczy. Nie chciała, aby dostrzegł w niej choć odrobinę siły. Jeśli to była jego gra, nie była pewna, jak powinna ją interpretować.

– Gdy byłem mały, bawiłem się z Hiro w żołnierzy – odezwał się w końcu Ichizo głosem tak cichym, że ledwo rozróżniała poszczególne słowa. – Ramię w ramię walczyliśmy z hordami gaijinów i demonami z trzewi Yomi. Obaj marzyliśmy tylko o jednym: o służbie w obronie tronu. O walce o podtrzymanie potęgi szogunatu. – Zerknął na daimyo klanów Smoka i Feniksa w otoczeniu ich świt. – We wszystkich naszych zabawach ani razu nie przyszło nam do głowy, że naszym wrogiem mógłby być nasz lud, nasi krajanie.

Michi starała się nie dać niczego po sobie poznać. Oddychała miarowo i zastanawiała się, jaki spotka ją koniec. Co jeszcze ją czeka, zanim odetną jej głowę...

– Czy masz mi coś do powiedzenia, Michi-chan?

Oblizła wargi, tylko raz, po czym spojrzała mu w oczy.

– Mój panie?

– Chciałbym, abys mi zaufała. – Położył dłoń na jej ramieniu. Otaczający ich tłum wiwatował coraz głośniej. – Chciałbym, abys wiedziała, że możesz mi powiedzieć absolutnie wszystko.

„Och, oczywiście, że byś tego chciał”.

– Jeśli będziesz ukrywać swoje myśli przede mną, nie będę mógł cię chronić.

– Chronić mnie? Przed czym?

– Przed samą sobą.

I wyszło szydło z worka, musiał coś podejrzewać. Czy usłyszał, jak

wykrada mu klucze? Czy jedna z tych przeklętych machin gildii szpiegowała ją z sufitu jej sypialni? Albo przez okno? Groziło jej niebezpieczeństwo. I nie chodziło tu tylko o nią. W niebezpieczeństwie była też Nikt. I Aisha...

Myśli o jej niewesołym położeniu pierzchły, gdy kawalkada Hiro zatrzymała się z piskiem hamulców na skraju deptaku. Na samym końcu kolumny motorowych ryksz jechał olbrzymi pa-lankin osadzony na gąsienicach czołgu. Cały pojazd składał się z rzeźbionych w złocie sylwetek tygrysów z obnażonymi kłami. Na ich grzbiecie umieszczono potężny, bogato rzeźbiony dwuosobowy fotel, na którym spoczywała najważniejsza obecnie na wszystkich wyspach para. Pan Tora Hiro wyglądał olśniewająco w swojej białej zbroi ó-yoroi, zakrywającym całą twarz hełmie z maską rzeźbioną w pysk tygrysa i mechaniczną ręką pozdrawiającą wiwatujący tłum. Ale to nie na przyszłym szogunie Shimy skupiała się cała uwaga Michi, to nie na jego widok pierś Michi rozpieraa ognista duma.

Yoritomo-no-miya odkrył zdradę swojej siostry na kilka godzin przed śmiercią. W przyływie złości skatował Pierwszą Córkę niemal na śmierć. Ale ona nie umarła i teraz spoglądała na swój lud. Jej serce wciąż pulsowało, podczas gdy prochy jej brata spoczywały w grobowcu pod pałacem. Biła od niej siła, która pozwoliła jej działać wbrew wszystkiemu, czego ją nauczono, wbrew jej wychowaniu. Która pozwoliła jej wznieść się ponad luksus pałacu, ponad przywileje płynące z jej pozycji i dostrzec cierpienie ludu zamieszkującego poza pałacowymi murami. Która pozwoliła jej dążyć do poprawy ich losu. Która pozwoliła jej powiedzieć „nie”.

– Aisha – wyszeptaa Michi.

Pierwsza Córka olśniewaa pięknem opisywanym przez największych poetów. Była ideałem kobiety wyrzeźbionym z doskonałego alabastru. Dolną część pokrytej perłowym pudrem twarzy, poniżej podkreślonych węglem mądrych oczu, zakrywał aparat oddechowy wyrzeźbiony w pysk tygrysa. Jedwabście czarne włosy zapleciono w drobne warkoczki przetykane złotą nicią. Miała na sobie szkarłatną suknię wyszywaną w

kwiaty lotosu i kroczące dumnie tygrysy, zwieńczoną wysokim kołnierzem zdobionym złotą nicią i lśniącymi klejnotami. Hiro ujął ją za dłoń, splótł swoje palce z jej i wznosił rękę w geście pozdrowienia. I podczas gdy samozwańczy daimyo tylko uzurpował sobie prawo do tronu, w żyłach Aishy płynęła krew Kazumitsu. Była ostatnią przedstawicielką potężnej dynastii, ostatnim ogniwem łączącym teraźniejszość Shimy z jej chwalebłą przeszłością. I za to wszyscy ją kochali.

Siedziała sztywno wyprostowana, nieskazitelnie piękna, nieruchoma jak środek nocy. Wodziła wzrokiem po wiwatujących na jej cześć ludziach. Jej doskonałe oczy lśniły odbitym migotliwym blaskiem sztucznych ogni. Za parą stały członkinie Gildii, które Michi widziała dotąd tylko kilka razy: kobiety o taliach osy z długimi, owadzimi kończynami z błyszczącego metalu wyrastającymi z pleców. Ich oczy lśniły na czerwono, a na piersiach tkwiły nieustannie klekoczące mechalicydła.

Hiro puścił dłoń swojej narzeczonej i zszedł z palankinu pomiędzy szeregi Żelaznych Samurajów w białych zbrojach. Cały zebrany tłum padł na kolana jak na zawołanie. Daimyo klanów Feniksa i Smoka wystąpili naprzód i skłonili się nisko – najpierw pani Aishy, a dopiero potem jej narzeczonemu. Hiro okrył pięść dłonią i odwzajemnił pokłon.

– Szlachetni daimyo, Haruka-san, Shin-san, Shou-san – zwrócił się do przybyłych. – Moja narzeczona, Pierwsza Córka Kazumitsu, i ja witamy was w Kigen. Raczcie przyjąć podziękowania za przybycie na ceremonię naszych zaślubin.

Haruka tylko skinął głową z niezbyt zadowoloną miną.

– Daimyo Hiro – przemówił Shin głosem łagodnym i słodkim jak świeże śliwki. – Nasze serca się radują. Słyszeliśmy pogłoski, jakobyś zdobył poparcie elity Kazumitsu...

Shou zerknął na Żelaznych Samurajów i dokończył zdanie brata:

– ...ale niełatwo nam było w to uwierzyć.

– Dlaczegoż to, czcigodny Shou-san?

– Szczerze mówiąc, szlachetny Hiro-san – odparł Shin – ocze-

kiwaliśmy, że wszyscy popełnią seppuku, aby odzyskać honor po tym, jak pozwolili zwykłej dziewczynie z pospólstwa zabić swojego szoguna.

Zapadła nagle cisza, jakby ciężki głaz przytłoczył wszelkie dźwięki. Jedyne na odległych skrajach ludzkiej ciszy usłyszeć można było zaniepokojone szepty. Bushi spojrzeli po sobie niepewnie, milczenie się przedłużało. Dzwoniącą w uszach ciszę zakłócało tylko klekotanie dziesiątków mechaliczydeł. W końcu sha-teigashira Kensai wystąpił naprzód z ramionami złożonymi na metalowej piersi i przemówił głosem przypominającym bzyczenie setki konających much lotosowych:

– Shin-san – powiedział Drugi Kwiat. – Godzisz w honor naszego gospodarza. I jego narzeczonej.

– Nie było moim celem okazanie braku szacunku, Drugi Kwiecie. – Shou się uklonił. – Zwłaszcza wobec Pierwszej Córki.

– Możliwe, że u nas na zachodzie panują inne zwyczaje – dodał Shin. – Gdyby nasza gwardia stała beczynną, podczas gdy nastolatka gasiłaby nasze żywoty niczym świece, nie znalazłby się w niej nawet jeden, który nie rozplątałby sobie z własnej woli brzucha...

Daimyo Haruka przebierał palcami po rękojeści swojej katany łańcuchowej.

– Shin-san...

– Wielce szanowny daimyo Shin ma rację – powiedział Hiro głosem całkowicie pozbawionym wyrazu.

Bliźniaczy daimyo klanu Feniksa zamrugali powoli.

– Zgadzasz się z nami? – zapytał Shou.

Hiro kiwnął głową.

– Wszyscy ci ludzie co do jednego, każdy, kto nosił złote jin-haori w chwili, gdy wielki Yoritomo został zamordowany, dźwigają brzemię niemożliwej do zniesienia hańby. A ja razem z nimi. Aby jednak przywrócić dynastii Kazumitsu należne jej miejsce, zdecydowaliśmy się zdzierzyć to, czego żaden śmiertelnik zdzierzyć nie może.

Hiro uniósł rękę i odpiął mempó zasłaniające jego twarz. Gdy zdjął maskę, przez tłum przetoczył się stłumiony okrzyk zaskoczenia i niedowierzania. Wszyscy wpatrywali się w swojego pana oczami

rozszerzonymi ze strachu. Michi chwyciła dłoń Ichizo i ścisnęła ją mocno.

Twarz daimyo była cała pomazana popiołem.

Biaława masa pokrywała jego policzki i tkwiła przyklejona do rzęs. Wyglądało to jak twarz trupa przygotowanego do spalenia na pogrzebowym stosie. Hiro wpatrywał się w przybyłych daimyo, podczas gdy wszyscy członkowie elity Kazumitsu zdejmowali po kolei swoje hełmy, ukazując wszystkim zebranym twarze umazane popiołem tak samo jak twarz ich pana. W obliczu tak oczywistego świętokradztwa Michi poczuła wzbierający strach, instynktowną odrazę na widok skrajnego wypaczenia rytuału pogrzebowego.

– Wielce szanowny daimyo – warknął Haruka – co to ma znaczyć?

– Co masz na myśli, Haruka-san?

– Pomalować twarze żywych popiołami, to prosić się o największe nieszczęście – odparł przywódca klanu Smoka. – Ten zwyczaj jest zarezerwowany dla zmarłych. Każdy oznaczony w ten sposób sprowadzi na siebie dotyk śmierci.

– Ależ my już nie żyjemy.

– ...daimyo?

– Wszyscy samurajowie z elity Kazumitsu zhańbili się, pozwalając swojemu szogunowi zginąć. Jak słusznie zauważyli nasi szlachetni kuzyni z klanu Feniksa, powinniśmy byli już dawno popełnić seppuku. Ale najpierw musimy doprowadzić do śmierci tej, która zgładziła wielkiego Yoritomo.

Wpatrywał się bez ruchu w trójkę daimyo, a toksyczny wiatr targał jego włosami, smagając nimi pokrytą popiołem twarz.

– Dlatego też powierzyliśmy nasze dusze Enma-ó. Spaliliśmy w ofierze dla Sędziego Wszystkich Piekieł drewniane monety i kadzidło, błagając go, aby sprawiedliwie osądził nasze życia. I uma- zaliśmy nasze twarze popiołem pozostałym z ofiary. Tak jak to czynimy dla każdego zmarłego. Jesteśmy shikabane. – Na tle bladego popiołu pokrywającego twarz oczy Hiro miały barwę ciemnego jadeitu. – Jesteśmy chodzącymi trupami.

Przywódcy klanów spojrzeli po sobie niepewnie, może nawet z lekkim przestraczem. Cała buta towarzysząca ceremonialnemu przybyciu pierzchła pod świdrującym spojrzeniem tych zielonych oczu.

– Chciałbym, aby nie było między nami niedomowień. – Hiro wodził wzrokiem od jednego daimyo do drugiego. – Uczczę pamięć poległego szoguna, poślubię panią Aishę i dam linii Kazumitsu nowego potomka, aby zapewnić świetlaną przyszłość naszym wyspom. Gdy jednak dopełnię tego obowiązku względem tronu, wyruszę na łowy i nie spocznę, dopóki nie zabiję morderczyni Yoritomo i wszystkich jej popleczników. Będę służył nam wszystkim jako szogun, dopóki ta Nieczysta dziwka, Kitsune Yukiko, nie pożegna się z życiem. – Hiro zamrugał. Sprawiało to wrażenie, jakby zapomniał, jak to się robi, i uczył się tego od nowa. – Jesteście związani przysięgą z domem Kazumitsu. Po poślubieniu mojej ukochanej będę członkiem tego szlacheckiego rodu. I m o i synowie także będą nosić to miano. Zważcie więc...

Hiro założył z powrotem mempó, zasłaniając pokrytą popiołem twarz. Wyrzeźbiony w żelazie blady pysk tygrysa szczyrzył zęby na wysoko urodzonych gości. Przytłumiony przez maskę głos daimyo klanu Tygrysa przypominał odgłos kroków odbijający się echem od ścian pustego grobowca.

– Jeśli złamiecie przysięgę i zwróćcie się przeciwko mnie, zabiję wasze rodziny, wasze żony, waszych synów. Zabiję waszych sąsiadów, wasze sługi, waszych przyjaciół z dzieciństwa. Spalę do szczytu wasze miasta, pokryję wasze pola solą i obrócę wniwecz wszystko, co jest wam drogie. I dopiero wtedy, gdy po wszystkim, co było miłe waszym sercom, pozostanie ledwie popiół, zabiję was.

Zapadła głęboka cisza.

– A teraz – podjął Hiro, wskazując mechaniczną ręką pałac lśniący na szczycie wzgórza – powinniśmy udać się do sali bankietowej, gdzie czekają już na nas napoje.

Michi poczuła na ramieniu dłoń Ichizo. Starła się nie zeszywnieć pod jego dotykiem.

– Powinienem teraz odprowadzić cię do twoich komnat.

– Jeśli takie jest twoje życzenie, mój panie.

Gdy po chwili ponownie przemówił, w jego głosie nie było nawet cienia gniewu.

– Czy uważasz mnie za głupca, Michi-chan?

Spojrzała mu w oczy, lśniąca nad poskręcanyimi rurkami aparatu oddechowego. Czy były to oczy węża bawiącego się ofiarą? Czy też może lojalnego mężczyzny rozdartego między powinnością względem swego pana a głosem serca?

„Kim jesteś?”

– Nie – odparła. – Nie uważam cię za głupca, mój panie.

Ichizo spojrzał na daimyo klanu Tygrysa zasiadającego z powrotem w palankinie i ujmującego narzeczoną za dłoń. Na poblasku ze strachu twarze wstrząśniętych ludzi w tłumie. Na oblicza świąty daimyo klanów Smoka i Feniksa, których pompa i buńczuczność nagle zniknęły, tak jak powietrze schodzi z przekłutego balonu. Zajmowali w milczeniu swoje miejsca w rykszach niczym zrugane dzieci. Spojrzał na pokryte grubą warstwą pogrzebowego popiołu twarze Żelaznych Samurajów. W końcu na twarz Hiro, chodzącego trupa, który wkrótce miał władać całym cesarstwem. Swojego kuzyna. Swojego krewniaka. Swojego szoguna.

Twarz Ichizo była równie blada, co twarz jego daimyo.

– Sądzę, że nie tylko ja jestem głupcem.

Z początku nienawidziła Aishy całym swoim jestestwem. Oto była kobieta, która miała wszystko. Uprzywilejowana z racji urodzenia, rozpuszczona przez rodziców, rozpieszczana przez tego podłego bydlaka, swojego brata. Przez całe życie nie musiała nawet kiwnąć palcem, wszystko podawano jej na srebrnej tacy.

Od przybycia Michi z gór Iishi minęło już kilka miesięcy. Maską przywdziana przez Pierwszą Córkę na potrzeby świata była tak doskonała, że niemożnością było dostrzec choć cień ukrywającej się pod nią bojowniczkę Kagé. Do tego Michi nigdy nie znalazła się sam na sam z panią Aishą wystarczająco długo,

aby móc pomówić z nią w cztery oczy. Od czasu do czasu napotykała jej spojrzenie, dostrzegała ukryte w nim niewypowiedziane pytania, ale nigdy nie wyczytała w twarzy tej kobiety nic, co by mogło ją zdradzić. Jeśli Aisha grała, to zawstydziliby najlepszych aktorów całego szogunatu.

Michi starała się nie rzucić w oczy, pracowała ciężko i dziękowała bogom, że oszczędzone jej zostały awanse szoguna Yoritomo, który wolał ładniejsze i bardziej wyrafinowane panny z otoczenia swojej siostry. Yoritomo –no –miya zdawał się czerpać niewypowiedzianą przyjemność z rozdzielania kolejnych dworek Pierwszej Córci. Sama Aisha zaś zdawała się nie mieć nic przeciwko oddawaniu na pastwę brata cnoty swoich dam dworu na każde jego skinienie. Była surową panią łatwo wpadającą w złość o najmniejszą drobnostkę – zwłaszcza w obecności brata, który zdawał się rozkoszować jej okrucieństwem. Nienawiść kipiąca w piersi Michi stopniowo przemieniała się w truciznę.

Dlaczego Kagé wystali ją tutaj? W sercu tej kobiety było tyle buntu przeciw panującemu porządkowi, co człowieczeństwa w sercu jej brata. To nie było pole bitwy, to nie była wojna.

Pewnego wieczoru, gdy Michi czesała włosy swojej pani, dziewczyna przydzielona tego dnia Pierwszej Córcie jako sypialniana – słodka i mądra dziewczyna z klanu Ryu o imieniu Kiki – strąciła z szafki buteleczkę perfum. Szkło roztrzaskało się na podłodze w drobny mak. Aisha wstała z poduszki, ciskając błyskawice z oczu, uniosła rękę i... Michi zadziałała, zanim zdążyła o tym pomyśleć. Wyrzuciła rękę do przodu z tą niesamowitą szybkością, która uczyniła z niej wysmienitego szermierza, i chwyciła opadającą rękę swojej pani za nadgarstek.

– Nie – zaprotestowała.

Wtedy Aisha się uśmiechnęła. Michi zobaczyła jej uśmiech po raz pierwszy, odkąd zaczęła służbę w pałacu. Był piękny i promienny, niczym pierwsze promienie świtu po najdłuższej zimowej nocy.

– Wreszcie – powiedziała Aisha.

Aisha odprawiła Kiki skinieniem dłoni. Przerażona dziewczyna szybko opuściła komnatę, posyłając Michi przepaszające spojrzenie, i zasunęła za sobą drzwi.

– Zastanawiałam się, kiedy to nastąpi – stwierdziła Aisha.

– Kiedy co nastąpi?

Pierwsza Córka kiwnęła głową.

– Kiedy rzucisz wszystko na szalę.

Michi zamrugła i zachowała milczenie.

– Ta dziewczyna nic dla ciebie nie znaczy. – Aisha wskazała ręką drzwi, za którymi zniknęła Kiki. – A mimo to w jej obronie odważyłaś się dotknąć Pierwszej Córki dynastii Kazumitsu, narazając swoją misję, okazując nieposłuszeństwo, które mogło sprowadzić na ciebie śmierć.

– Niech sprowadza – odparła Michi.

Aisha podeszła do niej i położyła dłonie na ramionach.

– Wiem, kim jesteś, córo Daiyakawy. I podziwiam twoje poświęcenie dla sprawy, naprawdę. Ale to nie jest miejsce na rozpętywanie piekła. Daichi-sama przysłał cię, abys była moją ręką i moimi oczami. A nie możesz być żadnym z nich, dopóki oślepią cię szalejący w twoim sercu ogień. Zapanuj nad nim, niech płonie spokojnie. Bierz przykład ze mnie. Ukryj wszystko głęboko w środku, przechowuj aż do dnia, kiedy będzie naprawdę potrzebne, kiedy rzucenie wszystkiego na szalę będzie warte krwi, którą przyjdzie zapłacić. Do dnia, w którym nasze zwycięstwo będzie możliwe.

– Miałabym nic nie robić, podczas gdy wokół mnie cierpią niewinni,²

– Właśnie tak – przytaknęła Aisha. – I wiem, ile będzie cię kosztowało to, o co cię proszę. A pewnego dnia będę chciała jeszcze więcej.

Pewnego dnia mogę poprosić cię o wszystko. Ale nie dla jednej osoby: dla całego naszego narodu. Dla wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci żyjących na tych wyspach.

– Taka jest stawka tej gry, Michi-chan – kontynuowała. – W tej grze nie ma nagrody za drugie miejsce. To nie jest zabawa chłopców w żelaznych pancerzach, to wojna o przyszłość Shimy. Musisz zrozumieć, że jeśli chcesz tu, w tym pałacu przysłużyć się sprawie Kagé, musisz przyglądać się okropnościom w milczeniu. Musisz przyglądać się cierpieniom, nawet śmierci innych, nie kiwając nawet palcem, aby im pomóc. Musisz być cierpliwa jak skała i czekać na właściwy czas do wyprowadzenia ciosu. A gdy nadejdzie w końcu chwila dobicia broni, musisz być twardsza niż skała.

Michi wpatrywała się w nią, jakby ujrzała ją po raz pierwszy. Siła przekonania bijąca z oczu Aishy i pasja wyraźnie słyszalna w jej przyciszonym głosie sprawiły, że nie widziała już rozpuszczonej książeczki, którą w ostatnich miesiącach znienawidziła. Dostrzegła ogień płonący równie jasno, jak ten szalejący w jej piersi. Ogień, który ożywił cienie.

Aisha ujęła dziewczynę za dłonie i ścisnęła je mocno, patrząc jej z powagą w oczy.

– Czy rozumiesz, co mówię, Michi-chan?

Michi spojrzała na dłonie Pierwszej Córkki, po czym ponownie poszukała oczami jej wzroku.

– Tak.

– Czy jesteś w stanie zapanować nad swoim wewnętrznym ogniem?

– Tak.

– A gdy cię o to poproszę, czy rzucisz wszystko na szalę?

Oblizwała wargi.

Skinęła głową.

– Tak.



38.

BEZ ODWROTU

Metalowa wałka leciała z dużo mniejszą gracją od swojego owadziego pierwowzoru. Jej skrzydła raczej się kręciły, niż trzepotały. Trzy śmigła ułożone w trójkąt na kadłubie pojazdu, każde ustawione do niego pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Poszycie wykonano z ciemnego, oksydowanego metalu lśniącego od ściekającego po nim deszczu. Cały pojazd wyglądał raczej pokracznie i zdawał się trzymać tylko dzięki solidnym naddatkom na spawach i uporowi konstruktora, nie zaś dzięki przemyślanym rozwiązaniom technicznym. Dwie szklane półkule osłaniające kokpit sprawiały wrażenie wybałuszonych owadzych oczu. Silniki napędzające śmigła wydawały stukoczący pomruk niczym wilk z pyskiem wypełnionym śrubami.

Hurgot śmigieł narastał. Pojazd schodził do lądowania, przypominając raczej grubego, chyboczącego się trzmiela niż zgrabną wałkę. Piloci wyteżali wszystkie siły, walcząc z nierównymi porywami wichru. Deszcz ściekał po szkle osłon kokpitu cienkimi, pędzonymi wiatrem strugami.

Ledwie przytomna Yukiko leżała pod nawisem skalnym z sino- czarną twarzą. Patrzyła, jak Ilja rozciął młodego arashitorę od gardła aż po pachwinę, a następnie przystąpił do obdzierania go ze skóry. Krwi było tyle, że przy każdym wdechu czuła na języku jej metaliczny posmak.

Cały czas starała się niezdarnie sięgnąć do myśli Buruu, ale miotacz piorunów Ilji zepchnął go w otępienie głębsze od wywoływanego czarnosnem. W wodzie dokoła wyspy nieustannie krążyły gładkie gadzie kształty. One jednak nie były w stanie jej pomóc – musiałyby najpierw wykształcić nogi i nauczyć się chodzić. Yukiko wyczuwała jeszcze jedną obecność – tygrysięcę gromu krążącą nad całą sceną niczym sęp nad polem bitwy.

Nie zważając na piekielny ból głowy i krew ciekącą z nosa, sięgnęła myślami do samicy arashitory.

„Oni go chcą obedrzeć ze skóry”.

Tygryśica gromu wysłała w odpowiedzi psychiczny odpowiednik zdziwionego mrugnięcia.

–YÖKAI-KIN.–

Yukiko zamknęła oczy, ale pomimo ogłuszającego huku myśli arashitory i przejmującego bólu zdołała utrzymać połączenie.

„Gaijin zabił Skraaia, a zaraz zechce zrobić to samo z Buruu”. –NO I?–

„Czy to nic dla ciebie nie znaczy? Ci małpi synowie zedrą skóry z grzbietów twoich pobratymców i będą je nosić niczym jakieś przekłete trofea!”.

–BYLI SŁABI, SKORO DALI SIĘ ZŁAPAĆ. ZMARNOWALI SIŁY NA WALKĘ ZE SOBĄ. A PO CO? ŻEBY MI ZAIMPONOWAĆ, KIEDY JA NIE CHCĘ ŻADNEGO Z NICH.–

„To przeze mnie ich złapali! Bo zaufałam...”.

–TWOJA WINA. NIE MOJA.–

„Nie możesz tak po prostu pozwolić Buruu umrzeć!”. –JEDNEGO RZEŹNIKA MNIEJ. I JEDNEGO GŁUPCA.–

Yukiko zmeła w myślach gorzkie przekleństwo i zerwała kontakt z samicą, odpychając jej myśli z całą siłą, na jaką mogła się zdobyć. Zacisnęła pięści i napięła mięśnie ramion, po czym rozluźniła je i spróbowała oswobodzić dłonie. Jedno oko miała całkowicie przesłonięte opuchlizną. Z brody skapywała jej ślina wymieszana z krwią. Ale Przenikanie wciąż ryczało wewnątrz niej, chociaż całe ciało miała obolałe po razach Ilji, chociaż ból był tak nieznośny, że wszystko traciło

znaczenie.

Mogła zabić gaijina, teraz już to wiedziała. Czuła wzbierającą w niej moc, silniejszą niż w dniu, kiedy razem z ojcem zakończyła życie Yoritomo. Ale co z pozostałymi? Czy ich też dałaby radę zabić?

Jeśli tylko spróbują tknąć Buruu, piekła jej świadkiem, że spróbuje...

Brzuch metalowej ważki stanął otworem. Ze środka wysunął się trap, po którym na wyspę wybiegł tuzin gaijinów ubranych w czerwone kurtki z brązowymi insygniami i ciemne futra. Na ich czele kroczył Danił z jej kataną przytroczoną do pasa. Zza niego wysunął się wyglądający na wściekłego Piotr z zakrwawionym bandażem owiniętym wokół głowy. Gdy tylko dostrzegł Yukiko, wykrzywił twarz z irytacją i dokuśtykał do niej po spękanej skale.

Danił i pozostali gaijini zebrali się wokół Ilji z wyraźnym zdumieniem malującym się na twarzach. Umazany krwią od stóp do głów chłopak zatoczył szeroki łuk nożem, po czym wskazał oprawionego arashitorę. Kilku młodszych gaijinów poklepało go po plecach, szczerząc zęby w szerokich uśmiechach i śmiejąc się na głos, tak jakby dokonał czegoś wspaniałego, a nie okropnego. Nawet Danił wykrzywił usta w skąpym uśmiechu i wyciągnął do Ilji otwartą dłoń, którą chłopak potrząsnął z wielkim entuzjazmem.

„Traktują go jak bohatera...”.

Piotr przyklęknął przy niej i szybko zbadał jej stan. Rozsadzający jej głowę ból był tak mocny, że widziała pływających w powietrzu przed nią trzech ciemnowłosych gaijinów. Łoskot ciężkich młotów walących od wewnątrz w czaszkę ciagle narastał, coraz bardziej rozmazując obraz.

– Nie ruszać się. – Głos Piotra dobiegał jakby spod wody. – Głowa. Głowa.

Owinał jej wokół skroni coś grubego i miękkiego. Spróbowała sięgnąć głowy spętanymi dłońmi pokrytymi popękkanymi, sączącymi się pęcherzami, urażając przy tym zdarte do żywego mięsa nadgarstki. Sporym wysiłkiem woli otworzyła oko i spojrzała na gaijina.

– Głupia dziewczyna. – Piotr potrząsnął głową. – Głupia.

– Idź do wszystkich piekieł – warknęła Yukiko.

Wyciągnął dłoń, chcąc dotknąć jej twarzy. Odsunęła się i spróbowała go kopnąć.

– Dotknij mnie, a zamienię ci mózg w zupę, okrągłooki.

– Eee? – Piotr uniósł w zdziwieniu brwi. – Pomóc. Ja pomóc.

– Pomóc? Chciałeś mnie zgwałcić, ty draniu! Idź do wszystkich piekieł, zostaw mnie!

Piotr wpatrywał się w nią osłupiały.

– Zgwałcić? Próbować twoja pomoc, dziewczyna.

Obejrzał się przez ramię na gaijinów zebranych przy zdobyczu

Ilji i zniżył głos do szeptu.

– Głupia! – prychnął poirytowany. – Ja ostrzegać! Ja mówić! Mówić dla ty, żeby ty iść z ja. Użyć dla ciało! – Gaijin wskazał arashitorę leżącego na skale, a następnie przesunął dłońmi od ramion przez klatkę piersiową po brzuch. – Użyć twoja. Ciało gri- fon! Grifon!

– Arashitora...

– Da! Ciało arashitora.

– Ty... – Głos uwiązał Yukiko w gardle. – Ty chciałeś mnie ostrzec...

– Teraz za późno. – Piotr potrząsnął głową. – Za późno. Nosić dla ciało. Wielka siła. Wielka nagroda dla Ilja. Wielka nagroda.

– Dlaczego chciałeś mnie ostrzec? – Yukiko zwęziła oczy. – Dlaczego chciałeś mi pomóc?

– Obiecać przyjaciel.

– Jakiemu znowu przyjacielowi?

– Piotr!

Poznaczony bliznami gaijin zadrżał na dźwięk głosu Daniła. Obejrzał się przez ramię i wymówił niezrozumiałe słowo sprawiające wrażenie pytania. Przywódca okrągłookich warknął coś rozkazująco i przyzwał Piotra ruchem ręki.

Gaijin pomógł Yukiko wstać. Świat zdawał się uciekać jej spod nóg. Kopniaki, Ilji wciąż dzwoniły w jej głowie niczym tysiąc żelaznych dzwonów. Piotr zaprowadził ją do pozostałych, którzy stali w kałuży wody zmieszanej z krwią wkoło Buruu i rozmawiali ze sobą szorstkimi głosami. Smród dobiegający ze strony truchła Skraaia – paskudny odór

krwi, wnętrzości i ekskrementów – przyprawiał o mdłości. Yukiko czuła na języku szczypanie żółci wymieszanej z krwią. Potoczyła wzrokiem po mężczyznach, czując wzbierającą w niej złość, zimną nienawiść, która niemal odbierała jej dech. Było ich ośmiu.

„Ilu zdołam zabić, zanim sama zginę?”

Przeniosła wzrok na przyjaciela leżącego na skale i sięgnęła do niego w ciemności.

„Buruu, proszę, obudź się. Proszę”.

Gaijini zdawali się dyskutować na temat skrzydeł tygrysa gromu. Dwóch najmłodszych badało zniszczony mechanizm zamocowany do grzbietu arashitory, uszkodzony stelaż oraz porwane płótno na jego lotkach. Danił przemówił do Piotra swoim głębokim barytonem, wskazując ręką Buruu. Błyskawica rozcięła czarne niebo nad ich głowami. Ulewa znów przybierała na sile, a coraz bardziej obfite strugi deszczu niemal całkowicie przesłaniały świat. Krople siekące niestrudzenie powierzchnię oceanu wypełniały uszy Yukiko nieustannym szumem.

– Danił pytać, co temu źle być. – Piotr mówił ostrym tonem, ale w jego jedynym błękitnym oku Yukiko dostrzegąca współczucie. – On kaleka? – Wskazał na metalowe obejmy na jego nodze. – Kaleka?

– A jeśli tak, to co? – spytała.

– Nie nosić dla kalekie ciało. – Gaijin potrząsnął głową. – Nie ma siła, nie ma nagroda.

Serce na chwilę zamarło jej w piersi, a w myślach załśnił okruczeństwo nadziei. Skinęła głową Daniłowi.

– Jest kaleką.

Danił zazgrzytał zębami i warknął coś, co zabrzmiało jak ciężkie przekleństwo. Odgonił młodszych gaijinów od skrzydeł Buruu i przywołał bladego ciemnowłosego mężczyznę o szerokich barkach, pokrytej drobną czarną szczecina szczęce przypominającej ceglany budynek i oczach wyglądających jak dwie kulki z błękitnego szkła. Gaijin sięgnął do pasa i wyciągnął zza niego obosieczny topór na długim trzonku.

– Co wy wyprawiacie?

Yukiko wybałuszyła oczy z niedowierzaniem. Piotr odciągał ją do tyłu.

– Nie, dlaczego chcecie go zabić? Nie róbcie tego! Przestańcie! „BURUU, OBUDŹ SIĘ!”.

– Kak žal – mruknął Danił, przyglądając się podwładnemu, który uniósł oburącz broń nad głowę.

– NIE! NIEEEEE!

Yukiko sięgnęła ku Piotrowi i uderzyła w jego umysł całą sobą. Mężczyzna puścił ją i upadł na ziemię bez czucia, krwawiąc z nosa i uszu. Obróciła się do topornika, chwyciła jego myśli, ścisnęła tak mocno, jak tylko zdołała, i szarpnęła na boki, tak jak wilk rozrywa upolowaną zwierzynę. Dwie krwawe garście umysłu. Gaijin wydał z siebie dziwny stłumiony dźwięk, zatoczył się do tyłu, jakby ktoś go uderzył, wypuścił topór z rąk i chwycił się za skronie. Yukiko krzyczała, obnażając zęby, czując wzbierającą w niej moc, nieskończony żar zapadającej się gwiazdy, ogłuszający ryk tysiąca huraganów. Po chwili okrągłooki padł bezwładnie na skałę, krwawiąc obficie z uszu, nosa i oczu.

Błyskawicznie zwróciła się w stronę trzeciego gaijina, uderzając w jego umysł znów całą siłą swojego. Głowa mężczyzny odskoczyła w bok, jakby jakaś niewidzialna siła skręciła mu kark. Z dzikim rykiem Danił chwycił ją za przesiąknięte wodą włosy i pociągnął mocno do tyłu. Yukiko wiła się, krzyczała, przeklinała, kopała, drapała, gryzła i biła z oczami wywróconymi białkami do góry. Poddawała się szaleństwu, wściekłości tak obezwładniającej, że czuła, jak odziera ją ze wszystkiego, czym była, pozostawiając po sobie jedynie pustą skorupę, płonącego i wrzeszczącego stwora noszącego jej skórę. Rzuciła się i wyrwała z chwytu gaijina, zostawiając w jego dłoni garść włosów, po czym sięgnęła do jego umysłu, aby go zgnieść jak suche skorupki jaj.

Uderzył ją sierpowym prosto w szczękę. Siła ciosu odrzuciła jej głowę na bok i roznieciła jasny ogień u podstawy czaszki. Gaijin wziął kolejny zamach, jakby od niechcienia, i z niemal nonszalancką brutalnością uderzył potężnie pięścią w brzuch dziewczyny.

„Boli!”.

Okropny, mokry i rwący ból.

„BOLI!”.

Przeraźliwy krzyk gdzieś w zakątku jej umysłu, głos przypominający brzmieniem jej własny. Rozbłysk światła za oczami, oślepiająco jasny. Świat wokół niej zamarł w bezruchu.

Czuła to, wszystko. Otaczających ją mężczyzn niczym splątane kłębki nici, tysiące supłów jeden na drugim tak złożonych, że samo spojrzenie w ich stronę sprawiało jej ból. Leżącego u jej stóp Buruu, kształt, który znała równie dobrze jak siebie samą, odległe tętno, umysł starający się odzyskać przytomność, migoczący światłem skradzionej błyskawicy. Skorupę Skraaia, ledwie cień gasnącego gorąca w jego kościach, podczas gdy jego jaźń umykała w niebyt. Smoki w rozszalałym oceanie dokoła nich unoszące się na prądzie morskim, zimne niczym najgłębsza otchłań oceanu, do której nigdy nie docierało światło słońca. Samicę krążącą nad ich głowami, wciągającą w nozdrza woń krwi niesioną wiatrem. W jej myślach płonęła jasno świadomość, że powinna bronić swoich pobratymców, świadomość przesłonięta jednak wściekłością zrodzoną ze wszechogarniającego żalu, poczucia rozłąki tak strasznego, że samo wspomnienie sprawiało jej niewyobrażalny ból.

Wspomnienie tego, co straciła.

Wspomnienie tego, co on jej odebrał.

W brzuchu Yukiko, tam gdzie knykcie wbiły się w jej ciało, był tylko ból.

Opadła na kolana, z trudem łapiąc powietrze. Krzyki w jej uszach były coraz głośniejsze. Czuła tętno całego świata i wiedziała, że coś jest bardzo, bardzo nie w porządku.

„Co się ze mną dzieje?”.

Danił oparł podeszwę buta o jej pierś i pchnął. Yukiko upadła na skałę i zwinęła się w pozycję embrionalną. Maleńka istota wśród szalejącej burzy. Krew ciekła jej z uszu i nosa, nawet oczy miała zasnutą szkarłatną mgłą. Wyciągnęła spętane dłonie w stronę Buruu, starając się sięgnąć jego pazurów, prawie, prawie dostając ich koniuszkami palców. Danił

dobył Yofuna z czystym, srebrzystym dźwiękiem. Wielokrotnie skuwana stał zalśniła w deszczu. Woda spływała cienkimi stróżkami wzdłuż ostrza.

„To nie może się tak skończyć”.

Gaijin uniósł miecz nad głowę, przymierzając się do zadania ciosu.

„Buruu, kocham cię”.

Katana zaczęła opadać.

„Buruu...”.

Biały kształt pomknął ku nim od strony ciężkich chmur.

Wrzask oburzenia, ryk gromu, spuszczone z łańcucha nawałnica.

Danił spojrział w górę i otworzył szeroko usta. Chwilę później już go nie było. Rozmyta biała smuga, głuchy odgłos zderzenia, trzask łamanych kości. Katana wirowała przez chwilę w powietrzu, po czym z głośnym brzękiem upadła na skałę obok głowy Yukiko.

Z góry dobiegły odgłosy rwania ciała.

Po chwili spadł czerwony deszcz.

Gaijini klęli, wpatrywali się w niebo i dobywali pospiesznie broni, jedni mieczy, inni miotaczy piorunów. Spadła na nich niczym rozpędzony cień i zaatakowała od tyłu. Wobec głośnego ryku burzy była praktycznie bezgłówna. Uszu Yukiko dobiegły odgłosy łamanych kończyn i głośne okrzyki bólu. Tułów jednego z mężczyzn odleciał w bok, oderwany od wciąż stojących nóg. Inny padł na wznak z rękami zaciśniętymi na szyi, którą jeszcze przed chwilą wieńczyła głowa. Błysnęły ostrza dzierżone przez pozostałych jeszcze przy życiu okrągłookich. Część z nich sięgnęła śnieżnobiałego futra i samica zaskrzeczała z bólu. Właśnie pięła się w górę, gdy trafiły w nią białobłękitne łuki błyskawic wystrzelonych z miotaczy piorunów.

Ale małpi synowie i ich śmieszne zabawki nie robili na niej wrażenia. Nie wiedzieli, z kim mają do czynienia. Była córką gromu zrodzoną w Wiecznoburzy, pławiącą się w oślepiających błyskach piorunów, odkąd tylko nauczyła się latać. Bez gruntu pod łapami, który mógłby ją uziemić, elektryczność z tych zabawnych przyrządów była dla niej jak orzeźwiający prysznic. Po skropionych krwią piórach przeszedł

rozkoszny dreszcz. Krzyknęli głośno, gdy ponownie na nich runęła. Biegli ile sił w nogach w stronę metalowej wałki. Upojona ich smakiem, zaślepiona wściekłością, usiadła na tej lichej puszcze, otworzyła ją, tak jakby rozcinała dojrzały owoc, aby dostać się do miękkiego mięszu, i rozszarpała wrzeszczących wniebogłosy ludzi. Metodycznie. Jednego po drugim.

Ale jednego przeoczyła.

Gdy zaatakowała po raz pierwszy, Ilja przypadł nisko i przywarł do boku odartego ze skóry nomady. Zaślepiona dziką furią samica nie zauważyła go. Gaijin był cały skąpany w krwi arashitory i jego woń ginęła pod zapachem świeżej krwi. Teraz wstał spod zakrwawionych skrzydeł, uniósł swój skradziony burzy piorun i zmiotł arashitorę z latającej maszyny przy akompaniamencie niesamowitego pisku gorącej pary wodnej.

Tygryś gromu upadła na skałę bez czucia. Z jej piór unosiły się strużki dymu.

Ilja opuścił wyczerpany już miotacz piorunów i upuścił go na ziemię. Szklana kulka pękła z głośnym trzaskiem. Gaijin wysyczał przez zęby niezrozumiałe przekleństwo, dobył zza pasa nóż rzeźniczy, wciąż pokryty krwią arashitory, i przyklęknął przy głowie Yukiko.


Dziewczyna zamruwała, nie mogąc skupić wzroku. Ból w brzuchu złagodniał do tępego pulsowania.

Chłopak chwycił ją za włosy, przycisnął ostrze noża do jej gardła i wyrzucił z siebie kolejne przekleństwo.

Ostrze katany przebiło go na wylot niemal bezdźwięcznie. Urwany oddech, cichy chrzęst metalu o kość. Chwilę później ostrze zniknęło, wsuwając się z powrotem w dziurę w piersi gaijina. Ilja wybałuszył oczy, gdy impulsy bólu dotarły do jego głowy. Miecz ponownie przebił jego płuca. Na wargach chłopaka pojawiły się bąbelki krwi. Powietrze ulatywało przez dziury między jego żebrami, przez gardło przeciskając się tylko w postaci mokrego kaszlu. Po chwili okrągłooki upadł na skałę z bulgoczącym jękiem, równie martwy, jak zamordowany przezeń tygrys gromu.

Piotr stał nad ciałem byłego towarzysza z bladym błyskiem w przesłoniętym bielmem oku. Puścił jedną ręką rękojeść katany, żeby otrzeć rękawem krwawiący nos.

– Obiecać – wycharczał. – Ja obiecać.



39.
CHWILA SŁABOŚCI

Każda kropla deszczu wydawała cichy szept.

Nie był to dla Kina łagodny szept kochanki. Ona w jego ramionach, jego twarz ukryta w jej włosach. Nawet nie wiedział, jak taki szept miałby brzmieć. Nie był to też szept ojca, który powiedział synowi, nachylając się nad nim i wskazując świat metalu, sworzni i zębatek: „Daję ci to wszystko”. Ten szept należał do zbyt odległej części jego życia, żeby mógł sobie teraz przypomnieć jego brzmienie. Nie był to też szept ziemi, oddech tej ogromnej istoty pod ich stopami, która była wszystkim bliska od kołyski aż po grób, a na koniec otwiera swe ciało, aby utulić nas w swoich objęciach, gdy zapadamy w wieczny sen.

Nie. To był szept maszyny.

Gdy uniósł dłoń przed drzwiami Daichiego, ze środka dobiegał przyciszony głos Kaori. Mówiła z przejęciem, tak szybko, że nie sposób było dosłyszeć, kiedy robiła przerwę na kolejne wdechy. Kin wyczuwał w powietrzu zapach mięty i drzewa cedrowego, z delikatną nutą glicynii. Zamarł z dłonią oddaloną od drzwi ledwie o grubość oddechu. Wiedział, że jeśli zapuka, bezpowrotnie wszystko zmieni.

Rozejrzał się po osadzie Kagé, tym maleńkim skupisku życia wyciosanym w najgłębszej dziczy, tym zarzewiu buntu, który groził

zniszczeniem całego narodu. Widział wyraźnie determinację, jakiej było trzeba, aby surowe drewno i poskręcane konary zmienić w domy; aby przybyć tu samotnie, porzucając wszystko i wszystkich; aby być pierwszym, który powie „dość”. Ale przede wszystkim widział ludzi: ich małe życia i kruche marzenia, ich nadzieję na lepsze jutro dla ich dzieci, także tych jeszcze nienarodzonych.

„Nie jest za późno, żeby się wycofać. Nie musisz tego robić”.

Pomyślał o dziewczynie czekającej na jego powrót w pokoju Yukiko. Zwinętej w kącie, przesiąkniętej strachem aż do szpiku kości. Pomyślał o dotyku jej warg na jego ustach, o jej delikatnych dłoniach i smutnym uśmiechu. O krwi na jej skórze. O jej płaczu. Zaciśnął zęby i zamienił serce w twardy głaz. Zwinął palce w pięść i zastukał mocno w deski drzwi.

„Owszem, muszę”.

– Wejść – powiedział Daichi głosem szorstkim jak papier ścierny.

Kin odsunął drzwi na bok i wszedł do środka. Przez chwilę stał i mrugał intensywnie, zanim wzrok przyzwyczał się do panującego w pomieszczeniu półmroku. Starzec siedział przy palenisku. Sprawiał wrażenie bardziej wychudzonego i bledszego niż ostatnim razem. Piers miał wciąż obwiązaną bandażami, całą skórę pokrywały sińce, a zmęczone oczy były silnie podkrążone. Kaori klęczała przy jego boku z twarzą ukrytą za kotarą włosów i ścisnęła poplamioną czarnym śluzem dłoń ojca. Gdy się odezwała, Kin wyraźnie słyszał w jej głosie świeże łzy oraz gniew tak straszny, że niemal zdolny zatrzymać jej serce i odebrać oddech.

– Czego chcesz, gildiarzu?

– Kin-san. – Daichi przełknął ślinę i skrzywił się z bólu. – To nie jest najlepszy czas...

– Yukiko nie wróci.

Nawet wypowiadając te słowa na głos, wciąż w nie nie wierzył. Z trudem precyzyjnie się przez gardło, raczej wypadły z jego ust, niż zostały wymówione. Niezdarne, zimne słowa.

– Na jakiej podstawie...

– Ona już do nas nie wróci, Daichi. – Kin pokręcił głową. – Nie zostawiłaby nas samych na tak długo. Nie w takiej sytuacji. Coś musiało się jej przytrafić. Nie możemy wciąż liczyć, że nas uratuje. Nie mamy na to czasu. Hiro poślubi Aiszę, tym samym pieczętując swoje roszczenia do tronu. Miażdżyciel pomaszkuje na lishi i rzuci te wyspy w ciemność, której nie rozgonią już promienie słońca. Ale wciąż jest nadzieja. Mam plan, sposób na zakończenie tego raz na zawsze.

Ziemia zatrzęsała się pod ich stopami. Lekkie drżenie poruszające aż do szpiku kości podkreśliło słowa Kina.

– Pamiętasz naszą partię szachów? – Chłopak wpatrywał się w zmęczone staloszare oczy starca, w których odbijał się blask płomieni pełgających na rozżarzonych węglach. – Pamiętasz, co mi wtedy powiedziałeś?

Daichi patrzył na niego bez mrugnięcia, zimnym, niemal gadzim wzrokiem. Sprawiał wrażenie niesamowicie już zmęczonego swoim długim i ciężkim życiem. Przytłoczonego poczuciem winy i ciężarem odpowiedzialności za życia tych, którzy go potrzebowali. Do tego teraz potrzebowali go bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Właśnie teraz, kiedy był najślabszy w całym swoim życiu.

Kiwnął powoli głową. Obliznął poplamione na czarno wargi.

– Pamiętam.

– Musimy zatem porozmawiać. – Kin wskazał skinięciem głowy Kaori.

– W cztery oczy.



W snach widziała szerokie, silne ręce.

Unurzane we krwi.

Z połamanymi palcami.

Widziała też łzy.

Yoshi czekał na nią, gdy wynurzyła się ze swojej sypialni. Leżał na stole. Jego nagą pierś owijały bandaże. Wspaniały nowy tatuaż pana Izanagiego dzierżącego włócznię biegł od ramienia aż po biodro. Miotacz żelaza leżał na blacie przed nim, o kilka cali od wyprostowanych palców dłoni. Skołtunione włosy opadały luźno na zapadnięte policzki i zbyt bladą skórę.

Pozostałą część stołu pokrywały garście monet. Szare żelazo odcinało się od ciemnej czerwieni plam krwi. W pomieszczeniu śmierdziało potem i lotosowym dymem. Szkarłatne promienie słońca przebijały się jak sztylety przez unoszący się w powietrzu popiół. Ich pokój przypominał pomieszczenia pałacowe. Był to kosztowny apartament w pensjonacie na Górze. Ściany były pięknie wybielone, wszystkie drewniane powierzchnie zostały wypolerowane na wysoki połysk. Gdy weszli do budynku umazani ekskrementami, łzami i krwią, gruby recepcjonista skrzywił się na ich widok i zmarszczył swój płaski,

krostowaty nos. Jednak gdy Yoshi rzucił na ladę dziesięć żelaznych kouka i zażądał najlepszej kwatery, pogarda i odraza grubasa ulotniły się jak dym lotosowy pchany morską bryzą. Nie były już widoczne, ale ich sugestia wciąż pozostawała zawieszona w powietrzu. Podał im klucz z niechętnym ukłonem.

Daken siedział nad parapetem okiennym i machał rytmicznie ogonem.
...ma chandrę...

„A to mi nowość...”.

– Wyspałaś się? – zapytał Yoshi z wyraźną chrypką od alkoholu i suszonych liści wątpliwego pochodzenia.

– Muszę iść, Yoshi. Muszę jak najszybciej iść.

Yoshi spojrział na blat stołu zamglonym wzrokiem. W smoliście czarnych źrenicach odbijało się jakieś odległe miejsce. W głowie słyszał tuzin piszczących głosów, skrobanie pazurów i tupanie pokrytych strupami stóp. Na języku czuł mdlący smak ścieków. Po chwili zdołał wrócić do tu i teraz. Przeniósł wzrok na siostrę i zmarszczył brwi.

– Nie nadchodzą żadni bushi, o co...

– Muszę wracać do pałacu.

Yoshi przewrócił oczami.

– Palisz? Nie słuchaj Jurou, dziewczyno. Ten towar przetrzepie cię szybciej od męskiej dziwki z Doków.

– Yoshi, posłuchaj mnie. – Hana wpatrywała się w brata rozszerzonym, drżącym okiem. – W pałacu szoguna jest pewna komnata, a w niej przetrzymywana jest Michi, szpieg Kagé. Ona zamierza uratować panią Aishę, zanim zostanie poślubiona daimyo Hiro. Akihito miał mi wystrugać klucz, dzięki któremu miała wydostać się ze swoich komnat.

– No i?

– No i kiedy uciekaliśmy przed bushimi, zostawiłam formę w naszym mieszkaniu. Bez tego klucza cały plan demony porwą. Yoshi, muszę tam wrócić, w jakiś sposób zdobyć nową formę i potem znaleźć kogoś, kto mi zrobi kopię klucza. Albo znaleźć Akihito, aby mi ten klucz wystrugał.

Yoshi spojrział na nią ponuro i potarł ledwo widoczny zarost na policzkach.

– Uważam tę rozmowę za zakończoną, siostró ma. I nie będziemy już wracać do tego tematu.

– Yoshi...

– Nie! – Yoshi uderzył pięścią w stół, podrzucając w górę butelki, miotacz żelaza i monety. – Posłuchaj sama siebie! Chcesz zakraść się z powrotem do pałacu? Hano, oni przecież widzieli twoją twarz! Sądziłaś, że sobie tak po prostu przejdiesz koło strażników przy bramie z tym twoim niewinnym uśmiechem? Przecież tam są teraz władcy klanów Smoka, Feniksa i Tygrysa, na pewno wzmocnili strażę! – Wstał gwałtownie, przewracając krzesło. – Proszę o wybaczenie, szlachetni panowie – powiedział śpiewnym głosem – podrzucę tylko tej zdradzieckiej suce klucz do jej pokoju i pomogę wykraść Pierwszą Córkę spod waszych nosów. Och nie, nie wstawajcie, sama trafię...

– Yoshi, nie mogę jej tam tak po prostu zostawić.

– Pieprzyć ją! – wrzasnął Yoshi. – Pieprzyć ich wszystkich. Gównu nas to wszystko powinno obchodzić. Gdyby to miasto miało choć cień podejrzenia, czym jesteśmy, przykuliby nas do Kamieni Ognia i spalili żywcem. Gdyby wiedzieli o nas wszystko, daliby nam taki wycisk, że samych bogów przyprawiliby o mdłości. Gównu jesteśmy komukolwiek winni.

– Gdzie jest Jurou? – Hana ruszyła energicznym krokiem w stronę sypialni. – Może on przemówi ci do rozumu.

– Tam go nie ma... – stwierdził Yoshi.

– Tu go nie ma – powiedziała Hana, stojąc w sypialni.

– Mhm.

Dziewczyna wróciła do pokoju dziennego. Daken plątał się jej pod nogami.

– Gdzie on jest?

– Wyszedł. – Yoshi wzruszył ramionami. – Robi zakupy.

– Pozwoliłeś mu wyjść na miasto bez mówienia ci, gdzie dokładnie się wybiera?

– Dziewczyno, masz naprawdę mylne wyobrażenia na temat mojej władzy nad tym chłopakiem.

...głodny...

Hana dźwignęła Dakena z podłogi i posadziła go sobie na ramieniu. Przygryzła dolną wargę i bezwiednie głaskała mruczącego głośno jak silnik lotostatku kocura.

...on ma rację, nie masz jak wrócić do pałacu...

„Muszę spróbować”.

...tak bardzo znudziło ci się życie?...

„Dakenie, nie mogę jej tam tak po prostu zostawić”.

...teraz znudzony...

„Nie pomagasz, wiesz?”.

...znudzony i głodny...

Hana westchnęła i rozmasowała nasadę nosa. Yoshi był niemożliwy, uparty jak osioł i niemożliwie głupi. Miała ochotę chwycić go, porządnie nim potrząsnąć i wykrzyknąć...

– Nawet gdyby jakimś cudownym sposobem udało ci się dostać do pałacu, to i tak nie znajdziesz Akihito. – Yoshi dotknął owiniętych bandażami żeber i skrzywił się z bólu. – Chyba że poszukasz w więzieniu Kigen. On ma już umówione spotkanie z Sędzią.

– Nie możesz tego wiedzieć na pewno.

– Myślisz, że umknął bushim z tą jego nogą? Sama siebie okłamujesz.

– Zamknij się, do cholery!

Hana opadła na poduszki i zaczęła bujać się w przód i w tył, nie chcąc dopuścić do siebie tej świadomości. Nie chcąc myśleć o tym, co się mogło stać, gdy się rozstali. Ani o tym, co się mogło z nim dziać w tej chwili. Nie chcąc myśleć o ludziach, których właśnie zawodziła. Nie chcąc się rozpłakać. Yoshi wziął głęboki wdech i przyglądał dłońią warkoczyki na głowie. Podszedł do siostry, przyklęknął przy niej i ujął jej rękę. Daken wskoczył na nogi dziewczyny i wodził wzrokiem od jednego do drugiego, machając swoją połową ogona na boki.

...ucho mnie śwędzi...

– Posłuchaj. Wiem, że tobie się wydaje, że w ten sposób komuś pomagasz. – Yoshi podrapał bezwiednie kikuty uszu kocura. – Że robisz coś ważnego. Ale ci ludzie... oni nie są warci ryzykowania dla nich życia.

Myślisz, że dla ciebie zrobiliby to samo?

– Nie rozumiesz... – Hana zmarszczyła brwi, zacisnęła swoje jedyne oko i wstrzymała oddech, starając się powstrzymać coraz silniejsze drżenie ramion. – Ty nic nie rozumiesz...

– Życie jest podłe. – Yoshi ocierał delikatnie łzy z twarzy siostry. – Ale słońce będzie dalej świecić, a mroki będą dalej zapadać. Z nami czy bez nas. Tak to już jest. Musimy dbać o siebie, bo nikt inny tego nie robi. Niech klany toczą te swoje wojny, niech Kagé i Gildia biorą się za łby na ulicach. To nie jest nasza sprawa, Hano.

Przez długi czas nic nie mówiła, tylko koncentrowała się na powstrzymaniu łez. Aż potrzeba ich wylewania zgasła. Sięgnęła pod swoją tunikę i ścisnęła małe złoty amulet. W zamyśleniu wodziła kciukiem po wyrzeźbionym na nim jeleniu. Prezent od matki, która już dawno odeszła. Pamiątka po życiu, które już dawno przeminęło. Po dłuższej chwili wytarła nos w rękaw, westchnęła i zlustrowała uważnie brata.

– Masz odrosty. – Wskazała głową jego włosy. – Musisz je na nowo ufarbować.

– Wiem. Poprosiłem Jurou o atrament.

Wbiła wzrok w przestrzeń. Minęło już pięć lat. Światło świecy odbite w kawałku potłuczonego szkła. Ciepła, czerwona ciecz na jej twarzy.

„Mogę je wyjąć...”

– Wiesz, kiedy tak pijesz... Kiedy tak krzyczysz... – Hana poczuła, że głos jej się załamuje. – Przypominasz tatę.

Yoshi stężał i wziął głęboki oddech, błędząc spojrzeniem po suficie.

– Nie rób mi tego – powiedział. – Nie mów tak. Zaopiekuję się tobą. Nigdy cię nie opuszczę, nigdy cię nie skrzywdzę. Choćby nie wiem co. Krew nie woda.

– Tego właśnie się boję, bracie mój. – Hana zwiesiła głowę i patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem. – Tego właśnie się boję.

– Nie wpuść much.

Warknięcie Miho zagłuszyło dźwięk dzwonek przy drzwiach. Nowy

klient zatrzasnął skrzydło za sobą i wszedł w głąb sklepu przy cichnym akompaniamencie wydrążonych mosiężnych rurek. Nie uniosła wzroku znad gazety, tylko niedbałym ruchem odsunęła kosmyk włosów z czoła.

Zbliżała się już do trzydziestki, ale wciąż była ładna – w ten surowy sposób typowy dla kobiet z Doków. Wycięta pod szyją, pozbawiona rękawów kamizela uwagi odsłaniała feniksy płonące na skórze nad jej piersiami i na obu ramionach. Przedramiona miała ozdobione scenami ze starych legend: na lewym Enma-ó siedział na górze kości, a na prawym tancerz burzy Tora Takehiko szarżował na swoim tygrysie gromu na Diabelską Bramę.

Półki jej sklepu były niemal całkiem puste. Z powodu racjonowania zapasów przez władze miasta i wstrzymania kursowania lotostatków wyprzedala już większość swoich towarów. Zostało jej tylko kilka worków ryżu, parę butelek podłego alkoholu, trochę różnych drobiazgów, wszystko w astronomicznych cenach. Gdyby nie miała znajomości na czarnym rynku, musiałyby zwinąć interes już wiele tygodni temu. Za brudnym szkłem witryny sklepowej stukały i szurały kroki mieszkańców Kigen starających się załatwić swoje codzienne sprawy w mieście chwiejającym się na krawędzi.

Klient podszedł do lady i położył na niej naręcze towarów. Odchrząknął. Miho nieprzerwanie studiowała artykuł na temat zaplanowanego na następny dzień ślubu daimyo Hiro i pani Aishy. Atrament był wciąż świeży i plamił jej palce. Gdzieś w oddali obwoływacz obwieszczał wybicie godziny żurawia.

– Chciałbym to kupić. – Młody głos z lotosową chrypką.

Miho uniosła wzrok na leżące na ladzie zakupy. Brązowy ryż, czerwone sake, czarny atrament.

– Nie stać cię na to, chłopcze.

Przewróciła stronę gazety i otarła czoło przedramieniem. Na tygrysie gromu i dosiadającym go jeźdźcu zalsnił perlisty pot.

– Nawet pani na mnie nie spojrzała.

– Wystarczy cię powąchać. Na te rzeczy nie stać nikogo palącego lotos.

Na starych dębowych deskach lady zabręczała garść metalowych

monet kouka, pozostawiając nowe rysy w łuszczącym się lakierze. Miho rzuciła przelotnie okiem na pieniądze. Każda moneta była wykonana w pełni z szarego żelaza i opatrzona pieczęcią z datą wybicia. Rzeźbienia na nich były wyraźne i lśniły, jakby monety dopiero co wyjęto z formy. Wyglądało to, jakby ktoś wziął każdą z nich z osobna i wypolerował żelaznym pilnikiem, usuwając nalot i odsłaniając żywy metal.

– Ależ oczywiście, młody paniczu. – Miho momentalnie się wyprostowała i uśmiechnęła szeroko. – Nawet wydam ci resztę.

Sięgnęła do szkatułki schowanej pod ladą i wyjęła z niej pół tuzina miedzianych monet. Gdy podawała je chłopcu, drugą ręką wyprowadziła błyskawiczny cios i uderzyła mosiężnym kastetem prosto w szczękę młodzieńca, który od razu stracił przytomność i padł bezwładnie na podłogę.

Miho wyszła z za lady, zamknęła drzwi wejściowe i odwróciła wiszącą w witrynie tabliczkę na „Zamknięte”. Odwróciła się i przyjrzała badawczo nieprzytomnemu chłopcu. Miał ledwie kilkanaście lat, całkiem przyjemne dla oka kości policzkowe i drogi tatuaż przedstawiający tygrysa na ramieniu. Ciemne strąki po- zlepianych włosów opadały po obu stronach twarzy młodzieńca. Na policzkach i pod nosem pojawiał się młodzieńczy zarost. Obraz psuła jedynie rozcięta, krwawiąca warga.

Był przystojny. Wielka szkoda.

Seimi-san lubił krzywdzić tych przystojnych.



41.

TYSIĄC DIAMENTÓW

Przytomność ciężko było odzyskać, a jeszcze ciężiej jej potem na powrót nie stracić. Przypominało to płynięcie ku powierzchni, ku światłu przebudzenia, a potem mozolne brnięcie przez stawiającą stanowczy opór wodę. To, że całe ciało i głowa stanowiły jeden wielki, pulsujący supeł bólu, wcale nie pomagało.

Yukiko zamrugła. Jej oczom ukazały się skłębione czarne chmury i sylwetka nachylonego nad nią Piotra. Błyskawica przecięła niebo i zaślniła w bielmie przesłaniającym jego oko. Przykleknął przy niej na zimnym szkle, odgarnął włosy z twarzy i mamrotał coś pod nosem w swoim języku. Ręce i skronie miała owinięte świeżymi bandażami. Pod głowę gaijin wetknął jej torbę. Przed siekącym deszczem i przenikliwym wiatrem chroniła ją wilcza skóra Piotra. Nie miała pojęcia, jak długo była nieprzytomna.

– Uważać – powiedział gaijin. – Głowa.

Yukiko usiadła powoli, trzymając się kurczowo za brzuch. Bolał ją każdy skrawek ciała. Każda kropla deszczu sprawiała wrażenie kuli wystrzelonej z miotacza żelaza. Nigdy w życiu nie była tak obolała.

– Dziękuję...

Reszta słów uwięzła jej w gardle. Skrzywiła się z bólu, wzięła głęboki

oddech i spróbowała ponownie.

– Dziękuję, Piotrze, że nam pomogłeś.

– Mówić ci. – Kiwnął głową z wyraźną dumą. – Ja obiecać.

Yukiko podpełzła po śliskiej od krwi skale do Buruu, oparła się o jego bok i wsunęła palce między pióra u nasady jego czaszki. Tygrys gromu wzdrygnął się, zamrugał i spojrzał na nią oczami z tak rozszerzonymi źrenicami, że tęczęwki były ledwo widoczne.

Obróciła się powoli w stronę Piotra, obawiając się, że lada chwila głowa zsunie się jej z ramion i spadnie na ziemię. Bóg gromu uderzał w swoje bębny. Huk kolejnych uderzeń piorunów wibrował jej w skroniach i przebiegał nieprzyjemnym dreszczem wzdłuż kręgosłupa.

– Komu obiecałeś?

– Więzień – odparł.

Zamrugła, żeby strząsnąć z rzęs krople deszczu, i zmarszczyła brwi.

– Tym, którzy wzięli cię jako jeńca? Kitsune? Samurajom?

– Nie, nie. – Mężczyzna westchnął z irytacją. – Nie ja na więzień. My na więzień trzymać. Tam. – Wskazał palcem orientacyjny kierunek, w którym znajdowała się farma piorunów. Nagle jego zdrowe oko się rozjaśniło. – Gildia! – Strzelił palcami, ciesząc się, że przypomniał sobie właściwe słowo. – Gildia!

– Członek Gildii? – Yukiko przypomniała sobie zniszczone statki Gildii rozbite na skałach na skraju Wysp Kłów. Spłaszczony mosiężny hełmy zdobiące zbroję Katji. – Członka Gildii, który się tu rozbił?

– Da, da – przytaknął Piotr. – Naprawić mnie. Naprawić noga. Ja chodzić. – Wskazał metalowe obręcze na nodze i przesłonięte bielmem oko. – On więzień dla nas. Mój wypadek upaść. Noga zmiażdżyć. Twarz, da? On mnie naprawić. Życie dla mnie uratować. Nauczyć mnie shimański. Piotr też przyjaciel, da? Być przyjaciel. – Westchnął ciężko. – Jak dać obietnica, jak Zriaczije go zabrać.

– Obietnicę?

Gaijin wyjął zza pazuchy wytarty skórzany pokrowiec, zgarbił się, aby osłonić go od deszczu, po czym wyjął ze środka kawałek papieru.

– Zabrać z powrotem. – Piotr dotknął najpierw swojej piersi, a

następnie papieru. – Zabrać z powrotem dla Shima. On za uratować życie dla mnie. Dobry człowiek. Był dobry.

Papier był mocno pomięty, nieco zawilgotniały i cały pokryty kształtnymi czarnymi znakami kanji. To był list! List napisany przez członka Gildii, z którym zaprzyjaźnił się Piotr. Yukiko szybko przebiegła wzrokiem tekst, usiłując się skupić na literach. W miarę jak odczytywała kolejne zdania, w jej piersi wzbierał ołowiany żal.

Ukochana!

Wiem, że nigdy więcej już nie ujrzę Twej twarzy: ani kryjącej ją skóry, ani miękkiego ciała. Ale samojej wspomnienie ogrzewa mnie w chwilach, gdy wszystko inne ogarnia zima i gdy gaśnie wszelka nadzieja.

Zostałem pojmany – przez gaijinów. Nasz statek rozbił się – podczas burzy, tylko pięciu, z nas wyłowili żywych z wody. Teraz przetrzymują nas jako jeńców. Czekają do wiosny, kiedy sztormy ustąpią na tyle, aby można was było przewieźć do Morcheby, a potem dalej, na spotkanie Losu znanego chyba tylko bogom. Ale gaijin, który dostarczy ci ten list, jest moim przyjacielem – lepszym, niż na to zasługuję z racji życia, jakie dotąd wiodłem. Jeśli to czytasz, Piotr spełnił swoje przyrzeczenie wbrew wszelkim przeciwnościom. Traktuj go dobrze, ukochana.

Tak bardzo chciałbym cię wziąć w ramiona ten jeden, ostatni raz. oddałbym wszystko, żeby jeszcze raz móc cię przytulić i poczuć Twoje ciało przyciśnięte do mojego. Tak bardzo bym chciał, aby nasza córka знаła twarz swojego ojca. Chciałbym móc ją ujrzeć w całej jej doskonałości, zanim sztucznożyciowcy wpuszczą przewody w jej ciało i zamkną jej piękno w zimnym metalu. Chciałbym, dożyć dnia, w którym, maszyny zostaną usunięte ze skóry Shimy, kiedy mechalicydła zanikną już na zawsze, kiedy buntownicy zmienią Pierwszy Dom w kupę zwęglonych drzazg. Kiedy miłość taka jak nasza będzie mogła rozkwitać pod słońcem, a nie cierpieć w milczeniu w mosiężnych więzieniach.

Niestety, nic z tego nie będzie mi dane. Taki jest mój los. I za rolę, jaką odegrałem w świecie, który stworzyliśmy, nie zasługuję na nic lepszego. Niemniej jednak uważam się za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem, ponieważ dane mi było poznać Ciebie przez te kilka ulotnych chwil. Przyjmuję mój koniec z uśmiechem na twarzy i spokojnym duchem, ponieważ pomimo wszystkich moich przewin los uznał za stosowne obdarzyć mnie Tobą. A przecież nie marnował by takiego daru na kogoś, kto miałby być przeklęty. Może te kilka drobnych przysług, które oddałem buntownikom, wystarczy, aby Enma—o osądził mnie łaskawie.

Módl się za mnie, kochana ma. Módl się, aby Sędzia dziewięciu piekieł sprawiedliwie zważył me życie. Aby, kiedy przed nim stanę, nie patrzył tylko na to, co zrobiłem, ale też na to, co dzięki mnie stało się możliwe. Ja zaś będę się modlił za Ciebie i za wszystkich pozostałych. Będę się modlił, abyście dokończyli to, cośmy zaczęli, Śmierć Wężom. Kres Gildii. Wolność Shimy.

Kocham cię. Kocham cię wszystkim, czym jestem. (powiedz, proszę, naszej córce, że ją również kocham, wiedz, że w mych ostatnich chwilach będę wspominać Twoją twarz. Że gdy zaczerpnę ostatni oddech, zrobię to po to, aby wyszeptać Twoje imię. Misaki.

*Na zawsze
Twój, Takeo*

Po przeczytaniu listu Yukiko długo jeszcze wpatrywała się w kartkę, pozwalając słowom wnikać głęboko pod jej skórę. A więc to była prawda. Opowieść Ayane o ukrytej frakcji w Gildii. O armii buntowników równie oddanych sprawie co Kagé, starających się sprowadzić Gildię na kolana. To wszystko była prawda.

A ona sądziła, że ta dziewczyna kłamie, że jest szpiegiem.

„Tak samo gajjini podejrzewali mnie”.

– Śmierć Wężom? – wyszeptwała.

„Co to, na wszystkich bogów, mogło znaczyć?”.

– Muszę się stąd wydostać. – Złożyła starannie list, po czym przyłożyła

dłoń do tętniącej bólem skroni. – Muszę wracać.

– Wracać Shima? – Piotr odebrał od niej list i włożył go do skórzanego pokrowca z dziwną nabożnością. – Znaleźć miłość Takeo? Znaleźć Misaki-san?

– Hai – przytaknęła. – Znajdę ją.

Gaijin włożył pokrowiec do ręki Yukiko.

– Ty trzymać – powiedział. – Ty zabrać.

– Tak zrobię.

– Ty obiecać.

Yukiko się uśmiechnęła.

– Obiecuję.

Buruu obudził słodki, chłodny deszcz. W pierwszej chwili nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Słuchał tylko pomruku burzy, delektował się tańcem elektryczności na skórze i wspominał dni, kiedy całe jego życie tak wyglądało: wolność i swoboda czarnych chmur, łoskot gromu, wycie wiatru w jego skrzydłach.

Jego skrzydłach.

Metal jęknął głośno, gdy tygrys gromu dźwignął się na łapy. Smród śmierci wypełnił jego nozdrza, do świadomości przebiły się przebłyski bólu z miejsc, gdzie pazury i dziób pozostawiły głębokie ślady w jego ciele. Dopiero wtedy poczuł ciepło w umyśle; grzmiący, obeszwałniający gorący. Jej ramiona na jego szyi, jej twarz wtulona w jego pióra. Ścisnęła go tak mocno, że jej ramiona aż drżały.

„O bogowie, Buruu. Nic ci nie jest”.

NAJWYRAŹNIEJ.

„Tak bardzo cię kocham”.

Zamrugał i trącił ją lekko dziobem.

A JA CIEBIE.

„Już myślałam, że cię stracę”.

JA BYŁEM PRZEKONANY, ŻE JUŻ CIĘ STRACIŁEM.

„Nic nas już więcej nie rozdzieli, nic! Ani oceany, ani burze, ani całe

armie. Już zawsze będę przy tobie. Umrę przy twoim boku, Buruu”.

DZIEWCZYNO, ZROBIŁAŚ SIĘ STRASZNIE MELO-
DRAMATYCZNA.

„Złośliwiec”.

Uśmiechnął się w jej umyśle.

MIEJMY ZATEM NADZIEJĘ, ŻE DO TEGO NIE DOJDZIE.

Obejmowała go jeszcze długo, zdawałoby się – całą wieczność, nie mówiąc zupełnie nic. Gdy ostatecznie rozluźniła swój uścisk, przesunęła dłonią po uprząży wciąż zamocowanej do jego grzbietu, choć teraz niemiłosiernie porwanej i poplamionej krwią. Większość sakw przepadła wskutek wydarzeń ostatnich kilku dni – czy to podczas ataku Skraaia, czy w wyniku upadku, czy w trakcie walki tu, na splekanym czarnym szkle. Ale jedna jeszcze się trzymała. Buruu wyraźnie wyczuwał jej strach, drżenie palców, gdy sięgała do środka z nadzieją, której sama nie chciała żywić. Westchnęła głośno, gdy zacisnęła na tym palce i wyciągnęła z torby – mały cud w pochwie z lakierowanego drewna. Kształt, który Yukiko знаła równie dobrze, co odbicie własnej twarzy. Prezent, który dostała na dziewiąte urodziny.

– Moje tantó – wyszeptwała.

Prawie je straciła, tak jak prawie sama zatraciła się w nienawiści i wściekłości.

Podeszła na skraj wyspy i stała nieruchomo, smagana wiatrem, z arashitorą u boku, wpatrując się w rozkołysane fale oceanu. W prawej dłoni trzymała nóż, który dostała od ojca po śmierci swojego brata. Prezent od człowieka, który poświęcił wszystko, aby ją ochronić. Od człowieka, po którego śmierci nie odbyła żałoby, którego strata zadała ranę zbyt głęboką, aby do jej zaleczenia starczyły łzy. W lewej dłoni dzierżyła miecz otrzymany od Daichiego. Nagie, lśniące ostrze. Prośba starca, aby pielęgnowała swój gniew, aby pustkę po utracie ojca wypełniła wściekłością. Burza szalała wokół niej, a ona stała nieruchomo na nagiej skale. W czarnej wodzie obmywającej poszarpany brzeg wyspy Buruu wyczuwał wijące się cielska morskich smoków. Wpatrywały się w nią lśnącymi ślepiami i kołysały w rytm oddechu fal.

Wyczuwał jej rozterkę, tę ciężącą świadomość rzeczy, które ją czekały, i tego, czym się stała, czym była. Brzemień żalu, którego nigdy nie okazała, który dusiła w sobie, aż szerniał i zgnił, zupełnie niczym rak toczący serce Shimy. Nienawiść, której się kurczowo trzymała w przekonaniu, że to da jej siłę. Że to wystarczy. Że nie potrzebuje niczego więcej.

Uniosła katanę i wzięła potężny zamach, chcąc cisnąć miecz w morską kipieli, pozbyć się gniewu, który Daichi nazwał darem. Błękitno-biała błyskawica złożyła pocałunek na ciemnym niebie. Na dźwięk gromu zawahała się i trwała tak z wzniesioną nad głowę bronią. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, oddychała głęboko i wsłuchiwała się w wycie samotnych wiatrów. Ostatecznie opuściła powoli ramię i spojrzała na trzymane ostrza. Zamocowała pochwę do obi, schowała do niej miecz, a na koniec włożyła obok tantō. Nie jedno albo drugie, lecz światłość i ciemność, woda i ogień, miłość i nienawiść.

Razem.

Obróciła się, objęła szyję Buruu i płakała tak długo, aż wypłakała cały żal, aż poczęła trząść się na całym ciele, aż każdy kolejny oddech palił ją w płucach, aż skończyły się łzy w oczach. Aż jedyne, co pozostało, to stara rana, która w końcu zaczęła się goić, i wspomnienie mężczyzny unoszącego ją w górę w bambusowym lesie. Wspomnienie ust przyciśniętych do jej policzka i zarostu łaskoczącego ją w brodę.

„Będę przy tobie – powiedział wtedy. – Obiecuję”.

Wspomnienie, które w końcu przywołało uśmiech na jej twarzy.

Buruu przyglądał się Yukiko i gajjinowi buszującym w trzewiach metalowej ważki. Po pewnym czasie znaleźli ciężką skrzynkę w kolorze obumierających liści. Mężczyzna krzyknął z zadowoleniem i wyszczerzył zęby jak wioskowy głupek. Yukiko zajrzała do środka – skrzynia była pełna pobrudzonych smarem kluczy, śrubokrętów i palników, słowem: wszystkiego, co było potrzebne do naprawienia tego dziwnego pojazdu w przypadku awarii.

Wkrótce potem Buruu siedział i lizał swoje rany, a Yukiko z gajjinem

usiłowali doprowadzić jego metalowe skrzydła do stanu używalności: naprawiali porwaną uprząż, odginali i prostowali opalizującą ramę, wygładzali zmięte skrzydła i mocowali je do stelaża metalowymi sworzniami. I chociaż kiedy skończyli, po wdzięku konstrukcji Kina prawie nic nie pozostało, to gdy Buruu zamachał na próbę skrzydłami, pomimo głośnych protestów metalu poczuł silny opór powietrza. Może nawet wystarczający, aby mogli dolecieć z powrotem na Shimę.

Aby mogli wyruszyć ku wojnie, która tam na nich czekała.

Skoczył z wysuniętej skały i poleciał nad falami, czując pod skrzydłami szalejący sztorm, wsłuchując się w wycie wichru, które w jego uszach brzmiało jak najśłodszy szept kochanków. Pani Słońce wynurzała się zza krawędzi świata, zwiastując nowy świt. Yukiko stała na brzegu wyspy z wzniesionymi ramionami i krzyczała triumfalnie. Uśmiech na jej twarzy zdawał się być równie szeroki i promienny jak letnie niebo.

Po pewnym czasie okrzyki dziewczyny rozbudziły ogłuszoną samicę, która dźwignęła się na łapy, otrzepała z wody i rozłożyła skrzydła w szeroki wachlarz. Oczy wciąż miała jeszcze nieco zamglone otępieniem. Pierwsze promienie słońca oblały jej śnieżnobiałe futro szkarłatem. Arashitora zwróciła się w stronę bladego ciepła. Wiatr pieścił pióra na jej gardle i futro na jej bokach. Czarne pasy przypominały chmury przecinające niebo o zmierzchu.

Była wciąż tak majestatyczna, jak ją zapamiętał.

Yukiko sięgnęła do Buruu. Wyciągnęła w jego stronę dłoń i zmrużyła oczy, koncentrując się na opleceniu Przenikaniem zarówno jego, jak i samicy, wciągając ich oboje do swoich myśli. Buruu wyczuwał ścianę jaźni, którą jego przyjaciółka zbudowała w swoim umyśle. Czuł ból skaczący po powierzchni muru, przesiąkający przez szczeliny, przyprowadzający o dreszcze. Ale pomimo wszelkich przeciwności wciąż dostrzegał ciepło i spokój dające większe ukojenie niż jakikolwiek dom, który znał w całym swoim życiu.

Yukiko przemówiła do samicy, wysyłając myśli łagodne jak dłonie matki:

„Ciesz się, że się ocknęłaś. Czy z tobą wszystko w porządku?”. –BĘDE

ŻYŁA, YÓKAI-KIN-

Samica spojrzała ku Buruu w poprzek przestrzeni oddzielającej „kiedys” od „teraz”. Wpatrywała się w niego zwężonymi oczami, machając nerwowo ogonem na boki i drapiąc pazurami czarną skałę. Wyczuwał ją w miejscu, które Yukiko stworzyła dla nich w Przenikaniu; gorzki, postrzępiony gorąc w kącie ciepłego niczym krew pomieszczenia. Gdy przemówił, odwróciła się w jego stronę. Echo jego myśli odbijało się od ścian.

WITAJ, KAJU.

Zamrugła, ale zachowała milczenie. Yukiko wodziła zdumionym wzrokiem od jednego do drugiego, nie zważając na wiatr targający mokrymi strąkami jej włosów i smagający ją nimi w twarz.

„Zaraz... Wy się znacie?”

Samica parsknęła.

-BRATOBÓJCA MNIE NIE ZNA. A JA ZNAM GO AŻ ZA DOBRZE.-

Buruu wyczuwał ciekawość Yukiko – była jak płonący ogień. Ale jeszcze jaśniej gorzała chęć powrotu na Shimę i przekonania się, czy pozostała jeszcze jakaś szansa niedopuszczenia do ślubu Aishy i Hiro. Powrotu do ludzi, którzy na nią liczyli. Do burzy, która tylko czekała na jej wezwanie.

„Buruu powinien być już zdolny do lotu. Musimy wracać do naszego domu”

-WRACAJCIE.-

„Czy polecisz z nami?”

-PO CO?-

„Czeka nas wielka wojna, a dwa tygrysy gromu są lepsze niż jeden”.

-TWOJA WOJNA NIC DLA MNIE NIE ZNACZY. SHIMA TO PUSTKOWIE. NIE WARTO O NIĄ WALCZYĆ-

„Dlaczego zatem mi pomogłaś?”

-NIE TOBIE. IM.-

Yukiko zamrugła i przekrzywiła głowę na bok.

„Buruu i Skraaiemu? Ale przecież powiedziałaś, że...”

–NIE SAMCOM, MAŁPIA CÓRKO. NIECH MNIE RAIJIN PORWIE, JEŚLI MIAŁABYM POMÓC BRATOBÓJCY.–

„O kogo zatem ci chodzi? Kim są »oni«?».

–NAPRAWDĘ NIE WIESZ?–

Kaja spojrzała na Buruu z pogardą. Jej futro lśniło jak świeży śnieg.

–NIE CZUJESZ ICH, BRATOBÓJCO? NIE SŁYSZAŁEŚ ICH KRZYKU, KIEDY MAŁPI SYN UDERZYŁ JĄ W BRZUCH?–

Ołśnienie nadeszło niczym siarczasty policzek. Zrozumienie faktu tak oczywistego, że zastanawiał się, jak mógł tego dotąd nie dostrzec. Wszystko...

Wszystko nabierało sensu...

Poranne nudności Yukiko. Ciągłe zmiany nastroju niczym formacji piasku na smaganej wiatrem plaży. Gorąc i światło świata nasilające się wraz ze wzrostem jej siły. Brak możliwości odcięcia się od Przenikania. Coraz większa moc – dwukrotnie większa niż ledwie kilka miesięcy temu.

Yukiko spojrzała na niego niepewnie.

Nie, nie dwukrotnie.

Trzykrotnie.

YUKIKO...

„O czym ona mówi?».

–POWIEDZ JEJ.–

„O czym masz mi powiedzieć? Kim są »oni«?».

Buruu westchnął. Burza szalała nad ich głowami, światło błyskawicy zalśniło odbite w bezdennej czerni jej oczu. Dziewczyna, którą kochał nad wszystko inne na świecie. Dziewczyna, dla której ochrony był gotów uczynić wszystko. Byle tylko oszczędzić jej choćby sekundy bólu.

Ale przed tym bólem nie mógł jej uchronić.

YUKIKO...

„O bogowie, nie...”.

Westchnięcie zrodziło się w samym środku serca.

YUKIKO, JESTEŚ W CIĄŻY.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami, powoli kładąc dłonie na

brzuchu.

„Nie oni... one?”.

TAK.

Kiwnął głową.

BLIŻNIĘTA...

Yukiko opadła ciężko na kolana, chwyciła się za brzuch i wpatrywała niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Gaijin przyklęknął przy niej i zapytał, czy się dobrze czuje. Była blada jak sama śmierć. Jedną rękę oparła na czarnym szkłe, jakby się obawiała, że świat zaraz spod niej ucieknie.

Co w zasadzie właśnie się działo, w aż nazbyt rzeczywisty sposób, jak uznał Buruu.

KAJU, POMÓŻ MI Z NIĄ.

–NIE ODZYWAJ SIĘ DO MNIE.–

Rozejrzał się po okolicznych wypach, powiódł wzrokiem po wieżach z zaśniedziałej miedzi, spojrzął na odarte ze skóry i pokrwawione ciało nomady, na porwanych na strzępy gaijinów. Ta okolica znajdowała się całe dni lotu od Wiecznoburzy i była upstrzona małpimi dziećmi jak kundel pchłami. Wyspy, które były domem arashitor, znajdowały się wiele mil stąd. Dlaczego ona tu przyleciała? Dlaczego nie była...

DLACZEGO JESTEŚ TU ZAMIAST Z KOUU?

Samica nastroszyła pióra na karku i postąpiła krok naprzód z głośnym warczeniem.

–WYMÓW JEGO IMIĘ JESZCZE RAZ, A CIĘ ZABIJĘ.–

Buruu zerknął na Yukiko, wciąż tkwiącą nieruchomo z jedną dłonią wspartą na skale, a drugą przyciśniętą do brzucha. Dziewczyna oddychała ciężko przez otwarte usta.

ZARYZYKOWAŁAŚ ŻYCIE, ABY OCALIĆ TE NIENARODZONE DZIECI.

Ruszył w jej stronę, wyzwalając z gardzieli Kai głośniejszy warkot.

DLACZEGO? ARASHITORY NIE DBAJĄ O MAŁPIE DZIECI.

DLACZEGO, KAJU?

–DOŚĆ JUŻ ŚMIERCI MŁODYCH. MAŁPICH DZIECI CZY

INNYCH. NOWORODKÓW CZY JESZCZE NIE-
NARODZONYCH. NIGDY WIĘCEJ .-

GDZIE TWOJE MAŁE, KAJU? GDZIE TWÓJ PARTNER?

- OD TWOJEGO ODLOTU WIELE SIĘ ZMIENIŁO,
BRATOBÓJCO.-

Wyczuł w Przenikaniu straszną żalność, rzekę zbyt głęboką i zbyt
rwącą, żeby Kaja zdołała ją przed nim ukryć.

-WIELE STRACILIŚMY.-

TORR?

-TAK.-

OJCZE, RATUJ...

-DLA NAS JEST JUŻ ZA PÓŹNO NA RATUNEK.-

DOŁĄCZ DO NAS. POLEĆ Z NAMI.

-DLACZEGO?-

Wskazał łbem Yukiko.

DLA DZIECI W JEJ BRZUCHU, DLA KTÓRYCH RATUNKU
POŚWIĘCIŁAŚ WSZYSTKO, CO MIAŁAŚ. SAM ICH NIE
ZDOŁAM OCHRONIĆ.

-JEŚLI NIE POTRAFISZ ICH OCHRONIĆ, NIE ZACZYNAJ
WALKI-

LECEŃ TAM, GDZIE ONA PODAŻA. A ONA BĘDZIE
WALCZYĆ DO OSTATNIEGO TCHNIENIA.

Kaja przyjrzała się dziewczynie z czymś niemal przypominającym litość
w oczach. Fale roztrzaskiwały się o ostre skały, ich huk i syczenie
splatały się z pieśnią wygrywaną przez ojca arashitor na swoich bębnach.
Przeniosła wzrok na wzburzony ocean i nabrała potężny haust powietrza
prześiąkniętego zapachem soli, rdzy i krwi.

KAJU, SAM TEMU NIE PODOŁAM.

-POWIEDZIAŁAM NIE, BRATOBÓJCO.-

Zarzuciła łbem, strżając z piór krople deszczu. Jej oczy były pełne
zbyt długo skrywanej udręki. Wpatrywali się w siebie nawzajem w
milczeniu, a Pani Słońce pięła się po wschodnim niebie. Zamglony
błady dysk skryty za kłębiącymi się chmurami. Świt okazał się niewiele

jaśniejszy od nocy, prawie jakby pani Amatera – su w ogóle nie przebudziła się ze swego snu.

Ale przecież wstała, tak jak to czyniła każdego dnia od zarania dziejów, tak jak to będzie czyniła aż po kres świata. Co pewien czas, gdy pędzone wiatrem chmury przesuwają się względem siebie, szary horyzont przecinała smuga światła i na krótką chwilę, nie dłuższą niż jedno uderzenie serca, świat się rozjaśniał. W tej krótkiej chwili promienie słoneczne muskały nieustannie padające krople deszczu i przemieniały je w tysiące diamentów lśniących niczym spadające z nieba zagubione gwiazdy. Padały na brzegi okolicznych wysp śliskich od czerwonych pocałunków oceanu i tańczyły na ostrych krawędziach skał niczym rozedrgane płomienie pływające w rytm wyśpiewywanej przez Fujina pieśni wiatru. Nawet tu, nawet teraz.

Nawet w najmroczniejszy dzień świat potrafił być piękny. Nawet jeśli tylko na krótką chwilę.

Czuł dzieci w brzuchu Yukiko – dwie maleńkie iskry życia, bezkształtne i niesamowicie jasne, splecione nierozzerwalnie z biciem jej serca. Pulsowały rytmicznie, jeszcze zbyt małe, aby wiedzieć, co to prawdziwy strach, ale jednocześnie wystarczająco świadome, aby rozpoznać w Przenikaniu szok, przerażenie i żal matki. Jej lęk udzielał się i jemu – lęk o nie; o tę, która nosiła je w sobie; o bijące, krwawiące serce tego świata.

Wiedział dobrze, że Kaja też to wszystko czuła.

PROSZE.

Kaja zaryczała nisko, gardłowo i zaczęła smagać się ogonem po bokach.

–NIE. NIE BĘDĘ WALCZYŁA DLA CIEBIE.–

Buruu pochylił głowę i odetchnął głęboko. Na języku poczuł znajomy smak porażki. Nie mógł nic zrobić, nic powiedzieć. Czuł ból w sercu Kai. Ból, który zaprowadził ją aż na ten niegościnniej brzeg. Żal zbyt ogromny, aby można było objąć go wzrokiem. Małe, cenne, kochane.

Przepadły.

Zabrane.

Kaja podeszła do Yukiko i przyklękła przed nią na przednich łapach.

Dziewczyna spojrzała na nią oczami pełnymi lęku. Minęły całe wieki wśród szalejącej burzy, wyjącego wiatru i siekącego deszczu, zanim w końcu tygrysica gromu przysunęła się do Yukiko i przyłożyła łeb do jej brzucha. Nasłuchiwała.

Tarcza słońca wysunęła się zza chmur.

Tylko na krótką chwilę.

-ALE BĘDĘ WALCZYŁA DLA NICH.-

I wtedy deszcz wokół nich ponownie zamienił się w lecące z nieba diamenty.



Stuk-tuk. Stuk-tuk.

Rytm wybijany na torach przez koła pociągu zlewał się w jedno z rytmem w jego piersi, z tym widmowym tętnem mechanicznie klekoczącym w głowie. Kin przyglądał się krajobrazowi przesuwającemu się za oknem przedziału: całe mile pól lotosu, potężne sześciorogie sylwetki żniwiarzy ścinających rośliny z taką łatwością, jakby były zrobione z tego samego dymu, który nieustannie unosił się ku szkarłatnemu niebu.

Pociąg był przeładowany. Jechali nim głównie sararłmeni z rodzinami. Matki, dzieci i ojcowie ściśnięci w małych metalowych skorupach, pędzący wzdłuż torów do wspaniałej stolicy szogunatu Shimy. Wieść, że Kigen przywróciło ruch kolejowy, aby umożliwić wszystkim pragnącym złożyć najlepsze życzenia długiego pożycia daimyo klanu Tygrysa i jego narzeczonej, spotkała się z powszechnym zainteresowaniem. Podekscytowani ludzie z całego kraju zmierzali do stolicy Tora, aby wziąć udział w świętowaniu i może choć przez chwilę spojrzeć na człowieka, który miał zostać nowym szogunem.

Stuk-tuk. Stuk-tuk.

„Taki przystojny”, szeptali. „Taki odważny”. Człowiek, który oddał

swoje prawe ramię w obronie Yoritomo-no-miyi. Człowiek, który niemal samodzielnie zdusił zamieszki inochi. Człowiek, który w chwili, gdy jego lud potrzebował go najbardziej, w obliczu wszechogarniającego chaosu wziął sprawy w swoje ręce i zaprowadził porządek. Człowiek, który w pełni zasługiwał na dostąpienie zaszczytu poślubienia ostatniej przedstawicielki rodu Kazumitsu. Człowiek, który mógł poprowadzić ten potężny, dumny naród ku nowej złotej erze.

A przynajmniej tak mówili w radiu.

Kin skrzywił się i wrócił wzrokiem do przesuwającego się za oknem krajobrazu. Usilnie starał się odciąć od zniekształconego głosu dobiegającego z wagonowych głośników. Zastanawiał się, ilu z otaczających go ludzi tak naprawdę wierzyło w propagandę Gildii. Jechali w takim ścisku, że ledwie mogli się poruszać. Smród potu i ogólny harmider mogłyby niejedną osobę przyprawić o ciężkie mdłości. A mimo wszystko jechali, pchani chęcią bycia świadkami historii, bycia częścią czegoś większego od nich. Chęcią ucieczki od codziennego znoju ich nudnych żyć, nawet jeśli miałyby to nastąpić na zaledwie jedno uderzenie serca. Przyciskali twarze do szyb i patrzyli na doskonałość, której sami nigdy nie doświadczą.

Przepełnienie pociągu miało przynajmniej jedną zaletę: Kin nie musiał rozmawiać z pozostałymi Kagé. Byli rozproszeni po całym składzie, aby nie przyciągać najmniejszej uwagi. Daichi, Kaori i jeszcze z tuzin innych. Tylu wojowników, ilu tylko mogli wysłać, nie osłabiając nadmiernie sił obronnych osady. Kin wiedział, że wśród nich są Isao, Takeshi i Atsushi. Cała trójka jednak trzymała się z dala od niego i oszczędziła mu tym razem nienawistnych spojrzeń i obelg.

Gdy szli przez las do Yamy, Ayane odezwała się do niego szeptem, wtulając się w ramię, którym ją obejmował.

„Nie powiedziałeś Daichi-samie, co się stało, prawda?”

Dziewczyna patrzyła na niego z udręczonym wyrazem twarzy.

„Nic by go to nie obeszło. Ale nie martw się, Ayane. Wszystko będzie dobrze”.

Stuk-tuk. Stuk-tuk.

„Będzie wręcz wspaniale”.

Spojrzał na nią teraz, wyglądającą razem z nim przez okno. W jej dużych, ciemnych oczach odbijała się zieleń pól i szarość zachmurzonego nieba. Tkwiła wciśnięta we wgłębienie między siedzeniem a ścianą wagonu. Kulę z mechanicznymi kończynami na jej plecach maskowały obszerna peleryna i zamocowany na ramionach słomiany kapelusz z szerokim rondem.

Kin wspomniał swoje spotkanie z Daichim, przyciszone głosy nad szachownicą, gdy wyłuszczał swój plan, który miał przynieść kres wszystkiemu. Gdy patrzył w oczy starca, który roztrząsał dostępne możliwości, prawie było mu go żal. Prawie bał się, co to będzie oznaczać i gdzie ich wszystkich zaprowadzi.

Prawie.

Stuk-tuk. Stuk-tuk.

Ale wtedy przywołał przed oczy obraz pobitej i zakrwawionej Ayane zwiniętej w kłębek w kącie pokoju. Przypomniawszy sobie, jak się trzęsła jeszcze przez wiele godzin po przejściu trzęsienia ziemi, jak budziła się w nocy z krzykiem i wpatrywała w przestrzeń aż po świt, bojąc się ponownie zasnąć. Wtedy zdał sobie sprawę, że cały czas wiedział, jak to wszystko się skończy. Przecież Inkwizytorzy mu to ukazali.

Trzyście lat. Płuca wypełnione słodkim sinoczystym dymem. „To, co nadejdzie” ukazane mu w całej krasie. Przyszłość, której – jak już teraz wiedział – nie zdoła uniknąć, choćby nie wiadomo jak bardzo się starał. Choćby nie wiadomo jak bardzo próbował przed nią uciec. Choćby nie wiadomo jak głęboko w ziemi się zakopał i jak gorąco się modlił.

Stuk-tuk. Stuk-tuk.

Stuk-tuk. Stuk-tuk.

Stuk-tuk. Stuk-tuk.

Ayane nie chciała puścić jego ręki.

Wysiedli razem z Cieniami z pociągu na stacji Kigen, łatwo wtapiając

się w falujący tłum spowity dławiącymi oparami. Dworzec był tak naprawdę tylko kilkoma szerokimi betonowymi peronami poplamionymi czarnym deszczem, otoczonymi ogrodzeniem z drutu kolczastego i rdzewiejącymi szkielecikami starych wagonów. Majestatyczna sylwetka „Szybującego Pałacu” unosiła się nad Kigen niczym drugie słońce. Niżej, na poczerniałych wodach zatoki, kołysały się żaglowce klanu Smoka. W oddali słychać było rafinerię: parowe gwizdki, syk dymu unoszącego się gęstymi kłębam ku niebu skąpanemu w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

Kin i Kagé sprawnie się przemieszczali ulicami, niczym cienie sunące wśród ludzkiej cizby. Mieszkańcy stolicy już świętowali. Z każdej pijalni sake, każdej noclegowni i każdego burdelu Dołu dobiegały donośne odgłosy alkoholowych ekscesów. Ślub na najwyższych szczeblach władzy – nawet taki zorganizowany naprędce – zwykł trwać co najmniej kilka dni. Tradycja nakazywała, żeby państwo młodzi zebrali się razem z rodziną i przyjaciółmi w dzień przed zaślubinami, aby dopełnić rytuału pożegnania. Przysięga małżeńska miała zostać złożona następnego ranka, gdy tylko bogini słońca rozświetli linię horyzontu.

Zakładając, oczywiście, że nic nie zakłóci uroczystości.

– Wszystko w porządku, Kin-san? – zapytał Daichi przez ramię, wystukując na kamieniach bruku równy rytm swoją nową laską.

– Wszystko w porządku, Daichi-sama.

– Trzymajcie się blisko mnie – wychrypiął starzec. – Miejscowi Kagé mogą nie być do was przyjaźnie nastawieni.

Kin zerknął na Ayane i napotkał spojrzenie jej rozszerzonych strachem oczu.

– Tak dla odmiany – wymamrotał pod nosem.

Kilkakrotnie wracali po własnych śladach, aby upewnić się, że nikt ich nie śledzi. Kaori i pozostali szli innymi trasami. Na koniec stanęli przed zaniedbanym domem w zachodniej części Dołu, nieopodal rurociągu. Daichi zastukał cztery razy w drzwi, odkasznął, uniósł chustkę do ust, splunął czarnym śluzem na bruk i potarł pierś z grymasem bólu na twarzy. Kin rozejrzał się po ulicy. Przyglądał się uważnie każdemu

zebrakowi, każdej ulicznicy, każdemu pijakowi zataczającemu się w drodze z jednego baru do innego. W żołądku czuł trzepoczące skrzydła żelaznych motyli, ręce miał złane potem, palce splecione z drżącą dłonią Ayane.

Po chwili drzwi stanęły otworem i pojawiła się w nich niska, żylasta kobiecina. Rzuciwszy szybko wzrokiem na zebranych na ulicy, dała im znak, aby weszli do środka. Miała na sobie ciemne ubranie. Włosy zebrała w pojedynczy warkocz. Nad oczami nie został jej już ani jeden włoszek brwi. Skóra całej jej twarzy była lekko zaróżowiona i dziwnie lśniąca, jakby niedawno doznała poparzeń.

– Daichi-sama. – Kobieta ukloniła się nisko. – Zaszczycasz mój dom swoją osobą.

– Szary Wilku. – Daichi okrył pięść dłonią i również się skłonił. – To jest Kin-san, a to Ayane-san.

Świdrujące spojrzenie staruszki zdawało się przebijać Kina na wylot.

– Z Gildii...

– Ręczę za nich – szybko dodał Daichi. – Zaryzykowali więcej niż większość, żeby tu dziś z nami być.

Kobieta przygryzła policzek, po czym odwróciła się i poszła wąskim korytarzem. Daichi ruszył za nią, mocno utykając. Kin i Ayane podążyli w ślad za nim. Minęli zagraconą kuchnię, w której do żeliwnego zlewu skapywała krew rozwieszonych nad nim trupów- szczurów, a następnie zeszli po kręconych drewnianych schodach do piwnicy budynku. Na blacie dużego dębowego stołu rozpostarto mapę Kigen, na której rozstawiono pionki i figury z trzech, może czterech różnych zestawów szachów. Niedaleko schodów Kaori rozmawiała z mężczyzną rozmiarów niewielkiej szopy. Wokół nich stały dziesiątki innych: młodych i starych, mężczyzn i kobiet, a nawet dzieci. Gdy Daichi pokonał schody i stanął na posadzce, wszyscy jak jeden mąż przerwali przyciszone rozmowy i spojrzeli na niego, aby po chwili okryć dłońmi pięści i się uklonić. W oczach zebranych wyraźnie można było dostrzec nieklamany podziw i ulgę.

– Przyjaciele – powiedział z uśmiechem starzec. – Bracia, siostry.

– Ojcie. – Kaori wskazała stojącego przy niej olbrzyma. – To jest przyjaciel Yukiko, Akihito-san.

– Daichi-sama. – Wielkolud podszedł do przodu, mocno utykając, i pokłonił się nisko. – Słyszeliśmy, że odniosłeś poważne rany. Cieszymy się, że jesteś tu dziś z nami.

– Akihito-san – przywitał go Daichi lekko drżącym głosem i poklepał po ramieniu. – Yukiko-chan często o tobie wspominała.

– Jak się miewa? Spodziewałem się, że przybędzie z wami.

Po sali przebiegł zgodny pomruk, wszyscy obecni poczęli kiwać głowami.

– Tancerkę burzy zatrzymały ważne sprawy na północy – wtrącił Kin.

– Jestem pewien, że cały czas myśli o nas – podjął Daichi, starając się tak sformułować swoją wypowiedź, żeby nie kłamać wprost. – Ale ona sama nie zdoła cofnąć tego kraju znad krawędzi przepaści. Gdy pokłada się zbyt dużą wiarę w możliwości jednej osoby, czy będę to ja, tancerka burzy czy ktokolwiek inny, traci się, moi drodzy, wiarę we własną siłę. Każdy z nas musi zaryzykować wszystko, co ma, ponieważ każdy z nas ma to samo do stracenia, jeśli nam się nie powiedzie. – Zakaszła i otarła usta wierzchem dłoni. – Wszystko.

Daichi powiódł wzrokiem po zebranych, każdemu spoglądając prosto w oczy. Kin dostrzegł w ich spojrzeniach te same niepewność, desperację, a nawet strach, które nie dawały mu cały czas spokoju. Widzieli wyraźnie słabość starca: jego pogorszony stan zdrowia, laskę do chodzenia i dłoń przyciśniętą do poobijanych żeber.

– Miejcie nadzieję, bracia i siostry – powiedział Daichi. – Będziecie mogli opowiadać potem swoim dzieciom, że byliście tu dzisiaj. Teraz, kiedy przybliżamy się o kolejny krok do zrzucenia jarzma narzuconego nam przez handlarzy chi i wyzwolenia naszego kraju raz na zawsze. Zwiastujemy nadejście świtu po najciemniejszej ze wszystkich nocy. Wnosimy blask ognia do wszystkich ciemnych zakamarków świata. Oni ciągle powtarzają, że lotos musi kwitnąć. My mówimy, że musi płonąć.

– Płonąć – nadeszła wymamrotana pod nosem niepewna odpowiedź.

Daichi obliznął wargi i jeszcze raz powiódł lodowatym wzrokiem po

zebranych członkach Kagé.

– Chcę to usłyszeć jeszcze raz – powiedział podniesionym głosem. – Lotos musi płonąć.

Tym razem odpowiedziało mu więcej głosów, głośniejszych:

– Płonąć.

Daichi potrząsnął głową i przemówił jeszcze twardszym głosem, w którym pobrzmiwał brzęk stali:

– Powiedzcie to, jakby od tego zależało wasze życie.

Teraz wszyscy obecni w piwnicy przemówili jednym głosem. Wszyscy poza Kinem i Ayane.

– Płonąć.

Daichi krzyczał, czerpiąc od nich siłę i obdarzając ich swoją, tworząc doskonałe koło ognia, woli i wściekłości:

– Powiedzcie to, jakbyście byli wszystkim, co stoi na drodze ostatecznej zguby naszego kraju!

– Płonąć!

– Zniewolenia waszych dzieci!

– Płonąć!

– Kresu wszystkiego, co znacie i kochacie!

– PŁONAĆ! – wykrzyknęli, dobywając głos z głębi siebie, wygrazając pięściami niewidzialnemu wrogowi. – PŁONAĆ!

– I tak się właśnie stanie.

Starzec kiwnął głową i przyjrzał się figurom szachowym rozstawionym na mapie. Podniósł czarną cesarzową i przestawił ją na rafinerię chi.

– Spalimy wszystko do gołej ziemi.

Kin przyglądał się w milczeniu, jak starzec podzielił Kagé na niewielkie grupy i wyznaczał im zadania: przygotowanie zasadzek na ulicach, atak na pałac, opanowanie mostów i tak dalej. Miejscowi wydawali przybyszom kusarigamy, okute żelazem tetsubo, kije bojowe, toporne noże. Daichiemu dostała się stara katana w mocno znoszonej pochwie. Na koniec wszyscy zawiązali chustki na twarzach i nasunęli runda kapeluszy nisko na zwężone oczy. Ostatnie objęcia, pocałunki na pożegnanie, uściski rąk, pusta brawura dźwięcząca w nerwowym

śmiechu. W piwnicy znaleźli się ludzie z różnych ścieżek życia. Choć dzieliło ich wiele, od różnic silniejsza była łącząca ich nienawiść do tego, czym Kin niegdyś był.

Do tego, przed czym wciąż mógłby próbować uciec.

Ayane przytuliła się do niego, cały czas ściskając kurczowo jego dłoń.

Było już zbyt późno na odwrót, zbyt późno na cokolwiek. Figury zostały rozstawione i parły nieuchronnie ku konfrontacji. Spoczone dłonie ściskały prowizoryczne granaty z chi. Pomyśleć tylko, że oni naprawdę wierzyli, iż może im się udać. Pomyśleć, że ktokolwiek mógł być przekonany, iż z tej sytuacji jest jakieś wyjście niekończące się pewną śmiercią. Byli gotowi stawić czoła kolosowi z żelaza i dymu, który w tej chwili może właśnie rozprostowuje kończyny, odpala silniki i wznosi ramiona zakończone wielkimi piłami łańcuchowymi, przesłaniając tarczę księżyca.

Nie można było z tym walczyć, nie w ten sposób. Ta zbieranina nie miała najmniejszych szans w starciu z Miażdżycielem...

– Ty jesteś członkiem Gildii, który był z Yukiko.

Kin zamrugał i przegonił swoją wizję, aby spojrzeć na stojącego przed nim olbrzyma. Akihito zlustrował chłopaka od stóp do głów. Góra wyrzeźbiona ze skóry i mięśni, beznamiętny wyraz twarzy, potężne ramiona skrzyżowane na szerokiej piersi.

– Byłeś na „Dziecięciu Gromu” – stwierdził.

– Zgadza się – odparł Kin.

– Mówią, że pomogłeś jej uciec. Że zbudowałeś metalowe skrzydła, aby arashitora mógł ją ponieść na swoim grzbiecie.

– Tak było.

Wielkolud wpatrywał się w niego hardym spojrzeniem oczu czarnych i zimnych jak krzemień. Kin czuł na sobie palące spojrzenia innych. Po szyi ściekały mu kropelki potu. Powoli, z rozmysłem Akihito wyciągnął w jego stronę dłoń szeroką jak łopata.

– Zatem przyjmij moje podziękowania. I jeśli się zgodzisz, chciałbym móc nazywać cię moim przyjacielem.

Kin rozejrzał się po pomieszczeniu. Napotkał nieprzyjazne spojrzenia i

wydęte usta. Piwniczne powietrze było tak mocno przesiąknięte ich nieufnością, że mógłby ją zeszkrobywać paznokciami. Przeniósł wzrok z powrotem na olbrzyma, potem na wyciągniętą rękę. W ustach mu zaschło i język przykleił się do zębów.

– Nie jestem przekonany, że chciałbyś mieć kogoś takiego jak ja za przyjaciela, Akihito-san.

Nachylony nad rozłożoną na stole mapą Daichi pochwycił spojrzenie Kina i dał mu znak, aby do niego podszedł. Kin uklonił się przepaszająco olbrzymowi i podszedł do starca, który poprosił go o ponowne omówienie z grupą uderzeniową rozkładu rafinerii. Chłopak spojrział na oddział Cieni, który miał się wślizgnąć między szczelinami do trzewi budowli Gildii i wzniecić wielki pożar. Tuzinowi mężczyzn przewodziła Kaori. Miała ich doprowadzić do samego serca rafinerii i zamienić ją w dymiące pogorzelsko. W tym czasie pozostali Kagé mieli rozproszyć się po mieście i odciągnąć strażę od kapituły oraz pałacu, wywabić ludzi szoguna i Gildii, tak aby opuścili swoje twierdze i ruszyli zaprowadzać porządek na ulicach.

Daichi miał nadzorować atak Cieni na pałac klanu Tygrysa. Towarzyszyć mu miała tylko garstka szybkich, sprawnych ludzi. Chcieli się przekraść pod osłoną ogólnego chaosu do pałacowych wnętrz i wykraść panią Aishę z jej ślubnego łóża. Kin spojrział na tych Kagé, którzy mieli strzec ich generała – młodych i zawziętych niczym dzikie tygrysy. Były to twarze chłopców, którzy usiłowali go zabić. Którzy skrzywdzili Ayane.

Isao. Atsushi. Takeshi.

Nawet nie próbowali się kryć ze swoją nieufnością. Wodzili tylko wzrokiem od metalowych gniazd na jego nadgarstkach do bladej dziewczyny lgnącej do jego ramienia. Ślady jej ataku wciąż były doskonale widoczne na ich ramionach. Z pustych, wręcz szalonych oczu biła żądza zemsty.

Daichi poklepał Kina po plecach. Znak wsparcia i wiary wbrew wszystkiemu. W ten sam sposób pokrzepiał go jego ojciec w warsztacie. Kiedyś, dawno temu, zanim jeszcze w głowie chłopaka zrodziły się myśli

o buncie, zdradzie, rewolucji. Zanim jeszcze wiedział, co te słowa w ogóle znaczą.

Kin rozwinął na stole narysowaną ręcznie mapę systemu kanałów ściekowych pod rafinerią, wziął tuzin figur szachowych i zaczął ponownie objaśniać swój plan: podejście, dostanie się do środka, zabezpieczenia, ochronę, plany awaryjne. Uwzględnił każdy możliwy detal, każdą możliwą ewentualność. Wielokrotnie omawiał z Kaori sposób działania prowizorycznych ładunków wybuchowych, szczegółowo objaśniając, jak je uzbroić i gdzie umieścić, aby osiągnąć jak najlepsze rezultaty.

– Wybuch będzie wystarczająco silny, aby uszkodzić rdzeń rafinerii i odciągnąć ich żołnierzy – stwierdził. – Ale do tego celu musicie umieścić ładunki na zbiornikach z katalizatorem na poziomie drugim. Jeśli umieścicie je w innym punkcie linii produkcyjnej, możecie doprowadzić do reakcji łańcuchowej, która w efekcie spowoduje zapłon w magazynach chi.

– No i? – zapytała Kaori. – Im więcej spowodujemy szkód, tym lepiej.

– No i w tych zbiornikach jest blisko pięćdziesiąt tysięcy galonów chi. Jeśli dotrze tam choćby iskra, razem z nimi z powierzchni ziemi zniknie większość Kigen. Musicie wysadzić zbiorniki na poziomie drugim, nie ma innej możliwości.

Kaori się skrzywiła.

– Powinieneś iść z nami – zauważyła. – Znasz ten budynek lepiej niż ktokolwiek z nas. To miasto jest niczym ropiejący wrzód, ale nie mam zamiaru wysadzić go do wszystkich piekieł.

– Nie jestem wojownikiem. – Kin pokręcił głową. – Bitwa z onimi była tego najlepszym dowodem. A wierz mi, tam w środku będziesz potrzebowała wojowników. Nawet jeśli odciągnie się ich żołnierzy, w środku wciąż będzie mnóstwo lotosowców. Będziecie musieli wywalczyć sobie drogę na wolność.

– Tak czy owak, przydałbyś się nam.

Kin poczuł, jak Ayane chowa się za nim i wtula w jego plecy. Ręka dziewczyny wślizgnęła się z powrotem do jego dłoni. Wspomniał jej

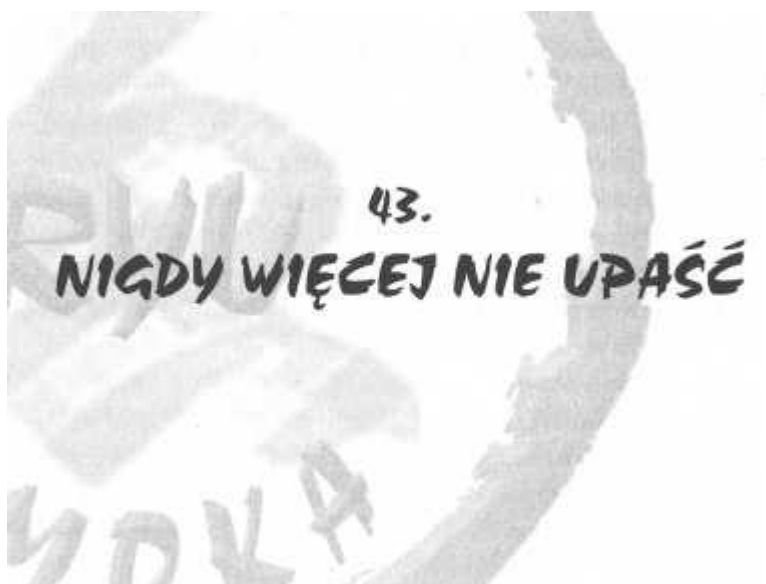
szloch w ciemnościach.

Smak jej łez.

Echo jej głosu.

„Nie ma tu miejsca dla nas”.

– Trzymajcie się planu – powiedział. – Ja będę bardziej potrzebny gdzie indziej.



Michi siedziała samotnie w ciemności. Jedynym światłem w komnacie była płonąca na parapecie czerwona świeca. Nasłuchiwała złowrogiego stukotu odnóży mechanicznych pajaków Gildii, ciężkich kroków bushich przychodzących ją aresztować albo – wbrew najgorszym obawom – cichego stąpania Nikt niosącej podrobiony klucz.

Nie doczekała się jednak ani jednego, ani drugiego, ani trzeciego.

Zapadła noc, a po jej współkonspiratorce nie było ani śladu i resztki nadziei powoli ją opuszczały. Gdyby Nikt była wciąż na wolności, znalazłaby sposób na przekazanie jej jakiejś wiadomości. Jeśli ją złapali, najpewniej była właśnie torturowana. Czy zdołają wycisnąć z niej coś oprócz krzyków? Czy zdradzi imię Michi?

Z całego pałacu dobiegały odgłosy przygotowań do wielkiej ceremonii: służący co rusz przebiegali pod jej drzwiami; to z jednej, to z drugiej strony słychać było uniesione głosy; gdzieś w oddali ktoś grał na jakimś instrumencie. Wyjrzała przez okno: na wszystkich balkonach wychodzących na ogród wisiały wielkie amulety z czerwonego jedwabiu. Z kuchennych drzwi buchał dym z palenisk. W ogrodzie dzieci jakiegoś wielmoży z klanu Fushicho bawiły się drewnianymi mieczami. Czy Kagé dopuściliby do tego? A Yukiko? Z pewnością byli już w drodze.

Może nawet w Kigen? A ona nic nie wiedziała na temat ich planów.

Była ślepa, głucha i niema.

„O bogowie, czuję się taka bezradna”.

Usiłowała odkręcić palcami śruby w suficie, gdy usłyszała stukanie mechanicznego pająka piętro wyżej przemierzającego wąskie przestrzenie, które kiedyś dla niej i jej koleżanek były po prostu kolejnym korytarzem. Spróbowała otworzyć zamek w drzwiach spinką do włosów, ale bez powodzenia. Na koniec uderzyła pięścią w ramę drzwi, zdzierając sobie skórę na kostkach dłoni, po czym zaczęła chodzić nerwowo po pokoju tak jak tygrysy uwięzione na terenach pałacowych. Oddychała coraz ciężiej, a serce łomotało jej w piersi.

– Płoń powoli – wyszeptwała sama do siebie. – Płoń powoli.

Ale nie potrafiła się uspokoić. To był ten moment, to była ta chwila, kiedy wszystko wisiało na włosku. Tu nie chodziło tylko o los Pierwszej Córki, klanu Tora i miasta Kigen. Tu chodziło o przyszłość całego kraju! Ślub miał tchnąć nowe życie w dynastię, która zniewoliła Shimę i oddała ją we władanie handlarzy chi. Kolejny potwór na tronie, kolejne stulecie zniewolenia, śmierci i dławiącego dymu.

Przykucnęła w kącie i poczęła rytmicznie uderzać głową w ścianę, podczas gdy resztką jej nadziei wydawała swe ostatnie tchnienie. Nikt nie przyjdzie. Odkryli jej udział w spisku. Wszyscy byli skończeni, tu i teraz, na chwilę przed wybiciem godziny, na którą tyle czekali. Zaciśnęła pięści. W ustach zaschło jej z nerwów. Szczęście było tak daleko...

Ktoś zapukał do drzwi. Uniosła wzrok akurat w tym momencie, gdy w zamku przekręcał się klucz. Odgarnęła włosy z twarzy i otarła szybko łzy frustracji. Wstała, zaciśnęła zęby i przygotowała się na ostatnią walkę z bushimi, którzy po nią przyszli. Równie dobrze mogła umrzeć tutaj. Ale na pewno nie wezmą jej żywcem.

Będzie stała twardo na nogach. Nie będzie się czołgać, już nigdy nie upadnie. Nigdy więcej.

„Nigdy więcej”.

Do komnaty wszedł mężczyzna, skinął bushim czekającym na korytarzu, po czym zamknął za sobą drzwi. Uśmiechnął się. W rękach

niósł duże pudło.

– Ichizo?

– Witaj, ukochana. – Sędzia wyciągnął pudło w jej stronę. Było wykonane ze szkarłatnego kartonu i przewiązane białą jedwabną wstążką. – Mam dla ciebie prezent.

Michi zamrugwała. Nie mogła się zdobyć na najmniejszy choćby ruch. Ichizo był ubrany w piękne krwistoczerwone kimono zdobione ryczącymi tygrysami. Włosy miał ułożone w staranne zwoje, spięte na czubku głowy czterema długimi złotymi szpilami. Łańcuchowe daishó przesunął na krzyż. Luminarz swojego klanu w całej okazałości. Jego usta przesłaniał złoty aparat oddechowy ukształtowany w pysk szczerzącego kły tygrysa. Ale z patrzących na nią znad niego oczu była jedynie troska.

– Płakałaś, Michi-chan?

– Nie, panie.

– Wyglądasz na zaniepokojoną.

– Czemu do mnie przyszedłeś?

Podał jej pudło. Michi przyjęła je z najwyższą ostrożnością, jakby miało zaraz stanąć w płomieniach.

– Otwórz.

Przez długą chwilę patrzyła na niego w milczeniu. Podniebienie wyszło jej bardziej od cmentarnej ziemi. Rozważała swoją sytuację. Przy obi Ichizo wisiał pęk żelaznych kluczy, na plecach było łańcuchowe daishó, a za drzwiami czekali bushi. Postawiła pudło na łóżku i rozwiązała kokardę. W środku była olśniewająca suknia junihitoe. Dwanaście warstw przepięknych szkarłatów i beżów haftowanych w filigranowe sylwetki tygrysów i ozdobionych maleńkimi klejnotami. Na niej leżało szerokie obi ze złotego jedwabiu – takie samo jak to, którym opasany był sędzia.

– Miałem nadzieję, że mogłabyś mi towarzyszyć podczas dzisiejszej uczy – powiedział Ichizo. – Przy moim boku, jako moja pani.

Oderwała wzrok od sukni i spojrzała mu w oczy.

– Dlaczego?

– Bo cię kocham, Michi-chan. Kocham cię całym moim sercem, całą moją duszą.

Patrzyła na niego w milczeniu, zapominając nawet o mruganiu.

– Przyniosłem ci coś jeszcze – dodał. – Tak na wszelki wypadek.

Wyciągnął zza obi mniejsze pudełko, nie większe od jego dłoni.

Gdy je od niego wzięła, w środku coś zagrzechotało. Wiedziała, co znajdzie w środku, jeszcze zanim skończyła zdejmować wieczko. Spodek wypełniony krwistoczerwonym woskiem, w którym odcisnięty był klucz do jej komnaty.

Nikt zawiodła.

– Znaleźliśmy to w domu twojej współpracownicy. To oraz ubranie pałacowej służki. – W głosie Ichizo nie było śladu gniewu. Tylko ból i głęboki smutek. – Wystarczy jedno moje słowo, a czekający na korytarzu bushi wejdą tu i zaciągną cię do więzienia Kigen.

– Zatem wymów je.

– Nie chcę tego robić, Michi-chan.

Podszedł do niej, oparł dłonie na jej ramionach i zajrzał głęboko w oczy.

– Twój spisek został udaremiony, ale ja wciąż mogę cię chronić.

– Dlaczego miałbyś to robić?

– Bo cię kocham. Niech bogowie przeklną głupca, kocham cię. I gdy patrzę w twoje oczy, wiem, że jakaś część ciebie kocha mnie.

–Ja...

– Czyż nie jestem dobrym człowiekiem? Czy cię kiedykolwiek źle potraktowałem? Czyż nie troszczyłem się o ciebie? Bogowie, nawet teraz łamię złożone przysięgi, zdradzam mojego krewniaka, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo. Kocham cię, Michi.

„To jest zbyt dobre, aby było prawdziwe...”.

– Nie wierzę ci – stwierdziła.

– Co miałbym na tym zyskać? A jak wiele mogę stracić?

– Kłamiesz. – Michi potrząsnęła głową. – Chcesz, abym zdradziła pozostałych, abym ci powiedziała, gdzie się zbierają, jak się nazywają, jak wyglądają...

– Nie dbam o tę waszą rebelię! – przerwał jej ostrym szeptem. Obejrzał się nerwowo na drzwi, za którymi czekali bushi. – Nie dbam o tron czy o nieboszczyka, który chce na nim zasiąść. Nie dbam o nic z tego. Gdy tylko zakończy się ceremonia zaślubin, możemy uciec, ty i ja. Tak daleko, jak tylko zechcemy. Mam pieniądze, znam ludzi, którzy są mi winni przysługi. Możemy zostawić to wszystko za nami.

Michi nie odpowiedziała. Stała tylko z otwartymi ustami, z trudem oddychając.

– Powiedz, że mnie nie kochasz – zażądał Ichizo. – Powiedz, że czegoś do mnie nie czujesz.

–Ja...

Zdarł aparat oddechowy z twarzy i chwycił ją za przeguby rąk.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie czujesz tego co ja. Gdy moje usta stykają się z twoimi, gdy szepczesz w ciemności moje imię. Powiedz, że nie ma nic między nami.

Poczuła łyzy spływające jej po policzkach. Dolna warga zaczęła jej drżeć, dłonie zadygotały. Ichizo wpatrywał się intensywnie w jej oczy, szukając w nich odpowiedzi na swoje pytania. Otworzyła usta, aby przemówić, ale nie znalazła słów. I wtedy mięśnie jej twarzy ją zdradziły i zupełnie się rozkleiła.

– Nie płacz...

Pocałował jej powieki, jedną po drugiej, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy wyznał jej miłość. Ujął jej twarz w dłonie delikatnie jak piórko.

– Znam cię – wyszeptał. – Wiem, kim naprawdę jesteś. Nie jesteś zdrajczynią. Nie jesteś Cieniem. Jesteś moją panią i moją miłością.

Runęła w jego objęcia, szukając wargami jego ust, wylewając potoki łez.

– Jesteś moją miłością...

Gdy ich usta się zetknęły, poczuła słony smak swoich łez. Przyłgnęła do niego całym ciałem i wtedy, przez krótką chwilę, ujrzała wszystko z wyrazistością, która zaskoczyła ją samą. Spokojne życie daleko od poczerniałych brzegów, życie dzielone z dobrym człowiekiem, który zaryzykował wszystko, aby tylko z nią być. Który kochał ją mocniej i

szczyrzej, niż Daichi, Kaori czy Aisha kiedykolwiek byliby zdolni. Przez chwilę ujrzała szczęście, na które już dawno porzuciła nadzieję. Tu, teraz, w jej ramionach. Wystarczy, że wypowie właściwe słowa.

Przycisnęła dłonie do jego policzków, przeczesała palcami jego włosy.

– Przykro mi, Ichizo... – wyszeptwała w jego usta.

Zacisnęła palce wokół jednej ze złotych szpil przytrzymujących jego włosy, po czym szybkim ruchem wyciągnęła ją z ciemnych splotów.

– Naprawdę mi przykro...

Wbiła szpilę tuż za uchem, poniżej zakrzywienia czaszki, i dalej – prosto w mózg. Przycisnęła swoje usta do jego, aby stłumić jęk, ten słaby okrzyk bólu. Otworzył oczy i spojrzał w jej, wypełnione łzami. Po chwili nogi się pod nim ugięły. Pochwyciła go, aby nie upadł, po czym ułożyła targanego ostatnimi konwulsjami na łóżku. Materac cicho zaskrzypiał, gdy wyciągnęła szpilę, zostawiając jedynie małą kropelkę krwi na jego skórze.

– Ale nie jestem twoją panią – wyszeptwała. – I nie jestem twoją miłością.

Wbiła szpilę prosto w jego serce. Na wszelki wypadek. Serce głupca obdarzającego miłością dziewczynę, która dawno porzuciła ideę miłości. Zbyt dawno, aby pamiętać, o co w niej chodziło.

– Jestem Kagé Michi.

Klucz przekręcił się w zamku i ktoś odsunął drzwi na bok.

Dziewczyna miała na sobie przepiękną suknię junihitoe ze szkarłatnego i beżowego jedwabiu. Jej twarz pokrywała gruba warstwa białego pudru. Oczy podkreślały dwie czarne kreski, usta zaś ozdobiła pomada w głębokim odcieniu wiśni. Stała zwrócona w lewą stronę. Uśmiechnęła się i ukłoniła głęboko komuś stojącemu za ścianą.

– Dziękuję, mój panie – powiedziała.

Czterech bushich tkwiących na korytarzu wyprostowało się, oczekując pojawienia się zaraz w drzwiach sędziego Ichizo. Dziewczyna wyszła pierwsza na korytarz, krocząc drobnymi krokami wymuszonymi krojem

sukni. Nagle jedną ze stóp zahaczyła o próg drzwi i ze zduszonym okrzykiem poleciała do przodu. Dwóch najbliższych bushich pospieszyło jej z pomocą. Gdy uratowana się wyprostowała, wyrzuciła ramiona w bok, wbijając dwie szpile do przytrzymywania włosów pod brody żołnierzy tak szybko, że nie zdążyli nawet mrugnąć.

Wydawszy z siebie cichy bulgot, mężczyźni runęli bezwładnie na posadzkę ze zdumionymi wyrazami twarzy.

Pozostali dwaj bushi krzyknęli i skierowali w stronę dziewczyny swoje nagamaki – czterostopowe stalowe ostrza zamocowane na drzewcach tej samej długości. Ta broń była zdecydowanie nieprzystosowana do walki w wąskim korytarzu skrzydła służby. Michi wyjęła z włosów kolejne dwie długie, lśniące szpile i wślizgnęła się między mężczyzn. Zakręciła piruet i wbiła swoją improwizowaną broń każdemu z nich w oko.

„Tym właśnie jestem”.

Bushi upadli na deski podłogi z głuchym hukiem. Ich zbroje zadźwięczały w zetknięciu z wypolerowaną sosną niczym żelazne dzwony obwieszczające nadejście kolejnych godzin. W powietrzu unosił się smród krwi i moczu. Michi uniosła głowę, zamknęła powieki i wzięła głęboki wdech.

„Tu jest moje miejsce”.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po korytarzu. Był pusty. Szybko wciągnęła wszystkie ciała do komnaty, sapiąc przy tym z wysiłku. Zdarła z jednego z bushich szkarłatną tunikę i wytarła nią krew z podłogi, plamiąc czerwienią złote tygrysy. Wzięła jedno nagamaki, podwinęła do góry wierzchnią warstwę junihitoe i przecięła jednaście warstw spodnich aż do wysokości ud. Następnie wytarła dokładnie szpile i włożyła je na powrót we włosy. Gdy wszystko było już gotowe, spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Nareszcie zobaczyła twarz dziewczyny, którą znała. Pusta, usłużna maska opadła i leżała we krwi na podłodze.

Z oddali dobiegł niski huk, od którego zadrżały posadzka i ściany pałacu. Wyjrzała przez swoje niewielkie okno i ujrzała w oddali płomienie liżące swoimi drżącymi pomarańczowymi językami ciężkie chmury zasnuwające niebo. Jej uszu dobiegły stłumione krzyki, bicie

dzwonów, tupot wielu stóp. Spojrzała na ciała stygnące w jej komnacie, na mężczyzn, którzy mieli ją za głupiutką myszkę. Za dziwkę.

Uśmiechnęła się.

Podniosła pudło, które przyniósł jej Ichizo, teraz już lżejsze, wyszła na korytarz i zamknęła drzwi na klucz.



Kiedyś w końcu nadchodzi chwila, kiedy ból popękanych żeber towarzyszący każdemu oddechowi, palący pocałunek soli na świeżych ranach czy ukłucia bambusowych drzazg wbijanych pod paznokcie sprawiają, że chce się wszystko wyśpiewać. Gdy brak nowego bólu przez jedną, opętańczą chwilę wydaje się najwspanialszym darem, jaki się kiedykolwiek otrzymało. Gdy człowiekowi się zdaje, że powinien wybełkotać opuchniętymi wargami słowa podzięki dla ludzi, którzy na tę jedną, wspaniałą, świetlistą chwilę przestali go krzywdzić. Kiedy sama myśl o jeszcze jednym ciosie, jeszcze jednej sekundzie agonii ciała wydaje się tak straszliwa, że powie się cokolwiek, zrobi się cokolwiek, aby tego uniknąć. Ale chłopak jeszcze nie dojrzał do tego stanu.

– Kurwie syny. – Po wargach spływała mu ślina zmieszana z krwią, która później zbierała się w duże krople na czubku brody i skapywała na podłogę. – Obaj jesteście kurwimi synami.

Seimi wszedł w krąg przytłumionego światła i oblizał poźółkłe resztki zębów tkwiące jeszcze w dziąsłach. Twarz miał spokojną, tylko w kilku miejscach lśniły kropelki krwi.

– Skąd wiedziałeś, dokąd są zabierane pieniądze? – Mówił tonem kogoś, kto prosi o specjalność dnia albo pyta o drogę do iglic. – Skąd

wiedziałaś, dokąd je nosimy?

– Twój stary mi powiedział – odpalił chłopak ochryłym głosem. – Kiedy już przełknął.

Seimi wyszczerzył resztki zębów i pociągnął łyk czerwonego sake. Ręka nawet mu nie zadrżała. Hida stał przy drzwiach z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Co jakiś czas drapał się w jedno ze swoich wielkich uszu. Na stole, obok butelki letniego wina, leżały różne narzędzia: młotek, szczypce, obcinaki, noże i przecinaki. Były tam też zakrwawiona szmata, garść bambusowych drzazg i pięć paznokci.

Chłopak został obnażony do pasa. Ręce wykręcili mu za plecy i związali w nadgarstkach grubą liną, którą następnie przerzucili przez wbity w sufit hak i podciągnęli na tyle, aby torturowany musiał stać na palcach. Kostki stóp miał skute łańcuchem przymocowanym do zakrwawionej betonowej podłogi oświetlanej jedną bladą żarówką.

Seimi wzniosł młotek. Blok zardzewiałego żelaza osadzony na niedokładnie obrobionej drewnianej ręczce. Zbir postukał tępym końcem narzędzia w otwartą dłoń i usiadł przed chłopakiem, krzyżując nogi. Uśmiechnął się i spojrzał mu w opuchnięte oczy.

– Gdzie jest twój koleżka? Ten z miotaczem żelaza?

– Z twoją matką.

– Jak się nazywa?

– Nigdy nie pytała. Dobrze wie, że się nie mówi z pełnymi ustami.

Seimi obejrzał się na Hidę z uśmiechem i pokręcił głową. Lewą ręką chwycił nogę chłopaka za kostkę i wzniosł młotek do uderzenia. Więzień instynktownie podkulił palce, zaczął szybciej oddychać. W oczekiwaniu na cios zacisnął zęby i napiął mięśnie. Pot ściekał po zakrwawionych policzkach i nadawał jego ustom krwistoczerwony połysk.

Zbir opuścił młotek na mały palec.

Nieprzyjemny odgłos metalu miażdżącego ciało złał się z chrzęstem pękającej kości. Seimi poczuł, jak od siły ciosu zadrżała podłoga. Chłopak wrzasnął z bólu przez zacisnięte zęby. Członek yakuzy zamknął oczy i wsłuchiwał się w stłumione wycie słabnące aż do zupełnej ciszy, gdy chłopakowi zabrakło powietrza w płucach. Ostry świst nabieranego

powietrza. Syk pękających na rozciętych wargach bąbli krwawej śliny.

– Skąd wiedziałeś, dokąd są zabierane pieniądze? – Seimi wznosił młotek do kolejnego ciosu i spojrzał w załzawione oczy swojej ofiary. – Skąd wiedziałeś, dokąd je nosimy?

– Tchórze. Żałosne, nędzne...

Młotek opadł ponownie. Krzyk przeszedł w ryk, opętańcze wycie rannego zwierzęcia. Chłopak miotał się w więzach, zdzierając skórę o szorstkie pęta, rzucając głową na boki, wyprężając całe ciało do granic wytrzymałości ścięgien. Po nabiegłych krwią policzkach płynęły strumienie łez.

– Za–zabiję cię – wysyczał przez zaciśnięte zęby, posyłając w powietrze kropelki czerwonej śliny. – Zapierdolę!

Seimi nagle spowaźniał i przemówił głosem twardym jak kamień przywiązany do wierzgającego jutowego worka i zimnym jak wody rzeki, do której worek jest wrzucany.

– O nie, chłopcze. Dość już nam zapierdoliłeś. Teraz my się z tobą zabawimy.

Opuścił młotek.

Znowu.

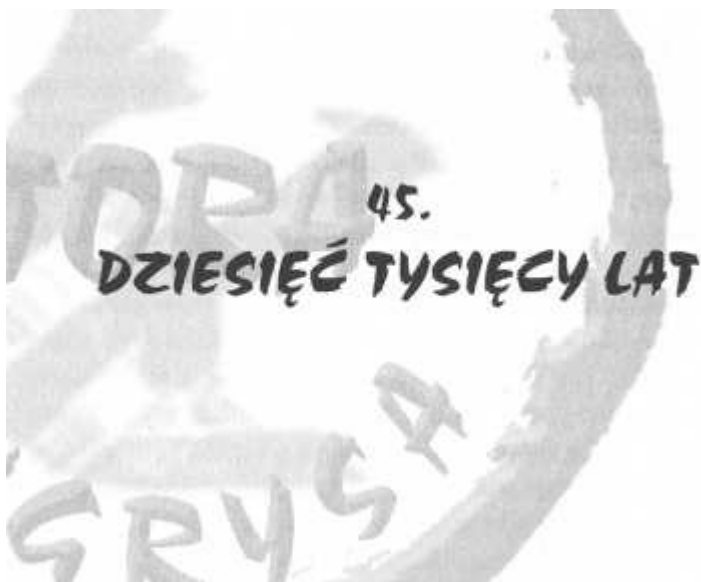
I jeszcze raz.

Gdy Seimi wstał i wziął ze stołu szczypce, kątem oka zauważył, że Hida bez słowa się odwrócił i wyszedł z pomieszczenia. W połowie roboty musiał przerwać, żeby przynieść więcej sake. Sypały się groźby i błagania, zmieszana z krwią ślina latała na wszystkie strony. Wszystko to przeplatane krótkimi okresami nieprzytomności brutalnie przerywanymi garściami soli. Smród palonych włosów. Odgłos wyrywania i przycinania. I krzyki. Głośne, olśniewające, piękne krzyki.

Aż w końcu chłopak dojrzał.

Dotarł do tego błęgiego miejsca, w którym brak nowego bólu jest najwspanialszym darem. A człowiek, który wstrzymuje rękę, nawet na mgnienie oka, staje się bogiem władającym samym centrum twojego świata.

W końcu, w tej wspaniałej, świetlistej chwili, wszystko wyśpiewał.



Pan Hiro stał u szczytu długiego, dębowego stołu, wokół którego zebrały się zastępy jego gości. Salę bankietową udekorowano szkarłatnym jedwabiem i papierowymi kwiatami. Z sufitu zwisały płonące jasnym światłem latarnie. Na ścianach powieszono talizmany mające przynieść panu pałacu radość i powodzenie. Wśród ucztujących krążyła mała armia służek w jasnoróżowych kimonach z półmiskami zastawionymi czarkami z gorącym sake i prawdziwymi sokami owocowymi, nieustannie uzupełniając naczynia gości. Delegacja klanu Feniksa klęczała po prawej ręce Hiro, tworząc jednolity pas jaskrawożółtych i płomieniście pomarańczowych kimon. Daimyo Shin i Shou siedzieli tak blisko siebie, że nieustannie stykali się ramionami. Naprzeciw nich usadowiła się delegacja klanu Smoka ubrana w jasnoblękitne i srebrne kimona. Z jakiegoś powodu daimyo Haruka wyglądał na przybitego i nie w humorze.

– Hiro-san, czy twoja narzeczona zaszczyci nas swoją obecnością przy stole? – zapytał stary Smok.

Hiro zerknął na pustą poduszkę leżącą obok niego. Spróbował się uśmiechnąć. Na warstwie popiołów pokrywających jego twarz pojawiły się pęknięcia.

– Błagamy cię o wybaczenie, szlachetny Haruka-san – odparł daimyo klanu Tygrysa bezbarwnym, wypranym z emocji głosem – ale moja ukochana Aisha-chan niezmiernie się denerwuje jutrzejszą ceremonią i zobowiązała mnie, abym w jej imieniu poprosił cię o wyrozumiałość. Z pewnością możemy wybaczyć panie młodej nerwy w ostatni dzień jej panieństwa.

Haruka spojrział na swoją żonę i powoli kiwnął głową.

– Jako rzeczesz. Pamiętam dzień moich zaślubin. Związać się z inną osobą na resztę swojego życia to nie błahostka.

Pan Shou spojrział na Hiro i na odziany w pogrzebowe barwy oddział Żelaznych Samurajów za jego plecami.

– Niezależnie od tego, jak krótkie może się to życie okazać... – wymamrotał ledwo słyszalnie.

Hiro wznosił swoje naczynie i postukał palcem w wargę, nakazując w ten sposób ciszę. Spojrział na Drugi Kwiat Kensaia i towarzyszących mu lotosowców, którzy siedzieli na przeciwległym końcu stołu, na stojące przed nimi puste talerze i naczynia, na spowijające ich spaliny chi. Jego dworzanie wystroili się, jak mogli najlepiej. Złote aparaty oddechowe wyrzeźbione w tygrysie pyski, wypudrowane twarze, krwistoczerwone kimona. Wszystko było takie pstrokate, takie próżne i pozbawione znaczenia. Wtedy zauważył dwie puste poduszki i gdy tylko zorientował się, kogo brakuje przy stole, zmarszczył lekko czoło w konsternacji.

„Gdzie jest Ichizo?”

– Wielce szanowni goście – rozpoczął przemówienie, mówiąc z pamięci. W ustach czuł metaliczny posmak. – Bracia z Gildii Lotosu. Szlachetni daimyo, drodzy przyjaciele. To dla mnie ogromny zaszczyt, móc was gościć w przededniu mojego ślubu. Pragnę was wszystkich serdecznie powitać w pałacu klanu Tygrysa.

„Gdzie ona niegdyś spoczywała w moich ramionach”.

„Ona, która mnie zdradziła”.

„Ona”.

– Pragnienie zemsty nigdy nie opuściło mych myśli. Jest to pragnienie, którego nie ugasi żaden napój. Moje ramiona wciąż uginają się pod

ciężarem utraty najmilszego syna tego dworu. Nawet w takiej chwili... – Przełknął ślinę. Usta miał wyschnięte na popiół. – Radości. Związani przysięgami zbieramy się tu dzisiaj, choć żałobną czerń zrzuciliśmy ledwo kilka tygodni temu. Gdyby mój pan, Yoritomo-no-miya, był tutaj z nami...

Podłoga zadrżała z niskim, wściekłym pomrukiem. Rozstawione na stole naczynia brzęczały głośno, wiszące pod sufitem lampy tańczyły na wszystkie strony. Hiro zmarszczył brwi, głos uwiązł mu w gardle. Sądził, że to kolejne przekłete trzęsienie ziemi wybrało właśnie tę chwilę ze wszystkich możliwych, aby popsuć jego przemowę. Jeden z gości nabrał gwałtownie powietrza i zamarł, wpatrując się w wysokie szklane okna sali. Hiro podążył za jego wzrokiem i ujrzał niebo pomalowane na barwę płomieni. Wśród zebranych przy stole rozległy się nerwowe szepty. Zaniepokojone służki zerkały na siebie rozszerzonymi ze strachu oczami. Stopniowo wszystkie spojrzenia spoczęły na gospodarzu stojącym u szczytu stołu. Wtedy na przeciwległym końcu sali w akompaniamencie syku siłowników Drugi Kwiat Kensai podniósł się zadziwiająco szybko jak na rozmiary i ciężar swojej metalowej skóry. Mosiężne palce zatańczyły na zamocowanym na jego piersi mechalicydyle, jak palce mistrza shamisenu tańczą na strunach instrumentu.

– Wielki panie. Kigen jest atakowane przez buntowników Kagé.

Salę wypełniły stłumione okrzyki i przyciszone rozmowy gości. Krew w żyłach Hiro popłynęła żywiej, a żelazna dłoń spoczęła na rękojeści katany łańcuchowej.

– Yukiko?

– Nigdzie nie dostrzeżono Nieczystej, wielki panie. Z docierających do mnie doniesień wynika, że w mieście działa wiele rozproszonych grup wywołujących eksplozje na terenie całych Doków i Dołu.

– Wyzbycie honoru psy – warknął daimyo Haruka. – Mają czelność zakłócać nasz spokój w taki dzień?

Przywódca klanu Smoka wstał gwałtownie. Jego Zelaźni Samurajowie błyskawicznie znaleźli się przy nim. Daimyo klanu Feniksa wstali w

bardziej dystyngowany sposób, niemal jednocześnie. Płynnym ruchem przesłonili twarze bogato zdobionymi wachlarzami oddechowymi. Świta momentalnie dołączyła do swoich władców, oblepiając ich niczym wymalowane pijawki.

– Do broni – zakomenderował Hiro, przekrzykując wzbierający harmider. – Ten atak na Kigen to dla nas błogosławieństwo. Wybór przez tych głupców dnia, w którym mam zaszczyt gościć moich braci z klanów Feniksa i Smoka wraz z ich gwardią, jest darem opatrności, prawdziwym uśmiechem losu. Jest to niewątpliwie błogosławieństwo zesłane przez pana Izanagiego dla naszego święta i naszej zemsty. Ryby same wpłynęły w nasze sieci. – To mówiąc, dobył swojej katany łańcuchowej i uruchomił jej silnik. Dobrze znane wibracje przeszły przez żelazne ramię i wprawiły w miłe drgania całe ciało. – Musimy je tylko z nich wybrać.

Haruka dobył swojego łańcuchowego daishó i wkrótce zębate ostrza wirowały i warczały. Wszyscy samurajowie Smoka poszli w ślady swojego pana. W powietrzu rozległa się kakofonia wycia i warkotu silników napędzanych chi.

– Obronimy miasto Pierwszej Córki, choćby to miało kosztować nas nasze życia – oświadczył Haruka. – Przyrzekam to.

Daimyo klanu Feniksa zwrócili się do Hiro.

– Udamy się jak najszybciej na pokład „Szybującego Pałacu” – oznajmił Shou. – Będziemy koordynować atak z powietrza. Nasze korwety wypłoszą buntowników z ich nor.

– Naszą osobistą gwardię oddajemy oczywiście pod twoją komendę, daimyo – dodał Shin.

Hiro zerknął przelotnie na ceremonialne miecze przy obi przywódców klanu Feniksa, na ich wymalowane usta i upudrowane twarze, na zadbane paznokcie i delikatne dłonie, na których próżno by szukać zgrubień od rękojeści mieczy.

– Doskonały pomysł. Dziękuję wam, szlachetni daimyo. – Hiro zwrócił się do kapitana shikabane. – Zbierz Umarłych.

Za pięć minut chcę widzieć wszystkich gotowych do wymarszu.

Kensaiu – zwrócił się do Drugiego Kwiatu – zbierz swoich Strażników Czystości i wszystkich lotosowców, jakich tylko możesz. Wyplenimy te wszy oczyszczającym ogniem.

– Tak się stanie. – Kensai się pokłonił. – Szogunie.

Wszyscy obecni odnotowali, jakiego tytułu użył Pierwszy

Kwiat. Pozostali trzej daimyo wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Hiro oblizął wargi i poczuł na języku smak popiołu.

– Macie zabić każdego Kagé, którego znajdziecie. Jeśli zabójczyni Yoritomo-no-miyi odważy się pokazać swoją plugawą twarz, to wiedźcie, że na tego, kto przyniesie mi głowę jej tygrysa gromu, czeka sowita nagroda. Ale sama dziewczyna jest moja. Każdy, kto poważy się zabić tę Nieczystą dziwkę i odebrać mi moje prawo do zemsty, odczuje ją na sobie. Czy wyrażam się jasno?

– Hai! – rozległ się zgodny okrzyk wszystkich samurajów obecnych w sali, podkreślony warkotem silników łańcuchowych katan oraz szczękaniem i syczeniem ó-yoroi.

– Zatem doładźcie swoich mieczy, bracia. Chwyćcie za broń i ruszajcie za mną. Dziś odzyskamy honor. Dziś zadamy buntownikom cios, który przetrwa w kronikach i pamięci ludzkiej przez dziesięć tysięcy lat. Dziś zakończymy tę nędzną rebelię raz na zawsze.

– Banzai! – odpowiedział gromki okrzyk. – Banzai!

Hiro kiwnął głową.

– Za mną.



W nocnej ciszy rozkwitł pomarańczowy kwiat płomieni. Małe słońce pomalowało ściany budynku kapituły na barwy odległego świtu. Nagły rozbłysk szybko rozprzestrzeniającego się ognia rzucił długie cienie na splekany bruk. Nocne niebo już było całkowicie zasłane czarnymi chmurami – nie mrugały na nim żadne gwiazdy, nie płakał księżyc. Gęste kłęby dymu pospieszyły złożyć pocałunek na ciemnym nieboskłonie, unosząc się szybko w dusznym, jesiennym powietrzu przesiąkniętym groźbą burzy.

Płomienie wystrzeliwały z podpalonych beczek ułożonych w stos na drewnianym wozie podsunętym pod wrota kapituły. Suche drewno trzaskało lizane językami jaskrawego żaru, strzelające iskry umykały ku niebu niczym dawno już wymarłe świetliki. We wnętrzu kapituły zawyla syrena. Trzeszczące metaliczne wycie wzniosło się ponad ryk płomieni. Po drugiej stronie ulicy grupa chorych na czarnopłuco żebraków skuliła się na ten dźwięk i opatulila szczelniej brudnymi szmatami służącymi im za ubranie, aby choć trochę odgrodzić się od świrdującego hałasu.

Z przejmującym piskiem dawno niesmarowanych zawiasów wielkie metalowe wrota rozchyliły się na tyle, żeby w rozświetloną pożarem noc mogło wyjść czterech członków Gildii. Blask płomieni odbijał się od ich

kombinezonów, pstrząc wypolerowany na połysk mosiądz plamami migoczącej ochry. Owadzie hełmy, biomechaniczne krzywizny zimnego metalu i poskręcanych rur oraz zamontowane na plecach okazałe zbiorniki na chi lśniły złowieszczo. Niespodziewane zdarzenie przyszło zbadać trzech shatei prowadzonych przez jednego kyodai. Na potężne kombinezony narzucone były białe tuniki sekcji Strażników Czystości.

Dowódca rozejrzał się po ulicy lśniąco-czerwono oczami. Shatei zrobili parę kroków naprzód i wyciągnęli ręce w stronę ognia, tak jakby chcieli je ogrzać. Z rozprostowanych dłoni wystrzeliły strumienie białej piany, która szybko pokryła dach, wóz i roztrzaskane beczki. Światło i żar szybko przygasły. Po chwili pozostały tylko osmalone deski, sycząca piana i unoszące się ostatnie kłęby dymu.

Shatei przystąpili do oględzin rozbitego wozu. Spod ściany przeciwległego budynku ich poczynania śledziły przerażone spojrzenia żebraków. Kilku co śmielszych nieszczęśliwców podpełzło bliżej i przyglądało się Strażnikom Czystości zdeptującym ostatnie tłące się iskry.

– Katalizator? – zapytał kyodai głosem przypominającym brzęczenie tysiąca os.

Jeden z shatei przyklęknął, przyjrzał się pogorzeliisku, po czym spojrzął na swojego dowódcę.

– Chi.

Kyodai przesunął kilka żetonów na swoim mechalicydle. Skierował wzrok na drugą stronę ulicy. Spojrzenie lśniąco-czerwonym blaskiem oczu spoczęło na podpełzających coraz bliżej żebrakach. Od stóp do głów owinięci byli brudnymi szmatami. Paznokcie mieli całkowicie czarne, a knykcie palców pokrywały liczne strupy. Najśmielszy z nich odznaczał się olbrzymią posturą. Był już tylko kilka stóp od kyodai i cały czas się zbliżał, lekko utykając na jedną nogę.

– Cofnijcie się, obywatelu. – Na nadgarstku Strażnika Czystości rozblęsnął płomień. – To jest sprawa...

Zbliżający się mężczyzna rzucił glinianą butelkę, która rozpadła się w drobny mak na napierśniku kombinezonu Strażnika Czystości,

pokrywając go gęstą czerwoną cieczą, a ta w zetknięciu z ogniem na nadgarstku członka Gildii buchnęła jasnym płomieniem. Pozostali żebracy rzucili kolejne butelki na kamienie bruku pod nogami shatei, pokrywając ich kombinezony lśniącem szkarłatem. Od płonących lotosowców buchnął niesamowity żar, a powietrze wokół nich zaczęło falować. Sypiąc na lewo i prawo przekleństwami, spowici smrodem płonącej chi żołnierze Gildii cofnęli się i oblali nawzajem białą pianą, gasząc szybko roztańczone płomienie.

Wtedy z piskiem kół na ulicę wpadła ryksza motorowa i staranowała dwóch Strażników Czystości, jednego wbijając w mur kapituły w deszczu białych iskier. Zbiornik chi zamocowany do pleców członka Gildii pękł i eksplodował. Kierowca rykszy wyskoczył z kabiny i potoczył się po bruku akurat w chwili, gdy maska jego pojazdu stanęła w płomieniach.

Żebracy odrzucili brudne szmaty, dobyli broni i runęli na pozostałych dwóch lotosowców. Kyodai uniósł dłoń, której poczerwiała skóra jeszcze dymią z sykiem, i zaskrzeczał ostrzegawczo w stronę olbrzyma szarżującego na niego z potężną pałką bojową nad głową.

Akihito wspomniał Kasumi leżącą w kałuży krwi na podłodze więzienia Kigen. Imię Masaru wyryte na setkach tabliczek duchów ułożonych wokół Kamieni Ognia. I wyobraził sobie, że na tych mosiężnych ramionach spoczywa głowa Yoritomo.

Tetsubo uderzyło w hełm Strażnika Czystości z głuchym brzękiem i rozerwało spawy. Jedno ze świecących na czerwono oczu odleciało gdzieś w mrok. Uszu Akihito dobiegły nieprzyjemny chrzęst i metaliczny chrobot. Kyodai przewrócił się do tyłu, zakrywając dłońmi zniszczoną twarz. Gdy metal uderzył o kamień, rozległ się krzyk. Zwyczajny ludzki krzyk bólu i strachu.

– Nie! – Członek Gildii uniósł dłoń w obronnym geście. – Nie, czekaj...

Tetsubo opadło ponownie na głowę kyodai. Brzęk i trzask pękającego metalu poniosły się echem w dal. Akihito poprawił chwyt na rękojeści pałki i jeszcze raz uderzył swoją ofiarę w głowę. I jeszcze raz. I jeszcze.

Walił tak długo, aż zasłaniająca twarz maska była całkowicie wgięta do środka, światło w pozostałym jeszcze oku zamigotało i zgasło, a pomiędzy rozerwanych spawów popłynęła gęsta czerwona ciesz. Kyodai wyprężył się w ostatnim przedśmiertnym dreszczu i zastygł bez ruchu.

– Idziemy!

Inni Kagé uporali się już z pozostałymi Strażnikami Czystości i zapalili lonty wystające z tyłu wciąż płonącej rykszy. Chwycili Akihito za ramię i odciągnęli od martwego Strażnika Czystości. Przez opętańcze wycie syreny w budynku kapituły przebiegał się coraz głośniejszy tupot metalowych butów. Wielu członków Gildii szybko zmierzało w stronę wrót. Zasłaną popękkanymi metalowymi ciałami ulicę oświetlały płomienie tańczące na karoserii rykszy. Czarny, gryzący dym drapał w gardło i wyciskał łzy z oczu.

Akihito kiwnął głową i się uśmiechnął.

Kagé zniknęli wśród gęstych cieni.

Potężny wybuch wstrząsnął Dołem. Jasny kwiat płomieni podświetlił chmury wiszące nad Kapitułą Kigen. Kłęby dymu ruszyły na spotkanie nieboskłonu, jak panna młoda spieszy w objęcia swojego narzeczonego. Daichi spojrzał na rozświetlone niebo i zaczął liczyć bezgłośnie: jeden, dwa, trzy... Ze wschodu dobiegł huk drugiej eksplozji. Potem trzeciej, od strony suchych doków lotostatków, które teraz stały w płomieniach i opadały z wolna w stronę ziemi, dekorując deptak poniżej płonącymi ciałami. Dziesięć sekund później wybuchł skład paliwa w Dokach. Przez chwilę zdawało się, że to słońce wstało wcześniej niż zwykle, wyciągając olbrzymie, pokryte piórami płomieni dłonie nad całą dzielnicę magazynową. Miasto wypełniły roztańczone cienie, niebo zasnuwał ciężki dym. Zewsząd dobiegały krzyki strachu i bólu. Huk płomieni był tak głośny, że aż rezonował w kościach starca. Ponad ryk pożaru przebił się wysoki wizg młócących powietrze śrub napędowych lotostatków. To korwety klanu Feniksa przemykały nad ich głowami na tle kadłuba „Szybującego Pałacu” oświetlonego blaskiem bijącym od

gorejącego stosu, w który zamieniło się miasto.

Daichi zasłonił usta dłonią, zakasłał, oblizwał zęby i splunął. Złapał się za obandażowane zębra, na których było więcej sińców niż skóry. Każdy oddech palił płuca żywym ogniem, każde słowo wymagało ogromnego wysiłku. Przemówienie wygłoszone w piwnicy niemal zupełnie wyczerpało jego siły.

Przyczaili się na górnym piętrze jednego z budynków mieszkalnych. Wybrali go ze względu na roztaczający się z niego doskonały widok na pałac szoguna. Siedzieli i czekali, aż tygrysy opuszczą swoją jamę. Ayane klęczała przy małym stole. Z przechyloną na bok głową nasłuchiwała klekotania mechaniczdyła w głowie. Urządzenie wisiało na jej szyi, podłączone do gniazda na obojczyku. Żetony przesuwają się to w jedną, to w drugą stronę. W szparach wciąż pełno było grudek ziemi, w której mechaniczdyło leżało zakopane. Tu i ówdzie można było dostrzec pojawiające się plamy rdzy. W jednym miejscu widniała wyraźna rysa uczyniona ostrzem łopaty, którą Kin wykopywał urządzenie. Siedziała nachylona w stronę chłopaka, muskając wargami jego ucho, i powtarzała mu dane dotyczące ruchów; oddziałów i ich liczebności, które on potem przekazywał rozrzuconym po mieście oddziałom Kagé za pomocą stojącego przed nim na stole nadajnika krótkofalowego. W zachowaniu tej pary, klęczącej tak blisko siebie, że ich ciała niemal się stykały, była jakaś dziwna intymność, rodzaj symbiozy, która wzbudzała w Daichim niepokój.

Wtem usłyszał bicie dzwonów, tupot ciężkich butów i wykrzykiwane ostro rozkazy. Z budynku kapituły wysypał się oddział najemników Gildii i pospieszył na wschód, przez most Shiroi. Kolejni żołnierze ciągnęli na południe, aby wspomóc obrońców rafinerii. Blask ognia lśnił w szklach ich gogli noktowizyjnych i na bańkach hełmów. Wyglądali jak setki skarabeuszy wyruszających na bitwę. Bushi zajmowali pozycje na mostach, ulicami mknęły motorowe ryksze, a na terenie pałacu zbierali się Żelazni Samurajowie. Ogień rozprzestrzenił się po Dokach. Drewniany deptak płonął jasnym płomieniem, odcinając drogę załogom większości lotostatków z floty klanu Tygrysa. Daichi uśmiechnął się, pa-

trząc na zbierające się ciemne chmury burzowe, i zmówił szeptem modlitwę do Susano-ó, błagając Pana Burz o pobłogosławienie ślubu daimyo Hiro i wstrzymanie opadów deszczu na choć jedną noc.

– Niesamowite – wyszeptał Isao.

Chłopak stał przy oknie z twarzą oświetloną szalejącymi w dole płomieniami. Przyglądał się z zachwytem, jak spokojna maska Kigen stopniowo czerniała i się związała.

– Muzyka chaosu – powiedział Daichi. – Z oddali wydaje się piękna. Ale zastanów się choć przez chwilę, jaką może się zdawać zwykłemu człowiekowi znajdującemu się teraz na jednej z ulic. Otoczonemu hukiem płomieni. Dla niego to pieśń strachu. Lęku o życie jego i tych, których kocha. – Spojrzał na chłopaka. – Nie czuj dumy z powodu szaleństwa, które teraz siejemy. Łatwo jest niszczyć. Bądź raczej dumny ze świata, który po tym wszystkim zbudujesz.

Starzec zaniósł się długim, ciężkim kaszlem. Zgiął się wpół, jedną dłonią zasłaniając usta, drugą przyciskając do piersi. Twarz wykrzywił mu grymas bólu. Daichi zacisnął zęby, zakaszłał raz jeszcze, po czym splunął czarnym śluzem na deski podłogi. Wytarł usta wierzchem dłoni, barwiąc knykcie na kolor spalonego oleju. Wyraźnie zmartwiony Isao położył rękę na ramieniu starca.

– Powinieneś być na zewnątrz i... trzymać straż razem z Atsu-shim i Takeshim – powiedział Daichi. – Damy znak do ataku na pałac, gdy... rafineria stanie w ogniu.

– Hai – przytaknął chłopak, okrył pięść dłonią i zbiegł schodami na dół.

Starzec obrócił się do klęczącej za nim pary. Dziewczyna spoglądała w jego stronę nieobecny wzrokiem. Dłonie Ayane lekko drżały w rytm klekotu maszyny na jej piersi. Kin tkwił nieruchomo z pochyloną głową. Gdy uniósł wzrok i napotkał spojrzenie starca, Daichi zdał sobie sprawę, że chłopak wygląda na starszego, niż był w rzeczywistości. Był wychudzony, a jego skóra była niemal przezroczysta. Twarz zaś nie wyrażała żadnych emocji.

– Czy to... czujesz, Kin-san?

– Czuję – odparł chłopak.

Daichi odwrócił się z powrotem ku oknu i płomieniom szalejącym po drugiej stronie szkła.

Zakaszłał, zasłaniając usta dłonią.

– Zaczęło się.

Kagē zeskoczyli do zaułka niczym opadające z drzew liście, lądując bezgłośnie na popękany bruku. Wszyscy byli ubrani na czarno. Wśród fałd materiału świeciły jedynie białka oczu. Na plecach każdego Cienia tkwił miecz o prostym ostrzu. Kaori poprowadziła ich na wał i przykucnęła, aby uważnie zlustrować kamienny most spinający brzegi rzeki jakieś pięćdziesiąt stóp od nich. Za nią przykucnął porucznik miejskiej komórki: chudy człowiek o dziobatej twarzy znany jako Pająk. Poruszał się bezszelestnie jak strzępy chmur sunące w poprzek tarczy księżycy.

Woda w rzece Junsei bardziej przypominała błoto. Była całkowicie czarna i śmierdziała ekskrementami i ługiem sodowym. Dwanaście cieni przemknęło w dół wylanego betonem brzegu i weszło w nurt najciszej, jak się dało. Huk pożaru i bicie dzwonów całkowicie zagłuszyły pluski i stłumione przekleństwa. Tuż nad powierzchnią rzeki smród był tak silny, że jeden z przechodzących nie wytrzymał i zwymiotował.

Gdy dotarli do południowego brzegu, ruszyli wzdłuż niego, aż natrafili na rurę odpływową z rafinerii. Był to szeroki na cztery stopy tunel zamknięty skorodowaną żelazną kratą, między jej zębami sączył się cuchnący ściek. Kaori przyklękła przy wylocie tunelu, wydobyla z fałdów ubrania piłkę do metalu i przystąpiła do przepiłowywania spawów. Pająk i pozostali stłoczyli się wokół niej, nie spuszczać z oczu tkwiących na moście bushich.

Z północnego końca mostu dwa tuziny dzieci rzucały w strażników kamieniami i butelkami. Kaori rozpoznała przywódczynię urwisów, dziewczynę o pseudonimie Rzeźnik. Wykrzykiwała w stronę żołnierzy swoim przenikliwym głosem steki przekleństw, od których

zaniemówiłby niejeden chodzący w chmurach. Córka Daichiego uśmiechnęła się bezwiednie.

Nad ich głowami przeleciał z rykiem silników lotostatek, wzbijając w powietrze chmury popiołu. Głośniki zamontowane na jego burtach wzywały wszystkich uczciwych obywateli do pozostania w domach. Silne światło reflektorów oświetliło hałastrę przy końcu mostu. W odpowiedzi dzieci skierowały swoje pociski w niebo. Korwety klanu Feniksa bzycały, lawirując między kamieniami i wypluwając ostrzegawcze salwy shurikenów.

W spokojniejszą noc terkot miotaczy zwabiłby wszystkich bushich z całego miasta, teraz jednak ginął wśród ogłuszającego hałasu silników. Kaori skończyła piłowanie i wyjęła z kraty przedziewiały pręt. Powstały prześwit był wystarczająco szeroki, aby można się było przecisnąć do środka. Dała znak pozostałym i jeden po drugim Kagé weszli do cuchnącego chemikaliami ciemnego kanału. Po paru chwilach Kaori została sama na brzegu rzeki. Sięgnęła za plecy i dobyła wakizashi. Przed wejściem do kanału rzuciła ostatni raz okiem na zasnute chmurami niebo. Skłębiona czarna masa podświetlona grubymi palcami płomieni i kręgami reflektorów uwijających się jak w ukropie lotostatków.

Powiew wiatru przyniósł ten specyficzny zapach, stopniowo coraz silniej przebijający się przez przyprawiający o mdłości smród rzeki – delikatny aromat płonącego drewna i przypraw przemieszany z ostrą wonią spalin chi, wzbijających się w powietrze z płonących magazynów w Dokach i wypluwanych przez silniki zbroi Żelaznych Samurajów maszerujących na spotkanie buntownikom.

Muzyka chaosu.

Z uśmiechem odwróciła się do kraty i wślizgnęła do tunelu.



W kolejnych latach Hana będzie wspominała noc ataku Kagé na Kigen jako jedną z najmroczniejszych nocy w całym swoim życiu. Nie najgorszą, o nie, ale wystarczająco mroczną, aby pozostawić bliznę, która nigdy już się nie zagoi.

Była tam, gdy się to zaczynało, nieświadoma tego, co miały przynieść najbliższe godziny. Słyszała krzyki tłumu na ulicach, szczęk stali, tupot wielu stóp przypominający bicie w wojenne bębny. Yoshi siedział skulony w rogu pokoju z miotaczem żelaza w dłoni. Ona tkwiła przy oknie, wyglądając ostrożnie na zewnątrz, na zasnuite czarnymi kłęбами dymu miasto. W goglach przesuniętych na czoło odbijał się migotliwy blask ciągle rozprzestrzeniających się płomieni.

Ze strachu ścisnęła ją w żołądku, a ręce nie chciały przestać się trząść. W jakiś sposób małeńka część jej wyczuwała wstrząsy nadchodzącego bólu. W miarę jak wzbierał w niej lodowaty lęk, stopniowo powracała pamięć tamtego dnia. Zawsze tak było.

Ból tamtego wspomnienia, jego smak. W życiu wypełnionym okropnymi i parszywymi dniami ten jeden był wzorcem, do którego można było porównywać wszystkie pozostałe.

Najgorszy dzień w jej całym życiu.

Zaczął się tak jak każdy inny. Wstała o świcie, umyła się w słonawej wodzie i włożyła szorstkie ubranie pochodzące nawet z drugiej, ale z trzeciej ręki. Następnie podreptała do kuchni i zjadła na śniadanie resztki zimnego ryżu. Yoshi siedział naprzeciwko niej i opowiadał sprośny dowcip, który zasłyszał poprzedniego dnia na mieście. Tak ją rozśmieszył, że aż parsknęła przeżuwanym ryżem na blat stołu. On nie mógł się śmiać razem z nią. Nie dlatego, że nie chciał. Nie pozwalała mu na to dtuga na cal, wciąż niezagojona rana na wardze. Siniak pod okiem przybrał już niezdrowy żółty kolor. Na knykciach miał wgłębienia doskonale pasujące do zębów ich ojca.

To zabawne. Tata nigdy jej nie tknął nawet palcem.

Nigdy nie mogła zrozumieć dlaczego. Ich matkę ńukł, aż nie mogła się poruszyć. Yoshiego okładał, jakby był workiem ryżu. Ale na nią nigdy w życiu nawet nie podniósł ręki.

Nie na swój mały kwiatuszek. Nie na swoją Hanę.

Była jesień. Ich mizerne plony lotosu poszły już do rafinerii chi. Ziemia była w opłakanym stanie. Z roku na rok coraz bardziej czerniała, a w najgorszych miejscach zaczynała pękać. Podczas pracy trzymali się od chorej ziemi z daleka. Gdy poprzedniego lata Hana potknęła się i upadła na martwy grunt, cały tydzień później wymiotowała i majaczyła, płacząc czarnymi łzami. Upał był nie do zniesienia. Do zachodu słońca rodzeństwo było skrajnie wyczerpane i całe brudne. Wlekli się do domu niczym skopane psy czołgające się u stóp swojego pana.

Na stole stały popękane talerze i wetknięty w stary wazon bukiet suchej trawy. Ojciec klęczał u szczytu stołu, z policzkami i nosem zaczerwienionymi odpopękanych naczynek krwionośnych. Stojąca przed nim butelka była już w połowie pusta. Kikut sterczący w miejscu, gdzie kiedyś była jego prawa ręka, świecił gładką, różową skórą. Na ścianie za nim wisiły medale, pozostałość po dawnym życiu, lśniące niczym muszle na pustej plaży. Ordery bohatera, burakumina, który jako tłumacz uratował życie siedemnastu bushim z klanu Kitsune. Cały pluton szlachetnie urodzonych ocalony dzięki heroicznemu czynowi bezklanowego psa.

Matka stała przy małej kuchni, gotując ryż z jakimiś przyprawami, które zdobyła bogowie tylko wiedzą gdzie. Błada skóra, nieobecne spojrzenie błękitnych oczu, czarny atrament pod paznokciami po ostatnim farbowaniu włosów.

Kolejne trofeum dla bohatera.

Hana umyła się i uklękła przy stole, czekając w milczeniu na posiłek. Strach był obecny, jak zawsze. Krążył gdzieś z tyłu jej głowy. Ojciec nalał sobie kolejną porcję sake. Cienie w pokoju wydłużały się, mrok u szczytu stołu stopniowo się pogłębiał. Czuli na ramionach przytłaczający ciężar. Pytanie, które zawsze wisiało w powietrzu i czekało na odpowiedź.

„Co dzisiaj wyprowadzi go z równowagi?”

Yoshi klęczał naprzeciw niej z nieodłącznym kapeluszem shappo na głowie. Wygrał go trzy dni temu od jakiegoś chłopaka z miasta w partii oicho-kabu i był z tego powodu niesamowicie dumny. Defilował w nim przed nią niczym szmaragdowy żuraw odprawiający taniec godowy, śmiejąc się tak głośno, jak tylko pozwalały mu rozcięte usta.

– Zdejmij to – warknął ojciec.

„Oho... ”

– Dlaczego? – zapytał Yoshi.

– Bo wyglądasz jak cholerny głupek. To jest męski kapelusz, za duży na ciebie.

– A to nie ty powtarzasz ciągle, że bym zachowywał się jak mężczyzna?

„Nie, Yoshi, nie prowokuj go”.

– Moim zdaniem wygląda w nim bardzo przystojnie. – Matka się uśmiechnęła, stawiając na stole miskę z gorącym ryżem. Zwrócone na syna, okolone siatką zmarszczek zmęczone błękitne oczy były pełne miłości. Jej mały mężczyzna.

Ojciec spojrział na nią i Hana rozpoznała to spojrzenie. Serce jej zamarło, język przysechł do podniebienia.

– A ty skąd niby miałabyś cokolwiek o tym, do wszystkich piekieł, wiedzieć?

Przez zaciśnięte zęby strzyknęło kilka kropli śliny.

„Dobrzy bogowie... ”

Matka pobladła jeszcze bardziej. Jej dolna warga zaczęła się trząść.

Oniemiała z przerażenia cofnęła się o krok. Cokolwiek by teraz powiedziała, tylko pogorszyłaby sprawę. Czyby błagała, czyby przepraszała, czyby zatkąta. Była bezradna niczym mysz polna, na którą padł cień czarnych skrzydeł

Tata porwał ze stołu butelkę sake i wstał. Dłoń zaciskał na szyjce tak mocno, że aż mu pobielaly wszystkie kostki palców.

– Ty nędzna gaijińska dziwko, zapytałem, skąd niby miałabyś cokolwiek o tym wiedzieć?

A potem uderzył Tak po prostu. Z tak błahego powodu.

Gdy butelka zetknęła się ze szczęką jej matki, czas zwolnił. Zastygła ze strachu Hana przyglądała się, jak w powietrze wystrzeliwują czerwone krople i zęby. Coś ciepłego i lepkiego wylądowało na jej policzku. Twarz ojca była tak wykrzywiona wściekłością, że wręcz go nie poznawała. Zaczął wrzeszczeć, że powinien był ją tam zostawić, w jej przeklętej ojczyźnie z jej parszywymi rodakami. Potem uniósł kikut swojej prawej ręki i ryknął:

–Zobacz, co mi zabrali!– Twarz mu spurpurowiała od napływu krwi. – Spójrz na to! I co za to wszystko dostałem? Ciebie!

Nachylił się nad ich matką i po raz pierwszy, odkąd Hana pamiętała, dostrzegła w tych lśniących błękitnych oczach kipiącą wściekłość.

– Ty Świnio. – Mówiła niewyraźnie z powodu złamanej szczęki. – Ty pijana Świnio. Ty nędzny poganiaczu niewolników. Czy ty wiesz, kim ja jestem? Czy ty masz w ogóle pojęcie, kim byłam?

Ślina skapywała z ust ojca, gdy wzniósł butelkę do kolejnego ciosu.

– Wiem doskonale, czym zaraz będziesz...

Yoshi otworzył usta do wrzasku, zrywając się na równe nogi, wyciągając ręce. Na próżno.

Butelka pomknęła szerokim tukiem i wbiła się w gardło ich matki. Wpowietrze trysnęła fontanna lepkiej, jasnej i cieplej krwi. A Hana zrobiła wtedy to, co zrobiłaby na jej miejscu każda trzynastoletnia dziewczyna.

Zaczęła krzyczeć.

Seria wybuchów zatrzęsa szybą w oknie, wyrывая Hanę z zamyślenia i wciągając z powrotem do świata, który na jej oczach sypał się w gruzy. W oddali płonął port, malując ogniem południowe niebo. Wielkie ściany czarnych chmur grzmiały i huczały nad oszalałym miastem. Smród spalin chi mieszał się z coraz silniejszym zapachem zbliżającego się deszczu.

– Na jaja Izanagiego. – Yoshi potrząsnął głową. – Ktoś chyba się naprawdę wkurzył brakiem zaproszenia na wesele szoguna...

Hana spróbowała odegnać strach. Zamknęła zdrowe oko i zmarszczyła czoło.

– Niewiele widzę. Nie wyczuwam zbyt wielu szcurów.

– Maleństwa boją się ognia. Te większe właśnie zabierają się do uctowania na świeżym trupie dwie przecznice na północ stąd.

Hana porzuciła swój punkt obserwacyjny, podeszła do stołu, uklękła i zaczęła się bujać w przód i w tył. Utkwiła wzrok w słomkowym kapeluszu Yoshiego z charakterystycznym rozcięciem od szkła butelki w rondzie. Nie chciała pamiętać.

– Gdzie, do wszystkich piekieł, podziewa się ten chłopak? – syknął Yoshi.

– Może powinniśmy pójść go poszukać?

– Masz zamiar wyjść tam teraz, akurat jak miasto oszalało?

– Yoshi, Jurou nie ma już cały dzień. Nie martwisz się?

– Łatwo ci mówić.

Yoshi zamilkł i zajął się obgryzaniem paznokci. Hana przeniosła wzrok na okno.

– Dobrzy bogowie, można pomyśleć, że miasto się rozpada...

Sięgnęła ponownie do Przenikania i poczuła dziesiątki maleńkich iskier życia kłębiących się na północ od niej. Czuła ich głód, niemal wyczuwała ich smród. Sięgnęła do Dakena krążącego po dachach na zachód od nich, na samym skraju zasięgu myśli.

„Na północ od pensjonatu jest stado szcurów”.

...no i?...

„No i uważaj na siebie, jak będziesz wracał”.

...jestem kotem...

„Jest ich całe mnóstwo”.

...miau?...

„Dobra, niech będzie po twojemu. Jak cię zjedzą, nie przychodź do mnie jęczeć. Powiedz mi lepiej, co widzisz”.

...ludzie biegają i walczą z ludźmi w białym żelazie z warczącymi mieczami...

„Czy mogę skorzystać z twoich oczu?”.

...oczywiście...

Zamknęła powiekę i wślizgnęła się za źrenice Dakena. Siedział na dachu trzypiętrowego budynku i spoglądał w dół na wąski zaułek. Hana chwyciła mocno blat stołu, walcząc z nagłym atakiem łęku wysokości. Tereny portowe nad zatoką stały całe w płomieniach. Wszędzie widać było tylko ogień i kłęby czarnego dymu. Na tle chmur śmigały lotostatki klanu Feniksa, lawirując w powietrzu niczym jaskółki, od czasu do czasu ostrzeliwując budynki i ulice miotaczami shurikenów.

Tra-ta-ta-ta-ta-ta!

Czuli smród zastajej wody, moczu i zalegających pod ścianami budynku śmieci pełnych jaj złożonych przez muchy. Wachlarza doznań dopełniały spaliny chi, kurz i popiół – nieodłączne składowe zanieczyszczeń nieustannie przesączających się przez skórę miasta. A nad tym wszystkim ramię w ramię ze śwędem spalenizny unosił się duszący zapach zwęglonego tłuszczu i palonych włosów.

Przez uszy kota Hana słyszała krzyki tłumu, ryk płomieni i bicie dzwonów.

„Uważaj na siebie, mały bracie”.

...zostało mi jeszcze z jedno życie albo dwa...

Zakończyła kontakt i uśmiechnęła się pod nosem. Jej myśli krążyły nad miastem. Ostatni raz wybadala okolicę w poszukiwaniu truposzczurów, chcąc gdzieś dojrzeć Kagé, którzy przecież musieli stać za tymi atakami. Większość gryzoni z Góry brała udział w wielkiej uczcie na północ od nich. Była ich tam cała masa, zbyt starych, aby lękać się płomieni. Szczury zatapiały z lubością zęby w świeżym mięsie i walczyły

ze sobą wśród parujących jeszcze wnętrzości. Wtem na obrzeżu kłębowiska wijących się ciał wyczuła słabą iskrę strachu.

Zmarszczyła brwi i zacisnęła mocno wargi. Wzmocniła koncentrację i skupiła się na źródle nowego uczucia. Poczuła ból tłuczonego szkła rwącego wnętrzości od środka. Zwierzę przetoczyło się na grzbiet, podkuiliło ogon i zapiszczało. Czuła na wywieszonym z ich pyska jęzorzę smak jego własnej krwi. Czuła, jak drapało się w ich brzuch, aby jakoś sprawić, by przestało boleć.

Wycofała się i wyczuła ich więcej – kolejne gasnące iskry wczoł- gujące się do kanałów burzowych i wijące się w rynsztokach. Przetaczające się na grzbiet i wierzgające łapami. Zwijające się w małe kulki parchatej sierści i stopniowo zamierające.

Coś było nie w porządku.

Prawie czuła ten smak, ledwo wyczuwalną nutę bólu, maleńkie rozbłyśki odłączające się od uczujących pobratymców i zwijające się w samotności, gasnące jak świeczki zdmuchiwane przez monsun.

„Zatrute mięso”.

– Yoshi... – Hana spojrzała w oczy brata.

– Co? – Wyrwał się z zamyślenia i wstał. – Daken widział Jurou?

– Yoshi, ktoś chyba próbuje wytruć nasze szczury...

Drzwi wpadły do środka z głośnym trzaskiem. W tej samej chwili szyba w oknie rozpadła się w drobny mak. Z korytarza wbiegły cztery postacie, kolejna wskoczyła przez wybite okno i wylądowała w kucki wśród potłuczonego szkła. Hana odtoczyła się w bok, o włos unikając wycelowanego w jej głowę ciosu tetsubo. Pałka trafiła poduszkę, na której jeszcze przed chwilą kłęzczała. Drugi mężczyzna wzniósł prosty, ale funkcjonalny miecz i wymierzył cios w gardło dziewczyny.

Yoshi wycelował miotacz żelaza w postać wciąż kucającą na potłuczonym szkłe. Mężczyzna wyprostował się ze złowrogim grymasem na twarzy. Hana zdążyła kątem oka zarejestrować małe świnięskie oczka i wielkie odstające uszy.

– Hazardzista – syknął Yoshi.

Intruz zamachnął się swoją pałką i uderzył w lufę miotacza. Siła ciosu

wyrwała broń z ręki Yoshiego i cisnęła ją na ścianę. Rozległ się głośny huk i rozbłysło jasne światło. To wstrząs spowodował odpalenie ładunku i posłał żelazną kulę prosto w prawe oko mężczyzny, który wyważył drzwi. Zbir zakreślił się w miejscu i padł w objęcia stojącego za nim kompana, ochlapując jego twarz fontanną ciepłej, świeżej krwi. Yoshi kopnął posiadacza świńskich oczek w udo, przeprostowując z chrzęstem kolano.

Hana chwyciła pałkę postrzelonego, zerwała się na nogi i szybko oszacowała sytuację. Dla niej to była kolejna bójka w brudnych zaułkach miasta, kolejna utarczka o kawałek chleba czy miejsce do snu. Taki rodzaj walki był dla niej codziennością, odkąd tylko nauczyła się chodzić. Skuliła się, zmyliła przeciwnika szybkim zwodem, po czym upadła na kolana i z impetem wraziła trzonek pałki w krocze jednego z napastników. Mężczyzna pisnął jak przygwożdżony truposzczur. Hana wyprostowała się i oburącz zdzieliła zbira w twarz, łamiąc mu szczękę i dorzucając kilka zębów do stosów żelaznych monet na stole.

Drab o świńskich oczkach poczuł, jak ucieka spod niego noga, i runął do przodu, uderzając pałką w żebra Yoshiego. Nabijane żelaznymi ćwiekami drewna skruszyło kości i wypchnęło powietrze z płuc. Chłopak i mężczyzna padli szepieni na podłogę, okładając się na oślep, tworząc dziką plątaninę pokrwawionych pięści i łokci. Yoshi prawie nic nie widział przez łzy i miał poważne problemy ze złapaniem tchu. Zbir chwycił go za nadgarstek, przewrócił na brzuch i całym swoim ciężarem naparł na ramiona. Chłopak krzyknął głośno z bólu, starając się dosięgnąć wolną ręką wciąż dymiącego miotacza żelaza. Ale broń leżała tuż poza zasięgiem jego palców.

Zakrwawiony gangster i jego wciąż czysty kamrat odkopali ciało towarzysza na bok i natarli na Hanę. W stronę dziewczyny pomknęły kolejna okuta żelazem pałka i bliźniacze katary. Zbiła jeden z noży na bok pałką, ale tetsubo nie zdołała uniknąć. Impet ciosu poderwał ją w górę i cisnął na wylot przez przepierzenie z papieru ryżowego. Rękojeść zdobycznej broni wyslizgnęła się jej z ręki i pałka wylądowała na skłębionej pościeli. Jeden z jej oprawców roześmiał się okrutnie i kopnął

ją kolanem między łopatki. Chwilę później mężczyzna przycisnął ją do łóżka i niemal ogłuszył ciosem w głowę. Twarz miała wciśniętą w poduszkę od strony zdrowego oka, w wyniku czego nic nie widziała.

– To twoja sypialnia, dziewczynko? – Czyjaś dłoń wykręciła jej rękę za plecami. – Ładna pościel.

– Ta suka złamała mi nadgarstek! – krzyknął ranny napastnik z pokoju dziennego, po czym jęknął z bólu.

– To chodź tu złamać jej.

– Nie ważcie się jej tknąć! – ryknął Yoshi przez zaciśnięte zęby, usiłując się wyswobodzić z uchwytu draba o świńskich oczkach. – Zostawcie ją albo was pozabijam!

Trzymający go zbir nachylił się do jego ucha. Nozdrza Yoshiego zaatakował smród przetrawionego sake, potu i zepsutych zębów.

– Mówiłem, że się wkrótce zobaczymy, przyjacielu.

Hana krzyknęła, gdy trzymający ją gangster wykręcił mocniej jej rękę i zaczął mocować się z jej hakamą, usiłując dziewczynę rozebrać. Po chwili usłyszała zbliżające się kroki i ciężki oddech drugiego mężczyzny.

– Pomóż mi ściągnąć jej ubrania – syknął trzymający ją zbir.

– Dżentelmen chciał ich żywych.

– Nie martw się, będzie żywa. – Hana usłyszała rozbawienie w jego głosie. – Tylko przez pewien czas będzie miała problemy z siedzeniem.

– Kim wy, do wszystkich piekieł, jesteście? – krzyknęła Hana.

W odpowiedzi otrzymała tylko kolejny cios w głowę. Tak silny, że przed okiem zawirowały jej jasne gwiazdy.

– Przytrzymaj ją!

– Mam ją przytrzymać ręką z rozpieprzonym nadgarstkiem?

– Pospieszcie się tam! – ryknął drab o świńskich oczkach.

– Zostawcie ją! – Yoshi sapnął i ponownie spróbował sięgnąć miotacza żelaza. – Sukinsyny, wszystkich was pozabijam!

– Nic z tych rzeczy Przytrzymam cię tutaj, żebyś sobie posłuchał, przyjacielu – zamruczał mu do ucha trzymający go gangster. – Przytrzymamy ci głowę, żebyś mógł sobie na wszystko popatrzeć. Odetniemy ci powieki, żebyś nie mógł zamknąć oczu. W porównaniu z

tym to, co zrobiliśmy twojemu kochasiowi, wyda ci się tylko igraszką...

Z sypialni dobiegły stłumione przez poduszkę krzyki Hany.

– Nie! – ryknął Yoshi.

– Słuchaj dobrze, chłoptasiu – syknął trzymający go zbir. – Słuchaj, jak śpiewa...

Przez rozbite okno wpadł jakiś kształt. Rozmyta smuga szarej sierści, blizn i dwóch lśniących punktów w kolorze szczyń. Kształt wylądował na ramieniu mężczyzny o świńskich oczkach i wbił w mięśnie pazury ostre niczym ostrze katany. Gangster zawył i zatoczył się do tyłu, wymachując po omacku ręką, starając się trafić wirujący kłęb pazurów i brudnych zębów. Jedna z łap przejechała po jego oku. Była szybsza od trucizny; tak szybka, że nawet nie poczuł uderzenia, dopóki ciepły, galaretowaty płyn nie popłynął mu po policzku. Mężczyzna wydał z siebie przeraźliwy, drżący ryk, przycisnął dłoń do krwawiącego oczodołu i odtoczył się na bok. Drugą ręką w końcu zdołał chwycić napastnika, oderwać go od siebie w deszczu krwi i cisnąć pod przeciwległą ścianę pomieszczenia.

Kształt odbił się od desek i wylądował pewnie na czterech łapach.

– Miiiaaaaauuuu – powiedział.

Drab o świńskich oczkach zerwał się na równe nogi, bezskutecznie usiłując zatamować krwawienie z oczodołu.

– Moje pieprzone oko...

Kula rozsadziła jego czaszkę, jakby była balonem wypełnionym czerwoną wodą. Resztki głowy zachybotwały się na szyi. Zanim huk wystrzału na dobre przebrzmiał, Yoshi już biegł do sypialni ile sił w nogach. Za jego plecami ciało zastrzelonego mężczyzny upadło z hukiem na podłogę w akompaniamencie stuku uderzających o deski odłamków kości. Pośmiertne drgawki szarpały nogami nieboszczyka, przez co ten sprawiał wrażenie, jakby usiłował płynąć po podłodze.

Kolejną kulę Yoshi wystrzelił prosto w twarz zbira ze złamanym nadgarstkiem, gdy ten tylko pojawił się w drzwiach sypialni. Gangster spłynął na podłogę, jak roztopiony wosk spływa ze świecy. Chłopak wpadł do pokoju siostry i wycełował dymiącą łufę w głowę ostatniego z

intruzów. Mężczyzna wstał i się cofnął, usiłując jednocześnie zasłonić twarz i wznieść ręce do góry. Ścisnął kolana i skulił się pod ścianą. Spomiędzy palców patrzyły na Yoshiego przerażone oczy.

– Nie – błagał. – Nie...

Hana podniosła się ze skotłowanej pościeli. Spurpurowiałą twarz oblepiały mokre włosy. Skórzana opaska przekrzywiła się, ale jeszcze się trzymała. Z trudem powstrzymując szloch, podeszła do brata, lekko kulejąc i rozmasowując spuchnięty nadgarstek. Oderwała dłoń od nadwerężonego przegubu i delikatnie położyła na miotaczu, łagodnie, acz stanowczo opuszczając wylot lufy ku podłodze. Yoshi zmarszczył brwi, ale pozwolił odebrać sobie broń.

– Och, dziękuję ci, dziewczyno – jęknął z wyraźną ulgą gangster. – Niech cię Amaterasu błogosławi...

Hana obróciła się i wypaliła prosto w krocze mężczyzny.

Padł na podłogę jak kamień, wrzeszcząc i przyciskając ręce do krwawiącej dziury między nogami. Przetoczył się na twarz, zwinął w kłębek i wydał z siebie wysokie, rozdzierające gardło wycie. Dziewczyna kopnęła go w bok, przewracając na plecy, oparła stopę na jego piersi i wymierzyła z miotacza żelaza między jego oczy. Daken wszedł majestatycznie do sypialni i otarł się o jej nogę.

– Kim jesteś? – warknęła.

– Gendo – wysapał mężczyzna. – Gendo!

– Nie pytałam o twoje imię! – wrzasnęła Hana. – Pytałam się, kim jesteś!

– Dziecięciem Skorpiona. – Zbir ściągnął swoją kamizelę uwagi z ramienia, odsłaniając dwa walczące ze sobą skorpiony wyraźnie widoczne między innymi tatuażami. – Dziecięciem Skorpiona...

– Yakuza? – Hana zamruwała. – Nie ro...

Yoshi przepchnął się obok siostry, przyklęknął przy mężczyźnie, chwycił go za kołnierz i uderzył pięścią w twarz. Na podłogę wypadło kilka zębów, a po brodzie gangstera popłynęła krew.

– Jak nas znaleźliście, sukinsynu? – wycedził Yoshi.

I wtedy Hana wszystko zrozumiała. Jeszcze zanim drab zdążył nabrać

powietrza, jeszcze zanim zdążył wymówić choć słowo. Stosy monet, nocne wypadły na miasto, rana na boku Yoshiego...

– Bogowie, Yoshi... Obrobiliście pieprzoną yakużę?

Yoshi ponownie uderzył zbira, a następnie chwycił go za krocze i ścisnął mocno.

– Jak nas znaleźliście? – ryknął.

I Gendo wszystko im powiedział.

Widok ciała Jurou był dla Hany łatwiejszy do zniesienia od widoku rozpaczły Yoshiego.

Bruk wokół zwłok był cały pokryty krwawymi śladami maleńkich stóp i truchłami zatrutych szczerów. Wszędzie dokoła tańczyły złowieszcze cienie budynków oświetlanych blaskiem pożarów szalejących w Dokach. Ziemia zatrzęsała się i południowe niebo rozjaśniła kula ognia. W jej świetle Hana mogła się lepiej przyjrzeć ciału, chociaż chęć odwrócenia wzroku była niemal nie do odparcia. Skóra Jurou była już bardzo błada. Przy stopach i dłoniach brakowało palców. W ustach brakowało zębów.

– Dobrzy bogowie – wyszeptła. – Jurou...

Yoshi opadł na kolana i zakrył usta dłońmi. Spomiędzy drżących palców popłynęła bezkształtna, nieartykułowana rozpacz. Brat Hany kołysał się w przód i w tył, zaciskając mocno oczy i rwąc włosy z głowy. Rozpaczliwe łkanie wstrząsało całym jego ciałem.

– Sukinsyny – wysyczał Yoshi przez zaciśnięte zęby i objął się ramionami. – Wy pierdolone sukinsyny...

– Yoshi, musimy się stąd zabierać.

– Hano... Zobacz, co oni mu zrobili...

– Wiem. – Położyła łagodnie dłoń na jego ramieniu. – Ale na ulicach jest pełno bushich, a do tego yakuza na pewno nie przestanie nas ścigać. Musimy uciekać.

...ludzie skorpionów...

– Yoshi, wstawaj!

...nadchodzą...

Hana dźwignęła brata na nogi i siłą odwróciła od doczesnych szczątek Jurou. Usłyszała zbliżające się krzyki i tupot wielu stóp. Na drugim końcu zaułka dostrzegła groźne twarze ich prześladowców. Ich kolejne krzyki zagłuszył ryk silników przelatujących nad nimi lotostatków. Hana chwyciła Yoshiego za rękę i puściła się biegiem.

„Którędy?”

...w dół biegnij w dół tłum hałas schowacie się...

Ciągnęła za sobą brata wciąż zmagającego się ze łzami wylewającymi się z oczu i ciężarem w sercu. Wypadli z zaułka na ulicę wypełnioną zgiełkiem i wielobarwnym tłumem ludzi w jaskrawych jedwabiach, z twarzami przesłoniętymi kosztownymi aparatami oddechowymi, niosącymi na rękach swój najcenniejszy dobytek. Szacowni mieszkańcy Góry uciekali w stronę pałacu niczym szczury z płonącego statku. Powietrze było przesycone dymem. Nad głowami co rusz przelatywały huczące lotostatki. Z głośników dobiegały ponawiane wezwania do pozostania w domach.

Rzuciła się wprost w ludzką cizbę, chcąc wtopić się w to wezbrane morze brudu i barw. Na środku ulicy stała motorowa ryksza z włączonym silnikiem. Kierowca nie zdejmował praktycznie dłoni z klaksonu, co jednak nie przynosiło żadnego skutku. Po jakimś czasie mężczyzna przestał trąbić, wdepnął gaz i ruszył w stronę pałacu, nie bacząc na potrąconych pieszych.

Hana rozejrzała się po przepływającym wokół nich tłumie. Przysięgłaby, że usłyszała gdzieś z boku odgłosy walki. Głuchy stuk uderzających pałek, brzęk tłuczonego szkła. Objęła mocno przepełnione milczącą rezygnacją Yoshiego i dała się ponieść ludzkiej fali.

Po paru krokach zabrzmiał jej w głowie zabarwiony lękiem głos Dakena.

...za wami ludzie skorpionów widzieli was...

„Którędy mamy uciekać?”

...w lewo najlepiej w lewo...

Hana skrzyła i pociągnęła Yoshiego za sobą, z trudem przebijając się

przez stłoczonych ludzi. Rzuciła okiem przez ramię, ale nikogo nie dostrzegła. Wciąż jednak słyszała przebijające się przez pomruk tłumu odgłosy walki i wyszczekiwane polecenia. ...doganiają was uciekajcie biegiem!...

Przebili się w końcu do przesmyku między dwoma chylącymi się ku sobie budynkami, pozostawiając za sobą gorąc i ciasnotę ciżby ludzkiej. Ktoś za nimi głośno zaklął. Między sunącymi w stronę pałacu ludźmi mignęło wytatuowane nagie ciało. Ruszyli przed siebie, przeciskając się między ścianami, brnąc po kolana w rozkładających się odpadkach. Dłoń Yoshiego była śliska od potu i krwi. Do tego ciągle się potykał, jakby szedł w półśnie. W pyłe i kurz oblepiającym mu twarz wyschnięte już żyły wyżłobiły liczne kanały.

– No dalej, Yoshi – wyszeptwała z naciskiem. – Biegiem.

Ich uszu dobiegły ciężkie kroki i odgłos skóry szorującej po ścianach budynków. Rodzeństwo wypadło na wąską uliczkę zastawioną pustymi teraz straganami. Odtrącili na bok grupę rynsztokowych sierot kopiących zapamiętałe przewróconego rozgłaszacza Gildii, który wciąż obracał gaśnicami i bił dzwonekami na alarm. Po kilkunastu krokach Hana obejrzała się przez ramię i ujrzała wykrzywione w gniewie twarze, wytatuowane ciała i błysk stali w zaciśniętych dłoniach. Gonił ich co najmniej tuzin żołnierzy yakuzy. I byli coraz bliżej.

Yoshi wpadł na porzucony wózek ulicznego handlarza i wywrócił go, zasypując bruk starymi garnkami i dziecięcymi zabawkami. Wskutek zderzenia stracił równowagę i Hana musiała zwolnić kroku, aby go podtrzymać i uchronić od upadku.

...w lewo biegnijcie, teraz w lewo...

Daken popędził po dachach, mknąc niczym czarny cień na tle łuny pożarów. Truposzczury uciekały z piskiem pod ściany przed coraz większą liczbą ludzi i rozprzestrzeniającymi się pożarami. Po niebie przetoczył się huk gromu, zlewając się w jednostajny pomruk z rykiem silników lotostatków. Przecinające mrok snopy światła reflektorów przypominały błyskawice.

...skręć w prawo do zaułka...

Oddychali coraz ciężej, pot coraz obficie zalewał im oczy.

...w lewo, w lewo, szybciej!...

– Szybciej! – krzyknęła Hana, ściskając mocniej ramię brata i ciągnąc go za sobą.

– Nie mogę!

...uwaga...

Wylot zaułka przegrodziły dwie wytatuowane góry mięśni z mordem w oczach. Na widok rodzeństwa wyszczerzyli zęby w niezwiastujących nic dobrego uśmiechach. Niewiele myśląc, Hana wyszarpnęła miotacz żelaza zza spodni, wycelowała prosto w twarz większego ze zbirów i nacisnęła spust.

Broń wydała z siebie głuchy stuk.

Potężny brutal wpadł jej na plecy, pozbawiając tchu. Hana krzyknęła krótko i zaatakowała połamanymi paznokciami oczy mężczyzny. Wytatuowane ramiona objęły ją wpół, wraziła więc kolano prosto w krocze napastnika. Jednocześnie wrzeszczący wniebogłosy Yoshi okładał go znalezionym w kupie śmieci kawałkiem zardzewiałej rury. Kolejnych dwóch zbirów zwaliło go z nóg i przygwoździło do ziemi, wywołując rwący potok przekleństw, przerwany brutalnie kopniakami w żebra i twarz. Chłopak odwinął się i trafił stopami w kolano jednego z napastników, miażdżąc rzepkę. Gangster zawył przeciągle i chwycił złamane kolano. Chwilę później kolejne kopniaki posypały się na głowę Yoshiego, spryskując splekany bruk krwią.

Wytatuowane zbiry dźwignęły rodzeństwo na nogi. Hana wciąż jeszcze wiała się i szalała w uścisku, ale Yoshi zwiślał bezwładnie w rękach swoich oprawców, krwawiąc z nosa i uszu. Krzyczała, wołała go po imieniu, ale on nie reagował. Uniósł wzrok i dostrzegła na skraju dachu ciemną sylwetkę o zmierzwionej sierści, postrzępionych uszach i żółtych oczach.

„Dakenie, pomóż nam!”.

...Hana...

„Proszę!”.

Poczuła w koczurze kotłowanie wewnętrzny konfliktu. Pragnienie ruszenia z pomocą było stopniowo tłamszone pęczniącym strachem i

graniczącym z pewnością przekonaniem, że nie byłby w stanie nic zrobić. Jeden kot przeciwko połowie tuzina zaprawionych w ulicznych bojach zbirów?

...zbyt wielu...

„Pomocy!”.

...przykro mi...

Czuła, że jeszcze się zawahał, kiedy Dzieci Skorpiona otoczyły ich kręgiem. Nad ich głowami przeleciał z rykiem silnika lotosta- tek klanu Feniksa, szatkując dachówki serią shurikenów. Wtedy ku swojej wielkiej rozpaczycy poczuła, że Daken rzucił się do ucieczki. Pomknął po dachach niewidzialny niczym cień, byle dalej od ognia i dymu. Krzyczała za nim, żeby się zatrzymał, błagała go o pomoc.

„Nie zostawiaj nas!”.

Ale on już zniknął w dali.

Wytatuowani członkowie yakuzy wykrzywiali pokancerowane facjaty w mrozących krew w żyłach grymasach. Hana spojrzała w twarz ich przywódcy. Patrzył na nią z zimną nienawiścią, obnażając zęby przypominające wysypisko śmieci. W dłoni ścisnął trzonek tetsubo.

– Zabiliście Hidę. – Wzniósł pałkę do ciosu. – Wkrótce będziesz żałowała, suko, że nie stało się na odwrót.

Uderzenie odebrało jej przytomność.



Pałac daimyo opanował chaos, a słowicza podłoga śpiewała w rytm jego kroków. Niesiony wiatrem od miasta swąd spalenizny mieszał się z zapachami dobiegającymi z kuchni. Przystawki leżały nietknięte na biesiadnych stołach. Panikę wywołaną początkowo atakiem Kagé szybko zastąpiły wściekłość, przysięgi zemsty i wydobyte z pochew miecze. I oto daimyo klanu Tora poprowadził swoich samurajów w stronę miasta. Daimyo klanu Smoka ze swoją gwardią przyboczną podążył za ponurymi mężczyznami o twarzach pokrytych popiołem, chodzącymi umarłymi raz jeszcze wypuszczonymi na ulice Kigen niczym sfera głodnych wilków wpadająca między owce.

Przez bramy pałacowe wymaszerowała blisko setka zbrojnych. Wszyscy co do jednego byli zakuci w ogromne żelazne zbroje wypluwające z rur wydechowych spaliny chi. Proporce trzepotały dumnie nad ich głowami na gorącym wietrze niosącym teraz nie tylko swąd palącego się drewna, ale i smród spalonego ciała. Wyglądająca z okna na piętrze skrzydła służby Michi odprowadziła ich wzrokiem z ponurym uśmiechem na twarzy.

„Wkrótce nie będą wiedzieli, skąd spodziewać się ataku”.

Wzięła pudło od Ichizo i przekradła się korytarzami do przejść dla

służby. Przemknęła przez opuszczone pomieszczenia kuchenne, pokoje sprzątaczek, potem w dół do siłowni z generatorem, do naoliwionych szmat i jęzorów ognia. Z pomieszczeń reprezentacyjnych docierał do niej pomruk cichej paniki, lęku rozprzestrzeniającego się wśród pozostałych w pałacu możnych, którzy jednak tłumili te uczucia pod stoicką fasadą, maską honoru, nie chcąc stracić twarzy. Okazać tym psom Kagé cokolwiek poza całkowitą pogardą uchodziłoby za niestosowne, a wręcz haniebne! Należało pokładać niezachwianą wiarę w umiejętności daimyo i ufać, że wkrótce przywróci spokój i porządek w swojej stolicy. Trzęsące się ze strachu żony szybko należycie zganiono. Goście powrócili do sali bankietowej, co chwila rzucając ukradkiem nerwowe spojrzenia na malowane ogniem niebo.

Wtedy właśnie w pałacu rozpętało się piekło.

Zaczęło się od potężnego wybuchu w piwnicach, który rozerwał generatory na strzępy i podpalił parter całego wschodniego skrzydła. W sali bankietowej wybuchła panika, dworzanie zaczęli biegać korytarzami bez ładu i składu. Jakiś przytomny człowiek szybko zebrał pozostałych w pałacu bushich i ustawił ich w szereg od przepływającego przez ogród strumienia do drzwi prowadzących do piwnicy. Żołnierze lali w buchające z podziemi płomienie wiadro za wiadrem mętną wodę, czasem z dodatkiem pechowego karpia koi.

Wszyscy goście opuścili ostatecznie ucztę. Drobili małymi kroczkami wymuszonymi krojem ceremonialnych strojów, ukrywając pobladłe z przerażenia twarze za pięknymi aparatami oddechowymi i trzepoczącymi nerwowo wachlarzami. Świta daimyo klanu Smoka zamknęła się w kwaterach gościnnych. Przed zabarykadowanymi drzwiami stanęła ich osobista straż. Wkrótce jednak drzwi ponownie stanęły otworem i wszyscy na powrót zaczęli krzyczeć i biegać, umykając przed ogniem, który rozprzestrzenił się już na bielone dachówki z drewna cedrowego. W przesyconym gryzącym dymem powietrzu tańczył gorący popiół.

W pałacu zapanował ogólny harmider: tupot ciężkich butów i bosych stóp zmieszał się z wykrzykiwanymi rozkazami i biciem dzwonów. Dym

snuł się korytarzami i przesączał przez szparę pod drzwiami pokoju, do którego Michi właśnie wślizgnęła się z powrotem. Odczekawszy chwilę, otworzyła drzwi, wyszła na korytarz i ruszyła w stronę skrzydła cesarskiego.

Jeśli widok ślicznej dziewczyny niosącej szkarłatne pudło prezentowe wydawał się przebiegającym koło niej bushim dziwny, ewidentnie mieli na głowie o wiele ważniejsze sprawy. Michi obeszła łukiem werandę, pozostawiając za plecami bushich starających się ugasić pożar w piwnicy. Krzyknęła przebiegającemu oddziałowi straży, że widziała buntowników przeskakujących nad zachodnim murem. Podziękowali jej głośno i pobiegli ile sił w nogach we wskazanym kierunku. Nie niepokojona weszła po schodach skrzydła cesarskiego i minęła pokoje do odprawiania ceremonii parzenia herbaty, nie przejmując się donośnym śpiewem słowiczej podłogi. Szła cały czas z pochyloną głową, nie podnosząc wzroku na przebiegających obok strażników. Wszyscy krzyczeli na służących, żeby przynieśli więcej wody. Skrzydło gościnne przypominało pole lotosu płonące w upalny letni dzień.

Od strony miasta dobiegał szcęk stali uderzającej o stal i głuchy terkot miotaczy shurikenów. Jeden z mechanicznych pajaków wbiegł z charakterystycznym stukotem na balustradę balkonu i spojrzał w stronę zapadającego się właśnie dachu skrzydła gościnnego. W jego małym, lśniącym oku odbijały się jasne płomienie. Michi przyspieszyła kroku i przemknęła antresolą biblioteczną, aż dotarła tak daleko, jak mogła racjonalnie oczekiwać, że dotrze.

– Stać!

Czterech bushich zagradzało jej drogę do komnat daimyo. Olbrzymie podwójne odrzwia za ich plecami były zamknięte. Wszyscy nosili czarną zbroję i żelazne hełmy z dodatkową osłoną twarzy. W dłoniach ściskali nagamaki. Ten korytarz był zdecydowanie szerszy od ciasnych przejść w skrzydle dla służby.

Wystarczająco szeroki, aby swobodnie posługiwać się długą bronią. A jeśli ktoś dostał zaszczytu trzymania straży przed drzwiami prowadzącymi do komnat daimyo, musiał być wytrawnym szermierzem.

- Ty tam! - warknął dowódca bushich. - Co tu robisz?
- Przyniosłam podarki - odparła, wyciągając przed siebie niesione pudło.
- Podarki? Co to znowu za obłęd? Kto ty jesteś?
- Michi-san - odezwał się jeden ze strażników. - Poznaję ją, służyła Pierwszej Córce.

Dowódca postąpił krok naprzód.

- Nikomu nie wolno widzieć się z twoją panią, panienko Michi. To rozkazy samego daimyo. Lepiej zejdź na dół i pomóż przy...

Sięgnęła do wnętrza pudła i chwyciła rękojeści, pozwalając szkarłatnemu kartonowi upaść na podłogę. Oczom zdumionych bushich ukazały się odpowiednio cztery i trzy stopy łagodnie wygiętej stali i lśniących zębów broni łańcuchowej. Michi przestawiła kciukami przełączniki rozruszników na rękojeściach i silniki błyskawicznie ożyły, wprawiając ramiona i całe tułów w rytmiczne drgania, przywołując na umalowane usta lekki uśmiech.

Michi przesunęła przepustnice katany łańcuchowej i wakizashi Ichizo, zdarła wierzchnią warstwę sukni junihitoe i zrzuciła drewniane sandały. Przyjęła postawę szermierczą i zataczała mieczami kręgi w powolnym, hipnotyzującym tańcu wielokrotnie skuwa- nej stali.

Dowódca strażników był bezgranicznie zdumiony. Bushi wymienili za jego plecami rozbawione spojrzenia i uśmiechnęli się ironicznie, usiłując bez większego powodzenia stłumić śmiech.

- Odłóż to, dziewczyno, zanim zrobisz sobie krzywdę - powiedział dowódca.

Michi skoczyła do przodu ze zmrużonymi oczami i błyskającymi spomiędzy rozchylnych warg zębami. Musiała oddać dowódcy, że pierwszy się opanował i przyjął coś na kształt postawy szermierczej. Dziewczyna opadła na kolana, siłą rozpędu i dzięki pierwszorzędnej jakości jedwabiu z tkalni Kitsune sunąc gładko po wypolerowanych deskach podłogi. Ostrze nagamaki dowódcy straży przemknęło niegroźnie nad jej głową. Mijając przeciwnika, cięła jego nogi. W powietrze wystrzeliła fontanna krwi, kręcące się ostrze łańcuchowe

przeszło przez kość jak przez masło. Dowódca upadł z opętańczym wrzaskiem na podłogę, podczas gdy ona stała już z powrotem na nogach i odrąbywała kataną przedramię najbliższego bushiego, jednocześnie zbijając szybkie pchnięcie kolejnego przeciwnika. Żołnierze w końcu zrozumieli powagę zagrożenia. Stał zderzyła się ze stałą, w powietrze strzeliły iskry. Dziewczyna tańczyła między przecinającymi powietrze ostrzami niczym dym między palcami, stawiając kroki w takt muzyki, której sama nadawała rytm.

Ostrze miecza przecięło gardło i na ścianę trysnęła struga krwi. Zbicie, kopniak z półobrotu, pchnięcie, ponownie krew. Serce łomotało jej w piersi w rytm tego szaleńczego płąsu śmierci.

A potem był bezruch.

Zdmuchnęła z oczu niesforny kosmyk włosów i przełączyła silniki swoich mieczy na bieg jałowy. Skapująca z ostrzy krew tworzyła na podłodze coraz większe kałuże. Michi obejrzała się na nieruchome ciało dowódcy.

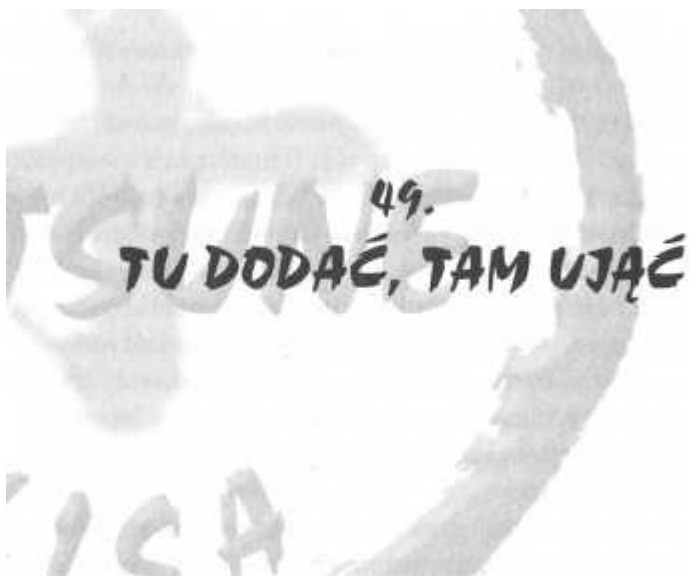
– Chyba jednak wam zrobię krzywdę – rzuciła.

Otarła przedramieniem policzek, mażąc sobie twarz na czerwono i spojrziała na stojące jej na drodze drzwi. Były wykonane z drewna sugi okutego żelazem. Nity z łbami wielkości pięści, a całość gruba na pięć, może nawet sześć cali. Gdyby miała czas, zdołałaby zapewne przetrąbać się na drugą stronę. Ale czekający po tamtej stronie strażnicy zgotowaliby jej wtedy gorące powitanie. A sądząc po hałasie za jej plecami, wielu innych usłyszało krzyki umierających bushich i teraz spieszyło w tę stronę przekonać się, co się stało.

Spojrziała jeszcze raz na drzwi stojące między nią a miejscem, gdzie musiała się dostać.

Obejrzała się na korytarz, którym tu przysła.

I wtedy, tknięta nagłą myślą, uniosła wzrok na sufit.



Yoshiego obudziły wiadro lodowatej wody chluśnięte prosto w twarz i uderzenie otwartą dłonią, od którego kilka zębów poluzowało się w dziąsłach. Jego uszu dobiegały stłumione odgłosy kłębiącego się gdzieś w oddali tłumu, huczących płomieni i ryczących silników lotostatków. W powietrzu unosiły się smród potu i starego ziele lotosowego oraz ostatnio aż nazbyt znajomy zapach krwi. Gdy odzyskał jasność myśli, przed oczami stanął mu Jurou leżący bez życia na bruku, z wyżartymi przez szczury oczami i powyrywanymi palcami u dłoni i stóp. Nienawiść zapłonęła w nim tak gorąco, że czuł się, jakby włosy miały mu zaraz stanąć w ogniu.

Kolejne uderzenie w twarz, mocniejsze.

– Pobudka – wyseplenił ktoś warkliwym głosem.

Potrząsnął głową, odrzucając włosy z oczu, i zamrugał kilkakrotnie, usiłując przystosować wzrok do panującego w pomieszczeniu półmroku. Ręce miał związane za plecami. Linę zaczepiono o hak zwisający z sufitu na łańcuchu i zebrano tak, aby musiał stać na palcach. Miał na sobie tylko swoją nową hakamę, teraz całą poplamioną krwią i brudem ulic Kigen. Betonową posadzkę, na której stał, pokrywały lepkie ciemne plamy. Jedyne źródłem światła była niewielka żarówka. Na skraju pola

widzenia dostrzegł około tuzina mężczyzn i kobiet przyglądających się mu z założonymi rękami w sposób, w jaki truposzczury przyglądają się konającemu wydającemu swój ostatni dech. W pustym miejscu między tatuażami na ramionach ścierały się dwa skorpiony.

Yoshi spojrział przed siebie i serce zamarło mu w piersi.

Nieprzytomną Hanę trzymało dwóch groźnych mężczyzn z ire- zumi pokrywającymi całe ciało. Ręce miała związane, przepocone włosy oblepiały jej twarz, z nosa powoli kapąła krew.

Przeniósł spojrzenie na zbira, który go uderzył. Jego oprawca był chudy i żylasty. Okrutna, trójkątna twarz zdradzała kogoś, kto całe życie spędził na ulicy i dobrze sobie na niej radził. Spojrzenie ciemnych oczu było przesyczone nienawiścią. Rozpoznał go od razu – to był partner hazardzisty. W dłoni mężczyzny dostrzegł długie szczypce.

– Pobudka, leniuchu.

– Pierdol się – warknął Yoshi.

– Zabawne. – Zbir uśmiechnął się, prezentując nierówny rząd żółtych zębów. – Twój chłoptaş wysławiał się bardzo podobnie.

Yoshi spróbował rzucić się w jego stronę, ale jedynie zakręcił się wkoło na zwisającym z sufitu łańcuchu. Mężczyzna zaśmiał się, prezentując poźółkłe resztki uzębienia w całej okazałości. Jego oddech przyprowadził Yoshiego o mdłości.

– Nazywam się Seimi. – Gangster przycisnął szczypce do policzka Yoshiego. – Moja twarz będzie ostatnią rzeczą, którą w życiu zobaczysz. I za to chyba powinienem cię przeprosić.

– Moja siostra nie miała z tym nic wspólnego. Wypuście ją.

– Nie miała z tym nic wspólnego? – Seimi uniósł brew. – Co ty nie powiesz...

Zbir obrócił się do stołu stojącego na skraju kręgu światła rzucanego przez żarówkę. Na blacie leżało chyba każde narzędzie, jakie Yoshi potrafił nazwać: piły, śrubokręty, obcinaki, wiertarki, szczypce, młotek, palnik zasilany chi. Obok narzędzi stały butelka sake i miska soli.

Seimi chwycił wiadro i chlusnął wodą w twarz Hany, po czym uderzył ją mocno w twarz. Dziewczyna wymamrotała coś pod nosem i powoli

podniosła głowę. Zamrugła opuchniętą powieką podbitego oka, usiłując wyostrzyć wzrok.

– Hej, ślicznotko. – Seimi chwycił jej twarz swoją wielką dłonią i ścisnął mocno.

– Yoshi?

Serce chłopaka niemal pękło, gdy usłyszał czyste przerażenie w jej głosie.

– Yoshi, co się dzieje?

– Wszystko w porządku, siora. – Starał się zachować spokojny głos, broniąc się przed napływem hysterii. – Wszystko będzie w porządku.

– Słyszałaś, ślicznotko? – Seimi nachylił się i spojrzał jej z bliska w twarz. – Twój brat, złodziejskie nasienie, powiedział, że wszystko będzie w porządku. Czy to koi twoje serce?

– Sukinsyny, puśćcie ją! Ona nie ma z tym nic wspólnego!

Hana trzęsła się tak mocno, że aż dzwoniła zębami. Szarpnęła się, ale trzymający ją mężczyźni byli od niej dwukrotnie więksi i zdecydowanie silniejsi. Seimi przesunął dłoń w dół jej szyi i rozchylił kołnierz tuniki. Na widok wisiora ze złotym jeleniem oczy zapłonęły mu pożądliwością.

– Dość!

Głos był niski i zimny jak stal.

Nowa osoba w pomieszczeniu stąpała lekko i oddychała spokojnie, miarowo. Po chwili w krąg światła wkroczył niski, opalony mężczyzna w prostym ubraniu. Siwiejące włosy zaczesał do tyłu. Spod cienkich brwi na Yoshiego spoglądały puste, czarne oczy.

– Czy wiesz, kim jestem?

– Nie – odparł Yoshi, z trudem łapiąc oddech. – Nie wiem.

Mężczyzna zbliżył się do niego, zatrzymując się zaledwie kilka cali od jego twarzy. Stał tak blisko, że Yoshi doskonale widział poszczególne pory na jego skórze i zmarszczki okalające bezdenne oczy. W głosie nieznanego nie było gniewu ani nawet cienia wrogich zamiarów.

– Jestem tym, który zapłacił wam za pokój w pensjonacie, za ubrania na waszym grzbiecie i za tatuaże na waszej skórze. Zapłaciłem za wasz

lotos i wasze sake. Jestem tym, któremu spluwaście w twarz za każdym razem, gdy wydawaliście choć jedną z ukradzionych mi monet.

– Przepraszam. – Yoshi przełknął ślinę. – Naprawdę przepraszam. Ale proszę, moja siostra nie miała z tym nic wspólnego. Proszę...

– Jak się nazywasz?

– Yoshi...

– Mnie zwań Dżentelmenem. – Mężczyzna spojrział na pozbawione tatuażu ramię Yoshiego. – Jesteś z pospólstwa?

– Hai.

– To wiele wyjaśnia. – Powolnymi, drobnymi krokami Dżentelmen zaczął obchodzić Yoshiego dokoła. – Czy wiesz, Yoshi-san, na czym polega różnica między nami?

– Nie...

– Tak samo jak ty jestem burakuminem. Gdy się urodziłem, nie miałem nic. Klanu, rodziny, nawet imienia. I tak samo jak ty musiałem robić straszne rzeczy, żeby zwyczajnie przeżyć. – Dżentelmen potrząsnął głową. – Te wszystkie rzeczy, które zrobiłem, Yoshi-san. Te wszystkie rzeczy, które zrobię...

Mężczyzna zatrzymał się przed Yoshim i spojrział mu prosto w oczy.

– Ale nie jestem złodziejem. Wszystko, co mam, okupiłem własnym potem i krwią. Miałem dość przyzwoitości, aby spojrzeć w oczy ludziom, którym odbierałem wszystko, co mieli. Na tym właśnie polega różnica między nami. Dlatego właśnie ja tu stoję, a ty wiesz na haku. Bez tej swojej ręcznej armaty. – Z każdym słowem Dżentelmen o cal przybliżał swoją twarz do twarzy chłopaka. – Jesteś. Zwykłym. Tchórzem.

Yoshi nie odpowiedział. W głowie kotłowały mu się desperackie myśli. Szukał czegoś, czegokolwiek, co pozwoliłoby mu wydostać siostrę z tego bagna, w które ją wciągnął. Bogowie, nie Hana, błagam...

– Mówisz, że twoja siostra nie jest niczemu winna? – Dżentelmen spojrział na nią, potem z powrotem na Yoshiego. – Ze nic nie wiedziała o twoich działaniach przeciwko Dzieciom Skorpiona?

Pot spływał obficie po twarzy Yoshiego, oczy nabiegały mu krwią.

– Nic a nic.

– I chciałbyś, żebyśmy puścili ją wolno?

– Ona na to nie zasługuje. – Chłopak oblizał rozcięte usta. – Ze mną zróbcie, co chcecie. Zasłużyłem na to. Ale ona nie zasłużyła, żeby na to patrzeć.

Dżentelmen wpatrywał się w przestrzeń z lekko przechyloną na bok głową, jakby wsłuchiwał się w słyszalne tylko dla niego głosy.

– W zasadzie masz rację, Yoshi-san. Absolutnie nie zasłużyła, żeby na to patrzeć.

Yoshiego zalało tak silne uczucie ulgi, że niemal załkał. Zaczął mamrotać nieskładne podziękowania pod adresem Dżentelmena, który się odwrócił, podszedł do Seimiego, wyjął z jego zgrabiałej dłoni szczypcę i błyskawicznie, między jednym uderzeniem serca a drugim, nachylił się do Hany i wyrwał jej oko.

Yoshi nigdy nie podejrzewał, że ktoś może krzyczeć tak głośno. Zanim zdążył coś pomyśleć, do krzyku siostry dołączył jego krzyk – pierwotny, nieartykułowany ryk nienawiści. Rzucił się w więzach, pluł na prześladowców, wrzeszczał, ile tylko miał sił w płucach. Dżentelmen dotknął mężczyzn trzymających Hanę, a ci upuścili ją na podłogę. Dziewczyna zakryła twarz skrępowanymi dłońmi, zwinęła się w kłębek i krzyczała. Krzyczała tak długo, że serce Yoshiego było o włos od pęknięcia ze zgryzoty. Płynące z oczu łzy zamgliły mu wzrok. Otaczający go członkowie yakuzy złali się w jedną rozmazaną plamę. We wdychanym łąpczywie powietrzu wyczuwał coraz silniejszą woń dymu.

– Ty sukinsynu! – wrzeszczał. – Ty pierdolony sukinsynu!

Dżentelmen upuścił szczypcę z grymasem odrazy na twarzy

Narzędzie upadło na betonową posadzkę z głuchym brzękiem.

Następnie przywódca yakuzy wyciągnął zza poły uwagi chustkę i przystąpił do metodycznego wycierania rąk z krwi, jednocześnie zwracając się do Seimiego spokojnym, miarowym głosem.

– Dziewczynę wypuście, gdy będzie po wszystkim. Ale on? – Dżentelmen zlustrował Yoshiego od stóp do głów. – Jego cierpienie ma być legendarne. Całe Kigen ma wiedzieć, zapamiętać po kres swych dni,

jaka jest cena zadarcia z Dziećmi Skorpiona. Jeśli jesteś prawdziwym artystą, bracie, niech ciało tego chłopaka będzie płótnem, na którym stworzysz swoje arcydzieło. A kiedy z nim skończysz, wywieś go na murze przy rynku, żeby zobaczył go cały świat. Rozumiesz, co mam na myśli, Seimi-san?

Zapytany okrył pięść dłonią i się skłonił.

– Oyabunie.

W oddali zabrzmiał huk eksplozji. Chwilę potem zadudnił miarowy krok maszerujących żołnierzy, do którego wkrótce dołączyły brzęk stali i głośne krzyki.

– A teraz, jeśli mi bracia raczą wybaczyć, czekają na mnie żona z synem.

Dżentelmen spojrział jeszcze raz na łkającą w kałuży krwi Hanę, po czym wydał usta i założył ręce za plecami. Na krótką chwilę, na ułamek oddechu, w jego bezdennych oczach mignął cień współczucia. Jednak gdy mrugnął, nie pozostał po nim żaden ślad. Wyglądało to tak, jakby w bezkresnym czarnym oceanie na chwilę rozbliżyła jedna świeczka, aby po chwili zgasnąć. Przywódca yakuzy skinął ręką na stojących na skraju kręgu światła gangsterów i opuścił pomieszczenie. W ślad za nim podążyło ośmioro Dzieci Skorpiona. Uszu Yoshiego dobiegł odgłos otwieranych ciężkich drzwi. Na krótką chwilę odległy zgiełk i zapach dymu w powietrzu przybrały na sile, aby wkrótce ponownie osłabnąć, gdy drzwi zamknęły się za wychodzącymi.

Seimi przyglądał się chłopakowi spomiędzy zmrużonych powiek.

– Masz jaja, śmieciu, muszę ci to przyznać.

Zbir podszedł do stołu, podniósł leżący na nim palnik i uśmiechnął się lekko.

– Ale już niedługo.

Yoshi nabrał powietrza i wstrzymał oddech na tak długo, jak tylko zdołał.

A na podłodze, zwinięta w ciasny kłębek we własnej krwi, z tępym bólem w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą było jej oko, łkała Hana.

I się trzęsła.

I wspominała.

Butelka pomknęła szerokim łukiem i wbiła się w gardło ich matki. Wpowietrzu trysnęła fontanna lepkiej, jasnej i cieplej krwi. A Hana zrobiła wtedy to, co zrobiłaby na jej miejscu każda trzynastoletnia dziewczyna.

Yoshi zaatakował ojca, wrzeszcząc wniebogłosy i wymachując pięściami. Trafił rodziciela w policzek, potem w szczękę. Walczący runęli szczeni na stół, rozbijając go w drzazgi. Hana stała nad ciałem matki i krzyczała. Pulsujący ból w głowie sprawiał wrażenie, jakby lada chwila miał rozsadzić jej czaszkę. Patrzyła na rozcięte gardło i te piękne błękitne oczy, już na zawsze pozbawione życia. I krzyczała.

Ojciec odrzucił Yoshiego na bok i splunął przez zaciśnięte zęby. Twarz miał purpurową z gniewu, nabrzmiałe żyły pulsowały w rytm bicia serca.

– Ty mały draniu, zabiję cię – warknął.

Wzniósł stłuczoną butelkę do kolejnego ciosu i pochylił się nad zwijającym się z bólu synem. Krew na szkle, krew na jego dtoniach. Krew ich matki. Czy zaraz miała na nich się znaleźć też krew jej brata? Była zbyt mała, aby go powstrzymać; zbyt mała, aby cokolwiek zrobić. Ale ona nie myślała racjonalnie. Rzuciła się z głośnym krzykiem na jego plecy i zaczęła okładać go swoimi małymi piąstkami, nie zważając na bezsensowność takiego działania.

– Nie, nie, nie – krzyczała z taką siłą, jakby w jej płucach zgromadziły się wszystkie burze i sztormy świata.

Ojciec obrócił się z przerażeniem wymalowanym na twarzy, tak jakby nie był w stanie uwierzyć, że ona też staje przeciwko niemu. Nie jego Hana, nie jego kwiatuszek.

– Dobrzy bogowie – powiedział. – Twoje oko... – Wyciągnął zakrwawioną butelkę w jej stronę, wykrzywiając cierpiętniczo twarz. – Bogowie w niebiesiech, nie. Tylko nie ty...

Teraz to Yoshi wskoczył na plecy ojca z głośnym krzykiem i zacisnął ramiona na jego szyi. Mężczyzna odwinął się łokciem i trafił syna w szczękę. Zęby zadzwoniły o siebie, pojawiła się krew i brat Hany upadł bez czucia pomiędzy resztki stołu.

Ojciec odwrócił się do niej i uderzył na odlew. Dziewczyna zakręciła się wokół własnej osi i runęła na kolana. Zanim zdołała się otrząsnąć, powalił ją na ziemię i przycisnął ramiona kolanami. Był zbyt ciężki, aby mogła się poruszyć. Z trudem nabierała powietrza, zanosząc się szlochem i błagając ojca o litość.

– Nie, tato, proszę, nie!

Przycisnął kikut odrąbanej ręki do jej gardła i poprawił chwyt dłoni na szyjce stłuczonej butelki.

– Powinienem być wiedzieć – syknął. – Powinienem być się domyślić, że to w tobie siedzi. Zatrula cię, to ona cię zatrula. – Wskazał butelką jej matkę, której oczy z tęczówkami koloru jedwabiu kimon klanu Smoka zasnuwała już mgła. – To siedzi w tobie – ciągnął jej ojciec. – Ty gaijiński śmieciu, tkwią w tobie te białe diabły. Aleja je widzę i mogę je wyjąć...

Przysunął butelkę do twarzy córki, o kilka cali od jej prawego oka. Zębate szkło odbijało się w jej tęczówce.

– Tato, nie! – Pokręciła głową i zacisnęła mocno powieki. – Nie, nie!

Butelka wbiła się w skórę twarzy.

– Mogę je wyjąć...



Świat wokół był tak jaskrawy, a kształty tak ostre, że Ayane czuła się, jakby zaraz miała zacząć krwawić z oczu.

Lekki powiew wiatru łaskotał ją w kostki u nóg i łydki. Ubranie gryzło nagą skórę, stawiając na baczność wszystkie nowe włoski pokrywające jej ciało. Gdy Kin obrócił się, aby na nią spojrzeć, poczuła na twarzy jego oddech, delikatny niczym piórko. Zadrżała od tego przeładowania bodźcami, od tego czucia. Wszystko było takie świeże i takie nowe. Ale było też coś jeszcze. Gdy przyglądała się siedzącemu przy oknie starcowi, trzęsącemu się, kaszlącemu i oddech za oddechem osuwającemu się nieuchronnie do grobu, ze sporym zdziwieniem zdała sobie sprawę, że w piersi wzbiera jej fala współczucia. Dla niego, stojącego na samym skraju w błogiej nieświadomości tego, co rozpościera się pod jego stopami, i dla niej, świadomej, że wszystko to zakończy się niemal tak szybko, jak się zaczęło.

Mechaliczydło nieustannie terkotało zarówno na jej piersi, jak i w jej głowie, wypływając dziesiątki rozkazów, raportów i pytań.

Pytań, na które pragnęła odpowiedzieć.

Kin spojrział na nią znacząco, jednocześnie łagodnie i stanowczo. Wstała więc, zapytała o drogę do wychodka, ukłoniła się nisko

Daichiemu i wyszła na klatkę schodową, stąpając cicho.

Trzy piętra niżej, w piwnicy Kagé, leżał rozłożony na stole plan bitwy z rozstawionymi figurami szachowymi, uczynionymi węglem znakami i rozrzuconymi tu i ówdzie skrawkami zapisanego papieru ryżowego. Ayane przyklęknęła w kącie, zwróciła twarz ku sufitowi i przesunęła palcem wzdłuż ramienia, rozkoszując się tym uczuciem. Spuściła wzrok na swoją skórę, aby obserwować drgające i wstające włoski. Palec podążył po ramieniu, nad pustym gniazdem poniżej obojczyka, w dół piersi... Aż trafił do celu, do gładkiego metalu i zimnych tranzystorów. Do tego szczebioczącego ciężaru wiszącego na sznurku na jej szyi. Dotknęła wystającego z boku urządzenia kabla w karbowanej gumowej izolacji, ujęła go w palce, uniosła do światła i przyjrzała się wtykowi na jego końcu.

Zamknęła oczy i skoncentrowała się na dotyku nocnego powiewu na skórze. Nabrała do płuc przesyconego dymem i popiołem powietrza. Wysłuchiwała się w brzmienie coraz głośniejszej orkiestry chaosu grającej rażno poza murami budynku. Wstrzymała oddech, tak jakby miała za chwilę wskoczyć do głębokiej wody, po czym włożyła kabel do gniazda pod obojczykiem i zdecydowanym ruchem przekreśliła blokadę mocującą. Oddech powoli cichł do słabego westchnięcia.

Palce zatańczyły na płycie urządzenia, przesuwając żetony to w jedną, to w drugą stronę, wirując w skomplikowanym tańcu języka maszyn. Wyczuła zmianę w nieustających rozmowach, przesunięcie ciężaru uwagi na nowy głos w eterze; na sygnał, którego nie słyszeli w chórze od dobrych paru tygodni. Usłyszała ich głosy w głowie, ich natarczywą paplaninę, i odgłosy prawdziwego świata powoli odpłynęły w dal. Gdy sygnały przesyłane przez nerwy jej ciała zamilkły, spod trzepoczących rzęs poleciały łzy, spływając po policzkach i odrywając się od ciała prawie zbyt znieczulonego, aby je zarejestrować.

Prawie.

Czołgali się kanałem ściekowym, nie wydając dźwięków głośniejszych od otaczających ich szczurów, które szczyrzyły swoje żółte zęby, gdy się zbliżali. Pierwsza posuwała się Kaori, starając się ignorować pot przesiąkający już przez przesłaniającą twarz chustkę. Drogę przed sobą oświetlała małą latarką żarnikową na korbkę. Pozostali Kagé podążali za nią gęsiego, oddychając ciężko w panującej w tunelu duchocie.

Skręcili już z pół tuzina razy w tym zdającym się nie mieć końca labiryncie, kiedy Kaori nagle zatrzymała się na skrzyżowaniu i obejrzała przez ramię na korytarz, z którego właśnie wyszła. Pająk spojrział na nią, mrużąc oczy od gryzących oparów.

– Czy na pewno wiesz, dokąd idziemy? – zapytał ledwo słyszalnym szeptem, dodatkowo stłumionym grubą warstwą tkaniny przesłaniającej mu usta.

Kaori skrzywiła się, obróciła i ruszyła naprzód.

Kiedy dotarli do kolejnego skrzyżowania, Kaori ponownie się zatrzymała, spojrziała w lewo, spojrziała w prawo i przygryzła wargę w zamyśleniu. Wyjęła zza pazuchy mapę i przyjrzała się jej rozszerzonymi oczami.

– Nic z tego nie rozumiem – wyszeptwała.

Pająk zmełł w ustach przekleństwo, zsunął chustkę z twarzy i splunął w ścieki, przez które brnęli.

– Na bębnym Raijina, w czym problem?

– Szukamy wyjścia awaryjnego do dolnego poziomu konserwacyjnego. Ale powinniśmy teraz natrafić na rozwidlenie, a nie skrzyżowanie.

Pająk odebrał Kaori mapę narysowaną przez Kina, brudną i uwalaną szlamem, ale wciąż czytelną. Porucznik Kagé zmarszczył brwi, studiując plan w migoczącym świetle, patrząc to przed siebie, to za plecy. Obrócił mapę do góry nogami i ponownie spojrział przez ramię.

– Ta mapa jest błędna – stwierdził. – Po skrzyżowaniu mineliśmy rozwidlenie z czterema odnogami, ale powinniśmy na nie natrafić dopiero po rozwidleniu podwójnym.

– Właśnie to próbowałam ci powiedzieć – syknęła Kaori.

– Ten wasz członek Gildii nie umie nawet porządnie narysować mapy

– warknął Pająk, zgniatając papier w dłoni. – Można by pomyśleć, że ten mały drań zrobił to celowo, żebyśmy się zgubili.

Kaori spojrzała na Pajaka. Pająk spojrzał na nią. Oczy kobiety powoli robiły się coraz większe.

– O bogowie...

– Co ty robisz?

Znajomy głos wyrwał Ayane z transu i śpiew mechalicydła uciął do poziomu szeptu. Dziewczyna otworzyła nabiegłe krwią oczy i spostrzegła stojącego w drzwiach Isao. Chłopak był czerwony na twarzy. Zaciskając dłonie na drzewcu niesamowicie ostrej kusarigamy, ruszył powoli w jej stronę.

– Miałaś tylko odbierać informacje, nie nadawać. Co ty robisz?

Ayane wstała i z czystym srebrzystym dźwiękiem rozwinęła ostre jak brzytwa ramiona wyrastające z kuli na jej plecach. Chłopak zamarł w pół kroku i dotknął palcami blizny na policzku, pamiątki po ich spotkaniu na mostku w lesie. Spojrzał na jej palce wciąż tańczące po żetonach mechalicydła i nabrał powietrza, aby zawołać po pomoc.

Czyjaś dłoń zacisnęła się na jego ustach. Isao wybałuszzył oczy i wydał z siebie stłumiony, urwany okrzyk. W półmroku zaśniło poplamione czerwoną posoką ostrze noża.

– Jak się nazywam, Isao? – wyszeptał Kin.

Isao się targnął, starając się panicznie dosięgnąć twarzy Kina. Młody Konstruktor uderzył ponownie. Z pleców Isao popłynęła obficie krew i chłopak osunął się na kolana, aby po chwili upaść twarzą na zakurzoną betonową posadzkę. Kin rzucił się na niego i dźgał nożem raz po raz, chlapiąc szkarłatem na pobliskie ściany. Dyszał ciężko, wciągając powietrze z sykiem przez zęby. W końcu wstał, zrobił krok do tyłu i splunął na nieruchome już ciało. Dłonie miał całe unurzane we krwi, twarz zaś bladą jak śnieg.

Ayane przyglądała się mu jak zahipnotyzowana. Srebrne kończyny za jej plecami falowały niczym długie, ostre gałęzie drzewa na łagodnym

wietrze. Po chwili podeszła do niego i spojrzała na ciało Isao leżące w rosnącej kałuży krwi.

– Dźgnąłeś go w plecy – zauważyła.

– No i?

Ayane sięgnęła jednym ze swoich pajęczych ramion i tknęła stygnącego trupa. Kin chwycił metal i spojrzał na nią gniewnym wzrokiem.

–Tylko dotykam... – powiedziała.

–To nie dotykaj.

– Jakie to było uczucie? – Przechyliła głowę i wpatrywała się w niego nieco zbyt rozszerzonymi oczami. – Zabić go. Jakie to było uczucie?

– Do cholery, Ayane, to nie jest na to właściwy czas.

– Gdzie są pozostali? Takeshi i Atsushi?

– Już się nimi zająłem. – Kin wskazał mechaniczdlto na jej piersi. – Zrobione?

– Hai. – Ayane sięgnęła bardzo powoli i dotknęła krwi na jego policzku. – Zrobione.

Kin schował nóż do pochwy i ruszył w górę schodów.

– Skończmy to więc.

Ayane zawahała się jeszcze przez chwilę, spoglądając na podziurawioną padlinę leżącą u jej stóp. Spojrzała na krople krwi spływające po ścianie, pozostawiające po sobie kręte ślady. Sięgnęła do nich dłońią i roztarła kilka na palcach. Wysunęła koniec języka spomiędzy nazbyt pełnych warg i dotknęła nim czerwieni na czubkach palców. Raz, tylko jeden raz. Zadrzała, czując metaliczny, słony smak.

Oblizwała wargi, obróciła się i podążyła po schodach w ślad za Kinem.

Nadal tkwił przy oknie.

Obrys jego sylwetki odcinał się głębokim cieniem na tle szalejących płomieni, nad którymi nieustannie krążyły z rykiem silników lotostatki. Nadawane z głośników wezwania do zachowania spokoju, wykonywania poleceń i rozejścia się wisiły w powietrzu razem z gęstniejącym dymem. Nawet na nich nie spojrzał, gdy weszli do pomieszczenia. Kin stał w

progu, cały umazany krwią. Ayane przesunęła się w kąt i rozłożyła przy ścianie aureolę srebrnych igieł.

– Zastanawiam się, jak nas zapamięta historia, Kin-san – powiedział Daichi. W jego głosie wyraźnie pobrzmiwał ból. – Zastanawiam się, co będą o nas mówić.

Kin odpowiedział bezbarwnym, wypranym z jakichkolwiek emocji głosem:

– Mnie zapewne nazwą zdrajcą.

Daichi kiwnął głową na tle pożogi.

– Zapewne.

– Ciebie nie będą nijak nazywać.

Daichi obrócił się do chłopaka z uniesioną w konsternacji brwią i nagle zamarł. Zarejestrował nieruchome spojrzenie, krew na dłoniach i na twarzy, wyraz twarzy skazańca.

– Nikt nie będzie pamiętać twojego imienia, Daichi – dodał Kin.

– Co... – Daichi oblizwał wargi, wpatrując się w krew na rękach chłopaka. – Coś ty uczynił, Kin-san.

– Powiedziałem ci wcześniej – odparł Kin. – Znalazłem sposób na zakończenie tego raz na zawsze.

Szyba w oknie pękła i w deszczu tłuczonego szkła na plecy Daichiego spadł spowity błękitno-białymi płomieniami lotoso-wiec. Impet uderzenia cisnął starca na podłogę i obaj mężczyźni przetoczyli się kilkakrotnie po deskach. Przez wybite okno wleciało kolejne pół tuzina opancerzonych napastników. Ryk ich plecaków odrzutowych był niemal ogłuszający, a całe pomieszczenie momentalnie wypełniło się gryzącym dymem.

Kopnąwszy najbliższego członka Gildii i pozbawiwszy go równowagi, Daichi przetoczył się na bok i dobył z wyświechtanej pochwy na plecach starą kataną, krzywiąc się z dojmującego bólu. Jeden z lotosowców postąpił naprzód, wyciągając ku starcowi mosiężne palce. Katana zadzwięczała na grubym pancerzu. Syk miechów aparatu oddechowego zmieszał się z dudniącym śmiechem stłumionym przez hełm. Napastnicy otoczyli powoli przywódcę Kagé, który zamarł z uniesionym

wysoko mieczem. Ostrze lśniło w blasku rzucanym przez oczy lotosowców, jakby było całe unurzane we krwi.

W końcu ruszyli na niego, a wtedy on zaczął swój taniec. Był jak fale przyływu: to się cofał, to ruszał gwałtownie do przodu. Czubek katany przebił świecące na czerwono szkło jednego z przeciwników. Wrzask bólu rezonował długo wewnątrz pancerza, a lotosowiec osunął się na podłogę. Z otworu w pozbawionej wyrazu, nieruchomej metalowej twarzy pociekła krew. Szybkie szerokie cięcie rozerwało przewody aparatów oddechowych kolejnych dwóch napastników, ale chwilę potem starzec zachwiał się i cofnął, odrywając jedną dłoń od rękojeści miecza i przyciskając ją do żeber. Z trudem łapał oddech, a na ustach pojawiła się krew.

Może i Daichi był mistrzem miecza, ale był sam, do tego poturbowany i chory. A zakutych w twarde pancerze przeciwników było sześciu. Kolejni napastnicy wbiegali po schodach – uzbrojeni po zęby żoldacy Gildii dzierżący w dłoniach miotacze igieł kobiashi. Rzucili się na niego hurmem. W tym ataku nie było finezji ani kunsztu, tylko zwykłe wykorzystanie przewagi liczebnej. Starzec miotał się, dźgał, ciął i bił, przeklinając ich wszystkich chrapliwym głosem. Ale ostatecznie uległ naporowi przeciwników i zastygł w bezruchu, gdy w jego ciało wbiły się igły z czarnosnem. Powoli tracąc świadomość, wbił wzrok w chłopaka, który cały czas siedział przygarbiony na niskim stole. Umazany krwią, z oczami koloru stali zabarwionymi na czerwono blaskiem bijącym od płomieni tańczących za oknem.

Kin słyszał w głowie głos swojego ojca pouczającego go w akompaniamencie pomruku maszyn w warsztacie, wypowiadającego słowa, które dobiegały jego uszu tyle razy. Prostą formułkę, która stanowiła nieodłączną część jego życia, tak jak picie czy oddychanie. Ale dopiero teraz naprawdę zrozumiał zawartą w nich prawdę.

Skóra jest silna.

Ciało słabe.

– Niech cię demony porwą, Kin – wyszeptał starzec. – Niech cię piekła pochłona.

Chłopak przyglądał się gasnącemu w oczach Daichiego światłu, aż umysł starca całkowicie poddał się działaniu czarnosnu. Czyjeś ręce spoczęły na jego ramionach. Z przypominającym chor owadów klekotem osiem srebrnych ramion otoczyło go w czułym uścisku.

– Jestem pewien, że tak właśnie się stanie – powiedział.



Michi przecięła się przez sufit komnat Aishy i zeskokczyła na podłogę, w locie obcinając kataną łańcuchową głowę pierwszego z wrogów. Nie zatrzymując się, zrobiła przewrót przez ramię i usiekła nogi drugiego przeciwnika na wysokości kolan. Metal zazgrzytał na kości. Krople krwi udekorowały ściany. Michi wstała i natknęła się na chmurę srebrnych igieł.

Powietrze wokół niej zadźwięczało czysto, a chwilę potem nadszedł ból. Dziewczyna cofnęła się i cięła mechanicznym wakizashi. Wirujące zęby broni wykrzeszały iskry na metalu. Michi zamrugła, strzepując krew z rzęs. Z trudem łapała oddech, oczy ją niesamowicie piekły, na skórę wystąpił obficie pot. Jedwabna suknia wydawała się jej ciężka jak powietrze w zamkniętym grobowcu.

Istoty miały wygląd demonów: pozbawione rysów twarze, ciała spowite przylegającą do skóry, lśniącą brązową membraną, długie fartuchy pokryte grubymi, błyszczącymi sprzączkami, osiem niesamowicie cienkich ramion otaczających tułowie srebrzystymi aureolami. Ale nie były to demony. Michi dostrzegła na ich piersiach mechalicydła i wnet rozpoznała stwory, które widziała w palankinie przy iglicach. Wiedziała już, z jakiego piekła są rodem.

– Gildia – wyszczała.

Stwory rzuciły się na nią z kłopotem metalowych kończyn. Były przeraźliwie szybkie. Jedno ze srebrzystych ramion cięło ją w prawą rękę, drugie wytrąciło katanę z odrętwiałej dłoni. Michi odpowiedziała szerokim cięciem wakizashi i rozplątała brzuch jednej z istot. Stwór wydał z siebie zniekształcony, metaliczny wrzask, zatoczył się do tyłu i próbował utrzymać wysypujące się z rany wnętrzności.

Ostatni pomiot Gildii wypełnił powietrze wokół Michi błyszczącym srebrem. Dziewczyna zrobiła krok do tyłu i ostre igły śmignęły tuż przed nią. Przykucnęła i wymierzyła zamaszystego kopniaka w kostki przeciwnika. Mając swobodę ruchów ograniczoną sztywnością fartucha, stwór zatoczył się do tyłu, poślizgnął w kałuży krwi i mocno zachwiał, z ledwością zachowując równowagę. Michi zawirowała na pięcie i cisnęła łańcuchowe wakizashi prosto w pierś przeciwnika. Wirujące stalowe zęby przebiły mechanicznie, w powietrze wystrzeliła fontanna wielobarwnych iskier.

Pomiot Gildii spojrział na sterczącą z jego piersi broń i bez słowa opadł na kolana. Michi podniosła katanę z zakrwawionej posadzki i cięła na odlew. Stwór runął jak długi, a jego głowa odto- czyła się pod ścianę. Srebrzystymi kończynami jeszcze przez parę chwil targały drgawki.

– Michi – rozległ się znajomy głos. – Bogom niech będą dzięki.

Wtedy dopiero ją zobaczyła. Na jej widok gardło Michi ścisnęło się tak mocno, że w odpowiedzi była w stanie tylko wykrztusić jej imię.

–Aisha...

Pierwsza Córka leżała na wielkim dębowym łożu, obłożona poduszkami i przykryta po szyję prześcieradłem z czerwonego jedwabiu. Obok niej siedział Tomo, jej mały czarno-biały piesek, jednocześnie warcząc i merdając wesoło ogonem. Po obu stronach łóżka stały maszyny, wielkie, skomplikowane konstrukcje z mnóstwem pokręteł, wskaźników, miechów, tranzystorów i rurek próżniowych. Michi podbiegła do Aishy, po drodze wyłączając silnik miecza i chowając go do pochwy przy pasie. Chwyła jej dłoń.

– Nie mam czasu na wyjaśnienia, musimy się spieszyć...

Pociągnęła swoją panią za rękę, chcąc pomóc jej podnieść się z łóżka, ale ona tylko przechyliła się bezwładnie jak worek mięsa i kości, pozwalając włosom opaść na twarz. Jedwabne prześcieradło zsunęło się z niej i opadło aż do pasa. Michi zamarła przerażona. Kable wychodzące z maszyn stojących przy łożu pełzły, wiły się po podłodze, wdrapwały na łóżko i...

Wnikały w Aishę.

W jej ramiona, w metalowe gniazda rozsiane po ciele, do zamocowanego na piersi dziwnego urządzenia z cienkim mosiężnym żebrowaniem i licznymi diodami. Miechy jednej z maszyn unosiły się i opadały w rytmie oddechu Pierwszej Córki.

– Miłościwi bogowie... – wyszeptała Michi, ostrożnie układając Aishę z powrotem na poduszkach. – Co oni ci zrobili?

– Uratowali mi życie. – Aisha mówiła pustym, zrezygnowanym głosem, a ostatnia sylaba każdego słowa była podkreślona dziwnym, ledwo zauważalnym rezonansem. – Zmusili moje serce do bicia, moje płuca do oddychania. – W oczach cesarskiej córki zaślniły pierwsze łzy. – Amaterasu, zmiłuj się nade mną...

Łzy wezbrały, przełamały zaporę powiek i popłynęły po białych policzkach.

– Michi, ja nic nie czuję. – Aisha ściszyła głos do chrapliwego szeptu. – Mój brat, on... – Zaciśnęła mocno powieki. – Straciłam czucie od szyi w dół...

– Nie – wysapała Michi. – Nie, to niemożliwe. Przecież widziałam cię przy iglicach.

– Wystawioną na pokaz, tak jak się wystawia trupa w trumnie. Zakneblowaną pod aparatem oddechowym. Podpiętą przewodami do przekłętego fotela i kryjącej się pod nim maszyny. Wszystko tylko na pokaz.

– Ale... ludzie widzieli cię na balkonie...

Aisha otworzyła oczy i wskazała wzrokiem jedną z maszyn. Był to wysoki wózek z licznymi kółkami po obu stronach oraz szeregiem pasów i lśniących sprzączek.

– Wyprowadzają mnie na balkon w tym – wyszeptała. – Przypinają mnie pasami i wywożą na słońce. Na tyle czasu, żeby jakiś dworzanin czy bushi mnie zobaczył, żeby zdusić w zarodku wszelkie pogłoski o mojej śmierci. Mieli zamiar zawlec mnie w tym czymś na mój ślub.

– Dobrzy bogowie...

Michi ujęła Aishę za dłoń. Dopiero teraz poczuła, że jest lodowata i sztywna jak u trupa. Skóra jej pani była śmiertelnie blada, poprzecinana niebieskimi żyłkami. Palce u dłoni były tak cienkie, że przypominały raczej powykręcane gałązki. Michi spojrzała na łożę, na maszyny i po pudrze, po węglu, po schnącej krwi popłynęły łzy, aby następnie skapywać na prześcieradło gęsto niczym krople deszczu.

W oddali głuchy huk eksplozji zatrzęsł miastem. Nocne powietrze rozdarła nowa fala krzyków. Aisha spojrzała w stronę okna.

– Co tam się dzieje?

– Nie wiem. Podejrzewam, że Kagé atakują Kigen. Udało im się wywabić siły Hiro z pałacu, więc mogę cię stąd wydostać.

– Moja droga, nie jestem w stanie nawet poruszyć palcem. – Aisha spojrzała Michi głęboko w oczy. – Nie czuję nic a nic.

– Nie, to przez te maszyny. – Michi obróciła się gwałtownie do pracujących urządzeń, nerwowo próbując znaleźć jakiś sens w pozornie beładnej mieszaninie diod, kół zębatych i kabli. – To one uniemożliwiają ci poruszanie się. Gildia cię oszukała, wmówili ci...

– Czułam to, Michi – przerwała jej Aisha. – Czułam to wyraźnie, kiedy Yoritomo skreślił mi kark.

– Nie, to nieprawda, to nie może być prawda.

– Czy udało jej się uciec? – W oczach Aishy zapłonęło nagle jasne, gorączkowe światło. – Yukiko? Czy udało jej się uciec z tygrysem gromu?

– Hai. – Michi kiwnęła głową i zamrugała, aby pozbyć się z oczu palących łez. – Ludzie śpiewają o niej pieśni, wiesz? Nazywają ją arashi-no-odoriko.

– Tancerka burzy – wyszeptała Aisha. – Zatem było warto.

Nagle uwagę Michi przykuł cichy bulgot. Spojrzała w bok i dostrzegła,

że leżący pod ścianą członek Gildii się porusza. Cały czas trzymał w rękach fioletowe, oślizgłe wnętrzności wylewające się z rozciętego brzucha. Zniszczone mechalicydło co jakiś czas wypluwało w tę płataninę jeden z żetonów. Michi powiodła wzrokiem od konającego do przewodów wnikaających w ciało Aishy, po czym dobyteła kataną łańcuchową z pochwy i ruszyła w stronę ściany z mordem w oczach.

Gdy członek Gildii dostrzegł zbliżającą się dziewczynę, pochylił się do przodu, krztusząc się krwią, i na osłep zaczął majstrować jedną ręką przy srebrzystej kuli przymocowanej do jego pleców. Po chwili rozległ się dźwięk przypominający pęknięcie skorupy jajka i kula się otworzyła. Z jej środka wypadł i stoczył się na podłogę metalowy obiekt wielkości pięści.

Obawiając się, że metal może kryć materiały wybuchowe, Michi cofnęła się gwałtownie. Ale mała kulka nie wybuchła. Zatrzymała się, rozwinęła osiem małych metalowych nóg i spojrzała na dziewczynę świecącym czerwono okiem.

Mechaniczny pajak zaklekotał głośno, tak jakby pomstował z powodu śmierci swojej matki. Michi zrobiła krok naprzód i cięła, zasypując podłogę małymi kółkami zębatego i fontanną jasnoniebieskich iskier.

– Już wiedzą – wyszeptła za jej plecami Aisha. – Wiedzą, że tu jesteś. Niedługo tu przyjdą.

– Niech przychodzą – wysyczała Michi.

– Nie pozwolę, żebyś zginęła z mojego powodu.

– A kto tu mówi o umie...

Zanim Michi poczuła wstrząsy, usłyszała odległy grzmot. Sprawiało to wrażenie, jakby głęboko pod ziemią jakiś olbrzym budził się właśnie z długiego snu i przeciągał. Cały pałac trząsł się w posadach, z belkowania stropu spadały chmury kurzu i drzewnego pyłu. Tomo zawył przeciągle, po czym zaczął skakać w kółko po posłaniu. Michi podbiegła do łóżka i rzuciła się na Aishę, osłaniając ją własnym ciałem, przyciskając mocno do siebie. Wstrząsy przybierały na sile, szyby w oknach zaczynały pękać. Trwała tak, dopóki trzęsienie ziemi nie ustało zupełnie, starając się nie zauważać woni metalu i smaru, którą była przesiąknięta skóra jej pani i

cała pościel.

– Bogowie się gniewają – wyszeptwała Aisha. – Nadchodzi dzień sądu.

– Aisho, muszę cię stąd zabrać, wydostać cię stąd.

– Poniesiesz mnie, Michi-chan? Sama, całą drogę?

Ich uszu dobiegło odległe łomotanie. Coś ciężkiego uderzało rytmicznie w okute żelazem drzwi do komnat cesarskich. Różni ludzie żądali otwarcia wrót w imieniu daimyo klanów Tygrysa, Feniksa i Smoka.

– Nawet jeśli dasz radę unieść mnie, nie udźwigniesz tych maszyn, Michi. – Aisha patrzyła jej głęboko w oczy. Łzy już dawno wyschły. – A to one są moimi płucami i moim sercem. Bez nich już dawno zasnęłabym spokojnie, którego tak bardzo pragnę.

– Ale nie mogę cię tu tak po prostu zostawić!

– Nie. – Aisha uśmiechnęła się smutno. – Nie możesz.

Michi zamrugnęła i rozchyliła usta, ale słowa uwięzły jej w gardle.

– Nie możesz mnie o to prosić... – wykrztusiła w końcu.

– Sama bym to zrobiła. – Uśmiechnęła się smutno. – Ale jeśli byłabym w stanie unieść miecz, nie musiałabym prosić cię o tę przysługę.

– Aisho, nie...

– Bez ślubu nie będzie szoguna. – Aisha oblizwała spierzchnięte, popękane wargi. – Droga przyjaciółko, nie zostawiaj mnie tak. Dość już mnie wykorzystali, chcę wrócić do mroku, z którego wyciągnęli mnie na światło tego przekłętego dnia. Pokaż im, Michi, że nie należę już do nich. Powiedz im, że nadszedł już mój czas.

Michi nie była w stanie oddychać, a łzy wylewające się wartkimi strumieniami z oczu rozmywały jej wzrok.

– Nie mogę...

– Ostatnie ziarno Kazumitsu. Tak o mnie mówili, jakbym już jedynie tym była. Tylko łonem, które miałoby zrodzić następcę tronu tego przekłętego cesarstwa. Czy ty wiesz, co oni zrobili? Dobrzy bogowie, nawet sobie tego nie wyobrazasz... – Aisha wbiła wzrok w przestrzeń, ścisząc głos do ledwo słyszalnego, przesiąkniętego grozą szeptu. – Byłam w zbyt kiepskim stanie, aby przyjąć nasienie Hiro w tradycyjny

sposób, a do tego mój narzeczony czuł odrazę do mojego obecnego stanu. Ale ród Kazumitsu potrzebował jakże cennego męskiego potomka, za pomocą którego Gildia ugruntowałaby władzę wybranego przez siebie szoguna. Wiesz, co zrobili? – Aisha zacisnęła zęby. – Wzięli metalową rurkę i nieco żeluz. Jakbym była zwierzęciem hodowlanym, Michi. Jakbym była zwykłą rozplodową lochą.

– Miłościwi bogowie...

– Panie Izanagi, przyjmij mą duszę – powiedziała Pierwsza Córka, spoglądając na sufit i na znajdujące się wysoko nad nim niebo. – Miej nade mną litość, wielki Stwórco. Nawet jeśli nie uznałeś mnie godną litości przez całe moje dotychczasowe życie, proszę, obdarz mnie nią teraz.

– Aisho, nie mogę...

– Owszem, możesz.

– Nie mogę.

– Musisz.

Michi wstrzymała oddech, zacisnęła mocno powieki i tylko raz po raz potrząsała głową. Odgłosy ciężkich uderzeń we wrota do komnat się nasilały. Dołączyły do nich trzaski pękających belek.

– Pamiętasz, o co cię poprosiłam, gdy podniosłaś na mnie rękę? – zapytała Aisha. – Powiedziałam, że pewnego dnia mogę cię poprosić o wszystko. Zapytałam, czy gdy to zrobię, rzucisz wszystko na szalę. Pamiętasz?

– Pa-pamiętam.

– Nie każ mi się błagać, Michi. Daj mi choć tyle.

– O bogowie...

W pokoju zapadła głucha cisza. Spokój zakłócały jedynie syki i stuki wydawane przez diabelskie maszyny Gildii. Maszyny, za pomocą których skazano Aishę na to półzycie, kazano jej wegetować w półmroku. Za pomocą których zbezczeszczono Pierwszą Córkę. Michi zacisnęła zęby i zmusiła się do nabrania głębokiego oddechu. Powietrze smakowało dymem i krwią, metalem i smarem. Niosło ze sobą gorycz nienawiści. Z oczu Aishy popłynęły łzy.

–Tak się boję...

Michi czule położyła zakrwawioną dłoń na jej twarzy, bezskutecznie próbując powstrzymać drżenie palców.

– Wszystko będzie w porządku, Aisho.

Kobieta zamknęła oczy, sięgnęła głęboko w siebie i znalazła spokój. Długi, cichy i głęboki spokój. Pozostało tylko powolne unoszenie się i opadanie jej piersi, i bezdenna pustka za oczami, czarna jak łono, w którym spała, zanim przysłała na ten przeklęty świat. Gdy otworzyła ponownie oczy, Michi dostrzegła w nich siłę. Tę starą siłę, która już raz rzuciła wyzwanie całemu cesarstwu.

– Pożegnaj się ze mną, Michi-chan.

Michi nachyliła się i pocałowała ją w obie powieki. Przelknęła łzy przyjaciółki zmieszane z jej własnymi. Aisha nie otwierała już oczu, nawet gdy Michi się wyprostowała. Jej twarz emanowała bezgranicznym spokojem, jakby Pierwsza Córka ledwie spała.

– Zegnaj, moja pani – powiedziała Michi.

Szpila do włosów przebiła skórę Aishy, tę pozbawioną czucia membranę opinającą blade, poprzecinane błękitnymi nitkami nadgarstki. Raz. Drugi. Trzeci. Tuzin razy. Nie było w tym piękna ani wyrafinowania. Ale nie było też bólu.

Krew wezbrała i popłynęła, gęsta, lepka, jaskrawa niczym złoto lśniące w dłoni Michi. Stojące przy dębowym łożu maszyny zadrżały i jęknęły przeciągle, tak jakby nie chciały dopuścić do śmierci swojej podopiecznej. Powieki Aishy ani drgnęły. Ostatnia przedstawicielka linii Kazumitsu osunęła się łagodnie z niekończącej się udręki w spokój wiecznego snu. Nie była to spokojna śmierć kobiety gasnącej we własnym łóżku po udanym życiu, otoczonej przez kochające ją osoby. Nie była to też śmierć wybawczym ani bohaterki.

Ale przynajmniej była cicha.

Cicha i mroczna.

Michi zmusiła się do patrzenia do samego końca, nie odrywała wzroku od twarzy konającej. Aż po wiekach, eonie, wieczności wypełnionych drżeniem i jękami tych okropnych maszyn usłyszała ciche westchnięcie.

Odgłos delikatny jak dłonie matki kładącej niemowlę do kołyski. I wtedy nareszcie, na sam koniec, nadeszła całkowita cisza.

A wraz z nią nadeszły nowe łzy.



Sidla były zastawione, przynęta się miotała, a zwierzyna była coraz bliżej.

Akihito przycupnął za stosem pustych skrzyń z butelką wypełnioną chi w jednej ręce i tetsubo w drugiej. Na dźwięk zbliżających się kroków skinął głową pozostałym Kagé przyczajonym po drugiej stronie ulicy. Mała Rzeźniczka wypadła zza rogu w pełnym pędzie, nawet w biegu wyrzucając z siebie kalejdoskop barwnych wyzwisk. W ślad za nią biegło pół tuzina bushich. Na końcu pogoni z sykiem tłoków podążył olbrzymi Żelazny Samuraj. Pomalowana na trupią biel zbroja ó-yoroi wypluwała z siebie duszące spaliny chi. Szóstka Kagé zeskoczyła z dachu, przygważdżając bushich do ziemi włóczniami nagamaki. Akihito wychylił się z kryjówki i cisnął butelkę z chi prosto w napierśnik zbroi samuraja.

Na polu bitwy pancerze ó-yoroi może i wzbudzały postrach wśród wrogów, ale w ciasnocie krętego labiryntu zaułków Kigen mocno ograniczone przez masywny hełm pole widzenia dawało przewagę przeciwnikowi. I Cienie doskonale potrafiły tę przewagę wykorzystać. Żelazny Samuraj zrobił krok do tyłu, unosząc swoje miecze łańcuchowe do klasycznej postawy szermierczej. Wtedy jeden z Kagé wychynął z jakiejś dziury i rzucił zapaloną ręczną flarę.

Opancerzony mężczyzna zdążył tylko krzyknąć, zanim cała jego zbroja stanęła w ogniu. Próbował ugasić płomienie trawiące złotą tunikę, wślizgując się pod maskę i parzące skrytą pod nią skórę. Akihito ujął oburącz pałkę, wziął potężny zamach i uderzył, niemal strącając głowę samuraja z barków. Żołnierz padł na wznak. Spomiędzy żelaznych kłów hełmu trysnęła krew.

Akihito schylił się, krzywiąc się z bólu, i podniósł mechaniczną katanę. W międzyczasie Kagé opuścili swoje kryjówki i zbrali się wokół niego. W tym starciu stracili kolejnych dwóch towarzyszy. Żaden z poległych nie osiągnął jeszcze nawet wieku męskiego. Straż przemierzała teraz ulice w liczniejszych grupach i walczyła coraz zacieklej. Przewaga wynikająca z pierwszego zaskoczenia topniała w oczach. Akihito doskonale wiedział, że wkrótce Żelazni Samurajowie będą przeczesywać miasto w dobrze zorganizowanych oddziałach, a wtedy Kagé stracą możliwość wciągania ich samotnie w zasadzki. Miał tylko nadzieję, że kupili Daichiemu wystarczająco dużo czasu.

– W porządku. – Akihito spojrział w niebo. – Czas znikać. Wszyscy rozproszyć się i wracać oddzielnie na arenę. Z niej zabierze nas nasz transport. Ruszajcie!

Kagé bez słowa wykonali polecenie, zatrzymując się tylko na chwilę u wylotu zaułka, aby upewnić się, czy ulica jest bezpieczna. Wkrótce potem rozpięzchli się po okolicy jak rozrzucone wiatrem suche liście. Akihito też szykował się do ruszenia w drogę, kiedy z krawędzi dachu nad jego głową zeskoczył szary jak dym kształt i wbił w niego natarczywe spojrzenie oczu w kolorze szczytn.

– Miiiaaaaauuuu – stwierdził kształt.

Akihito patrzył zdumiony, jak najbrzydszy kocur w całym Kigen ocierał się o jego nogi, mrucząc jak małe trzęsienie ziemi.

– Daken?

Seimi uniósł palnik na wysokość twarzy Yoshiego, odkręcił zawór i skrzesał iskrę. Z dyszy buchnął jasny płomień. Chłopak starał się robić

dobrą minę do złej gry, ale Seimi nie mógł nie zauważyć zaciśniętej szczęki, krańcowo rozszerzonych źrenic i drgawek przechodzących ciało jego ofiary przy każdym wdechu i wydechu.

Był to dla niego piękny widok.

– Wiesz, to ja tak urządziłem twojego chłopca – powiedział Seimi, nachylając się nad jeńcem.

Yoshi szarpnął głową, ale Seimi zdążył odskoczyć i ślina nie sięgnęła celu.

– Wytrzymał baaaaardzo długo. Dłużej, niż sądziłem, że wytrzyma. – Seimi wyszczerzył się jak kot, któremu właśnie podano miseczkę śmietany. – Musiało mu naprawdę na tobie zależeć, skoro zdołał znieść tyle bólu. Aż mi się go prawie zrobiło żal.

Spod ściany dobiegł chichot tych kilku członków Dzieci Skorpiona, którzy zostali popatrzeć. Seimi był mistrzem w swoim fachu. Kiedyś udało mu się rozciągnąć agonię informatora na bite sześć dni. Nie dlatego, że taka była potrzeba, o nie! Nieszczęśnik wszystko wyśpiewał po półgodzinie. Seimi torturował go potem tak długo tylko po to, żeby się przekonać, czy mu się to uda.

Ponownie się nachylił i wziął głęboki wdech, rozkoszując się zapachem i smakiem strachu. Następnie usiadł ze skrzyżowanymi nogami przy stopach chłopca i uniośł palnik tak, jak dyrygent unosi swoją pałeczkę przed rozpoczęciem koncertu.

– Będą opowiadać historie o tym, co ci zrobię. Będą nimi straszyć dzieci.

Seimi usłyszał jakiś szmer za plecami. Jeden z jego braci krzyknął ostrzegawczo, ale za późno. Zanim zdążył zareagować, w szyi zbira eksplodował osłepiająco silny ból. Gdy mężczyzna obrócił się ze wściekłym rykiem, dziewczyna dźgnęła ponownie. Długie szczypcy rozerwały tętnicę, wypełniając powietrze jasnoczerwonymi kroplami.

Całą twarz miała umazaną krwią wyciekającą z miejsca, gdzie jeszcze nie tak dawno temu było jej lewe oko. Ona jednak zdarła skórzaną opaskę zakrywającą dotąd drugi oczodół. A tam, pod przeciętą brwią, nad policzkiem naznaczonym długą, nierówną blizną po ciosie butelką,

plonęło okrągłe, piękne oko – o barwie lśniącego różowego kwarcu.

– Nie waż się dotykać mojego brata – warknęła.

– *To siedzi w tobie – ciągnął jej ojciec. – Ty gaijiński śmieciu, tkwią w tobie białe diabły. Ale ja je widzę i mogę je wyjąć...*

Nachylił się nad nią, zbliżając stłuczoną butelkę do jej prawego oka. Poszczerbione szkło odbijało się w Lśniącej łagodnie różowej tęczęwce.

– *Tato, nie!* – *Potrząsnęła głową i zacisnęła mocno powieki. – Nie, nie!*

– *Mogę je wyjąć...* – *powiedział.*

Poczuła, jak butelka wbija się w skórę, usłyszała chrzęst szkła na kości. W odpowiedzi tylko jeszcze mocniej zacisnęła powieki i krzyczała, ile tylko miała siły w płucach. Wtem usłyszała, jak ojciec gwałtownie nabiera powietrza. Chwilę później coś ciepłego skapnęło na jej twarz. Mężczyzna puścił ją i zatoczył się do tyłu, próbując wyciągnąć sterczące z szyi pałeczki do jedzenia. Gdy się odwrócił, Yoshi pchnął kolejną niczym sztyletem i wbił ją głęboko w oko ojca.

Mężczyzna rzucił się do przodu i machnął butelką, celując w twarz syna. Yoshi jednak zdołał odskoczyć i szkło tytko przecięło rondo jego nowego kapelusza, o włos chybiając policzka. Kolejnego ataku już nie było. Ojciec runął na twarz i zaległ wśród zmarnowanego obiadu i doszczętnie zrujnowanego życia swoich dzieci.

Yoshi stanął nad nim, zaciskając ręce w pięści, oddychając ciężko przez zacisnięte zęby. Wpatrywał się w potwora, diabła, demona, którego w końcu udało mu się pokonać.

– *Nie waż się dotykać mojej siostry* – *warknął.*

Od najgorszego dnia w jej życiu nauczyła się je chować. Błada skórę mogła zrzucić na domieszkę krwi klanu Lisa kilka pokoleń wstecz. Z blond włosami poradziła sobie jeszcze łatwiej – wystarczył czarny barwnik do wełny nakładany co kilka tygodni.

Ale oko?

Już zielone tęczęwki należały do rzadkości, a różowe były w ogóle niespotykane. Jej prawe oko było wyraźną i niezaprzeczną wskazówką, że w jej żyłach płynie krew gaijinów. Nie mieli pojęcia, dlaczego się zmieniło. Z powodu szoku? Wieku? Czegoś zupełnie innego? Nie mieli nawet jak się tego dowiedzieć, nie mieli kogo zapytać. Pewnego dnia w jednej ze spelun Dołu Yoshi podsłuchiwał opowieść pijanego żołnierza, który dopiero co wrócił z Morche- by. Bełkotał coś o gaijińskich wiedźmach walczących razem z hordami okragłookich. Ich prawe oczy lśniły barwą rozwodnionej krwi. Żołnierz mówił o nich z mieszaniną lęku i podziwu. A trzeba wiedzieć, że jeśli mieszkańcy Shimy uważali swoich burakuminów za ludzkie śmieci, to dla barbarzyńców ze wschodu mieli w swoich sercach już tylko zimną nienawiść. Nienawiść do wroga, który wyrząnął w pień mieszkańców ich kolonii, zatrzymał triumfalny pochód ich armii i już dwadzieścia lat utrzymywał patową sytuację na froncie. Życie bezkłanowego psa na ulicach Kigen było wystarczająco trudne samo w sobie.

Jakie by było dla półkrwi gaijińskiego wiedźmowego pomiotu?

Zatem ukryła je. Nawet nieodżałowany Jurou nie znał jej tajemnicy. Nigdy nie zdejmowała opaski, nawet w niej spała. Ze wszystkich sił starała się o niej zapomnieć. Tylko jej brat znał tajemnicę kryjącą się za skrawkiem skóry opasującym jej głowę.

Aż do teraz...

Hana rzuciła się w stronę stołu i chwyciła leżący na nim młotek. Zamachnęła się na jednego z atakujących ją członków yakuzy i trafiła go prosto w wyciągniętą ku niej dłoń. Mężczyzna zaklął i cofnął się poza zasięg ramienia dziewczyny. Pozostali obchodzili ją z tyłu, niczym wataha wychudzonych, wygłodniałych wilków, ze zmrużonymi oczami i obnażonymi zębami.

– Uciekaj, Hano! – wrzasnął Yoshi. – Ratuj się! – Spojrzał na nią błagalnie. – Uciekaj, do jasnej cholery! Zostaw mnie tu i ratuj siebie!

Przeniosła wzrok na niego, potem na zacieśniające krąg wilki. I pomimo wszystkiego, co jej brat zrobił, pomimo wszystkiego, w co ją wciągnął, uśmiechnęła się.

– Krew nie woda – powiedziała.

Jeden ze zbirów spróbował ją chwycić, ale ona uderzyła go młotkiem prosto w twarz, rozcinając luk brwiowy i posyłając nieprzytomnego na posadzkę. Jednak w tym czasie kolejny chwycił ją wpół od tyłu i unieruchomił w niedźwiedzim uścisku. Bez większego trudu mężczyzna uniósł wierzgającą i krzyczącą dziewczynę z ziemi. Pozostali zbliżyli się do niej ze złowieszczymi uśmiechami i pustymi spojrzeniami.

...HanoL.

Szary kształt wyskoczył z cieni, wbił brudne szpile w nogę trzymającego ją gangstera i w okamgnieniu po niej wbiegł. Zbir zawył i puścił dziewczynę, próbując pochwycić plujący i prychający wir zębów i pazurów. Daken rozorał twarz mężczyzny, siekąc zapamiętałe łapami policzki i wargi. Zbir wył i ryczał niczym oni wypadający z bram Yomi. Hana upadła na posadzkę i zaczęła się czołgać w stronę stołu. Nie zdążyła jednak do niego dotrzeć – ktoś chwycił ją za włosy i szarpnął. Dziewczyna krzyknęła i zanim zdołała jakkolwiek zareagować, ogromny ciężar przygniół ją do ziemi.

...HanoL.

Obróciła głowę i spojrzała w górę. Zalany krwią gangster w końcu chwycił Dakena za futro, oderwał go od twarzy w chmurze czerwonych kropli i potrząsnął nim jak szmacianą kukłą. Wrzasnęła pod napływem sygnałów bólu nadrywanych mięśni i pękających kości, a potem mogła tylko bezradnie patrzeć, jak mężczyzna unosi kota wysoko w górę i z całej siły ciska na beton.

W głowie dziewczyny rozbłysło słońce oślepiającego bólu, targając całym ciałem, każąc szaleńczo drapać paznokciami kamień podłogi. Daken podniósł się z głośnym prychnięciem, oszołomiony bólem, i spróbował odpełznąć w jakiś bezpieczny kąt.

...Hano...

I wtedy na oczach skamieniałej z trwogi dziewczyny gangster uniósł nogę, zaklął szpetnie i zmiażdżył ciężkim butem łeb Dakena.

Rozległ się głośny wrzask. Wrzask najbielszego bólu i najczarniejszej nienawiści. Wrzask, którego nie rozpoznawała jako swojego własnego.

Opętańczy ryk rozpacz i straty, gdy iskierka kociego życia w jej myślach zamigotała i zgasła. Zdołała się zerwać na nogi, wyszarpując się z uścisku i rzucając do przodu ze wzrokiem utkwionym w mordercy Dakena. Ale błyskawicznie doskoczyło do niej dwóch innych zbirów i ją pochwyciło. Na próżno szarpała się i miotała. Żałość rozrywała jej gardło na strzepy, wspóldźwięcząc z rykiem Yoshiego rzucającego się na wszystkie strony w swoich więzach.

Wtedy usłyszała głośny, dudniący hałas, po którym nadeszły ryk silnika i bulgoczące krzyki. Potężne ostrza siekły worki mokrego błota, zaścielając nimi lepką od krwi podłogę. Trzymające ją ręce zwolniły chwyt i upadły razem z właścicielami na ziemię. Hana ani drgnęła, cały czas wpatrując się w niewielką szarą smugę na jasnym kamieniu. Opadła na kolana i podpełzała do niej na czworakach. Łzy lały się z jej oka strumieniami i ciekły po umalowanym szkarłatem policzku. Wyciągnęła rękę i przeczesała drżącymi palcami poznaczone bliznami, zmatowiałe resztki futra.

Wspomniała miauczącą wniebogłosy kulkę, którą wyciągnęli z kanału burzowego. Te ogromne, okrągłe mrugające oczy, patrzące w jej oko z ogromną nadzieją, gdy trzymała zwierzaka w dłoni. Życie, które uratowali. Które teraz spłaciło swój dług i uratowało ich.

– Och, Dakenie... – wyszeptała.

Czyjeś dłonie spoczęły na ramionach dziewczyny i pociągnęły ją w górę. Odwróciła się z wrzaskiem i obsypała mężczyznę gradem ciosów. W odpowiedzi ramiona objęły ją i przyciągnęły do potężnego ciała, ściskając mocno. Głos dudniący ponad jej wrzaskami przekonywał ją, że wszystko już jest w porządku, spokojnie, uspokój się, Hano, już wszystko w porządku. Ramiona trzymały ją mocno, ale nie w celu sprawienia bólu, lecz delikatnie i gorąco. Chwile mijały, aż w końcu przez głośny szum pędzącej krwi w uszach, przez cierpienie wywołane niepowetowaną stratą przebiło się zrozumienie. Rozpoznawała ten głos.

„Akihito...”.

Wyszeptała jego imię i spojrzała na twarz mężczyzny. Ze smutkiem wyraźnie wypisanym w oczach opuszczył ją na posadzkę. Wyciągnął drżącą

rękę, tak jakby chciał wygładzić ból w miejscu, gdzie jeszcze niedawno było jej lewe oko, ale zatrzymał palce może całe od twarzy dziewczyny. Ze łzami w oczach pochylił się, złożył delikatny pocałunek na umazanym krwią czole, przygarnął ją do siebie i przytulił. Zwyczajnie objął ramionami i ścisnął mocno. Trwali tak zespoleni, nieruchomi, aż dobiegająca z oddali kakofonia krzyków, huku płomieni i ryku silników stała się zbyt głośna, aby mogli ją dalej ignorować.

Minęły minuty, może godziny? Nie była w stanie stwierdzić.

– Muszę cię puścić – powiedział.

– Nie. – Przywarła do niego mocniej.

– Wróć.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Puściła go, chociaż czuła się, jakby puszczała unoszące się na falach resztki statku w samym środku sztormu. I leciała w dół, w dół, w dół, w odmęty nicości. Akihito wyprostował się, przeciął linę, na której wisiał Yoshi, a następnie uporał się z więzami na kostkach chłopaka. Następnie obaj pomogli Hanie wstać i wyprowadzili utykającą z magazynu, prosto w huczącą arię chaosu i syczące płomienie, chociaż jej wszystkie odgłosy zdawały się dochodzić jakby spod wody, a sam świat rytmicznie pulsował słabym światłem. Miasto dokoła nich trzęsło się i płonęło. Niebo zasnuwał dym. W uszach huczały ryk silników lotostatków oraz grzmot nadchodzącej burzy. Wszystko to jednak zdawało jej się niesłychanie odległe i nikłe, tak jak ból w jej oku, tak jak ból w jej duszy, gdzie jeszcze niedawno zawsze był Daken. Wszystko to ulatywało w górę razem z iskrami strzelającymi z płonącej skóry miasta i nikło w bezkresnej czerni nad ich głowami.


– Dokąd pójdziemy? – zapytała głosem należącym do kogoś innego.

– Na północ – odpowiedział Akihito. – W góry Iishi.

– Jak się tam dostaniemy?

Uściskał ją mocno, a ton jego głosu przywołał uśmiech na jej twarzy.

– Polecimy.



53.
OGIEŃ FENIKSA

Nocne niebo przybrało barwy jesieni. Było kłębiącą się i kipiącą mieszaniną czerwieni, pomarańczu i żółci. Duszne, wypełnione gryzącym dymem powietrze cuchnęło płonącym paliwem.

Michi przemykała po pałacowym dachu w samej jedwabnej halce, którą tylko przewiązała obi. Kilkadziesiąt funtów sukni junihitoe leżało porzucone na podłodze komnaty Pierwszej Córki. Pod lewą pachą niosła wiercącego się Tomo, w prawej dłoni zaś mocno ścisnęła rękojeść łańcuchowej katany. Wsłuchiwała się uważnie w chaos miasta poniżej, zakłócany szczękiem zbroi bushich gramolących się na dach za jej plecami. Obciążeni kilkudziesięcioma funtami żelaza żołnierze mieli poważne kłopoty z wdrapaniem się tak wysoko, ale to, że im się uda, było tylko kwestią czasu.

Skrzydło gościnne stało już całe w ogniu. Płomienna paszcza pożaru pożerała kolejne kęsy dachówek i ścian, z każdą chwilą zbliżając się do skrzydła cesarskiego. Michi machnęła kataną i pozbawiła wciągającego się na dach bushiego palców. Spokojnie patrzyła, jak spada z krzykiem czterdzieści stóp ku drewnianej podłodze komnaty.

Dach się zatrząsał, mocniej niż podłoga podczas niedawnego trzęsienia ziemi. Do huku płomieni dołączył łoskot serii potężnych wybuchów.

Michi spojrzała w stronę iglic w Dokach i ujrzała „Szybujący Pałac” daimyo klanu Feniksa sunący nad zabudowaniami. Niezliczone tuziny beczek wysypywały się z jego brzucha i leciały ku dachom mijanych budynków. Gdy następnie okręt flagowy Fushicho dotarł nad zakotwiczoną w zatoce flotę klanu Smoka, dumne żaglowce i porzucone przy iglicach lotostatki klanu Tygrysa zostały szybko obrócone w płonące żagwie. Powietrze wypełniła chmara odłamków porwanych metalowych okuć. Wszędzie dokoła mknęły korwety klanu Feniksa, siekące zapamiętałe ogniem miotaczy shurikenów opanowane przez płomienie ulice, dziesiątkując bushich klanu Tygrysa wirującą stałą. Dopiero po chwili Michi zrozumiała, co się właściwie działo. Gdy znaczenie tego, co widziała, dotarło do niej w pełni, wykrzywiła usta w ponurym uśmiechu triumfu.

„Do daimyo klanu Feniksa dotarły wieści o śmierci Aishy. A skoro nie ma już żadnego żyjącego potomka Kazumitsu, nie wiąże ich żadna przysięga”.

– Zdradzieckie dranie – wyszeptała.

Oderwawszy wzrok od rzezi w mieście i zatoce, wróciła myślami do własnego walącego się świata. Przez zmrużone oczy spojrzała na częściowo przesłonięty gęstym dymem drugi koniec dachu skrzydła pałacowego i dostrzegła z pół tuzina bushich wciągających się na dach. Byli jednak zbyt daleko, żeby jej przeszkodzić. Wtem usłyszała stuk metalu o drewno. W cedrowy dach wbiły się cztery kotwiczki. Chwilę później jedwabne liny naprężyły się pod ciężarem wspinających się po nich strażników. Zbyt wielu, aby zdołać ich powstrzymać. Zbyt wielu, aby móc z nimi walczyć.

Michi ruszyła w poprzek dachu ku płonącemu skrzydłu gościnnemu. Miała nadzieję, że coraz gęstszy dym ukryje ją przed oczami chociaż części prześladowców. Jęknęła z narastającą rezygnacją, gdy na dachu dokoła niej pojawiły się kolejne czerwone tuniki. Bushi uformowali szyk i maszerowali ku niej z naginatami w gotowości, jeden ponury krok za drugim. Lśniaca ściana wypolerowanej stali lśniła złowieszczo w czerwonym świetle płomieni.

– Przykro mi, mój mały Tomo – powiedziała Michi do szczeniaka, stawiając go na dachu i dobywając lewą ręką wakizashi – ale chyba odtąd musisz sobie radzić sam.

Strażnicy zbliżyli się już na czterdzieści stóp i na rozkaz dowódcy stanęli, po czym pierwszy szereg opadł na jedno kolano i pochylił włącznie. Żołnierze w drugim szeregu ładowali kusze bełtami o drzewcach grubości kija od szczotki.

– Tchórze! – wrzasnęła. – Chodźcie do mnie i walczcie jak mężczyźni!

Dowódca uniósł miecz i kusznicy wycelowali. Michi wiele by dała, by zobaczyć wyraz ich twarzy skrytych za czarnym szkłem i czerwonymi chustami. Wstrzymała oddech i stanęło mocno na szeroko rozstawionych nogach. Warkot silników łańcuchowego daishó rezonował w jej płucach. Ale gdy palce już miały nacisnąć spusty, nad otaczającą ich kakofonię hałasów wybił się głośny ryk. Chwilę potem dym rozwiął podmuch wywołany potężnymi śrubami napędowymi, a powietrze wypełnił czarny deszcz strzał. Michi dostrzegła grube białe znaki kanji wymalowane na czarnym dziobie statku: „Kurea”.

Lotostatek z impetem wbił się w dach pałacu. Huk czterech potężnych silników zdawał się trząść samym nieboskłonem. Rwąc poszycie i rozrzucając dachówki na wszystkie strony, „Kurea” wjechała między dziewczynę a właśnie wystrzelone przez bushich bełty. Z pokładu rzucono liny. Michi wyłączyła silniki mechanicznego daishó, wsunęła miecze za obi i pobiegła dachem, usiłując schwytać przerażonego szczeniaka Aishy. Załoga krzyczała do niej, żeby wspinała się na pokład, a sam statek zaczął się unosić. Silniki wyły z wysiłku, kompresory trzęsły się od nadmiernego ciśnienia. Balon statku jęczał, jakby miał za chwilę pęknąć.

Michi zdołała w końcu chwycić jedną ręką szczeniaka za skórę, drugą zaś złapała jeden z węzłów na chybotzącej się linie. Załoga wciągnęła ją na pokład, a w międzyczasie lotostatek spowity dymem buchającym z płonącego pałacu wznosił się w powietrze, ścigany deszczem pocisków. Czyjeś zgrabiate dłonie przeciągnęły ją przez reling i Michi padła wyczerpana na deski pokładu, oddychając z trudem. Przestraszony

szczeniak pobiegł poszukać schronienia. Śruby napędowe cięły powietrze na wstęgi, a cały statek dygotał, zrzucając okowy grawitacji. Światło i hałas płynącej stolicy powoli słabły, pozostawiane za rufą.

Michi dzwignęła się na nogi i przyjrzała miotającej się po pokładzie załodze.

– Kim wy, do wszystkich piekieł, jesteście?

– Michi-chan – rozległ się znajomy głos.

Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła stalowoszare oczy patrzące na nią z brudnej twarzy poprzecinanej korytami wyschniętych już strumieni łez, wykrzywionej grymasem żalu i gniewu. Przez jeden z policzków, od brwi aż po brodę, biegła źle zagojona blizna.

– Kaori? – Michi wyciągnęła rękę, jakby chciała się upewnić, że kobieta nie jest widziadłem. – Bogowie...

Padły sobie w ramiona i ścisnęły się mocno, tak jakby jedna była dla drugiej jedyną rzeczą, która powstrzymuje świat od ucieczki spod ich stóp. Michi zamrugała, strzepując łzy z rzęs, i powiodła wzrokiem po otaczających ją umorusanych twarzach. Wszystkie były ponure i zawzięte. Wszystkie należały do ludzi, którzy uciekali przed porażką, a nie świętowali zwycięstwo. Serce jej urosło, gdy dostrzegła Akihito siedzącego pod relingiem przy drugiej burcie w towarzystwie jakiegoś nastolatka. Olbrzym był cały umazany krwią i wyglądał na skrajnie wyczerpanego, ale przynajmniej żył. Michi przymknęła na chwilę oczy i po cichu podziękowała bogom za zachowanie go przy życiu. Szczeniak Aishy obwąchiwał stopy towarzyszącego Akihito półprzytomnego chłopaka, który zamrugał i wyciągnął do zwierzaka drżącą rękę, żeby go pogłaskać.

– Spodziewaliśmy się, że będziemy musieli wywalczyć sobie drogę do ciebie. – Kaori cofnęła się o krok, ale wciąż obejmowała ramiona Michi.

– Gdzie jest Aisha?

– Nie żyje. – Michi potrząsnęła głową. – Aisha nie żyje.

Kaori zamknęła oczy, pozwoliła ramionom opaść wzdłuż boków i przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała zasłabnąć i upaść na pokład. Jednak po chwili wciągnęła powietrze do płuc przez zaciśnięte zęby i

powiedziała:

– Czyli wszystko na nic...

– Skąd wiedzieliście, gdzie mnie szukać? Skąd wiedzieliście, że wciąż jestem w pałacu?

– Ja im powiedziałam.

Te słowa wymówiła dziewczyna siedząca nieopodal pod relin- giem, spowita cieniem, cała umalowana szkarłatem. Nawet jej blada twarz była prawie w całości pokryta zaschniętą krwią. Czarne włosy były w zupełnym nieładzie. Jedno oko przesłaniał przesiąknięty krwią bandaż, drugie zaś lśniło niczym wypolerowany różowy kwarc.

Michi zamrugła zdezorientowana.

– A ty kim jesteś?

Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie.

– Możesz mnie nazywać Nikt, Michi-chan.

–Ty...

Michi przyklęknęła przy dziewczynie przepełniona w równych miarach troską i wdzięcznością. Nastolatka wyglądała na zmaltretowaną. Cała w siniakach i we krwi. Ale to nie złamało jej ducha. Michi objęła ją i ścisnęła mocno, mamrocząc ledwo zrozumiałe, niezręczne słowa podziękki.

– Gildia! – krzyknął chodzący w chmurach tkwiący w bocianim gnieździe. – Gildia za rufą!

Michi spojrzała za statek i zmrużyła oczy, usiłując coś dostrzec przez kłęby spalin. Niebo nad Kigen było rozświetlone ogniem. Garstka lotostatków Gildii i klanu Tygrysa walczyła o przetrwanie ze zdraziecką flotą klanu Feniksa. „Szybujący Pałac” kładł zaporowy ogień shurikenów, aby utrzymać wroga na dystans, i powoli zdązał w stronę pałacu szoguna. Wokół krążyły nieustannie eskortujące go korwety. W dole płonęły już chyba całe Doki. Pomimo panującego chaosu kilka statków Gildii zdołało jednak dojrzeć „Kureę” i ruszyło za nią w pogoń. Nawet płonąca stolica cesarstwa schodziła dla handlarzy chi na dalszy plan, jeśli mieli tylko możliwość dorwania Kagé. Nie mieli co liczyć, że zadowolą się czymkolwiek innym niż zniszczeniem ich statku i

wybiciem całej załogi i wszystkich pasażerów.

Michi puściła Nikt z objęć i pobiegła razem z Kaori na pokład rufowy. Chodzący w chmurach zebrali się przy relingu, mląc w ustach co wymyślniejsze przekleństwa.

– Dwa pancerniki – stwierdził jeden.

– A do tego korwety, żebyśmy przypadkiem nie mogli manewrować – warknął drugi.

Kapitan „Kurei” stał przy sterze nieruchomo niczym słup. Był wysoki, z potężną klatką piersiową i ogorzałą od wiatru i słońca skórą. Pod strzelającymi iskrami oczami wyrastała bardzo bujna i gęsta broda zapleciona w warkoczyki. Z tyłu głowy wzdłuż pleców zwisał gruby warkocz. Gdy się odezwał, jego tubalny głos zagłuszył nawet wyjący wiatr.

– Cała załoga na pokład! Cała załoga na pokład! – Następnie zwrócił się do pierwszego oficera i warknął przez zaciśnięte zęby: – Zejdź pod pokład i wyrzuć cały balast. I wszystko, czego można się pozbyć. Wszystko, co nie jest zamocowane na stałe. Już! Ruszaj!

Załoga pospieszyła do swoich zadań. Kilku chodzących w chmurach udało się razem z pierwszym oficerem pod pokład, aby wkrótce wynurzyć się ze skrzyniami, meblami, linami i zapasowym takielunkiem. Wszystko wyrzucali poza burtę, w objęcia płonącego miasta. Silniki weszły na wyższe obroty, cztery wielkie śruby napędowe miały mozolnie powietrze. Szwy balonu i utrzymujące go kable jęczały pod coraz silniejszym naporem powietrza.

– Czy zdołamy im uciec? – wymamrotała pod nosem Michi.

Kapitan spojrział na nią i zamaszystym ruchem przesunął przepustnicę na całą naprzód.

– Albo zginiemy, próbując – oznajmił.



Jego narzeczona? Zamordowana.

Jego sojusznicy? Zdradzili.

Jego stolica? Płonie.

Wszystko legło w gruzach.

Kigen miało się pod jego stopami. Ciało miasta było zwęglone, na jego skórze kłębiło się robactwo. Tysiące ludzi uciekały ku murom miejskim albo rzucały się w wody zatoki między płonące jak pochodnie, niegdyś dumne żaglowce klanu Smoka. Puste, objęte płomieniami ryksze motorowe toczyły się ulicami. Odłamki szkła padały niczym deszcz. Tu i ówdzie stali zdezorientowani ludzie z twarzami oblepionymi sadzą i krwią. Ci, którzy nie odsunęli się na czas, byli tratowani przez pędzący na oślep tłum. Ogień, rozedrgane sylwetki, tumult, rwetes, ramiona wyciągnięte ku niebu i chybotające się w rytm pulsu ginącego miasta.

Chaos w czystej postaci.

Hiro obserwował popadający w ruinę świat z pokładu swojego okrętu flagowego – „Czerwonej Tygrysy”. Gdy klan Feniksa zaatakował zacumowane przy iglicach statki, zebrał tylu ludzi, ilu tylko zdołał, i wkrótce już z powietrza spoglądał na płonące miasto. Dwa ciężkie

okręty jego klanu i trzy pancerniki Gildii zdołały przechwycić „Szybujący Pałac”, gdy ten leciał nad Górą, odcinając go od cesarskiego wzgórze. Ale Shin i Shou, ci podli zdrajcy, zdołali już podpalić pół Doków, większość floty Hiro i połowę loto- statków Gildii. Ich atak był tak nagły, że okręty spłonęły, zanim zdołały odcumować. Co gorsza, daimyo klanu Smoka zaprzestał walki w mieście i wycofał się wraz ze swoimi Żelaznymi Samurajami, jak tylko dotarła do niego wieść o śmierci Aishy. Ryu Haruka wrócił do pałacu ratować swoją żonę. Hiro był pewien, że potem bez wahania umknie z miasta. Cóż, zapewne powinien być wdzięczny losowi, że i on nie zwrócił się przeciwko niemu.

Takie było ich pojmowanie honoru? Bushido? Drogi wojownika? Niegdyś samurajowie wierzyli w coś więcej niż tylko w samych siebie. W odwagę, służbę, poświęcenie. A jednak mimo to klany Feniksa i Smoka przy pierwszej nadarzającej się okazji błyskawicznie obróciły się przeciwko niemu i obnażyły kły. Ich własne marzenia o objęciu władzy nad cesarstwem płonęły jaśniejszym płomieniem niż domy w stolicy Hiro.

Ale czy on był inny?

Na ile szczerze były jego motywy, gdy godził się na objęcie tronu, kiedy tylko Kensai pomachał mu nim przed nosem?

Zwisająca wzdłuż jego boku żelazna dłoń zacisnęła się mocno. W pokrywającej jego twarz skorupie z prochów ofiar pogrzebowych pojawiły się pęknięcia.

– Wszyscy jesteśmy zdradzieckimi draniami... – wyszeptał.

„Szybujący Pałac” górował nad wszechobecną rzezią, chybotając się na falach gorącego powietrza unoszących się z gorejącego truchła Kigen. Gdyby Hiro miał choć trochę więcej statków, mógłby zaatakować tę latającą fortecę i strącić ją z nieba. Ale Drugi Kwiat Kensai z zupełnie niezrozumiałych powodów odwołał dwa pancerniki Gildii i puścił je w pogoń za Kagé umykającymi na pokładzie jakiegoś frachtowca pod banderą klanu Smoka. Hiro został powiadomiony, że przywódca buntowników został pojmany przez lotosowców. Mieli go więc w

swoich przeklętych rękach. Ale Kensai zdawał się chcieć doszczętnie rozbić rebelię jeszcze tej nocy, raz na zawsze. I niech piekła pochłoną stolicę Shimy. W końcu kogo by obchodziło, czy te zdegenerowane psubraty Fushicho zmieniają Kigen w jeden wielki stos ofiarny

Shin i Shou siedzieli przy jego stole. Przywitał ich w swoim mieście ze wszystkimi honorami. A oni w podzięcie postanowili to miasto doszczętnie spalić. Ale jeśli Kigen naprawdę miało być jego miastem, jeśli tron, przysięga, Droga miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie, z pewnością był winien mieszkańcom coś więcej niż pozorowaną obronę. Z pewnością był winien ludziom tam w dole, jego ludowi, wszystko, co tylko mógł dać.

Hiro zazgrzytał zębami i wbił wzrok w ogromną sylwetkę lotostatku obracającego wszystko wokół w ruinę. Po chwili podjął decyzję i zwrócił się do kapitana „Tygryscy”.

– Połącz się z „Honorem Kazumitsu”. – Wskazał drugi statek z jego małej flotylli unoszący się za sterburcią. – Połącz się też ze statkami Gildii. Przystępujemy do ataku.

–Hai!

Silniki ruszyły pełną mocą. Okręt zatrzęsł się, rozpoczynając mozolny obrót dziobem ku wrogowi, i zaczął nabierać prędkości. Korwety klanu Feniksa błyskawicznie rzuciły się na nich i wypełniły przestrzeń między Hiro a jego celem. Miotacze na burtach „Tygryscy” otworzyły ogień. Z chóralnym terkotem metalowe lufy wypłuły z siebie wirującą śmierć. Korwety odpowiedziały ogniem. Po obu stronach dziesiątki mężczyzn w okamgnieniu zmieniły się w bezwładne, pozbawione życia worki mięsa, zalewając pokłady okrętów swoimi wnętrznościami i krwią czerwoną jak kwiaty lotosu. Hiro przykucnął za relingiem. Jeden shuriken przeleciał tuż nad jego głową, kolejne odbiły się z brzękiem od naramienników i napierśnika. Jedna z korwet runęła w dół i rozbiła się o mur areny Kigen. Kolejna zderzyła się z „Czerwonym Kwiatem”, jednym z lotostatków Gildii, rozrywając jego balon i momentalnie stając razem z nim w płomieniach. Płonący pancernik opadł na ziemię i wbił się w zabudowania miejskie, podpalając cały kwartał.

Na ulicach rozległy się krzyki, błagania o litość.

A on stał dumnie na pokładzie statku, nie mogąc ofiarować ani krzty.

Korwety klanu Feniksa nawróciły do ponownego ataku. W tym czasie lotostatki klanu Tygrysa weszły w zasięg ciężkich miotaczy „Szybującego Pałacu”. Salwa uderzyła w okręty Hiro niczym potężny grad podczas najcieplejszej zimy, dziurawiąc „Honor” na wylot i zaściełając pokłady trupami. Kolejna korweta stanęła w płomieniach i wybuchła w powietrzu. Płonące szczątki wykwitły pióropuszem na niebie niczym fajerwerki w świąteczny dzień. Obsługa miotaczy starała się przekrzyczeć ogłuszający ryk silników, domagając się namiaru na cel, amunicji, ratunku ze strony matki... Część leżała w kałuży własnych wnętrzności lub ściskając kurczowo miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą były kończyny. Powietrze całkowicie wypełniała lśniąca i sycząca śmierć. Wszyscy wokół tańczyli w rytm stukotu rozpędzonej wirującej stali i monotonnego terkotu miotaczy. Gdy ta opętańcza perkusja nagle ucichła, pozostały tylko ryk turbin napędowych, wrzaski cierpiących i martwe ciała leżące z otwartymi ustami, które już nigdy miały nie wymówić ani słowa, wpatrujące się niewidzącymi oczami w bezgwiezdne niebo.

– Mój panie, nie zdołamy się zbliżyć – krzyknął do Hiro kapitan. – Rozerwali nam już balon! Nie utrzymam jej dłużej w powietrzu!

– Wywołaj radiostacją Kensaia! – ryknął Hiro. – Niech natychmiast zawraca swoje pancerniki!

– Oni ścigają Kagé, mój panie!

– Niech Głosząca Kres porwie Kagé! Jeśli te podłe dranie Fushicho uznają, że wolą zniszczyć Kigen zamiast je zająć...

Jakby na zawołanie „Szybujący Pałac” zmienił kurs, pozostawiając pałac za rufą, i skierował się ku dymiącym kominom na zachodnim brzegu rozświetlonej łuną pożaru zatoki.

„Rafineria...”

Tereny wokół zakładu Gildii lśniły krwistoczerwonymi oczami i blaskiem płomieni odbitym od wypolerowanych kombinezonów Strażników Czystości. Lotosowcy gasili pianą każdy ogień, który choć

trochę się do nich zbliżył. Żołnierze Gildii polewali płonące budynki czarną wodą pompowaną bez przerwy z zatoki, aby utrzymać pożogę z dala od zbiorników chi. Ale jeśli na pokładzie „Szybującego Pałacu” pozostały jeszcze jakieś wybuchające beczki...

Kapitan „Honoru Kazumitsu” poszedł całą naprzód kursem kolizyjnym z latającym kolosem, ale gdy tylko zbliżył się do okrętu klanu Feniksa, jego balon został bardzo poważnie nadwyreżony ogniem ciężkich miotaczy. Pancernik zdołał jeszcze wystrzelić salwę w stronę olbrzymiego balonu „Pałacu”, ale niewiele wskórał. Cel był zbyt duży i miał zbyt wiele niezależnych komór, żeby jedna salwa zdołała strącić tego behemota przestworzy z nieba. Pół tuzina korwet wciąż eskortowało okręt flagowy klanu Feniksa, tańcząc wśród kłębow czarnego dymu niczym stado świetlików.

Za minutę, może mniej, wróg znajdzie się bezpośrednio nad rafinerią.

Wtedy wystarczy jedna beczka z zapalonym lontem.

– Kapitanie – powiedział Hiro. – Kurs na „Szybujący Pałac”. Cała naprzód. Przygotować się do staranowania wroga.

– ...hai!

Hiro zaklął i oblizał popiół z ust. Choćby to miało oznaczać jego śmierć, zabierze ze sobą te pozbawione honoru psy i razem z nimi pójdzie do piekieł. Żelazna dłoń zacisnęła się mimowolnie w pięść. Jego myśli krążyły wokół zemsty, której nigdy już zapewne nie dopełni. Wokół śmierci, o której śnił, o której marzył. Jej twarz zwrócona ku niemu, przerażenie w jej oczach, gdy on będzie zaciskał żelazne palce na tej ślicznej szyi i wycisnie z jej ciała ostatnią kroplę życia.

Wtedy niebo rozdarł huk gromu.

Grzmot przeniknął go aż do szpiku kości, posyłając dreszcz wzdłuż kręgosłupa. Uczucie znajome niczym dotyk palców kochanki. Skóra mu ścierpła; rzucił się biegiem do relingu. Zmrużył oczy, tworząc nowe pęknięcia w warstwie popiołów pokrywających jego twarz. Wpatrywał się usilnie w podświetlone łuną zachmurzone niebo wypełnione strzelającymi iskrami, gryzącym dymem i krzykami konających.

Szukał ich.

Szukał jej.

I oto była, jak ziszczenie jego marzeń.

-Yukiko...

Ryk Buruu potoczył się po niebie. Pazury rozerwały brezent balonu zwinnej korwety klanu Feniksa i posłały ją wirującą w objęcia ziemi. Yukiko przywarła płasko do karku tygrysa gromu, ściskając w prawej dłoni rękojeść katany. Włosy dziewczyny łopotały na gorącym wietrze. Wokół nich latały shurikeny wystrzeliwane nieustannie z każdego sprawnego miotacza płonących lotostat- ków należących do Gildii oraz klanów Tygrysa i Feniksa. Miasto w dole płonęło, ludzie sunęli w różne strony rozwrzeszczanymi falami. Z powodu wszechobecnych żarłocznych płomieni było jasno niemal jak w dzień. Wszędzie chaos. Absolutny krwawy chaos. UROCZE WESELE.

Myśli Buruu odbiły się echem w Przenikaniu, podkreślone rezonującą trwogą bijącą od ciżby ludzkiej na ulicach miasta i wszechogarniającym zmęczeniem po opętańczym ośmiiodniowym locie. Powieki Yukiko się kleiły, głowa sprawiała wrażenie odlanej z łowiu. Posiniaczona twarz pulsowała unisono z bólem rozsadzającym jej czaszkę. Bolały ją wszystkie mięśnie, każdy oddech palił przemęczone płuca. Buruu i Kaja zużyli niemal wszystkie siły, aby dotrzeć do Kigen, ale przynajmniej przybyli na czas. Widok oszalałego, kipiącego miasta napełniał ją jednocześnie zgrozą i radością. Nie miała pojęcia, jak to się wszystko zaczęło, ale najwyraźniej Kinowi, Daichiemu i Kaori udało się dopiąć swego. Poszczuli wilki na siebie nawzajem, roznieśli noc zaślubin na strzepy i obrócili w perzynę marzenia Hiro o władzy. Uśmiechnęła się szeroko. Gryzący dym przeciskał się między zębami i drażnił język.

Sięgnęła w głąb żaru Przenikania i poszukała grzmienia umysłu Kai. Gdy je znalazła, wciągnęła myśli samicy do swojej głowy, krzywiąc się od natężenia ich huku. Kolejne fale bólu atakowały jej mur, a krew znowu spływała na wargi, ale czuła teraz oba tygrysy gromu i łączyła je ze sobą swoimi myślami, a pod sklepieniem jej czaszki rezonowały ich

żądza krwi i głębokie wstrząśnięcie tym, co się wokół nich działo.

„Nie wiem, do wszystkich piekieł, co tu się dzieje, ale albo mam przywidzenia, albo te statki klanu Feniksa właśnie atakują miasto”.

–NIECH MAŁPIE DZIECI SIĘ NAWZAJEM WYRZY– NAJĄ?!–

Buruu zaryczał w odpowiedzi.

W MIEŚCIE SĄ TYSIĄCE NIEWINNYCH.

„Buruu ma rację, nie możemy tak po prostu...”.

Lśniaca salwa z miotacza shurikenów pomknęła ku nim przez kłęby dymu. Buruu i Kaja odpadli na boki, zwinnie unikając śmiercionośnych odłamków stali. Załogi lotostatków klanu Tygrysa i Gildii dostrzegły arashitory i dołączyły do ostrzału prowadzonego przez okręty klanu Feniksa. Cokolwiek popchnęło klany do skoczenia sobie do gardeł, w obliczu zabójczyni Yoritomo i dwóch potężnych tygrysów gromu najwyraźniej straciło wszelkie znaczenie. Yukiko spojrzała na pokład monstrualnego okrętu flagowego Fushicho i dostrzegła kroczących w chmurach przygotowujących pękate beczki i podpalających wystające z nich lonty. Przed oczami stanęło jej bombardowanie lasu w górach Iishi. Gdy spojrzała w kierunku, w którym zmierzał okręt, obok dwóch płonących jasno iskier życia, które teraz czuła każdą swoją komórką, poczuła w trzewiach ukłucie lodowatego strachu...

„Chcę zbombardować zapasy chi przy rafinerii! Kaju, zajmij te mniejsze statki na wystarczająco długo, żebyśmy mogli sobie poradzić z tym wielkim!”.

Tygrysica gromu tylko zawarczała w odpowiedzi, a Buruu już mknął ku olbrzymiemu lotostatkowi, nieustannie unikając nieprzerwanego gradu shurikenów wypluwanych przez miotacze na obu burtach okrętu. Jednostki Gildii i klanu Tygrysa również prowadziły ciągły ogień, przypadkiem rozrywając na strzępy jedną z goniących arashitory korwet. Yukiko wślizgnęła się w żar za oczami Buruu i poczuła grom jego tętna pulsujący w jej piersi. Chwyliła go ze wszystkich sił i razem kluczyli wśród gęstych strug srebrzystego deszczu. Poczuła, jak się w niego zapada, jak ten znajomy absolut rozpościera się, aby ją objąć. Załązki piorunów tańczyły na czubkach jej palców. Otworzyła szeroko usta i

zaryczała głośno. I wtedy, mknąc przez targaną ogniem ciemność, przez powietrze wypełnione świszczącą śmiercią, z jego żarem płonącym pod jej skórą i jej myślami brzmiącymi w jego głowie, poczuli nawzajem swoje ciepło, poczuli ciepło całej ich czwórki. I odnaleźli jedność, której nikt inny nie mógłby doznać.

Przelecieli tuż obok korwety, rozrywając pazurami jej balon na strzępy. Śruby napędowe zawyły, przyspieszając upadek statku. Opadali i lecieli, wirowali i szybowali. Otworzyła dziób i Buruu zaryczał, po czym uderzyli swoimi skrzydłami o siebie i błękitno- białe światło zabłysło na okaleczonych, lecz wciąż pięknych skrzydłach. Zabrzmiała pieśń Raijina i fala uderzeniowa z samego ich serca chwyciła nocne niebo, rozdarła je w szwach i rozrzuciła wypełniające je lotostatki na boki niczym szklane zabawki. Przemknęli przez wirujące resztki okrętów w stronę olbrzymiego kształtu wiszącego nad Kigen niczym wyrok śmierci. Pałac uciech klanu Feniksa siał zniszczenie całymi garściami. Ryk Kai dodatkowo ich pobudził. Poczuli wyładowania elektryczne tańczące na jej lotkach i zagrzmieni w odpowiedzi, nawołując do walki, domagając się krwi, krwi, krwi padającej niczym deszcz, gdy rozerwali na kawałki kolejną bezskrzydłą muchę.

„Ale zanurzyć się w tym?”

„Zatonać?”

Zanurkowali w strumień stali, coś wbiło się w jego bark. Krew splamiła jej pióra; zaryczała wściekle. Przelecieli pod kadłubem olbrzymiego okrętu, zyskując krótką chwilę spokoju w jego cieniu.

Grawitacja upomniała się o nich, sięgając ku nim zimnymi, drżącymi palcami. Ale oni ponownie wyrwali w górę i mknęli wzdłuż drugiej burty. Siła rozpędu i wspaniała, piorunująca potęga woli pchały ich wyżej i wyżej. Minęli zaskoczoną załogę. Dwóch mężczyzn o wymalowanych oczach i pięknych, doskonałych twarzach wrzeszczało wniebogłose, płacząc się w żółtym jak słońce pierwszorzędnym jedwabiu, wystarczająco dobrym, aby posłużyć im za szaty pogrzebowe. Dosiadali bestii z metalu, drewna i płótna, ukoronowania marzeń i dążeń małą, które zeszyły z drzew i od zarania dziejów spoglądały tęsknie

w niebo. Poczuć pocałunek chmur na twarzach, palce wiatru we włosach, zrzucić okowy grawitacji. Odwieczne pytanie.

Dlaczego by nie, przyjacielu?

„Dlaczego by nie wzbić się w przestworza?”

I krzyczeli. Dwójka (czwórka), która była jednym (jednym). Aż nareszcie mogli wystawić pazury i rozorać komora po komorze, obierając małpią machinę ze skóry jak świeży owoc, wyciskając z niej soki syczącego wodoru. Krzyczeli i ryczeli aż do zdarcia gardła. Wrzeszczeli tak, aby usłyszał ich cały świat. Aby cały świat poczuł i się dowiedział. Aby poznał odpowiedź, dlaczego nie.

Ponieważ niebo należy do nas.

„Ponieważ niebo należy do mnie”.

Ogień rozkwitł w ich szponach, odbił się w ich oczach, w lśniącym bursztynie i bezdennej czerni, drząc w ich uścisku. Mała ręczna flara, ledwie maleńka iskierka niegodna nazwania jej płomieniem. Jakże łatwo byłoby rzucić ją ku ulatniającemu się z balonu gazowi, żeby padła mu w objęcia niczym chora z tęsknoty kochanka wpadająca w ramiona powracającego ukochanego. I w ich zaślubinach, w ich miłości, w ich pożądaniu zakwitłaby pożoga. Wybuch byłby wielki i jasny jak oko boga. Wykwitłby grzyb niepowstrzymanego żaru. Akt zniszczenia wypełniony krzykami daimyo klanu Feniksa, książątek ginących od jaskrawego pocałunku płomieni. Ich powietrzny pałac rozerwany na drzazgi i żelazne odłamki spadające na piękne Kigen niczym najokrutniejsza z burz. Wyjący wiatr rozrzuciłby ich popioły, które opadłyby na dachy jak lekki śnieg, wirując wśród dymu, zwęglonego drewna i sadzy, pokrywając rynsztoki wszystkim, czym kiedykolwiek byli i czym kiedykolwiek mogliby się stać.

Zostałoby ich zbyt mało nawet dla Feniksa, aby zdołał z nich powstać.

„Jakże łatwo byłoby to zrobić?”

Przycisnęli pięści do swoich skroni, starając się zapanować nad żądzą krwi tętniącą w ich (jej) głowie. Doskonale się z nią znali. Przed oczyma stanęły jej (im) trzy pancerniki spadające w objęcia płonącego lasu. Przerazone spojrzenie Ayane. List Takeo. Jej własne łyż. W ich myślach

zabrzmiął głos Kina.

„Kawałek po kawałku Yukiko, którą znam, coraz bardziej się oddała”.

Zamrugali.

„Zbyt łatwo”.

I była to prawda. Setki żyć na okręcie flagowym klanu Feniksa: mężczyźni i kobiety, którzy nie byli żołnierzami ani daimyo, samurajami ani rzeźnikami, lecz służącymi i inżynierami, chłopcami okrętowymi i majtkami. Ludźmi śniącymi o ramionach ukochanych i uśmiechach dzieci, a nie o warczących mieczach i pustych tronach. Jeśli rzuciłaby flarę ku rozerwanemu balonowi, oni wszyscy też by zginęli. Jeśli dałaby się porwać powodzi, gdyby poddała się swojemu gniewowi, ich życia obciążąłyby jej sumienie.

Czy tym właśnie była? Czy tym właśnie się stała?

Czy za to właśnie jej ojciec oddał życie?

„Szybujący Pałac” jęknął. W miarę jak wodór uciekał z sykiem w gorejącą noc, balon zapadał się pod własnym ciężarem. Z dzikim krzykiem cisnęli flarę, ale nie w stronę opadającego ku ziemi lotostatku, ale w czarne wody zatoki. Małeńka, drżąca iskierka zamigotała i zgasła, połknięta przez mroczne odmęty. Okręt flagowy klanu Feniksa obniżał swój lot powoli, niemal majestatycznie. Pęcherz, który dotąd utrzymywał statek w powietrzu, powiewał za nim podarty na strzępy. Ich głos odbijał się echem w ich myślach splecionych tak mocno, że nie wiedzieli, gdzie kończy się ona, a zaczyna on. Łagodny uśmiech tygrysa gromu wykrzywił usta dosiadającej go dziewczyny.

MIEJMY NADZIEJĘ, ŻE „SZYBUJĄCY PAŁAC” POTRAFI TEŻ PŁYWAĆ.

Kaja ich zawołała. Jej ryk brzmiał wyraźnie w ich uszach, kiedy monstrialny lotostatek uderzył z ogłuszającym hukiem i trzaskiem w wodę u ujścia rzeki Junsei. Wyparta z koryta pienia się czarna breja zalała brzegi, gasząc najbliższe tłące się domy. „Pałac” zanurzył się aż po relingi burtowe. Szlamowata woda zalała pokłady, aby po chwili opaść ponownie do rzeki setką wodospadów, gdy kadłub wynurzył się na powierzchnię. Postrzępiony balon opadł na okręt niczym całun i

okałeczony statek dryfował żałośnie ku zatoce. Z obu brzegów rzeki buchały kłęby pary, a ocalałe korwety rozpiezczyły się niczym truposzczury po skończonej uczcie. Książątka klanu Feniksa osunęły się na kolana wysmarowane sadzą i popiołem, wrzeszcząc w bezradnej wściekłości. Ale przynajmniej żyli.

Żyli.

Krażyli wśród kłębow dymu nad morzem płomieni, zanurzając się jedno w drugie – Buruu i Yukiko, Yukiko i Buruu. Stos ofiarny miasta rozświetlał ich oczy. W wiszących nad ich głowami ciężkich chmurach zajaśniała na chwilę błyskawica. Jaskrawe światło przebiło się przez zasłonę gorzkiego czarnego dymu i przyspieszyło bicie ich serc. Ocalałe lotostatki Gildii zebrały się w zwartej formacji, najeżone śmiercią, wyczekujące na dziewczynę, której się wszyscy lękali. Trwali z zapartym tchem, zaschniętymi ustami i złanymi potem ciałami ukrytymi pod lśniącymi mosiężnymi skórami. Mechaliczydła terkotały bez ustanku, wciąż nadając i odbierając, wprawiając ich w drżenie aż po zęby.

Najeżyli sierść i nabrali głęboko przesiąkniętego dymem powietrza. Pokłady okrętów aż się roily od handlarzy chi. Żądza krwi wzbierała, pulsowała, wzywała, wypływała falami z obu tygrysów gromu i zalewała całe Przenikanie, teraz wzmocnione i oczyszczone. I w nim łączyła się w jeden wartki strumień, wielokrotnie przybierając na sile, karmiąc samą siebie. Wpatrywali się w ten maleńki rój metalowych owadów, ślepych larw, które były przekonane, że są tak wysoko ponad piekłem, które stworzyły, że jego płomień nigdy ich nie sięgną. Na wszystkich tych okrętach byli tylko żołnierze i lotosowcy. Żadnych niewinnych, sami mordercy. Wtedy ujrzała go po raz pierwszy od ich przybycia nad Kigen – potężny pancernik pomalowany na czerwień klanu Tygrysa, z trzema sztandarami łopoczącymi na rufie. Sztandarami z pieczęcią daimyo.

Spoglądali na zasnuty dymem pokład przez jego oczy, bystre jak górski strumień i jasne jak słońce. I tam, wśród małych chłopców w dymiących pancierzach zabarwionych na kolor śmierci, tam, tam był on, najmniejszy chłopiec z nich wszystkich. Chłopiec, w ręce którego złożyli swoje życia. Chłopiec, którego kochali (którego ona kochała). Jego

widok, w zbroi pomalowanej na trupią biel, z twarzą pokrytą popiołem, wywołał kolejny zalew żądy krwi, która chwyciła ją w swoje szpony i pociągnęła w dół. Bijący od Buruu zwierzęcy, pierwotny instynkt zabijania porwał ją niczym fala powodziowa i wypełnił, przełamując mur jej woli, opanowując jej myśli.

Ale ona wierzgała, walczyła, sprężała się, aby się wyswobodzić, wyrwać na wolność z tej jedności umysłów, aby na powrót być sobą, aby znowu zlizywać swoją krew z warg i walczyć z bólem wlewającym się przez szczeliny w murze chroniącym jej myśli. Aby znowu być sobą, po prostu być Yukiko.

Niejednością.

Buruu wzbił się wyżej i rozpostarł szeroko metalowe skrzydła. Yukiko wyprostowała się na jego grzbiecie. Męczyły ją omamy i zawroty głowy. Przez chwilę jej własne ciało, zmarznięte i dygoczące, wydało jej się zupełnie obce. Tygrys gromu pod nią zaryczał i czas zwolnił swój bieg. Krew odpłynęła jej z twarzy. Otworzyła usta, walcząc o kolejny wdech. Wzrok wbijała w wysoką postać stojącą na dziobie i dobywającą mieczy z pochew. Wskazującą ją kataną łańcuchową i wykrzykującą słowa wyzwania.

– Hiro – wyszeptwała.

Wyszczrzyła zęby i spojrzała w jego oczy, w te piękne oczy zielone jak jadeit z kopalń Kitsune, jak młode liście lotosu. Ale nie zielone jak morze, jak twierdziła kiedyś, dawno temu. Ponieważ wody mórz oblewających brzegi wyspy, którą nazywała domem, były czerwone. Czerwone jak łotos, czerwone jak krew. Zatrute przez tych obmierzłych drani i ich śmierdzący, przekłety chwast.

Widziała wyraźnie wykrzywioną wściekłością twarz Hiro. Daimyo klanu Tygrysa gestem nakazał swoim samurajom opróżnienie przedniego pokładu. Mieli się nie wtrącać w jej walkę. Słowa utonęły w wyciu silników i ryku płomieni, ale mowa ciała była jednoznaczna. Rzucił jej wyzwanie, żądał pojedynku, satysfakcji, zemsty. Uderzył pięścią w pierś – żelazną pięścią – po czym nakazał swoim samurajom jeszcze bardziej się cofnąć. Stał tam z rozpostartymi

ramionami, ze wzrokiem utkwionym w dziewczynie i jej tygrysie gromu. Czyny przemawiają głośniejsz niż dowolne słowa.

– Chodź – ryknął, wskazując ją czubkiem ostrza mechanicznego miecza. – Chodź tu i walcz.

Buruu zawarczał długo i gardłowo. Ich nienawiść przelewała się z jednego w drugie i lśniła w jego oczach. To mógł być koniec wszystkiego: ambicji Gildii związanych z rządami Hiro, widma wojny wciąż wiszącego nad Shimą, burzy zbierającej się na odległym horyzoncie. Wszystko to mogło się skończyć tu i teraz. **DLACZEGO NIE ATAKUJEMY?**

Myśli Buruu w jej głowie jak zwykle stanowiły echa jej najszybszych pragnień i obaw.

W PRZYPADKU FENIKSÓW CIĘ ROZUMIEM. NA TAMTYM STATKU BYŁO WIELU NIEWINNYCH. ALE HIRO PRAGNIE TWOJEJ ŚMIERCI, A GILDIA POPIERA GO AŻ PO RĘKOJEŚĆ. YUKIKO, MASZ DO WYBORU ZABIĆ ALBO DAĆ SIĘ ZABIĆ.

Nabrała z trudem powietrza i odgarnęła włosy z oczu.

„A potem co? Jeśli go zabijemy, Gildia straci tylko kolejną marionetkę, kolejnego niewolnika”.

TAKĄ DROGĘ OBRAŁAŚ. TO JEST WŁAŚNIE TA RZĘKA KRWI, KTÓRĄ CI OBIECAŁEM.

„A nie obawiałaś się przypadkiem, że w niej utonę?”. **WYSTARCZY SKOCZYĆ W JEJ ODMĘTY I POPŁYNAĆ.**

„Ja...”.

Otarła nos wierzchem dłoni, rozmazując trochę krwi. Kaja krążyła nad nimi, co jakiś czas rycząc, dygocząc lekko z niecierpliwości.

Yukiko położyła dłoń na brzuchu.

„Nie sądzę, abym potrafiła, bracie...”.

ZABILIŚMY GO RAZ, MOŻEMY TO ZROBIĆ PONOWNIE.

Yukiko wyprostowała się na jego grzbiecie, kurczowo ściskając rękojeść katany.

„Już raz poddałam się gniewowi i żądzy zemsty. Zabiliśmy setki ludzi i co dzięki temu osiągnęliśmy? Gdzie nas to zawiodło? Zabiliśmy

Yoritomo i w rezultacie tylko zapanował jeszcze większy chaos. To my doprowadziliśmy do tego wszystkiego, Buruu. To my przyczyniliśmy się do rozniecenia tego pożaru. Tu, w tym mieście, w całym kraju”.

„Musimy wznieść się ponad to, ponad wściekłość i ponad zemstę. W przeciwnym razie utoniemy, Buruu. Ty, ja, wszyscy. Tak jak powiedziałeś”.

Bestia zaryczała i najeżyła sierść.

ON NATO ZASŁUGUJE ZA TO, CO CI ZROBIŁ. TEN
CHŁOPAK ZASŁUGUJE NA ŚMIERĆ.

Yukiko opadła na barki tygrysa gromu. Włosy targane falami gorącego powietrza unoszącymi się znad płonącego miasta smagały ją po oczach.

„Każdy kiedyś umiera, bracie”.

Patrzyła na chłopaka stojącego na dziobie jego statku. Przyglądała się, jak ryczy, jak się wściekle miota i wymachuje mieczami. Wszystko to, co było. Wszystko to, co mogło być. Wszystko to, co nigdy więcej już się nie zdarzy. Wspomniała tabliczkę w kamiennym ogrodzie z wyrytym na niej imieniem jej ojca. Wspomniała uczucie straty, tak prawdziwe i wyraziste w jej myślach. Dłoń zsunęła się z brzucha i mimowolnie odnalazła nóż, który dostała od rodziciela. Jedyłą pamiątkę, jaka jej pozostała poza blaknącymi wspomnieniami. Wpatrywała się w chłopaka, którego kiedyś kochała. W ramiona, które kiedyś ją obejmowały, gdy przyciskał swoje wargi do jej ust. Teraz jedno było wciąż ciepłym ciałem, ale drugie było zimnym, martwym żelazem. Sięgnęła przez dzieląca ich zatokę, w głąb rozszalałych płomieni jego myśli. Doskonale wiedziała, jak mało wysiłku kosztowałoby ją zwykle... ściśnięcie. Ale wtedy dostrzegła coś w tej niesamowitej płataninie otoczonej warstwami wściekłości i desperacji. Jedną myśl. Odłamek świadomości. Trawiącej, palącej, unicestwiającej wszystko, czym był.

Aisha odeszła.

Zginęła.

„Tyle krwi”.

Spojrzała w dół, na ruinę miasta, na kłęby dymu i setki trupów, na plamy szkarłatu na wszystkich ulicach, kałuże wystarczająco głębokie,

aby w nich utonąć. I nagle myśl o dodaniu do tego morza krwi choćby jednej jeszcze kropli przyprawiła ją o mdłości.

„Ktoś inny dokonał tego, co przybyliśmy tu zrobić”.

CO?

„Ślub został udaremiony, Buruu. Dynastia legła w gruzach i już się z nich nie podniesie. Plany Gildii zostały pokrzyżowane”.

Przeczesała palcami jego futro.

„Starczy na dziś”.

Włożyła katanę do pochwy na plecach, a razem z nią schowała też swój gniew. Potrząsnęła głową, odrzucając włosy na plecy. Chłopiec w bladym żelazie ryczał, pluł i wrzeszczał. Dłonie Yukiko ponownie powędrowały do jej brzucha, do łęku, przerażenia i ogromu, który w nim rósł. Ogień płonął w jej myślach, ogień trawił miasto pod jej stopami. Pałac szoguna był doszczętnie zniszczony. Teraz nic już nie mogło powstrzymać wojny domowej. Tygrys przeciwko Smokowi, Smok przeciwko Lisowi, Lis przeciwko Tygrysowi. A wśród tego wszystkiego – Gildia.

„Zegnaj, Hiro...”.

Gdy zawrócili i odlecieli z powrotem na północ, zostawiając zgliszcza Kigen za sobą, jedna myśl płonąła w jej myślach jasno jak słońce. Obietnica mająca na nie tak znowu odległym horyzoncie. Tak bliska, że wręcz czuła ją we wdychanym powietrzu. Lekka jak żelazo i ciepła jak lód pewność, że rzeka Buruu i tak ich wszystkich porwie. Niezależnie od tego, co zrobią.

„Oto początek Wojny Lotosowej”.



Wilki prawie ich już dopadły.

Michi stała przy relingu na pokładzie rufowym i obserwowała, jak reflektory ścigających ich statków są z każdą chwilą coraz bliżej. Lamy korwet były mniejsze i jaśniejsze, a warkot ich silników wyższy, bardziej przenikliwy. Dziewczyna starała się wypatrzeć kształty statków za blaskiem reflektorów, w ciemnej szarości nadchodzącego świtu. Były smukłe i ostre, jak noże rzucone w powietrze, pędzące wprost ku nim.

Kapitan „Kurei” trzymał kurczowo koło sterowe. Co chwila oglądał się przez ramię i spluwał na pokład. Silniki lotostatku pracowały pełną parą, wypływając z rur wydechowych gęste chmury spalin. Wskaźniki temperatury już od dłuższego czasu były na czerwonych polach, a cała rufa aż trzęsa się od nadmiernego wysiłku. Huk czterech śrub napędowych mielących mozolnie powietrze przypominał grzmot pioruna. Jednak niezależnie od starań i modlitw kapitana, niezależnie od wysiłku silników „Kurea” zwyczajnie nie była dość szybka, aby ująć pogoni.

- Co się stanie, kiedy dogonią nas korwety? - zapytała Kaori.
- Uszkodzą nasze silniki, aby nas spowolnić na tyle, żeby zdołały nas dopaść pancerniki. A gdy to się stanie, dokonają abordażu. Chcą nas

wziąć żywcem.

- Nie możemy do tego dopuścić – stwierdziła Kaori.
- Wiem – przytaknął kapitan. – Wiem.
- Jak ma pan na imię, kapitanie? – zapytała Michi.
- Wołają mnie Czarny Ptak. – Mężczyzna uchylił rónda kapelusza. Michi kiwnęła głową.
- To prawdziwa przyjemność zginąć razem z panem, kapitanie.

Wróciła wzrokiem do pogoni. Teraz już wyraźnie widziała goniące ich dwie korwety. Były zaledwie kilkaset stóp za nimi. Ich balony były spłaszczzone, przypominały kształtem liście buku lub grot strzały. Również kadłuby miały opływowe i przecinały powietrze niczym klinga miecza. Na pokładach zebrały się ich nieliczne załogi, w całości ukryte w mosiężnych pancierzach z lśniącymi czerwono oczami. Niektórzy spoglądali na ściganą zwierzynę przez teleskopowe lunety. Widok ludzi Gildii przypawił Michi o dreszcze. Wzięła głęboki oddech i poczuła falę zimnej nienawiści zalewającą ją na wspomnienie Aishy podłączonej do tych przeklętych maszyn, skazanej na najpodlejszą wegetację.

Kagé szykowali się do walki. Kaori stała obok niej z wakizashi Daichiego w dłoni. Kobieta spojrzała na nią i kiwnęła głową. Luźne kosmyki kruczoczarnych włosów chłostały jej twarz. Cóż, miejsce było równie dobre jak każde inne. Szczególnie że towarzystwa nie mogła sobie wymarzyć lepszego.

Korwety były coraz bliżej. Ramiona zamocowanych na dziobie miotaczy sieci rozwarły się niczym palce żelaznych dłoni. Wszystkie stawy były połączone grubymi kablami spletanymi na podobieństwo pajęczyny. Strzelcy Gildii nachylili się do celowników, kładąc kciuki na spustach.

Michi oblizała wargi i posmakowała wiatr przesiąknięty smrodem chi. Spojrzała na przemykającą daleko pod nimi ziemię, na ciągnące się bez końca pola lotosu ledwo widoczne w mroku przed świtem. Przed oczyma wyobraźni stanęły jej rodziny rolników wstających z łózek. Kobiety przygotowujące śniadanie, mężczyźni wyruszający zająć się roślinami wysysającymi resztki życia z gleby, po której stąpali. Zbyt

zajęci swoimi małeńkimi życiami, aby zdać sobie sprawę z tego, co czynili, kogo okradali, dokąd wiedzie ta droga. A na niebie nad ich głowami mężczyźni i kobiety, którzy zdecydowali się powiedzieć nie, przeciwstawić się Gildii, mieli zaraz zginąć dla nich, za nich. Mężczyźni i kobiety, których imion ci zapracowani ludzie mieli nigdy nie poznać.

Pomyślała o biednym Ichizo; o alternatywie, którą jej przedstawił; o życiu, jakie mogłaby wieść. A potem spojrzała na otaczających ją ludzi, na jej braci i siostry. Na rodzinę, którą wybrała, z którą chciała się przeciwstawić Gildii i tyranii.

Klucz wetknięty w koła maszyny, natarczywe brzęczenie w ich uszach. Suma wszystkich ich lęków – że niezależnie od tego, jak usilnie starali się ukryć prawdę, jak natarczywie kłamali, jak wiele brali w posiadanie, zawsze znajdą się ludzie zdolni się im przeciwstawić, rzucić im wyzwanie, walczyć, krwawić i ginąć za obcych pod ich stopami. Za te małeńkie życia, za ludzi, którzy mieli nigdy nie poznać ich imion. Za nienarodzone jeszcze dzieci.

Michi wzniosła katanę wysoko w powietrze i krzyknęła. Jeden dźwięczny zew wyzwania, który błyskawicznie podjęli otaczający ją bracia i siostry. Jeden po drugim wszyscy dołączali się do jej okrzyku, aż na pokładzie „Kurei” były tylko otwarte usta, obnażone zęby, wzniesione lśniące ostrza i wygrażające pięści. Ich głosy wibrowały w zimnym powietrzu. Jeden oddech na wolności w blasku słońca był wart tysiąca w cieniu niewoli.

I ich krzyk doczekał się odpowiedzi.

Był to ostry głos, wysoki i groźny jak wycie zimowego wiatru. Po chwili dołączył do niego drugi, pobrzmiwający pomrukiem burzy na jesiennym niebie. Michi poczuła gęsią skórkę na całych ramionach i wytrzeszczyła oczy ze zdumienia. Oddech zamarł jej w piersi, a serce zaczęło wygrywać radosną pieśń.

– Znam ten krzyk... – wykrztusiła.

Biały kształt wystrzelił spomiędzy chmur i przemknął za sterburką „Kurei”. W ślad za nim podążał grzmot burzy. Skrzydła szerokie jak dachy, pióra białe jak śnieg na górskich szczytach. Za bakburką śmignął

drugi kształt. Światła reflektorów załśniły na opalizującym metalu i oświetliły postać siedzącą na grzbiecie bestii – bladą dziewczynę odzianą w żałobną czerń, z powiewającą za nią ciemną wstęgą włosów. Michi krzyknęła ponownie, najgłośniejszą, jak tylko zdołała. Pełnymi łez oczami śledziła lot tygrysa gromu, który zatoczył koło i spadł na lotostatki Gildii niczym piorun ciś– nięty ręką samego Pana Burz.

– Yukiko! – krzyczała. – Yukiko!

Na pokładach korwet zapanowała bieganina. Ich załogi kłębiły się niczym roje owadów, których gniazdem ktoś właśnie potrząsnął. Żołnierze Gildii biegali bez ładu i składu, poddając się panice, wskazując sobie nawzajem zmierzające ku nim kształty, wykrzykując miana koszmaru, który budził ich w nocy złanych potem. Zabójczyni szogunów. Kładąca kres cesarstwu.

Dziewczyna, której lęka się cała Gildia.

Wystrzelono sieci, zaśpiewały rozwijające się stalowe liny, ale na próżno – arashitory zwinnie wyminęły pędzące ku nim stalowe pułapki. Buruu i Yukiko zanurkowali pod jedną z korwet i pomknęli w górę wzdłuż jej bakburty, płynnym ruchem wyrывая silnik w jasnym pióropuszu ognia. Lotostatek zakręcił się wokół własnej osi, silnie przechylając się na uszkodzoną burtę. Żołnierze Gildii skakali jeden po drugim z pokładu. Ogień wystrzeliwany z dysz plecaków odrzutowych rozjaśnił mrok przedświt i oświetlił trupim blaskiem mknący na spotkanie ziemi okręt. Druga arashitora poszybowała wzdłuż balonu kolejnej korwety, rozcinając brezent lśnjącymi czarnymi pazurami, zrywając go ze szkieletu jak skórę z rozdętego trupa. Uwalniany wodór ulatywał z wizgiem w mrok, a korweta runęła w dół niczym ranny ptak. Lotosowcy pierzchali z pokładu wirującego w korkociągu okrętu niesieni błękitno–białym ogniem.

Kagé ryknęli triumfalnie, wymachując bronią nad głowami. Tygrysy gromu zawróciły i dołączyły do „Kurei” po obu jej bokach.

Yukiko siedziała wyprostowana z wysoko uniesioną ręką i potrząsała dłonią zwiniętą w pięść. W odpowiedzi w powietrze powędrowały dziesiątki pięści rozradowanych mężczyzn i kobiet. Akihito przechylił się

przez reling i wykrzykiwał imię dziewczyny, wyciągając ku niej rękę. Buruu zaryczał tak, jak ryczą zderzające się chmury burzowe. Po chwili odpowiedziała mu arashitora lecąca za sterburką. I wtedy promienie Pani Słońce pokonały w końcu tamę wschodniego horyzontu i pomalowały niebo w barwy ognia.

Michi schowała katanę łańcuchową do pochwy przy pasie z mieszaniną wyczerpania, ulgi, goryczy i czarnej rozpacz. Wspomnienie śmierci Aishy wróciło i ścisnęło ją ponownie za serce. Ale radosne okrzyki Kagé, radość bijącą z twarzy Akihito, wzniesione wysoko pięści i widok spadających statków Gildii przywołały na twarz dziewczyny nieśmiały uśmiech. Ciężar na piersi jakby trochę zelżał i przez moment była zwyczajnie szczęśliwa, że żyje, choć jeszcze chwilę wcześniej w oczy zaglądała jej śmierć. Choć jeszcze przed chwilą wszystko wydawało się stracone i na próżno było wypatrywać jakiegokolwiek nadziei.

Drugi tygrys gromu ryknął tak potężnie, że zadźwięczały wszystkie nity i trzpienie w poszyciu „Kurei”. Na oczach olśnionych Kagé bestia otaczała lotostatek szerokimi kołami. A kiedy wśród niemających końca triumfalnych okrzyków Buruu i Yukiko przelecieli za rufą, kiedy ich oczy spotkały się między jedną chmurą sinocznego dymu a drugą, kiedy Yukiko wykrzyczała jej imię, Michi uśmiechnęła się od ucha do ucha, zacisnęła dłoń w pięść i również wzniosła ją wysoko w powietrze.

Na koniec arashitory i „Kurea” polecili razem na północ ku majaczącemu w oddali zarysowi gór Iishi skąpanych w promieniach o wiele zbyt późnionego świtu.

Nie było to zwycięstwo w najmniejszym nawet stopniu.

„Ale może...”.

Michi kiwnęła głową.

„Może wkrótce będzie”.



W klatce cuchnęło zaschniętą krwią, porażką i lękiem. Oczy Kina łzawiły od smrodu gęstego jak zupa dymu lotosowego wymieszanego z odorem starych ludzkich odchodów. Zmęczone ciało drżało aż do szpiku kości od dochodzącego znad sufitu zgiełku kapituły. Ciasne kajdany tamowały przepływ krwi i chłopak musiał ciągle poruszać palcami, aby nie zdrętwiały całkowicie. Ściekający czołem pot szczypał w oczy, dławiące opary paliły płuca. Młody Konstruktor czekał w ciemności ze zwieszoną głową.

Jego klatka była jedną z setek umieszczonych w podziemiach: długie rzędy żelaznych krat w wielkiej, mrocznej hali. Ściana za jego plecami była brudnożółta i wilgotna od kondensującej się pary wodnej, śliska i ciepła w dotyku. Jeszcze niedawno cele kapituły byłyby wypełnione po brzegi ciałami – starcami, kalekami, kobietami i dziećmi o jasnej skórze, dużych okrągłych oczach oraz blond, rudych i kasztanowych włosach. Wszyscy oni czekaliby na swoją kolej, by zostać wrzuconymi do kadzi z inochi, na spotkanie ze śmiercią we wrzącej brei. Teraz jednak klatki były puste. Tylko rdzewiejące żelazo i nagi, pocący się kamień oświetlany tu i ówdzie migotliwym halogenowym światłem.

Kin zaniknął oczy i spróbował oczyścić myśli, odszukać tę pustkę jaźni,

którą znajdował zawsze w warsztacie; te długie chwile ciszy wewnątrz metalowej skorupy. Czuł pot spływający po wtyczkach wetkniętych do gniazd w jego ciele, czuł wijące się pod skórą przewody. Spróbował odciąć się od na wpół znajomego echa mechanicznych w głowie, od smrodu dymu i odchodów. Przypomnieć sobie, dlaczego tu się znalazł, dlaczego wybrał ten los.

Pomyślał o dziewczynie i momentalnie poczuł trzepoczące w brzuchu łożowiane skrzydła motyli, a serce zaczęło od razu bić mocniej. Przywołał z pamięci obraz jej stojącej na sznurowym mostku w osadzie w górach Lishi, zarys sylwetki na tle wiekowych drzew, wydobywany z ciemności przez księżyc zasiadający na swoim tronie. Wiatr przeczesywał jej włosy swoimi palcami.

„Gdybym tak mógł być wiatrem...”.

Wspomniał pocałunek złożony w ciemności, wśród oszałamiającego zapachu glicynii. Doskonale pamiętał dotyk jej ciała przyciśniętego do niego, miękkie, ale zdecydowane wargi na jego ustach. Pamiętał też, jak wyglądała, gdy łkała w półmroku, jak księżycowa poświata lśniła na jej łzach. Pamiętał ich smak i zranione westchnięcie.

„Nie ma tu miejsca dla nas”.

Poczucie winy związało mu wnętrzości na supeł i jednego po drugim zadusiło trzepoczące motyle. Kin poczuł go, zanim go jeszcze usłyszał. Był to bardziej brak niż obecność. Woń martwych kwiatów, cisza poprzedzająca nadejście echa. Otworzył oczy i zobaczył postać stojącą w plamie halogenowego światła, spokojną jak lunatyk. Mężczyzna był niski i szczupły. Jego blada skóra i ogolona gładko głowa zapewne nigdy nie zaznały dotyku słońca. Ubrany był w luźne, ciemne ubranie, a twarz miał przesłoniętą mechanicznym aparatem oddechowym z podłużnymi czarnymi filtrami. Nad maską aparatu tkwiły bezdenne oczy tak silnie przekrwione, że białka były praktycznie całe czerwone. Ręce trzymał złożone razem. Długie, zręczne palce splecione jak u pielgrzyma u stóp świątyni. Gdyby nie łagodne unoszenie się i opadanie klatki piersiowej, gdyby nie dym chi sączący się z jego maski z każdym wydechem, można by pomylić przybysza z posągiem.

W końcu przemówił głosem łagodnym jak kołysanka, metalicznym szeptem ledwo słyszalnym zza aparatu oddechowego:

- Czy wiesz, kim jestem?
- Nie – odparł Kin.
- Czy wiesz, czym jestem?
- Oczywiście, Inkwizytorze.

I wtedy zaczęli rozmawiać.

EPILOG

Powiadam wam, oto początek końca.

Śmiertelnie blady siedemnastoletni chłopak z twarzą umazaną zaschniętym szkarłatem i obramowaną cienkimi palcami sinoczar-nych oparów. Nieruchoma postać spowita w czerń trzymająca w dłoni jego los. Ich rozmowa w trzewiach kapituły. Niezliczone godziny wirowały i tańczyły w powietrzu między nimi. Ostatecznie Inkwizytor skinął głową, otworzył usta i wypowiedział słowa, które chłopak tak bardzo chciał usłyszeć:

– Witaj w domu, młody bracie.

Zatem oto jestem tu z powrotem. Członek Gildii Lotosu, który zdradził wszystko, co znał; wszystko, w co wierzył; wszystko, czym był. Który podarował swoim braciom przywódcę Kagé. Który pomógł samotnej dziewczynie zdusić rebelię i wyciągnąć Shimę z objęć burzy. Historia nazwie mnie zdrajcą. Po śmierci ojca nazywano mnie Kioshi na jego pamiątkę.

Ale moje prawdziwe imię brzmi Kin.

Pamiętam, jak to jest nosić metalową skórę. Spoglądać na świat przez krwistoczerwone szkło. Stać obok, ponad i poza, wiedząc, że istnieje o wiele więcej. Ale nawet teraz, w trzewiach kapituły, w której przyszedłem na świat, w jedynym domu, jaki kiedykolwiek naprawdę znałem, słyszę w głowie szepty mechaniczycy dła, czuję fantomowy ciężar skóry na plecach i kończynach. Część mnie tęskni do mojej metalowej skóry. Tak mocno, że aż sprawia mi to ból.

Pamiętam dzień, w którym odkryłem prawdę o sobie, gdy moja przyszłość ukazała mi się w Komnacie Dymu. Pamiętam, jak przyszli po mnie Inkwizytorzy spowici w czerń, bezgłośni niczym koty. Jak powiedzieli mi, że nadszedł czas, abym zobaczył to, co nadejdzie. Próbuję sobie przypomnieć tę pewność, z którą wyszedłem z komnaty. Przypomnieć sobie, jak to było być dumnym z tego, kim się jest. Czuć pod skórą mrowienie

towarzyszące zaakceptowaniu swojej Prawdy. Wkroczyć w nowe życie, w piękną, świetlaną przyszłość.

To, co nadejdzie.

Moj e to, co nadejdzie.

Masz trzynaście lat, a oni nazywają cię już mężczyzną.

Nigdy nie widziałem słońca całującego horyzont. Nieba płoną— tego ogniem zachodu, podczas gdy słoneczna tarcza opada poniżej wargi świata. Nigdy nie czułem delikatnego muśnięcia wieczornego wiatru na twarzy. Nie znałem dotyku jej skóry na mojej, dotyku jej warg rozpalających ogień na moich ustach. Nigdy nie dowiedziałem się, co to znaczy przynależeć czy zdradzić. Odmówić czy stawić opór. Kochać czy stracić.

Wiedziałem jednak, kim jestem. Wiedziałem, kim miałem zostać. Skóra była silna.

A ciało było słabe.

Teraz zachodzę w głowę, jak ten chłopiec, którym byłem, mógł być taki ślepy.

SŁOWNICZEK

TERMINY OGÓLNE

arashitora – dosłownie „tygrys burzy”. Mityczna istota o głowie, przednich łapach i skrzydłach orła oraz tylnej połowie ciała tygrysa. Bestie te, uznane za od dawna wymarłe, tradycyjnie służyły za skrzydlate wierzchowce kasty legendarnych bohaterów Shimy zwanych „tancerzami burzy”. Nazywa się je także „tygrysami gromu”. Arashitory zostały stworzone przez Raijina, boga gromu i błyskawicy.

arashi-no-odoriko – dosłownie „tancerka burzy”. Tancerze burzy to legendarni bohaterowie z przeszłości Shimy dosiadający w bitwie arashitor. Najbardziej znanymi tancerzami burzy byli Kitsune-no-Akira, który zabił wielkiego morskiego smoka Boukyaku, i Tora Takehiko, który poświęcił życie, by zamknąć Diabelską Bramę i zatrzymać hordy demonów uciekających z Yomi do Shimy.

burakumin – obywatel niskiego rodu nienależący do żadnego z czterech klanów zaibatsu.

bushido – dosłownie „droga wojownika”. Kodeks postępowania przestrzegany przez kastę samurajów. Podstawami bushido są: prawość, uczciwość, honor i wierność. Wyznawca bushido spędza całe życie na ciągłych przygotowaniach do chwili śmierci; jego ostatecznym celem jest umrzeć z honorem w służbie pana.

bushi – żołnierz z niskiego rodu, który przysiągł przestrzegać kodeksu bushido.

chan – przyrostek zdrabniający, dołączany do imienia. Oznacza, że mówiący darzy daną osobę sympatią i czułością. Zazwyczaj zarezerwowany dla dzieci i młodych kobiet.

chi – dosłownie „krew”. Płynne paliwo napędzające maszyny szogu-

natu Shima. Produkuje się je z nasion krwawego lotosu.

chodzący w chmurach – określenie członka załogi lotostatku (odpowiednik marynarza).

daimyo – potężny regionalny władca rządzący jednym z zaibatsu Shimy. Tytuł zazwyczaj jest dziedziczony z ojca na syna.

dynastia Kazumitsu – rodzina, z której wywodzą się szoguni, dziedziczni władcy wysp Shima. Nazwana imieniem pierwszego z ich rodu, który przyjął tytuł Kazumitsu I i był przywódcą udanego buntu przeciw skorumpowanemu cesarzom Tenma.

Fushicho – dosłownie „Feniks”. Jeden z czterech klanów zaibatsu Shimy. Klan Feniksa mieszka na wyspie Yotaku (Błogosławieństw) i oddaje cześć Amaterasu, bogini słońca. Tradycyjnie z klanu Feniksa wywodzą się najwięksi artyści i rzemieślnicy w Shimie. Feniks to także opiekuńcze kami zaibatsu, moc żywiołu kojarzona z ideami oświecenia, natchnienia i twórczości.

gaijin – dosłownie „cudzoziemiec”. Człowiek nie pochodzący z Shimy. Szogunat z Shimy od ponad dwudziestu lat toczy wojnę, próbując podbić gaijiński kraj Morcheba.

Gildia Lotosu – klan fanatyków dogładających produkcji chi i dystrybucji nawozu inochi w Shimie. Jego członkowie, nazywani powszechnie łotosowcami, tworzą trzy kasty: zwykłych przedstawicieli Gildii, inżynierów albo Konstruktorów oraz funkcjonariuszy religijnych zwanych Strażnikami Czystości. Sztucznożyciowcy należą do kasty Konstruktorów.

inochi – dosłownie „życie”. Nawóz, który po rozpyleniu na polach krwawego lotosu spowalnia proces degradacji gleby wywołany toksynami tej rośliny.

irezumi – tatuaż, który tworzy się, wprowadzając tusz pod skórę za pomocą stalowej lub bambusowej igły. Członkowie wszystkich klanów Shimy noszą na prawym ramieniu rysunki ich totemów. Mieszkańcy miasta często ozdabiają lewe ramię symbolem oznaczającym zawód. Złożoność wzoru znamionuje bogactwo właściciela – większe, bardziej misterne irezumi wymagają wielu miesięcy, a nawet lat pracy i dużo

kosztują.

kami – duchy, siły natury, uniwersalne moce. Słowo to może oznaczać ucieleśnione bóstwa, takie jak Izanagi czy Raijin, lub też – w szerszym rozumieniu – siły żywiołów: ognia czy wody. Każdy klan Shimy ma patronujące mu kami, od którego bierze swą nazwę.

Kitsune – dosłownie „Lis”. Jeden z czterech klanów zaibatsu Shimy słynący z podstępów i szczęścia. Klan Kitsune zamieszkuje okolice nawiedzonych gór Iishi i oddaje cześć Tsukiyomiemu, bóstwu księżyca. To także opiekuńcze kami tego zaibatsu, które ponoć obdarza szczęściem noszących jego znak. Powiedzenie „Kitsune dba o swoich” ma wyjaśniać owo niewytłumaczalne szczęście.

kouka – waluta Shimy. Monety są płaskie i prostokątne, splecione z pasemek metalu: cenniejszego żelaza i mniej cennej miedzi. Często rozcina się je na mniejsze fragmenty, żeby płacić przy drobniejszych transakcjach. Fragmenty te nazywa się „kawałkami”. Dziesięć miedzianych kouka odpowiada jednej żelaznej.

krwawy lotos – toksyczna roślina kwiatowa uprawiana przez mieszkańców Shimy. Krwawy lotos zatruwa glebę, w której rośnie, całkowicie ją wyjąłwiając. Służy do produkcji herbat, leków, narkotyków i tkanin. Gildia Lotosu przerabia jego nasiona, wytwarzając chi, paliwo napędzające maszyny szogu- natu Shimy.

oni – demon z podziemi Yomi, podobno zrodzony przez boginię Izanami po tym, jak skaziła ją Kraina Umarłych. Stare legendy głoszą, że legion onich liczy ich tysiąc i jednego. Stanowi uosobienie zła, rozkoszuje się rzezią i nieszczęściami ludzi.

Ryu – dosłownie „Smok”. Jeden z czterech zaibatsu Shimy, słynący jako klan badaczy i handlarzy. We wczesnych dniach przed powstaniem cesarstwa Ryu żeglowali po północnych morzach, grabiąc inne klany. Oddają cześć Susano-ó, bogu burz. To także opiekuńcze kami tego klanu, potężna duchowa bestia i moc żywiołu kojarzona ze zniszczeniem, odwagą i panowaniem nad morzem.

sama – przyrostek dołączany do imienia. Wyraża znacznie większy poziom szacunku niż „san”. Używany przy zwracaniu się do kogoś

wyższego rangą od mówiącego.

samuraj – członek wojskowej szlachty przestrzegającej zasad kodeksu bushido. Każdy samuraj musi złożyć przysięgę swojemu panu – albo klanowemu daimyo, albo samemu szogunowi. Największą ambicją samuraja jest polec z honorem w służbie władcy. Najpotężniejsi i najbogatsi z owych wojowników noszą ciężkie zbroje napędzane chi, zwane *ō-yoroi*, od których wziął się ich przydomek „Zelazni Samurajowie”.

san – przyrostek dołączany do imienia. To zwykły zwrot grzecznościowy, używany w rozmowie z równymi sobie, odpowiednik naszego „pan” lub „pani”. Zazwyczaj stosuje się go do rozmówców płci męskiej.

Seii Taishōgun – dosłownie „wielki generał, który podbija wschodnich barbarzyńców”.

sensei – nauczyciel.

seppuku – jedna z form rytualnego samobójstwa, w którym samobójca rozpruwa sobie brzuch nożem, a potem zostaje ścięty przez *kaishakunina* (sekundanta, który zazwyczaj jest bliskim i zaufanym towarzyszem). Śmierć przez *seppuku* ma zmasakrać utratę twarzy i może oszczędzić hańby rodzinie samobójcy. Inna wersja *seppuku*, zwana *jumonji giri*, jest praktykowana po wyjątkowo hańbiących czynach. W tej wersji samobójcy nie odcina się głowy – zamiast tego własnoręcznie wykonuje on drugie pionowe rozcięcie brzucha i pozostaje sam na sam z cierpieniem, dopóki nie umrze w wyniku upływu krwi.

shatei – używane w Gildii Lotosu określenie szeregowych członków tej organizacji; słowo pochodzi od nazwy oznaczającej żołnierza *yakuzy*.

shateigashira – wywodzące się z *yakuzy* określenie dowódcy większej grupy *kyodai* („braci”). Tu: osoba kierująca członkami Gildii Lotosu na terenach jednego z wielkich klanów Shimy.

szogun – dosłownie „głównodowodzący”. Dziedziczny tytuł militarnych dyktatorów wysp Shimy. Obecna linia władców wywodzi się od Tory Kazumitsu, dowódcy armii, który doprowadził do krwawego powstania przeciw wcześniejszym dziedzicznym władcom Shimy, cesarzom Tenma.

Tora – dosłownie „Tygrys”. Największy z czterech zaibatsu Shimy i klan, z którego wywodzi się dynastia Kazumitsu. Tora to klan wojowników oddających cześć Hachimanowi, bóstwu wojny. To także opiekuńcze kami tego zaibatsu, blisko związane z pojęciami drapieżności, głodu i fizycznej żądz.

yó kai – ogólne określenie nadprzyrodzonych istot, które wywodzą się z krainy duchów. Obejmuje arashitory, morskie smoki i onich.

zaibatsu – dosłownie „plutokraci”. Cztery związki klanowe na wyspach Shima. Po rewolcie przeciwko cesarzom Tenma szogun Kazumitsu nagroził swych przybocznych władzą nad rozległymi terytoriami. Klany, z których wywodzili się nowi daimyo (Tygrysa, Feniksa, Smoka i Lisa), powoli wchłonęły pod względem ekonomicznym i militarnym inne klany mieszkające na sąsiednich ziemiach i zostały nazwane zaibatsu.

czyżby

hakama – rozcięta spódnica przypominająca spodnie o szerokich nogawkach, ciasno zawiązana w talii. Hakama ma siedem dużych fałd – pięć z przodu i dwie z tyłu – symbolizujących siedem cnót bushido. Istnieje także nierozcinana wersja haka- my (pojedyncza nogawka przypominająca spódnicę), przeznaczona do noszenia na kimonie.

jin-haori – tunika w kształcie kimona noszona przez samurajów.

junihitoe – niezwykle skomplikowane, eleganckie kimono noszone przez damy dworu.

kimono – sięgająca kostek szata w kształcie litery T o długich i szerokich rękawach, noszona zarówno przez mężczyzn, jak i kobiety. Kimono młodszych kobiet ma dłuższe rękawy oznaczające stan paniński. Występuje w całej gamie stylów – od codziennych po formalne. Na misterne kimono może składać się ponad dwanaście odrębnych fragmentów, obejmujących ponad pięć i pół metra kwadratowego materiału.

mempō – maska, fragment zbroi noszony przez samurajów. Mem- pō bywa często rzeźbione na podobieństwo wizerunku fantastycznego stworzenia bądź upiornego oblicza mającego wzbudzić lęk w sercach

wrogów.

obi – szarfa, zazwyczaj noszona z kimonem. Męskie obi są zwykle wąskie, mają najwyżej dziesięć centymetrów szerokości. Obi zakładana do odświętnego kobiecego kimona może mieć trzydzieści centymetrów szerokości i do trzech i pół metra długości. Obi nosi się ułożone wedle różnych skomplikowanych stylów i wiąże w dekoracyjne węzły i kokardy.

uwagi – kamizela, tunika podobna do kimona sięgająca najwyżej do połowy uda. Uwagi może mieć długie i szerokie rękawy albo być bez rękawów, odsłaniając irezumi właściciela.

BRONŃ

daishó – para mieczy składająca się z katany i wakizashi. Broń, zwykle dzieło tego samego płatnerza, ozdobiona jest identycznymi wzorami na klingach, rękojeściach i pochwach. Daishó to symbol statusu oznaczający, że jego właściciel należy do kasty samurajów.

katana – jednosieczny zakrzywiony miecz o smukłym ostrzu mającym ponad sześćdziesiąt centymetrów długości, z oplecioną skrzyżowanym sznurem długą rękojeścią umożliwiającą chwycenie jej oburącz. Katany zazwyczaj nosi się w parze z krótszymi klingami zwanymi wakizashi.

kusarigama – dawna broń japońska składająca się z sierpowatego ostrza osadzonego na trzonku połączonym łańcuchem z obciążnikiem. Łańcuch służył do rozbrojenia przeciwnika lub przyciągnięcia go do siebie.

nagamaki – broń drzewcowa z długim, ciężkim ostrzem. Drzewce mierzy niemal metr, ostrze tyle samo. Z wyglądu przypomina naginatę, lecz jej rękojeść oplata się krzyżującym się sznurem podobnie jak rękojeść katany.

naginata – broń o długim drzewcu podobna do włóczni, zakończona jednosiecznym zakrzywionym ostrzem. Drzewce zazwyczaj mierzy od półtora do dwóch metrów. Ostrze może być długie nawet na metr, z

kształtu przypomina katanę.

ö-yoroi – ciężka zbroja samurajów napędzana silnikami zasilanymi chi. Zbroja wzmacnia siłę właściciela i jest odporna na ciosy zwykłej broni.

tantö – krótki, jedno- lub obusieczny sztylet mający od piętnastu do trzydziestu centymetrów długości. Kobiety często noszą tantö do samoobrony, ponieważ z łatwością można je schować pod obi.

tetsubo – długa bojowa pałka zrobiona z drewna lub litego żelaza zakończona metalowymi szpikulcami bądź guzami, używana do miażdżenia zbroi, zabijania koni lub unieszkodliwiania innej broni używanej na polu bitwy. Posługiwanie się tetsubo wymaga wielkiej siły i doskonałego zmysłu równowagi, jako że zadając cios, można się odsłonić i dać przeciwnikowi okazję do kontrataku.

wakizashi – miecz o jednosiecznym zakrzywionym smukłym ostrzu o długości od trzydziestu do sześćdziesięciu centymetrów, z jednoręczną krótką rękojeścią oplecioną krzyżującym się sznurem. Zazwyczaj nosi się go w parze z dłuższą klingą zwaną kataną.

RELIGIA

Amaterasu – bogini słońca. Córka Izanagiego, przysłała na świat wraz z Tsukiyomim, bogiem księżyca, i Susano-ö, bogiem burz, gdy jej ojciec powrócił z Yomi i dokonał ablucji, by zmyć z siebie skazę podziemi. Życzliwa bogini niosąca życie, choć przez ostatnie dziesięciolecia uznawano ją także za surową i bezlitosną. Nie przepada za swoimi braćmi: nie odzywa się do Tsu-kiyomiego, a Susano-ö nieustannie ją dręczy. Jest patronką zaibatsu Feniksa; często oddają jej cześć kobiety.

Enma-ö – jeden z dziewięciu królów Yamy i naczelny sędzia wszystkich piekieł. Enma-ö ostatecznie rozsądza, dokąd trafi dusza po śmierci i jak szybko będzie mogła ponownie dołączyć do kręgu życia.

głodni umarli – niespokojni mieszkańcy podziemi. Dusze złych ludzi skazane na cierpienie wiecznego głodu i pragnienia w ciemności Yomi.

Hachiman – bóg wojny. Pierwotnie bóstwo uczonych, uważany za

nauczyciela sztuki wojennej. Przez ostatnie dziesięciolecia Hachiman zmienił swoją rolę, odzwierciedlając bardziej wojownicze oblicze rządów Shimy. Obecnie uważa się go za uosobienie wojny, często przedstawia się trzymającego w jednej dłoni broń, a w drugiej białego gołębia, co symbolizuje pragnienie pokoju, ale i gotowość do działania. Jest patronem zaibatsu Tygrysa.

Izanagi, Pan – zwany także Izanagi-no-Mikoto, dosłownie „ten, który zaprasza”, bóg stwórcy Shimy. To życzliwe bóstwo, wraz z żoną Izanami stworzył wyspy Shimy. Jest też stwórcą panteonu bogów i wszelkiego życia. Po śmierci Izanami w połogu Izanagi udał się do krainy Yomi, by sprowadzić jej duszę z powrotem, nie zdołał jednak wywieść jej do świata żywych.

Izanami, Pani – zwana także Mroczną Matką i Głoszącą Kres, żona Izanagiego, boga stwórcy. Izanami zmarła, wydając na świat wyspy Shima, i została skazana na wieczne trwanie w podziemiach Yomi. Izanagi próbował odzyskać żonę, która jednak została skażona ciemną mocą Yomi i przemieniła się w złowieszcze bóstwo, nienawidzące wszystkich żywych stworzeń. Izanami jest matką onich, legionu złożonego z tysiąca i jednego demona, nękających lud Shimy.

piekło (Diyu) – ogólne określenie dziewięciu poziomów istnienia, na które może trafić dusza po śmierci. Wiele z owych piekieł to miejsca, gdzie dusze zostają posłane na pewien czas, by cierpieć za występki swego życia przed powrotem do kręgu narodzin. Zanim pan Izanagi rozkazał królom Yamy objąć władzę nad duszami potępionych i kierować je ku oświeceni, Shima miała tylko jedno piekło – mroczną, gnijącą otchłań Yomi.

Raijin – bóg gromu i błyskawicy, syn Susano-ö. Raijin jest uważany za okrutnego boga, który kocha chaos i przypadkowe zniszczenie. Wywołuje pioruny, wałąc w bębny na niebie. Jest stwórcą arashitory, tygrysa gromu.

Susano-ö – bóg burz. Syn Izanagiego, przyszedł na świat wraz z Amaterasu, boginią słońca, i Tsukiyomim, bogiem księżyca, gdy ich ojciec powrócił z Yomi i dokonał ablucji, by zmyć z siebie skazę

podziemi. Susano-ō zazwyczaj uważa się za życzliwego boga, nieustannie jednak dręczy swoją siostrę Amaterasu, panią słońca, sprawiając, że ta ukrywa twarz. Jest on ojcem boga gromu Raijina, bóstwa, które stworzyło arashitory, tygrysy gromu. Patronuje zaibatsu Ryu, Smoka.

Tsukiyomi – bóg księżyca. Syn Izanagiego, przyszedł na świat wraz z Amaterasu, boginią słońca, i Susano-ō, bogiem burz, gdy jego ojciec powrócił z Yomi i dokonał ablucji, by zmyć z siebie skazę podziemi. Tsukiyomi rozgniewał swą siostrę Amaterasu, kiedy zabił Uke Mochi (Toyouke), boginię żywności. Od tej pory Amaterasu nie rozmawia z nim i to dlatego Słońce i Księżyc nigdy nie pojawiają się razem na niebie. To milczący bóg lubiący ciszę i naukę. Jest patronem zaibatsu Kitsune, Lisa.

Yomi – najgłębszy poziom piekieł, do którego trafiają źli zmarli, by gnąć i cierpieć całą wieczność. Ojczyzna demonów i dom Mrocznej Matki, pani Izanami.

PODZIĘKOWANIA

Ja, Jay Kristoff, pragnę ofiarować Strasznie Mocne Uściski następującym niezwykłym istotom ludzkim:

Amandzie za rzuconą od niechcenia uwagę, z której wykiełkował pomysł na tę książkę, za przeczytanie jej siedemnaście tysięcy razy, a także za bycie wspaniałą i wyrozumiałą w obliczu mojego milczenia, opryskliwości i sarkazmu.

Pete'owi Wolvertonowi, Julie Crisp i Anne Brewer za podanie mi piły i palnika, a także za pomoc w uczynieniu tej książki czymś, z czego jestem naprawdę dumny.

Brunch Bitch, Sharkgrrl, KK i The KitKat za wskazanie fragmentów, które były do kitu, a także za okrzyki zaskoczenia we właściwych miejscach. Uwielbiam was!

Mattowi Bialerowi i LT Ribar za celne strzelanie, zmienianie mi pieluch i ocieranie śliny z ust.

Niesamowitym Cassie Galante, Rachel Howard i całej ekipie PR i marketingowej z wydawnictwa St. Martin's Press, Belli Pagan, Louise Buckley i wszystkim pracownikom Tor UK, Charlotte „Don't call me Reetard” Ree, Hayley Crandell, Praveen Naidoo oraz wszystkim pracującym w PanMacMillan Aus. Jesteście wszyscy wspaniali. Ilość energii, jaką włożyliście w wypromowanie mojej żalösnej osoby, była niesłychana! Ściskam was mocno.

Scottowi Westerfeldowi, Patowi Rothfussowi, K.W. Jeterowi, Stephenowi Huntowi, Marissie Meyer i Kevinowi „Droogiemu” Hearne'owi nie tylko za przeczytanie, ale też za reklamowanie owoców mojej pracy.

Lance'owi Hewettowi, Naricie Misaki, Sudayamie Aki i Paulowi Cechnerowi za ogrom przekazanej wiedzy na temat Japonii.

Wspaniałej Kirze Ostrowskiej za nieustanne poprawianie mojego

rosyjskiego. „Impieratrica dwienadcat stolic!”.

Bradowi Carpenterowi, *mastah ofdisastah* internetu i ajatollahowi rock and rolla.

Członkom mojej nerdowskiej ekipy, zarówno obecnym, jak i przyszłym (Marc, B-Money, Rafe, Weez, Surly Jim, Burglar, Eli, Beiber, The Dread Pirate Glouftis, Bertie, Tom, Steve, Mini, Chris, Gav i inni – to o was!), za wyciąganie mnie od czasu do czasu z cholernego domu.

Niepowtarzalnemu doktorowi Samowi Bowdenowi za przyspieszony kurs wiedzy na temat odmy opłucnej, a także za przytar- ganie swojej szacownej osoby przez cały kraj na premierę mojej książki.

Eamonowi Kenny’emu za gruntowne wyedukowanie mnie na temat sprzętu radiowego (choć dziesięćdziesiąt procent tego i tak wyleciało podczas redakcji).

Kristy Echeverrii za wszystkie krwawe szczegóły.

Araki Miho, ponownie, za jej przepiękną kaligrafię.

Jimmy’emu „The Orrsome” za mony klanów (powinieneś zażądać tantem, stary) i sir Christopherowi Tovo za *rrrrromans na taśmie*.

Jasonowi Chanowi. Kurde, stary, możesz być moim skrzydłowym, kiedy tylko zechcesz.

Blogerom książkowym – jest was zbyt wielu, żeby wszystkich wymienić, ale nigdy za wielu, by pamiętać – którzy wykonali kawał roboty, żeby te mechaniczne skrzydła oderwały się od ziemi. Jesteście absolutnie metalowi. Wiecie dobrze, kim jesteście. Ja też wiem, kim jesteście. Bądźcie dalej tacy wspaniali.

Wszystkim wspaniałym ludziom, którzy obdarowali mnie swoją poezją, muzyką, obrazami i recenzjami; którzy wzięli moje dzieło i na jego podstawie stworzyli własne. To było najwspanialsze ze wszystkiego, co mnie spotkało podczas tej skromnej i dziwacznej przygody.

Mojej rodzinie za pozostanie taką samą pomimo upływu lat i dzielących nas kilometrów.

A na koniec osobie zdecydowanie najważniejszej:

Tobie.



Po śmierci szoguna imperium pogrąży się w chaosie, a wojna domowa staje się coraz bardziej prawdopodobna. Yukiko i potężny tygrys gromu Buruu, okrzyknięci bohaterami, spiskują z rebeliantami w celu całkowitego zniszczenia plantacji lotosu i ocalenia kraju od bratobójczej walki. Tymczasem tancerkę burzy, zrozpaczoną po śmierci ojca, trawi wściekłość, a zdolność słyszenia myśli żyjących istot doprowadza ją na skraj szaleństwa. Czy jedynym ratunkiem jest przyjaźń brata-tygrysa? A może miłość do byłego członka Gildii Lotosu – Kina?



Jay Kristoff – australijski pisarz fantazy i science fiction. Autor serii *Wojna Lotosowa*. Jego pierwsza powieść *Tancerze Burzy* (Uroboros, 2013) w 2012 roku znalazła się w finale nagrody Aurealis. Wraz z żoną mieszka w Melbourne.

lesiojot